



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>







DZIEŁA
HENRYKA RZEWUSKIEGO.

SERYA I.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTAŁA.

Nowy-Świat, Nr. 1258a (39).

1882.

Z biblioteki Józefa Kwińskiego
z Detroit, Mich.

HENRYK RZEWUSKI.

RYCERZ LIZDEJKO.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PANOWANIA

JANA KAZIMIERZA.

Delicta majorum immeritis lues,
Romane, donec templa referentis
Aedesque labentes decorum,
Et fredo nigro simulacra fumo.

—X—

WARSZAWA.

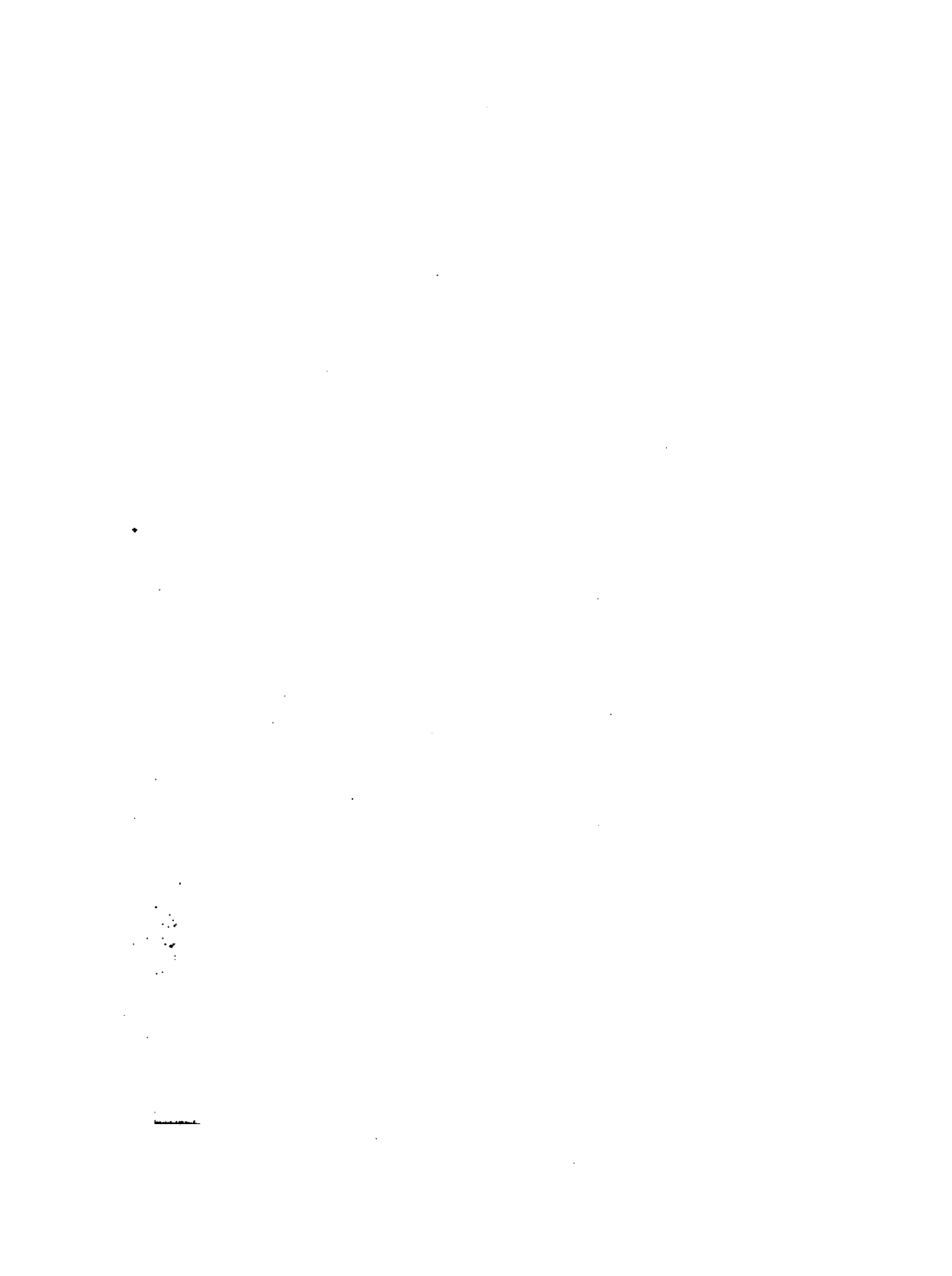
NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.

Nowy-Swiat, Nr. 1258a (39).

1882.

Дозволено цензурою.
Варшава, 18 Ноября 1881 г.

RYCERZ LIZDEJKO.



DO PRENUMERATORÓW

Dziennika Warszawskiego.

Po wielu trudnościach i walce z różnemi niewiele mi sprzyjającymi okolicznościami, występuję nareszcie z obiecany wam od dni kilkunastu Lizdejkiem. Cóż wam o nim mogę powiedzieć, czytelnicy mili? nie innego, tylko prosić was o pobłażanie i wyrozumiałość w ciągu téj publikacji, a Bóg świadek, że na to ostatnie zasługuję.

Co do samego dziełka, jest ono jak wszystkie inne moje pisemka tego rodzaju, obrazem dawnéj obyczajowości, w której przetrwały się już kości naszych naddziadów. Zarzucano mi niejednokrotnie, że jestem umysłem wstecznym, dlatego, że nigdy nie tałem mojego wstępu od tego ruchu umysłowego, który się przebija i w literaturze i w stanie towarzyskim zachodu Europy; ale nie idzie za tém, żebym roił sobie powrót dzisiejszego pokolenia, do dawnéj naszej obyczajowości, bo jakkolwiek przeszłość wpływać musi koniecznie na terażniejszość, przecie terażniejszością być nie może.

Ani czasy upłynione nie mogą się odnowić w tożsamości, ani rzeki powracać do swoich źródeł. Ale dlaczegoż nie szanować dawnych pamiątek i pogardzać tém, co nasi ojcowie miłowali? Wszakże Kościół chrześcijański usiłował pogrzebać ze czią, starą, lubo już nie wierną Synagogę, przez wzgląd, że z niój czerpnął zarodki swojego żywota; dlaczegożbyśmy mieli odmawiać szacunku dla téj dawnéj obyczajowości, z łona której tyle cnót, tyle ofiar tryskało, jak z obfitego źródła? Bo tego przynajmniej zaprzeczyć nie można, że chociażby nawet było udowodnione, iż nieskończenie przewyższamy naszych przodków naukami, przemysłem, rozumem, zawsze ich cnoty nam za wzór służyć powinny.

Pisarz potrzebuje współczucia i jakiejś zachęty od swoich czytelników, żeby rzeczywiście mógł zostać pożytecznym. Tuszę, że kiedyś to uzyskam, jak się lepiej rozumić wzajemnie zaczniemy. Ale poło-

zenie pisarza, którego niemal każde słowo, wypadłe z pod jego pióra, staje się powodem niewyczerpanych komentarzy, usiłujących podać w podejrzenie jego charakter i jego dążności, który ciągle jest pomawiany o złe chęci, o jakieś szkodliwe zamiary, a który nadto się szacuje, żeby aż poniżyć siebie do tłumaczenia się, najczęściej przed takimi, którzy z własnych swoich wyobrażeń rachunku zdaćby nie mogli, — byłoby nader trudne, gdyby się nie czuł wyższym od tych wszystkich pocisków nierozważnej zawiści.

Od początku pojawu tego Dziennika zawiść i być może w dobrą wierzę powzięta niechęć do jego wydawcy, ani na chwilę nie zdręmała. Były rozmaite zabiegi, żeby zaszkodzić publikacji pierwszego Dziennika politycznego, na wzór zagranicznych redagowanego. Były one w publiczność, żeby ją od niego odstręczyć. Bezwątpienia, współubieganie się nie jest wygodne, i łatwiej użyć pokątnych potwarzy, niż dobijać się pracą o zwalczenie współzawodnika, stając się wyższym od niego. Wszakże wytrzymaliśmy te pociski, i nasz Dziennik wyszedł bez wielkiego szwanku z téj walki. Jeżeli się znaleźli niektórzy w zdaniu chwiejący się, to z drugiej strony liczba prenumeratorów ciągle się pomnaża, publiczność zaczyna oceniać nasze starania około coraz większego podniesienia naszego Dziennika, i codziennie odbieramy z prowincyi oświadczenia wdzięczności za nasze prace. Bez zarozumiałości możemy tuszyć, że już jego byt jest ustalony. Wam to winniśmy, czytelnicy mili, i raczcie przyjąć nasze podziękia, wraz z zapewnieniem, że wszystkie nasze usiłności ku temu są obrócone, żeby coraz więcej zasługiwać na waszą łaskę.

Na dowód téj naszej wdzięczności, ofiarujemy wam w darze *Lizdejke*; ta powieść li tylko dla was jest przeznaczoną, nigdzie się ona nie okaże tylko przy kartach Dziennika, nigdzie nie będzie odbita jako przedmiot osobnego przedsiębiorstwa. Odrzuciliśmy wszystkie ofiary w tym względzie nam czynione, bo *Lizdejko* nie naszą, ale waszą jest własnością. Przyjmcie ją łaskawie, jeżeli nie jako dar wielkiej wartości, to przynajmniej jako grosz wdowi.

Pisałem w Warszawie, dnia 27 Czerwca 1851 r.

Hen. hr. Rzewuski.

RYCERZ LIZDEJKO.

ROZDZIAŁ I.

Smutny to był okres dla Polski — panowanie Jana Kazimierza, ale obfity w wielkie czyny i w wielkie męże. Wedle wszelkich rachub ludzkich, już ona wówczas wymazywaną była z mapp geograficznych Europy; bo czegoż z przyszłości oczekiwać mogła, kiedy ze wszech stron spiknięte na nią siły, już tak dobrze jak bezspornie, dzieliły między sobą jój dzierzawy i urządzały wedle woli swojej; a omal że nie całkowity naród, wycieńczony bezwocnym oporem, już zdawał się być obojętnym na swoje przeznaczenie? Bogdan Chmielnicki owładnąwszy obie Ukrainy, a zaprowadziwszy w nich swoje rządy, wsparty skłonnością prostego ludu, nienawidzącego jarzmo szlachty polskiej, wyganiał kapłanów i obywateli obrzędu łacińskiego, których nóż zbuntowanego chłopstwa jeszcze był oszczędził. Rakoczy opanował Ruś czerwoną, i wchodził w umowy z Portą Ottomańską, żeby jój dziedzictwo pod téj lennością zapewnić krwi swojej. Wojska tureckie i hordy tatarskie zniosły były całe Podole, i baszowie zastępowali dawnych starostów. Brandeburezyk, lennik podówczas Rzeczypospolitéj, korzystał z jój nieszczęść, żeby ogarnąć Prussy królewskie, a Litwa, Wielka i Mała Polska, już były posłuszne przywłaszczycielowi tronu szwedzkiego.

Wprawdzie to posłuszeństwo nie było zupełne. Pokazywały się po różnych częściach kraju oddziały stronników zrzuconego z tronu króla, albo przynajmniej głoszących siebie za takich; jeszcze mężny Kordecki z swojemi zakonnikami i z garścią szlachty, zamkniętj z nim w Częstochowie, wytrzymał oblężenie i odrzucał wszelkie warunki, ofiarowane mu przez Szwedów do poddania się. Ale wszystko nie było zdolne wydzwignąć upadłj sprawy. Te oddziały, jakkolwiek waleczne, liczebnie zanadto były słabe, żeby długo mogły się opierać



wnywali oni murowane miasta, a nawet wsie niemieckie, przemysł ich mieszkalców, sprężystość ich rządów, z lepiankami przeznaczonemi na siedzibę dla rolników Polski, z brudnym żydowstwem jej miasteczek, z hałaśliwością jej szlachty, z zawilością z jaką jej prawa się wykonywały, i tym sposobem przyzwyczajali się do wzdychania za obyczajowością zagraniczną, a pogardzania rodzinną. Dyssydenci jawnie powstawali na stan społeczny własnej ojczyzny, a prawowierni słuchali ich cierpliwie. Bo już w owym czasie ludzie nazwani światłymi łaknęli za tronem spadkowym, w przekonaniu, że z odmianą formy rządowej całkowita cywilizacya ościenna przeniesie się do Polski. Wszakże szlachta na prowincyi osiadła, wierna podaniom narodowym, instynktownie te nowe zasady odpychała. Ztąd dla własnego bezpieczeństwa stronnicy reformy nie śmieli przed nią odzywać się zbyt otwarcie z tém, co jawnie wyznawali w stolicy. Ale po zwycięztwach króla szwedzkiego, śmiało puszczał w wodze swoim nadziejom, natarczywie nalegali na niego, żeby zwołał sejm, któryby ogłosił detronizacyę prawego króla, a jego samego dziedzicznym panem narodu.

Że Karol Gustaw, ciągle gotując się do tego kroku, przecie nie odważył się go zrobić, niczemu innemu tego przypisać nie można, jedno wyraźnej woli Opatrzności, która bezwątpienia z wszechmądrych widoków chciała jeszcze jakiś czas przedłużyć rzeczywisty byt Polski. Gdyż biorąc rzeczy po ludzku, mógłby to uczynić bez doświadczenia walnego oporu. Jego sprzymierzeńcy nie byli od tego, bo już był podany i przyjęty przez nich podział Polski, uprojektowany i sporządzony przez Rakoczego; a co się tyczy samój Polski, jako się powiedziało, co tylko było znakomitszego w narodzie, uległo zwycięzcom, a za tym przykładem szły i massy, już pozbawione przyrodzonych przewodników.

Jedni, nie opierając się złej doli, znosili ją z tą godnością wówczas wrodzoną Polakom, dziś omal że nie zapomnianą, a która nawet u zwycięzców wywoływała dla nich szacunek. Drudzy, ubiegając się o łaskę zwycięzcy, a zawsze gotowi go opuścić przy zmianie szczęścia, wmawiali sobie i innym, że przyjmując od niego posady sowiec groszem publicznym opatrzone, i dźwigając ciężary starostw, wielce się wysłużywali swoim ziomkom. A była jeszcze trzecia klasa, zawsze najliczniejsza w każdym narodzie, od której trudno wymagać poświęcenia, ale którą najłatwiej utrzymać w posłuszeństwie, składająca się z obywateli żyjących na wsi, w próżnowaniu zawsze tak miłym, zwłaszcza dla Polaka, mającego o czém próżnować. Ci ludzie, zupełnie bierni, stanowią jednak materyalną potęgę ciał politycznych, i lubo mogą stać się narzędziem fakcyi, z natury swojej są wierni każdemu rządowi, przynoszącemu za sobą jakąś rękojmię trwałości. Nie

Z biblioteki P. Józefów Kwińskich
z Detroit, Mich.

HENRYK RZEWUSKI.

RYCERZ LIZDEJKO.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PANOWANIA

JANA KAZIMIERZA.

*Delicta majorum immeritis laus,
Romane, donec templa refeceris
Aedesque labentes decorum,
Et fredo nigro simulacra fumo.*

— ❧ —

WARSZAWA.

NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.

Nowy-Swiat, Nr. 1258a (39).

—
1882.

Tym sposobem mnożyły się w Polsce oddziały uzbrojone, więcęć szkody przynoszące obywatelom po wsiach mieszkającym, niżeli wszystkie wojska nieprzyjacielskie. Te oddziały zachowywały bezwzględne posłuszeństwo swoim wodzom, a ci, że każdy z nich na wypadek wpadnięcia w ręce nieprzyjaciół natychmiast został powieszony, więc kłamali sobie nazwiska, żeby nie hańbić prawdziwego szubieniczną karą, na którą musieli być przygotowani. Tym sposobem namnożyło się pseudonymów, jak w terażniejszej naszej literaturze. A podania i pieśni prowincjonalne zachowały niektóre z tych przybranych nazwisk, o jakich historia pisana milezy, jako to: Ogarów, Świerszczów, Grzeszniczków, Burezymuch i innych. A do bojaźni hańby własnego nazwiska dołączała się czasem inna obawa, nie narażania rodzin na podejrzenie i prześladowanie, gdyż między tymi wodzami byli i ludzie znakomitego rodu, tacy nawet, których ojcowie wysokie zajmowali stanowiska w nowo utworzonym rządzie.

W kraju zamożnym, ze wszech stron otwartym, ci wodzowie wyrobili byli w sobie do najwyższego stopnia naukę wojny partyzanckiej. A że, jako się powiedziało, obywatele nawet w duchu im niechętni, przez obawę ich zemsty, niemniej języków, zawsze w Polsce wyuzdanych, względem tych na których pierwszy lepszy rzuci podejrzenie złego obywatelstwa, okazywali im współczucie; że u nich znajdowali schronienie dla swoich rannych i chorych; że o każdym kroku oddziałów szwedzkich i węgierskich przeciw nim wysyłanych byli ostrzeżeni: przeto w wyprawach żadnego podejścia obawiać się nie mieli powodu, owszem im samym udawało się często napadać z korzyścią na przeciwnika, oszukanego fałszywem doniesieniem. Nie można tać przed sobą, że lubo później ujęci w karby posłuszeństwa przez wielkich a prawdziwie obywatelskich mężów, zostali wielce pożytecznymi dla publicznej sprawy, wszakże gdy przez długi czas wojowali bez ogólnego planu, każdy wedle swojej woli, takowy rodzaj wojny u wielu z nich rozwinął był w szerokich rozmiarach wszystkie złe skłonności natury ludzkiej.

I jakże to mogło być inaczej? Ten tryb życia był pełen powabów dla ludzi odważnych, burzliwych, nienawidzących ścieśnienia prawa. Kto tylko był powadzony ze sprawiedliwością urzędów, a umiał władać orężem, garnał się do tych wodzów, znajdując u nich zawsze gotowy przytułek. Co było śmiałego hultajstwa w Polsce, zaciągnęło się pod ich znaki, a po większej części wodzowie nie byli lepsi od podwładnych. Niektórzy z nich stopniami wyzuli się byli z wszelkiej czułości, że oprócz dziękij odwagi już nie ludzkiego w nich nie pozostało. I tak Świerszcz, Ogar, Grzeszniczek, w okrucieństwie, chciwości i *chuciach przewyższali* nawet Nogajskich Tatarów; ale *najniegodziwszy pomiędzy nimi był Burezymucha*. Ten, oprócz odwagi niczego nie

RYCERZ LIZDEJKO.

graniczny królewicz, wysłany od ojca na ratunek Janowi Kazimierzowi. Inni, że to była zagraniczna księżniczka, biegła w czarnoksiężkiej sztuce. Byli nawet tacy, którzy utrzymywali, że to jakiś niebianin, od Boga łaskawie zesłany, pod postacią ludzką walczący, i że raz z swoim hufcem pokazał się jednocześnie w Litwie i w Koronie. Nadzwyczajne jego szczęście przeciwko Szwedom i Rakoczanom dawało powód do pokładania wiary w te poetyczne baśnie; chyżo rozehodziły się one po gminie, a nawet niejedyn szlachcic w najlepszej wierze je powtarzał. To tylko pewna, że w rycerzu Lizdejce wszyscy, co tęsknili za Janem Kazimierzem, wielką pokładali nadzieję. A Szwedzi i Rakoczanie, a nawet Chmielnicki, zaczęli go uważać za straszniejszego od wszystkich innych wodzów, którzy się błakali po zdobytym kraju.

Bogusław Radziwiłł i Daniel Dorohostajski stali na czele partyi dyssydentów, zbiegiem okoliczności przewodniczącą w Rzeczypospolitej, i tych co zniechęceni złą dolą prawego króla, przenieśli wierność swoją do tego, który go był zmiotł przemocnie. Obaj ci panowie, lubo kierowali wspólném stronnictwem, a tém samym ciągle z sobą obcując, okazywali sobie wzajemną życzliwość, — w rzeczy samej przez długi czas skrycie się nienawidzili, bo naczelnictwo współzawodu nie znosi. I jeden i drugi nadto byli dumni, żeby się wzajem nie razić, a jeżeli często nie przychodziło między nimi do otwartych kroków nieprzyjaźni, to jedynie roztropności otaczających ich przyjaciół przypisać-trzeba. Ci to w imieniu wspólnego wyznania zbliżali poważnione umysły, przekładając im, ile papieżnicy cieszyć się będą z niezgody tych dwóch filarów protestantyzmu w Polsce. Wszakże podrzędni dowódcy dyssydentów, z położenia swojego więcej do nich zbliżeni, w ciągłej zostawali obawie, żeby kiedyś nie wybuchła między nimi kłótnia, któraby mogła ich partyę rozprządz. Ale już ich obawy były rozproszone, a jednoś tych dwóch naczelników nie tylko że na nieporuszonych zasadach została utwierdzoną, ale wszelka władza ścisnęła się wyłącznie w osobie Bogusława Radziwiłła, tak dalece, że książę Dorohostajski odtąd był jego najpowolniejszym podwładnym. A zkąd zaszła tak stanowcza odmiana?

Książę Bogusław Radziwiłł miał córkę, na którą natura hojnie była rozlała wszystkie powaby rozumu, serca i tych zewnętrznych kształtów, które więcej jeszcze od tamtych zniewalają uwielbienie. Książę ją nad wszystko miłował, i ta czarująca jęj piękność więcej jeszcze pochlebiała jego dumie, niż jego dostatki, potęga i sława. Mnóstwo młodych magnatów ubiegało się o jęj przyjaźń, ale książę głośno się z tém oświadczył, że tylko dyssydentowi jęj los powierzy, i że jeżeli *w ojczyźnie nie znajdzie dla nięj współwyznawcy, odpowiedniego położeniem towarzyskióm, wyda ją za zagranicznego ksiązęcia.* A wszyst-

kim zanadto były znane i zaciętość księcia w raz powziętym zamiarze, i jego przywiązanie fanatyczne do swojego wyznania, żeby ktobądź mógł przypuścić coś pomyślnego dla siebie. A jednak choć bez nadziei, co tylko było świetnego w młodej arystokracji prawowiernej, zalecało się nadobnej księżniczce.

Panowie wyznania protestanckiego, pobudzeni duchem religijnym i jeszcze silniejszym w swych skutkach duchem stronnictwa, skierowali swoją politykę ku zjednoczeniu nowym, a ściślejszym węzłem, przemożnej gałęzi Radziwiłłowskiego domu, z partją której przewodniczyła; tém więcęć, że ksiązę Bogusław był jedynym w magnacyi protestanckiej panem, który nawet między katolikami litewskimi liczył wielu stronników poświęconych jego domowi. A że między protestantami ksiązę Dorohostajski i wysokiem dostojenstwem, i ogromem majątków i ilością klientów był najwięćć zbliżony do księcia, wszystkie więc swoje usiłności połączyli, żeby go skojarzyć małżeństwem z Eleonorą. Z początku mieli trudności do przełamania ze strony samego kniazia, męża prawie pięćdziesięcioletniego, zawsze obcego ponętom miłości, a nawet unikającego towarzystwa płci pięknej. Czuł aż nadto, że nie miał nic takiego, coby za nim przemówić mogło do serca księżniczki. Już jego młodość upłynęła była w znojach rycerskich, a wiek mu nie nadał tych powabów, których nie posiadał nawet w wiosnie swojego życia. Był z niego wojownik dzielny, serca nieustraszonego, siły tak nądzwyczajnej, że z łatwością łamał podkowy, i pysnił się z tój siły, jakby z najwyższćć cnoty. Zresztą był z niego człowiek gwałtowny, często okrutny, nieubłagany skoro się miał za obrażonego, cheiwy władzy i zaszczytów; jednę tylko cnotę posiadał, którćć mu najwięksi jego nieprzyjaciele nie przeczyli, że dane raz przez siebie słowo najświęććć dotrzymywał. Długi czas wzbraniał się przybrać rolę, zawsze od siebie wzgardzaną, zalotnika. Jednak widoki polityczne do tego go skłoniły, i za pośrednictwem przyjaciół oświadczył się księciu Bogusławowi o rękę jego córki.

Ksiązę, jeżeli z jednęć strony czuł całą ważność podobnego związku, bo nawet głośno mówiono, jakoby kniaz Dorohostajski był mu obiecał, że skoro zostanie jego zięciem, szczerze mu pomagać będzie do obróćcienia Litwy w dziedziczne i spadkowe księztwo dla krwi jego, o co go już był podejrzywał Karol Gustaw; z drugićć, oglądał się na niestosowność małżeńskiego związku między dziewicą najwykwintniejszego wychowania i siedemnastoletnią, a kawalerem podżyłym i na wpół zdziczałym. Wszakże nie życząc sobie obrazić drażliwego stronnika, i narazić się na jegc zemstę, którćć pierwsze skutki potrząśby zdołały jego przewagę na Litwie, odpowiedział, że jakkolwiek poczytuje za zaszczyt dla swego domu mieć kniazia Dorohostaj-

skiego zięciem, i szczerze mu do tego pomagać myśli, wszakże przynaglać woli swojej córki nie chce i nie czuje się w prawie. Tyle tylko, że upoważnia kniazia do skłonienia ku sobie życzliwości księżniczki, dając mu do tego zachętę przez zapewnienie, że dotąd księżniczka nie rozrządziła swoim sercem, a więc ma prawo ufać, że jemu się ono dostanie.

Sam książę niewiele wagi przywiązywał do tych wyrazów pocieszających, bo dość było okiem rzucić na kniazia i na księżniczkę Eleonorę, żeby aż nadto być przekonanym, że oni nie dla siebie stworzeni. Ale kniaz, nie powiem: miłością, ale wyniosłością zagrzany, a ciągle pobudzany przez swoich przyjaciół i klientów, już prawie nie opuszczał zamku Birzowskiego. Niewiele do niej mówił, i rzadko w komnacie do niej się zbliżał; ale za to kiedy konno asystował księżnom, gdy w kolasie używały przejażdżki, różnemi popisami usiłował uwagę księżniczki zwrócić ku sobie. I to pewna, że po mistrzowsku zażywał konia; ale niestety, ona na to pokazywała się wcale obojętną. Nie więcéj był szczęśliwym, popisując się przed nią swoją olbrzymią siłą: łamał w jej przytomności podkowy, chwyciwszy za koło wstrzymywał pojazd ciągniony przez parę dzielnych koni, nawet garść orzechów laskowych ściśnieniem dłoni z łupinki oswobadzał; to wszystko na księżniczce nie zdawało się sprawiać najmniejszego wrażenia. Kniazia miłość własna obrażała się ciąglą tą obojętnością, i przybierała wszystkie cechy namiętności. Nakoniec stary kawaler zabierał się odrzeknąć od wszystkiego, i niejednokrotnie wymawiał przyjaciolom, że go, jak im mówił, na mięksiz złowili, i wystrychnęli na młodego wróbla.

Wtém nastąpiło jakieś wydarzenie w zamku. Ale jakie? Może kto o tém i wiedział, ale tajemnicy nie wyjawiał, oglądając się zapewne na własne bozpieczeństwo; inni domysłami usiłowali trafić do prawdy. Długo gadano o tém po cichu w Birzach. To tylko pewna, że jeden młodzieniec, którym się książę opiekował jakby własnym synem, a który był u dworu na stopie znacznie różniącój się od téj, jaką inni najpoufalsi nawet dworzanie księztwa zajmowali, raptownie zginął; że były różne narady między księżną i kapelanem zamkowym, który zaufanie obojga księztwa posiadał; że nikt do tych narad przypuszczonym nie był; że kniaz Dorohostajski, który z początku ciągle się unosił, tak iż nikt do niego nie śmiał przystąpić, potém nagle pokazał się uspokojonym. Były to wszystko zagadki niedocieczone dla całego dworu.

Ale co najwięcéj wszystkich zdziwiło: książę zwołał do Birzów zjazd familijny, a na nim, wśród otaczających go krewnych i powinnych Radziwiłłowskiego domu, kniaz Dorohostajski uroczyście prosił księztwo marszałkowno o rękę księżniczki Eleonory, a księztwo od-

powiedziało, że jeżeli ich córka na to zezwoli, uważać będą to zdarzenie za jedno z najszcześniejszych, jakiego ich spotkać mogło. Posłano po księżniczkę, ta przysła oparta na ramieniu swojej ochmistrzyni, prowadzona przez jedną, więcej zbliżoną do jej serca pokojową. Uważali wszyscy, że była blada, i że jej powieki zachowały ślady świeżych łez. Żadnemu z dworzan nie był tajny jej wstręt do kniazia. Jakież było wszystkich zadziwienie, kiedy księżę jej rodzic oznajmiwszy oświadczenie kniazia wojewody witebskiego, dodał: „Miła córko! twojej woli przynaglać nie będę; mów śmiało, czy zezwalasz na związek ofiarowany ci przez tego, co go widzisz przed sobą?” — a ta dość wyraźnym głosem odpowiedziała: „zezwalam”. Poczém podała rękę przyszłemu małżonkowi, i uknęła z nim przed rodzicami, prosząc ich o błogosławieństwo, a wkrótce potem zaślubiny nastąpiły.

To wszystko działo się przed czterema laty. A nowe wypadki, już nie dwóch rodzin, jakkolwiek potężnych, ale całkowitego narodu dotykające, ku innym przedmiotom zwróciły powszechną uwagę. Chwila, w której się ta powieść zaczyna, była nieszczęśliwą dla narodowej sprawy, ale wielce była przyjemną dla tych, którzy szli za szczęściem Karola Gustawa w połączonych stronictwach Bogusława Radziwiłła i Daniela Dorohostajskiego. A że już ten ostatni we wszystkiém okazywał się teraz posłusznym swojemu teściowi, można powiedzieć więc, że tamtenomal nie bezspornie władał całą Litwą. Jeżeli jawni lub skryci stronnicy prawego króla mogli mieć jakąś nadzieję, to chyba w tém, że duma i gwałtowność tych dwóch magnatów wcześniej czy później poróżni ich z niemniej wyniosłym królem szwedzkim. W następnym rozdziale obaczmy już, jakie było istotne tych nadziei znaczenie.

ROZDZIAŁ II.

Ósma z rana wybiła na zegarze zamku Birzańskiego, a już od godziny pokojowa szlachta zebrana była w obszernym przedpokoju, oczekując rozkazów państwa. Wedle zwyczaju, wszystkich zajmowała puła maryasza. Dwoch grało, a inni czekając, aż kolej na nich przyjdzie, otaczali grających w milczeniu, żeby instynktując grającym, nie wywołać kłótni i hałasu, któryby mógł obić się aż o komnatę księżęcią. Milczenie przerwał pan Dawid Odyniec, podstaroście Eyragolski, kalwin i ulubiony dworzanin księżnej marszałkowej dla wesoleści swojego humoru, a zwłaszcza biegłości w kunszcie muzycznym.

— Panowie bracia, niech to będzie między nami, ale od niejaki-

go czasu ta służba dworska, do której człowiek od dzieciństwa się włożył, tak mi zaczyna ciężać, że sobie rady dać nie umiem, a jednak kiedyś miała ona dla mnie tyle powabów, że wstając i legając Bogu dziękowałem, że natchnął mojego ojca, by mnie oddał do dworu księcia marszałka, naszego pana.

— W czémże się ta służba tak odmieniła — na to Hieronim Korbut — że powaby dla waszmości straciła?

— I bardzo się odmieniła dla mnie. Przynajmniej bywało, można było kiedy niekiedy popatrzeć na księżniczkę Eleonorę, usłyszyć dźwięk jój słodkiego głosu. Zamek Birzowski bez księżniczki jest to ciało bez duszy.

— Waszeci swawola w głowie—odrzekł pan Hieronim — a czy to nam wolno na każdą patrzeć?

— Patrzaj! jaki mi sensat z pana Hieronima! Jakby i waszec był od tego! A czemu waszec z oczów nie spuszczasz panny Balbiny, kiedy się pokazuje na pokojach?

— Dlaczegożbym nie miał patrzeć na to, co może być mojm? Ale na co innego, z tego bieda, a nie pociecha czasemby wyrosła. Niech sobie książ wojewoda witebski w nią się wpatruje, a nam zwłaszcza sługom, wara. Ja gorliwy katolik, przecie nie wymyślam sobie praw po waszemu, a trzymam się tego, czego naszych ojców uczano.

— Daj temu pokój, panie Hieronimie. Pastor w kirku to samo mówi, co książ w kaplicy. A ktoby tam wierzył bez braku temu wszystkimu, co z ich ust wychodzi? Zresztą zostawmy na stronie nasze wyznania. Wiem, że moja wiara jest taka sama, jak księcia pana. Wszak to on, a nie kto, nawrócił pana podstarostę mojego ojca, że on, co dawniej mruczał nad paciorkami, teraz głośno śpiewa Psalmy. Co nam w to wchodzi? my nie do kaplicy, ani doktoratki, ale do korda stworzeni, i przystoi nam myśleć po rycersku: A uwielbianie młodzieńca stanu rycerskiego, a do tego gładkiego, krzywdy nie przynosi chociażby i królownie. Ja to i przed księciem panem gotów powtórzyć, bo wiem, że tém go nie obrażę, że kiedy bywało księżna pani każe mnie śpiewać z księżniczką, to były dla mnie chwile tak urocze, iż zdawało mi się, że do siódmego nieba jestem zachwycony. Co za rysy, co za spojrzenie! Ten książ Dorohostajski w czepku się urodził, że taki anioł mu się dostał. On może i szczęśliwy, ale nad jój dolą aż serce się kraje.

— A cóż można zarzucić kniaziowi? alboż nie pan, nie senator, nie mąż wielkiej sławy w narodzie?

— Bój się Boga, panie Hieronimie, czy może być szczęście w tak niedobranej parze? Księżniczka, czuła, młoda, łagodna, a książ stary, szpetny, gwałtowny, istny Tatar. Ze podkowy łamie i kilkunastu

ludzi w pojedynczym boju na tamten świat wyprawił, to wszystko jest piękne, ale czy to jest zdolne przywiązać i uszczęśliwić taką boską istotę, kiedy do téj dzikiej odwagi nie łączą się żadne przymioty serca i rozumu? Księżniczka w Dolsku musi być męczennicą. Prawdziwie są to igrzyska losu, że ksiązę Janusz Radziwiłł, pan w kwiecie młodości, którego sama postać wszystkich do siebie przynęca, a zbliżenie się do niego przywiązuje, długo zalecał się księżniczce, wszystko za nim mówiło, a jednak go tu ten obrzydły Dorohostajski prze-ważył.

— Radziłbym waszeci nieco być umiarkowańszym, wspominając o zięciu księcia pana, mości panie Dawidzie. Ile że waszmości, jako i nam wszystkim nie tajno, że ksiązę pan nie przynaglał swojej dostojnej córki. Wszakże my wszyscy byli przytomni, kiedy księżniczka oświadczyła swoje przyzwolenie na ten związek.

— Otóż właśnie w tém sęk. Bo że księżniczka była przyobylną księciu Januszowi, na to mam dowody tak przekonywające, że o tém wątpić nie mogę. Bo to, z czém się po kilkakrotnie wymówił doktor Kin, kapelan księstwa, że różnica wyznań stanie na przeszkodzie związkowi temu, to śmiechu warte. Nie znajdziesz ani u was, ani u nas takich, coby się odrzekli skłonności serca dla rzeczy, które tylko duchownych obchodzą. Juźci mój ojciec pewno nie mniej od księcia pana protestant gorliwy, a jednak wcale się nie krzywił, kiedy mój starszy brat zenił się z papieżniczką, która mu dwie wsie w posagu przynosiła. Musiało tam być coś innego. Bp nikt mnie nie przekona, żeby ten gbur Dorohostajski miał zjednać ku sobie skłonność naszej księżniczki.

— Proszę waszmości, panie Dawidzie, uwolnić nas od słuchania takich nidorzeczności. Nie od wczorajszego dnia dworakujesz, a nie chcesz się tego nauczyć, że dworak powinien nałożyć na język trzle i munsztuk; po zamkach pańskich i ściany miewają uszy. A gdyby to, co mówisz o kniazu Dorohostajskim, doszło do wiadomości pana Pacyny, stolnika Rzeczyckiego, a marszałka naszego dworu, tobyś może niemily kęs miał do strawienia.

— Bierz djabli dwór, kiedy tak! Juź oddawna ta dworszczyzna mi kością w gardle stoi. Bezczyнность, w jakiej żywot nasz pluzymy, kiedy wszystko wre w koło, tak mnie zawstydzia, że czasem oczów nie śmiem podnieść między ludźmi.

— To, jak uważam, waszeci naprzykrzył się chléb naszego księcia.

Tu się weisnął do rozmowy trzeci dworzanin, pan Maciej Mogilnicki.

— Co waszeć wszystko nam w oczy ćwikasz tym chlebem pańskim, panie Hieronimie? Ja nikomu nie dam prymu przed sobą

w przywiązaniu dla księcia pana i jego dostojnej rodziny. Mamci u niego jak i waszeć zasługi i spadkowe i osobiste. A jednak powiem otwarcie, że u wielkiego pana jak u wdowy, chleb gotowy, ale nie zawsze zdrowy.

— A jaka tu krzywda waszeci spotkała?—przedłuży pan Korbut.

— Co tam gadać o krzywdzie, czy ją mam czy nie? to do mnie tylko należy, ale że służba mi się naprzykrzyła, z tém nie mam się co tać, bo jak tam sobie chcecie: co niewola, to nie wolność. Albo to człowiek nie ma własnego kąta, że cudze wyciera? Ja sierota bez ojca i matki. Matka umarła, kiedy byłem przy piersi; ojca zabili Szwedzi, którym jeszcze kazali się kłaniać, jakby czemu pocziwemu; a mam przeciw wioszczynę w Wolkowyskim, niewielką, ale nie dłużną nikomu. Po jakiego djabła tu każdego słucham, kiedy tam wszystkim mogę rozkazywać? Przebrzydły nalóg do dworszczyzny wyraźnie mnie opętał, że z niego wykaraskać się nie umiem. Pytasz mnie waszmość, czy doświadczam krzywdy? A żebyś wiedział, że tak jest! A co to? waszeć zapomniałeś, jak mnie przeszłego tygodnia pan stolnik przywitał? Toć to mnie na kobiercu rozciągnięto. A czy ja smarkacz, żebym takie despekta znosił? Ja przeciw majorennis i osiadły szlachcie! Nabawiono mnie i bólu i wstydu; a proszę-no zapytać pana Pacynę, za co on mnie skrzywdził?

— Wybacz, panie Macieju — odezwał się pan Piotr Rymśa, inny pokojowy — a Bóg i ludzie widzieli, żeś na plagi zasłużył. Jakże? byłeś z kolei naznaczony na służbę; nie wolno ci było o krok wydalic się z zamku, wyprosiłeś u marszałka dworu, że ci pozwolił na dwie godziny wymknąć się do miasteczka, czego dla żadnego z nasby nie uczynił, tylko że żył w ścisłej przyjaźni z waszmościny dziadem; a waszeć tak pięknie uraczyłeś się w mieście, że dopiero nazajutrz około południa pokazałeś się w zamku. Jakże to mogło ująć na sucho?

— At wolałbyś stulić gębę, panie Piotrze. Pan stolnik dziad niewyrozumiały. Dano mi wiedzieć, że dwóch Wolkowyszczanów z mojego sąsiedztwa stanęło w gospodzie. Trudno nie pójść do swoich. Wyprosiłem się, że pozwolili. Jakże nie poczęstować przyjaciół, kiedy z łaski Pana Boga jest o czém? A bawiac się z nimi, czy podobieństwo ciągle trzymać nosa nad godzinnikiem? Ale dajmy na to, że stary zemną i sprawiedliwie postąpił; na jakie kroć set czartów taka sprawiedliwość mi się przyda? Niech-no się uspokoi trochę w kraju, a czy siak czy tak, musi być z nami jakiś koniec. Podziękuję za służbę, a jak opuszczę zamek, to chociażbym się opatrzył, że w nim zostawiłem prawe oko, pewnie, że po nie nie powrócę.

— I gdzież pojedziesz? — rzekł pan Rymśa.

— Zabawne pytanie! Jużci nie będę chodził po cudzych domach, kiedy mam własną chałupę.

— I w nią na śmierć się unudzisz?

— Nie z takich ja, co to u siebie się nudzą. Będę sobie siał owies na wiosnę, a żyto w jesieni. Kto ma żytko, ma wszystko, wedle przyśłowia; będę polował na wilki i lisy, będę miód sycił, żebym, jeżeli który z was z łaski swojej o mnie zaczepi kołem, miał go czém przyjąć. A że może Żabińce o miedzę od zaścianka Pacynów, przyjmę sobie do usług jakiego Pacynę, któremu ile razy na to zasłuży, dobrze na kobiercu wygarbuję skórę. Albo to nasz pan stolnik zkąd inąd? Był sobie at zwyczajnie okoliczny szlachetka, nim przy łasce jeszcze nieboszczyka księcia zaczął wychodzić na człowieka. Wszakże i teraz nietrudno tam spotkać za sochą, w łapciach, bliższego lub dalszego jego krewnego. A czy on raz przed wami nie powtarza, że kiedy był chudym pacholkiem, zaszczycał się łaską swojego dziada, i że z tego powodu miłuje mię, jakbym był jego synem i po ojcowsku ze mną postępuje? Sługa uniżony za takie dowody rodzicielskiego affektu! odpłacę mu tę jego łaskę na grzbiecie jego krewnych. Widzicie waszmoście, że nie mam powodu lękania się nudów w moich Żabińcach. A jeżeli i to wszystko mi się naprzykrzy, że doświadczę tęsknoty, od czegoż rozum? Ożenię się i kwita.

— Piękny plan życia ułożyłeś sobie, panie Macieju— odezwał się Odyńce ironicznie.—I masz wielką słusność, że dla wykonania onego czekasz, aż wszystko w Polsce się uspokoi. Co do mnie, tak długo czekać nie myślę, a lubo nie posiadam jak waszeć wioski, i muszę rodzicom na ręce patrzeć, a wiem, że gdybym do nich powrócił bez ich pozwolenia, którego na to nigdy od nich nie otrzymam, toby mnie spotkały ojcowskie batogi, boleśniejsze niż te, na które waszmość się użalasza, — postanowiłem opuścić dworszczyznę, i może dziśbym podziękował za służbę księciu panu, żeby mi nie był zapowiedział, że ma mi coś do powiedzenia. Tać to wczoraj przysły do niego jakieś ważne ekspedycye z wiadomościami, ile mogłem to wyczytać na jego twarzy, nie najpomysłniejszemi dla niego. Nie godzi się pana opuszczać, kiedy jest w frasunku. Ale co się odwlecze, to nie uciecze.

— A to znowu co? — odezwali się wszyscy koledzy jednogłośnie.

— To co lada dzień zobaczycie.

— Czy drwisz? czy o drogę pytasz? — na to pan Korbut. — Bo żebyś waszeć obiegł świat, jak jest długi i szeroki, pewnie nigdzie na nim nie znajdziesz dla siebie tego dobrego, co go masz na dworze księcia pana. Waszmość w inném niż my położeniu, a miałbyś sobie podstrzelić skrzydła w najdonońszym locie! Zwyczajnie aby gadać; rada gęba, kiedy pan śpi; a ciekawy jestem wiedzieć, w którą stronę byś się udał, opuściwszy Birze?

— Jużci nie do swojej wioski, jak pan Maciej, bo jój nie mam, ani do ojca po plagi. A dla wywiązania się ze szczerości, jaką winienem wam, moi koledzy, powiem wam otwarcie, że gdybym nawet posiadał obszerne włości, w niniejszych okolicznościach o nichbym zapomniał. U mnie w głowie co innego.

— Co takiego? — odezwali się wszyscy.

— Co? a czy wy ślepi? czy patrzeć nie chcecie na to, co się w kraju naszym dzieje? My tu gnuśniejem na pańskiej pieczeni, podczas kiedy nasi bracia okrywają się chwałą. Mam konia doświadczonego, całkowity rynsztunek rycerski i kilka groszy w kabzie. Wyruszę w świat i będę się po nim błąkał, dopóki nie napotkam którego z naszych, czy Świerszcza, czy Ogara, chociażby Burzymuchę — co mnie w to wchodzić? byle swojego — ale życzyłbym sobie trafić na Lidzdejkę. Ma być z niego gracz, a jakie poczciwe serce! Bądź co bądź, wcześniej czy później będę wojował pod jego znakiem.

Na te słowa wszyscy struchleli.

Jakiś czas trwało milczenie. Przerwał je pan Uriel Potrozolin, jeden z najroztropniejszych dworzan Birżańskich, a kalwin jak pan Odyniec.

— Zostaw te niewczesne żarty, panie Dawidzie. Niedźwiedź nie rad, kiedy go od miodu odciągają, a waszmość miałbyś sobie sprzykrzyć własne szczęście. Daleko nam sługom do tych względów, jakie umiałeś pozyskać dla siebie u obojga państwa. A jednak umiemy cieszyć się naszym losem. Waszmość jeden umiesz rozrywać tęsknotę księżnej pani za jój dziećmi, śpiewając z nią psalmy, i rzadko tydzień upłynie, żebyś nie otrzymał od jój hojności jakiego upominku. A książę pan po kilkakrotnie dał się z tém słyszeć, że ma zamiar wyprawić waszeci do księcia Olbrachta, bawiącego na dworze kurfırsta Falcgrabi. I świata wiele obaczysz, i nowy a świetny zawód przed waszecią się odkryje, jak się podobasz jedynemu synowi księcia pana, panięciu znakomitemu, o którym głos powszechny, że trudno równego jemu młodzieńca w przymiotach znaleźć. My go tak dobrze jak nie znamy, bo był podlotkiem, kiedy go nasz książę odesłał na wychowanie do swojego dostojnego szwagra Falcgrabi. Nie wolno mu jeszcze powrócić do rodzinnej Litwy, za którą, jak mówią, nie przestaje tęsknić. Jakże tak piękne widoki mógłbyś mimo siebie puszczać?

— To wszystko jest piękne i nie taję, że mam wielkie obowiązki wdzięczności dla księcia pana i jego domu. Wszelako człowiek nie rad doczekać, żeby go kiedyś palcem wytykano, że podczas kiedy inni wysługiwali się krajowi, on na rozkoszach dworszczyzny tuczył się jak bydlę (*).

(*) Pan W. W. mąż światły, a wielce odemnie szanowany krytyk moich pism, w jednym zeszytcie Athenaeum zarzucił mi, że gdy wystawiałem obraz przeszłości

— Alboż my nie służymy krajowi? I pewnie, że z większą dla niego korzyścią.

— Być może, wszelako służba tamtych jest więcej odpowiednią mojemu sposobowi myślenia.

polskiej, w odtworzeniu rozlicznych typów naszej dawniej narodowości zapomniałem zupełnie niepodległego szlachcica. Jeżeli ów krytyk zechce się nieco zastanowić nad pochodem historycznym naszego społeczeństwa, łatwo się przekona, że niezawisłym szlachcicem polskim był tylko ten, co go nazywano panem czy magnatem. Bo juźci te nazwanie nie opierało się na żadnym przywileju legalnym, a jedynie wypływało z jego położenia towarzyskiego. Tak dalece to jest prawda, że bywały przykłady, że książę zubożały służył u nietytułowanego szlachcica. Bezzawisłość nie może pozostać w bierności, i taki tylko może się cieszyć pewnym rodzajem bezzawisłości, od którego inni zależą, i to w ścisłym stosunku. Obywatel, któryby ani był głową jakiejś partji, ani by chciał należeć do żadnego stronnictwa, nie tylko żeby sobie nie zabezpieczył niepodległości w Rzeczypospolitej, ale tym sposobem zostawszy istotą bierną, ciągleby padał ofiarą przemocy, nie tego lub owego, ale wszystkich stronnictw, jakiebys istniały w jego politycznym społeczeństwie. Bo juźci prawo, które wywołało w Atenach obywatela, co w rozterkach narodowych chciałby być jednostronnym, popelnia się praktycznie w każdej rzezypospolitej, a skoro kto bierze w nich udział, jeżeli nie jest wodzem, musi być od jakiegoś wodza zawisłym. Typ, jaki pan W. W. radby widział odbitym w sztuce, może istnieć tylko pod pełnym jedynowładztwem, właśnie dla tego, że rozterki polityczne są przeciwne naturze społeczeństw bytujących pod formą rządową. W rzezypospolitej Polskiej, gdzie starcie się rozmaitych stronnictw było stanem normalnym stowarzyszenia, typ, jaki chce mieć pan W. W., byłby istną anomalią, bezkorzystną dla sztuki, bo bez najmniejszej prawdy, ani historycznej, ani poetycznej. Pod tym względem to, co nazywano Magnacją Polską, nie było uprzywilejowaniem arystokratycznym jakiejś kasty, jak w Węgrzech, ani lordostwem angielskiem, lub grandostwem hiszpańskim, ale właśnie poświęceniem demokracji szlacheckiej, w której wyłącznie skupiały się wszystkie wielkie podania narodowe. A że państwo, czyli przewaga w jakimś stronnictwie (bo juźci u nas nie było ani majoratów, ani dziedzicznych urzędów) nie były przywiązane do jakichś jakoby uprzywilejowanych w stanie rycerskim rodów, mam tego dowód i na konfederacy Tyszowieckiej, której głową był Stefan Czarniecki, i na Barskiej, gdzie najpotężniejsi mężowie w dostojenstwach i bogactwach byli posłuszni Kazimierzowi Puławskiemu. Nawet marszałek generalny tej konfederacy, lubo z świetnego domu, będąc urzędnikiem tylko powiatowym, do magnacyi nie wchodził. Bo samo nazwisko nie było do tego dostateczne. Łatwoby dowieść, że w naszej dawniej społeczności magnacya była nierównie więcej zawisa od szlachty, niż szlachta od magnacyi. Jeżeli magnat skrzywdził szlachcica, to użyciem gwałtu; a szlachta nad panami rozciągała legalną dyktaturę, tóm, iż nigdy nie dała się wywłaszczyć z władzy sądowniczej. Zdarzało się wprawdzie, że jakimś panięciu dostała się deputacya na Trybunał; marszałkowstwo Trybunału było tak kosztowne, że tylko magnat mógł je piastować; wszystko to były urzędowania jeden rok trwające. Ale przykłady nie było, żeby szlachta dopuściła pana do najmniejszego urzędu sądowniczego dożywotniego. A kto jest obeznany z dawną naszą obyczajowością, wie dobrze, że istotna przewaga obywatelska nie była ani w dygnitarstwie, ani nawet w Senatorji, ale w podkomorstwie powiatowém, w sąstwie ziemskim i innych pomniejszych urzędach sądownicznych. Jeżeli sędzia ziemski kłaniał się wojewodzie, żeby za jego wstawieniem się otrzymać jakąś łaskę dworu, wojewoda, chociaż w formie mniej uniżonej, bardzo się nawzajem musiał kłaniać sędziemu, bo można powiedzieć, że jego majątek był w jego ręku, i że najłatwiej mógł z niego być wyrzuty.

— Do nas się garną wszyscy ludzie rozsądni.

— A wszyscy ludzie odważni są przeciwko nam.

— Ci tylko nam się opierają, co wolą żyć z rabunku, nie z poczciwej pracy; i czy wielu takich naliczysz?

— Niewielu, ale i tym nie możemy dać rady. Zresztą miléj żyć z rabunku, niż z żebractwa.

— Jakto?

— A jużci. Tamci każdy kęs chleba okupują narażeniem żywota. Możeż być życie właściwsze dla szlachcica? Szczęście, dołę, przeznaczenie swoje, nosi u boku w pochwie, i to wszystko z niéj wydobywać, oto mi zawód godny zazdrości!

— A jakiemu często koniec kładzie szubienica.

— Ej panie Urielu, nie tak to straszne jak się wydaje. Nasi ich wieszają, a tamci często naszych za skóry obdzierają. Zwyczajnie, gra podobna do naszego maryasza. Albo stawka się zapłaci, albo pula weźmie. Kto wszystko rozważa, temu się nie uda. Co do mnie, wstydzilibym się wygrywać na pewno. Szubienica jest jedną śmiertelną chorobą więcéj, a na nią każdy człowiek winien być przygotowanym.

Tu się wmięszal powtórnie do dyskursu pan Maciej Mogilnicki.

— Dziękuję waszmości za taką chorobę, panie Dawidzie. A to piękna rzecz dla szlachcica na haku wisiéć! Wstydzilibys się za takiém bezecenstwem patronować. Może to być dobre wedle waszég wiary, ale że ja po staremu trzymam, co niedziela więc i święto w naszej kaplicy powtarzam za księdzem: „Od śmierci nagléj a niespodziewanéj zachowaj nas Panie”, a pocichu dodają: „i nadto bolesnéj”.

— Otóż właśnie śmierć na szubienicy ani nagła, ani niespodziana, ani nawet bolesna. A czyż to dawno przy nas umierał nasz poczciwy papinka, pan Jan Boguszewicz? Bywało pilnuje swojego zdrowia, jak kapelan zamkowy. Nigdy szabli nie dobył, każdemu z drogi ustępował, żeby łba nie narazić. I cóż mu to pomogło? Jak ślinogórz zaczął go dławić, nieborak aż dwie doby konał. Czyście zapomnieli, jak do nas ciągle się odzywał: „dobij, kto w Boga wierzy, dobij!” A z szubienicy nikt się nie odzywa, i jak mówi lekarz nadworny księcia pana, ma to być śmierć bardzo łagodna. Ot mówcie sobie co chcecie, ale co do mnie, wyznam otwarcie, że wolałbym skończyć na szubienicy, niż tak żyć, jak wielu z tych rozsądnych ludzi, co się ogłosili przyjaciółmi króla Szwedzkiego.

— A cóż im za bieda? — odezwał się pan Uriel.

— Co za bieda? a czyście nie mieli czasu na to się napatrzyć? Jużci Bogiem a prawdą, choć szczęście sprzyja dotąd Karolowi Gustawowi, nikt mnie nie przekona, żeby sprawiedliwość była za nim. Bo *Jan Kazimierz* jest prawym królem i Szwedzkim i Polskim. A czyż-to

Suderman nie był poddanym i przysięgłym sługą króla Zygmunta? A na jakie lichy grody wieszają tych co kieski z cudzych kieszeń chwytają, jeżeli ma być wolno poddanemu ukraść koronę swojemu panu?

— Bardzo się waszmość rozgadałeś — na to pan Hieronim Korbut. — Nam chudym pacholkom nie roztrząsać takich głębokich rzeczy; są panowie wyższego zdania, do których to należy. A wszyscy panowie już dziś są posłuszni królowi Szwedzkemu.

— Ba! wiele czyni kto musi. Ale nie myśl, żeby Szwedzi do zbytku szacowali tych, co z nimi zbyt gorliwie trzymają. Zapewne, że panów szanują, bo pana djabli nie wezmą; ale nie ma czego zazdrościć tym, co się za nimi wloką, jakby ich ogony, albo takim naszym braciom, co samopas ubiegają się o łaski tych, co szafują teraz chlebem rzeczypospolitej. Toć to niedawno ksiązę pan mnie wyprawił z ekspedycją do Wilna, do JW. Wrangla, hetmana króla Szwedzkiego. Ledwo się do niego docisnąłem przez sień, tak ona była napelniona stronnikami Karola Gustawa. Każdy jego przyjaciel z serca, ale każdy za tę przyjaźń albo już zapłacony, albo czekający zapłaty. Taka przyjaźń do śmiechu mnie pobudzała. Nic darmo. Same żebraki; a to o jakąś posadę, a to o jakąś królewszczyznę, a to po prostu o trochę brzęczączki. A byle lada Szwedzina się pokazała, wszystkie głowy schylają się niemal że nie do ziemi, jakby za pociągnięciem sznurka. Nasi dmą się na swoich, ale na cudzego broń Boże. Proszę-no posłuchać, co Szwedzi między sobą mówią o tych swoich niby przyjacielach. Ja ich mowę rozumiem, chociaż się z tém nie wrywam. Otóż wtedy na własne uszy słyszałem, jak jeden drugiemu mówił, a był-to jakiś ich personat: „Jakaż dla nas korzyść z podłości tych ludzi, kiedy ona nas więcej kosztuje niż warta?” Tak-to panowie bracia, kto u nich zachwyci grosz jeden, to pewnie przy nim dostanie wzgardy na dwa. Złości mnie brały, że z takim śmieciem trzeba się bratać. Szlachetniej żyć z rabunku, chociażby narażając się na szubienicę, niż obrać taki zawód, bo jużci rozbójnik na większy szacunek zasługuje u ludzi męźnych, niżeli żebrak.

— Panie Dawidzie — rzekł na te słowa pan Korbut nieco wzruszony — waszmość nigdy nie przestaniez grzeszyć niepowściągliwością języka. Zanađto rachujesz na naszą cierpliwość, kiedy myślisz, że spokojnie słuchać będziemy podobnych paszkwilów przeciw szlachcie.

— Otóż masz, waszmość bierziesz za przymówkę do siebie co mówię, a to i w myśli mojej nie powstało. Wszakże ja karmazynowy szlachcie jako i wy wszyscy.

— Tego nie widać po sposobie uszczypliwym, z jakim opisujesz szlachtę.

— Niewiele tam prawdziwej szlachty, panie Hieronimie. A jeżeli

jaki karmazynowy się spaskudził, to aż mi wstyd, najczęściej z naszego wyznania. Inni siedzą na ustroniu, czekają czegoś lepszego, o poczciwie zapracowanym chlebie. I my wszyscy jak tu jesteśmy, ze swojego i pańskiego żyjem; żaden z nas nie prosi chleba u Szwedów. Nie bójcie się, Szwed nie tak łatwo uwierzy prawdziwemu szlachcicowi. Kim jego sienie i przedpokoje są jakby nabite? oto takimi, co za ledwo ojca pokazać mogą i to nie zawsze. Kim posady zyskowne są teraz zajęte i na jakich ludzi Szwed niby się spuszcza? oto na mieszczuków i przybyszów. Powiedźcie sami, czy nie prawda? I to właśnie wzbudza we mnie nadzieje jakieś dla króla Jegomości Jana Kazimierza, któremu szlachta sprzyja. Szlachciec jak da słowo, a coś dopiero przysięgę, téj nie zdradzi, bo ma imię i herb, któreby rad w nieskazitelności przekazać potomstwu. Kiedy szlachciec podły musi gwałt uczynić swojemu przyrodzeniu; ale adwena cóż ma do stracenia? Kto mu więcej zapłaci, do tego przylgnie, chyba że swoją krew uszlacheił, przelewając ją dla kraju. Bo kto nie odzierzył po przodkach szlachectwa, nie nabędzie go tylko w zawodzie wojennym. Wszystko co się u nas teraz dzieje, mnie oburza.

— Dalibóg ma słusność nasz pan Dawid — odezwiała się większa część dworzan — tak mówi jak książka; my wszyscy z nim trzymamy.

A najwięcej się zapalał pan Maciej Mogilnicki.

— Jaki ty rozumny, panie Dawidzie — rzekł — to coś powiedział, czuję, ale tego nigdy tak mądrze nie umiałbym wypowiedzieć. Niechże ciebie za to uściskam. Dopiero mi przymówiłeś, że tęsknię do mojej wioszczyny, jakoby nie chcąc narażać się na niebezpieczeństwo; bo zrozumiałem, że to było coś dla mnie, kiedy rozprawiałeś o tych co żyją ze swojej szabli. Niech tego Bóg ci nie pamięta! Zabierałem się za to porachować się z tobą na osobności. Ale chociaż z ciebie kalwin, tak się odezwałeś po prawowiernemu, że jeżeli się dwóch znajdzie, co mieć będą coś przeciwko temu, ty się rozpraw z jednym, a ja drugiego biorę na siebie. Otoś mi brat! Jeżeli się nie ożenie, to tak rozporządź, żebyś ty był moim spadkobiercą. Ledwo że serce nie wyskoczy do ciebie, a takes mi go rozegrzał, że daję wam słowo szlacheckie, a ogłosicie mnie podłym, jeżeli go nie dotrzymam, że pierwszego z tych trutniów, o jakich wspomniał pan Dawid, którego spotkam, chociażby na pokojach księcia pana, powiem mu na dzień dobry „waćpan kiep”. A jeżeli nie wyzna że to prawda, jeszcze go wyszturczęm. Macie na to rękę.

— A ja waszeci do tego pomogę — wyrwał się pan Bartłomiej Kupoc, młody, nowoprzyjęty dworzanin, a rębacz zawołany. — A do łokcia, a do warsztatu, a do kwaterki; już my szlachta dość od was ucierpieli!

— I my do tego należée chcemy — odezwało się kilku, tak że powstał hałas, któryby się mógł dać usłyszeć aż do komnaty książęcej. Panowie Korbut i Petrozolin, od nich starsi wiekiem i rozwagą, usiłowali ich umitygować, a rady sobie dać nie mogli z tak burzliwą szlachtą.

Skoro zbiór pod wpływem jakiejś namiętności się wzburzy, jest-to wezbrany potok, któremu oporu stawić nie podobna. Żadna perswazyja skutku nie otrzyma; jeden tylko jest sposób: odwrócić uwagę do innego przedmiotu, i tego się chwycił pan Uriel, jako doświadczony dworak.

— Panowie bracia — odezwał się — kiedyście tak uchwalili, a więc rzecz skończona! nie pozostaje jak tę uchwałę do skutku przyprowadzić i ja pewnie w tyle nie pozostanę. A póki to nie nastąpi, wracając do dawniejszego twojego dyskursu, panie Dawidzie, dziwi mnie, że z maleńka ciągle ocierając się u ludzi, jeszcze nie nauczyłeś się czytać w ich sercach.

— Do czego to mówisz, panie Urielu?

— Do tego, żeś przed chwilą wspominał, jakobyś miał dowody przekonywające o życzliwości serca naszej księżniczki dla jój powinnego, księcia Janusza, nim oddała rękę wojewodzie witebskiemu, a ja wszystko co mam i mieć mogę, gotówbym postawić na zakład, że nie innego, tylko po prostu przyjaźń była między niemi. Bo jeżeli istniał jakiś płomyk miłości w sercu dziewczęciem terazniejszej wojewodziny witebskiej, to go pewnie nie wzniecił ani książę Dorohostajski, ani nawet książę Janusz.

— W niebezpieczną stronę brząknąłeś, panie Urielu — odrzekł pan Dawid — niemniej od waszmości umiałem patrzeć na to, co się pod moimi oczami odbywało. Ale jak wiesz, na dworze wielkiego pana ze słuchem tylko rozstawać się nie można, a często trzeba być i ślepym i niemym.

— Co tak to ale — na to pan Korbut — szkoda tylko, że nie zawsze idziesz za tak pięknym zdaniem.

— Ostrożność nigdy nie zaszkodzi — odpowiedział pan Odyniec. — Ale z nią się nie omijając radbym, żeby pan Uriel wiedział, że jeżeli jest przenikliwy, i mnie przeciw w ciemię nie bito.

— Nie udawalibyście ministrów — wyrwał się pan Mogilnicki. — To, o co potracacie zdaleka, nam wszystkim sługom aż nadto jest wiadome. Dla księcia Janusza była przyjaźń, od kniazia wojewody był wstręt, a serdeczna życzliwość była dla Gaskolda, który drogo to opłacił: bo wedle wszelkiego podobieństwa przedwczesnym zgonem. Albo to było komu upomnieć się o niego? Zwyczajnie sierota jak ja. Nikt nie znał ani jego ojca, ani jego matki, tyle tylko, że pan stolnik Pacyna nas zapewnił, że szlachcie jak my, i że nie powinniśmy go od-

pychać od naszej przyjaźni. My się z początku krzywili na niego; jak tam bądź, a coś było w nim jakby adwenty—bo co wart choć szlachcic, kiedy nie ma krewnych. A potem my wszyscy dobijali się omal że nie o jego łaskę. Bo to mężny jak lew, a łagodny jak baranek. Cóż dziwnego, że go księżniczka mogła pokochać! Ktoby takiego nie kochał? Już to ja w jednej kwaterze z nim więcej pół roku mieszkałem, i nie wstydzę się tego, że choć się wzbraniał, ja mu z serca usługiwałem jakby jakie pacholę, lubo jestem osiadłym szlachcicem. Już trzy lata upłynęło, jak nam zniknął. Pamiętacie koledzy? Księcia pana nie było. W Wilnie układał się z królem Szwedzkim; waszmość, panie Dawidzie, jemu wtedy asystowałeś. A tylko co książę Dorohostajski zaczynał burmistrzować w Birżach. On tu bawił, i my musieli mu być posłuszni. Otóż, coś się straszego zrobiło w zamku. Ale co? tego nikt dokładnie nie wie, a każdy boi się wspomnieć. Dość, że odtąd ludzkie oko nie widziało Gaskolda. A wkrótce potem nasz książę powrócił i odbyły się zrękowiny kniazia z naszą księżniczką. Panie Hieronimie, waszeć mówił, że jakoby księżniczka sama przyzwoliła na ten jój związek tak niestosowny, i ja byłem z wami świadkiem tego przyzwolenia, a jednak nie chciałem być wtedy w jój skórze. Bo że książę sprzątnął naszego poczciwego kolegę, jestem tego tak pewny, jak że widzę was przed sobą.

— A co to waszeć oszala! — fuknął pan Korbut. — Wykierowałeś nas z pieca na łeb, panie Urielu, naprowadzając dyskurs na to, czego nam ani mówić, ani nawet o tém słyszeć się nie godzi. Bezpieczniej wyrwać się z życzliwością dla Jana Kazimierza, niż o takich rzeczach mówić. A żeby, broń Boże, to doszło do uszów kniazia? albo to on za górami siedzi? dziś, jutro, może pokazać się w Birżach. Co waszmość myślisz? narazić się takiemu panu, to nie przelewki?

Zmieształ się pan Maciej i odszedł przypatrywać się maryaszowi. Ale pan Bartłomiej Kupoć zabrał głos.

— Czy my charty, żebyś waszmość nas na smyczy trzymał? Cóżto, nam gadać nie wolno? A najwięcej mię dziwi pan Maciej. Ja przysłuchuję się temu co mówi, a że waszmości ubrzdąło się strachać i siebie i nas, każesz mu milczeć, a on jak żak dyrektora, waszeci posłuchał. Tegobyś się ze mną nie doczekał. Co to waszeć nam masz grozić gniewem kniazia? Ja nienajdawniej będąc na dworze, nic o nim nie wiem, tylko że podkowy łamie i że ma postać leśnego zbójcy. A żebym jakibądź o nim szczegół miał do opowiadania, toby pewnie pan Hieronim od tego mnie nie odstraszył. O ludzie miękkiego serca!

— Panie Bartłomieju, opamiętaj się, toć to nie z naszym bratem sprawa.

— A ja wam powiem otwarcie, że kniazia się nie boję, i chociaż

mówią o nim, że szablą wołowi głowę uciął, dalibóg, jeżeli ze mną zechce się spróbować, to mu nie ustąpię. Albo ja jego chleb jem, że bym się miał troszczyć o to, co mu się podoba lub nie? On kniaź, a ja sobie szlachcic równy jemu w zacności. Ja księciu panu służę z przywiązania, a nie z niewoli, i gdybym go nie kochał, tobym mu nie służył, a i jemu nawet nie zapisałem siebie w poddaństwo. A cóż dopiero kniaziowi! I tak nie wchodząc, czy to się podoba lub nie panu Hieronimowi, oświadczam, że kniaziowi tak szkaradnie z oczu patrzy, że nie ma zbrodni, o którą nie mógłby być posądzony.

Pan Hieronim aż zbladł z gniewu, i byłaby straszna kłótnia się wszczęła, gdyby nie jedna okoliczność.

Pan Romuald Sielawa w tej chwili grał w marysza z panem Kasprem Rupejskim; bronił pulę, ale jej obronić nie zdołał, bo wziął suchę; zerwał się ze stołka, odzywając się głośniejsz niż pan Bartłomiej:

— A to szczęście niepraktykowane u tego człowieka, Pamfil mu zapisał się w poddaństwo. Z kolei nas pięciu oporządził; jeżeli szósty nie pobije go, przepadła pula. Na waszmość kolęj stanąć w jej obronie, panie Bartłomieju. Co mnie tam obchodzić ma, czy Dorohostajski poczciwy lub nie? czy on, czy kto jest kochany od księżniczki? a co to do nas należy kłaść palce między drzwi? Prawdziwie, piątęj klepki wam nie dostaje. Pula, to nasza rzecz! siadaj waszec, a nie miéj nic innego w głowie, tylko karty, które wychodzą. Patrz, co tu srebrników w talerzu; to o dobro publiczne chodzi, żeby to nie dać panu Kasprowi. W waszeci cała nadzieja, panie Bartłomieju. Pula i pula, a bierz djabli wszystko, co jęj jest obce.

Nowy interes wszystkich zajął, wszyscy otoczyli siedzącego już pana Bartłomieja. Tuzy, wyżniki i szóstki wypłoszyły z myśli szlachty książąt, kniaziów i księżniczkę, nawet Jana Kazimierza i jego współzawodnika. Już karty były rozdane, a więc znowu zrobiło się cicho. Wtém dzwonek dał się słyszeć i jeden z książęcych paziów stanął na progu otwartych podwoi, które do książęcych komnat prowadziły, i powiedział:

— Jaśnie oświecone księstwo.

Gracze na te słowa zerwali się od stolika, i wszyscy dworzanie stanęli w porządku; była to godzina, w której zwykle księstwo chodziło na nabożeństwo do kaplicy zamkowej. Tak to się wszystko uciszyło, że niktby nie poznał tych, co dopiero z takim zapalem rozprawiali.

ROZDZIAŁ III.

Książę a z nim i księżna, przechodzili przez salę dworzan do kaplicy zamkowej. Książę, stanąwszy na środku sali, obrócił się do swoich dworzan i powiedział:

— Panowie bracia wyznania ewangelickiego, proszę za sobą.

Odyniec, Petrozolin i inni protestanci poszli za księstwem; katolicy, tak zachodniego jako i wschodniego obrządku, pozostali. Czas jakiś zostali w milczeniu; ale ledwo księstwo z asystencyą swoją zniknęli, pan Romuald Sielawa, który na wszystko był obojętnym, oprócz polowania i maryasza, odezwał się:

— No, przecie mamy czas grać w marysza; zawieśmy przeznaczenie naszej puli, do chwili kiedy się zejdziemy ze wszystkimi naszymi co do niej należą, a rozpoczniemy nową—i odwinąwszy talię kart, którą nosił w kieszeni, pstrygnął dla zachęcenia do gry.

— A dajże waszmość pokój! — na to pan Korbut. — Czy to ich nabożeństwo długie? puli nie skończym, a zabawę nam przerwą. Czy zauważyliście waszmoście, że książę pan nie w najlepszym humorze?

— Wszakże wczoraj odebrał jakąś ekspedycyę — odpowiedział pan Rymsza — widać że w niej musiało być coś niepomyślnego.

— Nie inaczej — odrzekł pan Korbut — bo zaraz po jej odebraniu kazał łowczemu nadwornemu odwołać polowanie, na którym kazał nam służyć; przepadła dzisiejsza zabawa.

— Oj przepadła, przepadła — odezwał się pan Sielawa.— To jakiś feralny dzień, bo ja wiem z doświadczenia, że kiedy umówione polowanie na niczém spełźnie, w dniu tym nic się nie wie; obaczycie, że nawet w maryasza dziś grać nie będziemy. Jednak kiedy książę pan, zapalony myśliwy, od polowania się odrzeka, musi być w tém jakaś wielka tajemnica.

— Którój odkrycie bynajmniej mnie nie obchodzi — odezwał się pan Maciej Mogilnicki. — Kto ma tyle interesów i publicznych i prywatnych na głowie, czy podobieństwo, żeby jaki z nich i nie zafrasował? Gdyby tym wielkim panom wszystko a wszystko szło po myśli zapomnieliby nakoniec o Bogu. A może zwyczajnie chimera z wielkiej rozkoszy, jak to bywa u nich. A komuż chimerować, jeżeli nie takim, którym nikt się nie przeciwi. Niechby-no nasz książę choć parę tygodni ulegał jak nasz brat, każdemu widzimisię pana Pacyny, dopióroby się nauczył, z czego ma się martwić, a co mimo siebie puszcząć. Byłem się dostał tylko do moich Żabiniec, to i ja potrafię chimerować jak magnat.

— A któż o tém wątpi — rzekł pan Rymsza — że nasz pan Ma-

cięż na pana stworzony; wszelkie ma do tego usposobienie, brak mu tylko pańskiego majątku.

— At gadasz, panie Piotrze! Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie, a cóż dopiero na wiosce dziedzicznej? A czy to ja księciu panu przysiągł, że nigdy nie przestanę mu służyć, żebym miał się odzekać od tego, co jest moją własnością? Tylko co nie widać jak podziękuję. Milszy chleb własny choć czarny, niżeli pirog cudzy.

— Przynajmniej że nie tak prędko odstąpisz od naszego koleżeństwa — odrzekł pan Piotr Rymśa.

— A to dlaczego?

— A czy zapomniałeś jakęś dopiero nam dał słowo, że choćby na pańskich pokojach, pierwszemu niekarmazynowemu personatowi, jakiego napotkasz, bez względu na jego dostojęństwo, masz powiedzieć bajkę o kpie. *Verbum nobile debet esse stabile.*

Na te słowa wszyscy przytomni parsknęli od śmiechu, nie zważając na gniew pana Macieja, który odtąd siedział rozdąsany i patrzył przez okno na dziedziniec zamkowy, nie chcąc brać udziału w ich rozmowie.

Nie omylili się dworzanie w domyśle, że jakieś niepomysłne wiadomości przyszły do księcia; w samej rzeczy książę był niespokojny, a jakkolwiek umiał władać sobą, niepokoje jego duszy utaić się nie mogły przed wprawnym wzrokiem przywykłych do niego dworzan. A te najdobitniej zdradzały się w kaplicy. Zauważano, że w czasie nabożeństwa ciągle dobywał godzinnik, i że czego nigdy nie bywało, podczas kiedy uczony Kin wysadzał się ze swoją kaznodziejską wymową, książę zdawał się być roztargnionym, a nawet tak widoczne dawał oznaki zniecierpliwienia, że biedny minister świętej ewangelii przed porą skończył, a raczej urwał swoje kazanie. A książę najśpieszniej wyszedł z kaplicy, nie pozdrowiwszy Kina, jak to było w jego zwyczaju.

Gdy wracał do swoich komnat przez korytarz, napełniony przez oczekujących jego przybycia, a między nimi ujrzał mnóstwo trzymających w rękach supliki, on zamiast ich przyjęcia odezwał się do nich: „Kto ma co do mnie, niech z tém się uda do pana Sulistrowskiego, mojego referendarza“, i poszedł dalej. Dopiero kiedy spostrzegł pana Dominika Haraburdę, dworzanina, na którego roztropności wielce polegał, a który wcisnął się był między innych oczekujących księcia w korytarzu, zatrzymał się na chwilę i powiedział za sobą idącemu z kaplicy panu Odyńcowi: „Mości panie, waść bądź w gotowości z panem Haraburdą, bo będę miał z waszmościami do mówienia“ i już nie zatrzymując się, poszedł wraz z księżną do swojej pracowni, gdzie już na niego czekał pan Jerzy z Konopnicy Grabowski, przed którym nie miał nic tajnego. Nazywano go w Litwie papieżem kalwinów. I w sa-

mój rzeczy, lubo mu wyrzucali Bombizy, że nie lubił słuchać słowa Bożego i że nadto rzadko pokazywał się w kirku, on jednak był duszą ich partyi. A nawet między prawowiernymi jego światło i zręczność były słynne. A związany z księciem marszałkiem i pokrewieństwem i wspólnością wyznania, i nieograniczoną ufnością, jaką był pozyskał u niego, był podrzędną, a jednak jedną z najważniejszych figur owego okresu naszych dziejów.

Książę Bogusław był pan wspaniałomyślny; wszystkie jego uczucia były szlachetne. Wychowany w Genewie, owém ognisku protestantyzmu, do niepospolitego zapasu wiadomości świeckich łączył, jak-to wówczas nierzadko było między panami, głębokie nauki teologiczne, jakkolwiek w obcém źródle czerpane. On nie uważał protestantyzmu jako narzędzie polityczne, ale szczerze i sumiennie był do niego przywiązany, i w najlepszej wierze podzielał wszystkie przesady swoich helweckich współwierców przeciwko starymu wyznaniu. Ale jeżeli opinie teologiczne Genewy znalazły w nim zwolennika więcej niż gorliwego, wyobrażenia i obyczaje demokratyczne tego grodu najmniejszego wpływu na nim nie wywarły. Przeciwnie, był z niego typ możnowładczy; dumę krwi, cnoty, a nawet przesady swojej kasty posuwał aż do fanatyzmu, a do tego popędliwość jego była tak gwałtowna, że jej wybuchów nie wstrzymać nie mogło. Pycha i popędliwość obojętniły często i to wysokie światło, i te niezaprzeczone cnoty, któremi Bóg go obdarzył. Jego słudzy i klienci byli do niego przywiązani, bo wiedzieli dobrze, że nie opierając się jego wybuchom, po ich przejściu wszystko na nim wymódz potrafią. On też z niemi tylko był poufały. Ale dla obcych przystęp jego był trudny, zwłaszcza kiedy obcował z nienależącym ani do jego krwi, ani do jego partyi, a ten mógł się jemu równać czy urodzeniem czy stopniem. Po kilkakrotnie był się naraził królowi Szwedzkiemu lekceważeniem jego hetmanów i zuchwałością, jakiej się czasem względem niego samego dopuszczał. I tak, kiedy król ofiarował przez swojego kanclerza dowództwo pułku szwedzkiego dla jego syna, księcia Olbrachta, zaledwo z dzieciństwa wyszłego a bawiącego w Manheimie, książę Bogusław odpowiedział kanclerzowi, że Radziwiłłowie są przywykli mieć zagranicznych pułkowników w swoich usługach, a nie pułkownikować sami po zagranicznych wojskach. A czém się królowi najwięcej naraził, to, że kiedy Janusz Sapieha, starosta Mozyrski, najstateczniejszy stronnik Jana Kazimierza, a który po zniszczeniu swoich zamków przez Szwedów niewiadomo gdzie się ukrywał, swoją młodą i piękną żonę Elżbietę Chodkiewiczównę oddał w opiekę księciu Bogusławowi—ten nie tylko że ją przyjął i utrzymywał w swoim zamku Birzańskim, ale nawet, lubo sam podpisał wyrok skazujący Sapiehę na banicję i utratę majątku, nie dopuścił rządowi jego dóbr zająć, i wszystkie dobra

Sapieżyńskie *via facti* objął w swój zarząd, pod pozorem, że pani starościna Mozyrska, której był opiekunem, była na nich dożywnią i oprawną panią. Takowe postęпки nie mogły nie obrażać króla Szwedzkiego, ile że podejrywał księcia, iż jemu się marzyła udzieleność księztwa Litewskiego dla swojego domu. Z tém wszystkiém te kwasy wewnątrznie piastowane, na wierzech nie wychodziły. Książę zawsze okazywał się stronnikiem króla, a król jemu nie przestawał okazywać największej ufności; ale ci co do nich więcéj byli zbliżeni, przewidywali, że ich związek lada okoliczność zerwać może.

Księżna marszałkowa, jego małżonka, księżniczka falegrafianka z domu, a córka panującego księcia, wniosła mu i wielkie dostatki i najrzadsze cnoty. Była to pani dumna, ale nie tyle ze świetności krwi własnej, ile z blasku, jaki w jój przekonaniu rozsiewał na nią jój dostojny małżonek. W nim albowiem widziała urzeczywistnienie ideału wszelkich cnót i wszelkich doskonałości. Każde jego słowo, omal że nie każde skinienie, były dla niej wyrocznią. Książę ją téż wysoko cenił, a lubo natura odmówiła jój była tych powierzchownych wdzięków, któremi płeć piękna zniewala, nigdy małżeńskiej wiary jój nie złamał i nieograniczoną ufność pokładał w jój rozsądku. Na niej opierał się zarząd zamku i księztwa Birżańskiego, niemniej innych szerokich dziedzictw, które jój małżonek odziedziczył po wielkich przodkach, i licznych królewszczyzn, jakie sobie wysłużył; ona go zaś sprawowała z przepychem księżniczki krwi panującej, a razem z oszczędnością gospodyni niemieckiej. To pewna, że bez jój przezornej opieki majątek Radziwiłłowski acz ogromny, nigdyby nie zdołał wytrzymać niesłychanych wydatków, jakie się na niego zwały, odkąd jego właściciel stanął na czele partyi szwedzkiej, która, można śmiało powiedzieć, cała żyła na jego kosze. Księżna z heroizmem matki i żony oddała się najdrobniejszym szczegółom gospodarstwa. Sama rachunki trzymała ze wszystkich oficyalistów, i zadziwiała ich trafnością, nie tylko w oszacowaniu ich wartości, ale nawet pomysłami swojemi, bądź do utworzenia nowych przychodów, bądź do pomnożenia istniejących. Nadto wysoko urodzona i wykwiłtnie wychowana, ażeby się miała unosić w gniewie aż do skażenia ust jakimś obelżywym wyrazem dla sługi, zwłaszcza szlacheckiego stanu, samą powagą swoją wzniecała w duszy ich wszystkich obawę pełną uszanowania, od jakiej sam książę nie był zupełnie swobodny. Często powtarzał: „w mojej żonie mam skarb chodzący“, i lubo w rzeczach publicznych zdawał się być nieugiętym w raz powziętém przekonaniu, przecie i tu nawet często ulegał wpływom, jakie nad nim umiała pozyskać.

I tak lubo książę nie był od tego, żeby jego jedynak, idąc w ślady swoich przodków, wślawił się na gruncie ojczystym w rzemiośle rycerskiém, księżna troskliwa o jego zdrowie wymogła na nim, że go

schronił w obcej ziemi, dopóki we własnej wszystko się nie uspokoi. Powtóre książę był fanatycznie przywiązany do wyznania, w którym był wychowany, a tém samém nienawidził obrządków Rzymskiego Kościoła; jednak pozwolił wynieść na dziedzińcu zamkowym kaplicę dla sług i przyjaciół swego domu, którzy się staréj wiary trzymali, a to na instancję księżną, gdyż ona, jakkolwiek gorliwa protestantka, nie podzielała wszystkich uprzedzeń swoich współwierców przeciwko wyznawcom téj wiary, która ich ojców wychowała. Okazałość obrzędów katolickich przemawiała do jéj serca. Porównywała pomimowolnie ich poetyczność z prozaiczną oschłością kalwinizmu, a to porównanie nie było korzystném dla ostatniego.

Ta dobra i cnotliwa pani cieszyła się wielkością swojego małżonka i przywiązaniem wszystkiego tego, co ją otaczało. Dwa tylko smutne uczucia zamącały spokojność jéj duszy. Jedném było oddalenie jéj syna, drugie z powodu postanowienia jéj córki. Bo lubo księżniczka sama zezwoliła na swoje zamężcie, a książę miał wielki szacunek dla kniazia Dorohostajskiego, jednak ostrzeżona zmyślnością serca macierzyńskiego nie mogła wierzyć w szczęście córki. Żadna skarga nigdy nie wyszła z ust Eleonory na przykrości jéj losu; kniaz jéj okazywał zawsze największe uszanowanie, w niczém nie zdawał się sprzeciwiać jéj woli; jednak to pewna, że jakieś smutki musiały ją tajemnie dręczyć. Zamiast jéj dawnéj wesołości było coś w niéj wymuszonego; rzadko kiedy uśmiech szczerzy rozjaśniał nadobność jéj liców. I za każdym jéj przybyciem do rodzicielskiego domu, znaki skrytéj tęsknoty zdawały się powiększać. Księżna to aż nadto dobrze widziała, a przyczyny nie umiała dociec. Ale co jeszcze więcej ją niepokoiło, to że od więcéj niż dwóch lat żadnéj pewnéj wiadomości nie miała od syna. Od dawnego czasu żaden list od niego do niéj nie doszedł. W ostatnim, przed dwoma laty pisanym, oznajmił rodzicom, że dla skończenia wychowania, stosownie do woli ojca jedzie do Anglii. Odtąd w głuchém zostawał milczeniu, nie tylko on, ale nawet przydany jemu za nadzorcę uczony Oldenkopf, który wprzód co miesiąc zawsze w obszernym liście donosił księztwu o postępach ich jedynaka w wiadomościach z książek czerpanych i w nauce żywotnéj, obcowaniem z ludźmi nabytéj. Czasem odbierała listy od swojego brata, księcia Falcgrabi, w których jéj donosił o powodzeniach księcia Olbrachta u dworu i w wyższym towarzystwie angielskiém, ale jako o rzeczach słyszanych. A lubo w owym czasie jeszcze nie były jak teraz, ułatwione stosunki między ludźmi oddzielonemi od siebie i obszernemi państwami i morzami, jednak niespokojność księżny tak była wielka, iż postanowiła wyprawić jakiegoś zaufanego dworzanina do Anglii, żeby się upewnił o pobycie w niéj syna i pewne o nim wiadomości jéj przywiózł.

Książę z księżną weszli do gabinetu, gdzie na nich już czekał pan Jerzy Grabowski przy kantorku; już rozbierał papiery od dawna, bo jako się wyżej powiedziało, rzadko kiedy pokazywał się na nabożeństwie. Było tylko ich troje: on, księżna usadowiona w krześle z robotą w rękę i książę, który szerokim krokiem mierzył gabinet, przechodząc od jednego do drugiego węgła, co było u niego w zwyczaju, ile razy był silnie poruszony. Księżna i pan Grabowski siedzieli milcząc; książę tylko się odzywał.

— To co zawsze przewidywałem, już zaczyna się spełniać. Nie mam sobie nic do wyrzucenia, bo nie przestawałem ostrzegać króla Szwedzkiego, że pokąd bezkrólewie ogłoszone nie będzie, a sejm konwokacyjny nie przywoła szlachty do obioru nowego króla, posłuszeństwo stronników Jana Kazimierza królowi Szwedzkemu będzie tylko pozorne. Radziłem królowi, żeby panów znanych z jawnej zyczliwości dla króla tułacza, jako Rewerę Potockiego, Jerzego Lubomirskiego, Stanisława Lanckorońskiego, zawsze miał na oku i przywabił ich do swojego obozu, a nie pozwalał im siedzieć w ich zamkach. Król, zadufany w swoich Szwedach, a obalamucony przez Gąsiewskiego, który mu wmawia, że ja pragnę dla siebie oderwać Litwę od ciała rzezypospolitój, żadnej mojej rady nie usłuchał i doczekał się, że mu zle dogrzało na biedę. Już nie z małemi oddziałami partyzantów, ale z licznymi i uporządkowanymi hufcami przychodzi do walki. Po dobyciu Krakowa, myślano że Stefan Czarniecki uciekł za granicę, i że dotąd po niej się tuła, a wczoraj doszła do mnie wiadomość, że on na czele szlachty województwa Ruskiego i nadworniej milicyi Rewery Potockiego porządnie otrzepał Karolsona, dzieciaka bez doświadczenia, a któremu król powierzył straż Rusi dlatego tylko, że jest jego synem. Z garścią niedobitków umknął, o mały włos sam się nie dostał w niewolę. Król Szwedzki klóci się z Brandeburczykiem o Prusy, a tymczasem traci całą Małopolskę. Na wołowej skórze nie zapisać klęsk, o których dokładną wiadomość wczoraj do mnie przysłano. Waszmość, mości panie Jerzy, to wszystko miałeś czas odczytać. A to sądny dzień! Pod okiem przecie tego niedołęgi Karolsona liczna szlachta i wielu panów zebrała się na odpust do Tyszowca. Panowie z milicyami, szlachta uzbrojona jak zawsze, a z niemi słudzy, ile kto ich miał. Wszak wiecie, co to odpust dla papieżników. Żywój duszy w domu nie zatrzymasz, wszystko się do niego tłoczy. Bo jakże nie pójść człowiekowi tam, gdzie choćby nie wiedzieć jak przez cały rok nabroił, rachunek z Bogiem się rozdziera, i każdy wraca do domu czysty jak bursztyn? Omal że nie cała Małopolska wzięła do Tyszowca na odpust, a Szweda ani jednego. Tyle tylko, że małe ich posterunki stały od wszystkich traktów i dróg, żeby szelągne pobierać dla siebie od tych, co dążyli na nabożeństwo. Nawet téj ostrożności nie zacho-

wali, żeby wymagać od nich zostawienia broni przy rogatkach. Bo już się szablą na nie się nie przyda modlitwie. Wszakże nawet tych rozbójników, co w imię Jana Kazimierza napadają na szlacheckie domy, i miasteczka rabują, było mnóstwo w Tyszowcu, a omal że nie wszyscy hersztowie tych hultaj. Wszystko to można było pochwytać bezbronnym, gdyby posłuszeństwo nie było przy tym gapiu, który z wojskiem swoim stał jak nieżywy o dwie mile ztamtąd. A tak szlachta bez przeszkody po skończonem nabożeństwie poszła do proboszcza, kto do izby, kto na dziedzińcu, gdzie już kufy gorzałki i miodu panowie sporządzili dla jój traktamentu. Po pijanemu spisano akt konfederacyi, marszałkiem ogłoszono Charłęskiego, starca, dlatego że ma wiele wziętości u szlachty. Znalazł się tam i Jerzy Lubomirski i Stefan Czarniecki na regimentarzędów gotowych. Lubomirski udał się ku Karpatom dla rozszerzenia konfederacyi. Proboszcz przyjął przysięgę wierności i posłuszeństwa dla konfederacyi, a Czarniecki z pijaną szlachtą na koń, obces na Szwedów o dwie mil leżących w obozie, zupełnie nieprzygotowanych. I dopiero się wytrzeźwiła, kiedy Szwedów na drobne jabłko rozbiła. Pewny jestem, że lada chwila od Częstochowy odstąpią Szwedzi; dopiero narobi się kaszy w Wielkiej Polsce. Król Szwedzki zawsze mimo siebie puszczal moje rady, dopiero teraz, kiedy może jest za późno, przypomniał sobie że Radziwiłł żyje; wczoraj odebrałem jego pismo, w którym sam o tém wszystkim mi donosi i przywołuje mię do Warszawy, do której sam dąży.

— I cóż Jegomość myślisz czynić? — zapytała księżna.

— A cóż! jutro wyjeżdżamy do Warszawy; jestem obowiązany królowi Szwedzkiemu, i nie mi nie pozostaje, jak tylko jednoczyć mój los z jego dołą. Moja rzecz wiernie mu radzić, walczyć za jego sprawę i ufać w Boga. Wszakże sprawa króla Szwedzkiego jest sprawą Boga i jego wiary. Czy Jójmość myślisz, że gdyby ten jezuita Jan Kazimierz broń Boże powrócił do Polski, onby nam pozwolił modlić się po naszymu? Dom Wazów, który Szwecyą wyzwolił z zabobonów porządku rzymskiego, w Polsce zawsze był jego zapalonym poplecznikiem. On to w narodzie, zawsze słynnym z wyrozumiałości dla wszelkich przekonań religijnych, umiał zaszczerpić fanatyzm i wściekłą nienawiść dla różnowierców, a z wszystkich Wazów Jan Kazimierz w tym względzie jest najniegodziwszym.

— Ale mości książe, on ma miłość w narodzie.

— I cóż ztąd, że ślepy ślepych będzie prowadził? Ani przypuszczam do myśli, żeby ciemnota mogła przemódz światło wschodzące na nasz naród od czasów ostatnich Jagiellonów. Prawdziwie pospołu i litować się i złościć trzeba nad tém zaślepieniem naszej szlachty, która brzydzi się porządkiem i ukształceniem, a bezrząd i barbarzyństwo ochrzciewszy nazwiskiem wolności, zatyka sobie uszy, żeby głosu

...myśleć nie chce, a idzie jak do mnie, nie mam sobie nic do powiedzenia. Kazimierza zawsze uważałem jako wiernego. Zdrowia mojego nie szkodał, a nie szkodał jemu wywiązywałem się, kiedy królestwo opuścił, a nie dając od jednego do drugiego wagi. I lubo mogę mieć przy sobie silne pomocniki, jednakże nie mam zaufania. Ten wypadek wyprowadził doświadczonego, księcia Jerzego Lubomirskiego? mam sobie nie do powiedzenia. domowe nie rozrywają krwi związków. Kto przewidzi, co się porozumie z księciem Jerzym, jakaś drogą do zgody, jeżeliby okoliczności były takie, które by jej szukały. zacięty fanatyk nigdy mi nie odpuści. wiary pozyskałbym jego przebaczenie. wróciła władza, mieczem i ogniem będzie użył tego nie dawał dowodów? o królu. kobietą, nie wierzysz w złość ludzką i w kastronę radabyś upatryła. A czy mało klęsk było od tego domu? A czy to pierwszy raz Szwedzi? Wszakże ojciec Jana Kazimierza, poświęcając nasze sprawy, pierwszy wywołał Szwedów; nasze Intencje, wyniosłość Zygmunta. A kto nas wpłatał, która nigdy nie chciała z nami zrywać związków? Albo ta Ruś, tak przywiązana do tronu osadzić? Albo ta Ruś, tak przywiązana do tronu, tak nierozzerwanym węzłem spokojna z Polską, teraz imię polskie jest znienawidzone w całym narodzie? Albo ta Ruś, która nigdy nie chciała z nami zrywać związków, która nigdy nie chciała z nami zrywać związków, która nigdy nie chciała z nami zrywać związków? Nie jest w obyczaju moim stawić jakiegokolwiek zdanie przeciwko Jęgomosci, ale jako upoważniona od niego samego do dania rady, ośmielam się przełożyć to, co z własnych jego ust niejednokrotnie wyszło, że myśl o zgodzie bynajmniej szkody nie przynosi

w prowadzeniu wojny. Pozwól Jegomości panu Grabowskiemu odezwać się w tym względzie. Wszakże Jegomości mu przyznałeś, że ci nigdy nie dał złej rady. Powiedzże, panie Grabowski, czy to jest od rzeczy zbliżyć się do księcia Jerzego, a nawet nie zbliżyć się, tylko przypomnieć mu zawsze trwające związki między nim a księciem?

— I owszem, księżna wedle mnie najzbawienniejszą dajesz radę—odpowiedział pan Grabowski.—Wszakże ksiązę Jerzy zapomnieć nie mógł, że nasz ksiązę wyjednał mu od króla Szwedzkiego pozwolenie mieszkania w swoich dobrach, i pewnie równą szczerością będzie się starał jemu wywzajemnić.

— Czyż dla jednej przegranej, już macie wszystko za stracone?— odrzekł ksiązę.—Udało się pochwycić Karolsona, już przyjaciele Jana Kazimierza marzą dla niego nie tylko powrót do Polski, ale może nawet że Szwecya odda mu pierwszeństwo! Litwa trzyma statecznie za Szwedem, Ukraina z Jurkiem Chmielnickim zawsze uzbrojona, Rakoczy nie zasypia, a jak przyjdzie konfederatom mierzyć się samym z królem Szwedzkim? Nie, nie, daleko jeszcze do powrotu Jana Kazimierza; bezpieczniej mu siedzieć w swoim księstwie pod opieką Rakuzkiego domu.

— Nie ma wątpliwości — odrzekł pan Grabowski — że burda Tyszowiecka niewiele pomoże królowi Janowi Kazimierzowi do jego interesów w Polsce. Naszym nie trudno bitwy wygrywać; ale żeby z nich umieć korzystać, tego się nigdy nie nauczą. I przyznam się waszj książęcj mości, że podróż królowj do Wiednia i jój stosunki z dworem francuzkim, z którym jest skoligaconą, więcj niespokojności we mnie pobudza, niż to, że ksiązę Jerzy i pan Rewera przeciwko nam się oświadczyli. Ale czy oni się rozsypią wraz ze swoją hałastrą, czy górę wezmą nad nami, zawsze jest dobrze wyprawić kogoś pewnego do księcia Jerzego, choćby tylko dla wyrozumienia, co tóż oni myślą zrobić z nami, jeżeliby jakimś cudem pozbyli się Szwedów i ich sprzymierzeńców.

— Masz słuszność za sobą, panie Jerzy, i przekonałeś mnie. Chciałem wyprawić do pani wojewodziny Witebskiej, naszej córki, Dawida Odynica z listem naszym, zalecającym jój, żeby natychmiast swój Dolsk opuściła, a udała się do Warszawy prosto, gdzie my się z nią zjedziemy. Ale teraz to postanowienie moje odmieniam w ten sposób, żeby Odyniec, któremu można dodać i drugiego mojego sługę, jutro jechał szukać księcia Lubomirskiego, chociażby między górami Karpatu, i oddał mu list mój własnoręczny. On młody, zręczny, do tego kunsztmistrz, dobrze mi się sprawi, a Haraburdę wyprawię do Dolska, żeby mi odwiózł córkę wojewodziny do Warszawy. Ona nieboga zamknięta w obronnym zamku, bez męża, bo ten stał na pograniczu województwa Ruskiego od Wołynia, i Bóg wie w którą stronę

wypadki go zaniósł. To darmo, naszój córki narażać się nie godzi na obłęzenie; a kto przewidzi co się stać może?

— Ale mości księżę — odezwała się z pośpiechem księżna — jeżeli poruszenia zaczynają się w kraju, czy nie będzie bezpieczniej dla naszój Eleonory być po za wałami, niżeli przebywając bory litewskie i gościńce polskie?

— Nie ma się czego obawiać dla niój; między Dolskiem a Wisłą wszystko co żyje jest nam posłuszne. Mości panie Grabowski, jutro wyjeżdżamy do Warszawy; na waszmości się spuszczam, że moje zlecenia dopełnione zostaną. Moja chorągiew ussarska i wierni Tatarowie mojej straży będą nas glejtować w podróży. Zamek Birżański z załogą, oraz zarząd całego księstwa poruczam panu stolnikowi Pacynie, i we wszystkiém polegam na jego rozsądku, bo wiem z doświadczenia, że na nim się nie zawiodę. Pan Hieronim Korbut będzie miał zwierzchność nad moim glejtem. Zostawisz na piśmie zalecenia Pacynie, żeby naglił wszystkich podstarościch księstwa Birżańskiego, żeby ile możności dostarczali żywności do zamku. Bo ani pozostałej załozdze, ani żonom i dzieciom szlachty, która się poruczyła mojej opiece, i téj która później schroni się do mojego zamku, na niczém zbywać nie powinno. Stosownie do obyczaju Radziwiłłowskiego, nasze zamki i nasz chleb są na usługi każdój szlacheckiej rodziny, potrzebującej przytułku. Nie trzeba zanadto osłabiać załogi, i nad kilkunastu sług ze szlacheckiego stanu więcej nie chcę mieć z sobą, a księżna ich spis ułoży. A jak się obaczę z królem Szwedzkim, uproszę go, żeby przez swoje poselstwo po zagranicznych dworach dośledził, gdzie nasz syn się obraca, bo prawdziwie frasować się potrzeba nad jego tak długim milczeniem. Doszły aż do naszych uszów wieści, jakoby nasz Olbracht miał się pokazać na dworze Jana Kazimierza na Szlązku, pod przybraném nazwiskiem. Tego przypuścić nie mogę; a jednak rzecz dziwna, w ekspedycyi wczoraj przysłanej do króla Szwedzkiego jest list do mnie od Oxenstierna, w którém donosi, że jeden młodzieniec przybył do Jana Kazimierza, że miał z nim dwugodzinną naradę, do której tylko królowa świeżo przybyła z Wiednia była przypuszczoną, i że po odbytej konferencyi siadł na konia, i z jednym tylko towarzyszem podróży, z którym i przybył, nazad wrócił do Polski, zkąd był wyruszył. Dośledzono, że po domach szlacheckich były dla nich dwóch przygotowane konie, tak, że gdzie stanęli, tyle się tylko zatrzymywali, ile czasu było potrzeba, żeby się przesiąść. Jakim sposobem przybyli, takim powrócili; dopiéro w okolicach Sandomierza ich ślad zatartym został, jakby w wodę wpadli. Jednak to szalone zdrowie blisko sześćdziesiąt godzin cwałem lecieć bez spoczynku! Spostrzeżono, że król przy pożegnaniu ścisnął tego młodzieńca w swoich objęciach, a królowa dała mu rękę do pocałowania, zkąd wniosek oczywisty, że młodzie-

niec musiał być wysokiego rodu. Oxenstiern dodaje, że ma wielkie powody do wierzenia, że to jest syn nasz Olbracht. Ale to być nie może. Raz, że z Polski przybył i musiał być w niej zasiedziały, kiedy od komina do komina miał poszlacheckie przygotowane konie, a jego tak długi pobyt w tutejszym kraju utaićby się nie dał; powtóre że prędzejbym uwierzył śmierci jedynaka, niżbym przypuścił, że jaki Radziwiłł linii Birzańskiej, przewodniczącej protestantom tych trzech narodów z jakich się składa rzeczpospolita, może sprzyjać domowi Wazów i nie wiem co z dwojga więcejby mnie mogło zasmucić.

— Co też Jegomość wyrzekłes — przerwała księżna z pośpiechem, — Olbracht, nasz jedynak, nadzieja nasza, zaszczyt krwi Radziwiłłów, żeby jakiegokolwiek nieszczęście mogło się równać z jego śmiercią! Wnioski Oxenstierna rażą Jegomości, a ja owszem z radością je chwytam, jak tonący za brzytwę; ja lgnę do nich, pieczę się niemi, wszelką do nich przykładając wiarę. Tak przebiegły człowiek, jak stary Oxenstiern, płonnym wieściom nie dałby się uwodzić. To co pisze, musi być prawdą. Od więcej dwóch lat, pierwszy raz doświadczam chwili pełnej radości.

— Jak-to? — odezwał się Grabowski — księżna pani mogłaby przenieść, żeby jój godny syn miał stanąć w szeregach nieprzyjaciół swego dostojnego ojca, jego wiary?

— Panie Grabowski, waszmość tu niemasz głosu, bo nigdy nie byłeś ojcem, a jakżebyś rozumiał serce matki? Byłoby to zapewne nieszczęściem, niestety, aż nadto często powtarzającem się w wojnach domowych, żeby ojciec i syn walczyli z sobą w przeciwnych szeregach, jednak wszystkie synowi chętnie odpuszczę, bylebym tylko mogła go w zdrowiu przycisnąć do łona.

— Daj pokój, Grabowski — odrzekł książę — kobiety nie przeszez. U niej cała rzecz, ażeby syn był w zdrowiu, niech sobie trzyma z Janem Kazimierzem, niech zostanie papieżnikiem... mniejsza dla niej. Byle żył, niech się i plami hańbą, niech go mają za podłego.

— Podłego? mości książę, chociażby Olbracht popierał sprawę Jana Kazimierza, jakkolwiek toby mi było przykro, przecie w tém nie widzę podłości. Wszak aż do najścia Szwedów nikt mu nie zaprzeczał prawości. A różność wierzeń religijnych między królem a poddanymi tój prawości nie obala. Musi to czuć sam król Szwedzki, kiedy pomimo tylu nalegań, nie chce się ogłaszać królem Polskim. Zresztą jestem żoną, obowiązana do posłuszeństwa mężowi, i nie moja rzecz roztrząsać zasady polityczne rozdierające naród, który jest moim narodem, ale pozwólcie matce cieszyć się nadzieją, że jój syn żyje, i być obojętną na to wszystko, co wprost nie dotyczy się jego zdrowia.

Książę się zamyślił, widać było, że w nim toczyła się walka wewnętrzna między czułością ojca a nieugiętością wodza potężnego stronnictwa. Nakoniec przerwał milczenie temi słowy:

— Droga Jéjmość, mój skarbie chodzący, nie pora jeszcze takie walki wytrzymywać. To być nie może, żeby ten młodzieniec miał być naszym Olbrachtem. Pocziwy Oldenkopf nie tak go wychował, żeby bez opowiedzenia się rodzicom miał sobą rozrządzać. Powtóre, samiśmy się turbowali, że go od dzieciństwa natura nie taką obdarzyła siłą, żeby doczekawszy się lat dwudziestu, mógł więcej dwóch dni przepędzić konno, ciągle cwałem lecąc, czego nie lada Tatar-by dokazał.

— Ach Jegomość, nie mów mi, że to nie on; ja nie chcę tego sły-
szć; to on, albo już nie żyje.

— To nie on, ale najmniej szej nie mam wątpliwości że żyje. Radziwiłł nie charłak, którego życie i śmierć są ukryte przed światem. Oczy oczów są na niego zawsze obrócone; widzisz Jéjmość, jak każdy jego krok jest śledzony, Żeby jego nie stało, gruchnęłoby to po całym świecie; wszakże to krew omal że nie wszystkich panujących. Uspokój się Jéjmość i zaniechaj i niepotrzebnych smutków i niewłaściwych radości, a zajmij się przez dziś, żeby na jutro wszystko było gotowe do naszego wyjazdu. A jak będziemy w Warszawie, o wszystkim i prędzej i dokładniej się dowiemy. Panie Grabowski, waszmość pomagaj księżnie, i oprócz tego masz wiele na swoim karku. A ja trochę sam zostanę. Ale, ale, proszę waszmości, żebyś do mnie przysłał Haraburdę i Odyńca.

Książę nie długo czekał na dworzan; obaj byli niedaleko, oczekując jego rozkazów. Skoro weszli, książę rzekł:

— Mości panie Haraburda, postanowiłem z księżną i częścią mego dworu udać się do Warszawy, żeby być bliżej wypadków, które w naszym kraju wydarzyć się mogą. A waszmości wyprawiam do Dolska z listami, które przed wieczorem odbierzesz. Te listy wręczysz naszej córce, pani wojewodzynie Witebskiej. Ona po ich przeczytaniu, stosując się do mojej woli, jak najspieszniej wyjedzie do Warszawy, żeby tam ze mną się zjechać. Powierzam ją waszmości, żebyś w ciągu tej podróży o krok jój nie odstąpił. Na całej Litwie ja jeden daję rozkazy i nie spodziewam się, żeby jakiegokolwiek niebezpieczeństwo mogło ją spotkać w tej podróży; wszakże ostrożnego Pan Bóg strzeże. A więc waszmość złożysz mój rozkaz, wydany dowódcy załogi naszego zięcia, żeby we wszystkim był waszmości posłusznym. Zażądasz od niego, żeby trzydzieści konnych dworskich żołnierzy dał dla glejtu pani wojewodziny; sam ich wybierzesz, żeby w każdym razie na nich można było się spuścić; w tém się zdaję na waszmości doświadczenie. Będziesz niemi dowodził, i aż nadto jestem pewny, że

gdybym nawet, czego zdaje się nie mam potrzeby obawiać się, jaki oddział nieprzyjacielski, odważył się napastować naszą córkę, krwi swojej żałować nie będziesz i napaść odeprzesz ze szkodą napastników, a ją samą w całości do nas doprowadzisz. To wszystko zalecam waszmości pod łaską moją. A szczególnie zalecam, żebyś w glejcie wojewodziny miał jak najwięcej Kozaków. Jest-to lud waleczny, wierny, tegoż samego co i waszmość wyznania, łatwo się z nimi porozumiesz. Ale nie, nie ma potrzeby rozszerzać się z tak roztropnym mężem; mądrzej głowie dość dwie słowie. Ruszajże waszmość teraz do naszego krewnego Grabowskiego, a on waszmości wyprawi, tak jak się należy. A jeszcze dzień dzisiejszy przepędzamy z sobą.

Pan Dominik niziuteńko się ukłonił, i zostawił księcia z panem Odyńcem.

Jak zostali sami, książę do niego:

— No, mości panie Dawidzie, teraz na waści kolój. Kto wie, czy Haraburdy szabla nie będzie jeszcze w robocie, co nie daj Boże, chociaż szabla w jego rękę nielada broń. Waszmości na co innego przeznaczam. Waści lutnia teraz przydatniejsza od szabli, lubo wiem, że w potrzebie umiesz się i z szablą obchodzić.

— I szabla moja i lutnia zarówno są na rozkazy Waszj Książęcj Mości.

— O tém nie wątpię. Ale w tém co waści poruczę, rozum i zręczność potrzebniejsze od siły. Z lutnią i śpiewem tam przedrzeć się można, gdzie oręż byłby bezsilny. I w tym względzie niejednokrotnie waści doświadczyłem, i nigdy nie miałem powodu tego żałować. Jutro o świcie waś wyjedziesz na wózku z Birzów i weźmiesz z sobą lutnię. I puścisz się w świat szeroki, po którym będziesz się błakał, dopóki nie znajdziesz na nim księcia Jerzego Lubomirskiego. Chciałem waści dać list do niego, ale opatrzywszy się, powziąłem przekonanie, że z tego żadnego nie może być pożytku, a gdzie nie ma pożytku, rychło następuje i szkoda! Jesteśmy wszyscy śmiertelni, mości panie Dawidzie. Słowa lecą jak ptaszki i giną w powietrzu, ale pisma nie umierają. Waszmość rozumiesz co chcę powiedzieć.

— Jakże nie, książę panie! Na co pióra, kiedy język może być tłumaczem myśli?

— Nie inaczej; cieszę się że waści mnie pojąłeś. Wiem, że nie jesteś nieżyczliwym królowi Janowi Kazimierzowi, chociaż posiadasz zaufanie tego, którego on uważa za najzaciętszego swego przeciwnika.

— Upraszam Waszą Książęcą Mość o litość dla szlacheckiej sławy; byłem i jestem sługą księcia pana, i póki nim będę, mojej wierności nie puszcę w poniewierkę. Należąc do czeladki Radziwiłłowskićj, innćj partyi nie znam tylko tę, którćj głową jest mój pan, i z przeciwną jemu pewno się nie znoszę.

— Dobrze mówisz, chłopcze, i gdybym wątpił o twojej wierności, nie otwierałbym się tobie z taką ufnością; skłonność skłonnością, a wierność wiernością. Nie o to rzecz idzie. Właśnie dlatego, że masz pociąg do partyi przeciwnój, najskuteczniej możesz mi usłużyć, bo łatwiej będzie tobie niż komu innemu tamtych wyrozumić. Posłuchaj! Żyjemy w czasach trudnych, w niezgodach, w rozbięciu obywatelstwa na partye sobie przeciwne. Wojny domowe rzadko kiedy są przerywane, bo nie mamy głowy z rękoma dość silnemi, żeby jedność zachować w narodzie i utrzymać wszystkich w karbach posłuszeństwa. Nie mamy już tych cnót naszych naddziadów, dla których prawa nasze były dostateczne. Bez cnót, chcemy cieszyć się wolnością, a rzeczywistość nasza wolność jest swawolą. Rzucamy się w stronnictwa, jedni dla dogodzenia widokom osobistym, drudzy na oślep, bo mając przeświadczenie swojej słabości, dla własnego bezpieczeństwa tulą się do jakiejś siły, któraby ich broniła od napaści. Ale są i tacy, którzy się mają oręża w przekonaniu, iż wydzwignąć tém mogą ojczyznę. W tój liczbie się mieszczę, i sumienie przynosi mi świadectwo, że jeżeli stanąłem na czele tój części narodu, która się związała z królem Szwedzkim, to nie dla innój przyczyny, tylko że on jeden jest dość silnym, aby z czasem zjednoczyć moich rodaków węzłem posłuszeństwa dla trwałego rządu, zabezpieczającego pomyślność ogółu, a spokojność każdego w szczególności. Robi się co można. Ale jeżeli szczęście ma nas zawieść, jeżeli naród tak dalece zamiłowany w swoim nierządzie, że się rzuci w objęcia tych, co pod pozorem wierności dla prawego króla wszelkie usiłowania obracają ku temu, by ten nierząd utrwalić w Polsce, cóż mi pozostaje, jeżeli nie szukać zgody z temi, którym się uda otrzymać zaufanie obłąkanego narodu? Bo jużci, lubo szczerze sprzyjam królowi Szwedzkemu, nie jestem jego bezwarunkowym stronnikiem, ani jego poddanym. Otoż właści posłałam do księcia Jerzego, żebyś wyrozumiął, co tamta strona myśli z nami zrobić, jak się upewni że los jój sprzyja? I tu z pełnym zaufaniem powierzam waszności to ważne poselstwo.

— Czyż już tak dalece pogorszyły się interesa króla Szwedzkiego, księżę panie, że nawet Wasza Księżęca Mość, głowa jego stronnictwa w Litwie, już ostygłes?

— Nie, mój kochany. Zniesienie Karolsona jest wypadkiem dla nas nieszczęśliwym, wszakże daleko od tego, żeby miało być dla tamtój strony stanowczym. Ale jak nabędziesz więcej jeszcze doświadczenia, niż go masz, sam się przekonasz, że zwłaszcza w wojnach domowych, nawet w chwilach najpomyślniejszych, zawsze na przyszłość trzeba było być ogłędnym i nigdy szczęściu nazbyt nie ufać. Kto przeciwnikowi zapiera wszelkie wnijsicie do zgody, kto nie widzi w nim możebnego przyszłego przyjaciela, taki w rozterkach obywatelskich

niech się nie podejmuje naczelnictwa nad stronnictwem. Zawsze wstrzymywałem mściwe zapędy kniazia Dorohostajskiego, nim jeszcze został moim zięciem i poddał się moim rozkazom; zawsze wyjednywałem u króla Szwedzkiego przebaczenie dla zwyciężonych. Jednego tylko Sapiechę ocalić nie mogłem i podpisałem na niego wyrok wywołania. A i ten nie musi czuć do mnie żalu, kiedy mi powierzył opiekę nad swoją żoną. Już dostatecznie wynurzyłem się z myśli moich; wiesz czego żądam i w jakim celu wyprawuję ciebie do księcia Lubomirskiego, z którym mam swojactwo, a kiedyś łączyła nas ścisła przyjaźń, lubo nasze przekonania polityczne były zawsze przeciwnoległe. Jest-to mąż wysokich cnót i nadzwyczajnej dzielności, posiadający miłość całej szlachty Małopolskiej. Wiem, że nie więcej odemnie szacuje Jana Kazimierza, i jeżeli się dla niego poświęca, to jedynie dlatego, że w nim widzi rękojmię trwałości téj anarchii szlacheckiej, która w jego przekonaniu ma być najwyższém szczęściem wolnego narodu. Udasz się więc do niego. Czy podejmujesz przedrzeć się przez wszystkie oddziały szwedzkie i Kazimierowskie dla spełnienia moich poleceń?

— Chętnie, książę panie. Droga na końcu języka. Szabla, która jako u szlachcica, boku mego nie opuszcza, nie będzie wydobytą z pochwy, a lutnia i piosnki zapewnią mi łaskawe przyjęcie w każdym stronnictwie. Cała Litwa jest posłuszna Waszój Księżęcej Mości, więc część podróży odbędzie z panem Dominikiem bez suszenia sobie głowy, a od granic Wołynia aż do Karpatów dopiero przemysł wezmę na pomoc. Bądź książę pan pewny, że tak się sprawię, jak się należy, bo z zupełnym zapomnieniem o sobie. Wszakże książę pan nie pierwszy raz posyłasz mnie z ustnym zaleceniem i jego wysokie rozkazy jakoś się spełniały.

— W tym względzie zawsze umiałem być sprawiedliwym dla wasci, i daję ci tego dowód, kiedy nie komu innemu tak ważne powierzam polecenie. Nie mam potrzeby wasci przekładać, że najgłębsza tajemnica ma pokrywać cel twojej podróży. Cały mój dwór o niczém inném nie ma wiedzieć, tylko że wysłałam wasci wraz z Haraburdą do naszej córki. A jeżeli nie powrócisz, wszyscy tu pomyślą, że przystałeś do jakiego oddziału Kazimierowskiego. Bo ani moim dworzanom, ani mnie nietajno, że sprzyjasz tamtym, przynajmniej o tyle, o ile się to da pogodzić z obowiązkami jakie masz dla mnie.

— Pozwól Wasza Księżęca Mość, przełożyłoby sobie, że jeżeli...

Przerwał mu książę.

— Mości panie Odyniec, żadnego tłumaczenia się nie wymagam. I owszem, nie jestem od tego, żebyś nawet przeszedł pod przeciwne znaki. Jeżeli Jan Kazimierz pomimo wszelkich rachub roztropności siebie wydzwignie, to już mnie potrzebować nie będziesz. Jeżeli zaś,

jak się tego spodziewam, konfederacya Tyszowiecka jest tylko drganiem konwulsyjnym konającej partyi, daję waści Radziwiłłowskie słowo, że za to od nas ani w słowie, ani w zdrowiu, ani w bycie, najmniejszej szkody nie doświadczysz. Ale nawzajem domagam się od waści słowa szlacheckiego, że albo zginiesz, albo jak najrychlejš zdasz mi liczbę z całej twojej konferencyi z księciem Lubomirskim.

— Pozwól książę panie, żebym moją ręką szlachecką ścisnął dłoń Waszój Książęcej Mości na rękojmię mojego słowa. Jeżeli go nie dotrzymam, to będzie znak oczywisty, że już nie żyję. A jeżeli będąc przy życiu, uchybię temu słowu, niech zostaną bez czci, niech moje godło szlacheckie będzie zesromocone, niech najpodlejsi plebejusze natrzęsają się ze mnie, że znalazł się szlachcic, który ich przeszedł jeszcze w podłości.

I to rzekłszy, ścisnął rękę księcia w największym uniesieniu.

— I ja nawzajem — odrzekł książę — poddaję się takiemuż przekleństwu, jeżeli nie dotrzymam słowa, com go dopięro dał waszmości.

Poczém otworzył książę swój kantorek i wyjął z niego kilka ła duków złota, summa wówczas znaczna, i wręczył ją Odyńcowi, dodając:

— Masz na koszta podróży. Jutro z Haraburdą wyjeżdżasz do Dolska. Dla wszystkich, oprócz nas dwóch, ma to być celem waszjej podróży, ale pamiętaj, że aż do chwili w której mi dasz sprawę z swojego poselstwa, my się nie znamy. Rozumiesz znaczenie tych słów. A teraz bywaj mi zdrowy.

To rzekłszy dał znak ręką, a pan Dawid po niskim ukłonie wyszedł z komnaty.

ROZDZIAŁ IV.

Świt był, a z nocnych jutrzienka cieniów
Gór dobywając wierzchołki,
Budziła ptastwo do rannych pieniów,
I do roboty czcze pszczołki.

A już dwa wózki toczyły się po wielkim gościńcu, który prawie prostą linią przez Nowogródek i Pińsk prowadził podróżnych z Birżów aż na Ruś południową. Na jednym z nich siedział pan Dominik Haraburda, a obok niego pan Dawid Odyniec. Na drugim ich pachołkowie i lutnia pana Dawida, jego wierna i nieodstępna towarzyska, w pudle skórą obitém zamknięta. Obaj na jednym dworze wy-

chowani, byli z sobą w zażyłej przyjaźni. Wszakże w jój wyrażeniu okazywały się między nimi odcienia. Pan Dominik był o kilka lat starszy od swojego towarzysza, a tém samém więcej miał zasług u pana, któremu obaj służyli, a powaga wieku w owych czasach była tak silna, że przez głowę młodzieńca najburzliwszego nie przechodziła myśl nawet przelotna, z pod jój przyrodzonej zwierzchności się wyłamywać. Nabytek lat stanowił rzeczywistą hierarchię, a ta do pewnego stopnia zastępowała niedostatek ustaw, któreby na posadzie niewzruszonej ugruntowały władze polityczne narodu. Jakkolwiek prawa ówczesnej Polski z wielu względów były nacechowane mądrością, kiedy tak powszechną miłość były dla siebie uzyskały, to pewna, że do teraźniejszego pokolenia nigdyby się nie dały zastosować, właśnie dlatego, że środki obmyślane przez naszych przodków, ażeby tym prawom zapewnić wykonanie, były tak słabe wedle dzisiejszych pojęć, że dla niejednego prawnika, zadanie jakim sposobem uciążliwy wyrok uzyskany na przemożnym magnacie do skutku mógł być doprowadzonym, jest dziś zagadką niedocieczoną. A jednak aż do XVIII-go stulecia nie było przykładu zbyt długiego przedziału między ostatecznym wyrokiem, a jego spełnieniem. A dlaczego? oto dlatego, że nasi przodkowie byli potężniejsi przez swoje obyczaje, niż my przez nasze prawa; że w ich przekonaniu wiek był istotnym urzędem, którego lekceważenie w żadnym wypadku ścierpianeby nie było w społeczeństwie. Jest-to rzecz tak pewna, że jeżeli urzędowi szafarze władz sądowniczych i administracyjnych, bez użycia zmuszających do tego środków, tak wielką mieli powagę w narodzie skłonnym do swawoli, to jedynie dlatego, że urząd był nieoddzielny od wieku. Niktby nie szanował młodego sędziego; ale takiéj anomalii być nie mogło tam, gdzie sędziowie dożywotni byli obierani na sejmikach, w których starce przewodniczyli. Jeżeli w społeczeństwie młodzież wyzwoliła się zupełnie od władztwa moralnego starców, jeżeli starość utraciła wszelką powagę, jest-to zepsucie, którego szerzeniu się najmędrze ustawy nie zapobiegna. Ten co nie szanuje wieku, i nie ufa mu, boi się może urzędu, ale go pewnie szanować nie będzie. Kto o tém wątpi, niech raczy przypatrzeć się stosunkom towarzyskim między urzędnikiem a takim który go nie potrzebuje.

Pan Dominik i pan Dawid miłowali się wzajemnie, we wszystkim byli sobie równi, i pierwszy od drugiego nie téż nie wymagał, a jednak, lubo w formie ta ich równość niczém nadwężoną nie była, co do rzeczy pan Dominik samorzutnie został rozkazującym, a pan Dawid jemu posłusznym. Podróż kilkudniowa nie jest tak ważną wyprawą, a już były w niej wszystkie odblaski warunków, niezbędnych dla bytu każdego społeczeństwa. Był rząd, było posłuszeństwo, było pośrednictwo między jedyną a najwyższą myślą, a najniższemi jój pod-

władnemi; była więc hierarchia, tak dalece ona jest przyrodzoną największemu, jako i najmniejszemu stowarzyszeniu. Gdzie miał być popas, gdzie nocleg, o tém stanowił pan Haraburda, a pan Odyniec stosownie do tego rozporządzał usługą. Całkowite stowarzyszenie składało się tylko z sześciu członków, a przedstawiało to, co się znajduje w najpotężniejszym ciele politycznym. Pan Haraburda był królem, pan Odyniec ministrem czyli urzędem, dwaj woźnice, i dwaj pachol-kowie ludem. Gdyby było głosowanie powszechne, nie wiem jak dalekoby zajechało sześciu podróżnych. Dawniej niktby tego nie pojął, a dzięki rozszerzeniu światła, chyba zakuty obskurant tego dziś nie zrozumie, że głosowanie powszechne jest najrozumniej obmyślaną formą, ażeby kierować pomyślnie naród, chociażby z trzydziestu milionów ludzi złożony, na drodze szczęścia i sławy. Gdyż jest udowodnionem, że wola jedyna może zbłądzić, ale kilkadziesiąt milionów wol, chociażby sobie przeciwnych, posiadają wszelkie warunki nieomylności.

Już czytelnik jest cokolwiek obznajmiony z tymi dworzanami, a zwłaszcza z panem Odyncem. Jednak żeby jeszcze lepiej z nimi się zapoznać, muszę kilka słów dodać. Pan Haraburda, zacny człowiek, z domu niegdyś urzędami i włościami potężnego, a zawsze przodkującego na Białej Busi, sam gorliwy i spadkowy wyznawca wschodniego Kościoła, a rodzony synowiec Władzyki Smoleńskiego, który go oddał do dworu księcia Radziwiłła, był mężem wielkiego doświadczenia i rzadkiej roztropności. Księżę często używał jego dorady i powierzał mu ważne polecenia, które umiał najakuratniej uskutecznić; ale że się obawiał jak ognia odpowiedzialności, ani pół krokiem nie przestępował szranków danej mu instrukcyi. Był z niego doskonały egzekutor i nie więcej. Jego usposobienie umysłowe było takiej natury, że wszystko w niem było skutkiem rozważy; natchnienie zaś, wszelkie wnijścia do jego duszy znajdowało dla siebie zaparte. Małomówny, zamysłony, a do tego uposażony i wzrokiem bystrym i słuchem nadzwyczaj rozwiniętym, dziwną miał zdolność dostrzegania wszystkiego, co się w koło niego działo; nie przed badawczym jego okiem ukryć się nie mogło. Ale właśnie dlatego, że wszystko u niego było podległe ścisłemu rachunkowi, nie tyle był pożytecznym dla sprawy której służył, ileby nim mógł być, gdyby rozważnie dał cokolwiek mniej wyłączone panowanie nad sobą. Bo jużci samorzutność ma swoje korzyści. Prawda, że rozważa nie dopuści do częstych jak to mówią byków, które aż nadto bywają udziałem ludzi zbyt genialnych, zbyt dostępnych ułdom wyobraźni, ażeby długą przestrzeń zostawiali między pochwytem jakiejś myśli, a jej wydanie na zewnątrz, bądź czynem, bądź słowem. Ale z drugiej strony, najmniejsza omyłka umysłu rozważawczego więcej mu szkody przyniesie, niż

najwiękza takiemu co działa samorzutnie, nie mając dość cierpliwości, żeby postępy swoje zawsze stosować do ścisłych prawideł rozsądku. Gdyż ona jest do nie-naprawienia, bo idąc na karb rozważgi, przebaczenia nie otrzyma, drugiemu zaś łatwo będzie odpuszczona. Człowiek, w którym wyobraźnia przeważa rozsądek, pomimo częstych poślizgnięć, szczęśliwie, a nawet w dość szybkim czasie, może dojść do mety, kiedy tymczasem zawód rozważnego do zbytku męża, który żadnej z tych zapór, jakie się ciągle napotykają w żywocie, nie przeskakuje, ale z każdą się łamie, musi być koniecznie powolnym i wielce pracowitym. Z takich to ludzi był pan Dominik Haraburda. Jego podejrzliwa roztropność szkodę przynosiła innym jego przymiotom w opinii tych, co nie byli z nim związani ścisłą przyjaźnią. Bo nie mogli przypuścić, żeby człowiek tak ostrożny miał być szczerym. Jakżeby w nich pobudzał ufność, kiedy sam w nikim nie pokładał ufności? Przyznawano mu jeszcze więcej rozumu, niż go miał rzeczywście; każdy go się obawiał, każdy go słuchał chętnie, ale chociaż żadnym postępkim przez całe swoje życie na najmniejsze podejrzenie nie naraził swojej prawości, chociaż przy powszechnie przyznanej mu waleczności wszelkiej kłótni unikał i nigdy mową nie zadrasnął ani sławy, ani nawet miłości własnej bliźniego, z tém wszystkiém bardzo mało miał przyjaciół.

Pana Odyńca usposobienie zdawało się być przeciwległe charakterowi jego towarzysza podróży. Był z niego, jak to mówią, istny szalapat. Burzliwy, wielomówny, równie skory do kłótni, jak do biesiad, na nie nie oględny, omal że nie głośno myślący, oprócz wieku nie nie szanował, a najmniej swoje życie i zdrowie. Wedle obyczaju protestanckiej szlachty starownie podług formy zagranicznej wychowany, nie rozumiał łaciny, ale w kilku obcych językach z łatwością się tłómaczył. Młodzieniec gładki, a do tego utalentowany, umiał się zalecać płci pięknej, której był wielkim wielbicielem. Ale w stosunkach swoich z mężczyznami, zbliżonymi do niego wiekiem, często bywał uciążliwym, nadużywając swojego dowcipu. Nie było przyjaźni, którójby nie poświęcił dla dowcipnego konceptu; nie było niebezpieczeństwa, któreby go od niego odstraszyło. Dziś podobne lekceważenie cudzej miłości własnej, co najwięcej na obmowy i potwarze bardzo mało szkodliwe naraża; ale w owym czasie omal że nie każde nierozważne słowo trzeba było krwią opłacić. Nosił też pan Dawid na sobie kilka widocznych dowodów, że te żarciki jego nie zawsze uchodziły bezkarnie. A i on też nie jednego obznaczył. Ale z drugiej strony był tak usłużny, tak udzielający się, tak gotowy do wstawienia się za każdym, który go o to prosił, tak miły w obcowaniu, że pomimo swoich wybryków był powszechnie lubiony. Każdy z tych co się krwawo z nim potykali, czy zwycięzca czy pokonany, zo-

stawał jego przyjacielem, wedle obyczaju ludzi waletycznych, jakimi wówczas byli Polacy. Przymioty jego, a nawet wady robiły go wielce sposobnym do spełnienia zaleceń, jakie mu powierzał książę Bogusław w tych smutnych czasach, kiedy naród, będąc rozdarty przez stronnictwa palające zawiścią i zemstą jedne przeciw drugim, wzajemnej nie znał ufności. Szlachciec wystrzegał się szlachcica; chyba bardzo doświadczonemu przyjacielowi w pełni myśli swoją otwierał. Każdy małoznany był w podejrzeniu; staropolska szczerłość omiała że nie zupełnie była zgasła; targowano się z każdym wyrazem, żeby na złe nie był tłómaczony. W wojnach zwyczajnych narodu z narodem obywatel ma przeciwko sobie tylko namiętności polityczne, które rzadko kiedy sfery jego potocznego zawodu dotykają. Ale w wojnach domowych wszystkie namiętności prywatne kojarzą się z dążnościami politycznymi stronnictw. Obywatel w dowódzcy oddziału może spotkać osobistego nieprzyjaciela, który go zaofiaruje na ołtarzu ojczyzny wedle języka oficjalnego, a w rzeczy samej ukarze go za to, że z nim przegrał sprawę w jakiejś jurydycey sądowej, że mu odmówił kiedyś zażądaną przysługę, że go przekreskował, kiedy obaj ubiegali się do jakiegoś urzędu; nakoniec, że mu przebaczyć nie może, iż go zaciera wziętością, bogactwem, chociażby nawet wyższością umysłową. Ztąd jeżeli szkody materyalne, nagromadzone przez wojnę domową, prędko się wynagradzają, szkody moralne jakie z niej spadają na społeczeństwa są nie do wyrachowania, tém właśnie, że nie więcej od niej nie wąpli charakteru narodowego. Kto się zagłębił w nauce dziejów ojczystych, ten wątpić nie może, że ta wojna szwedzka, która rzeczywiście była wojną domową, wszczepiła między przemożnymi domami tego ducha niezgody, tę chytrosć, te podstępny, które bądź pokątnymi intrygami, bądź jawnie krwawymi kłótniami ich rozdzierały, pokąd nakoniec nie runął całkowity gmach polityczny wyniesiony przez ich przodków. W czasie który wystawiam, kiedy każdy pokąd nie chwycił się czynu, lękał się czémkolwiek myśli swoje zdradzić, a témbardziej swoje skłonności, cała roztropność pana Dominika sprostać nie mogła rzutkości jego towarzysza. Prawda, że co tylko było podobnym chociaż z daleka do czynu, przed nim utaić się nie mogło; ale skrytej myśli nie umiał dosledzić, ani téż jej wywołać, bo nie przynosił nic takiego, coby w nieznanym albo małoznanym mogło zaufaniem pobudzić. Owszem było coś, że tak powiem, badawczego w jego małomówności i powadze; tak iż każdy, kto, jak to mówią, nie zjadł z nim beczki soli, był poniekąd ostrzeżony jego przytomnością, żeby siebie pilnował. A pan Dawid samą swoją nierozważą jakąś pociąg ku sobie i otworzystość podniecał. Każdy mówił sobie: jakże się mieć na ostrożności z takim, u którego co w sercu, to i w usciech? z którym tak przyjemnie się upić i od którego wszystko

co wié wyciągniesz? Każdy mając siebie za roztropniejszego, niżeli on, pochlebiał sobie że go złapał; ani się spostrzegł, że nie chcący dawał się jemu więcej poznać, niż go sam poznawał. Mało rozważny, ale wielce przenikliwy, więcej zgadywał niż spostrzegał. Ztąd tak zręcznie się sprawił w kilku poleceniach od księcia mu poruczonych, że jego uwagę zwrócił ku sobie, a nawet pewien rodzaj jego ufności pozyskał, tak, iż mu już droga do majątku i do wysokich zaszczytów była otwartą. Co wszakże dla niego dość było obojętném.

Ale jeżeli pan Dawid był powszechnie lubiony, nie było to jedynie dla przyjemności swojego obcowania, bo gdyby nie miał rzeczywistych cnót, nie nabyłby nigdy podobnej wziętości zwłaszcza na Litwie, téj właśnie części Rzeczypospolitéj, gdzie słowa jak najmniej wazą, i nigdy nie mogły one przywłaszczyć sobie zaszczytu, tylko czynom właściwego (*). On nie miał nic tajnego w tém, co się jedynie jego dotyczyło; każdą myśl, każde przekonanie swoje wynurzał, nie oglądając się na skutki, jakie z tak zbytcej otwartości wywołać może, ale tylko o ile one jego samego dotyczyć mogły. Cudzą zaś tajemnicę, skoro ona mu była powierzona, a nie schwyciona przez niego, najwierniej dochowywał. Książę o nim mówił: Odyniec jest bardzo zręczny, ale nie każdy tego się domyśli. I tak, nigdy nie ukrywał swojej skłonności dla tułającego się króla, lubo służył w stronnictwie jemu przeciwném; nie tylko sprzeczeki miewał częste z innymi dworzanami, obstawając za sławą Jana Kazimierza przez nich szarpaną, ale nawet z tego powodu nie jedną odbył krwawą bitwę. I to coby innego zgubiło u księcia, najmniejszej szkody jemu nie przynosiło. Bo książę dobrze wiedział, że lubo pan Dawid z tém dawał się słyszeć, że przystanie do stronników Jana Kazimierza, tyle był ucziwy, że tegoby nie zrobił pokryjomu, ale otwarcie prosilby go o uwolnienie ze służby.

Pana Dawida nikt nigdy nie widział zasmuconego, a w ciągu téj podróży jego przyrodzona wesołość była podwojona; raz, że miał upoważnienie szukać szczęścia u strony, która jego przekonanie zhołdowała, a do której fortuna zaczynała się uśmiechać; powtóre, że mógł mieć jakąś nadzieję, że jego pan nie był tak daleki od pojednania się ze swoim królem, jak się wszystkim mogło wydawać. Tém więcej, że

(*) Polacy zawsze większą przywiązywali wagę do słów, niż Litwini. Dość odczytać Dyaryusz sejmu czteroletniego, żeby się o tém przekonać. Jaka trzeźwość wyrazów w posłach litewskich, obok gadatliwości jakkolwiek wymownej polskich. Korsak, poseł Nowogrodzki, na każdej sessyi sejmowej zabierał głos, i tylko te słowa wymawiał: Skarb i wojsko. Śmieli się z niego ukształceni posłowie wynarodowionego dworu warszawskiego, a jednak był on więcej mężem stanu, niż ci wszyscy nowoczytni Cyceronowie.

będąc do niego przywiązany, myśl iż działa wspólnie z takimi, co nastają na jego zgubę, zawszeby go niepokoiła. Póki siedział na wózku, trudno mu było okazywać wielką wesołość, bo nie było sposobu żwawej rozmowy zawiązać z małomównym, a do zbytku oględnym kolegą. Ale to wymuszone na nim milczenie, wynagrodził sobie w gospodach, gdzie im wypadał nocleg lub popas. Czy to z żydem gospodarzem, czy z podróżnemi których napotykał, wdawał się w rozmowy, prawil im co ślina do gęby mu przynosiła, za co często od poważnego towarzysza bywał strofowany; przyjmował jego napomnienia z budującą cierpliwością i swoje robił. A kiedy zdarzało mu się trafić na ludzi ostrożnych, unikających gawędy z nieznanymi, jak to bywa, zwłaszcza w czasach niespokojnych, kiedy jedno słowo nierozważnie wyrzeczone może wywołać nieszczęście, wtedy wydobywał lutnię z pudła, jednoczył śpiewy z jej melodyjnym dźwiękiem i cieszył się, widząc z jakim zachwyceniem słuchali go Litwini, a zwłaszcza Rusini. Bo jak wiadomo, z pomiędzy wszystkich narodów słowiańskich, Rusini a po nich Czesi mają najwięcej rozwinięte uczucie muzyki i poezji, a tak w obu celował, że nawet pan Haraburda nie umiał oprzeć się ich wdziękowi.

Podróżującym od dni kilku nic się nie wydarzyło szczególnego. Gdzie niegdzie napotykali oddziały szwedzkie, które konsystowały jakby w własnym swoim kraju. Popasy i noclegi naszych wędrowców były zawsze w dobrach bądź Radziwiłłowskich, kniazia Dorohostajskiego i hetmana Gąsiewskiego, bądź szlachty, ich adherentów, czy z przekonania, czy z potrzeby. Na pozór wszystko tam było spokojne; król Jan Kazimierz już był zapomnianym, a przynajmniej rzadko wspominanym. Bo możnowładztwo było na Litwie nierównie silniej rozwinięte niż w Polsce, gdzie szlachta ciągle opierała się tak nazwanym panom, a możnowładcy litewscy ściśle byli związani z królem szwedzkim i całą prowincję utrzymywali w posłuszeństwie. Ile razy nasi podróżni zapytywani byli od Szwedów, kim są i dokąd się udają, doś im było odpowiedzieć, że są słudzy księcia marszałka wielkiego litewskiego, wysłani od pana do jego córki, a zaraz doświadczała największej uprzejmości z ich strony, jako swoi, tém więcej że, jako się powiedziało, pan Dawid umiał się tłómaczyć w ich mowie.

Wjechali nakoniec do starostwa Słonimskiego, które było w posiadaniu kniazia Dorohostajskiego. O dwie mile od Słoniwa wypadł im nocleg; w karczmie go znaleźć nie mogli, bo była zawałona podróżnymi tak dalece, że przed nią na podwórzu był jakby rozłożony obóz ze sług podróżującej szlachty. Napróżno było chcieć się do niej docisnąć; ale tego nie czuli potrzeby. Słudzy księcia Bogusława aż nadto mogli rachować na gościnność podstarościęgo, zięcia ich pana, i kazali się zawieźć na folwark. I w samą rzecz, lubo gospodarz zabie-

rał się już do wczasu, zaledwo dowiedział się, kim są jego goście, ile że nawet znał z widzenia pana Haraburdę, tak się niemi zajął wraz z żoną i matką swoją, jak gdyby sam pan starosta objężdżając swoje dobra do nich zajeżdżał. Pani podstarościna wzięła się do aporządzania wieczerzy dla naszych podróżnych, którzy się sami przyznali, że im głód dopięka, a podstarości i matka jego żony starali się ich bawić, żeby cierpliwiej doczekali się wieczerzy.

Podstarości nie do zbytku był mowny, ale za to jego świekry usta się nie zamykały. Rozmowa zaczęła się jak zwykle od tego, że gospodarz zapytał pana Haraburdę dokąd jadą, a ten odpowiedział:

— Do Dolska, żeby panią wojewodzinę zawieźć do Warszawy, gdzie już zapewne JO. jój ojciec musi ją oczekiwać.

— A to z jakiego powodu? — odezwała się starszuszka.

— Nasze księstwo — odpowiedział pan Haraburda — zatęskniło się za jedynaczką; mamy nadzieję za trzy dni ją oglądać. Państwo, co bliżej od niej mieszkacie, możecie nam dać wiadomość o jój zdrowiu, jój zatrudnieniach, jój powodzeniu.

— Tamtego tygodnia byłem w Dolsku — rzekł podstarości — widziałem panią; zdrowa, wesola, piękna.

— Piękna, to pewna, zdrowa, i na to pozwalam, ale wesola, to się chyba tobie tak zdaje, mój Jasiu — na to starszuszka.

— A dlaczegoż nie miałyby być wesolą? — odrzekł podstarości. — Cóż to? czy jój na czém zbywa? Chyba to, że dotąd Bóg jój nie pobłogosławił potomstwem.

— A to prawda — odezwał się pan Dawid. — Książ wojewoda w sile wieku, podkowy łamie, wojewodzina jak łania, a doczekać się nie może sukcesora.

— Widać, że natury jeszcze się nie porozumiały — na to gospodarz.

— Przecie to piąty rok jak z sobą żyją — dodał pan Dawid.

— Żyją, żyją — na to starszuszka — szerokoby o tém rozprawić można. Tylko czy człowiek wszystko mówi co wie. Ot, co nam tać, o czém wszyscy wiedzą, że ani nasz pan wojewoda dla pani wojewodziny, ani pani wojewodzina dla naszego wojewody. Zwyczajnie jak u wielkich panów. My chude pacholki sami siebie żenim, a ich ludzie żenią. To też i takie pożyczcie. Naszemu panu być ojcem pani, a nie mężem; a kiedy stado niedobrane, zkąd się wydobędzie miłość?

— A jednak — odrzekł pan Haraburda — zaręczyć mogę jójmości, jako sługa rodziców pani wojewodziny, że jój nikt nie przymuszał iść za mąż, i owszem, wszystkim jój woli było zostawiono; zapewne, że książę marszałek życzył sobie tego związku, żeby dwie partye w jedną połączyć; i jakież Litwin tegoby sobie nie życzył? Ale co innego pra-

gnąć, a co innego zmuszać. My wszyscy byli przytomni, kiedy nasza księżniczka swoje przyzwolenie kniaziowi oświadczyła. Bóg świadek, że najmniejszego musu nie było.

— Ej panie! czy to młoda dziewczyna chłopakiem, co jak się uprze, tylko powrozem i rzemieniem go przekonasz? A czy to małżeństwo nabechtane, niby nie wymuszone? Jak mnie państwo widzicie, ja sama przez to przechodziłam z pierwszym moim mężem. Moi rodzice mieli zasługi w domu kniaziów Dorohostajskich i oddali mnie do ich dworu. Byłam pokojówką jeszcze u pani strażnikowej litewskiej, matki naszego pana wojewody: była zemnie dziewczyna rażna, miałam szczęście do ludzi, że między niemi uchodziłam za ładną. Był mi rok siedemnasty. Bywało rady sobie dać nie mogę, tak młodzi pokojowi, a nawet dworzanie, dokuczają mi swojemi umizgami. Aż tu zaczyna się zalecać do mnie pan Godziemba, podkoniuszy pana strażnika, sześćdziesięcioletni kawaler. On do mnie wzdycha, a ja mu parskam od śmiechu w żywe oczy, zwyczajnie dziewczyna pusta. Otóż jak się o mnie oświadczył na szczerze, a na mnie usadziły się i moje koleżanki i sama pani ochmistrzyni, a wmawiać jęły, żebym się nie opierała jakoby największemu szczęściu, a to najpocziwszy człowiek, a to familiant, a to ma sobie przyręczone dożywocie jak tylko się ożeni, a on ciebie tak kocha, a z nim na niczém zbywać ci nie będzie, a nazywać cię będą jójmością, a nie panną Domicelą — dość, że tak mnie wzięto w obroty, że sama nie wiem jakim sposobem zostałam jego żoną. Niby nie było musu, a Bóg świadek, że tam mojej woli nie było.

— A jednak jójmość często powtarzasz, że chociaż jój mąż był stareem, bardzo byłaś z nim szczęśliwą, i że jak zostałam wdową, z żalu omal że na tamten świat nie poszłam za nieboszczykiem.

— A to wcale co innego. Ja nikogo nie kochałam. A kiedy u młodój dziewczyny serce czeze, lada usilnością pocziwy mąż może je skłonić ku sobie i zupełnie je owładnąć. Co też to była za dusza u nieboszczyka! On był stary, ale jego serce było młode. Jakże nie miałam się przywiązać do tego, który mnie tak kochał? To też po jego śmierci, choć byłam młodą, przez trzy lata ani słuchać nie chciałam, kiedy mnie nakłaniano do powtórnego małżeństwa.

— A przecież nakoniec jójmość zmiękczyć się dała? — odezwał się pan Dawid.

— Wierz mi jegomość, że oddałam się drugiemu mężowi przez tęsknotę po pierwszym. Bywało płacę a płacę, a nikt mnie nie pociesza. Myślę sobie, trzeba klina klinem wybić. A potem, młodój wdowy czeladź słuchać nie chciała; zaczął się robić nieporządek w gospodarstwie, mój mąż nie zostawił potomstwa, cóż było robić? Nawinał się pan Korkuć, ojciec waćpana żony, panie Janie, człowiek młody, dobrze widziany u obojga państwa, mający porządną kawał

chleba, bo był łowczym w Chotynieckiej puszczy. Jego affekta z początku przyjmowałam dość obojętnie. Ale jakoś się wymówiłam jednego razu, że pójdę za niego i to przy świadkach. Potém chciałam się z tego wycofać, ale ludzie, co się lubią do wszystkiego męszczać, jak zaczęli mnie perswadować, że dawszy słowo, szlachcianka winna je dotrzymać, koniec końców zostałam panią Korkuciovą, ale zawsze pierwszego męża zachowywałam w pamięci. I często z drugim bywały z tego powodu kwasy. Był i z niego poczciwy człowiek, ale prędki, że kiedy się rozgniewa, to ja bez ducha. I on mnie kochał, ale umiał być panem w chałupie. Jak powie: „Domciu, tak być musi“, broń Chryste Jezu mu się sprzeciwić. To nie z nieboszczykiem sprawa! Dziesięć lat mieszkaliśmy z sobą. Doczekaliśmy się dziełek, i nasze pożycie było szczęśliwe, jak to ludzie mówią. Dość, że kiedy go pochowałam, i to w połowicy dni jego, bo umarł z przypadku, spadł z konia i kilka miesięcy cherlał, pokąd nie skończył — to go wielce żałowałam, a jednak pierwszego więcej.

— A widzisz jójmość — odrzekł pan Dawid — że młoda żona może się przywiązać do podżyłego męża; dlazegóż tak wątpisz jójmość o szczęściu pani wojewodziny? Wszakże jój mąż za starca uchodzić nie może kiedy podkowy łamie i na koniu harcuje, że nielada młodziemiec w tém mu sprosta.

— A to wcale co innego! Nasz pan do kobiety mówić nie umie, a dopiero jój się przypodobać. Jemu miłszy łowczy, masztalierz, koń, wreszcie niedźwiedź, niż najpiękniejsza kobieta. Ja go znam od dzieciństwa; zawsze był dzikim. Brat jego, nieboszczyk pan Stefan, to ale był kawaler! temuby się żadna kobieta nie oparła, tak się umiał brać do niej. To téż ta jego kochliwość nie na najlepsze mu wyszła. Tylko człowiek nierad wspominać smutnych rzeczy. Niech Bóg mu wynagrodzi na tamtym świecie, co on ucierpiał na tym, bo to był dobry pan. Ale nasz pan wojewoda zupełnie innój natury. Tać to nieboszcza pani rady dać sobie nie mogła z nim, taki był z niego panicz krnąbrny i gwałtowny; aż z po-za gór i mórz, sprowadzała mu mistrzów, Francuzów i Włochów, żeby go wyuczyć i wyłagodzić. Pan Strażnikowicz młodszy przyjmował ich nauki, a starszy ich za Boże stworzenie nie uważał. Nigdy się uczyć nie chciał; aby nauczyciel oczy odwrócił, a on już w stajni. A jaki złośnik! Był podlotkiem, a wszyscy ludzie więcej się jego bali, niż nieboszczyka pana. Jeszcze to dla ojca miał jakieś względy, ale jak ten umarł, a nieboszcza pani objęła majątek jako dożywotniczka, niech Bóg broni co on dokazywał, chociaż i pani była ostra. Bywało, jak mu się coś ubrda, pani rozkazuje sługom, żeby go nie słuchali; ale ten jak im powie: „A co to, łotry, nie słuchacie mnie! Jeżeli nie zrobicie co wam każę, daję wam słowo ucziwe, że jak umrze jójmość, wszyscy będziecie wisić!“ —

Słudzy wolą jego słuchać niż panią, bo lepiej dziś wziąć plagi, niż może za kilka niedziel poznać się z szubienicą. A z małych lat miał bawolą siłę. Każdy nauczyciel do obudwóch paniczów przydany, jak kilka niedziel spróbuje starszego, wyprasza się mieć pieczę nad nim, i tylko młodszym się zajmuje. Przyszło do tego, że przecie się znalazł jakiś uczony Niemiec, a tak barczysty, że było komu zajrzeć w oczy, który się podjął jego wychowania. Nieboszczka pani złała na niego całkowitą swoją władzę macierzyńską. Miał sobie przydanych czterech hajduków Węgrów, którzy nie będąc poddanymi, nie mieli powodu lękania się przyszłej zemsty panicza, mogąc trafić do swoich Węgiei. To Niemiec, kiedy im każe położyć na kobiercu pana Strażnikowicza, im czterem się nie daje, wrywa się z ich rąk i ucieka, że cały dzień niewiadomo gdzie się podział. A nakoniec wybił oko nauczycielowi, który o jednym oku wziął od pani sowitą odprawę. A potem kiedy już stanął w całej sile, co to były za starania, żeby go ożenić, bo już i ludzie zaczęli coś źle mówić o tym jego wstręcie do kobiet, i matka mu to przekładała. A potem na tych dwóch paniczach kończył się ród Dorohostajskich; jakże ich nie żenić, poczynając od starszego? Wszystkie perswazyje matki, jak groch rzucony o ścianę.

— A przecie się ożenił, lepiej późno niż nigdy — na to pan Dominik.

— Co to warte, takie ożenienie; z takiego ożenienia sukcesora nie będzie! Bywam w Dolsku i u fraucymeru pani wojewodziny mam swoje zachowanie. Wiem ja, co się tam święci. Wojewoda, kiedy zawita do Dolska, co nie tak często mu się zdarza, wojewodzina wychodzi na przeciw niego. On z nią grzeczny po swojemu, to jest pocałuje ją w rękę, zapyta czy była kontenta ze sług, i tyle wszystkiego. Wojewodzina w swojej komnacie, wojewoda dojeżdża swoje żrebce, albo poluje na zwierza. Czasem się obaczą za stołem i to nie zawsze, bo wojewoda na łowach jak Tatar, samą surowizną się żywi. Potem wyrusza z zamku, gdzie na granice, żeby pójść na harc, bo to mu najmielsza zabawa. Wojewodzina odprowadza go do pojazdu; on ją, jako i przy powitaniu w rękę pocałuje, i znowu czekaj aż powróci. To jest, słudzy oczekują pana, bo co się tyczy pani, bardzo o tém wątpię.

— Z tém wszystkiém—na to pan Dawid—wedle mnie bardzo przykładne stadło; jedno drugiemu przykrego słowa nie powie, a więc kochają się.

— Ale z takiego kochania potomstwa się nie spodziewaj. Wojewoda podkowy łamie, to prawda; nikt jego zakładu nie dotrzymał i to prawda; powiadają że jak raz się podochocił, od jednego cięcia mieśm wółu głowę odrąbał i temu nie przeczę; ale i to niemniej pew-

no, że jaką wziął panią wojewodzinę z Birzów, takuteńką ją do Birzów odwiedzić może.

— A jak jéjmość wiesz o wszystkim! — odrzekł pan Dawid, którego ta szczebiotliwość pani Korkuciovój wielce bawiła. Ale pan Deminik Haraburda i pan podstarości radziby byli, żeby rozmowa do mniej drażliwych przedmiotów się zwróciła.

Pierwszy chcąc ją przerwać, zapytał Podstarościęgo, z jakiego powodu karczma wiejska tak jest zapełniona podróżnemi, że aż zmuszeni byli jego niepokoić prośbą o przyjęcie?

— A to panowie nie wiecie — odpowiedział podstarości — że jutro wielki zjazd w Słonimie? Jaśnie wielmożny Gąsiewski, hetman wielki litewski, już od tygodnia zapowiedział swoje przybycie na jutro do Słonima, dla lustrowania wojska komputowego i milicyów nadwornych tam zebranych. A nasz pan wojewoda, jako starosta, już tam przybył dnia wczorajszego, dla podejmowania dostojnego gościa. Mnóstwo szlachty tam się zebrało, i ze wszęch stron ciągnie do Słonima. Na dobrą chwilę państwo tam traficie, bo jeżeli macie jakiego znajomego z téj okolicy, co byście radzi go widzieć, pewnie go tam zobaczycie.

— A jakże nie na dobrą, kiedy mam ekspedycyę do JW. wojewody kniazia Dorohostajskiego od JO. księcia marszałka mojego pana. Nad jedną dobę zatrzymać się nie możemy w Dolsku, bo jak najspieszniej mamy wywieźć wojewodzinę; ekspedycyę do jój JW. małżonka musiałbym zostawić gubernatorowi jego zamku. A teraz wielce mnie waszmość pocieszasz, że będę mógł jutro jemu samemu ją wręczyć, oraz powitać naszego hetmana. A czy długo się zatrzyma w Słonimie?

— W tém objaśnienia dać nie mogę, bo to wszystko od jego woli zależy, ale wedle mojego biednego zdania, zdaje się, że krótko gościć będzie i że wyruszy z zebraném wojskiem ku Małej Polsce.

— A na czém waszmość opierasz to zdanie?

— Bo i do nas doszły wieści, że jakoby miały tam zająć jakieś rozruchy, bez wątpienia małej wagi, ale nasz hetman, jako mąż przeczorny, zapewne to zechce przydusić, żeby się broń Boże nie rozszerzyły. Bo ostrożność nawet do zbytku posunięta nie zawadzi.

Tu staruszka wmięszała się do dyskursu.

— Na co, panie Janie, obwijasz w bawełnę to, o czém ci zacni panowie lepiej wiedzą niż ty. Rozruchy małej wagi! Tak małej, że już ani jednego Szweda o téj porze nie ma w Małej Polsce! Tak ich nasi wytłukli, że to był dla Szwecyi sądny dzień; długo będą pamiętać pana Czarneckiego, który Polaków prowadził. Czerwona Ruś, Sandomierskie, Bełzkie, Krakowskie, wszystko się zdeklarowało za królem Janem Kazimierzem. Jak w Maju chruszczę z drzew, tak

szlachta uzbrojona sypie się z tamiecznych powiatów pod chorągwie Jerzego Lubomirskiego i Rewery Potockiego. Ludzie mówią, że tylko co nie widać, jak zawitają do naszej Litwy; a o czym ludzie gadają, to i wygadają.

Tu rozmowa brała kierunek jeszcze niebezpieczniejszy, niż wprzódy. Zmniejszał się podatarość, słysząc świąkrę mówiącą w tym sposobie w przytomności dwóch dworzan księcia marszałka, głowy partii szwedzkiej; a chociaż w duchu może podzielał jej sposób myślenia, przynajmniej dla zasłonięcia siebie od wszelkiego podejrzenia o sprzyjanie partii nienawistnej jego panu, odezwał się z pośpiechem:

— A strzeż Boże naszą świętą Litwę od takiego nieszczęścia. To wszystko, co jejność mówisz o zwyczajtwie pana Czarneckiego, jest tak przesadzone językami, nowiniarzy, że pokaze się nakoniec, że nie warte funta kłaków. A gdyby nawet tam i było coś niepomysłnego dla naszej partii, jeszcze daleko tamtym do Litwy. Znajdzie się kamień na kosę; niech-no się tu pokata, a hetman Gąsiewski i mój pan taką im dadzą odprawę, że jeżeli jakiemu koroniarzowi uda się wywieść z duszą do awojego gniazda, to synom swoim pod błogosławieństwem zabroni nachodzić naszą Litwę, która już dawno zapomniała króla Kazimierza, co go koroniasze a nie Litwini obrali. Niechże się nim nieśaż, a nam dadzą pokój.

— Pek waści, panie Janie, za tak niedorzeczne gadanie! A czy to król Jan Kazimierz nie krew naszych Jagiełłów? Czy nie król prawowierny jak my? czy nie czci Najświętszej Panny i obrazów świętych Pańskich, nie tak jak?... Ej, nie ciągnij mnie waś za język! Może waś zapomniałeś swojego prawego pana, ale nie Litwa; kto w Litwie bogobojny, ten tęskni za królem, któremu wierność zaprzysiągł. Ten tylko, co otrzymał dla siebie przysięgę, mocen jest od niej rozgrzeszyć, a więcej nikt! A cóżto my mamy być gorsi od bisurmanów, żeby z przysięgi robić sobie igraszkę? Niech się pany tém bawią, bo im wszystko uchodzi, ale waś szlachcie. Ale wiem, że inaczéj myślisz, tylko mówisz nie do rzeczy, bo się obawiasz tych zacnych kawalerów, co nas zaszczyeili swoim przybyciem; ale dość okiem na nich rzucić, żeby poznać, że to są mężowie uczciwi, a kto ma serce poczciwe, tego uszy nie mogą być niebezpieczne. Bójże się sobie waćpan, a ja się niczego nie boję; zwyczajnie baba, nie tyle dni jej pozostaje, żeby o nie wiele dbać miała. Co u mnie w sercu, to i w ustach, i otwarcie powiem, że co wieczór strzępię starą bieliznę dla rannych, i tyle jej strzępiłam, że aż kufer nastrzępiłam, ale żaden Szwed tego ani liźnie, a wszystko dla naszych zachowuję. Bo mam przecucie, że się doczekam, i to niezadługo, iż wszyscy powrócą do króla, i pan hetman Gąsiewski, i nasz pan i sam księżę marszałek.

Stara była w zenicie swojego ferworu, kiedy pan Dawid, nie mając już ukryć wzruszenia, porwał ją za rękę:

— Wielką, szlachetną masz duszę, pani! Oby wszyscy poszli za jój przykładem!

Pan Dominik Haraburda zabierał się natrzć kapitułę młodemu towarzyszowi; podstarości mileżał przestraszony. Na szczęście przybyła podstarościna, oznajmując, że wieczerza gotowa, i podała rękę panu Haraburdzie, puszczając przed sobą matkę, którą pan Dawid prowadził.

Wieczerza odbyła się spokojnie, bo już pan Dominik baczył, ażeby rozmowa nie zwróciła się na nie takiego, coby drażnić mogło czyje przekonanie polityczne. Mówiono o gospodarstwie, a że staruszka była wielką gospodynią, więc i w tém znalazł się pokarm dostateczny dla jój wielomówności. Wszyscy ją słuchali z uwagą, bo jak wiadomo, w naszym narodzie rozmowa raz skierowana albo do gospodarstwa, albo do prawnych interesów, nie prędko od tych materyj się odwraca. Jeden tylko pan Dawid pragnął, żeby dopióro przerwana rozmowa mogła się na nowo zawiązać w tymże samym toku. Ale już to się mu nie udało. Zaprzestał więc marnych usilności, i siedział za stołem, bądź wypróżniając misy, bądź myśląc o czém inném, niż o tém, co przy wieczerzy mówiono, obiecując sobie, że jak się wszyscy rozłączą do wczasu, uda mu się sam na sam pomówić z panią Korkuciową, zawsze gotową do gawędy o rzeczach, które go więcej obchodziły, niż uprawa lnu i konopi i urządzenie nabiału.

ROZDZIAŁ V.

Skończyła się nareszcie wieczerza, a z nią i niecierpliwość pana Dawida, bo mógł przecie na nowo słyszeć panią Korkuciową mówiącą o przedmiotach, które wielce jego ciekawość pobudzały, nim wieczerza urwała rozmowę. I w samą rzecz to mu się udało; ko kiedy podstarościna po wieczerzy zaczęła się krzątać około czeladki i już się nie pokazała, a jój mąż i pan Haraburda, lękając się szeceromówności staruszki, nieco opodał od niój z sobą rozmawiali, pan Dawid siadł koło niój i rzecz zwrócił do przerwanój rozmowy. Na usilne próśby gościa pan podstarości, któremu trzeba było wraz ze świtem stać na nogach dla rozporządzeń gospodarskich, pożegnawszy naszych wędrowców udał się do alkierza, gdzie jego połowica niecierpliwie go oczekiwała. Pan Dominik w sąsiedniej izbie odmówiwszy swoje modły, już chrapał w objęciach Morfeusza, a jeszcze pan Dawid ani my-

ślał o wczasie, tak dalece zajmowały go opowiadania chodzącej kroniki domu Dorohostajskich, a tém samém i wielu domów pańskich i szlacheckich z nim połączonych.

Czytelnik raczy sobie przypomnieć, że staruszka, mówiąc o swoim panu, wspomniała o jego bracie młodszym z wielkimi pochwałami, ale zarazem dając do poznania, że przymioty rozumu i serca nie przyniosły mu szczęścia, na jakie zasługiwał. To właśnie ubodło ciekawość pana Dawida, gdyż pierwszy raz słyszał o tym bracie. I żeby ją zaspokoić, w ciągu dyskursu jakby z niechcenia, rzekł do niej:

— Czy jéjmość dobrodziejka nie zgodzi się zemną na to, że jest wyraźna wola Opatrzności, żeby my szlachta zawsze żyli w pomierności i zależności, a nasze pany w szerokich dostatkach i władztwie?

— A nie inaczej, bo nic się nie dzieje na świecie bez dopuszczenia i rozporządzenia Opatrzności; ale do czego waszmość to mówisz?

— Oto do tego, że u nas szlachty kobiety są tak płodne, a ich dzieci, chociaż nie mają lekarzy nadwornych, tak się chowają, że jakkolwiek przy szczęściu szlachcic dorobić się może majątku, jak po jego śmierci majątek między tyłu pójdzie na podział, pokaze się, że każdemu pracować potrzeba. Zauważyłem, że jéjmości jój szanowna córka z półtuzina wnucząt przyprowadziła. A co tego jeszcze będzie! bo kobieta młoda i piękna. Nas u ojca jest siedmioro; mówią o nim że majątny, i to pewna, że ma wioskę jedną i drugą, i że zawsze coś schowa na rok następny, ale na siódmój części tego dobrego nie ma o czém paradować. A czy to u nas szlachty rzecz nadzwyczajna mieć kilkanaścioro dzieci? Jak dorosną, czy sposób im żyć ze swojego? Żeby człowiek miał łeb Salomona, z piasku bicza nie ukręci; to darmo, musi bogatzemu służyć, póki nie wysłuży sobie kawałka chleba do śmierci. I dobrze, bo gdzie wiele dzieci, tam wiele błogosławieństwa. To samo dowodzi, że nasza szlachta jest błogosławiona od Boga, kiedy się rozmnaża w narodzie, żyjąc z poceziwój pracy bez zbytku, ale błogo. A czy kto widział kiedy, żeby nasz szlachcic zebrał? Bóg bogaty nie opuszcza tych, co po jego drodze chodzą. U nas im więcej dzieci, tém więcej sług Bożych. I jak to mówi Ojciec Klauzewicz, przeor Dominikanów słonimskich, mąż święty i najwyższego zdania — przez ośm lat bawił w Rzymie, musi być mądry, kiedy aż Ojciec Święty mianował go Protonotaryuszem Apostolskim — otóż on powiedział, że u nas szlachcic tyle jest szczęśliwy, że nie powinien swojej swobody frymarczyć z żadnym zagranicznym narodem. I będzie się cieszył tém swoim szczęściem, póki nie zasmakuje z drzewa mądrości zagranicznój. Dopiero zakosztuje zbytku, a wkrótce potem doczeka się nędzy. Tać to już i teraz nie jednego spotkasz, co mówi.

że u nas wszystko złe, a tylko to co cudze dobre. A czemuż cudzy nie umieją poprzestać na swoim szczęściu? Jeżeli Polak czy Litwin pokaże się za granicą, to pewnie, że nie po to, aby tamecznych pieniędzy dostał; owszem, swoje rozsypuje, a obcych wzbogaca nie wiedząc na jakie święto. A jeżeli tak wielkie ma być szczęście w tych mądrych krajach, dlaczegoż krajowce jego u siebie nie używają? Po co do nas łązić? My ich nie szukamy; jeżeli szlachcic za granicę jedzie, to że służy u pana, który go z sobą zabiera, nie pytając czy on z tego rad. A od Niemców, Francuzów i Włochów u nas ani się opędzić. Dalej, naszym chleb odbiorą, tak weiskają się do służby panów. A to złe się zaczęło, odkąd niektórzy panowie jęli się bawić wiarą przez Niemców wymyśloną, zwyczajnie, z wielkiej rozkoszy tym panom w głowie się przewróciło, a co gorsza, do tych nowinek i sług swoich namówili. Ot wiesz waszmość; ja sobie prosta baba, a tak jestem przekonana jak o duszném zbawieniu, że jeżeli się nie pozbędzie rzeczpospolita tych przybyszów zagranicznych, i wszystkich ich nowinek, to przyjdzie do tego, że szlachcic nie będzie się cieszył jak dziś że ma liczne potomstwo, ale będzie mu i jednego dziecka zanadto, bo i tego postanowieć nie potrafi. A nakoniec, krew nasza szlachecka będzie się tułać po narodach, ale nie tak gościnnych jak nasz. Francuz i Niemiec u nas się wzbogacają, a ich potomkowie będą naszym kęsa chleba żałować.

— Tać to jójmość mówisz jak książka; z tém wszystkiém to powinno zadziwiać nieco, że podczas kiedy rody szlacheckie się mnożą, tak że jak jest wieś obszerna, cała z jednej rodziny się składa i każdy nosi to samo nazwisko i tymże herbem się pieczętuje, domy pańskie ciągle wygasają przez małopłodność pań, i dobra jednego imienia przenoszą się w drugie imiona.

— A daj waszmość pokój. I stadła magnackie kiedy poczciwie żyję, dochowują się liczne potomstwa. Na co daleko szukać? JW. Tyszkiewicz, chorąży Litewski, czy nie magnat całą gębą? a przecie Bóg go obdarzył pięciu synami i czterema córkami, których wychowuje w bojaźni Bożej i miłości ludzkiej.

— Takie wypadki są zbyt rzadkie między panami. Książę marszałek mój pan był jedynakiem u rodziców, a chociaż jego pożycie z dostojną jego małżonką za wzór służyć może najpobożniejszej szlachcie, jednak tylko jeden syn i jedyna córka po najdłuższym czasie otrzymają po nich spadek. Książę Dorohostajski dotąd bezdzietny, a sam nie miał rodzeństwa, z którymby się podzielił szeroką ojcowizną, jaką otrzymał po przodkach.

— Że nasz pan nie ma dzieci, jest temu przyczyna. Wszystkim wiadomo, że to jego małżeństwo tylko dla oka. A co się tyczy nieboszczyka pana, było kilkoro dzieci, ale to wszystko powymierało

w niemowlęctwie. Dwóch tylko dorosło; pan wojewoda, co go waszmość nasz, i młodszy jego brat książę Stefan. Ale ten, wiele ucierpiawszy na tym świecie, przeniósł się do lepszego. Co to był za pan! Bo to rozumny, piękny, dobroczynny, a tak łagodnego przystępu, że wszyscy za nim przepadali. Nawet starszy brat go miłował, on, który Bogiem a prawdą nikogo nie miłuje, tak twarde ma serce. Nieboszeczka starościna była pani sprawiedliwa, ale dumna. Zwyczajnie Niemka, z panującego rodu, bo jej rodzony stryj był ksiązczciem Kurlandzkim, a chociaż zestarzała się na naszej ziemi, łamanym językiem po polsku mówiła. Pan starosta bał się jej jak ognia; co ona powie, to dla niego ewangelia. Otóż lubo książę Stefan nigdy się jej nie naraził, a książę Daniel często ją martwił swoją zuchwałością, a jednak więcej go lubiła niż młodszego, właśnie dla jego dumy. Bywało mawiała: „Daniel krnąbrny, upatry, gwałtowny, ale honor swojego domu utrzyma: a brat jego, dobre chłopię, ale z każdym się poufali. Jemu być szlachcicem, a nie panem; każdy go poprowadzi gdzie zechce. Chyba że się ożeni z panną wysokiego animuszu, która nim pokieruje. Cała nadzieja domu na nim, bo starszy ani mówić sobie daje o małżeństwie. Dobiorę ja młodszemu żonę; w Mitawie są dwie księżniczki, wnuczki mojego stryja, one rosły dla niego. Jak skończy akademię w Wilnie, tam go wyprawię. Wszakże na moich synach kończy się dom Dorohostajskich.“ Owóż tedy, kiedy wyprawiała młodych książąt do Wilna, przydała im do dozoru bombizę, wielce jak ludzie mówili uczonego, nazywał się Heldwig. Był on Niemcem rodowitym, ale od młodości przybyły do Litwy, gdzie się był i ożenił z jakąś ubogą szlachcianką. On to swojego czasu pastorował w Kojdanowie i Telechanach, aż doczekał się porządnego kawałka chleba przy kalwińskim kirku w Kopsysiu. Już pani starościna była wdową, a że bywają w dobrach męża, w okolicach Kopsysia, poznała się z tym panem Heldwigiem, sprowadziła go do Dolska, żeby z nim paniczów wyprawie do Wilna, za nagrodą tak sowitą, że nie miał powodu żałować swojego bombizostwa. Książę Daniel, jak się w domu nie chciał niczego uczyć, tak i w Wilnie zajmował się burdami, pijatyką i swoimi końmi, a nikt go nie widział na ławie. Pan Heldwig z początku usiłował go do nauki przynaglać; ale jak pomiarkował że perswazyja idzie w las, i że sprzeciwiając się tak gwałtownemu panięciu narazi zdrowie własne i tyle otrzyma tylko w zysku, zaniechał go zupełnie, a tylko młodszym się zajmował, który już w domu poduczony, chwycił, że tak powiem, wyższe nauki, tak że wkrótce mógłby i swoich nauczycieli czegoś nauczyć. Otóż pan Heldwig miał córkę Wilhelminę; ale jaką! Albo ja jej nie znałam! Pani starościna wysłała mojego drugiego męża do Wilna w swoim interesie. A chociaż miałam lat więcej trzydziestu, taki był zelant, że za nic w świecie w domuby mnie

bez siebie nie zostawił. Zabrał mnie do Wilna i tam poznałam Wilhelminę. Powiadam waszmości, że to było takie przesłiczne stworzenie, że ja, kobieta, nie mogłam się na nią napatrzeć. A do tego dobra jak anioł, a rozumna. I z pierwszego rzutu oka zaraz przekonałam się, że książ Stefan ma się do niej, a ona jest mu wzajemną; pomyślałam sobie: źle! U nas katolików lepiej, bo do paniczów sprowadzają nauczycieli księży, a przy nich kobiety widzą tylko na ulicy, a choć i w komnacie, to zawsze przy świadkach; ale u panów zagranicznego wyznania chłopcy oddane pod dozór nauczycielów żonaty; w domu żony, córki; panicze z nimi w ciągłych stosunkach. A waszmość wiesz może i z własnego doświadczenia, że wyrostka chować z dziewczyną, jest to proch trzymać przy ogniu; jak tu dopilnować, żeby się nie zapalił? Dość, że książ Stefan i panna Wilhelmina z sobą się pokochali, i to jeden, to druga, zaczęli się przedemną z tém zwierzać. Ja perswaduję kniaziowi, mówię mu: „Nie ró b panie krzywdy uczciwój dziewczynie, bo jak jój spokojność odbierzesz, co za zysk? a jak ją zhańbisz, sława dziewczyny o pomstę woła do Boga, na tego który ją zdeptał“. A on się na mnie oburzył. „A co waćpani myślisz?“ — prawi — „jabym zniewazył moją najdroższą Wilhelminę? ja się z nią ożenię.“ Na te słowa aż mrowie przeszły po mnie. Myślę sobie, chłopiec oszalał. Czy podobna, żeby małżeństwo między tak wielkim panem a osobą niskiej kondycyi dało się skleić? Bo chociaż ludzie mówili, że pan Heldwig był szlacheicem, ale cóż u nas warte niemieckie szlachectwo bez naszego indygenatu? Ja, choć nie byłam za granicą, a przecież wiem, że w Niemczech są książęta jak nasi magnaci, którzy nawet często z niemi się koligacą; a szlachta u tamtych jest w poddaństwie, a nie tak jak u nas. Zdobyłam się mu powiedziéć: „Ach panie, zaniechaj tego, bo ani pani starościna, ani pańska familia nigdy nie pozwolą, żebyś w ich dom przyprowadził żonę z rodu im nieodpowiedniego; a jeżeli potajemnie się z nią ożenisz, i ją i siebie zgubisz. Pani starościna ma już napięte małżeństwo dla pana, a jak sobie co postanowi, nigdy od tego nie odstąpi. A gdyby broń Boże starszy brat pański czegoś się domyślił, aż strach bierze o tém pomyśléć“. A książ starościec młodszy na to: „A co tam się waćpani roi, moja pani Korkuciowa? Wszak to i u was i u nas stoi na Piśmie, że opuścisz ojca i matkę dla żony, tak Bóg przykazał. Ja kocham Wilcię, a ona mnie. Jój nie opuszczę, bo ona mojm szczęściem. Radbym być posłusznym jójmości matce i nie narazić się mojej familii, a zwłaszcza mojemu bratu, bo młodszy starszego winien szanować jak ojca. Ale o ile to się zgadza z prawem Bożém. A co się matce ubrdało względem księżniczki Kurlandzkiej, nie z tego nie będzie. Nie imości matce żyć z moją żoną, ale mnie, a więc jój wybór do mnie należy.“ *Ja mu na to, i nie bez płaczu, bo przewidywałam jakie nie-*

szczęścia z tego wynika. Ach panie, uciekaj ztąd do Dolska, póki jeszcze bieda nie dojrzała. Tać to prawda, że Bóg postanowił, żeby do małżeństwa wola była wolną, a nieprzymuszoną. I nam chudym pachołkom to pozwolono. Ale im kto wyżej stoi, tém mniej mu zostawują w tém woli. Królowie panną nad wszystkiemi, a jednak gdy przychodzi pora żenić królewicza, albo go pytają, czy mu się to podoba, czy nie? Rad nierad musi wziąć tę, jaką mu naznaczą. Taż to kronika pisze, że naszego Zygmunta Augusta omal że nie przymusili odagnać od siebie nie kochankę, nie narzeczoną, ale prawdziwą żonę, tak się panowie rady oburzyli, że bez ich przyzwolenia się ożenił. Wiele musiał wytrzymać, nim mu się udało zachować drogą małżonkę. A przecie to był król, pan wielkich trzech narodów. A cóż dopiero magnat, jakim pan jesteś? Wszak i wy naśladujecie królów; a czy to słyszana rzecz, żeby magnat bez błogosławieństwa matki i na przekór całej swojej familii się żenił? Ja zaręczam, że pani nigdy na to się nie zgodzi, a jeżeli bez jój woli pan się ożenisz, do śmierci nie da się przeprosić; a nuż pana przeklnie, czy Bóg pobłogosławi przekłętę od matki syna?" — Dość tego — odpowiedział — ja żadnych perswazyj nie przyjmuję. Dalem słowo Wilci, że będę jój mężem; w tém moja cześć i poczciwość, bym go dotrzymał. Żeby nie tylko matka, ale król i sejm mieli coś przeciwko temu, nie będę im powolny, bo milsza mi moja poczciwość szlachecka nad wszelką bezpieczeńność, a cóż dopiero zaszczyty i bogactwa. — Niechże pan przynajmniej napisze do pani — odrzekłam — prosząc ją o pozwolenie i błogosławieństwo; bo jakże nie opowiedziawszy się matce, tak ważną rzecz przedsiębrać — A on na to: — A to jak widzę waćpani chytujesz; jakbym do matki napisał zawczasu, toby takie ku temu stawiała przeszkody, że możebym i nie potrafił ich przełamać. Jak Wilcia zostanie moją żoną, to ją o tém zawiadomię, bo już będzie po wszystkiém. — Nie było sposobu upierać się, bo choć to było panięcie anielskiego serca, ale przecie i w jego żyłach płynęła zuchwała krew Dorohostajskich. Uniesienie się pana zawsze chudemu pachołkowi straszne. A co téż ja nie nagadałam i pannie Wilhelminie w tymże sposobie! Bywało biedna dziewczyna płacze, aż żal patrzeć, bo umiała poznać że mam słuszność. Ale cóż! nieboga była przywiązana do kniazia Stefana; jak takiego nie kochać? A to z czém mi się oboje zwierzali, tego ani kniaz Daniel, ani pan Heldwig nie domyślali się. Brała mię pokusa oczy otworzyć ojcu, żeby temu jakoś zapobiegł, ale pomyślałam sobie: a nuż to na jeszcze gorsze wyjdzie? Nie mogłam się odważyć; nawet przed mężem z niczém się nie wymówiłam. Sama radabym była to zapomnieć, i z niemalą radością opuściłam Wilno, ale i ze strachem pospołu, żeby broń Boże nie paść w podejrzenie u pani, że o czém wiedziałam. Bo w takim razie zginęłabym z mę-

zem i dziećmi. Ale co się potem zrobiło! Sądny dzień był w Dolsku, kiedy przyszedł list do pani od kniazia Stefana, ale już z zagranicy, w którym jej donosił że już żonaty, i że nie powróci do kraju, póki mu nie pozwoli przywieźć synową. A to tak się zrobiło: on próbował w Wilnie się ożenić, i o to udawał się do wszystkich Bombizów wileńskich. Żaden z nich nie chciał się narazić na gniew i zemstę domu Dorohostajskich, który z Radziwiłłami Birzańskimi przewodniczył wszystkim dyssydentom na Litwie. To nie tylko o ich osoby chodziło, ale o bezpieczeństwo ich wyznania, bo umieli przeciw poznać, że gdyby nie opieka magnatów litewskich, a zwłaszcza Radziwiłłów i Dorohostajskich, toby prawowierni w puch rozbili wyznawców nowej wiary, bo ci względem tamtych są jak jeden do pół tysiąca. Przekonał się młody książę, że na próżno ich do tego skłaniać, gdyż każdy uszy sobie zatykał ze strachem, żeby tego nie słyszeć. Ale sobie umiał poradzić. Wprawdzie matka była dożywotnią panią całkowitego majątku Dorohostajskich, ale syn był właścicielem jego połowy; więc mógł zaciągać summy na ewikęją pewną. Chociaż kto dał, musiał być cierpliwym i nie wiele dufać w odbiorze summy w terminie oznaczonym, ale mógł się na to zdobyć, tém więcej, że jak to bywa w podobnych okolicznościach, dawał jeden, a brał podpis na dwa, a może i na trzy. Od czego żydzi i kupcy? Dość że nagromadziwszy grosiwa, uciekł ze swoją Wilcią do Prus, i z nią wziął ślub w Królewcu, gdzie się nikt nie obawiał gniewu pani starościny. Jeszcze to książę Daniel wtedy z własnego domysłu puścił za niemi w pogoń. Jak Jakób przed Ezawem, tak książę Stefan przed bratem uciekał. Tylko co nie był doścignięty, ale udało mu się schronić pod opiekę księcia Pruskiego. Było się czego nasłuchać od pani, jak odebrała list syna. Niech Bóg broni, co ona wygadywała! — Co to — mówiła — ja mam przyjąć do domu tę bakalarczankę! Już doczekałam się hańby mojej krwi! — A potem jak zaczęła przeklinać syna, aż włosy na głowie się jeżyły, słysząc podobne przeklinania. I mnie się wtedy dostało: — Jak to wacani nie było widzieć tego, co się przed jej oczyma robiło, kiedy byłaś w Wilnie? — I to było przedwstępem do najwięcej krzywdzących wyrzutów. Wszystkich przeklinała, na wszystkich się odgrażała, aż nakoniec znękana tak gwałtownym wzruszeniem, jak zaczęła mdléć, to ledwośmy ją dotarli. A na nieszczęście w kilka dni potem przybył i książę Daniel, właśnie jakby dla dodania siarki ognio-wi, bo on jeszcze był więcej zawzięty naprzeciwno bratu, niż ich matka. Koniec końców, pani starościna tak zaniemogła, że przez sześć tygodni z pościeli nie wstała. A chociaż ją lekarze nadworni odratowali, że powstała, a nawet jako tako parę lat jeszcze przeżyła, to w ciągłych lekarstwach. Przechodzi dzień, a przeleży dwa; co warte takie życie? A i takiem ledwo dwa lata się cieszyła; aż nako-

niec już tak zapadła, że nie było ratunku; sama poznała, że trzeba się rozstać ze światem, a do ostatniej chwili nie dała się zmięknąć względem kniazia Stefana. Dusza była na wylocie, a jeszcze go przeklinała. Książ Daniel zjechał do niej, długo z nim rozmawiała, i w przytomności nas wszystkich zaklinała, ażeby póki żyw, nigdy nie dopuszczał dzieci swojego brata ani do imienia, ani do majątków Dorohostajskich, co aż nadto trafiło do jego przekonania. Ale tak się rozgadałam, że wyszło mi z myśli, że waszmość nie wyczasowany, znużony podróżą, a ja mu nie daję wypocząć, choć już późno.

— I owszem, za krzywdę poczytywać będę, jeżeli jéjmość dobrodziejka przewiesz opowiadanie swoje w chwili najciekawszej. Jéjmość się jutro wypisz do woli, a ja snu nie potrzebny. Upraszam jéjmość o przedłużenie swojego dyskursu. Cóż się zrobiło po śmierci pani starościny?

— Kiedy to waszmości nie nudzi, a więc skończę. Nam sługom nie było krzywdy, bo pani o nas wszystkich pamiętała; w Dolsku, zwyczajnie jak w domach naszych magnatów, aby kto miał szczęście zostać sługą, już nigdy nim być nie przestawał. Ja z domu pani poszłam za pierwszego męża, a za drugiego zawsze za jój pozwoleniem, i lubo żyłam na zapracowanym przez nas chlebie, a tylko kiedy niekiedy pokazywałam się pani, nie przestawałam rocznie pobierać po trzydzieści złotych, jak gdybym zostawała w ciągłej służbie. To samo i inni. Owóż pani umierając zaleciła synowi, żeby wszyscy umieszczeni na spisie sług, naznaczone im roczne zasługi do śmierci od niego pobierali, a nawet powiększone zostały dla tych, co jój usługiwali w ostatniej chorobie. I w tém żaden z nas nie doświadczył krzywdy od kniazia, terazniejszego wojewody Witebskiego. Ja synowi i córce wszystko oddałam, co było ich ojca i mojego własnego. Bo mój pierwszy mąż mnie zostawił i z dobrém gospodarstwem i z kilkoma groszami, tak że ich ojciec nie wziął mnie biedną. A jak wydałam córkę, osiadłam przy niej, a nie jestem dla niej ciężarem, bo corocznie pobieram ze skarbu Chotyńskiego pięćdziesiąt złotych. Albo nie dość dla baby? Sprawuję wnuczętom sukienki, a jeszcze z roku na rok coś się okroi.

— A cóż się stało z kniazem Stefanem?

— A cóż? Nieborak wywiózł trochę pieniędzy, jakich zapożyczył na Litwie, było z czego żyć, nie po pańsku wprawdzie, ale po szlacheczkę. Zwłaszcza przy tak rządnej gospodyni jak kniaziewa Wilhelmina, bo jużci ten tytuł jój przynależy, kiedy była żoną kniazia, od tego ją odsądzić nie można, chociaż się na to zżyma nasz wojewoda. Z początku książę Pruski, który to nieszczęśliwe stadło polubił, wspólnie z księciem Kurlandzkim, stryjem naszej pani, przez posły i listy do niej się wstawiali, żeby dała się przeprosić synowi,

a synową przyjęła jak Bóg przykazał. Ale tak ją znajdowali twardą, że nareszcie tego zaniechali. Nasz pan terazniejszy tak był zawzięty na brata, że zagarnawszy jego fortunę, nie chciał nawet jego wierzycielom się uiścić, aż go przekonali sędownie. A książę Stefan tak się obawiał brata, nie tyle dla siebie, ile dla żony i synka, którym go Bóg pobłogosławił, że po śmierci matki nie przybył do kraju upominać się o swoje, zostawując to czasowi. Nakoniec przekonawszy się, że były w Królewcu zasądki, żeby mu wykraść synka, pomiarował że Królewiec zanadto blisko od naszej Litwy, i przeniósł swoje mieszkanie dalej gdzieś w głąb Niemiec. Mój Boże! kochali się jak gołąbeczki, a wiem że książę Stefan nie był szczęśliwy. Bo choć wedle nas chudych pacholków, niedostatku nie doświadczał, ale obfitość szlachecka jeszcze jest niedostatkiem dla tak wielkiego pana. U nas szlachcic może być i często bywa ubogim, ale biednym nigdy. I ztąd nawet okolicznej szlachcie, kiedy kto powie że biedny, zaraz się obrazi i odpowie: tylko djabeł biedny, bo nie ma duszy. I ma wielką słuszość, bo kto ma co jeść i w czym chodzić, taki nie może nazywać się biednym, a właśnie ani na jednym, ani na drugim nie zbywa szlachcicowi, jeżeli ma choć cokolwiek statku. Ale pan, to co innego. Czy mało musiał ucierpieć nasz pan starosta, że nie mógł żony utrzymywać na takiej nodze, jakby przystało małżonce tak wielkiego, bo z pradziadów i naddziadów pana? Albo, że nawet świetne w naszych dziejach swoje nazwisko tać musiał, żeby jego brat o nim się nie dowiedział? Czy raz może został upokorzonym przez jakiegoś tamecznego, który że miał więcej pieniędzy od niego, tym samym miał siebie za coś wyższego? Bo w kraju fabrykantów, rzemieślników i kupców pieniądź wszystko może. Trzeba było i takiemu ustąpić z drogi, raz żeby siebie nie wydać,—powtóre, że nie było komu rozkazać, żeby rozciągnąć zuchwalca. A czy to mu było miło widzieć żonę w bławacie, on, któryby ją był rad widzieć zawsze w jedwabiu i okrytą perłami? On który miał miliony, był bogatszym niż książęta udzielni w Niemczech panujący, a do użytku własnych dostatków nie śmiał trafić przez zbieg okoliczności! Żona była wesoła, bo wychowana w mierności; w samej rzeczy na niczym jej nie zbywało. Wszystko było dla niej dobrém, bo o lepszym nie wiedziała. Ale jej męża tak wszystko to gryzło, tak mu dopiekało, a nie bez tego, żeby i przekleństwo konającej matki nie stawało często przed jego umysłem i w serce nie ubodło. Dość że w połowicy dni swoich stanął przed Bogiem, nie spełna we dwa lata po śmierci pani, ale z pożytkiem dla duszy; bo że jego żona przez swoją matkę katoliczką była wychowana, że tylko przez wzgląd dla ojca, wydawała się kalwinką, a w duchu trzymała z nami, więc jeszcze mieszkając w Królewcu wymogła na mężu, że rewokował, co jeszcze więcej przeciw niemu

rozjątrzyło matkę i brata, skoro się o tém dowiedzieli, a nawet obrzili księcia Pruskiego, że nie bardzo ich zatrzymywał, kiedy zabierali się opuścić jego państwo. I tak skończył młody nasz pan Stefan, zostawiając wdowę i synka czteroletniego, biednego w oczach ludzkich sierotę, a który jednak jest prawym właścicielem połowy dóbr Dorohostajskich, a spadkobiercą drugiej, bo książę Daniel mieć nie będzie potomków. Ja wiem, co naszemu panu w głowie się snuje, ale nie z tego nie będzie! Panią wojewodzinę nikt nie namówi do zbrudzenia swojej cnoty; bo gdyby ona była z tego co i ja wyznania, powiedziałabym o niej że to święta pani. A Bóg nie dopuści krzywdy sieroty.

— I gdzież on się teraz znajduje?

— Tyle tylko wiem o nim, że jest w kraju. Jego matka, póki żył jej mąż, nie dbała o włości i zamki, które na niego spadły, bo miłszą jej było jego bezpieczeństwo nad wszystkie ziemskie skarby. Ale po jego zejściu zaczęła się przejmować obowiązkami matki, ażeby zabezpieczyć los swojego dziecka. Jednak troskliwa o jego całość, nie odważała się w nasze strony zawitać, nie najwięcej ufając w pomoc przyjaciół, jakich książę zostawił na Litwie, chociaż miał ich mnóstwo, bo kto go poznał, musiał go kochać. Nawet nasz pan, lubo z sercem wcale nie mięsistém, a jednak jak przyszła do niego wieść o śmierci brata, zauważono że przez kilka dni bardzo był zasmucony, i nikomu do siebie przystępu nie dopuszczał. Ale kiedy już jej chłopczykowi skończyło się lat siedm, żadna obawa, żadne względy w Niemczech jej zatrzymać nie mogły; odważyła się stanąć na ziemi Litewskiej. Tam znalazła wierną przyjaciółkę, i jej powierzyła synka. Oprócz niej nikt nie wiedział, ani się nawet domyślał, kim był ten chłopczyk. Tyle tylko, że każdy mógł widzieć, że dziecię było prześliczne, bo żywy wizerunek ojca, i nadzwyczajnej roztropności. Tak dalece, że chociaż mu było dopiero rok ósmy, matka przed nim odkryła wszystko, co się jego tyczyło, pod warunkiem że z tém nigdy się nie wymówi, pókad mu tego nie pozwoli, i będzie czekał cierpliwie chwili, w której Opatrzność pozwoli mu przyjść do tego, co jest jego własnością. I chłopczyk w istocie z niczém się nie wymówił; a zmuszony być policzonym między sługi, jeżeli czém zdradzał wysoką krew, jaka w jego żyłach płynęła, to chyba nadzwyczajną szlachetnością w obyczajach i postępkach. A sama się udała do księcia Daniela, naszego wojewody, jako do głowy domu. Ale ten ją tak przyjął, że nie wiem, jak nieboga nie umarła z samego strachu. Nazłorzeczył jej, niech Bóg broni w jakich wyrazach, nazwał ją nierządnicą, zabójczynią jego brata, przebrzydłą czarownicą, którą żywcem wartoby spalić za oczarowanie Stefana. Mówił, że nigdy nie dopuści bękartowi dzielić się z nim ojcowizną, i inne podobne przysmaczki. Książkowa Wil-

helmina zniknęła mu z oczu, ale zaraz i z Dolska, w czym pokazała się roztropną, bo w kilka godzin po tej scenie książę wojewoda już ją kazał szukać, niewiadomo po co, to pewna tylko, że nie na dobre dla niej, tylko że śludzy już jej znaleźć nie mogli. Ale rozgadałam się bez uwagi, i to mówię, o czym bezpieczniejby mi było milczeć. Bóg świadek, że waszmość jesteś pierwszy, z którym jestem tak otwartą. Tak mnie ująłeś nie wiedzieć czém, że zapomniałam wszelkiej ostrożności, bo tak wydajesz mi się szczerem, że przypuścić nie mogę, byś mógł na złe użyć mojej ufaości.

— Mów jójmość — rzekł z uniesieniem pan Dawid, porwawszy ją za rękę — mów dalej, a poprzysięgam na moją poczciwość szlachecką, że niemniejszy od jójmości biorę udział do wszystkiego, co się tyczy tych dwóch istot.

— Dawne nasze stosunki nie uszły z pamięci kniaziowej. Widywałam i dotąd widuję ją w tém ustroniu, które obrała sobie za siedlisko, gdzie od lat kilkunastu ukrywa się od prześladowania zawziętego na nią szwagra. Co do jój syna, schroniła go była w miejscu dla wszystkich otwartém, a jednak bezpieczném. A to widocznie z rozporządzenia Opatrzności nastąpiło. Bo kiedy wracała do ojczyzny, o niczém inném nie myśląc, tylko żeby ubezpieczyć syna od przemożnego prześladowcy, trzeba było takiego wydarzenia, że w jednej gospodzie na wielkim gościńcu spotkała się z jednym potężnym magnatem, jój nieznanym osobiście, chociaż bezwątpienia o nim słyszeć mogła. Był-li on z Korony czy z Litwy? tego nie powiem. To pewna że był panem wspaniałym. Uderzyła go piękność ubogiej kobiety, a jeszcze więcej piękność, a zwłaszcza roztropność jój chłopczyka. Zapytał ją, co ona za jedna: ona naturalnie skłamała sobie nazwisko, czego jój za grzech pocztać nie można. Tyle tylko mu wyznała, że jest szlachcianką, w stanie wdowieńskim, i że nie ma o czém wychować swojego jedynaka. Ten dobry pan, pobudzony współczuciem dla losu matki, a któremu dziecię wielce się podobało, bo go wziął na swoje kolana i ciągle go pieścił rozmawiając z matką, powiedział jój: — Powierz mi jójmość tego chłopczyka, a możesz być spokojną o jego losie. Mam synka jak i on jedynaka, którego pragnę wychować dla pożytku kraju, i pociechy mojej starości. Jest on jego rówieśnikiem, niech się ćwiczą razem w naukach. A za moje staranie około jójmości chłopca, sowitą otrzymam nagrodę, dając przyjaciela mojemu synowi. — Kniaziowa nisko się skłoniła. A że zamek tego pana nie był oddalony od tej gospody, więc za nim wyruszyła i odwiozła mu swoje dziecię. Trzeba było takiego wypadku, że marszałek dworu tego pana był jój kiedyś znany, a nawet był w jakimś swojactwie z jój matką. Był to zacny i sumienny szlachcic, śmiało mu się z wszystkiego zwierzyła, prosząc go o opiekę dla syna. I w sa-

mój rzeczy nigdy nie miała powodu tego żałować, bo nie tylko że najświęciej powierzoną mu tajemnicę dochował, ale przywiązał się do chłopca jakby do własnego. A mając zwierzchność nad licznym dworem, z butnej szlachty złożonym, pilnie przestrzegał, żeby od nikogo ani poniżenia, ani przykrych swawol nie doświadczał. Sam z nim obcując, okazywał mu jakiś rodzaj uszanowania, co już całemu dworowi służyło za rękojmię, że sierota, lubo nazwiska nieznanego, musi być zacie urodzony. Rosł chłopiec i dobrze się uczył pospołu z paniczem, i coraz na większe względy pana i pani zasługiwał. I wszyscy też u dworu go miłowali, bo jak jego ojciec którego był najwierniejszym obrazem, tak i on miał nadzwyczajne szczęście do ludzi. Bo to rozum, dobroć, waleczność, piękność, wszystko za nim przemawiało do serca. Z początku matka kilka razy na rok go widywała, a zawsze potajemnie; nieboga przyjeżdżała do dworku umyślnie na to przeznaczonego od marszałka dworu; tam on ję przywoził syna. Napłakali się z sobą, napieścili się, matka nie mogła dość się nacieszyć jego postępami w mądrości Boskiej i ludzkiej. A po kilkugodzinnym pobycie wracała do swojego ustronia, i mnie wszystko, jako najlepszą swojej przyjaciółce opowiadała, by dzielić się ze mną pociechą, jakiej doświadczała ze strony syna. Ale później, kiedy już nie nadzieja pociechy, ale istotna pociecha była z niego, bo już nie dzieckiem, ale był gładkim kawalerem, omal nie każde poruszenie objawiało, że z wysokiego rodu musi pochodzić, a zwłaszcza nadzwyczajne podobieństwo do ojca. Otóż z rady tego marszałka dworu wypadło, żeby kniaziowa zaprzestała go nawiedzać; biedna matka i na tę ofiarę się zdobyła, a ja byłam świadkiem, ile to ją kosztowało. Nakoniec nie wiem co się w zamku tego pana zrobiło: ale musiało coś zająć bardzo ważnego, kiedy młody kniaź z niego zniknął; a chociaż może i domyślam się czegoś, pozwól waszmość, że to przy sobie zatrzymam. Tyle tylko powiem, że go widziałam u matki po opuszczeniu zamku przez niego; ale wkrótce potem, on i matka wynieśli się gdzieś daleko, bo od lat kilku żadnych nie mam od nich wiadomości.

— Przebóg! — odrzekł z pośpiechem pan Dawid. — Jakież światło roztoczyło się przed wzrokiem moim! Wszakże nie tylko że młody kniaź mi znany, ale nawet zaszczytam się jego łaską. Bo nie śmiew nazwać przyjaźnią tych związków, które nas łączyły, kiedy się nawet nie domyślałem kim jest ten, co mi pozwalał nazywać siebie przyjacielem. Nie inaczej, kniaź Dorohostajski jest to ten Gaskold, który się wychowywał w zamku Birzańskim z księciem Olbrachtem, a z nami wyrosł na dworze księcia marszałka wielkiego Litewskiego, mojego pana. My się domyślali, że to musi być coś niepospolitego; raz że pan Pacyna nam często powtarzał, że ten sierota jest zacie

urodzony; powtóre, że dość było nań okiem rzucić, żeby już się upewnić, że ten młodzieniec nie nasz brat. Jak mówią, pana po cholewach poznać; coś było w nim takiego, że każdy rad nierad musiał go szanować; to mało, żeśmy go szanowali, aleśmy go i miłowali dla jego nadzwyczajnej dobroci. Po tém wszystkiém, co jéjmość dobrodziejka opowiadać raczyłaś, wątpić nie mogę, że to o naszym Gaskoldzie była mowa. Niechże Bóg jéjmości wynagrodzi, żeś mnie upewniła że przecie żyje, bośmy go mieli za przepadłego. I nie było dworzaniina w Birzách, żeby kilku też nie uronił nad zgonem tego zacnego młodzieńca. Już i ja teraz mogę o nim powiedziéć coś takiego, o czém jéjmość nie wiesz.

— Przyznam się waszmości, że lubo go oglądałam u jego szanownej matki wkrótce po jego wyjściu z Birzów, nie wiem o powodach, któremi został zagniony do opuszczenia pana, który zawsze dla niego był życzliwym.

— Pan Gaskold, bo zostawiam mu nazwisko, pod którem był nam znany, jak jéjmość jest tego świadoma, ćwiczył się w naukach z młodym księciem Olbrachtem, i obaj panięta od dzieciństwa powzięli wzajemną przyjaźń, że miłowali siebie jakby byli rodzeni bracia. A książę pan tak dalece tém się cieszył, że niejednemu było w myśli, że Gaskold musi być owocem jakiejś jego potajemnej miłości. I jako nie uchodzi złych języków, o tém powszechnie mówić zaczęto, z tém większą krzywdą księcia, że ten pan zawsze był znany z surowości obyczajów, że nigdy czegoś podobnego sobie nie pozwalał, a jako będąc kawalerem umiał się od wszelkiego zepsucia uchronić, tak ożeniwszy się, żył i żyje ze swoją czcigodną małżonką wedle przykazań Boskich, jako przystoi naczelnikowi religijnego stronnictwa. Miaruj jéjmość, że nasz zamek, lubo w nim tyle się znajduje młodzieży obojga płci, pod tym względem jest istnym klasztorem; bo książę pan, jakkolwiek przyrodzenia łagodnego, jest nieubłagalnym na wszelkie przestępstwa podobnego rodzaju, w czém i księżna pani zawsze mu dzielnie dopomagała. Owóż tedy te ludzkie obmowy, podżegane i wypiastowane od ludzi niechętnych księciu (bo któż na tak wysokim stopniu może pochlebiać sobie, że wszystkich ma dla siebie życzliwych?) tak dalece dopiekły obojgu księztwu, że biedny Gaskold na tém ucierpiał, gdyż zupełna zmiana zaszła w jego położeniu. On, który był u księztwa jakoby okiem w głowie, odtąd był jak my wszyscy, a nawet gorzej, bo był przyzwyczajony do czegoś lepszego. Tyle tylko, że zostawał jak my wszyscy pod bezpośrednią zwierzchnością pana Pacyny, marszałka dworu, a ten nigdy nie zmienił względem niego dawnego postępowania, i nie przestawał mu okazywać jakiegoś uszanowania, co nas, jego kolegów zadziwiała. Aleśmy tego mu nie pozazdrościli, bo zawsze on był dla nas miłym. Mówię jéjmości o rze-

ozach nieco dawnych. Owóż tedy, kiedy obaj kawalerowie skończyli w zamku nauki, bo jako się powiedziało, razem się uczyli, a z całego świata najbieglejsi mistrzowie dla nich byli sprowadzani, tak że jedno skrzydło zamku Birzańskiego wyglądało jakby jakaś akademія, i książę Olbracht i Gaskold tak pięknie dali się wychować, że nie można było powiedzieć, który z nich rozumniejszy; co jeden wiedział, to wiedział i drugi, a sami mistrzowie przyznali się, że już nie takiego nie wiedzą, o czémby i tamci nie byli doskonale świadomi. To co mówię, działo się bezemnie, bo ja przez ten czas odbywałem mój zawód szkolny i akademicki w Królewcu. A dopiero wtedy ojciec, pan Ciwun Eyragolski przywiózł mię do Birzów, i za łaską księcia pana umieścił mię w jego dworze. Na nim poznałem księcia Olbrachta, i zacząłem się zaprzyjaźniać z Gaskoldem. Księstwo od niejakiego czasu powzięli zamiar wyprawić księcia Olbrachta do najjaśniejszego wuja, kurfirsta falcgrabi Reńskiego, i książę dał się z tém słyszeć, że Gaskolda przeznaczy synowi na towarzysza podróży. Ale kiedy doszło do ich uszów, że świat upatruje w stosunkach księcia pana z Gaskoldem coś ściślejszego, niż litość sama przemożnego magnata nad szlachetnym sierotą, książę pan postanowienie swoje odmienił, i oświadczył, że Gaskold zostanie w Birzach, i właśnie wtedy postąpił go na dworzanina; a jako nad nami wszystkimi, przelał i nad nim swoją opiekuńczą władzę na pana Pacynę. Było widziéć, jaka była rozpacz młodych przyjaciół, kiedy się z sobą rozstawali. Bo to pewna, że gdyby Gaskold był rodzonym bratem księcia Olbrachta, więcéj nie mógłby być od niego miłowanym. I te święte uczucia przyjaciółni wzajemnej posłużyły nawet złym językiem do ich nieczemnych domniemywań.—„To głos natury się odzywa” —powtarzali, i te ludzkie gadania nie były tajne księciu panu; bo, jak jójmości wiadomo, gdyż nie od dnia wczorajszego żyjesz na tym świecie, jeżeli kto za oczy coś dobrego o kim powié, ten się o tém albo dowié albo dowié, a jeżeli coś złego, to z chyżością strzały trafi do jego uszów. Dość, że książę Olbracht ze łzami padał do nóg ojcu, błagając go, żeby ich nie rozłączał; ten nie dał się zmiękczyć, i swego ostatecznego wyroku nie cofnął. Szło Gaskoldowi siako tako w Birzach, póki książę Daniel wojewoda nie zaczął tam uczęszczać; a nawet jego rozstanie z przyjacielem od dzieciństwa było mu znośniejsze, niżeli tamtemu. Jójmość tak mnie zobowiązała swoją otwartością, że i ja, lubośmy się dopiero poznali, tyle jój ufam, że to jój wypowiem, o czém nieraz strach bierze i pomyśléć...

Tu pan Dawid przysnął zydelek, na którym siedział, do krzesła staruszki, i jakkolwiek tylko półgłosem dotąd rozmawiali, jeszcze ci-szej się odzywał, w czém do zbytku pokazał się ostrożnym, bo w alkierzu gospodarz z dziatwą spali jak zabici, a w bokówce przerażliwe

chrapanie pana Dominika Haraburdy jeszcze mniej wątpić pozwalało, że śpi snem sprawiedliwych.

— Owóż tedy moja jéjmość znasz panią wojewodzinę, nie mam więc potrzeby jéj powiedziéć, co już sama dobrze wiesz: że to jest dobroć nad wszystkie dobroci, rozum nad wszystkie rozумы, a piękność nad wszystkie piękności. Bywało i uczy się i bawi z bratem i Gaskoldem: jeszcze to byli dziećmi, a już miłość wypuszczała kielki w ich sercu. Już wtedy dworscy coś zauważyli, i między sobą zaczęli nawzajem swoje spostrzeżenia powierzać, ale kiedy bywali we dwóch; bo jak trzeci się przybliży, zaraz urywali tak niebezpieczną rozmowę. A kiedy wyrosli, jeszcze więcéj o ich skłonności się przekonywali, lubo jeszcze ostrożniéj o tém mówili. Kiedy przybyłem do dworu, to wszystko było dość widoczne — księztwo tylko niczego się nie domyślało; a najmniejsza o tém wieść nie mogła dojść do ich uszów, bo domownicy, którzy coś wiedzieli z domysłu, będąc przywiązani i do księztwa i do księżniczki Eleonory, a życzliwi Gaskoldowi, nieby takiego nie roznieśli, coby komu z nich szkodę i zgryzotę przynieść miało. Każdy pomyślał sobie: — a co mnie palce kłaść w szpary? niech się tego państwo sami domyślają! a mnie na co się przydało być sprawcą czyjego nieszczęścia? — A ludzie nieżyczliwi i złośliwi, jakich między domownikami nie było, a tylko między cudzemi, tego zauważyć nie mogli, ani téż na to domysłem trafić, bo już ich potwarze na innéj były drodze. Wymyślili, że Gaskold był bratem księżniczki, że ta przyjaźń książęcych dzieci dla niego ztąd się zawiązała, że jedna krew w ich żyłach płynęła. Jakże tu można było powiedziéć, że pomimo tych związków natury innego rodzaju miłość pobudziła się między bratem a siostrą? I potwarz ma swoje granice. Tymczasem wątpiwości nie ulega; że siarka przy ogniu się zapaliła, i że młodzi pokochali się, nie rozumiejąc nawet co to jest miłość; i właśnie dlatego że nie rozumieli, to jéj nie zapobiegli. Księżniczka po odjeździe brata, z którym od niemowlęctwa się nie rozstawała, rada była o nim rozmawiać z jego przyjacielem; i ta rzecz w ten sposób wystawiała się przed rodzicami, cieszącami się owszem z wzajemnego przywiązania ich dzieci. Książę Radziwiłł wtenczas, jak się zdawało, szczerze pomyślał o swojej blizkiéj; ale pomiarkowawszy, że księztwo nie życzyło sobie mieć go za zięcia, a z drugiéj strony, że oprócz przyjaźni niczego nie mógł pozyskać u księżniczki, tego zaniechał. A wtém kniaź Daniel zaczął się jéj zalecać. Kniaź mógłby być jéj ojcem, a jak jéjmości wiadomo, nie nie było w nim takiego, coby ułagodzić mogło wstręt przyrodzony młodéj dziewicy od podżyłego kawalera. On sam ani chciał, ani umiał zastąpić przymiotami serca i rozumu tych powabów powierzchownych, jakich natura nawet jego młodości odmówiła, a cóż dopiéro w przejrzałym wieku. To téż rzeczywi-

ście nie on starał się o księżniczki rękę, ale można powiedziéć, że połowa Litwy usiłowała skłonić drugą połowę do zjednoczenia się z sobą. Książę pan, jako wódz stronnictwa, sprzyjał zabiegom przyjaciół kniazia, ale jako ojciec nigdyby przemocnie nie rozrządzał wolą swojej jedynaczki; a ta nie tała wstrętu, jaki miała do tego nowego konkurenta, i owszem usiłowała wszystkich i jego samego o nim przekonać. Książę to wszystko czasowi zostawił, daleki od odebrania wszelkich nadziei kniaziewi, którego wcale nie życzył odstręczać od siebie. W samą rzecz, odkąd książę został tak dobrze jak domownikiem zamku Birzańskiego, partya nazwana Dyssydenką, a obejmująca omal nie całą Litwę, która dotąd była rozdwojoną między księciem Bogusławem Radziwillem, a kniazem Danielem Dorobostajskim, zjednoczona stosunkami tych dwóch wodzów, jakby w jednym działała kierunku, gdyż książę wszystkim swoim oświadczył, żeby za jego przykładem odtąd byli posłuszni rozkazom księcia. Właśnie wtenczas Szwedzi naszli rzeczpospolitą. Książę i książę, jakkolwiek nieżyczliwi swojemu królowi, próbowali im stawić czoło. Własnymi milicjami i dworami złączyli się z hetmanem Gąsiewskim i wspólnie działali przeciwko Szwedom; pokilkakrotnie próbowali z nimi szczęścia, i sprawiedliwość winna być im oddana, że obaj niepospolite dawali dowody odwagi żołnierza, i roztropności wodza. My na to patrzyli, bo znajduwaliśmy się w tych wszystkich potyczkach; a nawet Gaskold przez nadzwyczajną dzielność ściągnął ku sobie uwagę wszystkich trzech wodzów. Ale wszędzie po mężnym oporze zostaliśmy pobici. Nigdzie nam szczęście nie sprzyjało, a że wytrwanie nie jest przymiotem naszego narodu, więc pan hetman Gąsiewski pierwszy wszedł w umowę z królem Szwedzkim, a wkrótce potem i książę i książę za jego przykładem odstąpili swojego króla, z wielkim naszym zalem, bo chociaż nam źle szło ze Szwedami, jednak nie było czego rozpaczać. Bardzo nam niemiło było przejść na stronę tych, co pierwsi zaczęli naszego króla. Ale cóż było zrobić? Pan także a sługa musi.

Powróciliśmy do Birzów. Książę pan pod powagą króla Szwedzkiego zarządzał całą Litwą; siedział więc w swoim zamku, gdzie coraz częściej bywał, a coraz dłużej przesiadywał książę Daniel, jakoby dla wspólnej narady. W Litwie wszystko się uspokoiło, a i w Koronie omal że nie to samo, kiedy pan Stefan Czarniecki nie zdołał obronić Krakowa, a Warszawa wrota swoje otworzyła Szwedowi. Tyle tylko, że Częstochowa się jeszcze trzymała, i że gdzie niedzie w Małej-Polce pokazywały się niewielkie oddziały uzbrojonych stronników króla Jana Kazimierza. Otóż — ale tu mówię to, co mi koledy powiedzieli, bo książę pan był mnie wtedy zabrał z sobą do Wilna — jakaś okropna scena zaszła w naszej niebytności między

kniazem Danielem a naszą księżniczką, po której nasz Gaskold zniknął; a wkrótce po powrocie księcia pana, księżniczka zezwoliła na swoje zamęście z kniazem. Co się między nimi stało, nikt o tém dokładnie nie wiedział; ale po cichu jeden przed drugim mówił o swoich domysłach, tak, że i o moje uszy to się obilo. Już to i my wszyscy zauważyli, że od pierwszej chwili książ krzywo patrzył na Gaskolda, i ten nawzajem zawsze się marszczył, kiedy się z nim znajdował. Owóż tedy wszyscy dworzanie na to się godzili, że jakoby książ podszedł Gaskolda u nóg księżniczki, która mu dawała dowody współczucia; że książ rozgniewany do najwyższego stopnia, rzucił się na szczęśliwego współzawodnika, a jéjmości wiadoma jego olbrzymią siłą, i miał go swojemi własnymi rękami udusić, a trupa pod swoją delią wynieść i rzucić w rzekę po pod zamkiem płynącą; poczem miał zagrozić księżniczce, że wszystko co widział odkryje przed księstwem, jeżeli mu nie da słowa, że pójdzie za niego, i to w przytomności księstwa obojga. A jéjmość wyobrazić sobie nie możesz, do jakiego stopnia księżniczka bała się swoich rodziców, i wiedziała, jakiby były następstwa, gdyby się oni dowiedzieli o szwanku, który zadala swojej sławie. To pewna, że księżniczka pomimo wstrętu, jaki zawsze okazywała kniazowi, w przytomności nas wszystkich oddala mu swoją tękę.

Wszyscy się na jedno godzili w opowiadaniu tego, co się wydarzyło w zamku podczas niebytności księcia. Wszakże jedna z pokojówek więćej zbliżonych do księżniczki, powierzyła swojemu narzeczonemu, który będąc obowiązany moim przyjacielem, nie miał tajnego dla mnie, że to co ludzie mówią, co do pierwszej części jest prawdą, ale że książ nie zamordował Gaskolda, gdyż księżniczka, przyrzekając mu swoją rękę, położyła niektóre warunki, na które książ zezwolił i stwierdził słowem honoru, że ich dotrzyma. A te były, że praw swoich małżeńskich względem niej dopominać się nie będzie, że pozwoli Gaskoldowi się oddalić, i że nigdy na jego życie czyhać nie będzie, i że to co mógł widzieć, do śmierci przed nikim nie objawi. Żal nam było naszej księżniczki, a jeszcze więćej naszego kolegi; bo wielka pani jakoś sobie poradzić może; ale w co się obróci nasz brat, kiedy narazi się jednemu, a cóż dopiéro dwom możnowładcom? Bo chociaż wszyscy mówili o śmierci Gaskolda, jakoś nie mogli się przyzwyczaić do myśli, że już nie żyje. A ja mniej od innych, mając, jako się już powiedziało, jakieś powody przekonywające, że jeszcze gości na tym świecie; ale gdzie? tego odkryć nie mogłem, i w tym względzie mojej troskliwej przyjaźni dla niego, to co mi jéjmość raczyła powiedzieć o nim, bynajmniej nie zaspokoilo. Racz-że mnie jéjmość uszczęśliwić jakąkolwiek wiadomością o okolicy, w jakiej teraz się kryje.

— Jeżeli mam prawdę waszmości powiedzieć, wyznam że nie pewnego nie wiem o miejscu, w którym jego matka się znajduje; a co do niego samego, przekonana jestem, że musi być gdzieś między stróńnikami Jana Kazimierza, naszego prawego monarchy, a którego interesu, jak ludzie mówią, zaczynają przybierać postać pomyślniejszą; bo jakkolwiek krótko z nim obcowałam, jednak poznałam, że Szwedów nienawidzi, a wszelkie jego życzenia są dla prawego króla. Aleśmy zanadto z sobą rozmawiali; już brzasku początki objają się o szyby od okien, a świece się dopalają. Za dobrą godzinę mój zięć opuści małżeńskie łóżce, żeby się wziąć do pracy, a i kolega waszmości stanie na nogach. Coby też pomyśleli, gdyby nas zastali w bezsenności zadowolonych z siebie, jakby jaką parę romansową? A żart na stronę, przyznam się waszmości, że mnie starój już powieki się kleją.

Pan Dawid nisko się skłonił poważnej matronie, która zniknęła w alkierzu. A sam, zgasiwszy dopalającą się już świecę, na palcach poszedł do bokówki, żeby nie obudzić czujnego towarzysza. I nie rozbrawszy się, ale tak jak był, w swoim podróżnym ubiorze, położył się na łóżku dla siebie przygotowanym, żeby choć cokolwiek wypocząć. I zaledwo głowę na poduszce złożył, zasnął snem młodości.

ROZDZIAŁ VI.

Pan Dawid spał jak zabity, wynagradzając sobie bezsenność nocy, a już pan Dominik i skończył swoje poranne modlitwy, i opatrzył w stajence folwarcznej konie, i już się krzątał po izbie z pachółkami około pakunku. Nakoniec porwał za rękę towarzysza podróży, potrząsnął nią silnie, mówiąc:

— Wstawaj waszeć!

Pan Dawid otworzył wielkie oczy, ale leżał nieruchomy.

— A jaki leniuch! Nawet się nie rozbierał! No! wstawaj waszeć, a oczów nie wytrzeszczaj! Już słońce się podnosi.

— Aj panie Dominiku, zmiłuj się, choć półgodzinki pozwól się przespąć.

— Co! waszmość drwisz ze mnie? na co te żarty? Nie było rozgadywać się w nocy z babunią, a użyć wczasu za moim przykładem. Nic z tego nie będzie, a jeżeli nie staniesz mi zaraz na nogach, oto jest konew wody, która prędko rozbudzi.

Ten ostatni argument tak był przekonywający, że mu się pan Dawid nie oparł. Równemi nogami zerwał się z pościeli, wyciągnął ramiona, ziewnął po raz ostatni, umoczył rękaw w wodzie, obtarł

sobie wilgotném płótnem oczy, i rzekł już zupełnie orzeźwiony: „Gotów jestem.” Pacholki upakowali tłómoki podróżnych, wynieśli je na wózki już zaprzężone, umocnili siedzenie dla panów, którzy już się zabierali siadać, kiedy podstarości im zastąpił drogę z ogromną misą piwa grzanego. Pan Dominik z początku wymawiał się od śniadania, ale jak ich zaczął gospodarz prosić, żeby mu téj krzywdy nie robili naczezo wyjechać z domu, zmiękczyl się nakoniec, wypróżnił misę z kolegą, poczem czule pożegnawszy podstarościę, i podziękowawszy mu za łaskawą gościnność, jakiej doświadczyli w jego domu, a nie zapomniawszy polecić mu, żeby ich ukłony złożył żonie i matce, przecie puścili się w podróż.

Przez czas jakiś do siebie nie mówili. Pan Dominik w milczeniu ruminował, jakby najakuratniej dopełnić zlecenie dane mu od księcia, a pan Dawid nucił nową piosnkę, dopóki wsi nie zostawili za sobą. Gdy ujechali stają otwartém polem, pan Dawid odezwał się do starszego towarzysza podróży:

— A co, panie Dominiku, z sobą zrobimy? Wszak to jesteśmy tylko o trzy mile od Słonimia.

— Zabawne pytanie! Złożymy w Słonimiu nasze uszanowanie JW. wojewodzie Witebskiemu; opowiemy mu się, w jakim celu jedziemy do Dolska, i zapytamy go, czy nie ma nam do dania jakich rozkazów dla sług swoich, lub poleceń do JW. wojewodziny.

— A ja coś innegobym poradził.

— Cóż takiego?

— Ruszaj waszmość do Dolska prosto, nie zaczepiając kołem o Słonim, a ja w Słonimie zatrzymam się, będę służył panu wojewodzie, i nic mu takiego nie powiem, z czegoby nam jakaś szkoda przybyć miała.

— A to znówu co? A cóżby powiedział na to wojewoda, gdybym przez Słonim jadąc do jego żony, i to z ojcowskiém poleceniem, by ją wywieźć do Warszawy, zapomniał że przecie on jest jój mężem. Z bratem szlachcicem nie dopuściłbym się podobnej niegrzeczności, a cóż dopiero z zięciem tego, czyj chleb obaj jemy. Czy waszeć oszalał z taką radą?

— Oj nie, panie Dominiku, ja daję radę dobrą. Nigdy nie trzeba oddawać pewne za niepewne.

— Co przez to chcesz powiedzieć?

— Oto, że jedziesz po wojewodzinę; a że nie zastaniesz jój męża w Dolsku, bez najmniejszej trudności spełnisz rozkaz księcia pana. Dziś jesteś w Dolsku, a jutro z wojewodzina będziesz na wielkim gościńcu. Nie nakwasi ona czasu wybieraniem się, bo jak o tém wszystkim nam wiadomo, jój aby z domu. A nuż kniaź, jak mu powiesz, że jedziesz po jego żonę, znajdzie coś przeciwko temu? Żebyś czasem

waszmóść nie osiadł na lodzie! A czy można się księciu panu pokazać bez jego córki?

— To niepodobna, żeby książę opierał się woli teścia.

— Niepodobna? jednak być może. Na co się narażać na niebezpieczeństwo bez najmniejszej potrzeby? Kto przewidzi, co wielkim panom przyjść może do głowy?

— Już to jest coś w tém, co waszmóść mówisz. Ale z drugiej strony, jakże narażić się kniaziowi? Bo, jak się dowie że przejeżdżałem przez Słonim, by się udać do Dolska, a nie jawiłem się jemu po jego rozkazy, on mi tego nie odpuści, i oskarży mię przed księciem panem.

— Wielkie święto! Waszmóści obowiązkiem ślepo się trzymać instrukcyi, jaką masz na piśmie, a w niej nie ma wzmianki, żebyś się udawał po rozkazy do kniazia wojewody, dlatego że po drodze przejeżdżałeś przez miejsce, w którym się przypadkiem znajdował. Waszmóści obowiązkiem przywieźć wojewodzinę do Warszawy, niczego innego nie masz potrzeby się domyślać. Jak ją odwieziesz, dajmy na to, że książę wymówi księciu, że jego dworzanin przed nim się nie jawił, a tém ominął się z grzecznością należną wielkiemu panu, tém więcej że jest jego zięciem. Zawsze mieć będziesz waszmóść na to gotowe tłumaczenie, że tak śpieszyłeś, by dopełnić jak najrychlej rozkazów pańskich, że nigdzie ani chwili zatrzymać się nie chciałeś. Co najwięcej książę waszmóści da burę, przez politykę względem zięcia, a w duchu pomyśli: — Mój Haraburda dobrze się spisał, że mu w głowie nic innego nie było, kromie przywieźć mi córkę; bo to jest grunt sprawy, a reszta zwyczajnie akcesorya. — Ale jeżeliby ze strony kniazia była jaka przeszkoda, że broń Boże pokazałbyś się przed księciem bez pani wojewodziny, dopiero byłaby burza! I książę i sama na waszmóść by napadli, bo tym panom, jak się nie uda to co ukartowali, zaraz winę na sługi składają; miałbyś się czego nasłuchać. To książę, to księżna z kolei do waszmóści: — A po co waść pokazał się kniaziowi? kto waści to polecił? na co tu waścinego rozumu? wszystko było przewidziane w instrukcyi; a to kara Pana Boga, że śludzy chcą mieć więcej rozumu, niż ich panowie! — Ot panie Dominiku, chociażżeś wiekiem i zdaniem starszy odemnie, pozwól że czasem i młodemu uda się to spostrzedz, co starszy prześlepił. Wszak i ślepa kura trafi niekiedy na ziarno. Posłuchaj mojej rady: przed Słonimem ja się przesiądę na mój wózek, a waszmóść na swoim omiń miasto, i o milę dalej popasaj w pierwszej gospodzie na gościńcu, a ja zostanę w Słonimie i złożę moje uszanowanie kniaziowi.

— I cóż mu waść powiesz?

— Wyrozumiem go. Niewielka dla mnie sztuka, tego jałopa w pole wyprowadzić. Jak zobaczą, że on nie jest od tego, żeby żona

wyjechała do Warszawy, to mu powiem, że waszmość sam spiesząc do wojewodziny, stosownie do instrukcyi danej mu od księcia marszałka, mnie wysłałeś do kniazia z jego pokornym ukłonem, oraz żeby go zapytać, czy nie ma do dania jemu jakich rozkazów, a ja z niemi po pod Dolskiem dopędzę tego, który mię posłał; a jeżeli pomiarkuję, że kniaz nierad żonę wypuścić z Dolska, to nie nie mówiąc, jeszcze prędzej wysunę się ze starościńskiego zamku i waszmości dogonię. A jak się od kogoś innego dowię, że pojechaliśmy po jego żonę, niech sobie gońców posęła do niej, kiedy już będziemy za przewozem.

— Minister z ciebie, panie Dawidzie! Tak mówisz ad rem, że gdybym był uparty jak kozioł, musiałbym dać się przekonać. Mówisz jak z książki; wszystko przewidujesz! Wszelką pychę zrzućwszy z siebie, wyznam, że bez ciebie możebym podrwił głowę; dobrze mieć swoje zdanie, ale dobrze też i zasięgnąć rady, bo cztery oczy lepiej widzą niż dwa. Stańło więc na tém, że musimy się z sobą rozstać. Jak Słonim ujrzymy jakby na dłoni, ja przez manowce ominę go na moim wózku, a waszmość sobie zatrzymaj się w Słonimie. Obaczysz kniazia, a co więcej hetmana wielkiego Litewskiego. Tylko żebyś się nie upoił widokiem tyłu mężów z rycerskiego, a nawet z senatorskiego stanu aż do zapomnienia swoich obowiązków. Młody jesteś, panie Dawidzie, a choć niewasz rozsądek nad lata, młody zawsze młodym. Nie daj się zabałamucić. Zabawa zabawą, a służba służbą. Waszmość wiesz, że czasu nie lubię marnować. Obowiązek na mnie włożony tak mi ciąży, że mam rad z niego jak najprędzej się wywiązać. Jak stanę w Dolsku, a wojewodzinie wręczę listy od jej rodziców, pokoju jej nie dam, a zmuszę żeby nazajutrz siadła do pojazdu. Kto ma tyle sług ile ona, niewiele potrzebuje czasu do wybrania się, a jak wyruszymy, a waszeci nie będzie, Bóg wie gdzie się zjedziemy. Może nawet do siebie już nie trafimy, bo, jak ludzie mówią, wojna do Litwy się przybliży, a w kłamstwie każdym jest odrobina prawdy. Szukajże potem jeden drugiego, kiedy aż przyjdzie przedzierać się przez wojska!

— O to bądź spokojny, panie Dominiku; ani senatorowie, ani hetmani nie nowaliją dla mnie, żebym się miał na nich zagawronić. Napatrzyłem się na to w Birzach, że aż kością w gardle stawało ciągle na nogach im assistować. Zabawię ile tego będzie potrzeba, a potem tak się wysunę, że kiedy mnie szukać będą po mieście, już ja na dyszlu dążyć będę z ciekawymi wiadomościami do waszmości.

— Pamiętajże waszeć o tém, że doby nie przepędzę w Dolsku. A jak się zemną rozminiesz, to może chyba na Józefatowej Dolinie się znajdziemy.

Resztę podróży, jaką z sobą razem jeszcze odbywali, pan Dominik siedział zamyślony. Będąc nadzwyczaj oględnym, jakkolwiek dał się przekonać przez kolegę, że mu nie trzeba pokazywać się w Słonimie,

obawa narażenia się panu wojewodzie nie przestawała wpływać na jego humor. Przestał rozmawiać z panem Dawidem, a tylko przemysłował, jakiegoby użyć obrotu do wytłómaczenia się przed wojewodą, na wypadek jeżeliby kiedy wymówił mu to uchybienie; a pan Dawid, uradowany że mu się udaje wywinąć gładko od towarzystwa, które mu ciążyło, nie żeby nie miał czuć szacunku i przyjaźni dla starszego wiekiem kolegi, ale że mu było w głowie spełnienie postanowienia księcia, a przytém przyłączenie się do konfederatów, i odnowienie trybu życia więcej zgodnego z jego przyrodzeniem, jeszcze rubaszniej niż kiedykolwiek śpiewał dumy ruskie. I podczas kiedy jeden śpiewał, a drugi w milczeniu ruminował, wieże starościńskiego zamku i klasztorów Słonimskich nagle przed ich oczami zaczęły się rysować nad widokresem.

Pan Haraburda kazał woźnicy zatrzymać konie.

— Panie Dawidzie — rzekł do towarzysza — stosownie do naszego układu tu nam rozdzielić się wypada. Oto w prawo pokazuje się drożyna; jęj się chwyć, a waszmość prosto ruszaj do Słonimia, starajże się przez dzień dzisiejszy uporać się z temi magnatami, a jutro, kiedy oni jeszcze spoczywać będą, niechaj wózek waszmości już się toczy po trakcie Dolskim, a na końcu języka przywieź mi wszystko co zachwycisz w Słonimie.

Pan Dawid wyskoczył z wózka, na którym gościł, uściskał się serdecznie z panem Dominikiem, a kiedy ten ostatni wyruszył, siadł na swój własny, obok lutni, wiernej swojej towarzyszki.

Że dziejopisarz w opowiadaniu nie powinien ukrywać żadnej prawdy tyczącej się jego bohaterów, wyznaję, że po oddaleniu się pana Haraburdy, pan Dawid wahał się czas jakiś, nim się puścił do Słonimia. Brała go chętka imać się traktu Brzesko-Litewskiego, żeby jak najrychleń dostać się do Małej Polski, która, wedle rozpowszechnionego odgłosu, już była zajęta siłą zbrojną konfederatów. Ale z drugiej strony wiedział, że w Słonimiu mają się zebrać wodzowie partyi Szwedzkiej na Litwie. Chciał i ich wyrozumić, jeżeli mu się uda, żeby w potrzebie do swojego poselstwa dołączyć ważne wiadomości. Mając się i nie bez słuszności za sprężynę polityczną, nie chciał zaniedbać nic takiego, coby mu w tym zawodzie posłużyć mogło. Nakoniec, jako młodego człowieka bodła go ciekawość, co też się ukartuje z tego zjazdu. Bo co się tyczy Dolska, jakkolwiek rad był popatrzeć na wojewodzinę, której wdzięki niepospolite wrażenie zawsze na nim sprawiały, tu sprawiedliwość winna być oddana, że ani w myśli mu nie powstało tam obracać swoje kroki. Puścił się więc do Słonimia, i wkrótce stanął na jego rynku. Mógłby jako dworzannin księcia marszałka prosto zajechać do starościńskiego zamku, gdzieby wszelką wygodę darmo dostał. Ale tyle był ostrożny, że nie chciał

jarzma na siebie nakładać. W zamku o każdym jego kroku wiedzianny, byłby w zupełnej zależności od widzimisię wojewody, a gdyby mu się ubrdało nie puszczać go od siebie, musiałby wszystkie swoje zamiary, a nawet polecenia pańskie schować i na pomyślniejszą chwilę odłożyć. Szukał więc żłobu dla koni i kąta dla siebie po domostwach żydowskich. Słonim tak był napełniony gośćmi, że gdyby nie wrodzona Litwinów gościnność, nigdyby tego nie znalazł. Na jego szczęście jakiś szlachciec z możniejszych, widąc go zakłopotanego, a nie mogącego dać sobie rady, ofiarował mu podzielić się z nim izdebką, co naturalnie przyjął pan Dawid z wdzięcznością. Roztasaował się tedy w izbie, a konie umieścił przy żłobie obok koni swojego łaskawcy. Dowiedział się od niego, że od dwóch dni książę wojewoda stanął w zamku z licznym swoim dworem, że już tam przygotowane mieszkanie dla hetmana, który co godzina jest oczekiwany. Przy tém poznaniu opowiedzieli sobie nawzajem swoje nazwiska, nie bez wielu ceremonialnych ukłonów. Dowiedział się pan Dawid, że jego dobrodziej nazywa się Butrymowicz, że jest osiadłym szlachcicem powiatu Pińskiego, i że zjechał do Słonimia na wezwanie księcia wojewody, żeby brać udział w naradach szlachty. Pierwszy raz się widzieli, ale zaledwo kilka minut upłynęło, już tak rozmawiali poufale, jak gdyby byli z sobą beczkę soli zjedli. Tak dalece, że pan Dawid osmielił się go zapytać: — A co téż tam u panów słychać *ex publicis*?

— Nie najlepiej dla waszmości; bo jakieś mnie oświecił, że jesteś dworzanimem księcia marszałka Litewskiego, musisz tém samém dobrze życzyć Szwedom.

— W czém nie zdaje mi się, byś waszmość różnił się odemnie, będąc przyjacielem księcia wojewody.

— A nie inaczej, nie inaczej, tyle tylko że Bóg wie, czy nasza zyczliwość im wiele pomoże? Bo tu krążą wieści wcale dla nich niepomysłne, a nie muszą one być zupełnie płonne, kiedy nas, szlachtę, wezwano na zjazd.

— Jakież przecie?

— Albo waszmości uszów jeszcze nie doszły? Tylko prawda, że jedziesz ze Żmudzi, gdzie wiadomości z Korony nie prędko dochodzą, bo nie jedno i nie dwa województwa przedzielają was od Małej-Polski. Otóż ludzie mówią, a co więcej żydzi, którzy o wszystkim najpierw się dowiedzą, że cała Mało-Polska na nowo posłuszna Janowi Kazimierzowi; że po domach obywatelskich tylko białołgłowy i dzieci zastać, bo każdy szlachcic, który na nogach utrzymać się może, bez oparcia się na kij, teraz na koniu dokazuje. A z nieprzyjaciołmi rzeczypośpolitej tak idzie, jak na mszy łacińskiej: na każde *Dominus vobiscum*, gotowe *et cum spiritu tuo*. Pan Jerzy Lubomirski dusi

Rakoczanów, pan Bewera Potocki gniecie Jurka Chmielnickiego, a pan Stefan Czarniecki tak dopieka Sudermanowi, że wedle żydowskich relacyj, w całej Mało-Polsce Szweda na lekarstwo nie dostać. Tylko niepotrzebnie rozwodzę się nad szczegółami, które nie mogą być od waszmości przyjemnie słuchane, bo, jako mię o tém raczyłeś oświecić, należysz do dworu pana, który jest głową partyi Szwedzkiej w naszej Rzeczypospolitej, będąc ściśle związany z najjaśniejszym królem Gustawem i wężem osobistej przyjaźni i jednością wiary.

— Wszak i waszmość do téj partyi należysz.

— A tak, tak, i tego się nie zaprę, chociażby w przytomności króla Jana Kazimierza. A czy waszmość myślisz, że nie dałem dowodów mojej życzliwości dla króla Szwedzkiego? Kosztuje już ona mnie do dwunastu tysięcy w zbożu, płótnie i skórach, a nawet i w gotowym groszu. Ale tego nie żałuję, bo wiem że całość i szczęście Rzeczypospolitej na królu Szwedzkim polega (te ostatnie słowa wyrzekł z podniesionym głosem).

— O tém nie wątpię, a jednak, lubo należę do téjże partyi, jakiej waszmość jesteś gorliwym stronnikiem, powiem mu z tą otwartością, jaka być powinna w stosunkach szlachcica ze szlachcicem, że bynajmniej nie doświadczałem przykrego wrażenia, słuchając tego co wychodzi z szanownych jego ust o popisywaniu się naszych przeciwko Szwedom i ich sprzymierzeńcom, bo koszula bliższa ciała, niż suknia.

— Mów waszmość ciszej, bo w Słonimiu już nie Litwa ale Szwecya. Wszakże tu pan wojewoda Witebski rozkazuje; a komuż tajno, a dopiéro waszmości, należącemu do dworu jego jaśnie oświeconego teścia, że dla niego cudzy swoim, a swój cudzym? Broń Chryste Jezu odezwać się przed nim z czém podobném. Niech to będzie między nami, a to wściekły zwierz! Gdzie tylko jego władza się rozciąga, a doniosą mu, że jaki szlachcic wymówił się z przychylnością chociażby najmniejszą dla tamtego, niedługo nieborak czeka póki mu sadłem skóry nie zaleją. Nie tylko Słonim, nad którym jest starostą, ale wszystkie inne starościąnskie zamki na całym Polesiu pod siebie zagarnął. A w nich ile to jęczy szlachty w łańcuchach, i z taczkami uwija się po wałach, za to że do nich coś upatrzył! Jemu wszystko wolno; żaden król nie odważyłby się czegoś podobnego dopuszczać względem nas.

— A przecie wy wszyscy jesteście jemu posłuszni.

— Robimy ofiarę z siebie dla dobra ojczyzny; przynajmniej wszyscy to powtarzają. A co do mnie, żeby się okazać dla waszmości równie szczerym, jak się nim okazujesz przedemną, to ośmielę się powiedzieć, pomimo mojego przywiązania dla króla jegomości Szwedzkiego, że to niemiło, kiedy się swoich przyjaciół mowy nie rozumie. A czyż to się nie mówi z własnego doświadczenia? Miałem oddzia-

Szwedów w moim mająteczku; nad kilka dni nie gościli, a tak się pięknie sprawili, że jak wyszli, przedźjbyś się we wsi spotkał z Feniksem, niż z kurą lub prosięciem. Rotmistrz, który miał nad tym oddziałem dowództwo, zdawał się być dobrym człowiekiem, a jednak do niego po sprawiedliwość na próżno było chodzić. Bo kiedy bywało czego odemnie żąda, to przez piąte i dziesiąte za pomocą migów jakoś wypowie swoją chęć, a kiedy ja do niego przychodzę ze skargą, choć się i namęczę, żeby się wytłómaczyć, nigdy nie zrozumie czego chcę. Zwyczajnie czasy niespokojne, gospodarza w domu nie ma, a więc pierwszy lepszy gospodaruje, i jak powie: daj! nie pyta, czy masz? Minęły dla nas te czasy, co to szlachcic w swojej wiosce żył jak w raju, że mu było ciężko z niéj się na dobę oddalić; teraz aby z domu, bo w domu zgryzota całym przybytkiem. Ale co nam szlachcicie się skarżyć? Albo i pany teraz nie mają swoich zgryzot?

— A cóż stać się może złego na Litwie tym panom, co trzymają ze Szwedem jak waszmość? W ich dobrach własne milicye stoją, a tylko szlacheckie żywią Szwedów.

— Masz waszmość słusznosc, panu bieda nigdy nie dopiecze, a wszystko u nas się krupi, i zmiele na szlachcicu. Wszakże i pany mają swoje zgryzoty, tém dotkliwsze że nie są do nich wzwyczajeni jak my. Wczoraj miałem zaszczyt siedzieć za stołem JW. wojewody Witebskiego, i zauważyłem, że chociaż miną nadrabiał, wiele go frasowały wiadomości, które świeżo odebrał. Była mowa u stołu, że Łuków, ostatni zamek co go partya Szwedzka jeszcze trzymała w Małéj-Polsce, już zajęty został przez Kazimirowskich. Pan Modzelewski, starosta Łukowski, jakim się zdawał gorliwym stronnikiem króla Szwedzkiego! A jednak mu nie dopisał. On, jako wódz przezorny, skoro tylko chwiać się zaczęło w Małéj-Polsce, tak opatrzył swój zamek obronny, któremu równego nie ma w tamtych stronach, że nie wiedzieć dopóki mógłby się w nim trzymać. Otóż jeden z wodzów przeciwnéj strony, o którym teraz wiele mówią, a znany jest pod nazwiskiem Rycerza Lizdejki, podstąpił po pod zamek Łukowski na czele silnego oddziału jazdy. Z czémże tu było porwać się na wały opatrzone armatami, a bronione od silnéj załogi? bo tam była nie tylko milicya starościńska, ale i Szwedzi niedobitki z wojska Karolsona, którym się udało tam schronić przed pogonią pana Stefana Czarnieckiego. Owóz tedy rycerz Lizdejko otrzymał od starosty Łukowskiego zezwolenie widzenia się z nim sam na sam. Rozmowa ledwo godzinę zajęła, ale z niéj niemałe rzeczy się wywiązały; bo pan starosta Łukowski zaraz po téj rozmowie rozkazał Szwedów rozbroić, wraz ze swoją milicyą odnowił dawną przysięgę wierności królowi Janowi Kazimierzowi, i akces podpisał do konfederacyi Tyszowieckiej. Było widzieć, jak pan wojewoda zżymał się; talerz srebrny który był przed

nim, zwinął w trąbkę ze złości. A waszmości wiadomo jaka u niego siła. Po tém złorzeczył panu Modzelewskiemu, nazywając go zdrajcą, a odgrażając się, że jak wpadnie w jego ręce, każe go wbić na pal. Dostało się i rycerzowi Lizdejce:—A co to — mówił—ten urwisz, któremu wszystko się udaje, czy nie zechce czasem dobywać mojego Dolska? Tylko nie dla psa kiełbasa, a jednak i o tém już przychodzi myśleć. Chwila po chwili, najgorsze dla nas wieści sypią się jak z rękawa. A ta baba, ten hetman Gąsiewski, nie może się wyrwać z Nowogródka; gdyby tu przybył, tobyśmy coś przecie uradzili; szlachta się zjechała, wojska tu zebranego mamy dość, na niego tylko czekamy. Mamy siły aż nadto, żeby Małopolskie oczyścić od tych wszystkich hultai.—A co też to było po obiedzie, kiedy robił przegląd wojska! Jednego rotmistrza Bóg wie za co kazał rozstrzelać.

— Najgorszy djabeł na wylocie. Musi być źle koło nich, kiedy już i na hetmana narzeka, boć to ściśta przyjaźń ich łączy.

— Nie wierz waszmość temu. Oni z sobą politykują, ale jeden drugiego nienawidzi. Kniaziowi Dorohostajskiemu markotno, że wielka buława nie w jego, ale w pana Gąsiewskiego zostaje ręku. A pan Gąsiewski, mąż światły i ukształcony, jaki pociąg czuń może do człowieka gwałtownego, nieokrzesanego, za którym nic nie przemawia, oprócz dziękij odwagi i olbrzymiej siły? Zresztą że książ nie odstąpi nigdy króla Szwedzkiego, o tém można być pewnym; nie tyle dlatego, że mu dał słowo, ile że dla własnego bezpieczeństwa musi się go trzymać, bo tak szlachcie się naraził, że gdyby Szwedzi wyszli, i jemuby wypadło pójść za nimi. A co się tyczy pana Gąsiewskiego, niech to będzie między nami, a ludzie mówią, i to tacy, którzy są blisko niego, że on nie byłby tak daleki do zgody z królem Janem Kazimierzem, gdyby była jakaś nadzieja dla niego, i gdyby się upewnił, że od niego otrzyma pełne przebaczenie. Póki Moskwa w zmwowie ze Szwedami, póki pan hetman ich trzymać się będzie, bo mając znaczne dobra w województwie Smoleńskiem, dziś Moskwie posłuszném, nierad się z nimi pożegnać. Ale niechby tylko ona Szwedów odstąpiła, zaraz co innegoby zaśpiewał.

— Kiedy tak, to niech przyjaciele króla Jana Kazimierza wyperwadują sobie, by się mieli kiedyś pojednać z hetmanem, bo car jest tak ściśle związany z królem Szwedzkim, że nie ma nadziei aby bez niego w umowy jakie wchodził.

— Otóż właśnie rzeczy się mają inaczej. Rossyanie mówią, że wcale sobie nie życzą widzieć potęgi Szwedów w dwójnasób powiększonój. A pomimo tego, starszy syn hetmana, pan starosta Orszański, który Szwedów nie cierpi, a tylko przez uszanowanie dla ojca z nimi trzyma, będąc w Pińsku dał się z tém słyszeć, że postowie cesarza Rzymskiego i króla Francuzkiego bardzo pracują około cara,

żeby go oderwać od króla Szwedzkiego, i że car ku temu zaczyna się skłaniać.

— Bardzo dziękuję waszmości za tę dobrą dla naszej Rzeczypospolitej wiadomość. Bo chociaż my dopiero się z sobą poznali, przecie zrozumieliliśmy się nawzajem, że obaj w duchu sprzyjamy tamtym.

— A na miłość Boga, waszmość przed nikim z tém się nie wymów, i nie miéj mi za złe, że kiedy będziemy na zamku, będziesz mnie słyszał inaczej mówiącego. Mam żonę i dziatki, których nie godzi się gubić. Bóg mi za grzech nie poczyna, że nieszczerze mówię przed takimi, co bez sądu i prawa mogą przed porą wyprawić człowieka przed oblicze Przenajświętszej Trójcy.

— Macie zupełną słusność; i ja téj drogi się trzymam. Jeżeli się waszmość będziesz odzywał przeciw naszemu królowi, i ja z tyłu nie zostanę, jeszcze głośniej będę gardłował za Szwedami, a swoje dlatego zrobię. Ale zdaje mi się, że już pora pokazać się kniaziowi. Pozwól mi waćpan dobrodziéj się przebrać, żeby przyzwolicie stanąć w zamku.

— I ja, za pozwoleniem waszmości, służyć mu będę do kniazia wojewody; jestem gotów. Waszmość ubieraj się zdrów, pomogę mu do zawiązania pasa, a potem moje konie zawiozą nas do zamku.

Pan Dawid kazał swojemu pachołkowi otworzyć kufer podróżny, gdzie był jego paradny kontusz z aksamitu szafirowego, obwinięty misternie w ręcznikach, żupan z materyi jedwabnej żółto-gorącej w złote kwiateczki, i pas lity w Lugdunie wyrobiony, dar księżnej marszałkowej wielkiej Litewskiej. Wziął się do przebioru, nie zapomniawszy wprzódy głowy sobie kazać podgolić. Nadział na się kontusz i żupan i nałożył żółte buty. Pan Butrymowicz, sam okręcając go pasem, nie przepomniał węzła rycerskiego. Pan Dawid ani szabli w jaszczur oprawnej, ani czapki z Krymskim wyporkiem nie zapomniwał. Wózek pana Butrymowicza zajechał przed gospodę; obaj na nim siedli i kazali się zawieźć do warownego zamku Słonimskiego.

ROZDZIAŁ VII.

Pan Dawid z panem Butrymowiczem wkrótce ominęli most zwodzony starościńskiego zamku. Stanąwszy na dziedzińcu, gdy spostrzegli pana wojewodę siedzącego na ławie przed wrotami zamku, obaj wyskoczyli z wózka i pieszo przybliżyli się do niego. Wojewoda siedział, pieszcząc przyłaskawionego niedźwiedzia, a mnóstwo dworzan, wojskowych i obywateli stało wokoło, oczekując jego rozkazów.

Nowo-przybyli powitali kniazia niziuteńkim ukłonem; on rzucił na nich okiem i powiedział: — „Kłaniam się waści, panie Butrymowicz”. Sam zakiełznał niedźwiedzia, który przeraźliwie mruczał, a jednak nie śmiał się opierać; kazał swoim strzelcom odprowadzić go, poczem spojrzawszy na pana Dawida:

— A i waść tutaj? Cieszę się z waścinego niespodziewanego przybycia. Księżna marszałkowa śpiewa psalmy bez wtoru, kiedy waści wypuściła. A książe teś co porabia w swoich Birzach? czy nie przywiesz mi z tamtych stron jakiego listu?

— Książe wié, że JW. pan nie lubisz pisać, będąc ważniejszemi czynami zaprzątnięty, a więc nie chciał mu być przykrym. Kazał mu tylko złożyć swoje ukłony, oraz i JW. wojewodzinie, a potem jechać do Warszawy, i tam mu opowiedzieć wszystko, o czémbym się w tych stronach dowiedział. Jechałem do Dolska, gdzie miałem nadzieję obojga państwa zastać, ale już będąc w jego starostwie, gdy dowiedziałem się, że JW. pan bawisz w Słonimie, skierowałem się ku jego stopom. Co się tyczy księcia mojego pana i jego JO. małżonki, są oboje w dobrém zdrowiu; tęsknią i za synem i za córką. Kiedy mnie wyprawiali w te okolice, sami się zabierali do Warszawy. A wielceby sobie życzyli, żeby pani wojewodzina także przybyła czas jakiś w niéj przemieszkać z rodzicami. Nie wiem tylko, czyby się to zgadzało z wolą JW. pana?

— I owszem, nic nie mam przeciwko temu. Zresztą, pani wojewodzina jest panią woli swojej. Domyślałam się o co rzecz idzie. Że się udało temu, co to jego nazwiska nigdy nie umiem przypomnieć sobie, pobić Karolsona, już się zdaje księztwu marszałkowstwu, że nawet Dolsk nie jest bezpiecznym dla ich córki. Jakże się nazywa ten szlachcic czy nieszlachcic, co tośmy go wyparowali z Krakowa, że nie wiedzieć w jakiej jamie się schował, póki teraz z niéj na nowo do czasu nie wylazł?—Tu się obrócił do swojego najpoufalszego dworzanina pana Szukszty, stojącego zawsze przy swoim panu, jakby jego cień.

— Cóż waść stoisz jak drąg, a nie podajesz mi jego nazwiska?

— Czarniecki, JW. panie.

— Ale ale, już to moja natura, że jeżeli z kim nie mam żadnej kolligacyi, a u mnie nie służy, a do mojej klienteli nie należy, takiego nazwiska nigdy się nie nauczę. Otóż właśnie ten jegomość ani u mnie, ani u żadnego z moich nie służył. Czy waść nie powiesz, w jakim domu on się kierował?

— W żadnym — odezwał się pan Niezabitowski, podkomorzy Słonimski, mąż z wieku i urzędu powszechnie poważany, a który, jeżeli się liczył między klientami księcia Bogusława Radziwiłła, to jedynie dlatego, że był jak i on kalwinem. — Pan Stefan Czarniecki, chociaż

z ubogich rodziców, z żadnym prywatnym domu nie służył, lubo to najmniejszej krzywdyby mu nie robiło, ale ciągle służył rzeczypo-
spolitój. Znałem go, kiedy nie miał nad lat osiemnaście, a już był
towarzyszem pancernym w chorągwi pana Lanckorońskiego, woje-
wody Braclawskiego.

— Mniejsza z tém — odrzekł książ, patrząc na niego z ukosa. —
Co mi wchodzić w procendencye takiego, co ni z wiary, ni ze szlache-
ctwa nie jest ani bratem ani swatem. To pewna, że teraz pokazał się
dla niego szczęśliwy planeta. Udało mu się z Karolsonem, a nawet,
o czém waść może jeszcze się nie dowiedziałeś, mości panie Odyniec,
jakiś Lizdejko, urwisz z jego psiarni, świeżo zajął zamek Łukowski
przez zdradę starosty. Ciekawy jestem tylko wiedziéć, czy długo ta
gwiazda potrwa. Ani jeden, ani dwa skowronki jeszcze wiosny nie
stanowią.

— O co to, to prawda — na to pan Szukszta. — Nie wielka sztuka
pobić Niemca, lub podejść koroniarza. Niech-no ten pan Czarniecki
z naszą Litwą się sprobuje. My oczekujemy jak dusznego zbawienia
jego spotkania się z JW. panem.

— Tego tylko i ja czekam, a doczekać się nie mogę. Nie jestem
hetmanem, tylko zwyczajnie sobie prosty szlachcie, zawsze posłuszny
JW. hetmanowi wielkiemu Litewskiemu. Wszakże król szwedzki
pod najsrozsza odpowiedzialnością zalecił mi, niczego nie przedsię-
brać bez woli hetmana. I dlatego siedzę z założonemi rękoma w Sło-
nimiu, czekając na jego przybycie. Nieprzyjaciel pod Brześciem, a on
w Nowogródku; zwyczajnie głębokie plany wojenne układa. Niezał
byłoby czekać w Słoniuiu, gdyby nie było z czém wyruszyć; ale kie-
dy to człowiek ma o dwa razy więcej niż potrzeba, żeby w puch roz-
bić całą hałastę Kazimirowskich hultai, a trzymają go na uwięzi, to
dopiero pociecha! A może tamci pomyślą o moim Dolsku? Dałby Bóg!
Tylko wiedzą oni, że Dolsk nie Łuków, że nie koroniarze go bronią.
A już ksiązę nasz teść lęka się o swoją córkę, kiedy ją rad mieć przy
sobie. I owszem, i owszem: niech sobie jedzie do Warszawy, jakoś
się bez niéj obejdzie. Białogłowa nie na wiele się przyda obronne-
mu zamkowi w czasie wojny. Czy nie przyjdzie czasem w nim sztur-
my wytrzymać?

— O to pokój, jaśnie wielmożny panie — wznowił pan Szukszta
— Dolsk nie taka to kość, żeby ją przegryźć mogła nieprzyjacielska
psiarnia.

— I ja tak myślę. Z tém wszystkiém, jestem zawsze powolnym
zięciem księcia marszałka. Może, panie Odyniec, waść ze mną ocze-
kiwać będziesz przybycia pana hetmana, żebyś miał coś ciekawego do
opowiadania księciu teściowi, a potém udasz się do Dolska, ukłoniś
się od nas pani wojewodzynie, a jeżeli jój wola, przeprowadzisz ją do

rodziców. Ale jak widzę, na cudzym wózku przywłókłeś się do mojego tutejszego zamku; spodziewam się, że się do nas przeniesiesz. Przecie znajdzie się jakiś kął i jakaś wiązka siana dla sług i przyjaciół mojego teścia.

— W raju nie może być mi lepiej, jak na dworze JW. pana. Ale ściele się mu do nóg, żeby mi pozwolił zostać na gospodzie, gdzie z łaski pana Butrymowicza mam przytułek. Człowiek blisko swoich koni, jakoś ich lepiej dopilnuje, a dziś moja czwórka, to i mój majątek. Cały dzień służę w zamku, a tylko kiedy JW. wojewoda uda się do wczasu, zawitam na kwaterę.

— Nie sprzeciwiam się woli waściniój, niech i tak będzie. Tyle tylko, że zamawiam sobie jego assistencyę do mojego stołu, i pomoc do bawienia moich gości. Nie spodziewam się, żeby waść zbyt wiele czasu u mnie zmarnował, bo dziś, a najdalej jutro, musi tu zawitać pan hetman. Od dnia wczorajszego codziem zastawiony stół na niego czeka w moim starościańskim zamku. A możesz obaczyć, z jakim przepychem ubrałem kwaterę dla niego przeznaczoną. Omal że nie połowa moich makat na to poszła; warto im się przypatrzeć, bo makaty domu Dorohostajskich przez kilka pokoleń się zbierały — nie dziw, że są głośne w całej Rzeczypospolitej. A pan hetman bardzo źle odpłaci moją grzeczność, jeżeli dziś jak dnia wczorajszego zawiedzie naszą nadzieję przyjęcia go przy naszym stole.

Poczem obracając się do pana Szukszty, który przez pochlebstwa, niemniej przez podobieństwo z panem swoim i w obyczajach, i w sposobie myślenia, wbił się do największych łask, tak dalece, że pan wojewoda nie nie robił bez jego porady, rzekł:

— Panie Tomaszu, przybycie tego nowego gościa spóźniło naszą zwykłą zabawę; od niej wszakże nie myślę się odrzec. Siła i zręczność bez ciągłej wprawy w gnuśność się obróca. Waść, mości Odyniec, wiesz o moim zwyczaju, że co dzień godzinę z okładem obracam na porządne wymachanie się szablą z moim Szuksztą, który jeden dotrzymuje mi zakładu. Tę zabawie winienem moję czerstwość i że dotąd nie poznałem się ani z lekarzem, ani z apteką. Dla mnie jakby ich nie było na świecie. Jest w Dolsku doktor nadworny, ale dla pani wojewodziny: tyle tylko mam z nim stosunku, że dwa razy na rok podpisuję mu assygnacyę do mojej kassy. Pamiętasz waść, panie Tomaszu, kiedy pozaprzeszłego roku w Białynieckiej puszczy niedźwiedz mi rozpruł skórę na grzbiecie, jak on się mi naprzykrzał, że bym z rąk jego przyjął jakieś zalewanie; aż kazałem go wypchnąć tak mi dokuczyl; a po swojemu się kurowałem. Waść młody, mości panie Odyniec, naucz się odemnie. Mój wyżeł Patent póty mi grzbiet lizał, póki się rana nie zgoiła; dwie niedziele nie upłynęły, a już byłem w ostępie. Taki to doktor z mojego Patenta.

Tu zaczął głaskać ogromnego wyźła, wziął go na ręce i rzucał go, jakby pieska Bonońskiego; nakoniec dał mu pokój.

— No, mości panie Tomaszu, do roboty!

Pan i jego dworzanin, dobywszy szabli z pochew, zaczęli się składać. Lubo pan Dawid często bywał świadkiem ich popisów, z niemalem upodobaniem patrzył na dowody ich siły i zgrabności. Brzeszczoty, chociaż jasny dzień przyświecał, ciągle sypały rześiste iskry. Książ, jak czytelnikowi już wiadomo, był obdarzony nadwyzwyczajną siłą, jakiej pan Szukszta sprostacby nie mógł; ale jego zręczność równowagę utrzymywała. Cięcia były tak zamasyzste, jak kiedy w puszczy topory obalają dęby; gdyby takowe cięcie łbu się dostało, rozplatałoby go niezawodnie; ale jakkolwiek razy były i szybkie i gęste, zawsze brzeszczot spotykał się z brzeszczotem, i nawzajem się szcerbiły. Nie była to igraszka, ale rzeczywiście potyczka na ostre. Widać było, że książ chciał koniecznie obznaczyć współzawodnika, nie wchodząc w następstwa tego obznaczenia; niemniej poznać się dawało, że pan Szukszta, chociaż wielki pochlebca, zagrzany walką bynajmniej oszczędzać nie chciał kniazia, a jednak jeden drugiemu żadnej szkody nie mógł wyrządzić. Nakoniec ten ostatni, po całogodziném szamotaniu się, widocznie upadł na siłach, tak, że nareszcie odskoczył o kilka kroków, szablę opuścił i powiedział: Jaśnie Wielmożny panie, składam broń, bo już nie czuję ręki, tak mi omdlała.

— Siadaj, siadaj panie Tomaszu — odrzekł wojewoda śmiejąc się. — Nie pierwszy raz dowiodłeś, że ani siłą, ani zręcznością, waści nie zmożę; tyle tylko że jestem wytrwalszy. Pot leje się z waści jak z cebra, a ja ani trochę nie czuję się znużonym; na dowód tego, hola! przynieś mi podkowę!

Duchem wybiegł jeden z pokojowych.

— Patrzajcie — mówił dalej książ. Wziął podkowę, natężył dłonie, i połowę podkowy oddał panu Szukszcie, który siedział zasapany.

Po tym popisie, książ wojewoda zdawał się być w dobrym humorze. Rozprawiał poufale ze szlachtą, która coraz gromadniej skupiała się na dziedzińcu, i słuchał z niedaną wesołością dykteryjek jowialistów prowincjonalnych, i ucinkowych conceptów swoich trefnisiów nadwornych, a zwłaszcza pana Szukszty, który najwięcej miał do niego śmiałości. Często dawały się słyszeć dość ostre obrażać. Było to w dawniej obyczajowości naszej, że jeżeli możnowładca był przywykły do słuchania pochlebstw, niemniej musiał być przygotowanym i do przycinków od swoich klientów, a nawet sług, byle w narodowy dowcip obleczonych. Bo jeżeli szlachcie uległ chętnie przewadze pana, jako wodza stronnictwa, jakiego z przekonania czy z potrzeby

sam był członkiem, albo którego chleb pożywał, to nigdy nie wyzwalał się z przekonania, że nie wyższej istocie, ale równemu sobie urodzeniem obywatelowi ulega. I to przekonanie kiedy niekiedy umiał przed nim wynurzać, ile razy widział go usposobionym do słuchania prawdy, chociażby niemiłój. A takowe usposobienie nie było rzadkie, ze względu na stan obyczajowy naszej dawniej społeczności. Bo możnowładca Polski w swoim zamku ani księgozbioru, ani galerii obrazów, ani zbiorów ciekawości nie posiadał, a nawet ich użytku nie wiele pojmował; nawet nie widziałeś w nim tych wykwintnych sprzętów, w jakie dziś już i pomierne domy obfitują. Żgoła nie takiego, eoby mu uprzytomnić zdołało odosobnienie się od ludzi. Obcowanie towarzyskie było dla niego jedyną rozrywką; im więcej było domowników i gości, tém weselój czas mu schodził. Bez wątpienia i jedni i drudzy wiele od niego znosić musieli, będąc od niego zawisłymi; wszakże nie do tego stopnia, żeby i on nawzajem nie musiał być wyrozumiałym na ich wybryki, gdyż bez téj wyrozumiałości musiałby poprzestać na służebnictwie i dworakowstwie poddanych swoich, a tém samém skazać się na najnudniejsze życie; bo towarzystwo ludzi, wyzutych z wszelkiej swobody w obcowaniu, nie wieleby się różniło od obcowania z posągami. Człowiek towarzyski, chociażby najdrażliwszój miłości własnej, pomimowolny wstręt uczuje do takiego, który bez cienia oporu zgadza się z każdym jego zdaniem, który w niczém nigdy mu się nie sprzeciwi. Jest-to tak oczywista prawda, że kiedy monarchowie żyli otoczeni tylko takimi, którzy z niczém się nie odzywali, jedno z tém, co było zupełnie stosowném do zdania ich pana, a z których ust oprócz pochlebstw nie wychodziło, potrzeba słuchania czasem prawdy chociażby niemiłój tak dalece im czuć się dawała, że aż się wyrobili urzędowni gadacze, których językom wszystko było pozwolono, a którzy znani pod imieniem nadwornych błaznów, dowcipne ale cierpkie prawdy bezkarnie władcom ludzi głosili.

Ale ten dobry humor kniazia wojewody stopniami znikał od południa, a kiedy dano znać, że gotowo na stole, zasiadł, ale tak był kwaśnym, że omal nie w zupełném milczeniu, uczta, owa dźwignia wesołości, się skończyła. A to ztąd, że spodziewał się mieć u siebie hetmana na obiedzie, a ta nadzieja go ominięła. Spóźnił obiad więcej niż o dwie godziny, a nie doczekawszy się pożądanego gościa, siadł ze szlachtą. Widać było na nim tak silną irytację, że nikt się nie odzywał, nawet pan Szukszta. Właśnie obok niego siedział za stołem pan Dawid, i cicho mu powiedział: — A to odkąd żyję, pierwszy raz mi się zdarza między tyloma obiadującymi głosu ludzkiego nie słyszcć. Niech-no waszmość odsznuruje gębę, a i gospodarz i go-

ście się rozweselą; aby tylko zacząć, samo z siebie zaanimuje się towarzystwo.

— A daj waszmość pokój, — odparł pan Szukszta. — Znam go ja lepiej, niż on sam siebie. To silne a dzikie jak niedźwiedź; póki wrzeszczy a łaje, to jeszcze pół biedy, ale kiedy milczy rozdąsany, to ani się przybliżaj, ani odzywaj do niego; gotów podrapać, a wiadomo co to jest drapanie niedźwiedzia.

Skończył się nareszcie obiad, przy którym każdy siedział jak na szpilkach. A po obiedzie goście jeden po drugim wysuwać się zaczęli do miasta, każdy do swojej kwatery, tylko domownicy zostali przy wojewodzie, który z nimi poszedł do stajni: bo jakiegokolwiek było usposobienie wojewody, nigdy nie omieszkał dwa razy na dzień robić przeglądu swoich koni. Pan Dawid miał chętkę pójść z panem Butrymowiczem, bo i jemu zły humor gospodarski weale nie był miły; ale pomiarkował, że będąc sam sługą jego teścia, powinien był się uważać nie za gościa, ale za domownika, poszedł więc do stajni wraz z innymi za kniazem. Tam książę ostatnie skutki swojego gniewu na hetmana zwałił na koniuszego przez słowa obelżywe, a jeszcze boleśniej na masztalerzów. Bóg święty wie, co do nich upatrzył. Według pana Szukszty miał to być powrót jakiś do łagodniejszych myśli, bo już nie milczał sapiąc jak to było dopiero, ale strasznie krzyczał. Ale nie zdaje się, żeby stajenni zdanie tego dworaka podzielali, gdyż ich wszystkich tak kazał poobdzierać batogami, że każdemu z nich po kilkadziesiąt się dostało. A chociażby się i dowiedzieli, że to hetman wielki Litewski ukarany został na ich skórze, wątpię żeby to miało ulżyć im bólu. A sług nałajawszy i nabiwszy do woli, czoło mu zaczęło potroszę się wypogadzać, że został dostępniejszy do słuchania tych dykteryjek, któremi pan Szukszta już się odważył go częstować. Dopiero kiedy książę po odbytych przeglądzie wrócił do swojej komnaty, by użyć wedle swojego zwyczaju półgodzinnego wczasu, a za nim ulubiony kozaczek Pokotyło, który jeden miał wolny wchód do jego sypialni, żeby muchy opędzać, pan Dawid pedibus apostolorum dostał się do swojej miejskiej kwatery, z której nazajutrz poszedł do zamku, gdzie także sceny na nowo się powtórzyły.

Przez dziewięć dni było to samo. Hetman zawsze oczekiwany nie przybywał, a wojewoda chimerował. Naprzykrzyło się panu Dawidowi być tego świadkiem, i bezkorzystnie czas tracić. Dziesiątego, idąc do zamku, postanowił, że czy się doczeka, czy nie, hetmana, nazajutrz opuści Słonim, żeby jak najrychlej dostać się do księcia Lubomirskiego. I przejęty tą myślą stawił się przed księciem wojewodą, którego niecierpliwosć codziennie gwałtowniej się wyrażała. Kiedy go powitał, najmniejszego ukłonu nie otrzymał, bo właśnie wtedy książę był w najwyższym ferworze gniewu przeciw hetmanowi. Do-

tąd narzekając na niego, trzymał się jakiegoś umiarkowania, przynajmniej jakoś się targował z wyrazami, ile razy o nim mówił. Ale teraz tak był rozdrażniony, że już nie oglądając się na tłum szlachty, pośród której było wielu stronników i przyjaciół obowiązanych hetmanowi, na nim czci ni wiary nie zostawiał. Wściekłość podniosła w nim głos do najwyższego diapazonu. Wszyscy ze strachem w milczeniu stali, bo każdy poznawał, że z lada słówkiem się odezwać, byłoby to samo, co chcieć gwałtowność przywołać na siebie, a nikt nie chciał się narazić na skutki pychy, gniewu i siły, razem połączonych w osobie możnowładcy, mogącego w każdej chwili rozrządzać ramieniem kilku tysięcy siepaczy.

— Co to! — powiedział — czy ja pacholę, żeby ze mnie żarciki stroić? Zawsze miałem Gąsiewskiego za ba i bardzo, ale nie spodziewałem się, żeby nim był do tego stopnia. Ze pierwszy raz buława dostała się do jego ladajakiego domu, to mu tak głowę zawróciło, że uroił sobie, że może jeździć po wojewodach.

Moi przodkowie byli samowładnymi panami na rłusi, a książę panujący w Kurlandji uważał za wielkie Boga błogosławieństwo, że jego synowica a matka moja weszła w dom Dorohostajskich. A ten przybłąda Gąsiewski, który swojego pradziada pokazać nie potrafi, myśli że mu się uda mnie obrócić w swojego służalca? A dopóki ja na niego czekać będę? Co mu się roi? że ja jego władzy hetmańskiej się ustraszę? A żeby się tego nie doczekał? Albo ja nie mam własnych zamków i milicyi nadwornej, liczniejszej od tych komputowych wojsk, któremi hetman tak się nadyma? albo ja prowadzić nie umiem żołnierza i nie dawałem tego dowodów? Wszakże on najpierwszy przylgnał do króla Szwedzkiego, i ta jego przyjaźń dopiero wtedy poszła mu na korzyść, kiedy wszedł w umowę zemną i z księciem teściem. To też, że się jemu ulegało, to nie przez szacunek dla jego osoby, ale jedynie przez wzgląd na księcia teścia i króla Szwedzkiego. Ja drwię z władzy hetmańskiej. Kiedy dotąd Gąsiewski nie przybył, pomimo obietnicy danej na piśmie, niechże już nie przybywa, bo nie tylko że mu wypowiadam posłuszeństwo, ale doczeka się tego, że każę go powiesić na wałach mojego starościńskiego zamku. I kto mi tego zabronić może? A potem, nie udam się do tego jezuita, co uciekł z Polski, jak mu w niój zaczęło być kręto, a którego usiłują wydzwignąć pan Czarniecki i pan Lizdejko — wielkie imiona! A będę wojnę na mój własny rachunek prowadzić; mam czém i o czém. Mnie Litwa i Polska ni śmierdzą ni pachną: ja Ruski kniaz; jak zechcę, Jurko Chmielnicki na wierność mi przysięgnie, a ja go za to zrobię hetmanem, lepszym niżeli ten Gąsiewski. Pokażę co umiem.

Ledwo na tém stanął, a już towarzysz z jego zamku cwałem omijał bramę zamkową, i zatrzymał się na dziedzińcu o kilka kroków od

wojewody, skoczył z konia, i doniósł mu, że już straż hetmańska w mieście, a sam hetman w kolasie z generałem Szwedzkim Pontusem wjeżdża na groblę prowadzącą do miasta. Ktoby myślał, słysząc co dopiero wygadywał wojewoda na hetmana, że jego przybycie okropną burzę wywoła. Przeciwnie; to oznajmienie w jednej chwili ukoiło dumnego możnowładcę. Krzyknął na dworzan, żeby natychmiast wierzchowe konie osiodłać i przyprowadzić mu, gdyż chce wyruszyć z asystencyą na spotkanie hetmana. Rozkaz zaraz wykonany został. Książ skoczył na swojego rumaka, dworzanie i wodzowie poszli za danym przykładem, i wszystko cwałem wyruszyło za wojewodą. Pan Dawid dorwawszy konia, wcisnął się między nich uradowany, że przecież doczekał się hetmana.

Kawalkata spotkała hetmańską kolasę o kilka sążni od bramy miejskiej. Hetman na widok wojewody kazał kolasie się zatrzymać. Wojewoda oddał maszalerzowi swojego konia i pieszo przybliżył się do hetmana, żeby go powitać, i stosownie do praw wojennych zdać mu sprawę z tego wszystkiego, co się tyczyło siły zbrojnej, nad którą miał dowództwo w Słonimiu. Cała buta wojewody rozbiła się o przytomność hetmana; największą uniżoność mu okazywał, a lubo i tamten był dla niego grzecznym, bo nawet wyszedł z pojazdu, żeby się mu odkłonić, i zażądał konia, chcąc razem z gospodarzem stanąć w zamku, jednak można było zauważyć na nim ten półśmiech nieco ironiczny, który rzadko opuszcza ludzi światłych, ile razy obcują z takimi, co chociaż trafem jakieś wysokie zajmują stanowisko w społeczeństwie, nie posiadają żadnego z tych warunków moralnych, które są zdolne zrównoważyć człowieka z jego położeniem. Hetman był z liczby tych ludzi, którzy są gotowi wszystko poświęcić dla widoków osobistych. Wyznawca szczęścia, zawsze gotów odmieniać swoje przekonania polityczne gwoli tego niestatecznego bóstwa, do wysokiego ukształcenia i nadzwyczajnej przebiegłości łączył głęboką znajomość słabiej strony serca ludzkiego. I to mu szczególnie posłużyło do szczęśliwego a w dość krótkim czasie odbytego zawodu, w którym szlachcic, bezwątpienia zanie urodzony, ale miernego majątku i bez świetnych kolligacyj, pomimo oporu panów spadkowo przewodniczących na Litwie, przyszedł do ogromnych dóbr, do wysokich dostojenstw, a nakoniec do wielkiej buławy Litewskiej. Wielki wódz, zły obywatel, równie mściwy względem nieprzyjaciół, jak hojny dla swoich stronników, skorszy do zamordowania podwładnego szlachcica, któryby się odważył mu sprzeciwić, niż do obrażenia go nierozważnym słowem, nie był lubiony nawet w stronnictwie, któremu przywodził; ale wszyscy, począwszy od najmożniejszych panów, bali się go tak dalece, że się dobijali że tak powiem zaszczytu połączenia swoich starodawnych domów z nazwiskiem dopiero poznanym w narodzie.

Wprzódki jeszcze, nim otrzymał od króla Władysława w województwie Smoleńskim i Mściławskim ogromne nadania, któremi mógł sprostać spadkowym magnatom, swoje córki bezposazne świetnie usadowił: jedną wydał za Oskierkę strażnika Litewskiego, drugą za Obuchowicza wojewodzica Smoleńskiego, trzecią za Chodkiewicza kasztelaną Trockiego. A później udało mu się swojego jedynaka ożenić z księżniczką Radziwiłłówną, wojewodzianką Wileńską. I co najwięcej utwierdziło jego przewagę w narodzie: i syn i zięciowie służyli ze ślepym posłuszeństwem jego widokom. Chociaż już usadzony między pany i z pierwszymi domami skoligacony, nigdy nie przestawał czuć do nich tego wstrętu, jaki ma zwykle przybysz szczęśliwy do tych, którym świetnością urodzenia sprostać nie może. Jakkolwiek to usposobienie przybiera dla pokrycia się szumne nazwy demokracji, miłości praw ludzkości, wyzwolenia od przesądów, w rzeczy samój jest tylko przyrodzoną zawiścią, a tём samém najnikczemniejszą z pomiędzy wszystkich złych skłonności. Ani wysoki rozum, ani zręczność hetmana nie mogły w nim przytłumić tój słabości. Sam możnowładca, tём dumniejszy, im mniej był oswobodzony ze swoim położeniem, powstawał na możnowładców i żadnej okoliczności nie opuszczał, żeby ich poniżyć. W tём jedném zawodziła go jego znajomość serca ludzkiego, bo narażał się magnatom, bynajmniej nie obowiązując szlachty, która chętniej przebaczy wyniosłości potomka spadkowego rodu, niżeli takiego, co świeżo wyniósł się z jój łona.

I to się dało widzieć w ciągu całego dnia, w którym kniaź, jakkolwiek zuchwały i zaniedbanego wychowania, pewien rodzaj zwycięstwa otrzymał nad hetmanem w tём, iż pokrzepiając niedostatek przymiotów osobistych obejściem się, którego podanie po wielkich domach tylko się zachowuje, ani jednę chwilę nie wypuścił z uwagi obowiązków gospodarza, podczas kiedy niejednokrotnie pan Gąsiewski rozmaitymi przycinkami i obraźliwą ironią mógłby wprowadzić w mniemanie, że nie przypuszcza żadnych praw, którymby gość był obowiązany ulegać.

Na oko wszystko szło najlepiej. Kniaź wojewoda, skoro zajechali na rynek Słonimski, wypuścił konia, żeby pieszo mógł gościa przyjąć u progu zamkowego, przy którym gość i gospodarz bez końca sobie ukłonów narobili. Przy obiedzie, już po trzecim półmisku, garnceowym kielichem obeszło zdrowie hetmana, któremu wtórzyły wystrzały wszystkich armat warownego zamku Słonimskiego. Pod koniec obiadu huk kotłów i trąb nieco zadziwił tych biesiadników, którym się nigdy nie zdarzyło być świadkami ugoszczenia najwyższych a dożywotnich wodzów wojsk rzeczypospolitej. Kotły się odezwały z powodu, że pieczeń hetmańska, to jest zrebę na różnie upieczone, stół obchodziło. Był-to obrzęd symboliczny, obmyślony niewiadomo

kiedy i przez kogo, a w obyczajach narodu wojowniczego ze ścisłością zachowany, że kiedy obywatel pierwszy raz przyjmował w domu swoim hetmana, na pieczęste musiało być koniecznie żrebię, a wszyscy biesiadnicy musieli je pożywać przy odgłosie trąb i kotłów. Hetman Gąsiewski nie mógł w duchu odmówić sprawiedliwości kniaziowi wojewodzie, że o niczym nie zapomniał. Powstał więc z krzesła, stojąc spełnił kielich za zdrowie gospodarza, dziękując mu, iż w obliczu tak znakomitego obywatelstwa raczył go uczcić. Ale te etykietalne grzeczności, krótkotrwałe, przerywały zakusy rozmowy niewiele przyjemnej dla gospodarza, a które także prędko się urywały, bo ten ich nie podsyczał, jakby nie rozumiejąc, że to do niego jest obrócone. Nakoniec hetman, głębiej chcąc dotknąć wojewodę, odezwał się niby z niechcenia :

— Mości wojewodo, żyj jak najdłużej dla ojczyzny i dla nas swoich przyjaciół, bo jak pożegnasz ten świat, żadnego Dorohostajskiego na nim nie zostawisz, któryby to świetne nazwisko przekazał potomności.

— Nie myślę jeszcze umierać, mości hetmanie, lubo nie oszczędzam mojego życia, ani tracę nadziei cieszyć się potomstwem, lubo w tém zgadzam się z wolą Pana Boga.

— Na taką nadzieję nie ma czego się spuszczać, mości wojewodo, ile że waszmość masz pewniejszy środek do zapobieżenia temu, by jego dobra nie przeszły w inne domy.

— Niewiele mnie obchodzi co się z niemi stanie po mojej śmierci, i w tém waszmość dobrodziej jesteś troskliwszy odemnie, za co składam mu podziękki.

— A jednak ludzie mówią, że masz successora krwi swojej po mieczu.

— Pierwszy raz o tém słyszę — odparł kniaz nieco poruszony. — Jak uważam, ci ludzie do zbytku się zajmują tém, co mnie tylko obchodziłoby powinno.

— Dziwić się nie trzeba, że u nas nikt nie może być obojętnym na to wszystko, co się odnosi do tak znakomitego męża, tak wysokiego rodu jak waszmość. I wszyscy się cieszymy, że młodszy jego brat nie zszedł bezpotomnie, ale zostawił syna, który, jak mówią, wychowywał się za granicą. Dziwi mnie, że waszmość dobrodziej dotąd żadnego kroku nie uczynił, żeby tego kawalera sprowadzić do kraju. Wszakże on jest właścicielem jednej połowy domu Dorohostajskich, nim po najdłuższym życiu waszmości dobrodzieja zostanie spadkobiercą drugiej.

— O nowych zupełnie dla mnie rzeczach pan hetman wspominaś, i o tyle do nich przywiązuję wagi, o ile to wychodzi z jego szanownych ust. O żadnym ożenieniu się mojego świętej pamięci brata

ani wiem, ani chcę wiedzieć. Co do spadku, jaki mi się po nim dostał, tyle długów po nim pozostałych musiałem opłacić, że nie warto o téj sukcesyi mówić, i gdyby nie troskliwość o sławę braterską, pewniebym się od niej odprzysiął, idąc w tém za radą moich prawników. A ponieważ pan hetman raczysz rozciągać opiekę swoją nad moim domem, powiem mu otwarcie, że ile czułem się być w obowiązku z własną moją szkodą zaspokoić wierzycieli mojego brata, o tyle nie myślę, żeby ten obowiązek rozciągał się aż do brania na mój karb wszelkich błędów jego młodości. Zresztą, jeżeli się znajduje ktoś, mieniący się być jego synem, i roszczący sobie prawo do naszego imienia, poradziłbym mu, żeby tém nie obciążał władzy hetmańskiej, która ma zbyt ważne powołanie, aby miała się zatrudniać interesami prywatnemi obywatelów.

Pan hetman zmarszczył się na te słowa. Zabierał się do odpowiedzi, i gdyby nie przytomność kniazia Wankowicza, stolnika Słozimskiego, pełniącego obowiązki wice-gospodarza, rozmowa dość ciepła mogłaby się przemienić w kłótnię między dumnymi możnowładcami, politykującymi z sobą, ale rzeczywiście nienawidzącymi się wzajemnie, a w téj chwili rozdrażnionymi. Wstrzymał albowiem odpowiedź hetmana wniesieniem zdrowia jego wnuczka z księżniczki wojewodzianki Wileńskiej, i spełnieniem go półgarncowym kielichem w ręce kniazia wojewody. Ten natychmiast przypomniawszy sobie powinność gospodarza, uprzejmie go przyjął i wypróżnił na cześć nadziei domu Gąsiewskich. Hetman wywzajemnił się kielichem dziękczynnym, i tak wszczynająca się sprzeczka utonąła w strugach węgryzna, że odtąd nie już nie zachmurzyło biesiadniczej zgody.

Skończony obiad nie przerwał zabawy; goście i domownicy ruszyli za wojewodą i hetmanem do komnaty bawialnej, gdzie już kielichy nie przestawały krążyć. Wojewoda i hetman ciągle zakrapiali wzajemne oświadczenia jedności i niczém nierozzerwanej przyjaźni. Wielu, a między nimi i szwedzkiego wodza, bez przytomności pokojowi wnieśli do komnat im do spoczynku przeznaczonych. Sam hetman tak się uraczył, że lubo jeszcze na nogach, dał za wygraną, i wyprosił się, że mu gospodarz pozwolił odejść, tém się przed nim tłumacząc, że ma ważne rozporządzenia do ułożenia nazajutrz, zamawiając sobie odnowienie zabawy na czas swobodniejszy. Wojewoda jeden nie opuszczał placu, chociaż tak podpiły, że zaledwo trzymał się za pomocą pana Szukszty, który, jakkolwiek pijany, nie przestawał używać ramienia swojemu panu. Ale już mu słowa się płątały, tak że trudno było domyślić się ich znaczenia. Już i jego zabierano się odprowadzić do przygotowanej pościeli, kiedy raptem wpadł dowódzca od warty z oznajmieniem, że pan Olesza, gubernator zamku Dolskie-

go dopiero przybył, i że koniecznie potrzebuje się widzieć z kniazem wojewodą.

ROZDZIAŁ VIII.

Wpuszczono pana Olszę, który wszedł pomieszany i pochylony, jakby pod brzemieniem jakiego wielkiego nieszczęścia. Książ do niego przemówił dość niewyraźnie, wszakże jednak można było skleić, że mu powiedział: — po coś tu przyjechał, i co słyhać w Dolsku?

— Złe — odpowiedział. — Nieszczęście, hańba, zdrada. Dolsk w ręku nieprzyjaciół pańskich.

Jakkolwiek książ wojewoda był pijany, na te słowa jakby ręką odjął, zaraz się wytrzeźwił.

— Co to jest? Czy waśe oszalał pleś mi podobne androny? Żeby mój Dolsk, moje oko w głowie, miało się dostać w cudze ręce, to być nie może! Upamiętaj się waśe!

— Nie inaczej, JW. panie. Ten zamek wzmocniony staraniem i kosztem kilku pokoleń, ta załoga, na którą my się tak spuszczały, całe to księstwo tak ludne, tak bogate, wszystko to dawszy się wwiłkłać w zdradę, posłuszeństwo JW. panu wypowiedziało.

— Wszakżeś waśe miał sobie odemnie powierzone dowództwo nad zamkiem i załogą, a jeszcze żyjesz?

— Ach panie, Bóg świadkiem, iż chciałem iżby mnie zabili, a nawet téj łaski otrzymać nie mogłem. Wszystko tak się stało niespodzianie, że dotąd rozebrać nie umiem, jak to się stać mogło. Na to wspomnienie od przytomności odchodzę. Jest-to rzecz bezprzykładna, okropna, wyraźne dopuszczenie Pana Boga, żeby czart igraszkę sobie robił z nami.

— Jakże to było? Mów, niech się dowiem o wszystkich szczegółach tego nieszczęścia? Niech wiem, na kogo mam wymierzyć skutki mojej zemsty?

— Wszystko JW. panu wypowiem, niech tylko skupię moją myśl. Jak przed skonaniem wszystko przed księdzem, który mnie na tamten świat wyprawi, opowiem, w niczym siebie nie oszczędzając, tak też przed JW. panem niczego nie utaję. A jeżeli JW. pan osądzi, że w czym przewinił, poddaję się pod całą ostrość zasłużonej kary. Chociaż jestem herbowym szlachcicem, niech mnie JW. pan każe powiesić. I owszem, tak mi życie obrzydło, że zgadzam się na to, by mi było haniebnie odjęte; bo na cóżby ono mi się przydało, kiedy już cześć utracilem? JW. pan powiedziałeś mi dopiero: miałeś dowódz-

two, a jeszcze żyjesz? To słuszne zapytanie; w samej rzeczy, mnie żyć nie trzeba. Tyle tylko, że błagam, byś JW. pan o mojej duszy pamiętał, a z ciałem rób co ci się podoba. A na jakie set djabłów z respektem, przydało mi się życie, kiedy człowiek oczów nie śmie, podnieść między ludźmi, taki wstyd?

— Ale dobrze, dobrze! mnie nie idzie o to, co czujesz i myślisz, a o to co się zrobiło; mów rzecz po prostu!

— JW. panu powiem więc to, co bodajbym nie wymówił. I po szczegółach. W zamku Dolskim było na wałach dwanaście armat, i cztery śmigownice. A armatnicy tak wyuczeni, że każdy do celu trafił jakby z rusznicy; teraz czterysta halabardników milicyi nadwornej pańskiej, zawołanych strzelców, i tyleż różnych kozaków. Oprócz tego osmdziesiąt bośniaków uzbrojonych w proporcey; nie liczę w tém szlachty, której było dwustu, a koń w konia. Zdaje się, że było wszelkie bezpieczeństwo.

— Wiem o tém, wszakże to bezemnie się nie obeszło; ale cóż dalej?

— Każdy znał swoją powinność. Bywało po kilka razy w nocy się zrywam; idę na wały, czy który czasem nie zasnął? jako żywo, wszystko jak potrzeba, i ofycalista i szeregowy. A jak JW. panu wiadomo, bo to było z jego wysokiego rozporządzenia, JW. wojewodzina bawiła w Dolsku. Jeszcze to JW. pan odjeżdżając mi powiedział: Oleszo, powierzam tobie zamek i panią wojewodzinę, żebyś mi je w całości zachował!—A ja na to:—biorę wszelką odpowiedzialność na moją głowę.

— Dobrze, ale dalej do rzeczy!

— Otóż mnie nie było kłopotu myśleć o zamku, bo aż nadto byłem jego pewny; turbowałem się tylko, żeby czasem JW. wojewodzina nie zachorowała z tęsknoty za JW. panem, a pokazało się nakoniec, że JW. wojewodzinie nic złego się nie stało, a właśnie zamek kaduk spiskał. Tak to spuszczać się nie można na rachuby roztropności ludzkiej.

— Tylko proszę cię, mój Oleszo, zaniechaj tych morałów.

— Słucham JW. pana. My pilnujemy naszej rzeczy, a JW. wojewodzina siedzi w swojej komnacie, jak przystoi tak wielkiej pani. Wieczorem tylko przechadza się po wałach z swoim francymerem, który za nią opodal zawsze stoi przez uszanowanie, a tylko panna Kudrewiczówna, która świeżo do niej przybyła z Małej-Polski, gdzie nawiedzała swoich krewnych, obok niej przechadzała się, i JW. pani na jej ramieniu się opierała, i zawsze miała coś z nią do mówienia; bo jak wiadomo, ona z nią razem się chowała w zamku Birzańskim, i ztąd też, kiedy po długim rozstaniu panna Kudrewiczówna przybyła do naszego zamku, potrzeba było widzieć, jaka to radość była JW. wojewodzinie. Z początku bywało, ile razy JW. wojewodzina stanie na wałach,

ja każę walić z armat na jej uczczenie, ale ona mnie potem prosiła, że-
bym tego zaniechał, bo inaczej nigdy nie będzie używać przechadzki.
Prośba tak wielkiej pani jest rozkazem. A nakoniec sam zauważyłem,
że szkoda prochu, bo czas zaczynał być niespokojnym, i już Ogar na
czele swoich hultaj pokazywał się w naszej okolicy, a nawet jedną
ekonomię należącą do księstwa Dolskiego ośmielił się najść i zrabo-
wać. Ja zaraz naprzeciwko niego wyprawilem mojego syna z bośnia-
kami i łóznami kozakami, ale Ogar nie dotrzymał placu. Gdzie tam!
jak tylko dowiedział się, że nasi chcą się z nim przywitać, a zawsze
się znajdzie taki, który tych rozbójników ostrzeże, rzucił się ku Manie-
wiczom, gdzie na pewne cały tydzień rabował. Myślę sobie: — uciekł,
ale może się znowu pokazać, i jeszcze w większej sile, bo, jako się pi-
sze, djabeł wypędzony powraca z dziesięciu djabłami jeszcze gorszemi.
A więc kto może przewidzieć co się stanie; dobrze więc proch oszczęd-
zać.

— Tak jesteś rozwlekły, że prawdziwie nadużywasz mojej cier-
pliwości. Rzucasz się to w prawo, to w lewo, a nie trzymasz się naj-
prostszej drogi w opowiadaniu.

— Otóż właśnie to nie są zboczenia, ale najpotrzebniejsze szcze-
góły do zrozumienia tego, co się tyczy głównej rzeczy. Pan nie może
znieść opowiadania tego, co jego sługa doświadczył, i nie dziw — je-
dnym słowem okropność. Pani się nudziła w takiej samotności, bo
jak zaczęli się Kazimierczycy jawić, to tam, to owdzie, już i sąsiedzi
przestali bywać w Dolsku, żeby tém u nich nie wpaść w podejrzenie.
U nas mało się znajdzie takich, coby nie lubili na dwóch stołkach sie-
dzić. Panu Bogu się kłania, ale nie zapomni i przed djabełm świeczki
zapalić. A pojechać-no w naszą okolicę, jak niedawno jeszcze
tameczni obywatele czci ni wiary nie zostawili na ex-królu; proszę
teraz z niemi pomówić! albo wcale o nim nie mówią, albo go z okaza-
niem jakiegoś współczucia wspominają. Zawsze króla Szwedzkiego
chwala, ale wszystko nie tak jak to było, kiedy jeszcze ta konfede-
racja Tyszowiecka nie była się podniosła. O! na co mam w bawełnę
obwijać przed jaśnie panem? całkowite nasze obywatelstwo zaczyna
wierzyć w odmianę szczęścia, i bardzo wielu jest takich, którym nie co
innego w głowie, jak tylko pogodzić się z królem Janem Kazimierzem,
o którym nawet mówią, że już ma się znowu znajdować na ziemi pol-
skiej. Bóg święty wie, czy to jest prawda? relata refero.

— Ale zmiłuj się, Oleszo, nie bałamuć! Na jakie lichy mi się
przydadzą twoje uwagi? co one mają do rzeczy? czyż już nigdy z tobą
do końca nie trafię?

— Dojdziemy do końca, jaśnie panie, dojdziemy aż nadto prędko.
W samej rzeczy, trzeba użyć więcej czasu do opowiadania wypadku,
niż się było potrzeba, ażeby się ziścił. Przybyło kilku kozaków ban-

durzystów, z takich, co to po całym kraju blakają się, żeby śpiewem i tańcem zapchać sobie żołądek, podłatać skórę i nie chodzić boso. To stanęło przed bramą, prosząc o przyjęcie łaskawe. Bliźni bliźniemu nie powinien pozazdrościć zarobku, ile że byłem rad czém niebądź rozzerwać tęsknotę JW. pani po jej JW. małżonku, który ją odjechał, a któregoby rada zawsze przy swoim boku widzieć, bo JW. pan nie uwierzysz...

— I co to do waści należy, czy wojewodzina tęskni, lub nie? Co to ma do straty Dolska? Mów waść, co masz do mówienia, a niczego się nie domyślaj, to zalecam pod łaską moją.

— Słucham, jasnie panie. Kazałem wpuścić to szmatulojstwo do zamku, oni téż zaraz mnie się odwdzięczyli, śpiewając różne pieśni, o kniazich Dorohostajskich, Solomereckich, Zbarawskich, i inne o sielskich przygodach, zwyczajnie handurzyści. A żołnierze straży radzi byli temu się przysłuchiwać, każdy z nich im rzucił przy podziękowaniu jakiś szelązek. A kozacy lóźni omal że nie poszaleli z radości, że swoich, a takich mądrych widzą. Zameldowałem ich JW. wojewodzinie, która także uprzejmy wzrok rzuciła na ich tańce, a słuch na ich piosnki. Otóż przychodzi mi do myśli, że kto wie, czy od nich nie poszedł początek biedy? czy ich nie wysłano umyślnie na wywiady? i żeby w kozakach wierność osłabić, chociaż niczego i szlachcie, bo prawdą a Bogiem, jak piorun trzasnął, każdy był lepszym. Już dochodzi do mnie wieści, że się podniosła konfederacja naprzeciw Szwedom, i tym co z nimi trzymają pewnie nie na złe ojczyzny, jak śmiało utrzymywać ci, co to im piątą klepki nie dostaje, ale na jej największe dobro. Naprzykład JO. ksiązę marszałek wielki Litewski, potężny teść jasnie pana, albo sam jasnie pan, a czyście nie dali dowodów jeszcze świętej pamięci królowi Zygmuntowi, że gdzie Rzeczpospolita tam i wy? A ci ludzie nikczemni, co nie warci dobrego słowa jasnie pana, śmieją języki na niego podnosić!

— Zostaw waść na stronie, co ich języki o mnie głoszą! Moja sława jakoś się obejdzie bez cudzej opieki, a kończ swoje, bez tych następów.

— Słucham, jasnie panie. Owóż tedy te wieści o konfederacyi, o porażeniu Szwedów przez pana Stefana Czarnieckiego, o ogłoszeniu się za królem JO. księcia marszałka Lubomirskiego i JW. hetmana Potockiego, o powrocie do kraju samego króla do mnie dochodziły, bo o tém wszystkiém szlachta mówiła. Ale to we mnie najmniejszej nie obudzało trwogi. Wszelako miałem w baczeniu, żeby to się nie rozniosło w załodze zamkowej. Ale jakże się przegrodzić od złej wieści? Słowo ptaszek, jeżeli nie przeskoczy, to przeleci; od czegoż skrzydła? Trudno nie pozwolić żołnierzowi wypić czasem kieliszek gorzałki w karczmie. A byle się dotknąć żyda, już się wie, co się dzieje i w o-

kolicy, i za okolicą. Bywało, żołnierze mnie powtarzają co słyszeli; ja wybijam im z głowy jak mogą te wiadomości dla nich wcale niepotrzebne. Ale z respektem, zjé diabła, kto przeszkodzi złéj wieści obić się o ludzkie uszy. A coraz częściej Ogar w naszej okolicy się pokazywał; a co gorsza, jakiś Lizdejko, o którym w prostym ludzie, a nawet pomiędzy szlachtą, od niejakiego czasu cuda opowiadają, z nim się połączył, a Ogar jemu był we wszystkim posłuszny. Póki Ogar był sam, nie było czego obawiać się w polu; nie raz i nie dwa wysłałem naprzeciwko niemu oddziały, ani razu im nie śmiał pokazać czoła. Moi go zawsze wypłoszą, że wpadnie jak w wodę; potem dowiadujemy się, że gdzieś o kilka mil w stronie czasem przeciwnoległej wybrnął i kogoś ograbił; ale kiedy już i Lizdejko był z nim, wiele złego dwóch na jednego. Nie można było wysłać oddziałów na rzeź; tyle tylko, że patrolowali w około dla wywiadów i wracali do zamku zdać sprawę z tego co widzieli i słyszeli, bo im srodze zalecałem, żeby unikali potyczki. Oprócz patrolów, nikomu nie pozwalałem o krok wydaleć się z zamku, a o niego byłem spokojny. Muru łbem nie przebijesz; wiedziałem, że ani u Ogara, ani u Lizdejki żadnej połowej armatki nie było, cóż dopióro takiej co łamie wały. Czekam co to będzie; ani mi było w głowie niebezpieczeństwo, bo jak jaśnie panu wiadomo, Dolsk jest tak warowny, że w nim zamknąwszy się, a klucze położywszy pod poduszkę, można spać spokojnie, z największą oszczędnością prochu. Myślę sobie, a czy czasem oni w téj okolicy nie czekają na armaty, żeby coś przedsięwziąć stanowczego? Choćby i tak, będę się trzymał; jest chwala Bogu żywność, chociażby i na rok, a dolskie wały nie bardzo się boją armat nawet ciężkich, bo nasze armaty, a zwłaszcza śmigownice, jeszcze dalej biją; przystępu im nie dopuszczają. Bardzo byłem spokojny; cała mi rzecz o to tylko chodziła, żeby JW. wojewodzina, moja pani, nie doświadczyła jakiegóś turbacyi, jeżeli przyjdzie do tego, że nieprzyjaciel podejdzie pod nasz zamek. Wtém przyjeżdża do Dolska pan Haraburda, dworzanin JO. księcia marszałka Litewskiego, z ekspedycją do JW. naszej pani, od jéj dostojnych rodziców, a mnie pokazał ordynans księcia, żebym mu był posłusznym. Jaśnie pana mam rozkaz na piśmie, żebym nigdy się nie ważył oporu stawić wszelkiéj woli JO. księcia marszałka. Wprowadziłem natychmiast pana Haraburdę do JW. wojewodziny; ta pani z największą uprzejmością przyjęła domownika JO. jéj ojca, zaszczyconego jego zaufaniem, a jego sługi od czasu dobrze poprzedzającego jéj urodzenie. Ale było widziéć jéj radość, jak się dowiedziała z listów rodzicielskich, że ma się z niemi połączyć w Warszawie; bo wniebytności jaśnie pana, jakież powab mógł ją zatrzymać w zamku, który był dla niej istném więzieniem? Bez zwłoki spełniła zlecenie. To się stało o samém południu, a już przed czwartą z swojemi kobietami, kil-

łoma sługami i panem Haraburdą była na wielkim gościńcu warszawskim, gdyż pokojówki JW. wojewodziny tak były rade opuścić Dolsk, że piorunem się wybrały; w jednej godzinie wszystko było gotowe. Co do mnie, oddzieliłem dwadzieścia koni pod najlepszymi moimi ludźmi do glejtowania JW. wojewodziny; bo lubo nie bez tego, żebym nie żałował dzielnych wojaków, ale jój bezpieczeństwo nad wszystko ważyłem, a z drugiej strony nie tak to była wielka strata, bo już postanowiłem wycieczek nie robić, a trzymać siebie i swoich w zamku na smyczy. Niech-no do mnie przyjdą na co mam ich szukać? A więc jazda nie tak mi była potrzebna, ile że pozostało mi jeźdźców aż nadto, a co do odjazdu JW. pani, wcale nie byłem od niego. Białogłowa, a dopióro wielka pani, wcale niepotrzebna w zamku obronnym, do którego lada dzień szturm przypuścić mogą. Człowiek o siebie nie dba, a onią bać się będzie, już serce oziębione; a jak wódz szwankuje na duchu, niewielka nadzieja w podwładnych. I kiedy ją ujrzałem już na zwodowym moście, zdało mi się, że wielki ciężar spadł mi z głowy.

— Zaklinam waści na miłość Boga, mów zwięźle! Na co te wszystkie wyboczenia się przydadzą.

— Słucham, jasnie panie. Jasnie wielmożna wojewodzina opuściła zamek o czwartej po południu, a już nazajutrz przed wieczorem jeden z tych, co to ich w okolice posłałem na wywiady, czasem o dwadzieścia mil od Dolska, sprawne i wierne żydzisko, do mnie przybywa z doniesieniem. Oto: że był wpadł w ręce Kazimierczyków, a ci widząc że musieli się domyślać co on za jeden, bo go powiesić chcieli, a że żył, to jedynie dlatego, że ci co go byli wzięli, spotkali się z naszą JW. panią. Wedle jego relacji, oni go dnia poprzedniego zachwycili i ciągle badali. Widział on ich dowódcę, Lizdejkę, jak go tam nazywają, ale to musi być przybrane nazwisko. Kto tam dojdzie prawdziwego u tych, co to pod godłem Jana Kazimierza pładrują Rzeczpospolitą? Mówił o nim, że ma postać wielkiego monarchy, jak to żydzi nazywają naszych wielkich panów; że jest wielce wspaniały, że wszyscy co służą pod nim, i wielce mu ufają, i okrutnie go się boją. A nie tylko ci co się zaciągnęli pod jego znaki, ale nawet tacy, którzy przypadkowo z nim się złączyli; i miał tego dowód w tym, że między tymi co otaczali tego pana Lizdejkę, poznał Ogara, którego dobrze pamiętał, bo podróżując przed rokiem przypadkiem znajdował się w Kocku, właśnie wtedy, kiedy napadł na to miasteczko i zrabował je do szczętu. Otóż zauważył, że lubo ten Ogar jest z liczby tych rozbójników, co na swój rachunek wojnę prowadzą, przecie jemu nadśkakiwał jak podwładny. Był tedy biedny żydek w ich szponach, strachał się nieborak, a tylko czekał, kiedy mu stryczek nałożą na szyję; ale nad nim nie pastwiono się, tyle tylko, że go pan Lizdejko po

ludzku wybadywał, kto on taki, zkąd jedzie i dokąd dąży, a patrzył mu w oczy, jakby go chciał na wylot wzrokiem przeszyć. A ma mieć wzrok tak straszny, że nie sposób go wytrzymać. Wtém pokazuje się na gościńcu poczet otaczający kolasę naszej JW. wojewodziny, i dwa inne pojazdy, które za nią się toczyły z jój dworem. Jak to obaczył, żyda zaniechał, kilku żołnierzom kazał go mieć na oku, a jednego towarzysza z trębaczem wysłał naprzód z językiem do tego pocztu; towarzysz zbliżywszy się do naszych, otrąbił się, i zapytał:— Jakięj wiary? czy królewskięj, czy cudzjęj?

— Jeden ze starszych naszej straży odpowiedział: nasza wiara jest taka, jaką być powinna. Jesteśmy słudzy Rzeczypospolitęj i kniazia Dorohostajskiego, wojewody Witebskiego. Głejtujemy jaśnie wielmożną małżonkę naszego pana do Warszawy, gdzie mamy ją oddać jój rodzicom, a jeżeli kto temu zechce przeszkodzić, gotowi jesteśmy gwałtem odpięrać.

— Rozumiem — odrzekł towarzysz strony przeciwnęj — wy trzymacie ze Szwedem. A choć jesteśmy wierni poddani króla Jana Kazimierza, my z białogłowami nie wojujemy. Owszem, u nas dla nich zawsze gotowa opieka. Niechże wasz dowódzca raczy przystąpić do naszego wodza, dla umówienia się z nim względem swobodnego przejścia; a żebyście nie myśleli, że w tém jest jaki podstęp, ja gotów zostać między wami jako zakładnik, dopóki umowa się nie skończy.

Na te słowa pan Haraburda wysunął się naprzód i rzekł:— Tyle ufamy honorowi żołnierskiemu, że zakładników nie potrzebujemy. Nazywam się Haraburda, jestem dworzanielem JO. księcia Bogusława Radziwiła, marszałka wielkiego Litewskiego, i jego córkę JW. wojewodzinę wiozę do Warszawy. Jój straż mnie jest posłuszną. Racwaszmość mnie zaprowadzić do swojego wodza; jestem gotów mu służyć. Udał się więc z przewodnikiem swoim do rycerza Lizdejki, który czekał na niego otoczony swoją starszyszą, podczas kiedy straż JW. wojewodziny ścisnęła się około jój kolasy. Zapomniałem powiedzieć, że w kolasie tylko panna Kudrewiczówna jój towarzyszyła, będąc respektową panną, a reszta francymeru siedziała w osobnych pojazdach.

— Mniejsza z tém, to do interesu nie należy.

— Słucham, jaśnie panie. Co się wtedy działo z JW. dostojną jego małżonką, to tylko żołnierze jój straży powiedzieć mogą, a ja żadnego z nich dotąd widzieć nie mogłem, bo oni poszli do Warszawy, gdyż żydek, co mnie z tego wszystkiego uczynił relacją, nie mógł być tego widzem, będąc zatrzymanym przez rycerza Lizdejkę. Owóz tedy pan Haraburda stanąwszy przed nim, nízko mu się skłonił, a tamtem z uprzejmością się odklonił, i zaraz weszli w rozmowę. Pan Haraburda opowiedział mu się, że ma dowództwo straży, która JW. wojewodzinę głejtuje, że wziął na siebie obowiązek odwiedzić ją księciu ojcu,

albo zginąć, a skończył temi słowy:—Ja mam garść ludzi w porównaniu tego, co widzę przy panu wodzu, a jednak klęę się na Boga i na mój klejnot herbowy, że będę bronił do upadłego pani wojewodziny, a krew niewinna, która się przeleje, spadnie na tego, który zaczepił, a nie na tego, który się bronił.—Na to rycerz Lizdejko: Ani o wierności, ani o mężstwie waszmości nie wątpię, ale o czóm nie wiesz, że całość i bezpieczeństwo wojewodziny może mnie obchodzić niemniej od waszmości. Żadnej przeszkody z mojej strony nie doświadczy, ani ona, ani jej słudzy, i to jest prawdziwe szczęście, żeście się ze mną spotkali, bo oddziały nasze ciągle się kręcą przy gościńcu Warszawskim. Możecie się spotkać z takim, od jakiego napaści nie ujdziecie; dość powiedzieć, że Burczymucha dnia wczorajszego za moim rozkazem odemnie się oddzielił, a jak musi być waszmości wiadomo, dla niego kto w oczy to nieprzyjaciół, a cóż dopiero żołdacy kniazia Dorostajskiego. Dopiero teraz waszmość możesz być pewnym, że nie złego się nie stanie wojewodzinie, bo dam waszmości na piśmie swobodne przejście aż do Warszawy; jak spotkacie jaki oddział uzbrojonych, wiernych poddanych naszego prawego króla, najjaśniejszego Jana Kazimierza, pokażecie tylko dowódcy to moje pismo, a zaręczam, że żadnej przeszkody nie doświadczycie, a owszem wszelką pomoc od niego dostaniecie. Pozwolisz waszmość, żebym osobiście złożył moje uszanowanie pani wojewodzinie, a potem ruszajcie sobie z Bogiem ku celowi waszjéj podróży. — Jeden ze starsziny podał mu papier i olówek; zapisał na nim swój rozkaz, czyli zalecenie, czyli co innego, bo jużci nie wyobrażam sobie, żeby wszyscy co trzymają z Janem Kazimierzem, byli mu posłuszni, boć tam są i Lubomirscy, i Potoccy, i Wiśniowieccy i Lackorońscy, a to wszystko senatorowie, ministrowie, dygnitarze, którzy coś więcej na świecie znaczą, niż ten pan rycerz Lizdejko, chociaż od dwóch lat z górą jak się mu powodzi. To prawda, że jeszcze o téj konfederacyi Tyszowieckiej nikomu się nie śniło, a on już dokazywał. Wszelako znam ambicję panów; to być nie może, żeby oni dali się uczeiwszy uszy za nos prowadzić przez niego.

— Do kroć djabłów! czy mnie na złość, wszystko zbaczasz od matery?

— Słucham, jaśnie panie; święte jego słowa. Owóż tedy rycerz Lizdejko, a za nim pan Haraburda, do kolasy co koń mógł wybiedz. Pan Haraburda krzyknął, żeby się szeregi rozwarły. Rycerz Lizdejko kazał jemu i straży oddalić się, bo chciał mówić z wojewodziną bez świadków, a już wziął górę, że bezzwłocznie jego rozkaz został spełnionym. Więcej kwadransu z nią rozmawiał, a o czém, ohyba jaśnie wielmożna pani to powie, jak się z jaśnie panem obaczy. Nawet panny Kudrewiczównéj nie ma się czego pytać, lubo musiała być świadkiem téj rozmowy, bo mój żydek zauważył, jak go zaprowadzono.

HENRYK RZEWUSKI.

do tego utrapionego Lizdejki, że jeden młodzian poufalszy z nim od innych ciągle odzywał się do niego jakimś niezrozumiałym językiem, a takież samym i pan Lizdejko mu odpowiadał, a że nasza pani wszystkie języki posiada, bo byłem świadkiem, kiedy jakiś przybłęda Włoch, słowa nie umiejący ani po polsku, ani po rusku, z małpami zawitał do Dolska, że z nim mówiła jego mową, jakby była rodowitą Włoszką, ztąd wnioskuję, że musiała pani z nim rozmawiać obcym językiem, a więc niezrozumiałym pannie Kudrewiczównie, która oprócz ojczystego, żadnego nie zna.

— I cóż to ma do rzeczy? Prawdziwie chcesz doświadczyć mojej cierpliwości, aż nakoniec się doigrasz, bo waści głupia gadulia nie do wytrzymania.

— Slucham, jasnie panie. Nagadawszy się z JW wojewodziną ile mu tego potrzeba było, rozkazał straży, ażeby na nowo otoczyła jój kolasę i powrócił do swoich, gdzie zastał pana Haraburdę tak rozgoszczonego, że przechadzał się z Ogarem, i w dobrej komitywie z sobą rozmawiali, jedno że pan Lizdejko tę rozmowę urwał:—Ruszaj waszmość co prędzej — rzekł — przed kolasę wojewodziny; masz odemnie co tylko może zapewnić jój bezpieczeństwo, a o jój wygodach waszmość sam pamiętaj. Bywajże waszeć zdrów, i ruszaj co prędzej do swoich. — Czego pan Haraburda dwa razy sobie nie dał powiedzieć, bo zaraz skoczył na koń, dał mu poczuć ostrogi i poleciał do taboru JW. wojewodziny. A jak tylko kolasy i poczet zniknęły w oddaleniu, rycerz Lizdejko powiedział żydkowi:—Podziękuj Bogu, żeśmy się spotkali z panią wojewodziną; dnia tak uroczystego dla mnie niczyjsem nieszczęściem kazić nie chcę; gdyby nie to, kazałbym cię powiesić, żeby cię od szpiegostwa odzwyczaić. Puszczam cię w świat, możesz śmiało udać się do Dolska; jak obaczysz pana Oleszę, kłaniaj mu się ode mnie i powiédz, żeby był gotów nas przyjąć. Spodziewam się jutro z nim widzieć, by go poprosić o oddanie mi swojego zamku. On się nam więcej przyda niż jemu, a jeżeli okaże się twardym, może być pewnym, że i znaszój strony niewiele miękkości doświadczy. — Żydek jeszcze téj samój nocy przybył do mnie, i wszystko mi co do joty opowiedział. Przyznam się jasnie panu, że ta relacya z razu nieco mnie zatrwożyła; ale pomyślałem sobie: to strachy na Lachy! bo jakkolwiek wedle téj relacyi oddział jazdy tego rycerza Lizdejki był silny, jednak bez armat, nawet bez piechoty chciać dobyć zamek warowny, i jeszcze z taką załogą, zdawało mi się być równie rozsądném, jak porwać się z motyką na słońce. Wszelako wedle przysłowia, że strzeżonego Bóg strzeże, i téj pogrożki mimo siebie nie puściłem. Natychmiast zrobiłem przegląd mojej załogi, opatrzyłem wały, usiłowałem wyczytać w twarzy żołnierzy co oni myślą, i nic nie znalazłem takiego, coby mogło najmniejszą trwogę wzbudzić. Wszystko mi się pokazało jak

najlepiej, a jednak najbaniebniejsze nieszczęście dla mnie dojrzewało. Zapomniałem powiedzieć, że ci bandurzyści, których wpuściłem do zamku, żeby za ich sprawą rozerwać tęsknotę JW. pani, w dniu poprzedzającym przybycie pana Haraburdy nas opuścili, sowitą nagrodę otrzymawszy od pani. Im więcej zaciekam się nad niektórymi okolicznościami naszego nieszczęścia, tém więcej utwierdzam się w przekonaniu, że to byli urwisze wysłani przez hersztów Kazimirowskiego stronnictwa, żeby naszą załogę obalamucić. Bo chociaż oni się pokazali w postaci Rusinów, a jednak zauważyłem, że więcej przedstawiali ze szlachtą, niżeli z nadwornemi kozakami. Mnie to się nie podobało; jakby jakieś przeczcio cstrzegalo, ale kto mógł przewidzieć co się stanie? Nareszcie trudno było temu zapobiedz. Milicyi nadwornej i kozakom człowiek rozkazuje i ostrą karą ich przekonywa, żeby byli posłusznymi, ale naszą szlachtę prosić trzeba o każdą rzecz, a czego od niej nie uprosisz, tego nie wystraszysz. A jak jaśnie panu wiadomo, miałem przeszło dwóch set szlachty, która bogdajby w swoich domach siedziała, bo konfuzya jaka mnie spotkała, nie Ogara, ani rycerza Lizdejki, ale jój była sprawą. Czekam co z tego będzie; aż tu trzeciego dnia o czwartej z rana, budzi mnie sotnik kozacki, w którym pokładałem i dotąd pokładam największą ufność, Zawalidroga. Wszak i jaśnie pan łaską go swoją zaszczycaasz, i pojutrze oglądać go będziesz; on powie, czy w czémkolwiek z prawdą się minąłem. Ja się zrywam i pytam co takiego? a on mnie: niech-no pan pójdzie na wały, a obaczy tyle jazdy, że aż ziemia się pod końmi ugina. Ja kładę zbroję na siebie i z nim wychodzę, każę bić w bębny na alarm i śpieszę na wały, a niedługo cała załoga stanęła pod bronią. Ja na wałach, a wkrótce i całkowita szlachta, żeby w nią piorun trzasł! przy mnie. W samej rzeczy, jak mogłem zauważyć na prędce, było tamtych do tysiąca, ale nie widzę ani piechoty ani armat. Moje były nabite, a przy nich stali puszkarze z lontami zapalonemi. Daję rozkaz, jak tylko tamci na wystrzał się przybliżą, żeby zaraz ich przywitać. A mówię do szlachty: — Przepraszam, że waszmość panów obudziłem; myślałem że to coś strasznego, ale jak widzę, możecie użyć wczasu do woli; ani księżycą zębami nie ukąsisz, ani proporcem i pistoletem muru nie złamiesz. Macają nas, azali na kpów nie natrafili, ale pokażemy im, że oni sami kpy.— Wtém przybliża się ku wałom młodzieniec na precudnym koniu, w zbroi skłnającej się jakby zwierciadło, z podniesioną przyłbicą, a przy nim trębacz. Czekamy co z tego będzie. Trębacz zatrąbił na znak, że chce coś powiedzieć; ja obracam się do pana Wodzbona, mojego bokowego towarzysza pancernego znaku, i mówię mu: — Ruszaj, waś, pomów z nim, i najśpieszniej powracaj, żeby nam donieść czego chcą od nas. — Towarysz poleciał i po kilku minutach powrócił.

— A co waś przynosisz? — zapytuję go.

— Ten rycerz ze mną w żadne rozmowy wdawać się nie chciał. Prosi tylko, żeby go wpuszczono do zamku, gdyż przynosi jakiś rozkaz na piśmie do pana gubernatora i jego załogi.

— Żadnego rozkazu nie przyjmuję od tych panów—odrzekłem— ani ciekawy jestem wiedzieć co na nim stoi. A więc zapowiedz mu waść, żeby wracał tam z kąd przyszedł, a zaniechał nas zatrudniać bez potrzeby. — A szlachta na to:

— Dlaczegoż nie wysłuchać? może z czém dobrem do nas przybywa. Nie zawadzi dowiedzieć się, czego od nas chce choć nieprzyjaciel. Przyjdzie-li z ulepkiem, to mu oddać dobre za nadobne; a jeżeli z groźbą, to mu podziękować, bo kto grozi to przestrzega. Jednego wpuścić można, on ci zamku nie zawojuje. I inne podobne zdania. Rad nie rad musiałem od swojego odstąpić, i zezwolić, żeby go puszczono, chociaż to mi wcale nie było do smaku; ale trudno ze swojemi się kłócić, zwłaszcza kiedy nieprzyjaciel pod murami. Bo szlachta tak była rozciekawiona, że gdybym nie uczynił zadość jój woli, gotowaby przeciwko mnie konfederacyą podnieść i jeszcze przywołać tamtych na pomoc. Usiłowałem temu zapobiedz, a jednak nie gorszego-by się nie stało od tego co się zrobiło. Otóż tu dopiero zaczyna się scena, bodajby słońce nigdy podobnej nie przyswiecało! Wjeżdża na dziedziniec zamkowy rycerz w zbroi, ale bez szyszaka, młodzieniec piękny, z czupryną muskaną w jasne pierścienie, z rumieńcem młodości. Zdało mi się, że nie pierwszy raz go widzę, ale gdzie i kiedy, tego przypomnieć sobie nie mogłem. Proszę, żeby zsiadł z konia i raczył ze mną pomówić na osobności. A on na to: — Na co mamy się chować przed ludźmi? ja tu nie przywożę rozkazu do jednego waszmości, ale do całkowitej braci szlachty tu zebranej. — I dobywa jakiś papier; ja się opieram, mówię, że mając dowództwo, wszelki rozkaz przezemnie tylko ma być ogłoszony, że do mnie należy go przyjąć lub nie, a obcemu znosić się z tymi, co zostają pod moją zwierzchnością nie pozwolę. A szlachta dawaj szemrać, a najzuchwałéj odzywał się pan Przebora, cześnik Rzeczycki, mający u niéj takie zachowanie, iż rzeczywiście był jój głową.

— A co to? my w poddaństwo się zapisali, żeby kto o nas, bez nas traktował? My żołdu niepobieramy, a tylko o swoim chlebie służymy Rzeczypospolitéj; nie milicya nadworna pana wojewody, ale my, szlachta, jesteśmy Rzeczypospolitą. My nie służymy jak waszeć, ale przyjaciele wojewody. Waszeć rozkazuj swoim kozakom i oficyantom księztwa Dolskiego, a o nas, bez naszej rady i zezwolenia, żaden z nas nie pozwoli stanowiąć.

Ja się naszożyłem, każę milcząć i krzyknąłem na rycerza, żeby *natychmiast* powracał do tego, który go posłał, i zaniósł mu moją odpowiedź, że od nikogo żadnego rozkazu nie przyjmuję, tylko od hetmana.

wielkiego Litewskiego, od księcia marszałka i od kniazia wojewody Witebskiego, mojego pana, lub od takiego, co od którego z nich jest upoważniony. Ale szlachta jeszcze głośniej zaczęła krzyżeć:

„Zyczymy z nami spuścić z tonu, bo żaden z nas waszeci się nie boi. Są między nami tacy, co ich senatorowie, hetmani, a nawet sam król nie wstydzieli się poradzić, a waszmość myślisz, że bez naszej rady obejść się możesz? Tego się nie doczekasz, a wolałbyś téj zarozumiałości zaniechać. My nie zdrajcy, żeby nas się wystrzegać. Mości kawalerze, nie uważaj waszmość na chimery pana gubernatora, a przeczytaj głośno co masz do nas.” Miarkuj, jaśnie panie, co się zemną dzieć musiało. W przytomności wysłanego nieprzyjaciela wyglądam jak malowany gubernator, a tu nie było sposobu zachować powagi, bo na nieszczęście milicya była na wałach, a tylko sama szlachta mnie otaczała na dziedzińcu zamkowym; gdybym się jój sprzeciwił, rozsiekalaby mnie, a swoje zrobiła.

Szlachta okrzyknęła rycerza zawsze na koniu siedzącego, a ja najbliższy stałem, żeby usłyszeć, co nam przeczyta. On zaczyna; aż mrowie przeszło po mnie słysząc wstęp w tych wyrazach: W Imię Przenajświętszej i nierozdzielnej Trójcy! my Senatorowie duchowni i świeccy, urzędnicy ziemscy, grodzcy, rycerstwo, szlachta, stanowiące pełność Rzeczypospolitej zjednoczonych trzech narodów Polskich, Litewskich i Ruskich, zebrawszy się w mieście Tyszowcu, tam pod powagą Najjaśniejszego i Najmiłościwszego Jana Kazimierza króla Polskiego i Szwedzkiego, pana naszego, związawszy się w konfederacyę rozkazujemy... i tak dalej. Był to kęs nielada do strawienia. Ja ze złości kolejno to czerwienilem się, to bledniałem, a szlachta słucha jakby Ewangelii. To było tylko preludium; a jakie były horrenda w osnowie. Dość, że koniec końców był rozkaz, ażebyśmy zamek Dolski oddali panu Lizdejce z wszelaką amunicyą, nic z niego nie wynosząc; żeby milicya nadworna była oddaną pod jego rozporządzenie, i żeby szlachta w zamku znajdująca się akces do konfederacyi podpisała. A kto się temu rozkazowi poważy sprzeciwić orężem, ten, jako niewierny poddany króla, podły obywatel i zdrajca, na majątku, gardle i czci ukaranym zostanie. Ja wytrzymać nie mogłem; do niego przystępuję i mówię mu:—zuchwalcze, precz mi z oczów! Gdyby nie to, że jesteś posłanym, kazałbym cię na wałach powiesić.—A szlachta: uspokój się waszmość, panie gubernatorze; nas jest więcéj, my krzywdy nie pozwolimy wyrządzić temu zacnemu kawalerowi. Wszakże on nam rozkaz przynosi od starszych, niż waszec. To darmo! my nie urwisze, ani wałęsy, my osiadła szlachta. Rozkazu generalności mimo siebie puszczają nie możemy.

— Jakto, ichmość panowie wypowiedacie posłuszeństwo kniazio-wi wojewodzie i JW. hetmanowi?

A na to pan Przebora: Gdyby tu był pan wojewoda, znamy go o tyle roztropnym, że pewnie nie inaczejby postąpił, jak my postąpimy. A mojem zdaniem jest, nie opierać się woli króla i narodu, ale oddać zamek i to co w nim jest temu, co tu jest posłany od generalności, i jak najspieszniej podpisać akces do konfederacyi.

— Zgoda, zgoda — krzyknęła szlachta — my tu akcedujem do konfederacyi Tyszowieckiej, i na marszałka naszego powiatu zapraszamy pana Przeborę.

— Przyjmuję z wdzięcznością to, czém mnie obarczacie, bo jestem i będę zawsze sługą waszym. A waszmość, mości kawalerze, donieś o tém coś widział swojemu wodzowi, i powiedz mu, że natychmiast rozkażę otworzyć bramy, żeby w imię króla i generalnej konfederacyi objął zamek.

Tu zaczynamy perswadować, żeby takiej niewiary względem jaśnie pana i hetmana naszego się nie dopuszczali, — że Jan Kazimierz już od dawna przestał być naszym królem, a ta mniemana konfederacya Tyszowiecka jest tylko spiskiem tych, co dla widoków osobistych pragną zamieszania w Rzeczypospolitej. A pan Przebora: — At, wołałbyś waszeć milczeć, niż się odzywać nic do rzeczy. Życzę waści iść za naszym przykładem.

— Nie, tego nigdy nie uczynię — odrzekłem.

— A kiedy tak, mniejsza z tém; obaczmy jak na swoim uporze wyjdiesz. — A na nieszczęście główna brama była otoczona przez ludzi należących do szlachty; zaraz posłuchali rozkazu swoich panów i wrota otworzyli. Tak rycerz Lizdejko wszedł do pańskiego zamku jakby do swojego. Ja widzę, że i milicya jaśnie pana po większej części z niemi trzyma, a tylko kozacy pozostali wierni. Z niemi więc zamknąłem się w baszcie, i chciałem w niej do upadłego się bronić. Ale jak rycerz Lizdejko kazał pod basztą podsypać prochu, i oświadczył, że jeżeli nie wejdę w umowę, na powietrze zostanie wysadzony z moimi ludźmi, spostrzegłem, że i kozacy ducha stracili, i nie dziw; rad nierad musiałem kapitulować. Na rycerza Lizdejka nie mogę się zalić, bo jużci nikt nie odrzeczł się od dobra, które mu trafram w ręce wpada. Zemną obszedł się ucziwie, bo pozwolił zabrać z sobą tych wszystkich, co zechcą pójść. I tym sposobem do półtorasta kozaków jaśnie pana się ocaliło, bo nie tylko szlachta, ale nadworna milicya i całe Dolskie poddaństwo nas odstąpiło i oddało się w poddaństwo nieprzyjaciółom pańskim. Ta tylko pociecha pozostała, że przynajmniej JW. wojewodzina bez szwanku dostanie się, albo może już się dostała do Warszawy.

— A żeby waści przez całą wieczność szatan taramosił za taką *pociechę!* Jaktol moja milicya! okryta mojemi dobrodziejstwami, moi *poddani* mnie zdradzili? To być nie może! Powiedz, jaki bies ich opę-

tal? Wszakże ja byłem dla nich ojcem, a nie panem. Szlachcie się nie dziwię, ale poddani, moi poddani! Kto ich do tak czarnej zbrodni nakłonił?

— Ot wiedz, jaśnie panie, że może oni i niewinni, jak jaśnie pan o tém się przekonasz, jak się dowiesz co się stało; a jednak nie śmiem tego wymówić, bo wiem, że to jest z pomiędzy tych wszystkich ciósów, jakie w jednej chwili na Dolsk uderzyły, może dla jaśnie pana najdotkliwszy.

— Mów śmiało! bo nic gorszego mi nie powiesz nad to, coś już powiedział. Bo cóż można przydać do utraty warownego zamku, gdzie większa część moich skarbów była zamknięta? do zdrady moich przyjaciół, sług i poddanych?

— Co do skarbów, jaśnie pan bądź spokojny; prócz mnie i dwóch kozaków, którzy jaśnie panu najdalej pojutrze służyć będą, nikt nie wie, w którym miejscu one są zamurowane. A choć jaśnie pan je niby utracił, i tamci z nich pożytkować nie będą, bo jak się uspokoi w Rzeczypospolitéj, jaśnie pan do nich trafisz, chociażbyś nawet wprzódy orężem nie odzyskał swojego zamku. Owóż ten rycerz Lizdejko wszedł na dziedziniec zamkowy z częścią swojego wojska, bo reszta już była zajęła wszystkie najważniejsze stanowiska zamku. A przy nim był Ogar, i ten kawaler co go był wysłał, ażeby skłonił załogę do poddania się, a szlachta krzyczała: Wiwat król Jan Kazimierz! wiwat z jego ramienia rycerz Lizdejko! A kiedy się zajmowała sporządzeniem urzędowego aktu swojego akcesu do konfederacyi, rycerz Lizdejko kazał sprowadzić milicję nadworną. Ona przed nim stanęła pod bronią. Dopiero pokazał im tego rycerza, o którym mówiłem. „Poddani Dolscy — rzekł do nich — oto jest wasz pan, książę Wojciech Dorohostajski, syn kniazia Stefana, który umarł za granicą z tęsknoty za swoim krajem, gdyż za to, iż się ożenił nie pomyśli nieboszczki kniahini starościny i żyjącego kniazia wojewody, a nie chciał się zaprzeczyć żony, którą po bożemu zaślubił, i matka i brat jego się zaparli, i ani żony, ani syna, co go widzicie, nie chcieli przyznać za swoją krew. Otóż ja wam oddaję pana waszego, bo juźci połowa wszystkiego, co pan wojewoda posiada, jest własnością jego synowca, dopóki po najdluższém jego życiu wszystkiego nie zabierze. Aż wtenczas przypomniałem sobie, że kiedyś będąc w Birzach z jaśnie panem, widziałem tego mniemanego synowca pańskiego. Nazywał się Gaskoldem i był pokojowym u dworu. Wtedy ani mnie, i pewnie ani jemu przez głowę nie przeszło, żeby kiedyś udało mu się przywłaszczyć i dobra Dorohostajskich. Ale do czasu dzban wodę nosi. Dolsk znowu będzie nasz, chyba Pana Boga nie było na świecie.

— Tylko proszę dla siebie zachowaj te uwagi. I cóż moja milicja na to?

— A cóż! zwyczajnie motłoch. Nie ustępowała szlachcie w krzykach radości i zezwolenia; u niego pan niech będzie gorszy, byle tylko nowy. Złości mnie brały, słysząc jak starsi z tém się odzywali, że on tak jest podobny do świętej pamięci kniazia Stefana, iż wątpić nie można, że jest jego synem.

— A gałgany! a chamy! dam ja im! Jak odbiorę mój zamek, w pień ich wytnę co do nogi.

— I warto, jasnie panie. Oni zdradzili, bo zanadto mieli rozkoszy. Tyle tylko, że nie można przeczyć ani Lizdejce, ani Gaskoldowi znajomości rycerskiego rzemiosła. Bo co prawda, to prawda.

— I w czém dali się waści poznać z tego względu?

— W tém, iż nie tracąc ani chwili, zajęli się zaraz obroną tego zamku na każdy wypadek. Opatrzyli wszystkie jego zasoby wojenne, poustawiali posterunki jak prawdziwi znawcy, wprzódy zrobiwszy przegląd załogi, i od razu szlachtę wzięli w kluby. Ja czekałem co o mnie postanowią. Rycerz Lizdejko, choć nie do smaku, jednak po ludzku do mnie przemówił. Powiedział mi: — Ruszaj sobie wasę do swojego pana, i pokłoń mu się od nas. Kto zechce wyjść z waszecią, nikt mu nie przeszkodzi, niech sobie z Bogiem idzie; pozwalam wam zabrać z sobą co waszego.—I szlachta i milicya zostali co do jednego, i wręcz mi powiedzieli, że kniazia Wojciecha mają za swojego, a kniazia Daniela znać nie chcą; tylko kozacy mnie odstąpić nie chcieli, wyszli za mną. Rycerz Lizdejko swojego Ogara mianował gubernatorem, a ten rozbójnik zaraz się wziął do zarządu. Jeszcze to wtedy ten niby książę Wojciech kazał wynieść na dziedziniec wszystkie srebra pańskie i zrobił z nich ofiarę Ogarowi; nie sztuka być hojnym z cudzej kieszeni. Aż serce się krajało, patrząc jak dobro pańskie się marnuje. A kiedy Ogar nawet podziękować nie umiał z wielkiej radości, że raptem został bogaczem, bo gdyby takie srebra na kilka folwarków zamienił, jeszczeby się oszukał, otóż przywłaszczyciel imienia i dóbr jasnie pana powiedział Ogarowi: — Pożytkuj z tego bez wyrzutu sumienia, bo połowa tego jest moją własnością, a o drugą jakoś się pokombinujemy ze stryjaszkiem. Mamy rachunki z sobą; wszakże on dość długo użytkował z mojej własności.

— Tego się nie doczeka ten bękart. Dawnoby go ziemia zasypała, gdyby nie moja wspaniałomyślność. Ale ja go znajdę! Będzie on wisiał na wałach tego zamku, którego wrota zdrada mu otworzyła. Nie długo cieszyć się będzie swoją zdobyczą.

— Aż nadto pewny jestem, że milicya jasnie pana, a tém więcej szlachta, teraz bardzo żałuje, że się ująć dała. Bo ten Ogar tak ich wziął w swoje szpony, że wszyscy czuj duch przy nim. Swoim rozbójnikom wszystko powierzył, między nich porozdzielał wszystkie *odziały załogi, i nawet szlachta musi być im postuszna, bo powiedział*

swoim w naszej przytomności: — Macie ich pod waszemi rozkazami, a jeżeli który z nich, czy szlachcic czy nieszlachcic, nie spełni waszego rozkazu, palić mu w łeb natychmiast! — Niech Bóg broni, jak wszyscy się ich boją. Gdybyś się jaśnie pan tylko pokazał pod murami Dolska, a ich upewnił, że im odpuszczysz zdradę, wszyscy do jaśnie pana przylgną, bo dopiero teraz dowiedzieli się, co to jest bieda; szkoda tylko, że jaśnie pan ani Lizdejki, ani Gaskolda nie znajdziesz w Dolsku.

— A gdzie się podzieli?

— A cóż? Oddali zarząd Ogarowi, zostawili mu swoich ze sto, a natomiast zabrali jeszcze więcej z jazdy, jaką zastali w zamku, a co najboleśniej, kasę pańską, której pilnowałem jak oka w głowie, zabrali i w wielkiej części zaraz roztrwonili, bo jakieś zaległe żoły zapłacili i swoim i naszym, że do nich przystali. Zgoła, że tak rządzą się w Dolsku, jak w swojej własności; aż serce omal nie pęka. Ja z mojami kozakami opuściłem zamek; ale uszedłszy parę mil, ich zostawiłem pod rozkazami mojego bokowego towarzysza, który mnie nie chciał opuścić, a którego z tego względu polecam łasce jaśnie pana, i zaleciłem mu, żeby tych wiernych kozaków doprowadził do Słonima, a sam siadłem na wózek, za pieniądze konie po drodze mieniając, żeby jak najprędzej dostać się do jaśnie pana.

— A to wyraźna kara Boga mnie dotknęła! Ja, który tyle lubiłem się chwalić z mojego Dolska, który go miałem za twierdzą niezdobytą, straciłem ją bez oporu, a teraz pójdę na ludzkie pośmiewisko.

— A czyż jaśnie pan nie masz tylu innych zamków? a Chotynicki, a Dorswiacki, a Radwonicki, a najwarowniejszy z nich Berezdowski na Białej Rusi?

— At, nie trąb mi w uszy temi zamkami, co mi ich jeszcze ten bękart nie odebrał! Wszystkie razem oddałbym za jeden Dolsk. W Bogu nadzieja, że wkrótce powróci on w moje ręce. O to pokój, ale cóż! ani Lizdejki, ani tego samozwańca w nim nie znajdę. A choć uchwyć tego pana Ogara, który teraz w nim rozkazuje, do niego złości nie mam, i chociaż go powiesić każę, to tylko dla sprawiedliwości, ale dla żadnej mojej pociechy.

— Ale! Zapomniałem jaśnie panu powiedzieć, że wkrótce, albo może już i teraz, jest w Dolsku ktoś starszy od Ogara, bo słyszałem na własne uszy, jak ten, jak go jaśnie pan słusznie nazwałeś, samozwaniec, powiedział Ogarowi: Wkrótce przybędzie tu moja matka, kniahini Stefanowa; proszę cię, mój Ogarze, bądź dla niej powolnym, i miej ją za panią i właścicielkę Dolska.

— Idźże sobie do kata z twojemi szczegółami! Co mnie ma obchodzić ta Niemka? Nigdy włości mądrym nie znałem, a teraz zupełnie

ogłupiał. To darmo! i jak tylko mi oddasz moich pocziwych kozaków, wynieś się z przed oczów moich.

— Czémże zasłużyłem na taką nielaskę pana, któremu od lat czterdziestu służę, żeby na starość nie wiedzieć gdzie się podziéć?

— Eh, bo nie idzie o to, żebym waści posądzał, ale szczęścia nie masz, a nieszczęście tak jest zaraźliwe jak dżuma. Gdybyś waść był przy mnie, zupełniebym stracił odwagę. Bo komu tak się nie powiodło jak waści, czy z jego własnej winy, czy nie, cóż on wart? i na co się komu przydał? Waść nie jesteś bez kawałka chleba; masz odemnie dobry folwark w dożywociu, tam sobie osiadzi czekaj śmierci na pieńcu, a o wojaczce ani myśl; za nadto waścina służba się przedłużyła u mnie, sam to teraz poznaję — mądry Litwin po szkodzi. A więc kiedy laska nie pokazuje mi się, aż waści zapotrzebuję, bo waści widok przypomina mi największą sromotę, jakiej kiedy mogłem doświadczyć. A teraz pójdę obudzić hetmana! niech on poradzi, kiedy z niego tak wielki wojownik.

ROZDZIAŁ IX.

Na gościńcu ciągnącym się z Kocka ku Białej jest pagórek, wznoszący się nad płaszczyzną całej téj okolicy. Na nim przywabiała podróżnych karczma murowana, a tém samém w owym czasie mogąca uchodzić za osobliwość w Polsce. W ciągu téj długiej wojny właśnie w części kraju, w której się odbywały najliczniejsze jéj ustępy, a karczma wedle dzisiejszego języka byłaby nazwana punktem strategicznym; dawniej tego wyrazu nie rozumiano, ale tylko zdrowym rozsądkiem kierowany każdy dowódzca oddziału, znajdujący się w tych stronach, do jakiegobądź stronnictwa należał, usiłował zająć stanowisko, z którego wzrok najobszerniejszą przestrzeń mógł objąć. To téż żaden urzędnik francuzki, teraz żyjący, tyle rozmaitych przysięg wierności nie wykonał, ile ta karczma przechodziła razy z rąk do rąk, od początku zamieszkań krajowych.

Ale tylko pod względem wojennym i politycznym, bo co się tyczy jéj przychodów, te statecznie zostawały w rękach Pinkusa Moszkowicza, arendarza spadkowego téj karczmy, należącej wówczas do ekonomii królewskiej.

Kolejno Szwedzi, Rakocianie, kozacy Chmielnickiego, chorągwie hetmana Gąsiewskiego, milicyanty księcia Radziwiłła i kniazia Dorobostajskiego, oddziały Kazimirowczyków, samopas wojujących lub *uprządkowanych królewskich stronników*, zajmowali tę karczmę, opu-

szczeni ją, znowu do niej wracali, tak że nie jedna krwawa potyczka przed jej oknami się odbyła.

Jakie były przekonania polityczne Pinkusa, o tém nikt z pewnością wiedzieć nie mógł, i on sam przed sobą z tego nie umiałby zdać liczby; ale wątpliwości nie ulega, że był gorliwym stronnikiem każdego, któremu się udało zająć jego karczmę, dopóki tylko w niej zostawał. Tak był nawykły do tych nawiedzin, że z daleka nauczył się poznawać, jakiej partyi żołnierze przybywają do niego; ile razy w krótko trwałych chwilach swojej niepodległości zdała spostrzegali, że jakiś oddział uzbrojony ku niemu dąży, już i wie co to za jeden. I nie tracąc czasu, daje swojej karczmie wszelkie pozory współczucia do jego stronnictwa, a to tym sposobem: wprowadzał się w różne portrety sztychowane, które trzymał pod strychem w plewie. A często chodził na strychu, dla dowiedzenia się, co się święci w okolicy. Jeżeli jawili się Szwedzi, można było być pewnym, że znajdują na ścianie zawieszony konterfekt Karola Gustawa; jeżeli Siedmiogrodzianie, oczywiście obraz Rakoczego ich uderzy. Tak z kolei luzowali się na gwoździu: król Jan Kazimierz, hetman Gasiński, Piotr Mogiła, książę Bogusław Radziwiłł i Rewera Potocki. Przebiegły Pinkus nigdy omyłki się nie dopuścił. I podczas kiedy ta wojna i obca i domowa tyłu ludzi mających do zebrać przyprowadziła, jednemu Pinkusowi szła w korzyść. Prawda, że po kilkakrotnie, i to w pierwszym roku, kiedy jeszcze nie był utartym do wojen domowych, został przez różne przechodzące stronnictwa zrabowany, a nawet obity porządnie; raz przez Szwedów, drugi raz przez kozaków, trzeci przez ochotników Świerszcza. Ale to mu straty rzeczywistej nie przyniosło; a tylko służyło za tekst skargi na swoje ubóstwo, i wymówki za nieuiszczenie się raty poborcom ekonomii. Bo oprócz okien i kieliszków, cóż jest tak dalece w karczmie do rozbicia? tapczan z kilku poduszkami i tyłuż piarnatami, stołków inwalidów ze trzy, skrzynia, którą otworzywszy, można w niej było znaleźć stary łapserdak, szabasówkę, oko kredy, pęcherz barani z tabaką zieloną, parę kłębków niepobielanej nici, kilka tuzinów drewnianych łyżek, kilka tafli zapaśnego szkła do okien, fiaszeczkę terpentyny, smolkę do kadzenia i woreczek jałowcu. Zdaje się, że w tém wszystkiém nie było nic takiego, co by pobudzić mogło chciwość rabusia.

A jednak nie wyszedł bez jakiegoś szwanku z nawiedzin synów Marsa, i miał czarno na białém spis wszystkich szkód i krzywd, jakich doświadczył, w nadziei że kiedyś rząd, nie wchodząc jaki, ale ten który się utrzyma, ma to wszystko wynagrodzić. Za rzeczywistą szkodę możnaby chyba poczytać gorzałkę, którą żołnierstwo wypilo, nawet do brém słowem za nią nie zapłaciwszy; ale téj nigdy nad dwa a najwięcej trzy garnce nie było w szynkowni, a swój zapas przezorny Pinkus trzymał w piwnicy tak misternie skrytej i mającej tyle kryjówek, że

o nią mógł być spokojny. Przez myśl nie przyszło żadnemu żołnierzowi, zwłaszcza mającemu, że tak powiem, nogi w strzemieniu, tam jęj szukać. A co się tyczy szkody poniesionej w szynkowni, tę sobie łatwo wynagradzał, bo tém samém, że padł ofiarą rabunku, który w opowiadaniu jego do bajeczności był przesadzony, w dwójnasób albo jeszcze wyżej podnosił cenę gorzałki dla tych, co darmo jęj nie pili.

Co do cielesnych krzywd, jakich doświadczył, te bezwątpienia były ciężkie. Rajtary Szwedzkie za to, że od nich zażądał zapłaty za ich podochocenie się w jego karczmie, próżny gąsiorek w drobne kawałki na jego łbie rozbili. Kozacy Chmielnickiego znowu pejsy mu poobrywali, a razu jednego rozbójniki Świerszcza wśród białego dnia, zniosłszy postereunek kozacki, napadli na jego karczmę, wypili mu wszystką gorzałkę, jaką znaleźli w szynkowni, i jeszcze dopominali się, żeby im dał na drogę. A gdy żyd się wzbraniał, rozciągnęli go i okładali nahajami, dopóki zwyciężony bólem, nie oddał im odczepnego, pół tuzina łyżek srebrnych, będących u niego w zastawie, a które trzymał w komorze, ugrzażnięte w kadłubie z jagłami. Przed Szwedami odtąd się żalił na krzywdy, jakich doświadczył od wojujących z niemi Polaków, a przed Polakami opowiadał, co ucierpiał od Szwedów i kozaków za swoje przywiązanie do króla Jana Kazimierza, a tym sposobem najzarliwsi między sobą nieprzyjaciele, każdy ze swojej strony, mieli go za gotowego stronnika.

Wprawdzie niepospolitą dyplomacją Pinkus umiał zdobyć dla siebie to godne zazdrości stanowisko. Z najskrupulatniejszą wiernością bezpłatnie szpiegował wszystkim. Nikogo nie oszukał fałszywém doniesieniem. I ktokolwiek do niego zawiązał, nie miał powodu lękać się zdrady. Tak dalece umiał sobie pozyskać łaskę w najprzeciwniejszych sobie stronnictwach, że wkrótce przestał doświadczać tych ucisków, jakie mu się czuć dawały w początkach tej wojny. Przyszło do tego, że nawet dobra wiara ugruntowała się między nim a najwyuzdańszém żołnierstwem, tak że nawet kredytu u siebie nie odmawiał tym, co przychodzili nawiedzać jego karczmę, a chcieli się uraczyć, mając pustki w kieszeni. A co dziwniejsza, przy drugim lub trzecim spotkaniu często żołnierz, jeżeli zachował życie, jemu się niszczał, a że dobrze przesalał swoje rachunki, więc jeden co się opłacał, sownie pokrywał straty, jakie mógł mieć z czterech mniej rzetelnych dłużników. Oprócz tego to od jednych, to od drugich kupował za bezcen zrabowane rupiecie, często drogocenne. Zgoła, tak mu się dobrze powodziło, że kiedy wszyscy obywatele, wieśniacy i żydzi, prosili Boga, ażeby koniec przyśpieszył temu stanowi udręczeń i pokuty, on jeden życzył sobie, ażeby nigdy pokoju nie było w Rzeczypospolitej, co mu niemało przyciągało sympatyj u żołnierzy kraj plądrują-

ych. Bo jak wiadomo, jeżeli wodzowie i wyższych stopni zapaśnicy radziby wojnę, która ich wślawiła, uwieńczyć chwalebny pokój, żołdak i ochotnik lękają się pokoju, jak morowego powietrza, gdyż w czasie pokoju trzeba poprzestać na żołdzie i wrócić pod kluby karności, w czasie wojny rozwolnionej.

Odkąd po zawiązaniu konfederacji Tyszowieckiej dostojniejsi i doświadczeni mężowie przyjęli kierunek rzeczy Polskich, położenie Pinkusa zaczęło być mniej dogodne dla jego osobistych widoków. Dotąd tylko nieliczne oddziały spotykały się z sobą; był to długi szereg pięknych ustępów, ale na jednorodnej i wyrozumowanej akcji zbywało. Karczma, przez garść żołnierzy zajęta, wkrótce opuszczoną była, póki drugi oddział niewielu liczniejszych przeciwników jej nie zajął. Pinkus był więc stałym gospodarzem, a oni przemijający goście. Ale jak tylko wodzowie głęboko świadomi rzemiosła wojennego, jako Czarniecki, Rewera Potocki, Jerzy Lubomirski i inni, na szerszą skalę przedsięwzięli prowadzić wojnę, zaraz poznali całkowitą ważność pozycyi, której ta karczma była jakoby kluczem. I dlatego ją zająwszy, niczego nie zaniedbali, żeby ją zachować. Pierwszy raz silny oddział piechoty usadowił się przy niej, a nawet pan Siemiątkowski, zawołany artylerzysta, wzmocnił wałami tę pozycyę, i kilkoma sztukami armat ją obsadził.

W samą rzecz to stanowisko w ręku konfederatów, a silną załogą obsadzone, wielce utrudnić mogło związki między królem Szwedzkim zajmującym Mazowsze, a Brześciem i Pińskiem, gdzie się zebrała była siła Litwinów, których hetman Gąsiewski i książę Dorostajski utrzymywali w posłuszeństwie królowi Szwedzkemu. W ciągu niespełna pół roku, po kilkakrotnie, w poważnej liczbie wysłani, to Szwedzi, to Litwini Gąsiewskiego, usiłowali zdobyć to stanowisko, i o to bywały krwawe, zażarte bitwy. Ale zawsze konfederaci byli szczęśliwsi, i nieprzyjaciela ze stratą odparli. A im więcej przekonano się z doświadczenia o korzyściach, jakie z zajęcia tego stanowiska otrzymać mogło wojsko w tej okolicy wojujące, o tyle usiłowano je wzmocnić. Coraz więcej szanieców dla jego obrony sypano, tak że wkrótce karczma ze swoim dziedzińcem wyglądały jakby jaka twierdza; a w czasie wojny, że zbywało na środkach do wyniesienia gmachów, naryto ziemlanek tyle, że zapas żywności i amunicyi, i pomieszkankie dla oficerów i żołnierzy załogi zostały zabezpieczone.

Już odtąd w karczmie statecznie na gwoździach były pozawieszane obrazy Jana Kazimierza i naczelników konfederacji Tyszowieckiej. Pinkus zdawał się nie posiadać z radości, że przecież już jego karczma, jak mówił, przestała służyć za schronienie nieprzyjaciółom prawego króla Polskiego; ale gdyby kto mógł zajrzeć w głąb jego du-

szy, w niejby wyczytał wcale co innego, niż to z czém się oświadczał głośno, i że niczego tak gorąco nie pragnął, jak pozbycia się swoich opiekunów, nie żeby przyznawał królowi Szwedzkiemu jakieś prawo do korony Polskiej, bo te zdania polityczne aż nadto były dla niego obojętne; nie żeby swawola żołnierska mu dokuczyla, gdyż owszem karność nigdy nie była tak sprężysta w Polsce, jak odkąd wojska zaczęły się tworzyć i walczyć pod hasłem konfederacyi Tyszowieckiej. Ale załoga polska kością w gardle mu stawała tém, iż przecięła mu te wszystkie zyski, do jakich od początku wojny był nawykły. Nie można już było nabywać za bezen plonów rabunku od kolejno przechodzących oddziałów rozmaitych wojsk, plądrujących całkowitą przestrzeń kraju; ani zapychać sobie worka przez kolejne szpiegowanie, to dla jednej, to dla drugiej strony; ani karmić się nadzieją, że kiedyś Szwedzi i ich sprzymierzeńcy uiszcza mu się z kwot nakarbowanych za gorzałkę i miód, co u niego na borg wypili. Nawet te wały w około wzniesione, to przemienienie jego siedziby w jakiś rodzaj twierdzy, wielce mu dokuczały. Bo już nie można było nawet bezstronnemu podróżnemu samowolnie do karczmy przybywać. Straż go zatrzymywała, badała, trzęsła, tak iż nakoniec każdy wołał omijać ją, by choć nałożeniem drogi nie narazić się na podobne przykrości. Pinkus musiał więc poprzestać na zyskach wyszynku dla załogi, ale i te były podkrzesane przez władzę, której był zmuszony ulegać. I tak żołnierzom nie wolno było wchodzić do karczmy, a tylko przed nią im wynosił gorzałkę, i to po jednym kieliszku na głowę. Przy rozdawaniu stali zaufani podoficerowie, którzy przestrzegali, ażeby z tego pozwolenia nie było nadużycia. Razu jednego kilku żołnierzy z oddziału Świerszcza, który tam stał pod rozkazami hetmana Rewery Potockiego, najostrzejszego wojownika owych czasów, a który właśnie wtedy znajdował się w Potuszy (tak się nazywała ta karczma), poszli w nocy do Pinkusa, u niego się popili i tak zaczęli dokazywać, że patrol, który w nocy obchodził posterunki, na ich wrzaski wpadł do karczmy i zabrał ich wraz z Pinkusem na odwach. Nazajutrz z rana dowódzca warty poszedł do namiotu hetmańskiego z raportem o tém co się stało. Hetman, który właśnie odmawiał różaniec, przebrał go na chwilę dla wydania rozkazu, żeby ich wszystkich przeprowadzono. Kiedy przyszli, hetman zawsze zajęty swoim różaniem dał znak żeby zaczekali; dopiero kiedy skończył dziesiątkę, rozkazał żołnierzom ciągnąć na losy, który z nich ma być ukarany, i tego, na którego zły los wypadł, natychmiast w przytomności swojej kazał rozstrzelać, a żydowi za to, że pomimo zakazu ważył się ich przyjąć, kazał odliczyć dwieście łoż, że o mało ducha nie wyzionął. Poczém skończył przerwany różaniec. Odtąd Pinkus nie poważił się zgrzeszyć nieposłuszeństwem; ale nic dziwnego, że po takiej nauce uszko-

dzony w zyskach, uszkodzony na własnej skórze, nie najlepiej życzył partyi Kazimirowskiej, lubo w duchu może i sam był przekonany, że na to co go spotkało zasłużył.

Rewera Potocki udał się w województwo Belzkie, zagrożone przez Jurka Chmielnickiego, gdzie miał się złączyć dla wspólnego działania z Jerzym Lubomirskim. Ten kilkakrotnie zwyciężywszy Rakoczego w jego własnym kraju, złupiwszy jego miasta i rozproszywszy jego wojska, zmusił go do zawarcia pokoju z Rzeczpospolitą, do przeproszenia króla Jana Kazimierza, a nawet do wypłaty znacznej kwoty pieniędzy, która użytą została do werbowania i utrzymywania żołnierzy węgierskich na żołdzie konfederacyi. Po tak świetnym pokoju już kraj zabezpieczony został od strony Karpatów, a Lubomirski w większej sile, niż ją miał w chwili kiedy rozpoczynał wyprawę przeciw Rakoczemu, śpieszył w Belzkie do Rewery Potockiego, żeby z nim pospołu coś stanowczego przedsięwziąć przeciwko Jurkowi. Chodziły nawet wieści, że na wezwanie konfederacyi król już się pokazał na ziemi Polskiej, i że dąży do Belzu, gdzie najdostojniejsi wodzowie konfederacyi dla przyjęcia go mieli się zebrać.

Rewera Potocki, kiedy opuszczał Potuszę, wszystkim zapowiedział, że wkrótce pan Stefan Czarniecki przybędzie dla objęcia głównego dowództwa od strony Litwy i Mazowsza, i że z sobą tyle wojska przyprowadzi, iż nie będą mieli potrzeby siedzieć jak teraz za wałami, ale że wyruszy w pole za Szwedem, żeby go zgnieść zupełnie, co nie jest niepodobnem, gdyż posiłki nie tak prędko ze Szwecyi przyprowadzone być mogą, a z drugiej strony wątpliwości nie ulega, że Brandeburczyk w zupełnem jest poróżnieniu z Karolem Gustawem, a nie mogąc nie oglądać się na cesarza niemieckiego, przyjmuje jego pośrednictwo do zgody z królem Janem Kazimierzem. Z czego wnioskowano, że lada dzień pokój z nimi nastąpi, a posiłkowy jego żołnierz opuści obóz Szwedzki, a może wzmocni Polski. Wszakże udając się ku południowi, hetman nie puścił Potuszy na los szczęścia. Zostawił w niej silną załogę pod dowództwem Tomasza Zamojskiego, herbu Róża, który niejednokrotnie okrył się piękną sławą od początku téj wojny; i na dowód, jak mu wiele chodziło o zachowanie tego obronnego punktu, zostawił Zamojskiemu nie tylko Świerszcza, zawołanego partyzanta, ale nawet rycerza Lizdejke, świeżo przybyłego z Wołynia, a poprzedzonego nową sławą jaką sobie zjednał zdobyciem zamku Dolskiego. Część tylko jego żołnierzy zabrał z sobą, gotując się na krwawe zapasy z kozactwem ukraińskiem, które ostatnich sił dobywało, żeby raz na zawsze wyzwolić się z pod jarzma, jak ich nazywało z przekąsem: Lachów i Wyzuwitów.

Jako się powiedziało, nie tylko konfederacyi, ale i ich przeciwnicy wojsk zagranicznych, poznali nakoniec, ile zajęcie Potu-

szy korzyści zabezpieczało wojsku wojującemu w tej okolicy. Ale tu winna być oddana sprawiedliwość Stefanowi Czarnieckiemu, że on pierwszy powziął myśl szczęśliwą wzmocnienia tego punktu, tak żeby był przynajmniej bezpiecznym od wypadkowego napadu. Tomasz Zamojski z niego wysłał silne podjazdy, które czasem o kilka mil naprzód się posuwały, a potem wracały do Potuszy, by mu przynieść wiadomości i o obrotach nieprzyjaciela, i o duchu mieszkańców. Te podjazdy, prowadzone przez wodzów wyćwiczonych w sztuce wojny partyzanckiej, nigdy nie oszukały dowódcy zamkniętego w Potuszy płonną wiadomością, tak że mógł śmiało spuścić się na nie. Tym partyzantom udawało się często korzyści odnosić w utarczkach z nieprzyjacielem, którego jazda była nieco za ciężka, żeby się jej wiodła wojna w zbyt małych oddziałach. Ona była sposobną do decydowania ogólnych batalij, a nie do tych obrotów cząstkowych, w których owszem lekka jazda polska celowała. Oddziały Polskie napadały na Szwedzkie. Jeżeli był stosunek w siłach, robiły im niemałe szkody; jeżeli nieprzyjaciel był mocniejszy, uciekały przed nim aż do Potuszy, gdzie już było dla nich wszelkie bezpieczeństwo. Niejednokrotnie udawało się im przyprowadzić do Potuszy jaki wóz z amunicją lub żywnością, przeznaczony dla Szwedów, jakąś karocę generalską, jakieś łózne konie zabrane w okolicy, nawet ochotników, którzy po drodze do nich przystawali.

Nim jeszcze Tomasz Zamojski przybył do Potuszy, i kiedy miała w okół siebie, Szwedzi po kilkakrotnie usiłowali wstępnym bojem ją zająć. Nawet na kilka tygodni wprzód nim on objął dowództwo, a załoga zostawała pod rozkazami Aleksandra Polanowskiego, nocną porą przypuścili na nią atak zażarty, i gdyby nie nadzwyczajne mężstwo Polaków i przytomność ich wodza, niezawodnie Potusza byłaby wpała w ręce nieprzyjacielskie, bo już Szwedzi byli się wdrapali do połowy wzgórza, tak że armaty będące na wałach już im szkodzić nie mogły. Ale Polanowski omal że nie całą swoją piechotę zabrał na ten zagrożony punkt, i na jej czele po uporczywej bitwie, zepchnął ich nakoniec z góry, że w największym nieporządku wzięli się do ucieczki. Pamiętna to była klęska dla Szwedów, bo nie tylko że w zabitych i jeńcach stracili do ośmiuset ludzi, gdyż przed pogonią polską ani jednego ze swoich rannych uprowadzić nie mogli, ale nawet udało się Świerszczowi zabrać jedną armatę i kilka pulwerekarów, i zaprowadzić do Potuszy. A to wszystko pan Polanowski obrócił na pożytek Rzeczypospolitej, własnym groszem wykupiwszy zdobycz od Świerszcza, który jako wszyscy dowódcy ówczesni partyzantów nie pobierał dla swoich oddziałów żołdu, a żołnierzy swoim *przemysłem* utrzymywał. Po takiej nauce już Szwedzi zaprzestali *kusić się o zdobycie przebojem* tej nowo wyniesionej warowni, a tyl-

ko czekali, aż świeże posiłki pozwolą im to przedsięwzięcie odnowić.

Generalność wysłała Aleksandra Polanowskiego, męża równie przydatnego do rady, jak do boju, w poselstwie do Hana Krymskiego, który ze coraz w większym nieporozumieniu zostawał z Jurkiem Chmielnikiem, tém samém można było puścić wodze nadziei, że okaże się przystępniejszym do jakichś układów z Polską. Generalność nie mogła lepszego wyboru uczynić, bo oprócz zręczności, rozwagi i cierpliwości, Polanowski miał i to w przydatku, że ośm lat będąc w jassyrze u Turków, znał wszystkie obyczaje bisurmańskie, i umiał ich językiem tak mówić, jak swoim własnym. I tak zluzowanym został przez Tomasza Zamojskiego.

Ten wódz niczego tak gorąco nie pragnął, jak wstawić się jakimś nowym a świetnym czynem, nim Stefan Czarniecki przybędzie do Potuszy i da mu inne przeznaczenie. A tymczasem nie zaniedbał dawać dowodów największej przezorności. W przeciągu niespełna tygodnia wszystkie swoje podziemne składy tak pozapełniał zapasami, że nie tylko jego załoga miała pewne opatrzenie, ale nawet licznemu wojsku na niczémby w niéj nie zbywało. A wiedząc, ile próżnowanie jest szkodliwe dla żołnierza, ciągle to go używał do kopania wałów, to go ćwiczył w obrotach wojennych, tak że tyle tylko mu pozwalał wypocząć, ile to było niezbędne do zachowania w nim czerstwości i siły. A nawet gdy się udało jednemu podjazdowi, który się posunął o mil ośm w głąb' kraju ku północy, uchwycić transport kilku kuf gorzałki, i doprowadzić go do Potuszy, kazał na każdego żołnierza rozdać po jednej porcy darmo, a zabronił wszystkim nie tylko wchodzić, ale nawet przybliżać się do karczmy.

To już było ostatnim ciosem na kieszeń Pinkusa. Nie dość, że żaden obcy nie przybywał do karczmy, ale jeszcze odjęli mu żołnierzy, jedynych konsumentów jego trunków. Żyd miał liczną rodzinę do żywienia, i dotąd o to się nie wiele troszczył, bo zarobki tak były znaczne, że już po kryjówkach piwnicy były złożone i posa gi dla córek, i fundusze dla rozpoczęcia handlu dla synów, jak dzieci podrosną, i jeszcze coś nadwyż dla siebie samego. Przymóm zawód, jaki przebiegał, aż nadto mu zapewniał, że te kwoty ciągle pomnażać się będą. Odkąd jego karczma była na stopie wojennéj, bezwątpienia jego położenie nieco się pogorszyło, wszakże nie do tego stopnia, żeby aż zmuszony był dla własnéj potrzeby ruszyć zakłéty zapas, bo siaki taki grosz z rąk żołnierzy do rąk jego się przesuwał. Ale odkąd te nieszczęśliwe kufy stanęły przed wałami, tyle tylko mógł zbyć gorzałki, ile sam jéj wypił. To już było zanadto dla niego; krzepił się jak mógł czytaniem Biblii, którój nie rozumiał, ale kiedy niezbędna konieczność zmusiła go do położenia jakoby świętokradzkiéj ręki na swój za-

pas pieniężny, dla kupna kilku korey zboża, a zboże było drogie, jak zwyczajnie w kraju będącym teatrem wojny, tego pocisku przenieść nie umiał. Przyprawiony został do rozpacz, a rozpacz jest złą doradczynią.

ROZDZIAŁ X.

Pan Tomasz Zamojski sam z piechotą swoją ciągle stał przed wałami, a podjazdy konne wysłał w okolice, i te czasem się oddalały tak, że aż w kilka dni powracały z doniesieniami, z plonem i z przybyłymi ochotnikami, najczęściej z szlacheckiego stanu, który jeden i położeniem i czuciem był sposobny do brania udziału w tém wszystkim, co dotykało Rzeczpospolitą. A zawsze część jazdy, zwłaszcza nocną porą, odbywała służbę zewnątrz warowni, żeby czasem nie było jakiegoś podejścia. A dozór nad tą strażą kolejno bywał poruczony jednej doby rycerzowi Lizdejce, drugiej Świerszczowi. Bo i ten, lubo nie w tym stopniu jak pierwszy, jednak był pozyskał ufność dowódców konfederacyi, i na nią zasługiwał.

Przypadała kolej na rycerza Lizdejkę. Noc była pochmurna; doświadczony wódz porozstawiał placówki, objeżdżał je, sam z patrolem chodząc, a nakoniec zapewniwszy siebie i swoich o wszelkiem bezpieczeństwie, zsiadł z konia, i ze swoim ulubionym towarzyszem, kniazem Dorobostajskim, ale zawsze noszącym imię Gaskolda, przechadzał się pieszo żeby nie zmęczyć koni. Chodzili chwil kilka w milczeniu, dopóki głębokie westchnienie nie wydobyło się z piersi Gaskolda.

— Wzdychasz, przyjacielu? — rzekł do niego rycerz Lizdejko — jak gdyby smutne marzenia przeważały w twoim umyśle rzeczywistość, która się do nas uśmiecha. Widziałem cię weselszym w czasie, kiedy tak słabe były nadzieje dla sprawy, która nasze przekonanie zholdowała. Przypomnij sobie pierwiastki naszego zawodu, kiedy z garścią ochotników błakaliśmy się po kraju, w ciągłych potyczkach, bez chwały dla nas, bez pożytku dla kraju, zbratani z walecznymi zbrodniarzami, którzy chęć rabunku pokrywali miłością dla ziomeków, — kiedy cena była naznaczona na nasze głowy, jako złoczyńców. A jednak jakieś przeczucia nas wspierały, przeczucia, które tak świetnie ziszczają się zaczynają. Dziś już walcym nie jak zgraja wywołańców, ale jak uzbrojeni obywatele, przy hetmanach, przy władzach prawych, przy naszym królu, który lada dzień ma do nas przybyć. Uczucie publicznego szczęścia wszelkie troski wygnać powinno z serc naszych, a smutek ze względów osobistych nie powinien znaleźć miejsca w ser-

cach tych, którym jest przeznaczone działać dla dobra i sławy ogółu.

— Od lat trzech podzielał twoje trudy, wodzu; jakaś cząstka téj chwały, którą sobie zjednałeś i na mnie spada, i szczerze miłuję zawód któryśmy obrali. A jednak często, pomimowolnie, te boje, te mordy, te spustoszenia nagromadzone na gruncie ojczyzynie, to złupienie obywateli, nie tylko przez ręce najezdnicze, ale i bratnie, snując się przed myślą moją, boleśnie rozdzierają duszę. Wojna wypływa z praw konieczności, ona ukształca narody, jest źródłem szlachectwa, hartuje cnoty publiczne. Z tém wszystkiém coś przekonywałam sumienie, że ona nie jest przeznaczeniem człowieka, i że jego celem są wcale inne, niż ofiara krwi własnej dla przelewania cudzej.

— I ty to mówisz? ty, który wzbudziłeś w mojej duszy żądzę sławy, któremu winienem, że przestałem pluć żywot w miękkości, że wzgardziłem temi ponętami, które zwykle w sidłach swoich krępią ulubieńców fortuny? Tyś mnie przekształcił na rycerza, a teraz śmiesz potępiać zawód, który dobrowolnie przebiegamy, a w którym uzyskaliśmy w obliczu całego obozu pochwały największego bohatera teraźniejszego okresu, niezrównanego Czarnieckiego.

— Pochwały jego były dla ciebie, wodzu, a nie dla mnie, który jestem tylko wiernym żołnierzem twojego znaku. Ale choćby nawet żaden udział téj powszechnej chwały, jakąś sobie zyskał, na mnie nie spadał, sprawiedliwość tobie wymierzona przez najgłośniejszy filar ojczyznie gmachu już jest dla mnie sowitą nagrodą. Byłbym najnikczemniejszym z ludzi, niegodnym nazwiska przodków, które przy łasce twojej tuszę odzyskać, żebym do końca nie wytrzymał w zawodzie, wybranym przez sumienie i uczucie powinności. Ale czyż grzeszę, kiedy czasem puszczając wodze wyobraźni przyspieszam te błogie chwile, w których uprawiać będziemy ten grunt ojczyznie, co go teraz zraszamy krwią i znojem rycerskim? Kiedy obywatele pod słodką opieką praw i rządu dość silnego, by im wykonanie zapewnić, złożą oręż już niepotrzebny, i bez obawy zaczną lemieszem rozdzierać żywną ziemię, karmicielkę narodów; a ludy ościenne podadzą im bratnie, a nie mordercze dłonie? Wojna trwa tylko od lat kilku, a jak okropne już są jej skutki! W wielu miejscach spotykamy goły step, gdzie jeszcze niedawno wesołe siola nęciły podróżnego. A jego niedogdy mieszkańcy z głodu i nędzy giną po lasach, w nich jedynie znajdując schronienia. Te miasta kwitnące w pokoju, gdzie już się zaczynały budzić handel i przemysł, źródła niewyczerpanego bogactwa powszechnego, już po wielkiej części są zasypane gruzami; ci co niedawno jeszcze je zaludniali, albo jak trawa na przekosach padli pod mieczem rozbrykanego żołdactwa i kozactwa, albo jeszcze nieszczęśliwsi, w jassyrze bisurmanów gorzkie łzy wylewają, przypominając

sobie utraconą swobodę. Jak mała jest liczba takich, których ta nawalność niedoli powszechnej oszczędziła! Czyż ciągle datkiem miłosierdzia nie wspierasz starców i niewiast, zamożnej niedawno szlachty, a którzy teraz żebranym chlebem przedłużają nędzny żywot? Bywamy w zamkach obronnych naszych panów. Wały ich chronią od rabunku, ale potrzeby kraju wyczerpały ich wewnątrz nie tylko z wszelkiej okazałości, ale nawet z tego, czego się domaga skromna wygoda. Zamiast kobierców i sprzętów, wszędzie gołe ściany. Nie znajdziesz w nich srebrnego naczynia. Miedź nawet złożoną została na ołtarzu publicznym, tak że stoły właścicieli obszernych włości garnkami i drewnianymi łyżkami są zastawione. A poważne żony senatorów i nadobne ich córki, już nie w jedwabiu, ale w płótnie, często przez nie same tkaném, przyjmują nawiedzających przyjaciół. Pozwól, panie, że kiedy człowiek to wszystko przed sobą stawia, wolno mu czasem westchnąć.

— A mój drogi! właśnie te kobierce bogate po ścianach zawieszane, te srebra, pod którymi stoły się uginały, te jedwabie i złoto, które nasze kobiety się pokrywały, przyprowadziły Rzeczpospolitą o ten smutny stan, nad jakim wzdychasz. Błogosławiłbym jej teraz-niejszym klęskom, jeżeli przez nie obywatele odwykną od tych zbyt-ków podkopujących posady państw, a rozprasających dostatki prywatne. Ani upadek miast mnie nie zasmuca. Nie jest to w naszym przyrodzeniu zamykać się w murach; nam potrzeba stepów i lasów, w których swobodniej się oddycha. Mieszkaniec miasta będzie zawsze dla nas cudzoziemcem, albo tubylcem wynarodowionym. Jeszcze trochę cierpliwości, a szlachcie odhartowany kilkoletnim niedostatkiem podniesie strzechę gościnną, sióła się odbudują, a wypoczniona ziemia sowniej niż kiedyś wynagrodzi rolnika, który na nowo otworzy jej łono. Ubolewam nad losem mieszczan, jęczących w jassyrze tatarskim, i tych którym niedola skon przyśpieszyła, a jeszcze więcej nad nędzą, której od początku tej wojny padają ofiarą rozproszeni po lasach nasi włościanie; ale obywatel nie żyje samoistnym żywotem, szczęście i życie winien poświęcać dla dobra ogółu, dla pomyślności następnych pokoleń, a wewnętrzne przeświadczenie, iż dopełnił swojej powinności, aż nadto wynagradza wszelkie ofiary, jakie z siebie mógł uczynić.

— To co mówisz z takim zapalem, wodzu, i ja czuję, ale ofiary, które pospołu czynimy, są dla ciebie łatwiejsze, bo twoja bohaterska dusza nigdy dostępną nie była ponętom miłości. Nie pojmujesz, co to jest mieć za nieodstępne towarzysza myśli obraz ukochany, którego wzoru nie masz nadziei oglądać na jawie, od którego jesteś przegradzony niecofioném przeznaczeniem. Gdybyś mógł mieć o tém wyobrażenie, wyznałbyś, że wszystkie najdotkliwsze męki są niczem

w porównaniu cierpień tego, który dźwiga brzemię nieszczęśliwej miłości.

— Przyjacielu! jakkolwiek wiesz, ile mi jesteś drogim, są jednak tajniki, których najpoufalsza przyjaźń odsłaniać nie powinna. Różważ te słowa mężkim umysłem, ile razy zboliała twoja dusza zapagnie szukać ulgi, wynurzając się w łono przyjaciela. A znam cię tyle szlachetnym, że z podobnej słabości się wydzwigniesz. Nic ci takiego nie mówię, czegobys nie zrozumiał. A co de mnie, nie myśl, żebym był nieczułym. I ja mam kochankę, której obraz wspiera mnie w krwawych zapasach, i podwaja męztwo moje. O niej nigdy nie przestanę myśleć; ale moja miłość dla niej zdradzała się przez czyny, a nie przez wdychanie. Tą kochanką jest ziemia, w której są zasypane kości wszystkich moich naddziadów i moich braci. O żadnej innej kochance myśleć mi nie wolno. O! jakże się cieszę jój szczęściem, że jój małżonek, nasz król, który był zmuszony ją opuścić, wraca do niej, i że w tej chwili może już jest w jój objęciach. Ale czy nie słyszysz przed nami tententu koni?

— Nie inaczej! może nieprzyjaciel! Na koń bracia, do broni!

Na ten głos donośny, a zawsze prowadzący do zwycięstwa, cały oddział zbliżył się do wodza, już siedzącego na koniu, i uszykował się w porządku.

— W samą rzecz silny oddział konny przybliżył się do nich o kilkadziesiąt kroków i stanął. — Kto idzie? — krzyknął rycerz Lizdejko. — Swój! — odpowiedział dowódca oddziału. — Niech żyje król Jan Kazimierz! i jemu wierna konfederacya Tyszowiecka!

— A to nasi, chwała Bogu! — Rozkazał dowódcy przystąpić, ten jak najspieszniej spełnił dany rozkaz.

— To nasz Grzeszniczek! Jak się masz, panie bracie? Dawnośmy się nie widzieli. A z których stron przybywasz?

— Aż z po pod Słonima; do niego nie mogłem dotrzeć, bo tam są opiekunowie, hetman Gąsiewski z wojskiem litewskim, z odrobiną Szwedów i częścią milicyi tego łotra Bogusława Radziwiłła.

— Tylko proszę z umiarkowaniem mówić o dostojnym ministrze Rzeczypospolitej.

— Co to za minister, co jój nieprzyjaciółom pomaga!

— To do waszności nie należy; są tacy, którzy o tém stanowić będą. Dotąd on nie jest odsądzony od swojego urzędu, i my winniśmy to mieć na względzie. Waszność wiesz, że ja nie pozwałam z lekceważeniem mówić o naszych przeciwnikach, którzy są krwią krwi, i kością kości naszych. Dopiero przyszły sejm, da Bóg doczekać, nauczy nas, czy mamy ich szanować, czy niemi pogardzać, a nie nasza rzecz o jego wyrokach przesądzać. Jakież waszność nam wiadomości przynosisz?

— A cóż! Litwini bardzo nam są życzliwi, a tylko z musu nam się sprzeciwiają. Bo już im Szwedzi zanadto się naprzykrzyli. Boją się otwarcie za nami ogłosić, żeby ich kraj, który jakoś w całości się zachowuje dotąd, tak nie wyglądał jak nasza Małopolska. Miły to kraj ta Litwa. Tu same pustki, a tam jeszcze wszystkiego dostać można. Wiozę z sobą kilka fornalek dobrze naładowanych z łaski tamecznych obywatelów. Mam płótno, skóry, sukno, wiktuały, które złożę w Potuszy. Jest czém nakarmić i odziać załogę. A za naszą fatygę co łaska dowódcy, o to targować się nie będziemy. A co do tego co się tam dzieje, panu hetmanowi Gąsiewskiemu nie bardzo po myśli poszło. On zebrał siły i chciał iść na spotkanie konfederacyi do Małej Polski, ale książę Dorohostajski od niego się odłączył, żeby odebrać swój Dolsk. Hetman i groźbą i prośbą na niego nalegał, żeby go nie opuszczał, ale na upór nie było lekarstwa.—A co to?—odpowiedział—ja się w poddaństwo oddałem panu hetmanowi, żeby mną obracał wedle swojego widzi mi się? Jak odzyskam moją szkodę, będę mu służył, bo nim pójdę wojować pod rozkazami pana, muszę wprzód postarać się, aby było o czém wojować. Pan mi nie nagrodzisz mojej straty, a więc jęj zaniedbać nie myślę. A czy to Dolsk funt kłaków, żebym o nim zapomniał? — Karności u nich niewiele, kiedy Dorohostajskiemu udało się na swój własny rachunek wojować, i zostawić hetmana przy nie tak potężnej sile, żeby na wielkie rzeczy mógł się porywać. A jednak nie odstępuje od swojego zamiaru, i widać, że trwa w ostatecznym przedsięwzięciu spróbowania się w Małej Polsce z panem Stefanem Czarnieckim; bo wątpliwości nie ma, że posuwa się ku Brześciowi.

— Waszmość to wszystko po szczegółach opowiesz panu Tomaszowi Zamojskiemu, który jest teraz naszym dowódcą.

— Ale, ale! Oprócz wiktuałów, które przywożę z sobą, udało mi się złowić dwa ptaszki, jednego wczoraj. Jest to żyd, któremu z oczu tak źle patrzy, że gdyby nie te nowe rozporządzenia, które konfederacya Tyszowiecka wprowadziła, byłbym go kazał powiesić, ale teraz tego nie wolno. A drugiego dziś jeszcze, i to prawie pod Potuszą. Jest to, jak mówi, szlachcic rycerskiego rzemiosła, a jednak, chociaż pokażny, nie chce mi się wierzyć w jego dzielność rycerską, bo w dwóch rzemiosłach razem trudno być mistrzem. A on tak pięknie gra na lutni, i tak miłym głosem śpiewa, że nawet za dawniejszych czasów, kiedy to człowiek oprócz Pana Boga nikogo nie znał nad sobą, gdyby był wpadł w moje ręce, ja choć nie bardzo miękkiego serca, darowałbym mu życie, lubo podejrzewam go, że musi być szpiegiem.

— I na czém waszmość to podejrzenie opierasz?

— Na tém, że w jego mowie jedno drugiego się nie trzyma. Przyznaje się do tego, że jest dworzaniem księcia Radziwiłła, mar-

szałka wielkiego Litewskiego, a utrzymuje, że w te strony się udaje, żeby z naszymi się połączyć, gdyż sprzyjać ma królowi Janowi Kazimierzowi. Powtóre mieni się być herbowym szlachcicem, a gra na lutni jak Niemiec. A czy kto słyszał kiedy, żeby brat szlachcic znalazł się na podobnych rzeczach? Po trzecie, mówi o sobie, iż jest Litwinem, o czém sama jego wymowa tak przekonywa, że nie ma potrzeby szukać na to innych dowodów, a znowu mówi, że ma jakiś ważny interes do księcia Jerzego Lubomirskiego, marszałka nadwornego koronnego. Jakby książę Jerzy z antenatów pan Małopolski, mógł mieć jakiś interes z Litwinem!

— Muszę oddać sprawiedliwość logice waszmościnej. Udasz się więc z swojemi, oraz z tém i z tymi, których ci się udało po drodze zachwycić, do pana Zamojskiego, za wały, a ten i wami rozporządzi i postanowi o żydzie i szlachcicu. Jednak proszę na kilka chwil tego szlachcica przed nami stawić. Mówi, że jest dworzaniem księcia marszałka; łatwo się przekonać, czy on ladaco, czy coś dobrego. Wszakże Gaskold nasz kolega zna wszystkich dworzan Birzańskich, gdyż z nimi długi czas kolegował.

Przyprowadzono szlachcica:

— Zkąd i dokąd? i co jesteś za jeden? — zapytał rycerz Lizdejko.

— Dokąd się udaję? o to już nie mnie, ale waszmość panów zapytać trzeba; ale relację mojej podróży, ab ovo wypada wyprowadzać. Jadę z Birzów, i z nich jechałem, dopóki nie zagrzązłem w Słonimie. A Bóg świadek, że jechałem do waszmość panów, stronników naszego króla, którego Majestatowi chciałem zanieść poddańskie posłuszeństwo. Ale gdy miałem zaszczyt spotkać się z waszym oddziałem, który ma szczęście być posłusznym wielmożnemu jegomości panu Grzesznickowi, nie mogę się żalić, żeby mnie chciał rozpieścić zbytkiem gościnności. Bo wręcz oświadczył i wielką chęć powieszenia mnie na pierwszej gałęzi, i żał, że téj chęci nie może skutecznie, z powodu nowych rozporządzeń generalności, która tylko wyższym od niego w stopniu wodzom ten przywilej zostawiła. Ale nie omieszkał dodać: nie będziesz waść wisiał w lesie na gałęzi, ale w Potuszy postaram się u wodza, żebyś wisiał na szubienicy. Z tém wszystkiém winienem podziękować, że odkąd mnie usłyszał grającego na lutni, i śpiewającego rycerskie piosnki, odtąd okazał się dla mnie laskawym, i nawet obiecał za mną dobre słowo powiedzieć w Potuszy temu, od którego los mój będzie zależeć.

Na te słowa Gaskold na cały głos się rozśmiał. — Jak się masz, kochany Dawidzie? po ciemku nie mogłem cię poznać, aż dopiero głos twój mnie oświecił. Ale wiedz, Dawidzie, że stoisz przed rycerzem Lizdejką, którego tylko najezdnik obcy, nie poczciwy ziomek

obawiać się powinien. Wodzu, pozwól niech ci przedstawię Dawida Odyńca, mojego wielce drogiego przyjaciela, tak że przez dość długi czas, póki nie opuściłem Birzów, co moje, było jego, a co jego, było moje. Za jego uczciwość ręcę z niemniejszą śmiałością, jakbym ręczył za własną. On jest ze wszech miar godny łaski wodza, a że mówi, iż chce przystać do nas, ja zaręczam, że tak jest, a nie inaczej. A przybędzie nam dzielny żołnierz, i w pierwszej potyczce przekona pana Grzeszniczka, że jego biegłość w muzyce bynajmniej nie uszkodzi zdolności rycerskiej.

— Wielce są pochlebne dla mnie te słowa JW. kniazia. Dowiedziałem się w Słonimie, że pan odzyskałeś swój dziedziczny zamek za sprawą rycerza Lizdejki, którego po ciemku widzieć nie mogę, ale jego głos miałem szczęście gdzieś słyszeć. Głos miły, słodki, prawdziwie bohaterski, a który we mnie obudził jakieś dawne wspomnienia.

— Na tém nie masz potrzeby zatrzymywać się, mości Dawidzie, zwłaszcza, jeżeli żądasz bym był twoim przyjacielem — rzekł rycerz Lizdejko nieco surowo — poczem dodał łagodnie: — Cieszę się, że jest jedno wspólne uczucie między nami. Książ Dorohostajski, który jeszcze jest dla nas Gaskoldem, zgłosił się ze stateczną przyjaźnią dla waszmości, a ja pochlebiam sobie, że nikt odemnie nie jest bliższy jego serca.

— Ach, panie — na to pan Dawid obracając się do kniazia — pozwól, żebym ci z serca powinszował zaszczytu tobie należnego, a o którym aż dopióro kilka godzin przed mojem przybyciem dowiedziałem się od poczciwej staruszki, niejakiój pani Korkuciowej, wielce przywiązanej do kniaziowej Wilhelminy, czcigodnej matki waszej kniaziowskiej mości. A bądź panie pewny, że tyle go kocham, iż z duszy rad jestem z jego wysokiego położenia, chociaż mi już nie pozwala téj poufałości, bym się ośmielał nazywać przyjacielem tego, o czyję łaskę tylko przystoi mi się starać.

— Nie, mój Dawidzie, jeszcze jestem dla wszystkich Gaskoldem, a dla ciebie być nim nie przestanę nigdy. A nie tracę nadziei, że służąc pod rycerzem Lizdejką, to imię Gaskolda sprostą świetnością stażożytnemu imieniu Dorohostajskich.

— Wkrótce noc się skończy, nie mamy czasu do stracenia. Zdaję na ciebie, Gaskoldzie, straż zewnętrzną Potuszy, a sam śpieszę obudzić dowódcę w swoim namiocie spoczywającego. Waszmość, mospanie Grzeszniczku, za mną ze swoim oddziałem, z żydem i z wszelką swoją zdobyczą. Żyda dowódcę wybada, i postanowi, czy ma być ukarany jako zbrodniarz, czy wynagrodzony za niewinnie ucierpiany ucisk. Wszakże nie omieszka waszmości dziękować za jego ostrożność, która w czasie wojny nigdy nie może być zbyt cenną. A pana Odyńca zostawiam z Gaskoldem; dawni przyjaciele mają z sobą wiele do mó-

wienia, być może że o rzeczach, które do nas wcale nie należą. A kiedy po wschodzie słońca druga straż naszą zluzuje, będę miał zaszczyt przyjąć go w Potuszy.

Rzekł, i natychmiast zlecenie spełniać się zaczęło. Ciężko obładowane wozy Grzeszniczka, a na jednym z nich żydek związany, posunęły się ku wnijsciu warowni, a za nimi oddział znużonych długim pochodem żołnierzy, prowadzony przez rycerza Lizdejke, obok którego postępował Grzeszniczek.

ROZDZIAŁ XI.

Kiedy tamci odeszli, pan Dawid swobodniej oddał się uczuciom radości, jakie w nim wzniecało spotkanie się niespodziane z przyjacielem, ile że miał już zapewnienie, że to nowe położenie Gaskolda jemu przynależne, ale równie niespodziewane jak świetne, w niczem nie ma uszkadzać ich dawniej poufałości, a nawet dano mu samemu do poznania, że w niniejszych okolicznościach jeszcze wypada mu zachować to przybrane nazwisko, jakim swoje prawdziwe pokrywał. — Gaskoldzie — rzekł do niego — ile jestem szczęśliwy, że przecie upewniłem się o twojem życiu i powodzeniu. Długi czas po twojem zniknięciu z Birzów chodziły wieści, żeś zamordowany został przez kniazia Daniela; to pewna, że byli i tacy, którzy te wieści zbijali więcej mnie pocieszającemi wiadomościami, — wszakże grubą pomroką było zakryte twoje przeznaczenie. Doświadczałem tego nieznośnego stanu, że ani przypuszczałem twojego zgonu, ani nie śmiałem pocieszać się nadzieją, że kiedyś będę ciebie oglądał. Dopiero co przed kilkoma dniami upewniłem się, że żyjesz, ale ani mi w głowie nie powstało, żebym tak prędko się z tobą połączył. Albo rycerz Lizdejko! Wszakże nie mogąc po ciemku rozpoznać rysów jego twarzy, a tylko słysząc jego głos, który zdawał mi się być cokolwiek znajomym, wpadłem na myśl, która coraz więcej potwierdza się w mojem przekonaniu, że on nie jest tém, czém się wydaje, i że...

— Słuchaj, przyjacielu, nigdy nie usiłuj domyślać się tajemnicy u swoich, chociażby domysł był rzeczywisty, jeżeli oni ją pragną mieć ukrytą. Bo tego nie nagrodzisz sobie zaspokojeniem ciekawości, co-bys utracił na zmniejszeniu ich życzliwości ku tobie. Żyjemy w czasach trudnych, wywołanie dotąd na nas cięży, sama roztropność nakazuje nam tać nasze nazwiska, a skoro my je taimy, nasi przyjaciele nie powinni ich zdradzać. Rycerz Lizdejko być może, że jest tém

czém się wydaje, a nie kim innym, a jeżeliby było inaczej, bądź pewny, że nigdyby ci nie przebaczył, gdybyś usiłował to przeniknąć, o czémby nie chciał żeby wiedziano.

— Ja się tu niczego nie domyślam, a jeżeli się wyraziłem z czém niepotrzebném, to nie w złej myśli, ale zwyczajnie z dyskursu.

— Na tém koniec, mój przyjacielu; dobrej głowie dość dwie słowie. Więc do nas chcesz przystać, Dawidzie?

— Nie inaczej, chyba że mnie przyjąć nie zechcecie. A źlebyście zrobili, bo możesz za mną słówko powiedziéć rycerzowi Lizdejce, że wiesz z doświadczenia, iż mogę się do czegoś przydać. Wszak nasze wojenne koleżeństwo nie musiało jeszcze wyjść z twojej pamięci. A ja postanowiłem sobie, że pod inny znak zaciągnąć się nie chcę, tylko rycerza Lizdejki.

— Nie słówka, ale długich mów za tobąbym nie szczędził, gdyby to było potrzebne. Ale już ciebie mam za naszego kolegę, bo nie ma wątpliwości, że zostaniesz przyjętym. Jednak dziwna rzecz, że nas szukałeś.

— Dlaczego, wszakże i ty się tu dostałeś?

— Co do mnie, rzecz bardzo prosta. Od początku téj wojny razem z wami broniłem sprawy naszego króla, a kiedy ksiązę, w którego dworze obydwajmy się żywili, wierność swoją przeniósł do jego przeciwnika, już w dalszych jego postępkach żadnego nie miałem udziału, i wkrótce Birzę opuściłem. Ale ty Dawidzie, ulubiony dworzanin księcia marszałka, najzaciętszego naszego przeciwnika, najgorliwszego przyjaciela Karola Gustawa, że chcesz przystać do naszych znamion, jest to rzecz tak dziwna, tak niespodziewana, że ledwo uszom moim wierzę, słysząc to od ciebie.

— I cóż w tém tak nadzwyczajnego? Żyjemy w takich czasach że ludzie najwytrwalsi z jednego do drugiego obozu przechodzą bez niczyjego zgorszenia, bo złe gorszy, dopóki nie wejdzie w obyczaj. Pany o wszystkim u nas stanowią, a jeżeli my, biedna szlachta, na przekór własnemu przekonaniu, że na ich wozach siedząc, ich piosenki śpiewamy, Bóg widzi, na pobłażanie zasługujemy. Wiele robi kto musi; gdyby człowiek zawsze robił co chce, nie byłby szlachcicem, ale panem. A i pany nie zawsze idą za swoją skłonnością, i oni ulegają okolicznościom. Omal że nie wszystkie magnaty Litewskie są teraz przyjaciółmi króla szwedzkiego, i tę przyjaźń stwierdzają, narażając swoje zdrowie. Bo na jego rozkaz biegną nie na tańce, nie na uczy, ale tam gdzie świszczą kule. A z tém wszystkim, gdyby zajrzeć w ich serca, nie wieleby się takich znalazło, co mu szczerze sprzyjają. Jeden za nim gardłuje, bo mu wygodniej iść za szczęściem, niż narażać się dla sprawy, której się nie powodzi; drugi, bo ma znaczne dobra, któreby nierad stracił. Inny, a pomiędzy przeciwnymi takich

najwięcej, myśli sobie: To darmo! my już u siebie sami gospodarować nie będziemy, a więc między cudzemi iść za takim i takim pomagać, który zdaje się być najlepszym, a przynajmniej najmniej złym. Mam-li wpaść w garście tureckie lub tatarskie, czy tego rozbójnika Rakoczego, albo co jeszcze gorzej, zbuntowanego chłopstwa, a sto razy bezpieczniej mi będzie ze Szwedem, bo nic złego się nie dzieje z temi ludźmi co żyją w jego poddaństwie, jako Niemcom tyłu księstw rzeszy, a nawet naszym braciom Pomorzanom, których to jeszcze Gustaw Adolf wcielił do swojego własnego państwa. Każdy z nich w duchu o nie innego nie obwinia króla Jana Kazimierza, tylko że nie ma szczęścia. I po części nie można na nich kamieniem rzucić, że się zrażają niepowodzeniem, i pragną bezpieczeństwa swojego i swoich rodzin. W Litwie powtarzają, że kiedy pan Białozor, koniuszy Litewski, siedmziesięcioletni starzec, wymawiał panu hetmanowi Gąsiewskiemu, że odstąpił dla Szwedów króla Jana Kazimierza, poczytując mu to za ciężki grzech przed Bogiem, ten miał mu odpowiedzieć: — „Gdyby Pan Bóg sprzyjał królowi, toby mu nietrudno było dać mu więcej szczęścia. A że go sam odstąpił, pewnie mnie nie ukarze za to, że poszedłem za jego przykładem”.

— Co za nikczemnik!

— Ba! trzeba brać ludzi za ludzi, a nie mieć ich za coś większego. Nie każdemu być bohaterem, a dopiero męczennikiem dobrowolnym. Teraz lepiej około Jana Kazimierza, i przyjaciół też mu przybywa. Co do mnie, zabierałem się do was przystać, kiedyście jeszcze nie mieli ani hetmanów, ani senatorów, i kiedy was wieszano jak hultajów; ale bo też ja nie mam nic do stracenia. Na co patrzę, to cudze, — a co uchwycę, to moje. Czysty mi zysk iść na zbrojną włóczęgę; ale niechbym-no miał własną wioseczkę, a dopiero żonę i dzieci, może nie byłbym lepszym od drugich. Fortuna toczy się na kole, a z nią razem i przyjaźnie, i zasady, i przekonania ludzkie. A czy to dawno, jak w Małej Polsce wszyscy pod niebo wynosili Rakoczego? Szlachta za nim przepadała, ale jak pan Jerzy Lubomirski raz i drugi porządnie go przetrzepał, czyż wielu przyjaciół zachował? Ani jeden szlachcic nie poszedł za nim do Siedmiogrodza. A że nie mając o czym nachodzić Rzeczpospolitę, upokorzył się i pokój podpisał, że już go nikt się w Małej Polsce nie boi, to też najzaufańsi jego przyjaciele teraz psy na nim wieszają. Natury ludzkiej nie przerobisz. Wam lepiej idzie — już i w Litwie zaczynają za wami tęsknić. A niechno nam uda się pobić Szwedów, ale tak, żeby aż pomyśleli o powrocie do domu, to się nie opędzim od przychylnych Karolowi Gustawowi Litwinów, tak będą do nas przystawać. Niech król Szwedzki wtedy nie rachuje ani na Tyszkiewicza starostę Żmujdzkiego, ani na Obuchowicza wojewodę Smoleńskiego, ani nawet na hetmana Gąsiew-

skiego, chociaż ludzie mówią, że on jest u niego okiem w głowie. Każdy się ukloni przed wschodzącym słońcem po jego zachodzie. Może jeden książę Dorohostajski, wojewoda Litewski, podzieli jego złą dolę, nie żeby go więcej od tautych w duchu miłował, bo kogo taki człowiek może miłować, ale że szlachcie tyle krzywd narobił i na zdrowiu i na mieniu, że gdyby statut Litewski, który teraz śpi, raptem się przebudził, a pewnie się przebudzi, jak tylko się karta przewróci, to gdyby żył Matuzalowe lata, nie wysiedzi wszystkich wież, coby je na nim szlachta uzyskała. A może czegoś gorszego by się doczekał niż wieży, bo nad nim coś cięższego wisi; a wszakże on w Dolsku nie mało zakonników utopił kazał! Proszę miarkować, ile się musi obawiać powrotu króla Jana Kazimierza, bo zwłaszcza ta ostatnia okoliczność pewnie książkowi wojewodzie nie ujdzie na sucho. Ale źle robię, że ośmielam się tak otwarcie mówić o książku, gdyż, jakem się dowiedział, on będąc blizkim...

— Dajże pokój — przerwał Gaskold z pośpiechem — jak widać z tobą każda nauka idzie w las. Wróćmy do swojego. To co mówisz o innych, trafia i do mojego przekonania. Ale nie wspomniałeś o naszym niegdyś panu, księciu marszałku wielkim Litewskim, a przecie on jest między niemi najpotężniejszy.

— A jak ci się zdaje? Coby on robił, gdyby szczęście porządnie się uśmiechnęło do króla Jana Kazimierza?

— Ile go znam, przewiduję, że i w takim nawet razie jego pojednanie z królem jest niepodobne. Raz, że trzebaby się przed nim upokorzyć, kęs za twardy dla tak wyniosłego męża; powtóre, i to jest najważniejsze, że stojąc na czele dyssydentów Litewskich, i będąc sam tak gorliwym wyznawcą wiary helweckiej, przeniesie utratę majątku i dostojęństw, i wygnanie, nad życie pod panem, który w jego obliczu jest fanatycznym i zaślepionym poplecznikiem, jak go nazywa, obrządku Rzymskiego. Czy to raz słyszeliśmy w Birzacz, jak się odzywał przeciwko królowi, z jakim przekąsem mówił o jego przywiązaniu do Jezuitów, dodając, że sam był Jezuitą? Pamiętasz, jako to wkrótce po uczynionej przez siebie *submissy* Karolowi Gustawowi, na zjeździe panów szlachty dyssydentów w Trokach, w głosie do nich mianym, powiedział: — „Teraz trzymajmy się gorliwie Najjaśniejszego króla Szwedzkiego, i nie żałujmy ani majątków, ani krwi naszych, ażeby ustalić to szczęście, które zwycięstwami swojemi zniewolił. Bo jeżeli Jan Kazimierz, broń Boże powróci, nasze świątynie, gdzie czyste słowo naszego Zbawiciela, wyzwolone od wszelkich wymysłów ludzkich, daje się słyszeć, gruzem będą zasypane. Sprawa Najjaśniejszego Karola Gustawa jest sprawą Boga, a sprawa Jana Kazimierza jest sprawą mnichów.” Na co się mamy próżną nadzieją? Prędzej uwierzę, iż Karol Gustaw wróci królowi naszemu tę koronę

szwedzką, którą sobie przywłaszczył, niż że ksiązę Bogusław Radziwiłł odnowi hołd poddaństwa swojemu prawemu panu.

— Gadaj sobie zdrów! A ja wiem, że nie tak się rzeczy mają. Książę zycyliwy królowi szwedzkiemu, ale wszystko nie to co było. I między niemi są niesnaski. Aż nadto książę mógł się przekonać, że król jemu nie dowierza, i że mu zostawuje więcej władzy pozornój, niż rzeczywistój. A czyż to tylko jemu jednemu? Gąsiewski hetman, jak zdaje się być położonym u niego! I w oczy i za oczami powtarza: — Gąsiewskiemu omal że nie więcej ufam, niż sobie samemu — a jednak z miejsca nie ruszy, żeby nie był pod okiem jakiegoś generała szwedzkiego, który o każdym jego kroku donosi. W cudzym wzniesić zupełne zaufanie, jest-to chcieć przyrodzenie ludzkie na jakie inne zamienić. Czy wiesz, że kiedy przyszła do Birzów pierwsza wiadomość o nowym wybuchu na korzyć króla Jana Kazimierza, i o zupełnej porażce Karolsona, książę więcej okazał zadziwienia niż smutku? I po kilkakrotnie powtarzał: — Tęgi Czarniecki, nie ma co mówić. Za kim taki bohater się ogłosi, ten rozpaczać nie powinien. Obaczycie, że to jest tylko prolog, a sama sztuka będzie straszną. — Jeszcze to wtedy książę Daniel wymówił naszemu księciu, że chwali pana Czarnieckiego, a ten mu odpowiedział: — Niech król szwedzki, tak zaufany w swoich, przecie pozna co wart Polak, choć przeciwnój partyi. A co się tyczy fanatyzmu rzymskiego naszego króla, ten bezwątpienia wzniesia jakieś obawy między nami dyssydentami, bo każdy przynajmniej w swoich stosunkach z Bogiem potrzebuje być swobodnym. Ale i to wiemy, że nigdy królowi panowie nasi nie dopuszczają mieć takiej siły, żeby aż mógł narzucić swoją wiarę tym obywatelom, którzy inną wyznawają. Ta chęć nawracania już się dała we znaki Janowi Kazimierzowi, tak, że jeżeli utraconą koronę odzyska, pewnie nie puści jej powtórnie na losy wzniesieniem wojny domowój. Jeszcze gdyby Karol Gustaw ze swojemi Szwedami zupełnie tak wierzył jak my, toby może mógł więcej rachować na naszą stałość. Ale on luter, a my kalwini. A im więcej wiary są do siebie zbliżone, tém się więcej ich wyznawcy nienawidzą.

— Jest coś w tém co mówisz, Dawidzie. Ale członkowie Generalności inne mają przekonanie. Rycerz Lizdejko mi mówił, że książę Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny, jeden z najroztropniejszych i najdzielniejszych naszych wodzów, a krewny księcia Bogusława, dał się z tém słyszeć w jego przytomności, że ma nadzieję jednego po drugim wszystkich stronników partyi szwedzkiej do nas przyciągnąć, byle się nam poszczęściło, nawet hetmana Gąsiewskiego. Że tylko księcia Bogusława nie ma podobieństwa pojednać z królem po takich dowodach nienawiści, jakie sobie dali nawzajem.

— O! niech no książę Lubomirski doruje mi parę chwil posłuchania, a wcale inaczej mówić będzie. Na co w bawelnę mam obwijać? Ja do was przystaję z przekonania; z tém się nie tailem w Birzach, że lada dzień drapnę, i to wprzódy jeszcze, nim się porobiły historye Tysszowieckie, a wam Pan Bóg dał pierwsze błogosławieństwo, odkąd Szwedy do nas zawitali. I to tak otwarcie oświadczałem, że moje słowa dochodziły do uszów i księcia samego, i księżnej pani, czém jednak nie straciłem ich łaski. A kiedy po nas zaczęły chodzić wieści, że co pocziwego w Małej Polsce, to nakoniec z wami trzyma, już mnie nie zatrzymałoby nie zdołało w Birzach, i zabierałem się podziękować za służbę księciu, mojemu panu. I wedle mojego zwyczaju, chciałem mu otwarcie powiedzieć: — Jestem szlachcic, wolno mi pójść za mojem przekonaniem. A że to przekonanie jest za królem Janem Kazimierzem, a więc przychodzę do księcia pana z prośbą, aby raczył przyjąć moje uwolnienie się z jego zawsze dla mnie miliej służby, i dał mi swoje błogosławieństwo. — Bo nie chciałem splamić mojego nazwiska, uchodząc pokryjomu z domu, jakby jaki złodziej. A jeżeliby książę nie chciał mnie odprawić, to już z czystém sumieniem byłbym mu nieposłuszny. Ale kiedy już to moje postanowienie miałem skutecznic, książę pan posłał po mnie, i sam od tego zaczyna, że mu wiadomo, iż pragnę moją osobą zrobić access do nowiej konfederacyi zawiązanėj w Małej Polsce; że nic nie ma przeciwko temu, bo szanuje przekonanie szlachcica, który z serca, a nie z musu winien iść za zdaniem swojego pana, równego jemu urodzeniem i prerogatywami szlachcica. Że tego nie zniesie, abym bez jego opatrzenia miał się wydalić w tak oddaloną stronę. I obdarzył mnie (niech mu Bóg Najwyższy na tym i na tamtym świecie wynagrodzi) prawdziwie po pańsku. Ale tém mnie dobił, gdy dodał: — Nie przestaję mieć waści za domownika mojego. I jeżeli waścincj nodze się powinie, przybyszaj śmiało do Birzów, a w nich zastaniesz mnie dla siebie takiego samego, jakim byłem dotąd. A staraj się widzić z księciem Jerzym Lubomirskim, moim krewnym, który ma dla mnie jakieś obowiązki. Między czterema oczami kłaniaj mu się odemnie, i jakoś z niego wyrozumiej, czego mamy się spodziewać od króla Jana Kazimierza, na wypadek, jeżeliby mu się udało na nowo zostać naszym królem. I jak będziesz mógł najprędzej daj mi wiedzieć to wszystko, o czém się w tym względzie dowiesz, a co ci nie dopowiem, tego się sam domyśl: mądrej głowie dość dwie słowie.

— Wielce mię to, co mówisz, uszczęśliwia. Trzeba, żebyś to wszystko powtórzył przed rycerzem Lizdejkiem, a tém zaskarbisz sobie jego łaskę. Chwała Bogu, tak rozwidniać się zaczęło, że już cię mogę widzić w twojej własnej postaci, a nie rozpoznawać cię po głosie w ciemności, jak dotąd. Nic się nie odmieniłeś, a jednak przeszły

trzy lata, odkąd ostatni raz widzieliśmy się z sobą. Nie tak jak ja, któremu każdy dzień coś uroni z młodości; przynaj, Dawidzie, żebyś mnie nie poznał, gdybym się nie odezwał do ciebie?

— Prawda, że od razu poznaćbym ciebie nie mógł, ale nie żebyś się zestarzał, tylko że nieco inaczej wyglądasz. Zamiast podgolonej czupryny, włosy pierścieniste wydobyte z pod szyszaka igrają z wiatrem, podobne do fal morskich. Wąs zawieszisty zajął miejsce tego mchu, który dopiero zaczynał się wysypywać w czasie naszego dworskiego koleżeństwa. Ta cera, której dziewiczej białości pierwsze nasze wyprawy uszkodzić nie mogły, dziś ogorzała od kilkoletniego znoju, ma już ustaloną rycerską barwę. Jest coś w tobie zmężniałego, tak zwiastującego nadzwyczajną siłę, która cechuje cały wasz ród, że ten co się rozstał z tobą przed laty, już poniekąd nową zawierać musi znajomość. Ja kilkoma latami starszy, jestem takim samym, jakim mnie znałeś; ale ty luboś ostrogi świetnie zyskał pod księciem, któremu my obaj dworakowali, byłeś młodzieńcem, a teraz jesteś uzupełnionym mężem.

— Poznając ciebie, Dawidzie, po tym poetycznym sposobie, jakim się tłómaczysz. Wieszcz, artysta i żołnierz, szczęśliwie łączysz w sobie to, co stanowi siłę, sławę i ozdobę narodu. Musisz być mistrzem, kiedy twoja lutnia zdołała obudzić jakieś współczucie dla ciebie w okrutnym sercu Grzeszniczka. W chwilach, w których nam wolno zrzucić z siebie twarde pancerz, i złożyć szyszak, popisywać się będziesz przed rycerzem Lizdejkiem, który jest wielkim znawcą, a nawet sam jest artystą. Po sławie, muzyka jest to co najnamiętniej miluje. Przewiduję, jak często będziecie z sobą śpiewali. Rycerz Lizdejko jest mężem nadzwyczajnym. Dla niego próżnowanie jest nieznośne; nigdy go nie widziałem bez jakiegoś zajęcia. Po ciężkich pochodach przepłatanych walkami, kiedyśmy wszyscy oddawali się spoczynkowi, on się włóczy po naszych posterunkach; opatruje, czy wszystko się odbywa, jak się należy, czy każdy dopełnia swojej powinności. A po tych nowych trudach przychodzi do kwatery dla niego przeznaczonj, ale nieprędko udaje się do spoczynku. Albo jakąś książkę wydobędzie z swojej podróżnej walizki i czyta, albo jakie pół godziny pogra na fletrowersie, i dopiero zwalczony naturą pozwala sobie snem pokrzepić omdlewające siły. Jakież-bo też szczególnie zdrowie! W jak silnym ciele ta szlachetna dusza obrała sobie mieszkanie!

— I zawsze w pochodach wozi z sobą książkę i fletrowers?

— Zawsze. I kiedy inni starają się uprowadzić torbę kielbasą i wędzonym sadłem, żeby nie poprzestać na suchym chlebie, który nie zawsze nawet dostać można, u niego w niej jest tylko kilka książek. Żołądek puszcza na los szczęścia, a ku temu tylko obraca baczenie zapobiegliwe, żeby jego głowa znalazła gotowy pokarm. Jest-to wódz,

jakich niewielu nawet w kronikach; bo to na koniu harcuje jak Tatar, bije się, jak towarzysz pancernego znaku, a żyje tak, że nie wiem, czy Kartuz poprzestałby na strawie, jakiej często używa. Wina tak dobrze jakby nie znał ze smaku. Razu jednego obóz sprawował ucztę dla pana Czarnieckiego. Wszyscy pili co się w gardło wlało, sam pan Czarniecki, choć znany z trzeźwości, jednak podochocił się. Rycerz Lizdejko jak mógł wypraszał się; nie było sposobu wymawiać się od spełnienia jednego kieliszka za zdrowie naczelnego wodza. Ale potem tak się rozchorował, że nam wszystkim strachu nabawił, omal że nie przez całą dobę. I odtąd, ile razy się znajduje na jakiej uczcie, wodę tylko pije, i nikomu przez myśl nie przychodzi naglić go do kielicha, bo jego zdrowie nam wszystkim zanadto potrzebne, byśmy go nie szanowali. U niego aby kawał czarnego chleba, i szklanka mleka, to i nie pragnie obiadu, a jeżeli mleka nie dostanie, wodą tak chleb popija, że aż miło patrzeć. A jaki skromny w obyczajach! Kiedy kto w jego przytomności odezwie się z czémś zanadto rubaszniem, jak to zwyczajnie bywa u ludzi naszego rzemiosła, tak się rumieni, jak szesnastoletnia dziewczica. Niech cię Bóg broni, Dawidzie, od wszelkiego przy nim zapomnienia w tym rodzaju; zaraz wypadłbyś z łaski. On z tém często daje się słyszeć, że człowiek ponury może być dobrym wodzem, ale rzadko bywa z niego dobry podwładny. Ztąd lubi wesołość i do niej zachęca, ale tylko o tyle, o ile w niej nie ma Boskiej obrazy.

— A to osobliwszy wódz! Ostrzejszy dla siebie, niż pustelnik starodawnych czasów. Wina nie pije, swawoli nie lubi, i zamiast żywności opatruje się książkami. Dziękuję tobie za przestrogi. Będę się pilnował, żebym czasem przed nim z czémś niepotrzebném się nie wyrwał. Bo przyznam się, że choć łaskawie się obszedł ze mną, tak, że od razu za serce mnie uchwycił, a już go się boję.

— Ba! ty nie pierwszy! W jego oddziale, który wcale nie szczupły, jest taka karność, że cuda dokazuje. My wszyscy go się boimy, że żadnemu z nas przez myśl nie przejdzie, by rozkaz przez niego dany mógł nie być wykonany; najniepodobniejsze rzeczy dały się przez nas skutecznić. Daję ci na to słowo szlacheckie, i jeżeli z nami trochę pobędziesz, sam się o tém przekonasz, że gdzie tylko rycerz Lizdejko pokazał się ze swoim oddziałem, nigdy naszym noga się nie pośliznęła. Bywało koło nas kręto, bo czy to raz zdarzało się jednemu z trzema mieć do czynienia, a zawsze bez szwanku umiał nas wyprowadzić. Jest to wódz, mało powiedzić, doświadczony, ale natchniony. Prawda, że my staramy się jego myśli uprzedzać, ale on zgaduje myśli nieprzyjaciela i nigdy się nie omyli. My się go boimy, ale też nieograniczoną ufność w nim pokładamy, i to jest podstawą tej bezprzykładnej w wojsku polskiem karności, jaką on umiał wprowadzić. Bo

nie tylko że nie jest skorym do karania, ale nigdy przykrego słowa nie powie podwładnemu. Razu jednego, mając do czynienia z kozakami Chmielnickiego, dał rozkaz jednemu rotmistrzowi swoich znaków, żeby nie ruszył z miejsca, a dopiero jak się cofać będą, żeby na nich natarł. Nam się szczęśliwie udało, ale że Nasuta, takie było nazwisko tego rotmistrza, zanadto wcześnie uderzył na kozaków, im się udało ująć od pogoni, z czego nasza korzyść nie była tak wielką, jakbyśmy ją mieć mogli. Otóż, kiedy już było po wszystkim, i zatrzymaliśmy się dla wypocznienia, rycerz Lizdejko tyle tylko powiedział: — Dziękuję wam, bracia, w imieniu króla i narodu, żeście się tak w dniu dzisiejszym popisali, ale jeszcze czulójbym wam podziękował, gdyby pan rotmistrz Nasuta był się ściślej trzymał instrukcyi ode mnie danéj. — I to mówiąc, na niego ani spojrział. Cóż powiesz? Biedny Nasuta tak to uczuł, że wyraźnie potem śmierci szukał, i znalazł ją też wkrótce pod Bazalią, gdzie, jak kiedy będziesz, obaczysz grób i pomnik, jaki mu kazał wystawić rycerz Lizdejko, ażeby jego pamięć nie zginęła między ludźmi. Razu jednego pan hetman Potocki, niemniej z ostrości względem podwładnych, jak z wielkich czynów słynny w narodzie, powiedział mu: — Rewera (bo takie jego przysłowie), od dwóch tygodni jak waszmość zostajesz pod moim rozkazem, nie dałeś mi ani razu powodu do narzekania. To tylko podziwiam, że mając zbieraninę z różnych części kraju, ani karzesz swoich ludzi, ani nawet na nich krzyczysz. — A rycerz Lizdejko na to: — A po co mam ich karać i łajać, kiedy na to nie zasługują?

Ale oto pan Świerszcz ze swoją komendą przybywa, ażeby nas złuzować. Ruszajmyż do Potuszy, gdzie cały dzień mamy do spoczynku. Tam się jeszcze lepiej obeznasz z rycerzem Lizdejkiem, który cię przedstawi JW. Zamojskiemu, i oświeci cię o dalszym twojem przeznaczeniu. Ulokuję cię w moim namiotku, ale wprzód oprowadzę cię gdzie potrzeba. A potem, niech to będzie między nami, położę się i do południa wyleżę, bo nie jestem rycerzem Lizdejkiem, który snu i strawy tak dobrze jak nie potrzebuje; djabelnie czuję się być zmęczonym. Oj ta wojna, źródło i hart prawdziwego szlachectwa, jest rzeczą piękną, ale kiedy już się skończy, że tylko w pamięci istnieje. Nieraz tak człowiekowi tęskno, iż końca tych zamieszkań do czekać się nie może, że aż wstyd. A jednak czuję, że jak się uspokoi w kraju, zaledwo jakie półrocze zakosztuję błogiego pokoju, będziemy tęsknić za nową wojną. Bo takie nasze przyrodzenie, że tam dobrze, gdzie nas nie ma. — To wyrzekłszy, siadł na konia, a drugiego kazał podać Odyńcowi; poczem przybliżył się do Świerszcza, i złuzowanie posterunku odbyło się wedle wszelkich prawideł wojskowości. Pan Dawid, który dość był obeznany z rzemiosłem, ażeby to umieć ocenić, nie mógł się dość wydziwić nad porządkiem, jakiego był świad-

kiem, i omal że nie w zachwyceniu przebył z Gaskoldem tę przetrzeń, która oddzielała posterunek od wałów Potuszy.

ROZDZIAŁ XII.

W czasach które opisuję, wojska regularne były wszędzie mało-liczne, a w Polsce bardziej niż gdzie indziej. Mniej więcej w całej Europie obrona narodów była powierzona stanowi szlacheckiemu i jakiejś niewielkiej ilości plebejuszów wybranych, obdarzonych od przyrodzenia duchem wojowniczym, a którzy pragnęli do tego stanu być przypuszczonymi. Później dopiero, kiedy użycie ognistej broni ułatwiło rzemiosło żołnierskie, wodzowie zaczęli werbować Szwajcarów, rajtarów, lancknechtów, którzy za pieniądze sprzedawali swoją krew, czém stopniami ulatniała się poetyczność z zawodu rycerskiego. Ale i to wynaturzenie tego zawodu, jako wszystkie stanowcze wypadki historyi, było skutkiem konieczności.

W szlachcie wyłącznie pozostawała siła chroniąca narody od obcego podboju, i pokaż się nie poznano z ognistą bronią, ta siła była dostateczną, i w rzeczy samej inną być nie mogło. Bo gdy rzemiosło rycerskie opierało się wyłącznie na sile i zręczności osobistej, tém samém tak długiego ćwiczenia wymagało, że aż potrzeba było kasty jedynie jemu oddanej, a wychowaniem, nałogiem i podaniami do niego usposobioną; kmięć lub mieszczanin, najwięcej barczysty, nie zdołałby dźwigać ciężkiej zbroi, pod którą szlachcie tak lekko się zwijał, jakby tylko miał na sobie odzież wełnianą, właśnie dlatego, że od lat dziecinnych do niej się wzwyczajał. Trzeba było szlachcicowi być obdarzonym od przyrodzenia siłą fizyczną, żeby zadość uczynić swojemu powołaniu, ale ta siła na małoby się mu przydała, gdyby wychowaniem i doświadczeniem jej nie rozwijał. Wychowanie też jego nie czém inném było, tylko ciągłym rozwijaniem siły i zręczności. Uprawy umysłowej, wedle znaczenia, jakie do tego wyrazu przywiązuje niniejsze pokolenie, nie było. Szlachcie często ani pisać, ani czytać nie umiał; jakążby cenę mógł przywiązać do kunsztów i nauk? Zaledwo muzyka i poezya bohaterska pobudzały w jego duszy współczucie. A jednak nie był barbarzyńcem; bo jeżeli ukształcenie niczém inném nie jest, tylko zastosowaniem do czynu prawideł, nie mogących być zaprzeczonemi w obliczu rozumu i sumienia, a których urzeczywistnienie wymaga nieustających ofiar, oczywiście każdy prawy chrześcianin, jakkolwiek obcy wszelkim naukom świeckim, jest mężem ukształconym. Juźci jeżeli kunszta, nauki, filozofia nie tylko ozdoba cywili-

zacy, ale mają być jej podstawą, bez względu na stan moralny ich uprawiaczy, a więc ów władający światem uczeń Seneki, mistrz w filozofii, muzyce, wymowie, wierszopistwie i igrzyskach scenicznych, byłby więcej ucywilizowanym, niż Karol Wielki, porządkodawca Zachodu, rozprzestrzeniacz chrystyanizmu, zwycięzca zdziczałych ludów, założyciel pierwszej wszechnicy europejskiej, a który podpisywać się nie umiał. Wiem, że to utrzymywać można, a nawet uczenie dowodzić. Wszakże jest w sumieniu jakaś siła, która podobnemu wywodowi intuicyjnie oprzeć się musi.

Cywilizacya naszych wcale nie uczonych przodków miała za podstawę głębokie uczucie powinności, a to wypływało z dwóch źródeł: nauki Kościoła ogłaszanej przez kapłanów zarówno uczonym jak i prostaczkom, i podania przekazanego od pokolenia do pokolenia. Pierwsza nauczała ich co mają wierzyć, — drugie, jak mają postępować. Obu dwom przyznawano samowładztwo tak dalece, że niktby nie pojął, iżby rozum indywidualny mógł w czémkolwiek z pod nich się wyłamać. Wierzę jak mój Kościół, czynię to, co czynili moi przodkowie. Oto był cały kodeks stanu szlacheckiego, który w owym czasie wyłączenie zajmował scenę historyi.

Bezwątpienia surowe przekonania kasty były pod pewnym względem poświęceniem siły, i nie przeczę, że ta siła fizyczna, bez której sama waleczność nicby nie znaczyła, zanadto miała szacunku, i zanadto przyznawano jej prawa. Ale i to wątpliwości nie ulega, iż na niej wyłącznie opierała się niepodległość narodów; dla narodów nie było środka; trzeba im było ulegać częstym wybrykom dumy i porywczności stanu szlacheckiego, który piastował siłę zastosowaną do obrony kraju, albo schylił karki pod jarzmem i bulatęm wyznawców Koranu, jedynych zewnętrznych przeciwników chrystyanizmu w okresie, w którym pocisków zewnętrznych nieprzyjaciół jeszcze nie doświadczał *). Tu wybór nie mógł być wątpliwym.

Zrazu może kto powie, że w takim stanie rzeczy, gdzie siła jest

*) Państwo wschodnie było wielce ucywilizowane, wedle znaczenia jakie w polspolicie przywiązujemy do tego wyrazu. Kwitnęły w niem nauki, kunszt, przemysł i filozofia. A jednak w całkowitości pochłonięte zostało przez bisurmanów, którym Zachód tak dzielnie umiał się oprzeć. Tego fenomenu niezemu innemu przypisać nie można, tylko że w państwie wschodniem, obcym ruchowi feodalnemu Europy, nie była się wyrobiła kasta wyłącznie piastująca siłę materyjalną, która jedna w owym czasie mogła wyratować ciało społeczenské. Na Wschodzie był patrycyat, ale nie było szlachty, której przeznaczenie sam jej źródłostów tłómaczy. Dziś nawet, mimo postępu umysłowego Europy, gdzie tylko się pozbyli szlachty, tam mogą być parokszymi wojenne, ale ducha wojennego nigdy nie będzie. Jeżeli logika rozumowań temu zdaniu zaprzeczy, przynajmniej logika faktów je stwierdza.

wszystkiém, sama intelektualność zmateryalizować się może, a wtedy społeczeństwo wpaść musi w Chińszczyznę, albo, jak dowcipnie powiedział jeden mój krytyk: w jakieś arystokratyczne barogolstwo. Ale to nastąpić nie mogło właśnie dlatego, że był drugi żywioł społeczny, przeważający pierwszy w opinii powszechnej, a z którym siła materyalna żadnej nie miała styczności. Stan duchowny był upustem dla inteligencji społecznej, i w nim i przez niego odbywał się rozwój umysłowy narodów chrześcijańskich. I nie więcej nie udowadnia mądrych rozporządzeń Opatrzności, jak ten podział siły i inteligencji w dwóch kastach, z której jedna była dziedziczną, a druga ciągle się odnawiała ze wszelkich źródeł narodowych.

Rzecz prosta: inteligencja jeszcze nie była obmyśliła środków, którymby siła materyalna mogła być przeważoną przez siłę umysłową. A że siła materyalna, zastosowana do rzemiosła wojennego, musiała być wyłącznym udziałem kasty jemu poświęconej, więc o ile szlachcic oddawałby się kształceniu umysłowemu, o tyle w jego osobie społeczeństwo doświadczałoby szkody na swojej obronie i bezpieczeństwie; a z drugiej strony, gdyby inteligencja narodowa była puszczoną odłogiem, narody wydziedziczone z postępu, zaskorupiałyby w formie szorstkiej a statecznej, z którejby nakoniec wszelka żywotność się ulotniła.

Od tych ostateczności chrystyanizm zachował społeczeństwa, w jakich zdołał wzniecić ku sobie wiarę, żadnym obcym żywiołom nie zboczoną. I tak szlachcic, jeżeli był obdarzony od przyrodzenia siłą fizyczną do przyjęcia wychowania rycerskiego, jemu się oddawał, i z niego czerpał wszystkie przymioty i wady stanu uprzywilejowanego w narodach i przez ich potrzeby, i przez prawo konieczności. A jeżeli w tém był upośledzony, dla uniknięcia pogardy, jakaby go niezawodnie spotkała między rówieśnikami, wprawionemi do użycia oręża, i znoszenia znojów rycerskich, obierał sobie stan duchowny, piastujący siłę innego rodzaju, a przed którą szlachcic, okryty sławą i niemięty w swojej bucie, czoło schylał, nie dlatego, że ta siła była dźwignią postępu i kształcenia powszechnego, bo na tém poznać się nie umiał, ale że była piastowana przez poświęconych, według jego przekonania mężów, którzy mu rozkazywali nie w imieniu własnej mądrości, do jakiejby najmniejszego nie przywiązał szacunku, ale w imieniu Boga, jedynego szafarza wszelkiego dobra doczesnego i wiecznego *). Opinie narodowe wyrażają się w ich obyczajach. Są one wytworem konie-

*) Wzgarda, jaką czuła szlachta dla przemysłu, kunsztów i nauk, była niesprawiedliwa, ale logiczna. Sprawiedliwość winna być oddana duchowieństwu, że ono to uczucie ujemne umiało prostować, kiedy dokazało, że przyznano prawo,

cznych ich potrzeb; ale i to pewna, że pomimo usunięcia tych potrzeb, one trwają uporczywie i bardzo powolnie się przekształcają. A zwłaszcza w naszym społeczeństwie to się widzieć dawało. Już za ostatnich Piastów, a cóż dopiero za Jagiellonów, nauki kwitnęły w stanie świeckim; już ogniście bronie były rozpowszechnione: już posiadaliśmy męźów, którzy nie tylko siłą i odwagą osobistą, ale stosowaniem głębokiej sztuki otrzymywali zwycięstwa, a jednak szlachta uporczywie trwała w swoich przesadach, i o ile tylko od niej zawisło, w organizacyi swojej wojennej trzymała się trybu dawnego.

I tak: w okresie który przedstawiam, wodzowie ochotników własnym przemysłem ich utrzymywali, czyli po prostu żyli z rabunku; więc każdy z nich w swoim oddziale miał w ręku swoim szafunek stopni, nagrody, zasług i kar za przewinienia. Tym sposobem był samowładnym panem swoich ochotników, jednakże dopóty tylko, dopóki ci chcieli mu być posłuszni. A jednak w ciągu téj wojny, pomimo niestałości szczęścia, nie było przykładu, aby wódz został opuszczonym przez swoich podwładnych, tak silne jest spowinowacenie między uzbrojonym tłumem, jakkolwiek uporządkowanym, a uczuciem honoru. Marszałkowie konfederacyi wojewódzkich i ziemskich, a w ich niebytności regimentarze, naczelnicy swoich pospolitych ruszeń, wprowadzili nie samowolnie, ale wedle przepisów prawnych, rozrządzali stopniami w hierarchii władz nad uzbrojoną szlachtą, która im była posłuszną. Hetmani i regimentarze generalni tylko w kawaleryi narodowej i woj-skach żołąd stały pobierających, mianowali oficerów i rozciągali pełną szczegółową władzę.

Jednak i pospolite ruszenie, i wodzowie oddziałów wolnych ochotników, zawsze ślepo wypełniali ich rozkazy. Bo nad nimi wszystkimi wznosiła się władza tajemnicza generalnej konfederacyi. Był kto od niej otrzymał upoważnienie, ipso facto nie było w obrębach możliwości ludzkiej rzeczy, którejby nie otrzymał. Kto nie uznawał konfederacyi, dla takiego ona była niczem; ale byle kto do niej uczynił akces, czy to senator, czy to urzędnik, czy prosty szlachcic, już najmniejszego oporu jój woli nie przypuszczał. Im mniej umiał wyrozumować naturę téj władzy, tém więcej był jój uległym, tak dalece, że nieposłuszeństwo przybierało w jego przekonaniu niejaki cechy świętokradztwa. Każdy wiedział tyle tylko, że konfederacya generalna była konwulsją praw, że była przejściem czasowem z rządu nor-

i przywileje stanu szlacheckiego mistrzom siedmiu nauk wyzwolonych, chociażby nie z acnie urodzonym. Że szlachta na to zezwoliła, był to może najświetniejszy tryumf, jaki chrystyanizm otrzymał nad siłą brutalną. Bo już cywilizacya oprzeć się mogła na niewzruszonej posadzce.

malnego i prawnego pod rząd przechodowy i osobisty, i dlatego nikt nie umiał stawić jakiegokolwiek granicy jęj władzy. I to, czego król z sejmem nie zawsze wyprosili od narodu, konfederacya jednym rozkazem z niewypowiedzianą łatwością otrzymywała.

Kiedy oddział rycerza Lizdejki po swoim zluzowaniu wrócił do Potuszy, nikt się o niego nie troszczył, tyle tylko, że Gaskold zameldował swój powrót generałowi dziennemu. A potem poszedł do swojej ziemianki z Dawidem Odyńcem. Przedstawienie tego ostatniego JW. Zamojskiemu odłożone zostało na dzień następny, gdyż wielce był zajęty, raz, że oczekiwał pana Stefana Czarnieckiego, któremu świeżo generalność powierzyła władze nad wojskiem zupełnie taką, jaką mieli hetmani, to jest prawo życia i śmierci; a obok tego żyd przywieziony przez Świerszcza tyle podejrzania w nim obudził, że wziął się do najściślejszego badania, gdyż pragnął wyświecić cały interes przed przybyciem JW. Czarnieckiego. Na to zwołał do swojego namiotu radę wojenną, do której i rycerz Lizdejko i Świerszcz zaproszeni zostali. Obwieszczono w całym obozie, że oprócz generała dziennego nikomu nie wolno do naczelnika przez całą dobę przystąpić. Zostawmy na czas Potusze, i to co się w niej robiło, a cofając się nieco, przenieśmy się do Polesia Litewsko Wołyńskiego, i do działań kniazia Daniela Dorohostajskiego.

Już czytelnikowi wiadomo, że poróżnienie między hetmanem Gąsiewskim a kniazem Danielem było najgłówniejszym skutkiem zdobycia zamku Dolskiego przez rycerza Lizdejkę, i że kniazia nie już wstrzymać nie mogło od uskutecznienia powziętego przez niego zamiaru, odzyskania ojczystego zamku. Napróžno hetman z prośbą i groźbą usiłował go wstrzymać; napróžno mu przekładał, że ich połączone siły są dostateczne, iżby sobie zwycięztwo obiecywać nad wojskiem konfederacyi w województwie Lubelskiem, póki rozproszeni jęj wzdowie nie skupią się w tym punkcie tyle ważnym dla działań wojennych. Zapewniał, że takowem zwycięztwem skuteczniej odzyska swój Dolsk, niż przez walkę o niego, kosztem, a może upadkiem ogólnej sprawy. — Zważ, mości wojewodo - dodał — i z tęp się odzywam, bo wiem, że nie od dnia wczorajszego wojujesz, iż na wojnie wszystkie drugorzędne korzyści odniesione są niczém, jeżeli na głównym punkcie się nie powiodło. Skoro się oddzielisz odemnie, odbierzesz mi wszelką możność działania zaczepnego z konfederatami. Jeżeli póki pora nie rozbijem ich w Lubelskiem, bądź pewny, że byle tylko się wzmogli w dostatecznej sile, co niezawodnie wkrótce nastąpi, nie tracąc czasu uderzą na naszą Litwę. A ja nie zdołam ich wstrzymać z wojskiem o połowę zmniejszonym przez waszmości upór. Dajmy na to, że owładniesz Dolsk. Cóż to pomoże? Oddzielony odemnie, bez związku z wojskiem szwedzkim i naszym, wcześniej czy później

będziesz zmuszony oddać go nieprzyjaciolom. Przeciwnie, jeżeli pójdziemy razem na Kock, i tam znieśliemy konfederatów, złączymy się z królem szwedzkim i wspólnie działając z nim, zadamy cios śmiertelny konfederacyi. Rewera Potocki pomimo zwycięstwa, które odniósł wspólnie z Jerzym Lubomirskim nad kozactwem, Ukrainy opuścić nie może, póki zbuntowane chłopstwo w zupełności się nie upokorzy. Lubomirski tylko wraca do swojej Mało-Polski, a lubo on, Czarniecki, bracia Sobiescy i Tomasz Zamojski, doświadczeni wodzowie, stawiać nam będą czoło, zdaje się, że bez zarozumiałości spodziewać się możemy wygranej. Natenczas sam z siebie Dolsk powróci do waszmości. Wszakże waszmości nie o Dolsk, ale o całość sprawy, której obaj służymy, isé powinno. — Na to innéj odpowiedzi nie otrzymał, tylko: — Bliższa ciała koszula niż suknia. Cudza rana nie boli. A co to! Czy ja oszalał, żebym jakimś bękartowi dopuścił spokojnéj intromissyi do moich dóbr? — Nie było u nich króla, nie było jak u tamtych konfederacyi, któraby rozciągała władzę tajemniczą, poświęconą w przekonaniu pobożnych, a związanych przysięgą jéj podwładnych, a więc nie było posłuszeństwa. Z początku hetman przemyślał odjąć mu dowództwo nad jego milicyą i szlachtą, która mu służyła, ale rychło tego zaniechał, bo przenikliwym swoim rozumem poznał, że to było niepodobném do uskutecznienia.

Kniaź w zapędach swoich często dopuszczał się niesłychanych okrucieństw, nie tylko względem spokojnych mieszkańców, ale nawet względem swoich uzbrojonych podwładnych. A jednak żołdacy jego milicyi wielce do niego byli przywiązani. Rzecz dziwna, ale udowodniona dziejami, że srogość wódza, który zresztą jest prawdziwym wojownikiem, nigdy nie odstręczy żołnierzy pod nim służących. Łagodność, cierpliwość, słodycz obyczajów, tak niezbędne w zawodzie cywilnym, że urzędnik, który się z niemi omija, omal że nie zawsze wzbudzi na siebie podejrzenie, iż musi być podłym, — dla naczelnika wojska najczęściej są szkodliwemi, bo nigdy nie wywołują szacunku u jego żołdactwa. Żołnierz potrzebuje silnych wzruszeń, bo te tylko do jego duszy dochodzą, a takich od wodza łagodnego nie otrzymuje. Sam gwałtowny i okrutny, zwłaszcza w okresie, gdzie jego czynność osobista w wojnie jeszcze nie zupełnie była wsiąkniętą w poruszeniach ogólnych, nauką obmyślonych, lubił widziéć w swoim wodzu rzeczywistnienie własnych nałogów i skłonności, a choć częstokroć gwałtowność wodza jemu samemu czuć się dawała, umiał być na to wyrozumiałym. Żołnierze kniazia miłowali go, bo się go bali, a więc szanowali, gdyż to jest w przyrodzeniu żołnierza, że pogardza wodzem, który nie umie w nim wzniecać obawy; zresztą kniaź żadnego nie miał względu na skargi obywateli, na krzywdy ponoszone od jego żołnierzy. Nie tylko, że im nie wzbraniał rabunku, ale nawet do niego ich

upoważniał, a ich najwięcej szładował nadzwyczajną odwagą osobistą. Żołnierz wszystko odpuści wodzowi prędczej, niż brak odwagi. Jakże nie miał miłować tego, który w każdej potrzebie obiecał sobie stanowiska najniebezpieczniejsze, który w boju niczego od niego nie wymagał, czegoby sam przykładu nie dawał? Jakże mógł go odstąpić?

Do szlachty z położenia swojego więcej myślącej, książę Dorohostajski był mniej szczęśliwym. Nie miał ani tych przymiotów, ani tej zrzeczności, któremi się jej przywiązanie nabywa. Szorstki w obcowaniu, niepowsięgliwy w mowie, zwłaszcza kiedy był poruszony, wyjąwszy żołdaków, dla których bywał hojnym, oględny aż do zbytku na wydatki, a nawet niełatwy w interesach jakie z nią miał, jako właściciel szerokich włości, lekceważący prawa i ustawy krajowe, był przedmiotem jej nienawiści. Ale obawa jaką wzniecać umiał to sprawiła, że gdyby nawet od niej był namiętnie miłowany, pewnie wierniejby nie służyła wszelkim jego widokom. Szlachcie, który bądź z familijnego podania, bądź z potrzeby, bądź z wypadku, raz się wpisał do jego klienteli, już jej nie opuszczał, pomimo wstrętu jaki musiał czuć dla swojego patrona; a to jedynie przez bojaźń narazenia siebie z całym swoim rodem na zemstę, o której wiedział, że żadne granice nie umiarkowałyby jej zapędów. Szlachta z przyrodzenia butną, do swawoli skłonna, trwożliwą o swoje swobody, obracał gwoździ jakby poddaństwem, jedynie przez postrach, jaki w niej wzniecał, a ciągle pomnażał. Jeżeli szlachcica obraził, ofiarował mu z siebie sprawiedliwość w pojedynczym boju, a kiedy ofiara przyjęta została, najczęściej kończyło się wszystko śmiercią przeciwnika, a zwycięzca miał się za zupełnie czystego przed swoim sumieniem. Razu jednego, gdy pewien jego klient, uczuwszy się być przez niego skrzywdzonym, nie dość mężny, żeby go wezwać w szranki, pokryjomu opuścił jego znaki i udał się do Birzów, dla szukania protekcji księcia Bogusława Radziwiłła, żadnego zadośćuczynienia nie mógł od księcia otrzymać. Bo choć książę był jego teściem, zwierzchności nie mógł przywłaszczyć nad panem równym jemu w dostojństwie, a nie wiele słabszym w potęgze; tyle tylko, że mu dał list instancyonalny do księcia, aby mu wynagrodził krzywdę. Ale kiedy zajechał do swojej wioski, ani jej, ani domu nie znalazł, a tylko czyste i puste pole. Bo książę najechał mu wieś, mieszkańców przeniósł do swoich dóbr, dwór i wieś zburzył, obszar, który zajmowała, kazał wyorać i zasiać, a jego żonę i dzieci zabrał i później sprzedał Tatarom.

Niełatwa była sprawa z barbarzyńcem, który ani ludzi ani Boga się nie lękał. Szlachta kipiała złością, pałała chęcią zemsty a jednak nie odważyła się ciemniejszego swojego odstąpić, jakkolwiek hetman do tego ją namawiał. Nikt nie odstąpi potworu nawet, któremu służy,

dopóki szczęście go nie zdradzi, téj chwili tylko oczekiwała szlachta z niecierpliwością; ale pomimo, że ku temu zdawała się pora przyjazna, bo hetmańskie wojsko już przewyższało siły kniazia, a cóż dopiero, gdyby szlachta pod nim służąca przeszła pod jego chorągwie, wszakże gdy się nie odważyła wziąć inicjatywy nad szczęściem, skrycie złorzecząc kniaziewi, szła jednak na wyścigi w okazaniu mu wierności z milicją nadworną z jego poddanych złożoną. Hetman osłabiony nieposłuszeństwem i uporem kniazia, do bezczynności przyprowadzony został. Nie będąc już w możności działać zaczepnie z konfederatami w Małej Polsce, nie opuścił stanowiska, które był zajął w województwie Brzeskiem, i postanowił z niego nie wyruszyć, pokąd nie doczeka się posiłków, któreby zastąpiły ubytek, jakiego doświadczył. I w tym celu wyprawił gońca do króla szwedzkiego, zajmującego Mazowsze, z listem, który miał go oświecić o stanie w jakim znajdował, przez wyłamanie się z pod jego władzy kniazia, zaufanego i w łaskę królewską, i w siły, któremi samowolnie rozrządzał.

Pochód kniazia od Słonimia do Dolska odznaczył się gwałtem i okrucieństwem, więcej niż inne jego pochody, bo nigdy do tego stopnia nie był rozżłoszczony. Biada wsiom przez które przechodził, jeżeli one były własnością jakiego stronnika konfederacyi. Wszystko co w nich było zostawało łupem żołnierstwa. A jego wojsko ciągle się zwiększało, to ochotnikami przywabionemi żądzą rabunku, to ludźmi, których gwałtem po drodze zaciągał, a których bojaźń w wierne jemu żołnierze przekształcała. Przyszło do tego, że lud opuszczał swoje siedziby i uciekał w lasy z tém wszystkiém, co mógł za sobą uprowadzić, tak dalece, że wojsko same pustki zastając, często cierpiało niedostatek pierwszych potrzeb życia. Na co kniaz zdawał się obojętnym, ile że tu sprawiedliwość winna mu być oddana, że i siebie bynajmniej nie oszczędzał. Żołnierz biedę cierpliwie znosił, bo widział, że wódz ją w pełni podziela. A i temu w części przynajmniej umiał zaradzić. Szlachtę trzymał zawsze przy sobie, bo jęj nie dowierzał, ale kozaków swoich wysłał w bok, często o mil kilka, a ci na miejscu umówioném przybywali z tém, co się im udało zrabować na potrzeby ludzi i koni.

Nakoniec stanął na gruncie księstwa Dolskiego. Popłoch był wielki między podstarościami, bo oni wszyscy bez wyjątku instrumentowani przez niego, podzielili się administracją folwarków na korzyść kniazia Wojciecha. Wielu z nich pouciekało z rodzinami w sąsiednie lasy, ale wkrótce powracali, bo skoro tylko kniaz przybył do swoich dóbr, raptem się odmienił. O ile go znano srogim, gwałtownym, méciwym, o tyle się pokazał łagodnym, wyrozumiałym, oraz niepamiętnym. Oświadczył wszystkim oficyantom, że im za to nie

poczytuje, że ulegli przemocy, nie mając siły do jój odparcia. Że ma ich zawsze za wiernych sług, że jego ufność nie utracili, owszem, czuje dla nich wdzięczność, że przechodząc w służbę samozwańca, zachowali porządek w jego dobrach, któryby się bez tego rozprzął, a tém samém niewyrachowane przyniósł mu szkody. Nadto miał doświadczenia, żeby nie poznał, iż bez nich obejść się nie mógł, bo na nich opierała się administracya księstwa, i że tylko przez ich współdziałanie mógł do skutku doprowadzić odzyskanie swojego zamku.

To zachowanie posad urzędniczych tym, co jakby klina klinem, starą przysięgę nowszą wybili, rozpowszechnione teraz w Europie zachodniej, nie jest żadną nowością, kiedy już książę Dorohostajski w XVII stuleciu umiał poznać co w tém było korzystnego. Z tą jednak różnicą, że rządy teraźniejsze, uważając urzędników jako maszyny administracyjne, używają ich bez żadnej myśli wstecznej, z pełną ufnością, tak jak wódz wojska używa armat wpadłych w ręce nieprzyjacielskie, a które mu się udało odzyskać; podczas gdy książę Dorohostajski zawiesił tylko skutki swojej zemsty, bo w duchu bynajmniej nie odstąpił od zamiaru ich przykładowego ukarania, skoro przestaną mu być niezbędni. I w samej rzeczy, nie wiedząc że plotą rzemień na własną skórę, z najgorliwszą wiernością przysparzali oni panu to wszystko, co mu było potrzebném do zdobycia zamku, tak że wkrótce książę z dobrze wypoczętém wojskiem wyruszył ku zamkowi, prowadząc za sobą liczne wozy z faszynami, toporami, drabinami, jedném słowem z tém wszystkiém, co było w użyciu do zdobycia wałów, otoczonych rowami, i do łamania lub wdrapania się na mury.

ROZDZIAŁ XIII.

Nim jeszcze książę Dorohostajski stanął na ziemi należącej do księstwa Dolskiego, Ogar o każdym jego poruszeniu był uwiadomiony przez podjazdy, które w różne strony wysłał. Z ich doniesień przekonał się, że nie był w możności oprzeć mu się w czystém polu, bo wojsko kniaziewi posłuszne do czterech tysięcy głów wynosiło, a z niemi ciągnęły trzy armaty polowe dobrze obsłużone, któreby od razu rozstrzygnęły los bitwy. Na nich właśnie zbywało Ogarowi, gdyż miał tylko armaty wałowe, niesposobne dla ciężaru do użycia po-za murami zamku. Położenie jego nader było krytyczne. Nie pozostawało mu albowiem nic innego, tylko zamknąć się w zamku warownym wprawdzie i obronionym przez załogę półtora tysiąca żołnie-

rzy należycie uzbrojonych, ale gdzie najmniejszą nadzieją odsieczy nie mógł się cieszyć. Gdyby przynajmniej mógł rachować na wierność téj załogi; ale ta będąc złożoną z ludzi zaciężnych kniazia, którzy tyle lat, i jeszcze przed kilkoma tygodniami jemu służyli, niewiele w nim ufności wzbudzała. W istocie mógł śmiało się spuszczać tylko na tych kilkudziesiąt ochotników których z sobą był przyprowadził; ale cóż to było w stosunku licznego wojska nieprzyjacielskiego i załogi, której zdrady lękał się w każdéj chwili. Wszakże rąk nie opuścił, i lubo przywykły do wojny partyzanckiej, gdzie żołnierz jak to mówią kąta nie zagrzeje, w nowym tym dla niego zawodzie, kierowany przyrodzoną roztropnością, niczego nie zaniedbał dla ocalenia zamku, jego wierności poruczonemu, a gdzie postanowił bronić się do upadłego. Do wyobrażeń honoru, nakazujących wytrwałość, łączyło się jeszcze uczucie osobistój korzyści. Żal mu było opuścić srebra, któremi książę Wojciech go obdarzył, a które zbyt trudno było wprowadzić z zamku z garścią jeńców: a jako się powiedziało, ich wartość sprostała znacznemu szlacheckiemu majątkowi. Oprócz tego dowiedział się, że wielkie skarby były złożone w zamku, a gdzie, o tém go nikt oświecić nie mógł, gdyż to była tajemnica dla wszystkich, kromie samego kniazia Daniela i pana Oleszy. Świdrował ci on wprawdzie po różnych miejscach, a zawsze bezskutecznie. Przeklinał wspaniałomyślność rycerza Lizdejki, że wypuścił pana Oleszę, bo gdyby miał go pod ręką, jakośby go potrafił zobowiązać do odkrycia przed nim téj tak ważnej tajemnicy; ale że nie stracił nadziei dobrać się z czasem do tych skarbów, więc i to nie mało przyczyniło się do chęci zachowania tego zamku, o ile tylko toby się dało zrobić. A że jego ochotnicy wiedzieli, iż udział do tych bogactw ich ominąć nie może, więc i oni ile możności zagrzewali go do wytrwania, lubo tego nie potrzebował.

Zamek był sownie opatrzony w amunicję wszelkiego rodzaju. Chleba, słoniny, solonego mięsa i gorzałki było do zbytku. Tego wszystkiego wódz nie żałował dla swojej załogi. Było czém i o czém się bronić. Cała rzecz chodziła tylko o to, czy milicya i kozacy będą wierni.

Zamknął się więc Ogar, ściągawszy do siebie wszystkich co pod nim służyli, a książę Daniel na czele swoich postąpił ku zamkowi. Ten ostatni od tego zaczął, że posłał z trębaczem jednego ze swoich dworzan, ofiarując kapitulację. Ogar kazał go wpuścić z zawiązanymi oczami, żeby się dowiedzieć, jakie warunki mu podają, ale zawsze ostrożny, nie pozwolił nikomu z nim mówić, ani jemu samemu się odzywać. Wyraźnie mu zapowiedział, że jeżeli gębę otworzy, nim na to pozwolenie otrzyma, natychmiast w łeb mu wypałą. Dopiero kiedy dworzani wprowadzono do komnaty Ogara, ten rozkazał odwiązać

mu oczy, tym co go przyprowadzili tam kniaz, zabij od razu, a sami mu sam z nim zostawisz, tak zagaił:

— *Mości panie, knięcie nie knięcie, a potraczować się nie zawadzi. Przysłany jesteś od kniazia, żeby skłonić załogę do oddania mu tego zamku? Bezemnie się tu obejść nie może, bo zabije o tam wierzniak, że masz przed sobą wojska, który jeden tu daje rozkaz (na te słowa dworzanie skłonił się nizinami). A więc zapytaj wasze, na jakich warunkach ma być oddany ten zamek: jednemu słowem, czyżby chce wasz kniaz odemnie? Wasze, jako jaen pisał, znieć musie jaen wole, a więc sasz o niej miie oświecić?*

— *Kniaz wojewoda, mój pan, żąda ażeby załoga z jaen podobnych składowała się otworzyła mu wszystkie trzy brzozy zamkowe, i przed nim złożyła wszelką broń, jaką ma. A on jej odpowie co myśli z nią zrobić. Przyszła, że żołnierze bezwarunkowo przabaczą, a tyko ich oficerów ukarze, jak mu się zdawać będzie. Ale to, jako sprawa między panem a jego sługami i poddanymi, do warunków nie należy.*

— *Czy należy, czy nie należy, to nie waćcina rzecz o tém mądru. Ale to zostawisz na stronie, musie być i jaen i wasze wiadomiu, że w mojej załodze są tacy, którzy nigdy nie byli ani poddanymi ani sługami waszego kniazia. Cóż więc im przemasza po zajęciu Dolskiego zamku?*

— *Kniaz, mój pan, jest nadto uczciwy, żeby chciał siebie wiązmi obietnicą, której nie może dotrzymać. A więc, aby nie karanie pańs płonną nadzieją, kazał mu oświadczyć, że tym wszystkim, których znajdzie w swoim zamku, a których uzna być obcymi, każde losy ciągnąć; każdy piąty na którego zły los padnie, powieszonym zostanie, a ci co ich los ocali, obróconemi będą w poddaństwo kniazia, i odsłani pod strażą do dóbr, które posiada w województwie Witebskiem.*

— *Czy tak? a zemną co myśli zrobić?*

— *Boję się waćpana obrze wiadomością, która nie może mu być miłą, a jednak jestem obowiązany ogłosić mu ją, bo jestem na to polany.*

— *Mów śmiało. Wszak nie swoją, ale cudzą wolę przynosisz.*

— *Kniaz kazał mi otwarcie powiedzieć dowódcy załogi, żeby się niezgo innego od niego nie spodziewał, tylko, że jak opanuje swój dziedziczny zamek na powrót, czy szturmem, czy bez oporu, każde go żywem ze skóry obdrzeć, idąc w tém za przykładem jego niektórych kolegow, którzy nie inaczej postępowali z jeńcami wojsk szwedzkich i polskich z niemi spr...*

— *Tam do kata! ... sto djabłów człowiekby kapitulował,*

jeżeliby przez to nawet życia swojego nie ocalił? Po antyfonie jaką zaśpiewałeś, i tchórz musi mężnym zostać. Bo cóż ma do stracenia? Samego waści zapytuję: Jeżeli odprawię waści z kwitkiem, cóż kniaź myśli uczynić?

— Oto natychmiast szturm przypuści do zamku.

— A potem?

— Jak go zdobędzie, już wtedy nie pozwoli ciągnąć losów, ale wszyscy bez wyjątku będą zamordowani. Kniaź ufa w dobrém sercu waćpana, że siebie poświęcisz dla ocalenia tych ludzi niewinnych.

— Dziękuję za tak dobre o mnie mniemanie. Ale wyznaję, że na nie nie zasługuję. Wracajże do swojego pana, i oświadcz mu wdzięczność Ogara za ten zachęt, który mu daje do dzielnej obrony, oraz radę, żeby sam nie miękko się potykał, bo może być pewnym, że jeżeli wpadnie w moje ręce, nie będę się oglądał na jego senatorską godność. Nie jest to w moim obyczaju pastwić się nad jeńcami. Kto z jego wojska się podda, zaręczam, że włos mu z głowy nie spadnie, ale jeżeli samego kniazia dostanę, niech będzie pewny, że go natychmiast powiesić każę. Taka jest moja odpowiedź na jego poselstwo.

— A która bynajmniej mojego pana nie zatrwoży, bo...

— Dobrze, dobrze, nie pora nam się kłócić. Do obaczenia.

I krzyknął na straż. Weszło kilku żołnierzy do komnaty. Ogar do nich się obrócił: — Zawiązać mu zaraz oczy, i odprowadzić za bramę zamkową.—A do podoficera mającego nad nimi zwierzchność:— Piawko (bo takie było jego imienisko), masz pistolet nabity w rękę? rozkazuję ci, żebyś jeżeli choć słówkiem odezwie się po drodze, w łeb mu wypalił, nie czekając aż drugie wymówi.

Straż odeszła z posłannikiem. Ogar poszedł na wały, gdzie rozporządził wszystko co tylko mogło posłużyć upartej obronie, bo co chwila spodziewał się szturm. I nie długo na niego czekał. Z daleka ujrzał postępujące wojsko i poznał nieustraszonego kniazia, po tém, iż o kilkanaście kroków wyprzedzał wojsko za nim idące. Jak tylko przystąpiło na strzał armatni, ogień straszliwy z wałów rozpoczęła się za danym znakiem. Ale doświadczony kniaź najspieszniejszym krokiem poszedł naprzód, tak że wkrótce kule przechodziły po-za wojsko, już mu nie szkodząc. I stanął przy rowie rzniętym, przed wysokimi murami zamku. Już armaty wałowe skutecznie nie mogły działać, ale rzesiasty ogień z ręcznej broni się rozpoczął. Kozacy i piechury załogi, nad nadzieję Ogara się popisywali. Na cel brali przeciwników i na nich śmierć sypali, sami w pół zakryci murem nie wiele szkody doświadczając. Ogar podziwiał waleczność kniazia, który na koniu zagrzewał swoją piechotę, nie zważając na własne nie-

bezpieczeństwo. Kule w około niego świstały. Sam Ogar brał go kilkanaście razy na cel, a chociaż był zawołanym strzelcem, chociaż miał swoją rusznicę doświadczoną, ani razu w niego nie trafił; wściekał się ze złości, przychodziła mu do głowy myśl, że musi być charakternikiem, to jest mistrzem w nauce zamawiania kul. Bo w owym czasie między mężami rycerskiego rzemiosła wierzenie w gusła było rozpowszechnione. Jakkolwiekbaż, to pewna, że w dniu tym jeszcze ostatnia godzina dla kniazia nie wybiła.

Odwaga wodza zawsze wznieca nieustraszonosć w tych, którzy pod nim służą. Zjednoczenie uczuć nigdzie tak nie jest ścisłe, jak na polu bitwy, kiedy zapaśnicy stoją u wrót innego świata. Szlachta, z przyrodzenia obdarzona męstwem, swoją powinność spełniała; młotach, z przyrodzenia lękliwy, czerpał wzgardę życia z przykładu wodza, który lekce ważył to życie, tak ozdobne i świetnym rodem i wysokimi dostojenstwami i szerokimi dostatkami. Jakieżby żołdak mógł się oszczędzać, patrząc na tak nieogłędny na siebie wodza? Oni wszyscy byli mężni jego męstwem. I pomimo straszliwego ognia, pod którym ludzie jak grad padali, wkrótce rów faszynami zasypany został, i już drabiny zaczęły się opierać o mury.

Szturm się rozpoczął. Żołnierze kniazia uporczywie drapali się na wały. Ale kozacy dzielnie bronili swoich murów, i z nich spychali obłąńców. Bezprzykładna w zaciętości walka trwała przez kilka godzin; nie było sposobu dostać się do zamku. Każdy co już ręką chwycił za wierzch muru, albo strzałem, albo toporem zrzucony zostawał z drabiny. Książ, jakkolwiek uniesiony gniewem, przecie poznał, że tylko ludzi marnuje; nakazał więc odwrót, i straciwszy z półtorasta żołnierzy, cofnął się, ale w takim porządku, że Ogar nie śmiał zrobić wycieczki, ile że się obawiał wyprowadzić kozaków za mury, gdyż oni, mając rodziny i gospodarstwa po wsiach okolicznych, mogliby się nie oprzeć chęci ich nawiedzenia choć na chwil kilka, czémby się karność rozprzegła, a co więcej, możeby kozactwo już i nie wróciło.

Zirytowany książ, tém więcej że nie mógł na nikogo swojego gniewu zwalić, bo czuł, że każdy swoją powinność zrobił, i że sam sobie przypisać winien stratę jaką poniósł, gdyż odmówieniem wszelkich warunków, któreby mogły skłonić dowódców załogi do oddania mu zamku o rozpacz ich przyprowadził: zatrzymał się w folwarku o pół mili od zamku. Wszakże nie zaniedbał wszelkich środków ostrożności, żeby się upewnić od nocnego napadu przez może uzuchwalonego pomyslnością Ogara. Dwa dni spoczynku pozwolił żołnierzom. O ich wygodzie nie zapominał, szafował im mięsiva i gorzałki z największą hojnością. Ale im zapowiedział, że po tym wypoczynku poprowadzi ich powtórnie na mury Dolska, upewniając ich, iż tak zaradzi wszystkiemu, że im lepiej pójdzie, i że bez wielkiej straty do zamku się do-

staną, na co dał rycerskie i senatorskie słowo, a każdy wiedział, że w nim przynajmniej ta cnota pozostawała, iż dane przez niego słowo, zawsze dotrzymane było.

Stanąwszy w domu folwarcznym, gdzie swoją kwaterę główną był założył, książę znużony pracą, a jeszcze więcej różnemi wzruszeniami, które jego duszę skołatały, jakkolwiek to go kosztowało pokazał się spokojnym. Po daniu rozporządzeń dotyczących się wojska, którym dowodził, pokrzepił odrętwiałe członki kąpielą, i udał się do wczasu, zdawszy na doświadczonych podwładnych wszelkie staranie aż do chwili w której się obudzi, z ostrzeżeniem jednak na wypadek jakiegos nieprzewidzianego wydarzenia, by go natychmiast obudzono. Ale że, jako się powiedziało, Ogar nie odważył się wyjść z zamku, a tylko był zajęty oczyszczaniem rowu z faszyn, więc nie mu snu nie przerwało aż do następnego poranku.

Skończył sam przebudził, zaraz wziął się do pracy, wyprawił posłańca do wioski należącej do księstwa Dolskiego, a na której pan Olesza miał dożywocie, z rozkazem, ażeby go odszukać, gdzieby się znajdował, i sprowadzić do Dolska, i dał rozkaz, ażeby natychmiast do niego przybył pan Mikorsza rządcą, i od lat trzydziestu akuratny wykonywacz władzy właściciela księstwa; widać że nie wchodził w to, kto był tym władcą, gdyż po zdobyciu Dolskiego zamku młody książę zachował mu jego posadę, a książę Daniel, przybywszy napowrót do swoich dóbr, nie rugował go z zarządu — co za jego rozumem przemawiało, że każdemu umiał być potrzebnym.

Skończył stanął na rozkaz pański, książę rzekł do niego:

— Powiedz waś, czy między kozakami piechurami, znajdującymi się w zamku, jest wielu żonatych?

— Omal że nie wszyscy mają żony i dzieci, i swoje gospodarstwa po wsiach okolicznych.

— Dobrze! Rozkazuję waści, żebyś natychmiast pod strażą tu pospędzał ich wszystkich żony i dzieci, i to bez żadnego wyłączenia. A pamiętaj! żebyś jeszcze téj nocy mógł na tym dziedzińcu zrobić ich przegląd.— Skłonił się pan Mikorsza i wyszedł, ażeby jak najspieszniej wykonać rozkaz odebrany.

Jakto zwykle bywa w każdej bitwie, strata była nierównie większa w rannych niż w zabitych. A wszyscy ranni uniesieni zostali do miasteczka na rękach towarzyszków broni. Miasteczko od strażaków armatnich zamku było zupełnie bezpieczne, a przytykało do folwarku, gdzie książę założył swoją kwaterę. Sprawiedliwość winna mu być oddana, że jakkolwiek mógł być poruszony niepowodzeniem szturmów, i zmęczony kilko-godzinną walką, w której się potykał nie tylko jak wódz, ale jak prosty żołnierz, bo to pewna, że jeżeli cudzej krwi nie żałował, i swojej własnej nie oszczędzał, jednak nie pozwolił sobie

spoczynku, aż wprzódzy zabezpieczył wszelki ratunek dla swoich rannych. Kilka domostw żydowskich w jednej chwili wyprózniono, z całego miasteczka wszystkie bety żydowskie tam pościągano, na nich poskładano rannych. Cyruliczki miejskie przydani zostali do lekarzów nadwornych kniazia. Godzina nie upłynęła, a już urządziły się lazarety porządne, gdzie na opatrzaniu nikomu nie zbywało. A kniaź nie udał się do swojej kwatery, póki się nie upewnił, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Po odprawieniu pana Mikorszy, kniaź w assistencyi kilku swoich dworzan i wyższych stopni podwładnych poszedł nawiedzić swoich rannych, żeby się jeszcze więcej upewnić, czy wszelkie jego około nich rozporządzenia wykonane zostały. Przy nich zabawił dość długo, pomagał do wszelkich posług, sam opatrywał niektórym rany, a lubo był znany z twardości serca, pewnie czuły ojciec nie więcejby okazał pieczy nad rannym synem, niż on dla swoich żołnierzy. To wszystko niemałe sprawiło wrażenie, nie tylko na tych co byli przedmiotem jego troskliwości, ale niemniej i na tych, co byli tylko świadkami. A wiadomo, że jest w przyrodzeniu żołnierza zachować wdzięczność, i wszystko znosić od takiego wodza, który umie pamiętać o nim, kiedy Pan Bóg na niego dopuści niemoc.

Wyszedł nakoniec z lazaretu i poszedł robić przegląd swojego wojska, które już go oczekiwało pod bronią. Przegląd był zawsze chwilą straszną dla jego podwładnych, bo najmniejsze jego niezadowolnienie niebezpieczną burzę przywoływało. Jednak w dniu tym nie tylko że nie pokazał się gniewliwym, ale owszem poufałym i nie szczędzącym tych słów zachęty, które tak magiczny urok wywierają na żołdactwie. Raz tylko ofuknął jednego z wodzów, który, że mu wiele ufał, miał do niego więcej od innych śmiałości. A to z następnego powodu.

Po skończonym przeglądzie, gdy zapowiedział żołnierzom, że jutro rano powtórnie ich poprowadzi do szturm, upewniając ich pod słowem honoru, że musi się im udać, zaufany wódz odważył mu się powiedzieć:

— Panie! czyby nie lepiej szturm przypuścić w nocy, gdyż po ciemku nie tak kule mądre, jak wśród białego dnia?

Na te słowa gniewem zakipsały źrenice kniazia.

— Ja nie potrzebuję — krzyknął — takich, co się boją nieprzyjacielowi zajrzeć w oczy. Do kroć djabłów! nie bałamuc mi waszmość moich ludzi. Ja was pod mury doprowadzę w nocy, bo czy widno czy ciemno, o trzysta kroków nie poznasz tego, co strzela z armaty. Ale szturm przypuścić nie pozwolę przed białym dniem, bo chcę widzieć, z kim mam do czynienia. — Zmieszał się ten, do którego te słowa były wymierzone. Ale wkrótce kniaź wrócił do dobrego

humoru, i nawet później do niego ze zwykłą poufałością przemówił.

Wszyscy zauważyli, że w kniazia żrenicach błyszczała jakaś dzika wesołość, coś takiego co dowodziło, że musi być pewnym siebie, i że nie wątpi o skutecznej pomyślności swoich zamiarów; ale na czym się to gruntowało, tego nikt przeniknąć nie umiał. Tylko tyle, że to jego zaufanie rozprzestrzeniło się i w żołdactwie. Starszyznę zaprosił do kwatery na wieczrę, gdzie ich częstował winem z obfitością, ale bez zbytku, mając na baczniu, ażeby nikt się nie zapił. Nad wszelki zwyczaj był wesołym, i dla wszystkich poufałym. A przy ich odprawie powiedział im:

— Do zobaczenia! Słońce wschodzi o godzinie szóstej; o czwartej jeszcze ciemno. Zalecam waszmościom z ich komendami zebrać się na wygonie przy tym folwarku o samej czwartej, a bądźcie pewni, że moja gotowość waszą uprzędi.

Gdy wyszli, książ zalecił, żeby skoro tylko pan Mikorsza przybędzie, zaraz go obudzono. Poczém zdął z siebie tylko ferezę, a nie odpasawszy się nawet, w żupanie rzucił się na siennik, zabronił światła przygasić i wkrótce zasnął.

Jeszcze był w pierwszym śnie, kiedy szatny go obudził, donosząc mu, że pan Mikorsza mnóstwo narodu przypędził na dziedziniec folwarczny, i że prosi o posłuchanie. Książ się zerwał, wziął na siebie koszulkę żelazną, którą zawsze przyodziewał, kiedy gotował się do boju, na nię grubo podszyty kaftan łośiowy, doczepił szablę do boku, i dał znak, żeby pana Mikorszę wprowadzono.

Wszedł sługa pochyłony bojaźnią, ażali pan nie osądzi, że nie dość gorliwie i prędko spełnił jego rozkaz, i zabierał się do wytłomaczenia się z tego, ale książ nie dał mu czasu mówić, a zaraz zapytał, ile bab i dzieci przyprowadził?

— Wszystkie żony i dzieci kozaków zamkowych mam z sobą; ani jedna sztuka w chałupie nie została. Niech jaśnie pan raczy wyjść na dziedziniec, a obaczy, że przez tłum przecisnąć się zaledwo można.

— O co tak to ale — odrzekł książ wychodząc z izby, i stanął na ganku, z kąd przy świetle smolnych beczek pozapalanych wzrok prowadził po całej tój tłuszczy, drżącój ze strachu, bo każdy oczekiwał co o nim postanowi pan.

— Druga po północy — odezwał się książ, patrząc na swój kieszonkowy godzinnik — mamy parę godzin przed sobą. Ale do uszykowania tego wszystkiego potrzeba czasu. Niech mi darują moi, ale ja im spać nie dam.—Poczém, obracając się do oficerów dziennych, których już zastał na ganku: — Natychmiast w trąby i kotły uderzyć alarm, żeby wszyscy się zebrałi na wygoniu.— Piorunem rozkaz dopeł-

nionym został; pół godziny nie upłynęło, a już wszyscy zebrani byli i starszyzna weszła na dziedziniec po rozkazy naczelnego wodza.

— Panowie bracia! — rzekł do nich — Ruszajmy naprzód w milczeniu aż pod mury. Niech po dwóch żołnierzy będzie przy każdej kobiecie, które tu widzicie zebrane, ażeby żadna nie uciekła. Która ma dziecko, niech postępuje trzymając je na rękach. Są to żony kozaków załogi zamkowej, tych samych co nas onegdaj odparli. Jak się dobrze rozwidni, przypuścim szturm, żony z dziećmi naprzód na drabiny, a za nimi żołnierze. Kozacy nim do naszych trafią z rusznic, muszą wprzód pozabijać własne żony i dzieci; skoro przyjdzie do tego, zobaczycie że im serca zmięknieją! Mam ja i na upór lekarstwo.

Rzekł, i zaraz starszyzna i gmin wojenny wzięli się do skutecznienia jego rozkazów. Cała ta tłuszcza babskiego narodu, popychana od żołnierstwa jak niewinne owce do rzezi, sama nie wiedząc co się z nią zrobi, poszła w przymuszoném milczeniu aż pod mur zamku, i tam kniaź ze swoją starszyzną i wojskiem, jak to z góry postanowił, oczekiwał aż się dobrze rozwidni, jednak nie w bezczynności, bo na nowo rów faszynami zaścielony został.

Coraz jaśniejszy brzask dzienny pozwolił nakoniec rozpoznawać przedmioty. Oblężnicy już wpatrywać w siebie mogli. Zamknięci kozacy poznali swoje żony i dzieci, poznali także i dawnego pana. Ten kiwnął ręką na znak, że chce mówić; oni w milczeniu czekali na to, co im powie. Odezwał się temi słowy:

— Kozacy! póki jeszcze pora, słuchajcie ostatniej mojej przestrogi. Jeżeli powiążecie waszych sockich i atamanów, a mojemu wojsku otworzycie bramę zamkową, daję wam słowo, że pełne otrzymacie przebaczenie, przyjmę was na nowo w służbę moją, a wszystko co było puszcze w niepamięć. Bo nie wam, ale waszój starszyźnie przypisuję waszą niewierność. Jeżeli zaś odrzucicie moję łaskę, natychmiast szturm przypuszczę, a wasze żony i dziatki utworzą nam drogę do tych murów.

W samój rzeczy przymuszone kobiety, po większój części z dziećmi na rękach, zaczęły się drapać na drabiny, popychane od żołnierzy za nimi kryjącemi się. Wszczął się wielki lament tych biednych istot; wśród rozlegającego się jęku można było słyszeć ciągle powtarzające się wyrazy: Mężu, nie gub nas! — Ojczy, nie zabijaj nas! — Było to widowisko, któreby serce najtwardsze poruszyło.

Napróżno Ogar, stojący od dawna na wałach, i prośbą i groźbą zachęcał do strzelania. Do tego kozaków nie potrafił namówić. Nakoniec krzyknął na jednego z nich blisko siebie stojącego: — Jeżeli nie będziesz swojej powinności robił, ja tobie w łeb wypalę. — Ale jeden

Assauła, który nazywał się Szamray, wielce roztropny kozak, i mający wziętość u swoich, rzekł do niego :

— Pan nas nie namówisz do tak ciężkiego grzechu, żebyśmy mieli nasze żony i dzieci zabijać, na to tylko, by dotrwać w nieposłuszeństwie względem naszego pana. Radzę więc panu, żebyś o nas zapomniał, a tylko o sobie i o swoich ludziach pamiętał, póki jeszcze pora.—I w samą rzecz już kozactwo zaczęło się brać do wiązania swoich, wedle nakazu kniazia.

Nie było dla Ogara czasu. Położenie jego tak było smutne, że już nie pozostawało mu nic, tylko myśleć o swoim osobistym i ludzi swoich ratunku, a było ich blisko pięćdziesięciu. Sprawiedliwość winna mu być oddana, że ani pomyślał o wywiezieniu swoich sreber, a tylko swoją usilność na to obrócił, aby dwóch swoich obłożnie chorych uprowadzić. Wmieścił ich w karocę kniazia, która się znajdowała na dziedzińcu zamkowym, kazawszy do niej zaprządz cug najlepszy, jaki był w stajni. Już wszyscy jego ochotnicy byli na koniu, most od bramy przeciwległej téj, przy której się pokazał kniaź, już był spuszczoney, tym mostem karocę wyprowadził. Ale ledwo go przeszedł, a ujrzał silny oddział jazdy przecinający mu drogę, a drugi niemniej silny, pędzący cwałem dla poparcia pierwszego. Musiał więc opuścić karocę, a przerzynając się przez szyki nieprzyjacielskie, które mu się udało przełamać, gdy drugi ten oddział zastąpił mu drogę do odwrotu.

Był to sam kniaź, i Ogar go od razu poznał. Ludzie kniazia już byli na murach, do których kozacy zamkowi im podali ręce. Więc jemu samemu już nie szło o zdobycie zamku, bo już o poddaniu się onego był upewnionym, ale żeby oddział Ogara nie uszedł jego zemsty, a zwłaszcza żeby samego Ogara mógł dostać. Aż nadto było widoczne, że on przeciwną bramą będzie się starał uchodzić, i dlatego, zaledwo kozacy zamkowi okazali jakieś wahanie w chęci bronięcia powierzonego im stanowiska, zaraz w tamtą stronę wyprawił silny oddział swojej jazdy, ażeby uciekających z zamku wstrzymać. Ale skoro już najmniejszej nie było wątpliwości, że kozacy bez wyjątku do niego powracają, już się nie spuścił na oddział wysłany. Najwięcej zaufanemu podwładnemu wodzowi polecił rozporządzenie zdobytego zamku i oczyszczenie mu komnat ze śmiecia, jak on mówił, Kazimirowskiego, a sam na czele całkowitej swojej jazdy, co koń mógł wyskoczyć, wyruszył na podtrzymanie bijącego się od tamtéj strony oddziału. Ogar ze wszystkich stron został otoczonym. Ale wiedząc, co czekało jego i swoich, postanowił przynajmniej drogo sprzedać życie, bo już nie miał nadziei ocalić go, gdyż miał do czynienia z siłą więcej niż o cztery razy większą od téj, która w jego szafunku została. Rzucił się więc na masę, co ją kniaź prowadził, usiłując

sobie drogę otworzyć. Ale liczni a dzielni wojownicy przełamać się nie dali; nie było środka ratunku, bo ci, przez których dopiero się był przerznął, już się byli uszykowali, i z tyłu na niego nachodzili.

Wtém o kilka kroków od siebie poznał kniazia, idącego na niego z koncerzem, którym tak lekko obracał, jakby zwyczajną szablą. Na jego widok Ogar spuścił szablę na tęblaku, i uchwycił swój garłacz. A wzięwszy przeciwnika na cel, dał ognia. Koń kniazia wstrząsł się; widać że jedna z kul garłacza musiała go trafić, ale po chwili sam kniaz przeraźliwie jęknął, i zwiesił się na szyję konia. Żołnierze przyskoczyli na ratunek pana, i wyniesiono go z pobojowiska. Wiadomo, jakie wrażenie sprawuje na wojsku wieść o śmierci wodza. A wszyscy byli pewni, że cios śmiertelny w niego ugodził. Bój na chwilę się zawiesił, ale Ogar umiał z téj chwili korzystać. Rzucił się ze swoimi na punkt, który mu się wydał być najsłabszym, ile że po przygodzie kniazia energia jego żołnierzy i ich wytrwałość znacznie się zmniejszyły, co nie uszło oka doświadczonego rycerza. Udało mu się przełamać wahających się w szeregu żołnierzy, a zobaczywszy przed sobą czyste i swobodne pole, wziął się ze swoimi do już bezpieczniejszej ucieczki. Wprawdzie po pierwszym wrażeniu żołnierstwo kniazia się opamiętało; jeden z jego wodzów, zebrawszy do dwóchset koni, puścił się za Ogarem z pogoń — ale ten miał przed sobą kilka minut, i potrafił z nich korzystać. Pędził za nim ten silny oddział około godziny, ale już nie mógł go dogonić; zaniechał więc bezskutecznej pogoni, i wrócił się ku zamkowi na zmęczonych koniach, a Ogar wprawdzie stracił dwóch swoich rannych, których uwieźć nie mógł, i srebra, dar kniazia Wojciecha, niemniej kilkunastu żołnierzy, którzy w potyczce zginęli, ale przynajmniej z duszą i około czterdziestu walecznymi ochotnikami umiał się wyratować. Stanął więc w bezpiecznym od wszelkiej napaści miejscu, gdzie sobie i swoim pozwolił wypocząć i dobrze podkarmić konie, póki się ich na nowo nie zapotrzebuje. Tam mógł swobodnie układać w swojej głowie dalsze przedsięwzięcia. Zostawmy go w jego smutnych czy dobrowieszczych myślach, a przenieśmy się napowrót do zamku Dolskiego.

ROZDZIAŁ XIV.

Na noszach zanieśli kniazia do zdobytego zamku, złożyli go sładzy na pościel w przygotowanej komnacie, i co rychlej pobiegli po lekarzy nadwornych, żeby mu opatrzyli rany.

Kniaź, lubo z bólu i straty krwi zupełnie był opadł na siłę, wszelką przytomność zachował, i acz omdlałym głosem dawał swoim rozkazy. Jednak gruchnęła między jego żołnierzami i sługami wieść, że jest śmiertelnie ranny, co na nich rozmaite sprawiało wrażenia. Jedni go szczerze żalowali, drudzy cieszyli się, że się srogiego pana pozbędą, a kozacy frasowali się z następstw, jakieby z jego śmierci na nich spaść mogły.—Być może, mówili między sobą, że jak nasz pan skończy, jako po bezdzietnym stryju bezspornie dostaniemy się temu młodemu panu, który się mieni jego synowcem, a któremu byliśmy już posłuszni. Jeżeli obejmie nasz zamek, a co téż z nami się stanie, żeśmy odstąpili tego, któremu nam dał za gubernatora, a powrócili w posłuszeństwo naszemu dawnemu panu? Czy on będzie na to wyrozumiałym, że trudno własne żony i dzieci zabijać? A bez tego nie było sposobu być mu wiornym.—Wszyscy w zamku byli zarówno niespokojni, chociaż rozmaite były pobudki téj niespokojności.

Przybyli lekarze. Z niemałą trudnością kniazia rozebrali, bo każde poruszenie niewypowiedziany ból czuło mu dawało. Trzeba było łośiowy kaftan rozpruć, a kiedy przyszło do zdjęcia koleczugi, kilka razy zemdłał, tak że ledwo tego dokazać mogli. Mało co mniej było kłopotu z innymi częściami jego odzieży. Krew spieczona tak była zespoliła w kilku miejscach, a zwłaszcza przy ranach, koszulę z ciałem, że aż potrzeba było odwilżać ją letnią wodą, żeby ją od niego oderwać, a kiedy to się zrobiło, krew zaczęła płynąć obficie z ran, czém do reszty kniaź zdawał się utracać siły.

Podnieśli już zupełnie obnażonego kniazia lekarze, wzięli się do opatrzenia ran i zaraz się przekonali, że nie było niebezpieczeństwa. Ran było dwie: jedna kula trafiła go w lewe ramię, druga z ukosa w pierś. Kule przerznęły się przez ogniwkę koleczugi i ugrzęzły przy kości, już nie mając dość siły, żeby ją zgruchotać. Lekarze na nowo złożyli kniazia w pościeli, obłożyli uszkodzone członki płótnem obmoczonym w jakimś balsamie, i wyjęcie kul odłożyli na dzień jutrzejszy.

Kniaź większą część nocy przejęczał z bólu, a jednak udało mu się zasnąć przed porankiem, co go pokrzepiło tak, że kiedy przyszli lekarze z narzędziami chirurgicznymi, tak zadowolnieni byli z jego stanu, że już nie odkładając wyjęcia kul, zaraz się wzięli do tego. Kniaź zawsze odważny, zaledwo po jakimś sporze pozwolił by go trzymano. Odbyto operację wielce bolesną, bo nim mu wyjęto kulę, trzeba było wyjmować okruszyny żelaza od koleczugi, które pędem kuli wgrząźnięte w ciele boleśnie je rozdzierały. Cierpiał kniaź jak potępioniec pod biustrem swoich chirurgów, ale postanowił nawet jękiem nie zdradzić swoich boleści, i umiał tego postanowienia dotrzymać. Kiedy chirurg wyjął mu kulę z ramienia, oglądając się na to, co jest

kniaź wycierpiał, chciał odłożyć na dzień następny wydobycie drugiej kuli, żeby mógł przynajmniej odpocząć; ale kniaź na to nie pozwolił:

— Kiedy waś rznać zacząłeś — rzekł do niego — a więc i kończ swoje, a nie rozkładaj męki na dwa dania.

Nie było co robić; zaczęto mu krajać pierś, póki nie znaleziono kuli opartej o kość. Tę operację bolesniejszą od pierwszej, kniaź z równą odwagą wytrzymał. Pokazano mu obiedwie kule; jedna była nieco przypłaszczona. Kniaź je oglądał z uwagą, odłożył obiedwie na miseczce, która była na stoliku stojącym przy jego łóżku, i dość wesoło powiedział lekarzowi:

— A wiesz waś, że ta przypłaszczona kula jest piątą z rzędu, którąś wyjął z ciała mego? Ale do dnia wczorajszego na wojnie kule mnie omijały; dwa razy dostałem kulą, a zawsze po nogach, pierwszy raz polując na dzika, drugi na niedźwiedzia; zamiast w zwierza mnie trafiłono. Zwłaszcza to drugie polowanie dało mi się we znaki, bo kula tak zalazła w kość, że aż świderkiem trzeba było ją wydobyc, jak korek od butelki. To się stało w okolicach Wilna, gdzie mnie do miasta na rękach hajducy przynieśli, bo pojazdu wytrzymać nie mogłem. Jeszcze to było za życia nieboszczki matki, która nie wiem dla czego trzymała mnie przy akademii, ale ja żadnej nauki nie chciałem przyjąć od Jezuitów, bo bałem się, żeby mnie w papieżnika nie obrócili. I jakoś bez ich mądrości na człowieka się wy kierowałem. Inni panicze ławek pilnowali, a ja po lasach zwierza szukałem, i chwała Bogu nie jestem książkowym piecuchem, ale takim, jakim mężowi rycerskiego stanu być przystoi, a choć jestem wojewodą, milsza mi jest kulbaka, niż senatorskie krzesło.

— Niech JW. pan nie wiele mówi — odezwał się nadworny lekarz — bo to gadanie go zmęczy, a właśnie spoczynek jest nader potrzebny jaśnie panu po takiej przeprawie.

— Ot! co waści się uroiło, mnie rozumu uczyć! Toć jeszcze komuś poradzić mogę, kiedy jestem radą Rzeczypospolitej. Na ból potrzebniejsza rozrywka niż spoczynek, a człowiek przypominając sobie dawne czasy, i o nich mówiąc, jakoś się rozrywa. Waści łatwo powiedzieć: spoczywaj! bo waś mnie, a nie ja waści w sztuki krajałem. A jak tu spocząć, kiedy boli? Mam sam się męczyć pod kołdrą, wolę z drugimi jak można się bawić. A co to? u mnie nie ma języka, żebym nie potrafił wam powiedzieć, jak sen zacznie mnie morzyć: idźcie sobie precz! Ale nie, waś nie chcesz mi dać skończyć, bo przewidujesz, że coś powiem niemiłego dla doktorów. Ale to darmo, musisz mnie słuchać, bo mój chleb, a nie własny jész. Otóż kiedy mnie przyniesiono do Wilna, przyprowadzili do mnie Niemca, najślawniejszego chirurga w całym mieście. Ten opatrzywszy moją skaleczoną nogę,

od tego zaczął, że chciał mnie przestraszyć. — Jest to rana bardzo niebezpieczna — odezwał się. — Oprócz mnie nie ma lekarza na całej Litwie, któryby jej dał radę. Ja jeden mogę zaręczyć, że wrócę zdrowie kniaziewi, a w rękach każdego innego pewnie umrze.

— Ja na to: — Dobrze! więc bierz się waś do mojej nogi, kiedyś tak pewny swojego. — A on do mnie: — Ale radbym wiedzieć o co idzie gra? — Cóż to ma znaczyć? — zapytałem. A on na to: — Ja kniaziewi starościcowi otwarcie powiem, że skoro biore na moją odpowiedzialność kurację wielkiego pana, rad jestem z góry być upewnionym o mojej nagrodzie. Człowiek z innym duchem pracuje, kiedy wie, że nie darmo. — Jakiżże waś chcesz nagrody? — Pięćdziesiąt czerwonych złotych.

— Zgoda na to; zaczynaj zaraz!

Wziął się do mnie, jak waś dopiero bierze się do wyjęcia kuli, nakrajawszy mnie ciała po waszemu. Ja ledwo że nie zachodzę się z bólu. — Wtém mówi do mnie: — JW. kniaziewi! Bóg świadek, że pięćdziesiąt dukatów za mało za taką operację; wymówiłem się za prędko, niech kniaziewi narzuci jeszcze jakie trzydzieści sztuk złotych. — Ja mu na to: — Dobrze, dobrze, dam osmdziesiąt czerwonych złotych, tylko kończ! — Trudno było targować się pod jego nożem. Udało mu się, bo i kulę wyjął, i nieco uszkodzoną kość naprawił tak gładko, że oprócz blizny wszystko tak było jak wprzód. Jak stanąłem na nogach, kazałem mu odliczyć osmdziesiąt dukatów, ale razem i trzydzieści bizunów, żeby go oduczyć od nakładania haraczu na tych, którzy się oddali w jego ręce. Powiedźże, waś, możei lekarzu nadworny, czy nie po sprawiedliwemu postąpiłem z Niemcem?

— Sprawiedliwie może, ale też i bezprawnie. To szczęście, że go kniaziewi drugi raz nie potrzebował.

— Otóż waś się mylisz; bo trzy lata nie minęły, a znowu byłem w jego ręku. Mówiłem o dwóch kulach com je dostał, a o trzeciej jeszcze nie wspomniałem. Uważaj waś, jak się to zrobiło! Zjechałem do Wilna na sprawę z lichwiarzami, którzy się domagali, żebym im uiszczył się z tego, co nakarbowali na moim bracie, z którym nie mogę doczekać się końca. A wszakże ja i teraz leżę z łaski jakiegoś bękartu, co się gwałtem przyznaje do synowstwa nieboszczyka, a którego jakiś urwisz ogłosił był kniaziewi Dorohostajskim. Dam ja im obydwom kniaziewi Dorohostajskiego. Świat zdaje się szeroki, a jednak on za ciasny dla nas trojga; aż mi wstyd, że tych łotrów wywołanych obok siebie przychodzi wspominać. Otóż juryści pilnowali w Wilnie moją sprawę, która nie najlepiej poszła, a ja polował po lasach Starościnińskich i nie Starościnińskich całej okolicy. Otóż niejaki Suzin, prosty szlachcic, bo u niego było tylko jedna czy tam dwie wioszczyny, miał to, czego ja pan nie miałem: charta i charciciej personaty, ale ta-

kie, że każdy wilka pojedynczo chwycił. Ja z początku temu nie wierzyłem, aż własnymi oczami się przekonałem, że nie inaczej. Mówię mu, żeby mi odstąpił te charty; poniżam się aż do prośby, ofiaruję mu dwie wsie w dożywocie. Szlachcic uparty ani słuchać tego chce. Rozgniewałem się; mówię mu: — At, nie wymyślaj, a bierz co ci dają. Na jakieset djabłów takie psy tuzinkowemu myśliwemu się zdały? Te psy dla mnie się urodziły. — A on jakbym grochem o ścianę rzucił, tak się zaciął. Rozgniewał mnie; nakoniec powiedziałem mu: — Nie chcesz wziąć co ci dają? otóż nie nie dostaniesz, a psy będą moje.

— A to jak? — odpowiedział.

— Jak? oto że gwałtem je zabiorę.

— Obaczmy — odrzekł zuchwały szlachcic.

Nie wiele myśląc, nazajutrz zebrawszy moich ludzi, zrobiłem najazd na szlachcica, ale go zastałem przygotowanym. Szlachta okoliczna z nim sąsiadująca przybyła mu w pomoc. Nie ma co mówić, bronili się dzielnie. Wszelako noga by ich nie uszła, gdybym był dosiedział konia. Ale kiedy już wdarłem się był z mojami na dziedziniec, ten pan Suzin, jak palnie do mnie z rusznicy, zaraz spadłem z konia. Wyniesiono mnie jak wczoraj, ale nieżywego, i wzięli się moi do odwrotu. Nikt ich nie ścigał; tyle tylko, że się im udało uprowadzić z sobą charty. Dałbym ja im, żeby ich zostawili. Dopiero w Wilnie przyszedłem do przytomności, i zaraz sprowadziłem tego samego doktora, co miał odemnie podwójną pamiątkę, bo i w kieszeni i na skórze. I dobrzem sobie poradził, bo choć ranny byłem w krzyżach, i kulę wyjął, i tyle mi swojemi zalewaniami pomógł, że po kilku dniach byłem zdrow jak rybka, i dałem mu za to sto czerwonych złotych, chociaż się już z góry o nagrodę nie dopominał. Podobało mi się, że z nim moja nauka nie poszła w las.

— A czy jaśnie pan nie pociągnął tego pana Suzina do sądu za ranę, co odważył się mu zadać?

— Ja? a co to, waść oszalał? Odkąd żyję, miałem spraw jakich kilka set, a nigdy nie byłem stroną powodową. Zawsze tylko w odwodzie stawałem. Na mnie każdy się skarżył, ja na nikogo. A cóżby ja był wart, gdybym się mógł przyznać do odebranéj od kogoś krzywdy? albo ja nie mam sług, poddanych, a nadewszystko własnych rąk, żebym sprawiedliwości zebrał po jurysdykcyach sądowych? Suzin, to prawda, że mnie pozwał. Radzoło mnie i ja sam ku temu się skłaniałem, żeby nie stawać z nim do sądu, i przewłokami niszczyć szlachcica. Jedno, że świeżo otrzymałem był kasztelanję Witebską, nim w kilkanaście lat później postąpiłem na województwo. Myślę sobie: jak nie stanę, szlachcic otrzyma na mnie kondemnatę, i z nią, nie dopuści mi zasiadać w Senacie. Stawiłem się więc przed grodem, *ale jedynie dla wytłómaczenia się*, bo żadnej skargi na stronę przeci-

wną podawać nie chciałem. A broń Boże! Dla senatorów wspaniałość myślności przed wszystkiemi! Owóż tedy nakarbowano na mnie nawiązek przesyków prawnych, grzywien, luitów, a nawet kazano mnie wysiedzieć sześćo-niedzielną wieżę, z której okupiłem się gotowym groszem. Ale psy zostały przy mnie, bo na inkwizycyi moi juryści dowiedli, że oba pozdychały. I to niemało mnie kosztowało. Ale pieniędzy nie żalowałem. Na to człowiek ma dobra, i na nich pracuje, żeby mógł czasem dogodzić swojej fantazyi. Koniec końców, wszystko najlepiej się ukartowało. Kto czego więcej potrzebował, to i dostał. Suzin moje pieniądze, a ja jego psy. A więc na moje wyszło. A oto widzisz, mości doktorze, ten woreczek ze złotych ogniwek; w nim znajdziesz te trzy kule ołowiane. A dodajże do nich i te dwie co wyjąłeś, będzie ich teraz pięć. Djabelny one ból sprawiają, i teraz okropnie mnie strzyka, a gdzie? sam nie wiem; bo całe ciało zbolałe, ale mniejsza z tēm, bo wiem z doświadczenia, że po zagojonej ranie od wystrzału, człowiek zawsze zdrowszy niżeli był wprzód. Pięć kul, a więc pięć świadectw, że nie baba. A na jakie licho człowiek-by smakował w wojaczce, gdyby na pewno wojował. Nademnie nie ma myśliwego w całej rzeczypospolitej, a dla mnie ani zając, ani ptak nie zwierzyna. Kogo to bawi, niech sobie nawet chodzi na kucharskie polowanie, z rozjazdem i wabikiem, i napełnia torbę przepiórkami! A co do mnie, mało dusza nie wyskoczy z radości, kiedy widzę bieżącego odyńca, spiętego niedźwiedzia, z biedy wilka, bo przynajmniej człowiek się naraża, a nie gra na pewne, jak oszust kartowy. —

Kłopotał się lekarz, że książ tak się rozgadywał, ale takiemu nie było sposobu mówić o tēm, co mu się nie podobało. Dał więc pokój i poznał, że pacjent wpadł w stan gorączkowy. Dotąd przynajmniej był zrozumiałym, ale coraz silniej gorączka się wzmagała, tak że już płatały mu się myśli. Było tam coś o łowach, o wojnach, o jego przodkach, kilkakrotnie wspominał nieboszczyka brata, ale i to wszystko tak się jedno drugiego nie trzymało, że na próżno było chcieć coś z tego skleić. Był to nadzwyczaj silny paroksyzm gorączki, a lekarze dopiero odeszli gdy go ujrzeni twardo śpiącym.

ROZDZIAŁ XV.

Wracał powoli do zdrowia książ Dorohostajski, a razem i do czynnego życia. Skoro mógł wstawać z łóżka i przechadzać się po swojej komnacie, chociaż oparty na jakim ze swoich dworzan, zaczął myśleć o swoich więźniach, którzy zamknięci w podziemnych pustkowiach

zamku, oczekiwali swojego przeznaczenia. Już pan Olesza objął był zarząd zamku i księstwa Dolskiego, i stosownie do woli pańskiej nowych podstarościach instrumentował po folwarkach, a dawnych zabierał się odesłać pod strażą do zamku. Ale ci, domyślając się co ich tam czekało, wszyscy pouciekali z żonami i dziećmi, unosząc z sobą to, co im się udało zabrać na pędce. Musiał wytrzymać pan Olesza burzę od swojego pana za tę ich ucieczkę, a nawet w uniesieniu mu powiedział: — Żałuję, że waści polecilem przystawienie tych sług złodziejów i zdrajców po należyte ich ukaranie. Nic dziwnego, że będąc obłożnie chorym, wyszło mi z myśli przysłowie, że kruk krukowi oka nie wykole.

Tyle tylko, że kazał dobytek i rupiecie tych podstarościach zabrać, i niemi poobdzielał tych żołdaków swojej milicyi nadwornej, których uważał być godniejszymi jakiejś nagrody.

Wszystko powróciło w zamku Dolskim do dawnego porządku, a jego właściciel do przyrodzonej srogości. I dał tego wkrótce uroczysty dowód. Bo gdy lekarze odezwali się przed nim, że dobrzeby było, gdyby użył wolnego powietrza, on kazał się wynieść w głębokiem krześle, umyślnie na to sporządzonem, na wały zamku, od tej strony gdzie za rowem już były przygotowane szubienice.

Pospędzano atamanów i sockich kozaków, którzy mu się byli przewniewierzyli, dla odebrania przeznaczonej kary. Było ich kilkunastu; żadnemu nie przebaczył. Dzika radość malowała się na jego schorzałym obliczu, w czasie kiedy patrzył na konanie tych nieszczęśliwych ofiar. Nigdy go nie widziano równie wesołego, jak w tym dniu tak strasznym, nie tylko dla nich samych, ale nawet dla tych widzów, którzy jeszcze coś ludzkiego zachowali w sercu.

Jednak te ofiary nie były zdolne zaspokoić mściwej duszy kniazia. Przypomnił sobie, że ma więźniów z oddziału Ogara; było ich dwóch, jeszcze nie wyzdrowiałych, a których Ogar pomimo swojej usilności nie zdołał wywieźć z zamku, i musiał na los puścić, a był jeszcze trzeci, pod którym że konia ubito, w tej potyczce gdzie kniaz został ranny, a więc nie zdołał się uratować ucieczką. — Przyprowadzić mi zaraz tych hultajów -- rzekł kniaz do otaczających go sług. — W tém miejscu otwieram jurydykcyę, będę ich sądził wedle wszelkiej sprawiedliwości jako Senator. Wszakże oni są buntownicy przeciwko tej rzeczywospolitej, której jestem wierną radą? Oni nie są moi poddani; bez sądu nie mam prawa ich wywieszać. — I zaczął się śmiać, zadowolniony z swojego konceptu.

Przyprowadzono tych trzech nieszczęśliwych przed oblicze kniazia. Dwóch było tak schorzałych, że ustać nie mogli na nogach, tylko oparci na swoich przewodnikach. Kniaz jak ich zobaczył, że ciągle był w humorze żartobliwym, rzekł do pana Oleszy: — Niewielka to dla

nich krzywda, że będą zaraz wisić, bo i tak niewiele się im należy. — I w samą rzecz nie zdawało się, żeby zbliżająca się śmierć bolesna na nich sprawiła wrażenie. Owszem z jakimś pragnieniem oczekiwali końca swoich cierpień. Na zapytanie, które im książę czynił, odpowiadali z ciężkością ale skromnie, i widać było, że się zgadzali z wolą Pana Boga z zupełną uległością. Prośli o księdza, żeby im ulżył przechód do innego świata; ale srogi książę i tej ostatniej pociechy im odmówił. Dopóki ich nie przyczepiono do szubienicy, nie przestawali się modlić z tak widocznym podniesieniem ducha, że wszyscy przytomni nie mogli utaić współczucia dla tych nieszczęśliwych ofiar zemsty i przemocy.

Ale kiedy przyszło do trzeciego jeńca, ten wcale się inaczej pokazał. Był to żołnierz wysokiego wzrostu, barczysty, rudo zarastający, o tyle zuchwały, o ile jego współtowarzysze pokazali się skromni. Ludzie księcia, którym się udało go zabrać, oddawali mu sprawiedliwość, że nigdy im się nie zdarzyło mieć do czynienia z równie odważnym przeciwnikiem. Po zabicu swojego konia, odstąpiony od kolegów, którzy w ucieczce już znaleźli byli ocalenie, chociaż otoczony licznym hufcem nieprzyjaciół, sam jeden długo się bronił przeciwko wszystkim, szukał śmierci, nie mając żadnej nadziei zwycięstwa. Żał było żołnierzom księcia zgładzić tak walecznego przeciwnika. Obrzucili go płaszczami, i tym sposobem żywcem dostał się w ich ręce. Kiedy go przyprowadzono na plac kaźni, z suchym okiem patrzył na wszystkie przygotowania swojej śmierci. Zauważono, że ani drgnął, kiedy o kilka kroków od niego wieszano oficerów milicyi księcia, i że nawet uśmiech szyderczy pokazał się na jego ustach. A kiedy jego schorzałym kolegom zaciągano szyję postronkiem, rzucił wzrok tak pogardliwy na księcia, że wszyscy przytomni strachem zostali przejęci.

Książę z nim rozpoczął swoje mniemane sądy. Ich oczy spotkały się z sobą. Książę nie mógł znieść jego spojrzenia, i omal że nie z drżącym głosem czynił mu zwykłe zapytania:

— Jakie nosisz imię i nazwisko? jaki twój stan? ile masz lat?

— Mam lat dwadzieścia sześć, mój stan jest być żołnierzem dobrej sprawy. Znają mnie swoi i obcy pod imieniem Susła.

— Jest to imienisko, jak te wszystkie, co wy wywołanie umiecie sobie przybierać. Ja się ciebie pytam o prawdziwe twoje nazwisko?

— Twoja ciekawość wcale niepotrzebna. Bo nie staram się o rękę ani twojej córki, ani twojej siostry, a jakiegokolwiek byłoby moje nazwisko, ono mnie od śmierci nie ocali.

— Jak ty śmiesz tak zuchwale odpowiadać? Czy zapomniałeś nędzarzu, że jesteś w moim ręku, i że odemnie zależy zadać ci tysiąc mąk? Jeżeli nie spuścisz z tonu, każę ci żywcem ze skóry obedrzeć.

— Ty sam jesteś nędzarzem, bo duszy nie masz. Obmyślaj sobie

na mnie tortury; nie nie obmyślisz gorszego od tego, coby ciebie czekało, gdybyś był wpadł w moje ręce.

— To ty taki? Obaczymy, czy ta zuchwałość ciebie nie opuści. Pokażcie mu nóż, który mu skórę zedrze.

Jeden z oprawców przed jego oczami przeprowadził nóż zakrzywiony, duży i ostry, i zapytał go ze śmiechem: — A czy dobry?

— Dobry, dobry! Jeżeli ty, kniaziu, go wymyślił, przekonywasz mnie, żeś sposobniejszy na rzeźnika, niż na senatora.

— Proszę uniżenie, tak się zaciął, że na widok noża, ani się zmieszal; lubię go za to. Mospanie Olesza, chodź waść tu! — Stary dworak schylił się nad krzesłem pańskim, a kniaz mu powiedział cichym głosem: — Co powiesz, Oleszo? Wyraźnie opadłem na siłach. Nie mam odwagi kazać zamordować tak walecznego człowieka. — Po kilku chwilach głośno się odezwał:

— Susle, czy jak się tam zowiesz, poprosz mnie o jaką łaskę, a kto wie? może ją otrzymasz odemnie.

— Ja żadnej łaski od ciebie nie potrzebuję. Jak widzę starzejesz, że robisz się takim gadułą. Lepiejbyś rozkazał swoim oprawcom, żeby mi już skórę pruć zaczęli.

— Żal mi ciebie, Susle, bo wyznaję, że równie nieustraszonego męża nigdy mi się nie zdarzyło spotkać. Posłuchaj, gdybym ci darował życie pod warunkiem, byś został moim przyjacielem i sługą, cobyś ty na to?

— Ja twoim przyjacielem i sługą? Nigdy! Wskreś-no wprzód tych moich dwóch poczciwych kolegów, których dopieroś kazał powieścić, a wtedy pomówimy o przyszłej naszej przyjaźni.

— Ty gardzisz łaską, którą ci ofiaruję? Otóż ja cię proszę o jedną łaskę: powiedz mi, kto ty jesteś? Ty musisz być z szlacheckiej krwi, bo między rzeźniczym nożem a szubienicą żaden cham nie znalazłby się jak ty.

— To ci mogę uczynić, bo śmierć za dobrą sprawę, chociażby na szubienicy, a zwłaszcza za rozkazem twoim, mojemu herbowi nie hańbę, ale owszem sławę przyniesie. Jestem szlachcicem równym tobie w urodzeniu, lubo Opatrzność mojego domu między magnackimi nie usadowiła. Moje imię Tadeusz, nazwisko Jezierski, herb Rogala; mój ojciec był urzędnikiem w województwie Nowogrodzkiem, gdzie dotąd moja matka ma po nim dwie wioski w dożywociu. Ojciec z przypadku życie skończył, wkrótce po moim urodzeniu. Jeżeli pozostanie w tobie choć cień poczciwości szlacheckiej, o to cię tylko proszę, jak mi zadasz śmierć po twojemu, zawiadom moją matkę, że już nie żyję, ażeby pamiętała o duszy mojej. Masz więc czegoś żądać, a teraz rób koniec ze mną.

— Tyż jesteś synem Iwona Jezierskiego, pisarza grodzkiego Nowogrodzkiego?

— Nie inaczej.

— Teraz nie dziwię się, że coś się we mnie opierało, bym na twoją zgubę zezwolił. Gdybyś nie był odkrył przedemną kim jesteś, tyle tylko miałbym litości nad tobą, żebym cię kazał rozstrzelać, a nie hańbił twojej szyi stryczkiem. Ale przez całe życie wyrzucałbym sobie śmierć twoją. Posłuchaj młodzieńcze! Twój ojciec był spadkowym przyjacielem mojego domu, i póki pozostawał w kawalerstwie, był moim domownikiem, a że jak ja, był namiętym myśliwym, z tego powodu najściślejsza między nami zawiązała się przyjaźń. Nawet po ożenieniu się swoim z twoją matką, jak tylko św. Michał nastanie, przyjeżdża do mnie na kilkoniedzielne polowanie, któremu przywodził, bo w tém miał największe doświadczenie. Otóż razu jednego postrzeliłem niedźwiedzia, który rozjuszony prosto poszedł na mnie; byłby mnie rozdarł, gdyby twój ojciec nie był się rzucił między nas, i do niego nie wypalił, czém dał mi czas na nowo nabić strzelbę; obracam się, widzę twojego ojca w łapach niedźwiedzia. Pokazało się, że go nie trafił śmiertelnie, a raną powtórna jeszcze do większej wściekłości doprowadził, i stał się jej ofiarą. Zabiłem niedźwiedzia na nim, ale on tak był rozdarty, że kiedyśmy go wynieśli w bezpieczne miejsce, zaledwo trochę przytomności zachował. Jednak przed skonaniem swoim zebrał ostatki sił, i rzekł do mnie: — Kniaziu Danielu, wkrótce umrę; ale nie umrę spokojnie, jeżeli mi nie dasz słowa, że mój jedynak Tadeusz, dziś przy piersiach, póki ty żyć będziesz nigdy od ciebie krzywdy, ani nawet przykrości nie doświadczy, i że owszem zawsze mu dasz wsparcie i opiekę. — Ja mu ścisnąłem rękę i zaprzysiągłem spełnienie téj jego ostatniej woli. A po kilku chwilach twój ojciec skonał na moich rękach. Nigdy nie umiałem przebaczyć urazy; musiałeś słyszeć o moich zemstach, gwałtownościach, wzgardzie wszelkich praw Boskich i ludzkich, i miałeś tego dowody. Ale nigdy nie słyszałeś, żebym kiedykolwiek shañbił moją sławę niedotrzymaniem słowa przezemnie danego. Jako przyrzeczenie, które uczyniłem twojemu umierającemu ojcu było bezwarunkowe, tak téż żadnych tobie nie podaję warunków do zgody. Wracam ci twoją zbroję i oręż. Wybierz w mojej stajni konia, jaki ci się najwięcej podoba, wracaj do swoich, odnawiaj z nimi przeciwko mnie boje. Ale bądź pewny, że o ile to odemnie będzie zależeć, zawsze zostaniesz w każdym wypadku oszczędzonym. O to tylko cię proszę, żebyś powiódział swojemu Lizdejce, i temu bękartowi, który był przywłaszczyl sobie zamek moich przodków, że między niemi a mną żadnej zgody być nie może, — że świat, jakkolwiek szeroki, jest za ciasny dla nas, i że ich obu zgubię, chociażbym sam miał z niemi się zgubić.

Ta mięszanina zbrodni i uczuć honoru tak silne wrażenie zrobiła na umyśle młodego Tadeusza, że długi czas stał jak skamieniały, uszom i oczom swoim nie śmiejąc wierzyć. Skłonił się nakoniec przed krwawym, ale na ten czas wspaniałomyślnym kniazem. Podczas gdy giermkowie wkładali na niego zbroję, kilka koni wierzchowych stało w pełnym moderunku; jednego z nich wybrał. Odprowadzono go za rogatki zamkowego mostu; jeszcze raz ukłonił się kniaziowi, siedzącemu na wałach w swoim krześle, ścisnął dzielnego rumaka ostrogami, i zniknął w kurzawie z przed oczów zadziwionych tyłu wypadkami widzów.

Niemoc kniazia przeciągała się wedle jego niecierpliwości, bo chociaż rzeczywiście był w stanie, jakiego żądać mogli jego lekarze, on ciągle narzekał i miał się za bardzo chorego dlatego, że nie mógł jeszcze przywdziać swojego pancerza, ani się rąbać z panem Szuksztą, jak to było w jego obyczaju, ani w dobrach swoich polować. Ofukiwał swoich lekarzy za ich opieszałość, a oni zawsze jedno a jedno powtarzali: — nie ma kuracyi lekarskiej bez współdziałania cierpliwości pacjenta. W jednej chwili można stracić zdrowie, ale żeby je odzyskać, trzeba na to czasu. — Przykrzyła się kniaziowi ta bezczynność cielesna, na którą jeszcze był skazany, bo wszelkie zatrudnienia i rozrywki umysłowe były dla niego obce, ani ich nawet pojmował. Póki był dzień, bądź z okna swojej komnaty, bądź przyniesiony po pod kolumny facyaty zamkowej, przynajmniej przypatrywał się obrotom swojej milicyi, które codziennie się powtarzały z jego rozkazu na dziedzińcu. Wtedy albo milczał, co było u niego oznaką zadowolenia, albo kiedy te ich obroty niezupełnie po jego myśli się wykonywały, unosił się w gniewie, krzyczał na swoich ludzi, lub w przytomności swojej rozkazywał im wymierzać kary; to wszystko go rozrywało. Ale wieczory przedłużone, zwłaszcza pory jesiennéj, były dla niego nieznośne. Bo chociaż siedział otoczony dworzanami, obawa jaką w nich wzniecał stawała na przeszkodzie wszelkim poufałym stosunkom. Pan zasępiony milczał, a żaden dworzanin nie ośmielał się powszechnego milczenia przerywać.

Jednego wieczoru, kiedy jak zwykle siedział znudzony, dano mu wiedzieć o przybyciu nowego gościa. Był to Joś Dreczkier, żyd, rodem z Kocka, ale ważna figura owego czasu. On był liwerantem Szwedów i panów polskich z niemi związanym. Konie, broń, żywność i wszelkiego rodzaju amunicyę dostarczał dla wojska, a panom polskim, potrzebującym gotowych pieniędzy, które coraz robiły się droższymi, nigdy kredytu nie odmawiał, czém wkrótce przyszedł i do ogromnych bogactw, i do niemałej wziętości, tak dalece, że nawet do króla Karola Gustawa miał wolny przystęp, a król ten często w rozmaitych okolicznościach zasięgał jego rady.

Kazimierz Wielki lubił żydów, nie jak to niektórzy dziejopisarze mu wyrzucają, z powodu, że był w sprośnych miłośkach z nadobną żydówką, ale że był kierowany rozsądną polityką. Żadna społeczność polityczna nie może się nazwać uzupełnioną, pokąd w niej się nie wyrobi klasa przemysłowi oddana. A ta w Polsce powstać nie mogła z żywiółów narodowych. Szlachta, jedyna obrona kraju, żeby się była poświęciła przemysłowi i handlowi, musiałaby zaprzéć się swojego jestestwa. Rolnik, przywiązany do gleby, żywiciel całego stowarzyszenia, ale bez zasobów intelektualnych i pieniężnych, chociażby mu i była przyznana wolność osobista, zostałby włóczęgą, nigdy przemysłnikiem. Przybycie więc przychodniów przemysłnych, oszczędnych, pracowitych, cierpliwych, gorliwych wyznawców religii moralnej, w której znajdują się korzenie religij wszystkich narodów cokolwiek ukształconych, było wówczas pod względem okoliczności miejscowych wypadkiem szczęśliwym dla Polski. A Kazimierz Wielki bynajmniej nie zblądził, nadając przywileje narodowi obcemu bezwątpienia, ale przynoszącemu nowy, a niezbędny element cywilizacji materialnej, któraby mogła być z czasem uduchowiona przez przykłady cnót chrześcijańskich. Obiedwie religie były nadto sobie nienawistne, żeby ich wyznawcy mogli wzajemnie zawierać te ścisłe związki, które rodziny jednoczą z sobą; do tego intolercancya moralna jednych, a intolercancya obyczajowa drugich nieprzełomne zapory stawiały.

Umiał poznać Kazimierz Wielki, że warunków czasu nie można zgwałcić, i zabezpieczył żydom swobodne wyznanie ich religii. I tej drogi trzymali się jego następcy, aż do ostatniego Jagiellona. Stanęło prawo, przypuszczające każdego żyda, któryby przyjął wiarę katolicką, do wszelkich zaszczytów i prerogatyw stanu szlacheckiego, i niemało żydów z tego przywileju korzystając, zostało szczepami wielu rodzin szlacheckich zasłużonych krajowi. Ale to była rzecz dobrowolna. Żyd wytrwały w swoim przekonaniu, wszelkiej opieki prawa doświadczał. Oddawał się swobodnie handlowi, nadawał wartość najpośledniejszym produktom naszej ziemi, lub zostawał rzemieślnikiem, czy szynkarzem; często uprawiał sztuki wyzwolone, zwłaszcza lekarską.

Wprowadzenie reformy XVI wieku wzbudziło i rozterki między obywatelami i intolercancyę, element wprzódy nieznany w całej Słowiańszczyźnie. Nie tu jest miejsce wyłuszczyć, kto był tego nowego zjawiska powodem. To pewna, że odtąd los żydów pogorszył się w Polsce, a prztyém zmniejszało się ich przywiązanie do kraju. Między katolikami a dyssydentami ciągle były sprzeczki religijne. Ale uczucie religijne ulatniało się stopniami z serc jednych i drugich. Szlachta na prowincyach zamieszkała po wielkiej części była pobożną, ale ci co się dotykali steru rządowego, odznaczali się wolnym myśle-

niem, przy zachowaniu wszelkich form pobożności. Zaczęto obdzierać żydów, podburzać na nich motłoch chrześcijański, odsuwać od opieki prawa, oskarżać całkowite gminy o przelanie krwi dzieci chrześcijańskich, jakby dla obrzędu ich Paschy, i ciągnąć je do sądów, gdzie oskarżyciele byli sędziami, czém ściągano przeciw nim nienawiść polskiego narodu. Zwłaszcza pod panowaniem Jana Kazimierza te zagęszczone prześladowania, to odmówienie żydom wszelkiej sprawiedliwości, jeżeli opłaconą nie była, rozjątrzyły ich do najwyższego stopnia. Kiedy Szwedzi naszli Polskę, żydzi im sprzyjali, i choć skrycie, gorliwie im pomagali, jako i innych wyznań dyssydenci, wyjąwszy mahometanów, którzy nie przestawali okazywać współczucia dla oddalonego króla. Nienawiść żydów do partyi królewskiej była tém większa, iż była się rozeszła pogłoska po całym narodzie, jakoby Jan Kazimierz ślubował Najświętszej Pannie, że jeżeli wróci na tron swój, wypędzi żydów ze wszystkich dzierżaw Rzeczypospolitej (*).

Joś Dreczkier rozciągał dyktaturę nad żydami Korony i Litwy, tém potężniejszą, im mniej była widoczną. Ze wszech stron żydzi do niego się zbiegali z doniesieniem, co się dzieje u każdego z kolei, co każdy myśli; często mu przywozili podatki z postów przez rabinów gminom nakazanych. On im dawał rozkazy swoje, wszyscy go słuchali jakby jakiej wyroczni, i gdyby naród żydowski był bitnym, z największą łatwością Dreczkier stanąłby mógł na czele wojska licniejszego niż Szwedów i z niemi sprzymierzonych Polaków. Miał on téż niepospolite przymioty: cierpliwość niczém niezmordowaną, zręczność największą, przenikliwość aż do wyczytania myśli tych, z któremi miał do czynienia, i sztukę przypodobania się panom.

Skoro oznajmili kniaziovi przybycie Dreczkiera, tak okazał się zadowolnionym tą nowiną, że gdyby był zdrow, powstałby ze swojego krzesła, i na stronie zostawując swoją godność, może byłby wybiegł przeciw żydowi. Ale jeszcze był niepełnym rekonwalescentem, więc tylko poruszył się w głębokiém krześle i powiedział: — Joś, nasz Joś, a wprowadzić go czempredzél!

Wszedł żyd, stary na twarzy bo i brodę miał siwą, ale młody na ciele, bo tak ruchliwy, że momentu na miejscu ustać nie mógł. Był wzrostu miernego, z brzuchem wydatnym, nos orli, małe oczy siwe, pełne wyrażenia, pejsy długie szpakowate, usta wązinteńkie, które całej twarzy dawały wyraz pospołu i chytrłości i szyderstwa, a do tego wszystkiego pleć żółto-śniada, najwyrazistszy typ potomków Abraha-

(*) W saméj rzeczy Jan Kazimierz ślubował Najświętszej Pannie, że jeżeli go z kłopotu wyprowadzi, wypędzi z kraju żydów i arianów. Kiedy odzyskał swoje królestwo, żydzi się opłacili i zostali, a na arianach się skrupiło.

ma, a który coraz staje się rzadszym. Miał na sobie z atlasu czarnego w najlepszym gatunku suknię, dziś nazwany łapersdak, a rzeczywistość była naśladowaniem stroju naszych szlacheckich przodków, którą nasi żydzi aż dotąd zachowali. Pas morowy także czarny opasywał długą suknię, z pod której wyglądały bawełniane białe pończochy i trzewiki srebrnymi sprzączkami zaciągnięte; na głowie jarmałka aksamitna, w lewym ręku kij długi hebanowy, z wielką skówką srebrną, na nim czapka szabasówka z bogatym sobolem, a ręką prawą dotykając łydki kniazia, i całkiem pochylony, tym ukłonem go powitał. Książ wziął go za brodę na znak życzliwości i rzekł:

— Witam cię, pocziwczel! Zkąd jedziesz i co mi przynosisz nowego?

— Zkąd? z domu, jaśnie panie, to jest z bryki. Od czterech lat ja gościem w domu, i to nie na długo, a gospodarzem na bryce. Od mojego ojczywego domu w Kocku już się odrzekłem; a ktoby tam siedział, odkąd rozbójniki go zajęli? Moja żona mieszka w mojej kamienicy w Warszawie. Mojemu synowi oddałem domostwo w Brześciu. To żydek bardzo uczony, wielki hussyt, ani handlem, ani gospodarstwem się trudni, tylko jednemu Bogu służy, a drugi syn ma dom i sklep sukienny w Grodnie. A ja panom i monarchom służąc, to do jednego to do drugiego dziecka przyjeżdżam, żeby czasem z pracy odetchnąć. A teraz będąc w tych stronach, nie mogłem nie wyboczyć do Dolska, żeby jaśnie panu wojewodzie powinszować szczęścia, że Pan Bóg mu oddał Dolsk, który był się dostał rozbójnikom, a także i rozczulić się nad nieszczęściem, co jaśnie pana spotkało na zdrowiu, a które chwala Bogu już ustaje. Ze można Panu Bogu podziękować, patrząc że tak pięknie wygląda jaśnie pan po swoim straszonym przypadku.

— Tać to, mój kochany, nie ma czego ani mi tak bardzo winszować szczęścia za jedno, ani ubolewać nad drugim. Odebrałem co było moje, a to nie bez szkody. Wy kupcy najlepiej wiecie, że kiedy kto tylko na swoje wychodzi, a nic nie zarobi, niewiele się cieszy. A co do tego, że mnie parę razy postrzelili, zwyczajnie wojna. Co to mi za rycerz, co mu tylko cyrulik krew wypuszcza! To tylko bieda, że moja kuracya zanadto się przedłuża, i że trzeba jeszcze czas jakiś posiedzieć w krześle, a o kulbace ani pomyśleć. Zresztą czuję, że codzień jestem zdrowszy, bo już mi moi lekarze pozwalają od dnia wczorajszego wypić codzień parę szklanek wina; ale ile to było korowodów, nim otrzymałem to pozwolenie! Wiesz co, Josiu? Zrabowali mi hultaje moją piwnicę, ale nie tak, żeby kilka flasz nie zostało. Jeszcze jest odrobinka waszego wina koszerneego, z Węgier sprowadzonego, żeby na wypadek, jeżeli jaki porządny żyd wstępu u mnie

znajdzie, z suchém gardłem nie odchodził (*). Tobiem rad, Josiu, bo z ciebie rozumny żyd, i czasem dobrze poradzisz. Hola podczaszy (**)! Zaraz mi tu przynieść wina, mój lekarz nadworny naleje mi w kielich tyle, ile mi pozwoli wypić, a żeby była szklanka dla Josia, i to wino, które jego żydowskiego sumienia nie obciąży. Pokaż mu na butelce pieczęć rabina, na przekonanie, że nie ma czego się obawiać zdrady; dla mnie waść sam dobędziesz korek, a przywołasz węgrzynka, żeby tę samą posługę robił Josiowi. Bo on wie, że choć go lubię, nie jest on wykuty z takiego kruszcu, żeby aż szlachta mu usługiwała.

Dworzanin wyszedł, a kniaź siedział zawsze w swoim głębokim krześle z twarzą coraz więcej wypogodzoną. Dwór milczał, a żyd nisko się skłoniwszy wyprężył się oparty lewą ręką na długiej lasce, a prawą założył za pas, ciągle patrząc z ukosa na kniazia, jakby się go chciał na pamięć nauczyć.

Kniaź przerwał milczenie.

— Powiedz prawdę, Josiu, ty nie tylko dla samėj attencyi przybyłeś do Dolska? Ja widzę, że musisz mieć jakiś interes do mnie, i to mnie samego tyczący się; a co, czy zgadłem?

— To już wielki interes dla mnie, popatrzć się na takiego monarchę jak jaśnie pan, a potem, zapytać się: czy nie potrzebuje moich usług? Bo Joś Dreczkier zawsze gotowy na pańskie rozkazy; to dla niego największe szczęście. Kiedy jaśnie pan mu powie, Josiu, mnie potrzeba tego, lub owego, czy możesz to dla mnie zrobić? A wtedy Joś Dreczkier odpowie: — Chyba cudu jaśnie panu potrzeba, że nie potrafi tego zrobić, a jeżeli cudu, to będzie się starał go wyprosić u Pana Boga.

— Dziękuję ci. Ty dobrze wiesz, że do ciebie nigdy nie udawałem się po pieniądze, jak to inni panowie robią. Człowiek tak się

(*) Gościnność była tak wielka w Polsce, że nikogo nie omijała. W Bibliotece Nieświeżskiej zdarzyło mi się czytać książkę wydatków księcia kanclerza Radziwiłła; w tym rejestrze uderzyły mnie te wyrazy:

Na wino koszerne złotych 80.

Nie wiem co to jest wino koszerne, ale oczywiście musiało ono być przeznaczone dla żydów, którzy z powodu jakiegoś interesu z księciem przypuszczeni byli do rozmawiania z nim na jego pokojach.

(**) Na dworze przemożnego pana, było zawsze siedmiu dworzan, jakoby dygnitarzów, mających wiele powagi, a którzy cielesnej karze nie ulegali. Oto był ich porządek w hierarchii dworskiej; marszałek, podczaszy, koniuszy, łowczy, podskarbi, sekretarz i szatny. Podczaszostwo było rzeczą tak ważną w wiekach średnich, że w bulli złotój, którą cesarz Karol IV urządził rzeszę niemiecką, godność podczaszowska była przywiązana do korony Czeskiej, pierwszego elektorstwa z porządku w Cesarstwie Rzymskim.

jakoś rządzi, że jeżeli pokój, to mu to wystarczy, a jeżeli wojna, ma jakiś zapas, że bez cudzej pomocy obejść się może. Jeżeli tylko z oświadczeniem do mnie przybyłeś, to nie wielki mi z tego przybytek.

I to rzekłszy, nieco się zasępił. Joś w około siebie poprowadził wzrok niespokojny, a potem spojrzął na kniazia. Ten od razu go zrozumiał.

Przybył podczaszy, a za nim węgrynek z tacą, a na niej dwie butelki, kielich i szklanka. Lekarz nalał wina w kielich księcia, w porcyi cokolwiek większej, niż dnia wczorajszego. Węgrynek pokazał żydowi pieczęć na korku, poczem wydobyl i nalał mu sporą szklanicę aż do brzegu, nektaru madziarskiej ziemi. Żyd skłonił się tak nisko, że omal łbem nie stuknął o ziemię. A potem wyprężywszy się, podniósł szklankę i powiedział: — Niech Pan Bóg da JW. monarchowi, który mnie biednego żyda tak łaskawie przyjmuje, tyle szczęścia, tyle zdrowia, tyle panowania, ile jest kropel wina nie tylko w tej szklance, nie tylko w tych dwóch fiaskach, ale w całej jego piwnicy.

To rzekłszy, przybliżył szklankę do ust swoich, i jak prawdziwy amator kroplami zaczął spuszczać płyn do gardła. Książ swój kielich wziął w lewą rękę, jakby próbując, czy już zaczyna na nowo mu dopisywać, a prawą dał znak dworowi, żeby go samego z żydem zostawiono. W jednej chwili wypróżniła się komnata, że tylko książ i Joś Dreczkier w niej pozostali.

ROZDZIAŁ XVI.

Książ pierwszy się odezwał:

— Josiu! jesteśmy teraz bez świadków, powiedz-że zkąd jedziesz? i jakie wiadomości mi przywozisz?

— Jadę z Brześcia, i przed samym moim wyjazdem JW. hetman Gąsiewski kazał mnie zawołać; miał do mnie interes, a ten się skończył jak zwyczajnie. Pan żydkowi wiele pięknych słów powiedział, a żydek musiał panu dać pieniędzy, które ma kiedyś odebrać z produktów leśnych jego dóbr w województwie Smoleńskim. Otóż my kończyli z sobą interes, kiedy przyszła wiadomość, że jasnie panu udało się odebrać to, co było jego.

— A jakże hetman tę wiadomość przyjął? nie musiała mu być bardzo miła?

— To już jasnie panu mówić nie trzeba, bo swoim delikatnym rozumem sam wszystko odgadnie. Hetman powiedział, z przeprosze-

niem, bo nie swoje, a jego słowa powtarzam. — I cóż z tego? książę tak zrobił, jak ten co poluje na grubą zwierzynę: proch swój wystrzela na ptaszki. Cieszy się, że torbę zapelniał wróblami, a nie uważa, że wilki i lisy pouciekały. Obaczymy, jak długo swój Dolsk zachowa?

— Dłużej może, niż on swoją wielką buławę. Owa! jaki mądry z niego człowiek. A to wszystko, że jakoś bez jego pomocy się obe szło. Gdzie jego nie było, musi być źle koniecznie. On mnie oskarżył przed królem szwedzkim, wiem o tém. To tylko bieda, że o to niewiele dbam. Żebym nie miał mojego Dolska, a kto wie? możeby mnie bojaźń niełaski króla i zafrasowała. Ale teraz o to pokój, bo ja potrzebniejszy królowi, niż król mnie. Wierz mi, Josiu, że człowiek jakibądź sam z siebie niewiele wart; dopiero zamki, posłuszeństwo i pieniądze, póki je posiada, dają mu cenę. Gdyby Dorohostajski był sobie at zwyczajnie, jak ci, co to mają jedną duszę i jedną wioszczynę, radzi że im wystarcza na strawę i barwę, niktby go nie spytał, do jakiej partyi chce należeć, ale obracano by nim, czy w prawo czy w lewo. Bo tu nie ma środka: — kto nie ma o czém rozkazywać, musi innych słuchać, czy po woli, czy po niewoli. Albo to ja jednym popycham, o którym wiem, że w duchu rad, by tamci nam kurtę wykroili? A co ja dbam o jego myśli, kiedy musi iść, gdzie ja rozkażę? Ale że książę Dorohostajski ma swoje zamki, swoje wojsko, to i szlachcic czolobitność swoją mu ofiaruje, i król nazywa go swoim przyjacielem. A czy wierz czy nie wierz, Josiu, że na całym Polesiu nie ma warownego zamku, któryby był tak mocny jak Dolsk. Że go odzyskałem, to jestem prawdziwym panem, i wiele ważę u króla Szwedzkiego, choć mi hetman Gąsiewski buty szyje u niego. Bo on wie, że ten mój zamek jest kęsem tak smacznym, że chociaż mówią, że Jan Kazimierz bardzo na mnie zawzięty, a jednak i zgodę i nawet najściślejszą przyjaźń u niego dostanę, jeżeli zechcę Dolsk oddać jego konfederatom, i moją milicję z niemi połączyć. Zabawny to człowiek ten Gąsiewski; już to samo dowodzi, że Janowi Kazimierzowi piątą klepkę nie dostawało, kiedy takiemu dał wielką buławę. Nie źleż rzeczy mu się chciało! mnie na charłaka wykierować, żebym mu się oddał jakby w poddaństwo, bo cóż ma robić wywłaszczony pan? Ale on tego nie doczeka! Trafilo się do swojego, bo się nie słuchało jego rady; ja jak byłem panem, tak jestem panem, a to winienem mojej głowie.

— To też ja winszowałem jaśnie panu tak szczęśliwego odzyskania swojej szkody.

— Szczęśliwego! tego nie powiem, bo mi nabito i nakaleczono niemało ludzi. Znadto prędko zaufałem wierności moich kozaków; wyznaję, że podrzyłem głowę, bo każdy człowiek z natury szel-

ma, a jeżeli poczciwy, to że własna bieda, albo cudzy batóg do tego go zmuszają. Otóż ten Ogar, choć hultaj, ale gracz, nie ma co mówić, potrafił zmusić moich ludzi, że mu wiernie dopisali. Odparli nas, co prawda to prawda, — musiałem się cofnąć ze szkoda i wstydem. Ale na mus lepszy mus wymyśliłem. Ogar wmówił kozakom wierność dla jakiegoś bękartu, dla którego gospodarował w moim zamku, ale nie do tego stopnia, żeby aż do własnych żon i dzieci strzelali. Kozak, żeby go jak chcieć zaprawiać do krwi, zawsze ma miękkie serce dla swojej rodziny. Ty, Josiu, aż nadto to rozumiesz, bo i wy żydzi przepadacie za waszemi dziećmi, co wam się nie gani, boście do łokcia i kwaterki, a nie do szabli i rusznicy stworzeni. Otóż kozacy wrócili do swojego prawdziwego pana, i z serca odpuściłem im przewinienia. Tyle tylko było pociechy, że tam coś z ich starszyny naczepiano do szubienicy, a prostemu ludowi włoska z głowy nie wyrwano.

— Jaśnie pan zawsze miłosierny, nawet wtedy kiedy się gniewasz.

— Co to miłosierny! mnie serce tak zmiękniało, że nie poznaję siebie. Że przebaczyłem temu motlochowi, to jeszcze nie osobliwsza rzecz. To moi poddani; kto powie, że sam sobie nie chciałem robić szkody i będzie miał słuszość. Jużci nikt swojej trzody nie zarznie, chociażby go przewróciła i kopytkami podeptała. A cudzy wpadł był w moje ręce, a jednak puściłem go z Bogiem.

— Czy podobnał żeby jaśnie pan tak sprawiedliwy, rozbójnika, rabusia nie chciał ukarać?

— Otóż widział; pytaj się wszystkich, oni ci powiedzą. Jak zamek już został moim, mnie o to chodziło, żeby Ogar ze swoimi rozbójnikami nie uciekł. To też nie wszedłem do zamku, choć bramę mi otworzono; tyle tylko, że moich piechurów do niego wyprawilem, a sam z całą moją jazdą puściłem się tam, gdzie już byłem wysłał oddział, a to żeby spolować Ogara, bo tylko tamtą stroną mógł uciekać, ile że na ten oddział spuścić się nie mogłem, bo mnie tam nie było. Dotarłem zwierzyne; noga by ich nie uszła, gdyby sam Ogar nie był mnie przywitał swoim garłaczem. Sprawiedliwość winna być oddana jemu i jego ludziom, że djabelnie się bronili. Mnie samemu podobali się tak dalece, że chociaż wymówiłem się z tém, że jak dostanę Ogara, żywcem każę go zedrzeć ze skóry, a jednak brała mnie pokusa rozgrzeszyć siebie z danego słowa, i po prostu kazać go powiesić. Jak padłem, moi głupcy, zamiast skończyć z tymym, rzucili się do mnie z ratunkiem, za co wcale im nie jestem wdzięczny, bo Ogar uciekł ze swoimi. Jak go wypuścili z ostępu, tak go i pożegnali. Była mi korzyść, jak psu mucha; dwóch jego chorych kazałem powiesić, ale tém ich nie ukrzywdziłem, bo to było tak wynędzniałe, że

gdyby nie szubienica, toby może pożyło parę dni więcej w większych cierpieniach, niż te których doświadczyli na szubienicy. O! dobrze porachowawszy, powinni byli mi podziękować, że ich powiesić kazałem. Jednego tylko porządnego Kazimirowczyka moim ludziom udało się uchwycić, bo konia pod nim zabito. Oto ale był chłop! Tak się zaciął, że ani się skrzywił, kiedy go do szubienicy ciągniono, a na moje zapytania tak zuchwale odpowiadał, jakby ja w jego, a nie on w moich był rękach. Powiadam ci, że w życiu mojem równie odważnego człowieka nie zdarzyło mi się spotkać, chociaż człowiek zęby zjadł na szukaniu ludzi odważnych i na próbowaniu się z niemi. Otóż cóż powiesz? nie tylko że temu zuchwalcowi darowałem życie, ale go wolnym puściłem, a nawet dałem mu na pamiątkę konia z całkowitzym rynsztunkiem i broń, żeby miał z czém na nowo przeciwko mnie wojować.

— I jaśnie pan nieprzyjacielowi, co mu tyle szkody narobił, przebaczył? To już anielska dobroć. Bo u nas się pisze: ząb za ząb, a oko za oko.

— Otóż widzisz, że mi serce mięknieje.

— Jaśnie pan wielką łaskę masz u Pana Boga, że dla jego miłości odpuszczasz takim, co go krzywdzić pragną.

— At co tam dla miłości Boga! Tak do mnie mówisz, jakbym był dziadem kościelnym. Ja nie żyd, ani papieżnik, ani turek, żeby mi się dawał powodować takim rzeczom, jakich nie rozumiem. Miałem ja gruntowniejsze pobudki do wspaniałego z nim postępowania. A czy dobrze, czy źle zrobiłem, to moja rzecz. Nie warto o tém mówić. Zresztą, żeby sam Ogar z całym swoim oddziałem był się mnie dostał, nie długoby się cieszyli żywotem. Zrobiłbym sobie z nich zabawkę, a i moi lekarze mówią, że w moim stanie trzeba się rozrywać ile możności. Byłaby z tego jakaś pociecha dla mnie, ale toby mnie jeszcze nie zrobiło zupełnie spokojnym. Mnie czegoś innego potrzeba.

— A czego jaśnie panie!

— Czego? mówią że masz rozum, żydzie, a tego nie domyślasz się. Co tam plół hetman przed tobą o ptaszkach, i o grubiej zwierzynie. Dolski zamek nie ptaszek, niech mi daruje. Ja lepiej wiem od niego co to jest wojna, i o co w niej trzeba się starać, a co zaniechać. A ja ci co innego powiem: ten motloch Kazimirowczyków, to prawda, że są ptaszki, któremi zaledwo warto torbę myśliwską ładować. Ani tych Ogarów, Świerszczów, Burezymuch, i innych mam za grubą zwierzynę: jak który z nich wpadnie w moje ręce, każę go powiesić dla zaspokojenia sumienia, i na tém koniec. Jako za życia niewiele mnie niepokoją, tak i odbywszy zasłużoną karę, po bardzo krótkiej chwili pociechy, wyjdą mi z pamięci. To wszystko nie warte;

żeby myśl moja niemi się zajmowała. Nawet nie tak to wielką zawziętość mam na Lubomirskiego, Rewerę Potockiego, Czarnieckiego; rad jestem bić się z niemi, zwyciężyć ich i na tém konieo. Nie zapieram się szacunku, jaki dla niektórych z pomiędzy nich czuję. Mam nawet coś podobnego do przyjaźni dla obudwóch panów Sobieskich, kasztelanów Krakowskich. Zwyczajnie u nas, dziś się z niemi bije, a jutro może wypadnie żyć z niemi, pić i kolegować. Dwóch tylko jest na świecie, co mi są w oku solą. Ta ziemia jest za ciasna, żeby nas trzech razem na niéj żyło. A temi są: ten bękart, który zęby ostrzy na moje imię i mój majątek, pomijam inne krzywdy, o które mniej dbam. Mógłbym się go pozbyć, uniosłem się rycerską wspaniałomyślnością. Gdzie czart nie może dać rady, babę narychtuje, a ta mu dopisze. Zresztą był to skutek ofiary wymaganéj od mojego stronnictwa. Wódz niby kieruje swoim stronnictwem, ale często zmuszony jest to czynić, co ono żąda. Ty tego nie rozumiesz, Josiu. Nakoniec djabeł-by się domyślił, co się robi z tego obszarpańca Gaskolda, na moje udręczenie. Otóż nigdy spokojnym nie zostanę, pokąd ten urwisz będzie żyć, i jego poplecznik Lizdejko. Oj to także bicz na mnie. Wiele domysłów snuje mi się w głowie, ale ktokolwiek on jest, poprzyięgam mu wieczną nienawiść. Gdybym mógł się z nim mierzyć w pojedynczym boju! Ja pewny siebie. Ale cóż! On przeciwko mnie nie stanie, bo poddał się pod władzę konfederacyi, a ta mu nie pozwoli przyjąć wyzwania, gdyż on jéj nadto potrzebny. Odłożyć trzeba to do pory, aż będzie pokój w Rzeczypospolitéj, a tu każda godzina jego żywota staje mi za wiek udręczenia. Ale to darmo! Lizdejkę i Gaskolda muszę zgubić, chociażbym sam społu z niemi miał się zgubić.

— Na co jasnie pan ma się gubić, kiedy i bez tego może ich zgubić? Joś Dreczkier na to przybył do jasnie pana, żeby mu poradzić; wszystko się da zrobić, aby tylko jasnie pan szczerze tego chciał.

— Powiedz, kochany Josiu, co wiesz, a bądź pewny, że jeżeli co dobrego, wszystko czém rozrządzić mogę jest na twoje zawołanie.

— Niechże jasnie pan mnie posłucha. A można będzie i pana Gaskolda i pana Lizdejkę tak złapać, że ani się spostrzegą. Jasnie pan wiesz, że konfederaci okopali się na górze w Potuszy, w województwie Lubelskiém. I mają Potuszę za bardzo wielką rzecz, ale i Szwedzi nie gorzej o niéj trzymają, bo kilka razy próbowali tam się dostać, tylko że konfederaci im się nie dali. A tam nie ma ani miasteczka, ani wioski, tylko jedna karczma murowana, a w niéj siedzi arendarz poczciwy żydek Pinkus, mój swat. Choć on nie bogaty, a zwyczajnie porządny gospodarz, i żyje z téj karczmy, gdzie już pomarli i jego

ojciec i dziad, ja ożeniłem syna z jego córką, bo on „Baliches”, jakby to z przeproszeniem po waszemu, wielki familiant. Moja synowa z dziećmi pojechała do swojego ojca w goście na kilka tygodni; ja ją odprowadzałem z jej mężem do Potuszy, i my ją tam zostawiliśmy. A pojechaliśmy w tutejsze strony, gdzie mamy kawałek interesu, ale dla mnie największy interes jaśnie panu się pokłonić, dowiedzieć się czy zdrów po swoim tak strasznym przypadku, który cały kraj, cały świat przeraził, bo cóż z innemi stać się może, kiedy nawet Pan Bóg na tak wielkiego monarchę nieszczęście dopuścił!

— Bardzo ci dziękuję, żeś mnie żalował i nawiedzasz. Z tém wszystkiém nie o tém rzecz; miałaś mnie nauczyć, jakim sposobem mogę dostać Lizdejkę i tego utrapionego Gaskolda, a zapuszczasz się w jakieś androny, które do niczego nie prowadzą.

— I owszem, jaśnie panie, ja idę do tego, co go najwięcej obchodzi. Rzeczy się tak mają: Konfederaci tak pilnują Potuszy, jakby oka w głowie. W niej siedzą i Lizdejko, i Gaskold, i Świerszcz i inni między niemi tacy, w których konfederacya wielkie nadzieje pokłada. Mówią, że pan hetman Gąsiewski dał się z tém słyszeć, że wodzowie szwedzcy bardzo chybili, że zaniedbali wzmocnić Potuszę, a dali się uprzedzić przez konfederatów. I że teraz nic im nie pozostaje, jak wszystkołożyć, żeby to stanowisko zająć. Bo póki ztamtąd nie wypłoszą nieprzyjaciela, nigdy rady nie dadzą konfederatom w Małej Polsce, zwłaszcza odkąd książę Rakoczy pokój z niemi podpisał. Otóż jaśnie panie, niełatwo przebojem wziąć Potuszę, bo śmiałe i doświadczone żołnierstwo jej broni; co prawda, to prawda. A nawet chodzi pogłoska, że już umowy między carem Moskiewskim a królem polskim, zbliżają się do końca. Już mówią głośno, że król Jan Kazimierz zrzeka się swoich praw do Smoleńska i Kijowa, a car mu za to wraca swoją przyjaźń. Jeżeli broń Boże to nastąpi, hetmani koronni z wojskami swemi opuszczają Ukrainę, bo w niej nie będą mieli nic do czynienia, i zbiorą się ze wszystkiemi siłami pod Potuszę, żeby szukać potem wojsk szwedzkich. To co mówię, jaśnie panie, to nie z mojej głowy; powtarzam tylko co słyszałem od ludzi, którzy się na tych rzeczach znają.

— I jakże z tego dla mnie pociecha? kiedy wedle tego co mówisz, wszystko tak dobrze jak przepadło.

— Otóż jeszcze nie przepadło. Trzeba tak zrobić, żeby i Potusza i ci co jej bronią, wpadli w ręce naszych, nim hetmani przyjdą.

— A to jakim sposobem? Wszakże mówisz sam, że ona jest broniona przez ludzi męźnych, i znających swoje rzemiosło.

— Nie tak to trudno, jak się zdaje z pierwszego rzutu oka. Niech tylko jaśnie pan posłucha. Kiedyś to przed laty, był jeden arendarz

w Potuszy, który pokryjomu zajmował się handlem koni. Bywało komu się da wyprowadzić konia, choćby ze stajni wielkiego monarchy, ten zaraz prowadzi zdobycz do Potuszy. A arendarz ze swojej piwnicy wyrył kanał, którym aż do lasu wyprowadzał konie, tak że kiedy do niego ich przyprowadzono, jakby w wodę wpadły. Można było trząść całą karczmę, a nadaremno, bo już koń nie wiedzieć gdzie się znajdował. Bóg szczęścił temu arendarzowi, że przez całe swoje życie nie wpadł w podejrzenie. Otóż mój swat wie o tém, i mnie mówił, że najłatwiej w nocy doprowadzić wojsko w środek okopów Potuszy. I tak można zniemacka napaść na tych, co składają jej załogę, że ani się spostrzegą. Ten kanał, który prowadzi do piwnicy, wychodzi w gęsty las, a tak ukryty, że oprócz mojego swata nikt się o nim nie domyśla. I konfederatom przez myśl nie przechodzi pilnować się od téj strony, tak mają się za ubezpieczonych. Jeżeliby tysiąc żołnierzy przebrało się przez kanał do piwnicy, a z piwnicy przez karczmę, uderzyli na ziemiłanki, noga nieprzyjacielska nie uszłaby.

— Ach, Josiu, co ty powiadasz? Choć z ciebie żyd, tyś mi więcéj jak brat, tyś mój dobrodziej. Tylko cóż? Ani mi jeszcze sięś na koń, ani pokazać, co umie żelazo w moim ręku. Moi lekarze dopiero za dni dziesięć obiecują, że będę takim, jakim byłem wprzódy, nim mnie ten urwis Ogar tak przywitał. A bezemnie niepodobna, żeby taka rzecz się obeszła.

— I owszem, jaśnie panie. Tamci najwięcéj jaśnie pana się boją, bo im wiadomo, że z pomiędzy wszystkich panów, co trzymają z królem Szwedzkim, może pan jeden ani wprost, ani przez przyjaciół, nigdy nie szukał przybliżyć się do łaski króla Jana Kazimierza. Oni o każdym pańskim kroku starają się dowiedziéć, mają oni i na dworze tutejszym takich, co im języka i uszów nie żalują. W Potuszy teraz wielka radość, że choć jaśnie pan odebrał Dolsk, ale przynajmniej z tak uszkodzonym zdrowiem, że jeszcze myśleć nie możesz o nowych pochodach. O tyle mniej pilności z ich strony. A gdyby jaśnie pan sam wyruszył z swoim wojskiem, zarazy o tém ich uwiadomiono, i pewnie w Potuszy żaden z nich w nocyby nie zasnął. A potem, ja prosty żydek z prostym rozumem, jaki mi Pan Bóg dał, sędzę, że lepiej to zdać na Szwedów, bo jaśnie pana żołnierze lubo bardzo wierne, ale nie z takim sercem rznęłiby swoich rodaków, chociaż przeciwnéj partyi, jak Szwedzi, którzy zupełnie z cudzemi będą mieli do czynienia.

— I czemu z tém nie udałeś się do Szwedów, a tylko na próżno nakwasieś mi czasu? Ty, Josiu, masz rozum do handlu, ale nie rozumiesz co to jest wojna. Otóż wiedz, że na wojnie godziny to lata; każda chwila stracona często nie do odzyskania.

— Widzi jaśnie pan, generalowie szwedzcy są tak ostrożni, tak podejrzliwi, że żaden z nich żydowi nie uwierzy. Gdzie tylko jest naczelnik szwedzki, zawsze przy nim jest jakiś pan nasz z ich partyi, któremu wierzy. Na co gadać, jaśnie pan sam o tém wiesz, że jeżeli żyd, albo mieszczanin pojedzie do niego z jakimś projektem, zaraz się radzi tego pana, i czeka aż ten mu powie, że to z dobrém, bo na zły wypadek przynajmniej przed królem ma na kogo winę zwalić? I będzie obwinionym, że lada chłystkowi dał się uwieść.

— Więc i owszem; a jakież z naszychby powiedział, że to co radzisz jest bezzasadne?

— Ba, z przeproszeniem jaśnie pana, tam gdzie wszystko opiera się na sekrecie, bardzo niebezpiecznie radzić się pana polskiego. A choćby go tak zakłąć, żeby się i z niczém nie wymówił, już po twarzy jego można zaraz poznać, że ma coś, co mu ciąży na sercu. Te wszystkie narady, które tu tak lubią, do niczego nie prowadzą, jedno do marnowania czasu i do opóźnienia, a nawet do przepuszczenia pomysłnej chwili. U nas w Talmudzie się pisze, że więcej ludzi wzbogaciło się własném głupstwem, niż cudzą mądrą radą. A potem, czy jaśnie pan nie wiesz, co to się po panach i szlachcie robi, kiedy nastaje zamieszanie i tworzą się partye? Albo to nie bywa, że familia magnacka z sobą zawczasu się umawia? I tak: starszy, głowa familii, mówi naprzykład bratu młodszemu, albo braciom, kiedy ich więcej jest: — Ja będę trzymał z królem szwedzkim, a ty bracie z królem polskim. Jak wasza partya w łeb weźmie, to ja ciebie wyratuję, i otrzymam przebaczenie od króla pamiętnego na moje zasługi, a jeżeli nam się noga powinie, to ty wypatronujesz mi łaskę u króla, za to, żeś go nie odstąpił w złej przygodzie. A tak będą i wilk syty i koza cała. — Każdy mówi o ojczyźnie i swojém dla niej przywiązaniu, bo do języka każda rzecz łączy. A najwięcej jest takich, dla których dom własny jest ojczyzną.

— To prawda, ale każdy, czy to z potrzeby, czy z przekonania przyłączył się do jakiej partyi, wiernie jęj służy. Odkąd nastąpiła wojna domowa, ani z jednéj ani z drugiejs strony nie było zdrajcy.

— Zdrajców nic, ale ciągle przysługi jednych dla drugich. Czy to każdy jak jaśnie pan, co jak raz obrał sobie drogę, po za nią ani okiem rzucił? Jaśnie pan jeden, co nigdy ani pomyślał o zgodzie z Janem Kazimierzem i w żadne konszachty z jego przyjaciółmi się nie wdawał.

— Dodaj, że nawet nie rozmawiałem z żadnym z nich. Bo aby wpaść w moje ręce, od tego zaczynam, że go wieszać każę.

— I dobrze! Dlatego król szwedzki i wszyscy jego hetmani więcej jaśnie panu wierzą, niż wszystkim innym. Człowiek uszów w domu nie zostawuje; słyszy, co ludzie o jaśnie panu mówią. Ale inni,

mój Boże! Gdybym się udał do generała szwedzkiego, tenby zaraz poradził się pana z jego partyi, i jemu by odkrył wszystko. Tenby go nie zdradził, nawet poszedłby z nim, i lba nadstawił jak się należy. Ale pomyślałby sobie:— Jakto zarznąć ryocerza Lizdejke, albo go oddać na szubienicę? A wszakże to najpierwszy ulubieniec króla Jana Kazimierza! Bóg święty wie, kto on jest? A broń Boże karta się przewróci, toby ziemia nie uchowała ani mnie, ani mojej rodziny przed zemstą króla i panów, którzy z nim trzymają. A na co mi się to zdało? — Robiłby swoją powinność, a z tém wszystkiém głowę moję dam na to, że niczego nie zaniedba, żeby Lizdejke ostrzedz i ocalić. Dajmy na to, że Potuszę wezmą, ale pewnie Lizdejko ucieknie, a właśnie jaśnie panu więcej idzie o niego, i jego przyjaciela, niż o Potuszę.

— Masz rozum, żydzie. Ale cóż na to poradzić? Człowiek wruszyć nie może, a żaden jego zastępca równie gładko rzeczy nie poprowadzi. Pocieszyles mnie, Josiu, ale razem rozpacz w sercu wznieciłeś, bo mi pokazujesz największe szczęście, obok przekonania, że do niego dostąpić nie mogę.

— Wszystko pójdzie dobrze, niech tylko jaśnie pan zrobi jak ja powiem. Generał szwedzki Redyng stoi teraz o mil cztery od Potuszy; nie ruszając z miejsca, czeka, aż przybędzie do niego czy hetman Gąsiewski, czy może sam król szwedzki, a tymczasem ma na oku konfederatów, i tylko zbiera wiadomości od naszych żydków, i te królowi posęła, a ma z sobą do dwóch tysięcy Szwedów i Niemców z Infłant. Niech jaśnie pan napisze do niego przezemnie, że ja mam sposób na to, żeby Potusza jemu się dostała, byle nikogo się nie radził, nikomu ani słówka o tém nie mówił, a tylko mnie samemu zupełnie zaufał. Z przeproszeniem jaśnie pana, możesz mu napisać, że za mnie ręczysz, że ja nie żaden oszust, ale uczciwy żyd, i że sam mnie nieraz doświadczyłeś. Bo choć mnie zna i widział, że i król szwedzki na mnie laskaw, i że ja wszystkie potrzeby wojsk jego opatruję, wszelako ja wiem, że generał Redyng tak szanuje jaśnie pana, że jedno słowo jego więcej dla niego znaczy, niż długie mowy wszystkich polskich wielkich monarchów, co z jego królem trzymają. Jaśnie pana nie trzeba uczyć, jak ma napisać, a ja jeszcze téj nocy wyruszę do niego z listem. A do Pinkusa wyprawię mojego syna, także z listem moim, w którym go nauczę co ma robić. Zwyczajnie żydek jedzie do żony i dzieci. W Potuszy wszyssey go znają. A choćby jaki rozbójnik króla Kazimierza po drodze na niego napadł, jak mu powie, że jedzie z listem do Pinkusa, nikt nie pomyśli jego życia ukrzywdzić. A Pinkus tylko czeka na mój list, i jak go dostanie, wszystko przygotowuje, i wyprawi zięcia do mnie, a ja na niego czekać będę u generała, a mój

syn sam poprowadzi go przez lasy, podziemny kanał i piwnice, aż w sam środek Potuszy.

— Tak mówisz, Josiu, jak z książki, a nawet żadna książka tak rozumnie się nie odezwie. Nie lubię pisać, ale w takiej okoliczności gwałt zadam mojej naturze. To szczęście, że nie papieżnik, bo bym chyba po polsku lub po łacinie napisał, a Redyng bez tłumacza nie mógłby się obejść, otóż i po sekrecie. Ale że po kalwińsku wychowany, język niemiecki jest moim jak rodzowitym językiem, a nawet łatwiej mi się nim tłumaczyć, niż moim własnym, tyle mi zostało z mojego wychowania; a dopiero dziś poznałem, na co mi się to przydać może. O to teraz idzie cała rzecz, żeby się nikt nie domyślił, że przez ciebie coś napiszę. Bo po prawdzie, słudzy moi nie są przywykli do tego, żebym pisał; jak się o takiej nowalii dowiedzą, zaraz będą na rozum brali, co to jest? Żadnemu z nich nie wierzę; to wszystko hultaje, choć to niby do mnie przywiązani wedle ich gadania. A ktoby tam na ich gadanie uważał! Guba truba, jak to mówią Rusini. Jabym to szmatałajstwo dawno odpędził, ale cóż! że będą inni nowi, nie będą lepsi, a będąc panem, ani sposobu nie mieć sług. Powiedz, Josiu, jakby to zrobić, żebym pisał, a nikt się tego nie domyślił?

— Niech jaśnie pan powie mi, gdzie jest papier i kałamarz, ja to przyniosę. Nikt tu nie przyjdzie, a jaśnie pan list i zacznie i skończy.

— Ba... domysłna to psiarnia, i tak zanadto długo z sobą bez świadków rozmawiamy. Poczekaj! Dobra myśl mi przychodzi do głowy. Masz ty złoto?

— A na co jaśnie panu złota?

— Głupiś; ja ciebie się pytam, czy masz?

— Jest z tysiąc czerwonych złotych węgierskich. A coby Joś Dreczkier był wart, żeby nie miał cokolwiek złota?

— Otóż zróbmy tak. Wejdźmy z sobą w umowę o jaki produkt: pieniądze jakie masz mi odliczysz, a ja moim fagasom każę napisać kontrakt; będą tym sposobem papier i pióra bez niczyjego podejrzenia. A jak kontrakt będzie gotowy, ja im każę pójść precz, i to ich nie zadziwi, bo oni wiedzą, że nie mam w zwyczaju, ażeby przy świadkach liczone mi pieniądze. Ty będziesz liczył, a ja przez ten czas będę list pisał.

— Najpiękniej. Bardzo łatwo możemy interes zrobić. Jaśnie pan ma towarowy las w swoich dobrach nad Dźwiną. Ja za trzyletni wrąb w tym lesie dobrze jaśnie panu zapłacę. Tak las mu darmo stoi i próchnieje; czy nie lepiej wziąć za niego pieniądze?

— Patrzaj, dokąd zajechał! A za kogo ty mnie masz, żydzie, żebym ci pozwolił przystąpić do moich lasów? za bankruta, który nie

wie, co to będzie jutro jadł? A czy ty nie wiesz, że odkąd władam dobrami. ani topór, ani nawet siekiera nie pokazały się nigdy w moich puszczech? A tobym oszalał, żebym pozwolił wypłaszać moich łosi i niedźwiedzi. Milszy mi jeden niedźwiedź w ostępie, niż dwa miechy złota w kasie. Także mądry żyd, myśli że wszystko kupi za pieniądze. O tém mi ani gadaj, jeżeli dbasz o moją łaskę.

— Nu, a jakże będzie?

— Mam zboże w Rydze, bo co rok moje wiciny tam idą. Spodziewam się, że Ryga jest bezpieczna od napaści Kazimirowskich hultajów. A jest chleba parę tysięcy beczek. Mój sekretarz pokaże ci raport, który mi z Rygi świeżo szyper przysłał. Pisz, co dają za zboże, i czy pozwalał po tej cenie go sprzedać, bo u mnie bez mojego pozwolenia nic się nie robi. Chcesz, kupuj! tobie daję pierwszeństwo. Dasz mi na zadatek co masz złota przy sobie; resztę szyprowi odliczysz, a on ci wyda towar za pokazaniem kontraktu. Na co tobie wozic z sobą pieniądze w stronach, gdzie każdy ci je wydrzeć może? Czy zgoda?

— Zgoda, pan każe, sługa musi.

— Idź po mojego sekretarza. Wiesz z czém ma przyjść do mnie, więc to powiedz. A ruszaj za żywcami; nim przyjdiesz, kontrakt będzie spisany, i będziesz mi mógł odliczyć co masz.

Żyd wyszedł, a po chwili sekretarz przyszedł do kniazia wojewody z papierami potrzebnymi, po jego rozkazy. Już był uwiadomiony od żyda, a nawet posmarowany. Zatem już dobrze wiedział o co chodziło. Kniaź mu powiedział co ma robić. Posłuszny sługa przyniósł papier, kałamarz, lak, pióra, to wszystko położył na stoliku, przy krześle kniazia stojącym, i zabierał się pisać umowę. Ale kniaź rzekł do niego:

— Co mi waść będziesz pisał pod nosem. A nie możesz tego robić za drzwiami? Zostaw mi kawał papieru i co potrzeba do pisania, bo swoje rachunki i adnotacye chcę dla pamięci zapisać. Uciekajże waść i powiedz, żeby nikt się nie ważył przychodzić bez mojego pozwolenia, oprócz Josia Dreczkiera. Ruszajże z Bogiem! A wynieś na stronę tacę z butelkami, bo ten stolik zanadto zawalony.

Skoro sekretarz wyszedł, kniaź wziął się do niemiłej, wszakże naówczas niezbędnej dla niego roboty pisania. Zapisał się więc często, przerywając zmuśną pracę przekleństwami, że do niej jest zmuszony. W tych alternatach i cierpkich, i wesółch, które kolejno nim miotaly, a gdzie nadzieja zadość uczynienia zemście górę brała, więcj godziny strawił na pisaniu listu wcale nie długiego, a którego jednak w zupełności nie skończył, kiedy Joś powrócił do niego z pieniędzmi.

— No, mój Josiu — odezwał się — nie próżnowałem bez ciebie; oto list na dokończeniu. A niech djabli wezmą, jak to mnie męczy.

Niech mi darują, ale kto wymyślił pismo, był wielkim kpm. To prawda, że teraz bez tego ani rusz. Chyba Pana Boga nie byłoby na świecie, gdyby ten bękart ze swoim protektorem nie dostali się w nasze ręce. Na to zasłużyłem, choćby tylko tym listem, com ci musiał napisać. A nic podobnego mi się dotąd nie zdarzyło. Ja pan, muszę ślęczyć nad papierem jak pauper szkolny, albo podpisek grodzki. Żeby nie co innego, to samo jużby najdrażliwsze sumienie uspokoiło, jak ich obydwóch powiesić każe. Mam nadzieję, że to nam się uda. A wszelako poszłoby gładziej, gdybym sam mógł tam się znajdować. Bo oko pańskie konia tuczy. Gdyby przynajmniej paraliż naruszył tego utrapionego Ogara, za ranę co mi dał w ramię. To jeszcze dobrze, że nie w prawe, bobym pisać nie potrafił. Zapłacę mu ja kiedyś za tę ranę. Niech się wola Boża dzieje! Musi wszystko pójść dobrze, bom tego wart. — Josiu, licz złoto, a ja tymczasem skończę list. A patrz, jak czytelnie piszę, choć tego w używaniu nie mam. Tylko że ty tego nie rozumiesz.

Kniaź wziął się do pióra, a Joś do worka. Jak złoto zabrząkło, niewypowiedziany wyraz wewnętrznej pocięchy wypogodził oblicze niemniej chciwego, jak mściwego możnowładcy. Zdawało się, że jakoś mu gładziej szło dokończenie listu przy tak miłym dźwięku. Jeszcze Joś nie dorachował wszystkich pieniędzy, a już kniaź kopersował list, nie zapomniawszy obrzezki z koperty rzucić w komin, żeby śladu pisania nie zostawić. Zapieczętował pismo, zapisał adres na kopercie, dopiero okiem śledzić zaczął dukaty, które Joś w małe kolumny na stole składał. Widać było, że to widowisko wielce go zajmowało. Joś Dreczkier skończył swoje. Kniaź mu wręczył list, który żyd najspieszniej schował za nadry. A poczem zaczął wkładać do worków złoto, pod jednym stępem wybite, a miłym połyskiem wabiące serce, więcej niż nadobna dziewica urokiem swoich ponętów. Kniaź napelnione worki położył przy sobie w krześle, i dał rozkaz żydowi, żeby sekretarza przywołał.

Przyszedł z wszelką gotowością, bo dobrze nauczony od żyda Odczytał kontrakt, czego kniaź dość obojętnie słuchał, i podpisawszy go oddał żydowi. Żyd się skłonił, nasypał jeszcze zwykłych przy podobnych okolicznościach pochlebstw, pożegnał kniazia, i wyszedł chcąc jeszcze przed nocą wyruszyć, jak mówił przed dworem kniazia, do Brześcia.

ROZDZIAŁ XVII.

Pan Tomasz Zamojski wezwał niektórych stopniowych mężów swojego wojska, do wydania tego żyda, który tyle podejrzenia wzbudził w Grzeszniczku. W namiocie naczelnego wodza, do którego przystęp był wszystkim zabroniony, zasiedli byli: pan Zamojski przydujący, a z nim rycerz Lizdejko, Paweł Fredro, porucznik chorągwi pancerniej, Łukasz Olizar porucznik chorągwi usarskiej, Osman Bielak dowódzca chorągwi tatarskiej, ale duszą i ciałem Polak, Świerszcz i Grzeszniczek, obaj nadto zasłużeni, żeby jakikolwiek wódz konfederacyi mógł o nich zapomnieć. Ich siedmiu składało sąd, i bez stracenia czasu, zaraz wzięli się do żyda.

Jak go wprowadzono, zaledwo Świerszcz nań okiem rzucił, zaraz go poznał.

— A! to Godel Josiowicz — krzyknął — zięć arendarza tutejszj karczmy, a bogaty kupiec; znam go jak najlepij, i nie ma żołnierza w naszj załodze, któryby tego samego nie mógł powiedzić. Że to jest poczciwy żyd, ja za to zaręczam. On jest naszym. Jego żona i dzieci tu się znachodzą u Piukusa; on pewnie dla nich tu przyjechał. Dajcie mu pokój państwo, i pozwólcie mu powitać się z żoną i teściem. Nie tylko ja, ale każdy nasz żołnierz za jego poczciwość zaręczy. — Inni członkowie juryzdykeji także się odezwali, żeby puścić tego biedaka, i że ręczą za jego nieszkodliwość.

— Kiedy waszmoście odpowiadacie za jego poczciwość — rzekł na to pan Tomasz Zamojski — a więc i ja z mojej strony przyłączam się do waszego zdania; nie mi nie pozostanie, jak mu powinszować, że umiał pozyskać przychylność tylu zacnych mężów, i puścić go wolno.

— Za pozwoleniem! — odezwał się rycerz Lizdejko i powstawszy poprosił wodza, żeby mu użyczył ucha na osobności.

Pan Tomasz, u którego zdanie rycerza zawsze było ważne, wziął go na stronę, żeby mu dać sposobność odkrycia przed nim swojego zdania. Rycerz tak zaczął:

— Mości Regimentarzu, żyjemy pośród okoliczności tak trudnych, jesteśmy otoczeni tyłoma podstępami, że nigdy nie możemy być dość ostrożni. Ja przyznaję się waszmości, że chociaż wszyscy nasi koleldzy są pewni tego żyda, co do mnie nie jestem względem niego swobodnym od wszelakiego podejrzenia.

— I na czémże waszmość to podejrzenie opierasz?

— Oto na tém, że ten żyd jest synem Dreczkiera, liweranta wojsk

szwedzkich, związany korzyściami osobistemi z partją nam przeciwną, a tm samm nie mogący by dla nas życzliwym.

— Jest co w tm, co waszmoc mwisz. Jednak radbym widzie podejrzenie waszmoci oparte na czms gwałtowniejszm, nieli na tm, że jest synem liweranta nieprzyjacielskiego wojska. Kady człowiek przemylny, jeeli nie jest obywatelem, szuka zyskw z najwikszą obojętnoci dla zasad tych, z których takowe zyski cignie. Bylebymy Dreczkierowi za liwerunek wicej chcieli zapłaci, nieli Szwedzi, z rwn wiernoci nam słuyc bdzie jak tamtm. Zreszt, jeeliby nawet przeciwko nam przewini, nie widz, żeby ta wina spa miała na jego syna.

— To tż nie jest mojm zdaniem, żeby go kara, ale tylko żeby ścile wybada. Bo wiem, że żegna si przed dwoma tygodniami z teciem, żon i dziemi, tak jak gdyby nie mia nadziei tak prdko z nimi si zobaczy. A tymczasem znowu do nich przyby. Bo wedle zeznania Grzeszniczka, kiedy ten go zapyta dokd jedzie, bez wahania odpowiedzia: że do Potuszy, dla nawiedzenia swojej rodziny. Moe to by rzecz maej wagi, wszake w naszm poozeniu żadna rzecz nie jest maowana. Nie wiem czy to trafi do waszmoci przekonania, i w kadym wzgldzie winienem mu by posłusznym. Ale mim przelożyć mo rad, żebymy go dobrze wybadali, nim go pucim swobodnie. Ja jego nie obwiniam, tyle tylko, że go podejrzewam. I radbym si przekona, że moje podejrzenie byo niesprawiedliwe. Nie jest to w mojm przyrodzeniu, by skorym do podzenia kogo o zdradliwe zamiary. Wszake nie ma dwch tygodni, jak Jo Dreczkier znajdowa si midzy nami, z tyme samym swoim synem. Ca dob przepdzi w karczmie swojego swata. Zwierzchnoci si jawi, my go wszyscy widzieli. A lubo i waszmoc, moci Regimentarzu, ktremu jestemy posłuszni, i my dobrze wiedzieli, że wzbogacony od Szwedw, nie moe by dla nas życzliwym, jednak z naszej strony najmniejszej nie dowiadczy przykroci. Nie wzbronile mu waszmoc obcowac z rodzin tu zamieszka, a z nim ścilym wzem zwizana; dopucile mu niemniej swobodnego odjazdu. Ani si odezwaem z przelozeniem, żeby go przytrzyma. Bo nie wchodze w cudze przekonanie, dopki nie mam powodu myl, że to przekonanie zaczyna si urzeczywistnia w czyny, mogce by szkodliwemi dla sprawy, ktrej mam zaszczyt słuyc. Otż wisnie teraz ten tak prdki powrt żyda do swojego tecia, to pomieszanie, ktre si objawia tak widocznie na jego twarzy, a ktre nie powinny by tak wielkie, gdyby czu si zupełnie czystym na sumieniu — zreszt nie umiem panu Regimentarzowi zda dokadnej liczby z powodw moej niewiary w niewinno tego żyda. Niech to bdzie przecucie, przewidzenie. Z tm wszystkim co we mnie gono przemawia, że tu

jakaś zdrada przeciwko nam się knuje, i że ten żyd jest jój narzędziem. Póki najściślej on nie będzie wybadany w mojej przytomności, póty nie będę spokojnym. A jeżeli zgrzeszę przez zbytek ostrożności, jeżeli żyd mnie przekona, że niczem usprawiedliwić nie zdolam krzywdy, jaką mu przynoszę mojem podejrzeniem, nie tylko że z radością przyznam się do winy, ale niczego nie zaniedbam dla wynagrodzenia wedle mojej możności tych przykrości, jakich uniewinniony żyd mógłby doświadczyć z mojego powodu. Nakoniec, moja rzecz przełożyć waszmość panu, „jurata fide”, sumienną radę, a jego, jako naczelnika i krwi naszej szafarza rozkazywać: co pan Regimentarz postanowi, pewnie nikt gorliwiej odemnie nie będzie się starał dopełnić.

— Hm, hm, hm, zabiłeś mi waszmość klina w głowę. Cztery oczy lepiej widzą niż dwa. Nikt nas nie słyszy, wypowiadam się przed waszmością. Człowiek choć stary, a czasem podrwi sprawę. I jeżeli coś się wydarzy, do czego nie bardzo się czuje być sposobnym, rad aby najprędzej uwolnić siebie od ciężaru, i skłania się ku temu, co najwięcej jest odpowiednie jego usposobieniu. I rad, że mu to radzą, czego sam życzy. Miseria humana, mości Lizdejko. Przyznam się waszmości, że nigdy nie było mojem rzemiosłem prowadzić inkwizycye, wybadywać podejrzanych, i wyrokować o nich sądownie. Każą mnie sądzić żyda, a tu co innego u mnie w głowie. Wczoraj otrzymałem rozkaz udania się jak najspieszniej do Lwowa, gdzie nasza generalność zasiada, i gdzie się znajduje nasz król okryty wawrzynami, jakich nabierał zwycięstwem swoim nad Jurkiem Chmielnickim. Wątpliwości nie ulega, że już pokój zawarty z carem Moskiewskim. A więc tém samém Ukraina tak dobrze jak już uspokojona, i oprócz Szwedów, nie mamy komu pokazać czoła. Mnie potrzeba stanąć na wezwanie króla i generalności, a tu trzeba jakiś koniec zrobić z tym utrapionym żydem. Myślę sobie, tu nie ma czasu do marnowania: albo kazać powiesić żyda, albo go puścić, byle jak najprędzej. Wszyscy mówią: puścić; mniejsza o to, hyle jutro wyjechać do Lwowa. A tak, gdyby nie waszmość, człowiek, żeby sobie dogodzić, możeby nieodżałowaną szkodę wyrządził. Dziękuję waszmości, żeś mnie zreflektował. Ale jakieś zaczął tak i kończ. Ja jeszcze dziś wyjeżdżam do Lwowa. A waszmości zdaje aż do powrotu mego wszelką moją władzę, byś jój używał dla dobra króla i narodu.

— Wielce mi jest pochlebną ufność pańska, ale czy jestem sposobny téj ufności zadość uczynić?

— O to pokój, mości panie Lizdejko; wiem, że król jegomość za złe mi jój nie poczyta. A nasza załoga, złożona z tylu różnorodnych żywiołów, bo w niej jest i kawalerya narodowa, i szlachta pospolitego ruszenia, i ochotnicy, nietylko waszmości, ale i Świerszcza i Grzesz-

niczka, jednak nikomu nie będzie z równą radością posłuszną jak waszmości. To wszystkim wiadomo, nie tylko tu zebrany obroncom dobrej sprawy, ale generalności i samemu najjaśniejszemu naszemu pomazańcowi. Zaraz ogłoszę przed całym wojskiem, że na waszmości spuszczam pełną władzę podczas mojej niebytności. Waszmość sobie badaj żyda, jak ci się podoba.

A wróciwszy do koła, pan Tomasz Zamojski głośno się odezwał :

— Panowie moi! rycerz Lizdejko, za którego radą idąc, nigdy nie miałem powodu tego żalować, przekonał mnie, że z tym żydem nie wypada kończyć obcesowie, i że przy cierpliwości można czasem dowiedzieć się o czém takim, czego się nie spodziewamy. Król jego-mość wzywa mnie osobiście do Lwowa; ja przed odjazdem chciałem na prędce ułatwić się z żydem byle jak, ale jak waszmościom powinno być wiadomo, robota nagła warta diabła. Polecam tę sprawę waszój roztropności, a do powrotu mojego wszelką władzę moją nad wami w pełni zlewam na rycerza Lizdejkę. Zdaje mi się, że takowy wybór nie może nie być dla was miłym. A więc, panowie moi! rozkazuję wam w imieniu Najjaśniejszego króla, pana naszego miłościwego i generalnej konfederacyi z nim połączonej, abyście we wszystkim byli jemu posłuszni. — Szmer pochlebny dla rycerza Lizdejki wzniosł się z rycerskiego koła.

Poczém, obracając się do rycerza Lizdejki, rzekł:

— Mości panie! powierzam waszmości z zupełną ufnością i Potuszę i dzielne rycerstwo, które jój broni. Od téj chwili jesteś tu naszym wodzem. A kto się tu znajduje jest waszmości podwładnym. Rozporządzaj wszystkiém i wszystkiemi wedle woli swojej. Co do mnie, tyle tylko jeszcze zabawię w Potuszy, ile mi potrzeba czasu do ogłoszenia rozkazu dziennego, który całkowitą załogę oświeci o tém mojem postanowieniu. Żegnaj was, panowie bracia, a bądźcie pewni, że nie omieszkam donieść królowi, ile wam winienem wdzięczności za trudy przez was podjęte, odkąd mam zaszczyt być waszym wodzem. Powiem mu, ileście się jemu i krajowi zasłużyli, nie tylko waszém męstwem, ale karnością i posłuszeństwem. Dotąd pokazałem się oszczędnym w pochwałach, na jakie nie przestaliście nigdy zasługiwać, ale przy tém pożegnaniu ciążyłoby mi na sumieniu, gdybym nie wynurzył przed wami i szacunku i wdzięczności, jakie wam winienem.

To rzekłszy, wyszedł z widoczném wzruszeniem, podzieloném przez całe koło. Namiot, w którym sessya się odbywała, dotykał się ogromnej szopy, jeszcze przez Polanowskiego wyniesionej, a w niej była ryta w ziemi głęboko obszerna sala, przeznaczona na więzienie, tak że z namiotu można było się dostać do niego niewidzianym od tych, co się znajdowali w namiocie. Rycerz Lizdejko, po wyjściu na-

czelnego wodza odezwał się głosem donośnym : — salwuję sessyą do dnia jutrzejszego, na godzinę ósmą z rana. Zaprowadzić mi zaraz żyda do więzienia, z największą pamięcią o jego potrzebach. A teraz wszyscy udamy się, żeby JW. Regimentarza wyprawić.

Rozkaz dzienny ogłoszony został całej załodze, która będąc wielce przywiązaną do rycerza Lizdejki, rada była zostawać pod jego rozkazami. On ze starszyzną odprowadził Regimentarza za wały, na trakt idący przez Zamość, Tomaszów, Zólkiew do Lwowa. Regimentarz w kilkanaście koni kawaleryi narodowej, żeby mieć się czém bronić na wypadek, jakkolwiek niespodziewany, spotkania jakiegoś partyzanta nieprzyjacielskiego, zniknął im z oczów, a rycerstwo wróciło do Potuszy. Resztę dnia rycerz Lizdejko zajął się wyłącznie służbą wojskową. Zebrał załogę, przemówił do niej krótko, oświadczył jej, że w skutek zawartego pokoju z carem, Ukraina zachodnia już jest posłuszną królowi Janowi Kazimierzowi, że hetmani z bitnym rycerstwem ciągną ku nim, że wkrótce będzie można coś więcej stanowczego przedsięwziąć przeciwko Szwedom, już teraz jedynym prawie nieprzyjaciółom Polski. Wprawdzie, ich siły są tak wielkie, iż niemało z niemi pozostanie pracy, ale ma wszelką nadzieję w Bogu, w królu i w mężwie i wytrwałości wojska, że wypędzą Szwedów z ziemi polskiej. Przytém zapowiedział wszystkim podwładnym, jakkolwiek były ich stopnie, że jako ślepo jest posłusznym rozkazom hetmanów, marszałków i regimentarzów królewskiej i narodowej konfederacyi, tak téż niemniej nieograniczonego posłuszeństwa od nich się domaga, oświadczając, że każdego, który broń Boże! przewini w tym względzie przeciw niemu, na gardle ukarze. To jego przemówienie się tak dobre sprawiło wrażenie, że okrzyk zadowolenia wznosił się ze wszystkich szeregów.

Nazajutrz o godzinie ósmej z rana już koło sądownicze zebrane było w namiocie, do którego był się przeniósł nowy dowódca załogi. On jako prezydujący siedział na pierwszym miejscu, po jego prawicy i lewicy zasiedli koledzy; wprowadzono żyda, tak pomieszanego, tak wybladłego, że wszyscy to zauważyli, co jednak można było przypisać temu, iż całkowitą dobę przepędził w ciemnicy.

Czas jakiś trwało milczenie, które rycerz Lizdejko przerwał, rozpoczynając wywód słowny.

— Żydzie, jeżeliś niewinny, będziesz sowicie wynagrodzony za niesłuszne podejrzenie, jakieś na siebie ściągnął. Biada tobie, jeżeli to podejrzenie będzie usprawiedliwione. Jednak chociażbyś był najwinniejszym, jeżeli się przyznasz na wstępie do wszystkiego, włos ci z głowy nie spadnie. Czy rozumiesz?

— Ja jestem niewinny, wszyscy panowie mnie znają. Ja poczciwy gospodarz z Brześcia, mam tam swoje domostwo i kramnice. Mnie

czel... zaczął szlochać, a nawet gwałtu
dnia... adawaniem dla pozyskania litości,
żyda... w przyrodzeniu mężów rzemiosła
wszy... nich wstret o tyle silny, o ile odwa-

R... staje, pobudza w nich współczucie.
przywi... przyjał żydowi, nie mógł wytrzymać,
zami.

idący p... y! Musisz mieć sumienie djabelnie
w kilka... śmierci się lękasz. Gdyby to ode-
na wyp... mo kazałbym cię powiesić.

zanta... Swierszcza jedném spojrzaniem, i łago-
Potuszy

skową... ajprędzej, i odpowiadaj z wszelką przy-
w skute... a bądź pewny, że nikt tu nie jest
słuszną... ściebie nie myśli. Zkądżeś ty jechał?
stwem

czego p...
nieprzy... mi jasnie wielmożnemu panu, tak jak gdy-
mało z... dał na jego pytanie. Ja byłem w Gdańsku,

w królu... abłem z moim ojcem Josiem Dreczkierem,
z ziem... mi była w Potuszy. Mój ojciec mi mówi: —

kieko... ylniowi, po drodze wstąpię do mojego swata,
hetma... zęat, jedź i ty ze mną.—Ja i bez tego miałem
federac... zezem. Przyjeżdżamy do Potuszy, wszyscy pań-

się dom... a mnie i na Josia Dreczkiera. Ja chciałem żonę
w tym... do Brześcia. Ale Joś Dreczkier do czego inne-
mówie... Mówi mi: — Godelu, jedź ze mną na Wołyń, ja

wnie... konie na rajmanta, a dam tobie część mojego za-
był... em z nim. Po drodze wstępowałaśmy po domach

On... llamy u nich konie. Wtedy dostała mi się ta czwór-
i... jasnie wielmożny pan mi zabrał, niech mu służy na
w... moja szkoda pójdzie na szczęście.

W... chże domów wstępowaliście?
nych panach, u których Joś Dreczkier ma zachowanie.

... ni, w Piasecznej, w Łokaczach, w Szamburze, gdzie
... awie nas przyjmowano.

... czasem nie ominęliście po drodze Dolska?
... lamy i w Dolsku.
... długoście się w nim zatrzymali?
... lka godzina przyjechaliśmy do Dolska po południu, a w nocy
... kier miał jechać na Ukrainę, a ja puściłem
... rzez Brześć dostać się do mojej żony.

nie pierwszy raz być w Potuszy, mam tu moją żonę i moje dzieci, u teścia, który jest arendarzem tutejszój karczmy, i po nich przyjechałem, żeby ich z sobą zabrać. Ten pan co tu siedzi zabrał mnie na wielkim gościńcu, a za co nie wiem.

— Zkąd jechałeś, kiedy cię pan Grzeszniczek nadybał?

— Z domu, z Brześcia.

— Mości panie Grzeszniczku! potwierdź to jego tłumaczenie się; czy on z Brześcia jechał, kiedyś go waszmość zatrzymał? To coś się nie klei, bo waszmość zeznałeś, że właśnie z Brześcia, a nie do Brześcia szedłeś, kiedyś go dostał. Chybaś go napędził; ale jakim sposobem mogłeś go spotkać?

— Ja go nie napędził, ale spotkał po pod karczmą nazwaną Zastępną, pod którą schodzą się dwa gościńce, jeden Lubelski, a drugi Łucki. Uderzyło mnie, że jego brykę ciągnęły cztery konie siwe, a wcale nie żydowskie, ale takie, któremiby i osiadły szlachcic nie powstydzil się jeździć. Gdyby nie dobre konie, a wcale niewłaściwe żydowi w podartym lapserdaku, byłbym go ani na chwilę nie zatrzymywał. Ale konie, które zdadzą się pod moich żołnierzy, a w tak niegodnych rękach będące, zaraz wzbudziły we mnie podejrzenie, że muszą być kradzione. Gdyby to cokolwiek dawniej, byłbym przynajmniej kazał go powiesić, jedno że nam generalność teraz zabroniła naszą własną jurysdykcję zakładać, a tych co mamy za hultajów każe dostawiać starszym, żeby o nich stanowili. Skończyło się, że konie zabrałem i lada dzień wystąpią w bojowym szyku pod moimi wiarusami. A jego samego tu dostawiłem. Ale wracając do jego sprawy, nie wiem zkąd był wyruszył, ale to pewna, że nie z Brześcia.

— Więc — rzekł rycerz Lizdejko, groźnie patrząc na żyda — na wstępie zacząłeś od kłamliwego zeznania. Po cóż mówileś, żeś jechał z Brześcia, kiedy w tém nie ma kawałka prawdy.

— Ja jasnie wielmożemu panu tak jak przed Bogiem wszystko opowiem. Ja prawdę powiedział, tylko z wielkiego strachu nie umiem się w porządku tłumaczyć. Chcę mówić jedno, a tu drugie wychodzi z ust moich. Ja do żony i dzieci jechałem. Wierz mi pan, niech oni wszystkie przepadną i ja z niemi, jeżeli kłamię. Ale to prawda, że nie z Brześcia, owszem jechałem do Brześcia, nie żeby w nim siedzieć, ale żeby choć trochę okiem rzucić na moje gospodarstwo, zostawić konie, co je kupiłem pod Luckiem, a które odemnie odkupił ten jasnie wielmożny pan, co mnie z sobą zabrał, ale za jakie pieniądze, aj! aj! żeby moje wrogi podobnym bogactwem się cieszyli. potem chciałem najątą bryką jechać do Potuszy: o to w Brześciu trudno. Albo to mi nie tęskno być bez żony i dzieci? Pan Bóg za to nie tylko, że mi odebrał przez ludzkie ręce moje konie, ale i samum poplątał, że nie umiem znaleźć wiary u tych, w któ-

rych rękę jest moje życie; — tu żyd zaczął szlochać, a nawet gwałtu wrzeszczyć. Jeżeli to było tylko udawaniem dla pozyskania litości, źle się porachował żyd, bo jest w przyrodzeniu mężów rzemiosła rycerskiego, że bojaźń sprawia w nich wstręt o tyle silny, o ile odwaga tego, którego los w ich rękę zostaje, pobudza w nich współczucie. Nawet Świerszcz, który dotąd sprzyjał żydowi, nie mógł wytrzymać, i odezwał się z niecierpliwością:

— Cicho, tchórze przeklęty! Musisz mieć sumienie djabelnie zbrudzone, kiedy do tego stopnia śmierci się lękasz. Gdyby to ode mnie jednego zależało, za to samo kazałbym cię powiesić.

Rycerz Lizdejko zgromił Świerszcza jedném spojrzeniem, i łagodnie rzekł do żyda:

— Wyszlochaj się jak najprędzej, i odpowiadaj z wszelką przytomnością na nasze zapytania, a bądź pewny, że nikt tu nie jest chciwy twojej zguby i podejść ciebie nie myśli. Zkądżeś ty jechał?

— Z Łucka?

— Coś robił w Łucku?

— Ja wszystko powiem jaśnie wielmożnemu panu, tak jak gdybym Panu Bogu odpowiadał na jego pytanie. Ja byłem w Gdańsku, dla handlu, i tam się zjechałem z moim ojcem Josiem Dreczkierem, a już moja żona z dziećmi była w Potuszy. Mój ojciec mi mówi: — Godelu, ja jadę ku Wołyniowi, po drodze wstąpię do mojego swata, żeby pobłogosławić wnucząt, jedź i ty ze mną. — Ja i bez tego miałem jechać. Ruszyliśmy razem. Przyjeżdżamy do Potuszy; wszyscy państwo byli łaskawi i na mnie i na Josia Dreczkiera. Ja chciałem żonę i dzieci zabrać z sobą do Brześcia. Ale Joś Dreczkier do czego innego mnie namówił. Mówi mi: — Godelu, jedź ze mną na Wołyń, ja potrzebuję kupować konie na rajmanta, a dam tobie część mojego zarobku. — Każdy chce coś zarobić, żeby z gołemi rękoma nie wracać do domu; pojechałem z nim. Po drodze wstępowaliśmy po domach panów, i kupowaliśmy u nich konie. Wtedy dostała mi się ta czwórka, co ją ten jaśnie wielmożny pan mi zabrał, niech mu służy na zdrowie, niech mu moja szkoda pójdzie na szczęście.

— Do jakichże domów wstępowaliście?

— Po różnych panach, u których Joś Dreczkier ma zachowanie. Byliśmy w Leśni, w Piasecznej, w Łokaczach, w Szamburze, gdzie wszędzie łaskawie nas przyjmowano.

— A czy czasem nie ominęliście po drodze Dolska?

— Byliśmy i w Dolsku.

— A długoście się w nim zatrzymali?

— Kilka godzin, przyjechaliśmy do Dolska po południu, a w nocy się rozjechali. Joś Dreczkier miał jechać na Ukrainę, a ja puściłem się napowrót, chciałem przez Brześć dostać się do mojej żony.

— Cóż tobie powiedział w Dolsku książę Dorohostajski?

— Ja go nie widział.

— Kłamiesz żydzie.

— Jak Boga kocham, nie widziałem. Jeżeli kłamię, niech ze wszystkiem przepadnę z żoną i dziećmi. — Tu był nowy wybuch szlochów, jęków i płaczu.

Rycerz Lizdejko wytrzymał chwil kilka, żeby żydowi dać czas, by wrócił do przytomności, która zdawała się go odstępować. Potém odezwał się łagodnie:

— Uspokój się żydzie, a mów tylko prawdę. Zaręczam ci, że na tém źle nie wyjdiesz. Jeżeli zaś zechcesz nas uwodzić, to ci się nie uda, a sobie tylko przypiszesz wszelkie złe następstwa, jakie ztąd na ciebie spadną.

— Ja prawdę mówię — odrzekł Godel nieco spokojniejszy. — Jak my przyjechali do Dolska, Joś Dreczkier przebrał się i poszedł do zamku, gdzie, jak nam mówił gospodarz zajezdnego domu, książę wojewoda leżał chory, bo bardzo był raniony. Joś poszedł, a ja się zostałem w gospodzie przy koniach.

— Czy długo bawił twój ojciec u kniazia, i coś się dowiedział o jego nawiedzinach?

— On dwa razy chodził do zamku; pierwszy raz niedługo siedział i powrócił do gospody, gdzie zabrał z sobą worek węgierskich dukatów, ja sam ten worek dobyłem ze skrzyni na bryce. On wziął z sobą ten worek, i z nim powrotnie poszedł do zamku, gdzie dłużej posiedział. A jak powrócił, ale już bez worka, powiedział mi: — Godelu, zrobiłem dobry interes z jaśnie wielmożnym księciem wojewodą, i będzie z tego coś i dla ciebie. Ja teraz ruszam w moją stronę, a ty wracaj do żony i pokłoń się jej odemnie. Jest tu z nami kilkanaście koni luźnych, wybierz sobie z nich cztery, kup sobie siaką taką brykę i uprząż; z naszych żydków co prowadzą konie weź so bie jednego na furmana. Mnie trzeba zaraz jechać. Tobie wypada przemocować, bo musisz się nałazić, nim dostaniesz wszystko co potrzebujesz, a do tego pomoże ci gospodarz, na którego rękę zostawuję i konie i ludzi. I wyjechał nie wiem gdzie. A ja przez noc, za pomocą gospodarza dostałem wszystkiego, co mi było potrzebne. I nazajutrz z rana puściłem się w drogę, na której tak wielkie nieszczęście mnie spotkało. Bo oprócz moich pięknych czterech koni, miałem z sobą bez czegoś dwa tysiące złotych. Ale to wszystko mi zagrabił ten jaśnie wielmożny monarcha co tu siedzi.

— A gałganie — odezwał się Grzeszniczek — rób komu dobrze, to nabędziesz wroga. Że się uniosłem litością, że nie kazałem ciebie powiesić, jak na to zasłużyłeś, to mnie jeszcze oskarżasz.

— Broń Boże, ja to mówię, bo mi jaśnie wielmożny pan, który

z przeproszeniem jaśnie panów, między wami zdaje się być najstarszym, kazał wszystko powiedzieć. Tu już jego a nie mój rozum. Ale ja żadnej pretensyi nie mam do jaśnie wielmożnego pana za konie i pieniądze co widzicie to już wasze. Ja nie tylko za tę moją szkodę, ale nawet żeby mię jaśnie pan kazał był i powiesić, pewnie na niegobym się nie skarżył. Bo wiem, że pan bardzo sprawiedliwy.

Na te słowa rycerz Lizdejko nie mógł wstrzymać uśmiechu, i na twarzach wszystkich członków koła sądowego błyszcząca wesołość, pobudzona naiwną bojaźnią żyda.

Trzeba wiedzieć, że w ciągu téj sessyi, której obradom kierunek dawał rycerz Lizdejko, pióro było przy jego sekretarzu i nieodstępnym towarzyszu. Był to mąż sędziwych lat, ale czerstwy; zdawał się być uczonym, bo zauważono, że rycerz z nim rozmawiał rozmaitemi a wszystkim nieznanymi językami. Polski język posiadał doskonale, ale jednak, kiedy w nim się tłómaczył, poznać można było, że był cudzoziemcem. Za rycerzem Lizdejką szła zawsze bryka naładowana książkami, która była pod jego dozorem; w chwilach wolnych, kiedy inni oddawali się spoczynkowi, rycerz Lizdejko ze swoim sekretarzem zajmowali się czytaniem tych ksiąg, i wprawianiem się w naukach, o jakich jego podwładni zaledwo mieli jakieś wyobrażenie. Kim był rzeczywiście ten sekretarz, była to zagadka równie niedocieczona, jak prawdziwe nazwisko jego pryncypała. Znano go pod nazwiskiem Domarata. Wszysey go lubili, zwłaszcza że będąc biegłym w sztuce lekarskiej, nie jednemu wojakowi staraniem swoim zdrowie powrócił. Zauważano, że rycerz Lizdejko nie tylko ufność, ale nawet jakiś rodzaj uszanowania jemu okazywał, i już to samo było dostateczne, żeby mu zapewnić niemalą powagę między obrońcami sprawy króla Jana Kazimierza, ile że wszystkim było wiadomo, że zawsze z nim i Gaskoldem się radził, nim zabierał się coś przedsiębrać. W ciągu tych inkwizycyj czasem, ale zawsze w jakimś języku niezrozumianym od innych członków téj jurydyki, odzywał się do rycerza Lizdejki, jakoby czyniąc mu uwagi, które zawsze dobrze przyjętymi były. Domarat siedział więc przy małym stoliku, na którym pytania i odpowiedzi pilnie zapisywał.

Po krótkiej przerwie rycerz Lizdejko, postępując w ciągnięciu z żyda inkwizycyi, zapytał go, czy ma jaki list z sobą od ojca do kogoś pisany?

— Żadnego nie dał mi listu, jaśnie wielmożny panie, a tylko ustnie powierzył, co mam teściowi od niego powiedzieć.

— To być nie może, żebyś nie miał czegoś na piśmie?

— Jaśnie wielmożny pan Godelowi nie wierzy? niechże mnie każe rozebrać od głowy do pięty, a obaczy, czy jest co przy mnie. Można się zapytać tego jaśnie wielmożnego co tu siedzi, a który mnie tu przyprowadził. Niech powie, jak jego ludzie mnie trzęśli w jego przytomności, ja żadnego szeląga nie mogłem wyratować, a bardzo-bym dbał o schowanie listu po żydowsku pisanego; a oni by go nie znaleźli.

— Już to prawda — odezwał się Grzeszniczek — że nie było kąta w jego ścierwie, gdzieby moi wiarusy nie zajrzeli. Na nich śmiało spuścić się można. Żeby przy nim nietylko list, ale nitka była schowana, pewnieby ją wynaleźli.

— Wszelako na to się nie spuszcza, i powtórnie każe go rozbiierać — odrzekł rycerz Lizdejko. — A obracając się do żyda: — Słuchaj, Godelu; wprawdzie niemało złego można nam zarzucić, ale największy nasz nieprzyjaciel nigdy żadnego z nas nie obwiniał o niedotrzymanie szlacheckiego słowa. Masz jaki list przy sobie? wyznaj to otwarcie, a ja ci przysięgam na moją rycerską cześć, że będziesz puszczony na wolność; ale jeżeli kłamiesz, a kłamstwo udowodnione będzie, jako ojciec dzieciom, zważ, jakie nieszczęście na całą rodzinę twoją przywołasz.

— Wierz mi, jaśnie wielmożny pan, że żadnego listu nie mam.

— Ja na twoje gadanie spuszczać się nie będę. Rozbierzcie żyda.

Czterech ochotników oddziału rycerza Lizdejki wzięło się do rozbierania obwinionego. Zdjęto z niego łapserdak, kaftanik, gacie. Szukano nawet pod jarmułką, niczego nie znaleziono. Już rycerz Lizdejko zabierał się go puścić, kiedy jeden rotmistrz zasiadający w radzie zrobił uwagę, żeby mu zdjąć pończochy i trzewiki. Żyd zbladł jak trup. I nie bez słuszności, bo z pończochy wytrząśnięto list zapieczętowany, i zapisany po żydowsku.

Rycerza Lizdejko pierwsze poruszenie było, chwycić za list, żeby go odkopertować; ale wtém zatrzymał się, pieczęci nie tknął, a list schował w zanadrze. Wszyscy jednogłośnie krzyczyć zaczęli: — Powiesić tego żyda! na co tu więcej dowodów jego szelmostwa? — Na te krzyki żyd raptem odzyskał przytomność, i z rezygnacją zwykłą żydom, kiedy już nie mają nadziei wybrnąć z nieszczęścia, których dotyka, rzekł dość spokojnie:

— Kiedy Panu Bogu się podobało, żebym z rąk waszych ginął niech imię jego będzie błogosławione.

— Dobrze, dobrze — odezwał się Grzeszniczek — te morały szubienicy cię niezasłonią. A ja za nim przemawiałem, jak za częścią — Nie ma czasu do stracenia. Powiesić go jak najrych-

o to się domagam z miejsca mojego.—Zgoda—powtórzyli wszyscy.— Na co go męczyć przewłoką?

Na to rycerz Lizdejko zdawał się być obojętnym; dał znak Domaratowi, żeby się do niego przybliżył, i przez kilka chwil z nim rozmawiał, zawsze w języku dla nich niezrozumiałym. Potem dał rozkaz tym ochotnikom, którzy dopiero rozegrali nieszczęsnego, żeby go odprowadzili do jego ciemnicy. Wszakże nim odszedł, powiedział głośno:

— Co do mnie, pomimo wszelkich pozorów, jeszcze go nie potępiam. Jeżeli poweźmę przekonanie, że jest zbrodniarzem, oczywiście na gardle go ukarzę; jeżeli nie, swobodnie go wypuszczę. Nie trać więc nadziei, żydziej, i nie oddawaj się rozpacz. A bądź pewny, że żadną niesprawiedliwością nie obciążę mojego sumienia. — A skoro żyda odprowadzili, rzekł do kolegów: — Sądy solwują do dnia poju-trzejszego.

— Ach! panie rycerzu — na to wszyscy — na co te dylacje, kiedy już mamy wszelkie przekonanie o jego zbrodni?

— Mamy słuszne podejrzenie, ale wcale nie przekonanie. Ten list przy nim znaleziony jest jedynym dokumentem, który go może potępić, lub usprawiedliwić. A żaden z was przeczytać go nie zdoła. Zostawcie mnie dośledzenie tego, co się w nim znajduje.

— Jakie może być jego uniewinnienie?—rzekł na to Świerszcz— to samo że się nie chciał przyznać, że ma list przy sobie, jest oczywistym dowodem, że to co w nim zapisane potępia go. Nie potrzebujemy go czytać, moi rycerzu. Pan się uwodzisz wspaniałomyślnością, a na tém z przeproszeniem pańskim sprężystość sprawiedliwości cierpi. — I inni za przykładem Świerszcza w ten sposób się odzywali. Ale rycerz Lizdejko, zmierzwszy ich wszystkich wzrokiem poważnym i dumnym, rzekł:

— Taka jest wola moja; kto się waży jój sprzeciwić?

Wszyscy umilkli i wkrótce potem za przykładem wodza rozszli się.

ROZDZIAŁ XVIII.

Pinkus był w wielkiej radości, bo rycerz Lizdejko, dla przyczyn które później będą wiadome czytelnikowi, cofnął rozkaz wzbraniający żołnierzom przystępu do jego karczmy. Poczet zwłaszcza Grzeszniczka, ostatni przybyły do Potuszy, a który jeszcze nie miał czasu roztrwonić tego, co mu wojna przyniosła, odznaczał się pewnym rodzajem

buty, jaką zwykle u nas okazują ci, co są ożywieni tą wielką myślą: mam pieniądze. Ci żołnierze, zaledwo karczma przestała być dla nich zakletą, tłumnie rzucili się do niej, pili sami, i wyszastanych z pieniędzy kolegów częstowali. Pinkus wypróżniał butle i beczki, a zapełnił worek długim postem wychudzony, i korzystał z łaskawszej okoliczności, bo dobrze wiedział, że władza rycerza Lizdejki była tylko chwilową, i że jak pan Regimentarz przybędzie, wedle wszelkiego podobieństwa wszystko do wprowadzonego przez siebie porządku powróci. Cieszył się więc z przyjaznej pory, a nie wiedział, że o kilkanaście kroków jego zięć zostawał między życiem a śmiercią, i że o włos chodziło, czy szala jego przeznaczenia przechyli się na prawo lub lewo. Gdyby się był dowiedział o jego smutnym położeniu, zarazby stał się obojętnym na wszelkie swoje zyski, i nie wahałby się całe swoje mienie zaryzykować, jeżeliby tém zdołał otrzeć łzy rozpaczy córki i wnucząt (*).

Gdyby to się działo w czasach więcéj do naszych zbliżonych, niktby nie przypuszczał, żeby przybycie Godela i badania go, jako podejrzanego o szpiegostwo, tylu ludziom wiadome, mogły się utaić przed jego teściem, mającym stosunki ze wszystkimi aktorami téj sceny. Ale w narodzie jak wówczas pobożnym, to bynajmniej zadziwiać nie może. Przed otwarciem każdéj juryzdykyi, członkowie mający ją

(*) Żydzi, jak każdemu wiadomo, są chciwi, a więc zbyteczny mają szacunek dla pieniędzy, w czém uprzedzili naszą cywilizacyą, która na to ich stanowisko zwraca. Chciwość Europejczyka z tylu nie pozostała. Zostawmy tę złą stronę, która w każdym narodzie, jako z ludzi, a nie z aniołów złożonym, musi koniecznie się objawiać, a nad którą zastanawiać się nadto nie godzi. Wyszukajmy raczéj ich dobrą stronę. Jest jedna cnota rozpowszechniona między żydami, która im największy zaszczyt przynosi, a to jest przywiązanie do dzieci, i radość jaką czują z pomnożenia rodziny. Liczne rodzeństwo jest skutkiem wielkiego Boskiego błogosławieństwa. Ciężkim jest grzechem smuć się z płodności swojej małżonki, bo w tém okazuje się nieufność w Opatrzności, a cóż dopiero, jeżeli ta nieufność krzywdząca Boga, doprowadzi aż do zadania gwałtu prawom przyrodzenia? Nie świętszego, jak wskazanie siebie na bezpłodność dla większéj chwały Boskiej, ale nie każdy jest powołany do podobnéj ofiary. W stanie małżeńskim trzeba pragnąć chociażby najlicniejszego potomstwa, i cieszyć się z jego pomnożenia. Jest-to fakt łatwy do sprawdzenia, że u nas rodziny pańskie i szlacheckie, które się najwięcéj rozrodziły, są właśnie te, które posiadają najwięcéj dostatków i zaszczytów. A jednak kiedy ubogi żydek, już mający dziesięcioro dzieci, przyjmuje z radością jedenaste, jako nowe przymierze między Bogiem a nim, i pełen ufności w jego Opatrzność, ani się troszczy o to, czém go wykarmi i wychowa, moźny częstokroć obywatel, wyznawca prawa Chrystusowego, kiedy trzecie lub czwarte dziecię mu się urodzi, smuci się, narzeka na płodność swojej towarzyszki, przewiduje z powodu podziału jego fortuny już upadek swojego domu, jakby odrzucając z pogardą błogosławieństwo jedynego dawcy szczęścia i bogactw. Wtém się objawia nie tylko ponizienie moralne, ale najsmutniejsze zaslepienie.

składać zaczęli od przysięgi, w której były i te słowa: „secretum stubae non revelabo“, i to było aż nadto dostateczne, dla zachowania najskrupulatniejszego milczenia. A co się tyczy żołnierstwa, każdy przysięgał być posłusznym wodzowi, do którego znaku się zaciągał. Skoro więc wódz na mocy téj przysięgi rzekł do swoich podwładnych: — Przykazuję wam, ażebyście z tém lub owém przed nikim się nie wymówili! — już był pewny ich posłuszeństwa. I z tego powodu szczególnie wielkie, a nawet niepodobne rzeczy dawały się uskutecznić.

Po solwowaniu sessyi, dowódcy zajęli się spełnieniem rozmaitych rozporządzeń rycerza Lizdejki, tyczących się li tylko służby wojskowej. Bo z daleka przewidując niebezpieczeństwo, ów rycerz wszystko chciał mieć przygotowane, jakby co chwila spodziewał się napadu nieprzyjaciela. Nie spuszczał się na dowódców oddziałów, jakkolwiek doświadczonych i gorliwych, sam objeżdżał posterunki za wałami ustawione, po kilkakrotnie obchodził wały i warty, i dopiero własnymi oczyma przekonawszy się, że wszelkie jego rozkazy są należycie spełnione, poszedł z Gaskoldem i Domaratem do namiotu, który był zajął jako naczelny dowódzca, a przy którym stał sztyldwach, mający rozkaz nikogo oprócz oficera od warty do niego nie wpuszczać. Wszyscy myśleli, że się udał po tyłu pracach do spoczynku. A właśnie on wtedy zabierał się najgorliwiej do najprzykrzejszej dla jego serca pracy.

Zasiadł przy tym samym stole, gdzie przed kilkoma godzinami przewodniczył sądowi wojennemu, i swoich dwóch towarzyszków zaprosił do zajęcia miejsca. Oprócz nich, było jeszcze w namiocie dwóch Turków, niegdyś niewolników hana Tatarskiego, a którzy jako plon zwycięstwa wpadli w ręce rycerza Lizdejki. Rycerz był wielce rad z téj zdobyczy, bo posiadał język turecki, i miał już z kim codziennie tym językiem mówić. Obaj Turcy byli młodzi, przystojni, silni, a gdy rycerz Lizdejko wziął ich na usługi swojej osoby, a wkrótce na służbę jedynych, oni przywiązali się do niego z całym zapalem wschodnich narodów. On był dla nich więcej niż ojcem, był dla nich rodziną, ojczyzną, tak dalece, że wolność i powrót do własnego kraju, okupiony rozstaniem się z dobrym panem, już dla nich utraciły wszelki powab. Rycerz Lizdejko z swoimi dwoma towarzyszami siedział, a Osman i Eyub stali, gotowi choćby z narażeniem życia wszelki jego rozkaz spełnić.

Rycerz Lizdejko wyjął z kieszeni list zapieczętowany i odczytał z Domaratem napis na kopercie. Zapalił potem świecę. Domarat dobył z zanadru pudełko, otworzył, porozkładał z niego na stole rozmaite małe narzędzia, i za ich pomocą oraz płomienia świecy, wyjął list z koperty bez uszkodzenia pieczęci. List był napisany w języku

polskich żydów, to jest mieszaniną zepsutego języka niemieckiego, z wieloma wyrazami hebrajskimi, niemniej pokaleczonemi. Domarat był biegłym w świadomości téj mowy i dał tego dowód, bo na rozkaz rycerza Lizdejki przełożył go natychmiast na język niemiecki, z którym wszyscy trzej byli spoufalemi. A skończywszy swoje tłumaczenie, głośno im odczytał.

Ten list był nader ważny, w nim albowiem Dreczkier wypisał się z wszystkiém, aż do najdrobniejszych szczegółów. Z niego dowiedzieli się, w jakim zostawała załoga niebezpieczeństwie, kiedy wniknięciem ukrytém w lesie nieprzyjaciel mógł przez piwnicę karczemną dojść aż do środka Potuszy, byle się porozumiał z arendarzem. Było tam zalecenie Pinkusowi dane, żeby, jak mu tylko wyprawia posłańca z interesem na pozór obojętnym, miał się na gotowości; bo skoro on przybędzie, téj saméj nocy jego zięć wprowadzi Szwedów przez kanał, a jemu samemu pozostanie tylko ich do karczmy wpuścić. A więc, że mu posłała swojego syna, a jego zięcia, który pod cherymem się zaklął, że z największą gorliwością, choćby z poświęceniem własnego życia, spełni instrukcję jaką mu dał, a która niezawodnie zapewni spokojność całemu ludowi izraelskiemu osiadłemu w Polsce, a jego rodzinie sławę i bogactwo.

Skoro Domarat skończył czytanie, rycerz Lizdejko rzekł z uniesieniem:

— Jeślibym miał najmniejszą wątpliwość, że Bóg sprzyja naszéj sprawie, ten list jużby o tém mnie przekonał. Bo któż zapoznać może palec Boży w tém ostrzeżeniu? Nic nam nie pozostaje, jak umieć z niego korzystać. Cóż waszmoście na to powiecie? co mi poradzicie?

— Skoro nasze niebezpieczeństwo — odezwał się Gaskold — jest nam objawione, tém samém dzięki Najwyższemu istnieć już przestało. Samo z siebie wypada nam opatrzeć się od téj zdrażliwej piwnicy, a co się tyczy żyda, nie jestem tak skory do środków gwałtownych, jak Grzeszniczek lub Burezymucha, ale jednak głosuję bez zadania szwanku sumieniu, żeby oświecić całą naszą załogę o zdradzie, jaka była dla nas przygotowana, i w jéj przytomności ukarać żyda śmiercią jak może być najboleśniejszą, bo jużci ten potwór na żadne uczucia ludzkości nie zasługuje.

— A twoje, Domaracie, jakie jest zdanie?

— Prawa wojenne są stanowcze; żyd śmiercią winien być karany, jakkolwiek nie uważam go być wyzutym z wszelkich praw do litości.

— Jakto! — odrzekł Gaskold — i ty śmiesz odzywać się za nim?

— Nie żeby go uwolnić od głównej kary, bo prawa nam już wskazują nasz postępek, a niczyja wola nie może przeważać woli prawa. Więć jako sędzia zgadzam się z waszmością, ale jako człowiek widzę w tym nędznym żydzie siłę przekonań religijnych. Przyjął na siebie klątwę, jeżeliby powierzonego mu polecenia nie starał się ile w jego możliwości spełnić. Szczerem wyznaniem mógłby się wyzwolić, a jednak nie chciał złamać przysięgi. Przeto, jakkolwiek zasłużył na karę, przecie jakiegoś szacunku nie możemy mu odmówić.

— Słusznie mówisz, Domaracie — odrzekł rycerz Lizdejko. — Może to was zadziwi, ale oświadczam wam, że wcale nie jestem przekonany o potrzebie ukarania żyda, i że owezem podam mu środki do zachowania życia, a nawet wolności.

— Jakto?

— Nie inaczej. Bóg nam dał ostrzeżenie: nasz obowiązek z niego korzystać, ale w taki sposób, żeby raz na zawsze odzwyczaić nieprzyjaciół naszych od knowania zdrać. My w obronie ognisk i ołtarzy wojujemy, jak przystoi rycerzom: nigdy nie splamiliśmy poczciwości słowiańskiej podłością. Ani umiemy, ani pragniemy szukać zwycięstwa przez podstępny niegodny chrześcijańskiego narodu. I dlatego Bóg nam błogostawi. Niechże nikczemny wróg sam wpada w sidła, jakie na nas zastawił.

— I cóż myślisz, panie, przedsięwziąć?

— Wkrótce obaczycie. Domaracie, włóż list na nowo w kopertę, ażeby śladu nie pozostało, że był otworzony.

Biegły Domarat zadość uczynił temu zaleceniu, tak że najostrożniejszy znawca nigdyby się nie mógł domyślić, że ktoś ten list przeczytał. A rycerz Lizdejko po turecku przemówił do swoich niewolników, którzy natychmiast płótno z jednej ściany namiotu podnieśli od strony szopy, i za sobą je spuścili. Gaskold i Domarat stali w milczeniu, usiłując odgadnąć, jaka była myśl wodza, który siedział zamyślony, i zdawał się w umyśle roztrząsać jakiś plan stanowczy. Wtém Turcy powrócili tą samą ścianą przez którą wyszli, prowadząc z sobą żyda.

Ten był wybladły, wychudzony, jako delinkwent wskazany na śmierć. I widać było, że już go wszelka nadzieja odstąpiła. Zauważano, że ustami ruszał w cichości, oczy podnosząc w górę, i polecał się Bogu, zawsze gotowemu do przyjęcia każdego opuszczonego od ludzi. Było coś uroczystego w postaci tego nieszczęsnego, który stał się dobrowolnie narzędziem okropnej zdrady, a jednak czuł się czystym na sumieniu. Milczenie powszechne długo jeszcze trwało w jego przytomności. Nakoniec rycerz Lizdejko przerwał je temi słowy:

— Żydzie! posłuchaj tłumaczenia listu, który miałeś przy sobie. A sam potem osądź, coś za to zasłużył?

Domarat przeczytał go głośno i powoli. Każdy wyraz był jakby uderzeniem piorunu na żyda, na którego obliczu malowały się kolejno i strach lada chwila rozstania się, a może przy niesłychanych mękach z życiem, i zadziwienie, że między chrześcijanami znaleźć się mogli ludzie tak świadomi jego mowy. Po skończoném czytaniu, rycerz Lizdejko rzekł do żyda:

— Jak myślisz, co ciebie czeka?

— Co mam mówić? To już do panów należy; ja wiem tyle, że ze wszystkiém zginałem.

— Sam czujesz, żeś zasłużył na karę śmierci. Jednak od ciebie zależy od niej się wyratować.

Żyd okazał silne zadziwienie, ale nie odpowiedział.

— Posłuchaj, żydzie! Cały twój postępek jest mi wiadomy. Twój ojciec cię wciągnął do zdrady, której mieliśmy paść ofiarą, gdyby ten sam Bóg czczony zarówno od chrześcijan jako i żydów, nie zniszczył waszych zamiarów. Wmówiono w ciebie, że knując przeciwko nam tak szkaradny spisek, wywiązujesz się ze swoich obowiązków dla własnego twojego narodu, i przez to wysługujesz się Bogu. Związano cię przysięgą, że niczego nie zaniechasz, ażeby do skutku doprowadzić to co ci powierzono, i poddałeś się pod klątwę na wypadek, gdybyś się z tém wymówił, chociażbyś zachowanie tajemnicy miał życiem przypłacić. Odpowiedz: czy tak? lub nie?

— Tak jest. Państwo wszystko wiecie, bo Pan Bóg za wami. — I łzy puściły mu się strumieniem.

Rycerz Lizdejko po krótkiej przerwie rzekł do niego:

— Chociażeś wykonał przysięgę w niegodziwym celu, sprawiedliwość winna ci być oddaną, że z mężstwem, wytrwałością i poświęceniem się umiałeś ją dotrzymać. Jeżeli wasz spisek odkryty został, to nie twoja wina. Mogłeś przyznaniem się do wszystkiego wyratować zagrożony żywot, a nawet odzyskać wolność. Jednak odrzuciłeś ofiarowaną łaskę, ażeby być wiernym twojej przysiędze. Powiedźże otwarcie, czy wywiązałeś się zupełnie z obowiązków, jakie przyjąłeś na siebie w Dolsku? czy myślisz owszem, że jeszcze się twoje powołanie nie skończyło, i że ta klątwa, pod jaką się poddałeś, dotknie cię, jeżeli nadal nie będziesz nam szkodził? Odpowiedz na to sumiennie jak człowiek, który lada chwila ma stanąć przed Bogiem.

— A co ja winien, że państwo o wszystkiém wiecie? Ja to na co przysiągłem, o ile odemnie zależało, dopełniłem. Wszystko się skończy z mojem życiem. Ja sam znam, że wy mi odpuścić nie możecie. Ale gdyby Pan Bóg chciał cud uczynić, uwalniając mnie od tej strasznej a ostatecznej dla mnie godziny, tobym drugą przysięgę pod

cherymem wymówił, że odtąd nie tylko nie będę szkodził tym, których Pan Bóg swojemi aniołami zasłania, ale że im odtąd wiernie będę służył, i to wszystko zrobie co mi każą.

— Otóż możesz zupełne przebaczenie otrzymać, to od ciebie zależy; ale sam zważ, że tego bez warunków wyjednać tobie nie mogę.

— Jakie warunki? Niech jaśnie pan powie. Ja wszystkie przyjmuję na siebie. Oprócz jednego. Byle panowie nie wymagali, żebym się pozwolił ochrzczyć, a resztę co każecie zrobę.

— Nie, mój kochany, my naszej wiary nikomu nie narzucamy. Czego innego od ciebie wymagam. Widzisz ten list, który nosiłeś przy nodze; śladu w nim nie ma, że był czytany. Jak cię puszcę, ten sam list oddaj twojemu teściowi. Ani się wymów, że on był w naszym ręku. Powiedz mu, żeś był przed sądem, że przez kilka dni byłeś między życiem a śmiercią, ale że ci się udało usprawiedliwić przed sądem i że cię wypuszczono. Potem pojedziesz do twojego ojca, z tém co ci da twój teść, czy pismem czy słowem. Ojciec twój zaprowadzi cię do generała Bedynga; podejmiesz się wszystkiego co ci każe generał, i wprowadzisz żołnierzy Szwedzkich do tego podziemnego kanału, który się styka z piwnicą twojego teścia.

— A jak to będzie?

— Posłuchaj z uwagą co ci powiem, żebyś o każdym moim słowie pamiętał. Dziś wtorek. Trzeba żeby po szabasie Szwedzi byli wprowadzeni do kanału przez ciebie. A w piątek wieczór przed szabasem stanie tu żydek, posłaniec od ciebie do twojego teścia. Skoro przybędzie, już będę rozumiał co to ma znaczyć. Jeżeli to moje zlecenie wypełnisz, daję ci słowo rycerskie i szlacheckie, że nie tylko że więcej, niż się spodziewać możesz, będziesz wynagrodzony, ale że włos nie spadnie z głowy twojego teścia, że wszystko pójdzie w wieczne zapomnienie, że nikt oprócz nas nigdy wiedzieć nie będzie, żeś z nami się porozumiewał.

— A co się stanie z Josiem Dreczkierem?

— On głupi, choć ma się za mądrego. Jak mu nie było poznać, że już nasza na wierzchu? Nie ma roku, jak siedem państw sprzysięgło się na naszą zgubę, a już dziś nie mamy przeciwko sobie tylko Szwedów, i kilku panów przez nich uwiedzionych, a którzy jeden po drugim już ich odstepują. Dotąd im niby służą ze szlachtą ich partyi, ale to nie na długo. My lubimy kłócić się z sobą, jeden na drugiego rzuca potwarze, ale łatwo się porozumiemy; u nas zawziętości nie ma, bo każdy po swojemu do wspólnego celu dąży. Bóg z twoim ojcem! Ja ci przyrzekam, iż wezmę na siebie, że za tę usługę jaką nam uczynisz, chociaż on dużo od początku téj wojny przeciwko nam przeszkro-

bał, zupełne przebaczenie mu wyjednam, i że ani grosza mu nie wydrą z tego, co z łaski Szwedów nałupił.

— No kiedy tak, to wszystko tak się stanie jak chcecie.

— Poczekaj żydzie, jeszcześ wszystkiego nie wysłuchał. Nie myśl, żebyś miał do czynienia z człowiekiem lekkomyślnym, któryby na twoje słowa się spuszczał. Mam ja się na ostrożności, i nie zostanę bez zakładników, którzy mi służyć będą za rękojmię twojej wierności. Najpierw wykonasz przysięgę wedle waszych obrzędów, z którymi mój Domarat jest oswojony. Czy gotów jesteś ją wypełnić?

— Oh! i bardzo gotów.

Na znak rycerza Lizdejki, Domarat wyszedł z namiotu, ale wkrótce powrócił z biblią hebrajską, całunem w jakim grzebią Izraelitów, Filakterem i zwierciadłem. Obwinęto żyda w całun, nałożono na niego Filaktery, położono jego prawą rękę na księdze otworzonej w tym rozdziale, gdzie Jehowa Mojżeszowi dał te przykazania, które jedne przetrwały wszystkie znikome prawodawstwa ludzkie. Postawiono mu przed oczyma zwierciadło. Domarat czytał rotę przysięgi, a żyd drżącym głosem ją powtarzał. Po wykonaniu przysięgi żyd do tego stopnia był poruszony ważnością tego obrzędu, że omdlał, i aż go trzeźwić wodą potrzeba było.

Skoro przyszedł do siebie, rycerz Lizdejko rzekł do niego:

— Straszną przysięgę wykonałeś, żydzie; jeżeli ją zgwałcisz, będziesz przeklętym od Boga i ludzi. Muszę ci jeszcze dodać, co cię czeka na tym świecie, jeżeli po szabasie Szwedów nam nie przyprowadzisz. Bo niczemu innemu temu nie przypiszę, tylko żeś zdołał dać im jakieś ostrzeżenie. Jeżeli się zawieziemy w naszą nadziei, poprzysięgam na honor szlachecki, że w tej karczmie zamiast teścia, żony i dziatki, znajdziesz ich porzniete członki. Jest-to okrucieństwo, nad jakim dusza się wzdryga. Ale nasze bezpieczeństwo tego wymaga. Całość twój rodziny zostaje w twoich rękach. Jeżeli nas zdradzisz, jeżeli nawet nie dość gorliwie wypełnisz to, do czego zobowiązałeś się przysięgą, nie my, ale ty będziesz jej zabójcą. Teraz wrócisz do twojej ciemnicy, a jutro zbiorę radę sądową, która uzna twoją niewinność i wróci ci wolność swoim wyrokiem. Tymczasem rozpamiętywaj twoje obowiązki i co cię czeka, jeżeli dopuścisz się wia-
rołomstwa.

To rzekłszy, kazał Turkom odprowadzić żyda tam, zkąd go wyprowadzili, i wyszedł z Gaskoldem i Domaratem. Obaj milczeli, zadziwieni roztropnością wodza, niemniej mądrego w radzie, jak nieustraszonego w boju.

Już się powiedziało, że rycerz Lizdejko pozwolił żołnierzom w chwilach wolnych od służby biesiadować w karczmie, czego dotąd

nie bywało, a co niemało radowało załogę i arendarza. To nie było bez celu wyrozumowanego. Bo skoro zięć był podejrzanym, to podejrzenie spadało i na teścia. A rycerz Lizdejko i z jego strony chcąc się ubezpieczyć, jedynie w tym celu pozwolił ugęszczać jego szynkownię. Bo wybrał między żołnierzami swojego oddziału czterech, którym szczególnie ufał, i zalecił im, żeby w dzień i w nocy mieli ciągle na oku gospodarza, jego córkę i jej dzieci; ale w taki sposób, żeby oni się tego nie domyśleli, oraz żeby żadnemu z nich nie dopuścili uciec. Mieli się oni luzować z kolei co pół doby po dwóch, tak żeby karczma nie była bez ich przytomności ani jednej chwili.

Jeszcze tego samego wieczora obwieścił swoim kolegom sądowym, żeby o siódméj z rana nazajutrz zebrał się na sessyę. Zebrał się więc stosownie do jego rozkazu. Już był na stole list żydowski napisany przez Domarata, a w kształcie podobny zupełnie do tego, który był znaleziony u żyda. W przytomności kolegów, rycerz Lizdejko dał rozkaz Domaratowi, żeby to pismo przełożył na polski język, a potem odczytał je głośno przed sądem. Ten list był zupełnie nic nie znaczącym, obejmował tylko interesa handlowe, które pod żadnym względem sprawy publicznej dotykać nie mogły. Kiedy więc go odczytał, rycerz Lizdejko odezwał się:

— Z wielkiéj chmury mały deszcz. Mojm zdaniem jest, puścić tego biedaka, który Bogu duszę winien.

— Dlaczegoż się upierał tać co miał przy sobie, chociaż był zagrożony śmiercią? — rzekł pan Fredro. — Musi być w tém coś złego?

— Nic innego tylko głupstwo — odrzekł rycerz Lizdejko. — Żydzisko tak się przękleło, że aż od rozumu odszedł. On nie wiedział gdzie się znajduje, a miałby pamiętać że list w pończosze nosi? Ja wszystko kładę na rachunek strachu.

— Jednak — na to pan Bielak — jeżeli ten list nie innego nie zawiera nad to, co nam dopiéro przeczytał pan Domarat, dlaczego z taką ostrożnością był schowany?

— I cóż w tém dziwnego? Ten list, dla nas nic nie znaczący, jest dla niego wielkiéj wagi, bo w nim są dotknięte interesa pieniężne. Schował list, bo bał się, żeby jaki oddział, czy nasz, czy nieprzyjacielski, nie trafił na niego na wielkim gościńcu i nie odebrał mu go. A że go przed nami tał, to nie z innéj przyczyny, jeno że nie przypuszczał do myśli, aby między nami znalazł się taki, co umie po żydowsku. Bał się więc, żeby list od nikogo niezrozumiany nie stał się powodem jego zguby, i przez głupstwo tając go, poszedł z deszczu pod rynnę.

— Kiedy pan chcesz go koniecznie puścić — wniósł Świerszcz — niechże przynajmniej na pamiątkę dostanie ze sto łoz, żeby nie zapominał, że z zwierzchności nie można żartować bez odpowiedzialności na skórze.

— Na co nam być wspaniałemi przez pół? W mojem przekonaniu obwinionego trzeba albo powiesić, albo mu zupełnie przebaczyć. Tak postępując, można nieprzyjaciela w stronnika zamienić. Ale zostawić go żywym, a nową urazę przydać do jego złych chęci, jest to niesprawiedliwie jego nienawiść. Moje więc zdanie puścić go, uniewinnwszy go wyrokiem. Czy waszmoście zgadzacie się na to?

Nie było przykładu, żeby po krótszych lub dłuższych rozprawach, wola rycerza Lizdejki nie zjednała woli powszechnej. Wszyscy wykrzyknęli:—zgoda! A rycerz Lizdejko kazał swoim Turkom przyprowadzić żyda z jamy, którą miał pożegnać na zawsze.

Wprowadzono żyda całkiem drżącego, chociażby powinien był być w dobrej nadziei. Ale właśnie takie jest przyrodzenie omal że nie każdego człowieka, że póki ma jakąś nadzieję ocalenia, póty czuje jakąś obawę, a kiedy już niczego dla siebie spodziewać się nie może, podnieca się w nim odwaga do najwyższego stopnia, jak to pięknie i właściwie wyraził ten wiersz:

Una salus victis, nullam sperare salutem.

Trzęsły się więc wszystkie członki u żyda, i niewiele zdawał się rozumieć wyroku, który mu odczytał Domarat, lubo ten wyrok go uniewinniał, a dopiero pełny duch w niego wstąpił, kiedy rycerz Lizdejko do niego przemówił temi słowy:

— Żydzie, wolnym jesteś! Ci mężowie uznali twoją niewinność, i powodowani uczuciem sprawiedliwości nie mieli na to względu, że jesteś synem takiego, który służy Szwedom i z ich łaski się wzbogaca, a tём samém nie może być dla nas życzliwy. Niech to cię nauczy, że nie zasługujemy na potwarze, jakie na nas miotają nasi nieprzyjaciele. Spodziewam się, że wiernością swoją odtąd będziesz się starał odsłużyć tój ziemi to życie i to mienie, które z niej otrzymałeś. — Żyd jednemu po drugim wszystkim zasiadającym padł do nóg na znak dziękczynienia, wyszedł z namiotu, i prosto poszedł do karczmy.

Można wyobrazić sobie, jakie było zadziwienie jego rodziny, kiedy on jój się pojawił, a jeszcze większe, kiedy jój opowiedział, w jakich dopiero był opałach. Żyd nie mógł się nacieszyć swojemi miłemi dziećkami. Może zostawiwszy za sobą wały Potuszy, wzięłaby go chętka wypowiedać się przed ojcem z wszystkiego, wyznać mu, że ani myśleć można o podejściu Potuszy, gdyż dowódzca konfederatów,

wie o wszystkiém i będzie się miał na ostrożności, a potem osiąść spokojnie w Brześciu i odrzeknąć się na zawsze tego wszystkiego, co nie jest handlem. Prawdziwym cudem wykreślił się od szubienicy polskiej; czyż potrzeba narażać się jeszcze na szubienicę szwedzką, a czyby nie lepiej obmyć sobie ręce od tych kłopotliwych, a tak niebezpiecznych przedsięwzięć?—Bez wątpienia podobne marzenia musiała przeważać pamięć strasznej przysięgi, dopiero na nim wymożonej, ale z drugiej strony pieczyoty dziatwy zwracały go na tor obowiązków. Jakże stać się przyczyną zguby, zamordowania tych miłych, tych niewinnych stworzeń, téj jedynéj jego pociechy? Na samą tę myśl wszystkie fibry jego duszy drętwiały. I to właśnie zupełnie zniewoliło jego przekonanie na stronę konfederatów, tak iż te walki toczone w jego umyśle rozwiązały się nakoniec postanowieniem służenia Polakom najgorliwiéj, i spełnienia tego wszystkiego, co im pod straszną przysięgą przyobiecał.

Od tego zaczął, że wzięwszy na stronę swojego teścia, oddał mu list pisany do niego przez ojca, i z tak naiwną szczerotą wyklamał mu wszystkie przejścia inkwizycyi z niego ciągnionych, że Pinkus najmniejszój wątpliwości o ich prawdziwości nie miał. A że miał nieograniczoną ufność w wysokim rozumie Dreczkiera, tak że każde jego słowo było dla niego wyrocznią, nie tylko że nie odwracał zięcia od niebezpiecznego przedsięwzięcia, ale owszem usiłował wzniecić w nim pewność, że z łatwością będzie uskutecznione. Brał na siebie ułatwienie wszystkiego, tak że po szabasiu, którego już oczekiwał z niecierpliwością, przyrzekł wprowadzić Szwedów do Potuszy z taką łatwością, jak do ich własnych siedzib. Żadnego pisma zięciowi nie dał, bo mu ustnie z większém bezpieczeństwem powierzył wszystko, co mu było potrzebne wiedzieć. Naglił go o najrychlejszy wyjazd; zaledwo mu pozwolił pożegnać się z żoną i dziećmi, — dał mu swoją brykę z trzema końmi, i jakby dla zapewnienia się o jego wyjeździe, siadł obok niego i przeprowadził go aż na gościniec za wałami Potuszy. Tam się z nim rozstał, i dawszy mu ojcowskie błogosławieństwo i kilka talarów na drogę, bo wiedząc, że był w rękach Grzeszniczka, tém samém był przekonany, że już ani szeląga nie mógł mieć przy duszy, powiedział mu: — Synu, powiedz generałowi szwedzkiemu, jeżeli mu cię Dreczkier przedstawi, że może być pewny, iż Potusza po szabasiu będzie jego, jeżeli to wszystko zrobi co mu poradzi Dreczkier. Ja go czekam z niecierpliwością.—Po tych słowach Godel Josiowicz oddalił się dobrym kłusem, siedząc na bryce, a Pinkus piechotą powrócił do swojej karczmy.

ROZDZIAŁ XIX.

Godel więc toczył się po gościńcu, już z szczerem postanowieniem dopełnienia obowiązków, których się podjął, a to postanowienie w miarę oddalania się od żony i dzieci utwierdzało się. Mawiał sam do siebie: — To prawda, że jadę na to, żeby własnego ojca oszukać, ale Bóg widział jak to się zrobiło. On mi tego za grzech nie poczyta, raz że rycerz Lizdejko dał mi słowo, że mu nic złego się nie stanie, a na jego słowo spuścić się można, — a powtóre, czy mogę zarznąć żonę i dzieci? aj waj! mojego Josia, żeby w kawałki pokrajano! A potem i ojciec mi podziękuje, bo nie tak dobrze koło Szwedów, jak to było roku przeszłego. Oni już teraz jeden na drugiego, bo jak ludzie mówią, Polaki z wszystkimi innemi już się pogodzili. U nas się pisze, że kiedy idzie źle, to coraz pójdzie gorzej, a kiedy dobrze, to coraz lepiej. A jak Polacy wypędzą Szwedów, bo to wszystko być może, a nuż napaść na Josia za te liwerunki, co je dostarczał od tak dawna? Teraz oni go nie zaczepiają, bo jeszcze nie zupełnie wyleźli z jamy; kiedy go gdzie spotkają, po ludzku z nim rozmawiają. Ale jak będą ze wszystkiém panowali, przypomną oni sobie, że on był przyjacielem króla szwedzkiego. Jak to nieuczepić się żyda, a jeszcze pieniądze? U nich powiesić żyda, a zabrać jego pieniądze, to nie grzech, to rozum. Otóż kiedy będzie źle koło niego, on gniewać się nie będzie, jak ja przypomnę rycerzowi Lizdejce jego słowo szlacheckie, że Josiowi włos z głowy nie spadnie. A ja tego cherymu co na mnie rzucił rabin Dolski nie boję się. Dochowałem przysięgi do końca; przyszło do tego, że już stryczek był tak dobrze, jak na mojój szyi, a ja to wszystko wytrzymałem. Nie mam sobie nic do wyrzucenia, bo jeżeli się o wszystkiém dowiedzieli, to nie przezemnie, tylko że Bóg dał im ten rozum. A przeciwko Panu Bogu najmędrzy hussyt nie nie poradzi. Jakże! Bóg za niemi, a biedny żydek mógłby im zaszkodzić? Aj waj! Już tamten interes ze wszystkiém skończony, a teraz nowy. Trzeba mu służyć z taką wiernością jak tamtemu. Bo i teraz jestem pod cherymem. A jak będę przeciw niemu szachrować, to przepadnę. Wszelako, jak to łącać przed ojcem? U nas się pisze, że się nie godzi ojca oszukiwać. Jednakowo ja go oszukam, bo to dla jego dobrego. Może on się o tém nie dowie, a choćby się kiedy i dowiedział, to jeszcze mi podziękuje. Bo to pewna, że już konfederaci górę biorą, a tylko co nie widać, jak Szwedzi nas pożegnają. A u nas się pisze, że kto trzyma z mocniejszym, ten ma wielki rozum.

Nasz Godel jak widać był niepospolitym politykiem, i dał tego dowód przybywszy do Rzędzin, wioski, gdzie generał Redyng miał

swoją kwatere, i gdzie znalazł Josia Dreczkiera, do którego z porządku rzeczy najpierw się udał. Po czułym powitaniu ojca z synem, pierwszy zaraz się wziął do interesu, i zapytał syna, jak się sprawił?

— Dobrze, jak najlepiej, a jednak z wielką moją szkodą. Ojciec mi podarował cztery konie, a te o włos że mnie o śmierć na szubienicy nie przyprowadziły.

— A to jak?

— Żeby to były zwyczajne fornalskie konie, niczyjój uwagi by nie ściągnęły. Ale już niedaleko Brześciea spotkał mnie ten rozbójnik Grzeszniczek, i jak tylko okiem rzucił na tak piękne konie, zaraz się znalazła na mnie i napaść. A zkąd? a dokąd? a po co? Ja mu się tłómaczyłem, że jestem żięciem arendarza Potuszy, że mam żonę i dzieci, i że do nich jadę. Ale jakże puścić żyda, który ma konie mogące się zdać pod jego żołnierzy? Byłby mnie kazał powiesić, tylko że konfederacya już im tego nie pozwala, a każe im, jak to oni ich nazywają, ludzi podejrzanych, którzy wpadną w ich ręce, odwozić do ich starszych komend. Nakrzyczał na mnie ten nie Grzeszniczek, ale cały Grzesznik, zabrał mi konie i trzos, którym opasywałem koszulę, a gdzie znalazł więcej tysiąca złotych, i powiedział: — Ja idę do Potuszy, tam ciebie zawiozę i przedstawię panu Regimentarzowi, który da Bóg, każe cię powiesić, bo mnie pomimo najlepszej mojej chęci, nie wypada robić z tobą końca. Ale co się odwlecze, to nie uciecze.

— Aj waj! co za złodziej, co za niegodziwiec!

— Tatele, nie przeklinaj go; ja kontent że na gorszego nie natrafiłem. Dobrze że mnie nie kazał powiesić, bo choć to mu nie było wolno, albo ktoby się upominał o biednego żydka? Albo nawet kto niepotrzebny panu Grzeszniczekowi byłby się o tém dowiedział?

A czy to tatele nie wie jak oni wszyscy z sobą trzymają. Kazał mię tedy położyć na bryce; tyle tylko, że powiedział swoim: — Jak spróbuje uciekać, trzaśnij mu z pistoletu w łeb! — A na co mnie uciekać, kiedy na mnie patrzą? a potem ja nie byłem od tego, żeby dostać się do Potuszy, gdzie wszyscy mnie znają. Ja i bez tego tambym pojechał. Myślę sobie, tam będzie koniec wszystkiego; mój teś, który tam u wszystkich panów i sług i żołnierzy ma łaskę, zaraz się o mnie upomni, bo i pan Regimentarz Zamojski go lubi, a ten każe mnie puścić do żony. Otóż inaczej się zrobiło. Bo stanęliśmy pod wałami Potuszy już późną nocą, i zaraz mnie porwano i zaniecono do namiotu pana Regimentarza, i tam czekałem co o mnie postanowią między dwoma żołnierzami, którzy mnie z oka nie spuszczały. A choć między ludźmi tyłoma, tak wszystko się robiło eicho, że ani żona, ani Pinkus nie wiedzieli, że o kilka kroków od nich Godela biorą w obroty.

— Przecież cię puścili?

— Ale, puścili, prawda że nakoniec puścili, ale przez wiele to ja kłopotów i niebezpieczeństw i strachu przejść musiałem, póki nie wykręciłem się z napaści? Bóg widział, że przez cztery doby nie było dla mnie ani oka mgnienia, w którembym nie był między życiem a śmiercią, a zawsze bliżej śmierci niż życia. A przez kilka godzin tak byłem pewny śmierci, że to co teraz żyję, mam za darowane, bo to już nie moje.

— I jak to było?

— A to, zrobili na mnie sąd, i ten pan Grzeszniczek w nim zasiadał. Zaczęto mnie pytać, ja odpowiadałem, a pan Grzeszniczek na mnie, że muszę być szpiegiem, bo powiedział: że jechałem do Potuszy, a on mnie spotkał jadącego ku Brześciowi, a więc, że koniecznie trzeba mnie powiesić. Ale wszyscy za mną przemówili głośno, że ja poczciwy żyd, zięć arendarza, że za mną ręczą, tak że już pan Regimentarz kazał mnie puścić. Ale rycerz Lizdejko, który był między niemi, a ma u nich takie znaczenie że każdy go słucha, temu się sprzeciwił i na swoim postawił, tak że pan Regimentarz, mając potrzebę odjechać, cały ten mój interes zdał na niego, żeby zrobił ze mną co mu się podoba.

— Co to za łajdak ten Lizdejko! Król szwedzki nie może słyszeć jego nazwiska bez wpadnięcia w gniew. A książę wojewoda Dorohostajski mówi, że nie umrze, aż wprzód go zgubi, tak zawzięty na niego.

— Wierz mi, tatele, że ten rycerz Lizdejko to pan dobry i wielki. To prawdziwy monarcha, a jaki piękny; jaki mądry!

— Czy za to go chwalisz, że cię chciał powiesić?

— To tylko tak było z prędkości; chciał się przekonać, kazał mnie rozebrać, czy czasem jakiego listu nie mam przy sobie?

— I jakżeś też uchował ten list, coś go miał odemnie do Pinkusa?

— Żebym go nie uchował, to jużby dawno mnie wrony jadły, bo u nich taka mądrość, że jak kogo powieszają, to go schować nie pozwalają. Szukali u mnie listu, ale on był schowany między łydką a pończochą. Na moje szczęście nie domyślili się tam go szukać, bo byłoby po mnie. A pan rycerz Lizdejko, jak obaczył że u mnie nie było tego czego szukali, przyznał że prawda z mojej strony, kazał mnie puścić i powiedział mi kilka dobrych słów, w nagrodę strachu którym mnie nabawił.

— I oddałeś list mój Pinkusowi?

— A jakże! jak się wieczór zrobił, Pinkus zaprowadził mnie z sobą do swojej piwnicy, i mieliśmy z sobą pół kopy szabasowych *świóczek*, żeby nam czasem światła nie zabrakło. To osobliwsza piw-

nica, bo tak wygląda jak studnia, i do niej drabinką spuszczać się trzeba. Ale ja ją dobrze znałem. Ciekawa rzecz, jak to można było spuścić w tę piwnicę konia; a jednak to pewno, że chciałbym mieć te wszystkie konie, które tym otworem wyprowadzone zostały. Byłby to lepszy kawał chleba, niż moje domostwo w Brześciu. Otóż Pinkus mi kazał tatuli powiedzieć, że wszystko będzie przygotowane, żeby zaraz po szabasie nas tam przyjąć, nie wprzód, nie później. Ja Szwedów doprowadzę aż do karczmy, a już tam będzie nas czekać z drabinką. A jak nią przeleziemy do sieni, już to będzie rzecz szwedzkiego wodza napaść na załogę, która się tylko od strony wałów pilnuje. Pinkus wszystko bierze na siebie, i kazał mi tatula zaręczyć, że wszystko pójdzie jak z kłębka.

Uradowany Józ Dreczkier uściskał syna, i nie tracąc czasu, zaraz z nim poszedł do generała Redynga, który w folwarku miał swoją kwaterę. Już on był przygotowany do tej nowiny listem od kniazia Dorohostajskiego, co mu go był wręczył Dreczkier. I z niecierpliwością oczekiwał jego syna. Kiedy mu oznajmiono ich przybycie, kazał ich wpuścić do siebie, i więcej godziny z nimi bez świadków rozmawiał, co nikogo zadziwić nie mogło, gdyż wodzowie tak jednej jako i drugiej strony zwykle swoje wojenne działania stosowali do doniesień, jakie żydzi z ich stronictwa im przynosili; doniesienia zawsze tak rzetelne, że nie było przykładu, iżby wódz który, im zawierzywszy, miał powód tego żałować.

Generał Redyng, jeden z najznakomitszych wodzów Karola Gustawa, potomek starożytnego rodu, spadkowo przodkującego w arystokracji szwedzkiej, a sam osobiście głęboko wkorzeniony w zaufaniu swojego pana, był mężem surowych obyczajów, doświadczonym w swoim rzemiośle, nieubłaganym na wszelkie przewinienia swoich podwładnych przeciwko karności, a przytém nadzwyczajnie przedsiębiorczym w działaniach wojennych. Jego wojsko przenosiło trzy tysiące głów; cała jego piechota złożoną była z samych Szwedów, wywiczonych żołnierzy. Jazda wynosząca do sześciuset koni, dzieliła się na dwa oddziały, jeden Infantczyków pod dowództwem barona Liwena, drugi Litwinów, których prowadził młody Ogiński kasztelanie trocki. Ale czém generał Redyng był najsilniejszy, to dziesięcioma armatami, doskonale usłużonemi przez Niemców. I to mu dawało wyższość nad wojskiem konfederacyi, któremu na armatach zbywało. Właśnie ta jego artylerya dała mu sposobność zachować ważny posterunek który zajmował, pomimo wszelkiej usilności strony przeciwniej; wprawdzie ona po kilkakrotnie pokusiła się z tego stanowiska Szwedów wyparować, ale zawsze bezskutecznie. Polacy zaprzestali nakoniec myśleć o rzeczy niepodobnej do osiągnięcia, odkładając to do chwili, kiedy im nadejdą polowe działa, i jednym z powodów odjazdu

pana Zamojskiego z Potuszy do Lwowa było przynaglenie generalności, ażeby przyspieszyła wysłanie armat, które się lały w ludwisarni Dobromilskiej z dzwonów kościelnych, i przełożenia jój, że bez nich stanowczych przedsięwzięć z silnym nieprzyjacielem uskutecznić nie było sposobu. W samą rzecz od dwóch z okładem miesięcy, oprócz utarczek partyzanckich, z jakich najczęściej korzyść była na stronie Polaków, a które coraz rzadszemi były, gdyż Bedyng swoich narażać nie chciał, oba wojska były tak dobrze jak w nieczynności, wielce tak dla jednych, jak dla drugich dokuczliwej. Postarunek generała Bedynga był nader ważny, bo ułatwiał stosunki między wojskiem króla szwedzkiego, zajmującym Warszawę i Mazowsze, a oddziałem hetmana Gąsiewskiego, będącym w okolicach Brześcia, a znacznie osłabionym oddzieleniem się od niego kniazia Dorohostajskiego. O tém doświadczony generał był aż nadto przekonany; ale że i jemu ta bezczynność w jakiej zostawał ciążyła, gdyż po kilku niepomysłnych usiłnościach zaniechał wstępnym bojem kusić się o niepodobne zdobycie Potuszy, więc list kniazia Dorohostajskiego, który mu był wręczył Józ Dreczkier, wielce go ucieszył, i przygotował go do zupełnej ufności względem żyda, z którym zostawał i bez tego w dość ścisłych stosunkach.

Skoro odczytał list kniazia, nadzieja, omal że nie pewność opanowania bez straty swoich Potuszy, a przytém rozbrojenia jednego z świetniejszych oddziałów wojsk nieprzyjacielskich, a nadewszystko schwywania rycerza Lizdejki, utkwiała w jego sercu; oczekiwał przybycia syna Dreczkiera, żeby uskutecznić przedsięwzięcie, z którego tyle korzyści dla swojego pana, a sławy dla siebie obiecywał. A jednak, skoro mu przedstawił Dreczkier tego syna, którego przybycia z taką niecierpliwością wyglądał, okazał jakieś zmieszanie się, jakie nie uszło przed wzrokiem przenikliwego żyda, a które nie było bez przyczyny.

Gorliwe spełnienie rozkazów najwyższej woli jest duszą zawodu wojennego, a cóż dopióro, jeżeli te rozkazy są tak wyraźnie skreślone, że o ich znaczeniu nie można przypuścić najmniejszej wątpliwości. Bywały zaiste chwile natchnienia, którym ulegając podwładny wódz ocalał wojsko tém, że się odważył ominąć z rozkazem swojego naczelnika. Ale uleganie podobnym natchnieniom jest rzeczą wielce niebezpieczną, bo skoro nie jest uwieńczone zwycięstwem, przywołuje sromotną a zasłużoną karę na nieposłusznego podwładnego (*).

(*) Jest kilka wypadków w historii, że nieposłuszeństwo dało, lub dać mogło zwycięstwo. I tak przytaczają przykład Torstensonsona, który przemianieniem samowolnym rozkazu, który miał powieść od Gustawa Adolfa jednemu z jego wodzów,

I właśnie w takim położeniu zostawał generał. Po kilku albowiem bezskutecznych uderzeniach na oszańcowanych Polaków w Potuszy, otrzymał był rozkaz od króla swojego pana, żeby ludzi pod jego dowództwem będących nie marnował, a trzymał się odpornie na swoim stanowisku, dopóki bądź hetman Gąsiewski, bądź on sam nie złączą się z jego oddziałem, dla rozpoczęcia działań wojennych na obszerniejszą skalę.

Kiedy więc Jós Dreczkier przybył do niego z pismem kniazia Dorohostajskiego, pierwsza jego myśl była zakomunikować cały ten plan królowi, przełożyć mu łatwość z jaką może go wykonać, i oświadczyć że oczekuje w tym względzie jego rozkazów. Ale z drugiej strony pomyślał sobie, że gdy wykonanie tego zamiaru jedynie zależy od najściślejszej o nim tajemnicy, jakże go powierzyć gońcowi, który tak łatwo mógłby być schwytanym od jakiegoś partyzanta? Bo oddziały jezdne Kazimierowczyków po całym kraju się pokazywały, i często-kroć utrudzały jego komunikację tak z królem, jako i z hetmanem. Natenczas Polacy ostrzeżeni w niwecz obróciliby zamiar, a on sam niezawodnie popadłby w niełaszkę królewską, że przez brak determinacyi opuścił okoliczność, która stanowczy wpływ wyrzucić mogła na pomyślność dalszych działań wojennych. Zaniechał więc posłania do króla, i bądź co bądź, postanowił wszystko wziąć na siebie. Ale kiedy przybyli do niego Jós Dreczkier z synem, pomimo odważnego postanowienia, do jakiego się był skłonił, wszystkie jego obawy na nowo przed nim stanęły, tak dalece, że zamiast radości z ich przybycia okazał jakieś wahanie się, i dość zimno ich przywitał.

Jós Dreczkier tą oziębłością się nie zraził. Prześladowania, jakie od tyłu wieków doświadczali żydzi, wyrobiły w nich do najwyższego stopnia i przenikliwość i cierpliwość. Vexatio dabit intellectum, mówi Pismo Święte. Nikt więcćj od żydów służyć nie może za dowód téj wielkićj prawdy wyrzeczonćj przez samego Boga. A Jós Dreczkier nawet między żydami odznaczał się wygórowaniem tych przymiotów swego narodu. Z pokorą przedstawił generałowi swojego syna, i schy-

stał się sprawcą jednego z najświetniejszych zwycięstw tego króla. Niemniej święt-szy mamy przykład marszałka Grouchy, który dlatego, że zanadto ściśle trzymał się rozkazów Napoleona, stał się poniekąd przyczyną jego porażenia pod Waterloo. Ale nierównie więcćj jest przykładów bitw przegranych przez nieposłuszeństwo podwładnych, a wyłączenie nie może być przyjęte za regułę. Prawo karności powinno być wykonane, jak wszystkie inne prawa. Być może, iż czasem natchnienie sędziego będzie sprawiedliwsze od litery prawa i procedury. A jednak biada narodowi, gdzie sędziowie więcćj ufają natchnieniom własnego rozumu, niżeli wyraźnym przepisom mądrości całego narodu, wyrażonym w prawie. Umieli to poznać nasi przodkowie, kiedy wymagali od sędziów przysięgi, że nie wedle własnych wiadomości, ale wedle dokumentów i statutu Litewskiego sądzić będą.

łony na swojej lasce czekał co mu powie. Po niejakiem milczeniu generał odezwał się machinalnie, ale z widoczném wahanem:

— Jaki macie do mnie interes?

Na to Joś Dreczkier odpowiedział:

— Przybył tu mój syn, żeby miał szczęście być poznanym jaśnie wielmożnemu panu, a co do interesu jaki mieć może, czekać będzie chwili swobodniejszej, w której upoważnionym zostanie od jaśnie wielmożnego pana do niego się z nim odezwać, bo, jak mówi przysłowie: sprawa w porę odłożona, jest jakby na pół skończona. A więc odkładając ją do pomyślniejszego czasu, nie nam nie pozostaje jak tylko na osobności go oczekiwać, i jaśnie wielmożnego pana pozegnać.

To rzekłszy, zabierał się odchodzić i już był przy drzwiach, kiedy generał raptem go zatrzymał.

— Stój, żydzie! Powiedz co wiesz dobrego?

— Niech jaśnie pan pozwoli, a mój syn wszystko opowie.

— Gadaj! słucham.

Godel zaczął opowiadać wszystko jak dobrze nauczony, ani się zaciał, lubo większą część prawdy utaił, a tego tylko nie taił, co generała jak ptaszka w samotrzask napędzić mogło. Generał był oddany swojemu powołaniu namiętnie; żądza sławy była w nim niepohamowana; w miarę więc łatwości, jaką mu wystawiał Godel, do spełnienia powziętego zamiaru, jego wahanie się zmniejszało, tak że jeszcze żyd nie dokończył swojej relacji, a już generał utwierdził się w postanowieniu, bądź co bądź ślepo iść za przewodnictwem żyda. I przez te kilka dni, które poprzedzały ów oczekiwany szabas, o niczém inném nie myślał, jak tylko o owładaniu Potuszy, z czém się jednak przed nikim nie wymówił, lubo każdy patrzący na niego łatwo się mógł domyśleć, że jego umysł był obarczony jakąś ważną myślą, która w nim widoczny niepokój pobudzała.

Że mu na czasie nie zbywało, ze wszystkich wsi okolicznych, zebrał do tysiąca opończ i czapek włściańskich. A w dzień szabasu tyleż żołnierzy swoich w nie poprzestrajał, w ten sposób, żeby każdy z nich miał broń schowaną pod opończą. A że w Potuszy były działa, które mu wpaść miały w ręce, wielką część swoich artylerzystów wyprawił, ażeby na każdy wypadek te działa były usłużone. Ten silny oddział, złożony z najdoborniejszej części jego wojska, z jego rozkazu wyszedł za przewodem Godela po zachodzie słońca. Dokąd dążyli, o tém żaden z nich nie wiedział, oprócz pułkownika Hestesko, dzielnego i doświadczonego żołnierza, a któremu generał Redyng powierzył dowództwo tej wyprawy. Dał mu rozkaz, żeby skoro tylko rozbroi, czy ~~samordnje~~ załogę, otworzył bramę od Potuszy, przez którą on z resztą.

swojego wojska wejdzie, gdyż postanowił wyruszyć inną stroną ku temu warownemu miejscu, mając z sobą siłę dostateczną do dania odprawy tym oddziałom jazdy nieprzyjacielskiej, które co noc kręciły się w okół warowni, ażeby zniecka nie została napadnięta.

Już jakiś żyd służący u Josia Dreczkiera wyprawiony został do Pinkusa z kufą gorzałki. Ten o niczem nie wiedział, ale jego przybycie do Potuszy miało mu służyć za ostrzeżenie, żeby był gotowym do wprowadzenia Szwedów przez swoją piwnicę, i żeby kanał był oświecony przynajmniej tyle, by żołnierze isć mogli w kierunku gdzie niedziedzie zapalonych łożówek. Wszystko się gładko zdawało kartować. Obaczymy, w co się obróca te zamachy roztropności ludzkiej przeciwko tym, któremi się Przenajświętsza Rodzica opiekowała.

ROZDZIAŁ XX.

Rycerz Lizdejko ze swojej strony nie zasypiał, a jakkolwiek mógł być pewny powodzenia, niczego nie zaniedbał, żeby to powodzenie zabezpieczyć. A działał z taką ostrożnością, że oprócz tych dwóch swoich powierników, nikt się nawet domyślić nie mógł, że się coś nadzwyczajnego gotowało dla załogi. Przez te dni kilka poprzedzające chwilę stanowczą, wszystko szło dawnym trybem. Codziennie wedle obyczaju raz na zawsze wprowadzone były musztry, przegląd, wysłane za wały patrole. Zawsze ta sama ostrożność, ta sama służba, do jakiej już byli nawyknięci.

Dopiero kiedy w piątek przed wieczorem przybył żyd z kufą gorzałki do Pinkusa, rycerz ostrzeżony, że chwila działania się zbliża, pokazał całą swoją zapobiegliwość. Jednak dopuścił mu rozpocząć szabas spokojnie z gospodarzem, i żydom nocnego spoczynku nie przeszkodził. Ale nazajutrz z niemałym zadziwieniem wszystkich, około południa kazał przyprowadzić do siebie wszystkie dusze żydowskie, znajdujące się w karczynie, bez względu na wiek i płeć. Żołnierstwo ich wszystkich co do nogi przypędziło do namiotu naczelnika. Na łódzieju, jak to mówią, czapka gore. Pinkus, na którym wiele ciążyło, tak był pomieszany, że można go było kazać powiesić z miny. Inni, choć trochę przestraszeni, okazywali więcej spokojności, bo nie mieli sobie do wyrzucenia. Kiedy stanęli przed rycerzem, on rzekł do nich łagodnie i bez żadnego uniesienia:

— Moje dzieci, dla waszego bezpieczeństwa postanowiłem, żebyście wszyscy jedną dobę przesiedzieli w więzieniu podziemnym, w którym twój zięć, Pinkusie, kilka dni bawił, a przez co przecie nie złego

mu się nie stało. Mam doniesienie, że tój nocy Szwedzi mają napaść na nas. Przeprawa może być i gorąca i krwawa; na co wy, spokojni poczciwi ludzie, macie się narażać na niebezpieczeństwo, i waszą bojaźnią przerażać moich ludzi? Jak zaczną huczyć działa, tylebyście mieli w zysku, że ta biedna dziatwa z samego przestraszuby się rozchorowała. Czyż nie lepiej dla was oczekiwać w bezpieczném schronieniu, co tój nocy Bóg o nas postanowi? Wy zwykle szabas przesypiacie, a więc przesypcie go w miejscu, gdzie nikt wam spoczynku nie przerwie. A ja tak dalece pamiętam o waszych wygodach, że dałem rozkaz, ażeby wam zniesiono z karczmy wszystkie wasze bety i naczynia, w których znajdziecie to wszystko, co macie pożywać w czasie szabasu.

Pinkus chciał coś powiedzieć, ale rycerz Lizdejko kiwnął ręką, a jego wierni Turcy wyprowadzili całe to pokolenie do szopy, gdzie jednego po drugim wszystkich spuścili do piwnicy.

Tak zabezpieczywszy się od żydów, rycerz Lizdejko kazał wtoczyć do sieni karczmennej wóz amunicyjny dobrze okuty, na którym położył kazał dla większego ciężaru kilka kul działowych, a przy nim postawił kilku żołnierzy z jednym oficerem, któremu na osobności dał instrukcyę, wedle jakiej miał postępować; a przed wieczorem, kiedy już się zbliżała godzina stanowcza, cichaczem wyprowadził do dwóchset żołnierzy od tój strony Potuszy, gdzie było wejście do podziemnego kanału, tam ich ukrył w chwaszczach, polecając ten oddział rozkazom Gaskolda, który niejednokrotnie prowadził ich po drodze sławy. A jemu samemu dał instrukcyę w tych słowach:

— Twoi żołnierze niech leżą ukryci w tych chwastach. Nieprzyciel za parę godzin, prowadzony przez Godela, tu się pokaże. Żeby żaden z was się nie ruszył, póki nie zniknie Szwed w kanale. A że wątpić nie możemy, że zostawi jakąś straż przy otworze kanału, ty miej tę straż na oku, zawsze nieruchomy; dopiero jak ostatni Szwed wejdzie do kanału, przetrzymaj kwadrans, a po upłynieniu onego uderz na straż, rozbij ją, stań przy otworze i zatknij go czém możesz, żeby żaden Szwed z pułapki nie mógł się wysunąć. Nie obciążaj się jeńcami tój straży, na którą uderzysz, ale bez miłosierdzia kól każdego, co ci wpadnie w ręce. Jest-to srogość, ale cóż robić? nie pora być wspaniałym; a odłączać ludzi w tak nagłej potrzebie, ażeby pilnowali jeńców, byłoby nieroztropnością. Bywaj zdrów, Bóg za nami. Mam nieprzełomne przekonanie, że wszystko nam pójdzie jak naj-
lepiej.

To rzekłszy, śpiesznie powrócił do Potuszy. Przewidywał, że Redyng, jako wódz doświadczony, wyśle silny oddział z tamtój strony, jakoby chciał uderzyć na warownią, żeby wyprowadzić część załogi z potuszy, a tём ułatwić działania tych, co niespodzianie wejść mają do

jój środka. Powróciwszy więc, na prędce zwołał wszystkich dowódców oddziałów, i dopiero im odkrył całkowity swój plan. Ci wodzowie podziwiali roztropność, z jaką tak młody naczelnik całą rzecz przeprowadził, zaczynając od tego dotąd dla nich zagadkowego przebaczenia Godelowi. A po tak długiej bezczynności, nadzieja że wkrótce walczyć będą z nienawidzonym od nich wrogiem, napełniła ich serca zapałem i radością.

Wszyscy byli pod bronią, z wszelką gotowością do boju. Rycerz Lizdejko porucił dowództwo twierdzy mężnemu i odznaczającemu się zawsze zimną rozumą Pawłowi Fredrze, i to wszystko co mu wypadało działać z chytrym nieprzyjacielem. I mógł być aż nadto pewny, że jego instrukcje co do punktu będą spełnione. Sam z całkowitą swoją jazdą wyszedł za wały, i rozstawił wedle technicznego wyrazu *en échelons*. Każdy oddział miał dowódcę, na którego mógł się spuścić. I jakżeby nie miał być pewnym, że swoją powinność dopełnią, kiedy te oddziały prowadzone były przez wojowników takich, jak Świerszcz, Grzeszniczek, Osman, Bielak, Łukasz Olizar? A sam, jako główny dowódca, na wszystkich miał oko, gotując się tam pójść, gdzie tego najgwałtowniejsza pokaże mu się potrzeba. Było przy nim kilku rycerzy, dla noszenia jego rozkazów dowódcom oddziałów, a między nimi Dawid Odyniec, który świeżo był wykonał przysięgę wierności dla konfederacji królewskiej, i który był mu szczególnie zalecony od Gaskolda. Obaczmy teraz, co się działo w Rzędzinach.

Jeszcze trwał szabas, kiedy generał Bedyng, jakkolwiek pełen nadziei, że wojsku szwedzkiemu największy zaszczyt, a sobie najszcześniejsze względy u króla wkrótce zarobi, jednak żeby zmniejszyć przynajmniej odpowiedzialność, jaką brał na siebie, w przypadku gdyby rzeczy nie tak pomyślnie poszły, jak sobie obiecywał, zwołał radę swoich pułkowników, i przed nią odkrył cały swój plan i wszystkie okoliczności, które go do niego skłoniły, pytając ich o zdanie. Wszyscy Szwedzi jednomyślnie przyznali, że ten plan jest najlepszy, i że się nie godzi wahać ani chwili; że byłby występny względem króla i ojczyzny, gdyby zaniechał tak łatwój i pewnej zdobyczy. Tak silne było w tym względzie przekonanie wszystkich wodzów szwedzkich, że trzeba było nieco odwagi, aby w czém przeciwno temu się odezwać. Miał ją jednak Ogiński, jedyny wódz polski, będący pod rozkazami Bedynga. Wyraźnie oświadczył, że powszechnego zdania nie podziela, że żyda nie posądza o zdradę, ale że mu znana jest lekko-myślność i łatwowierność żydowska, a więc na jego słowo narażać znaczną część wojska, wydaje mu się być rzeczą nadto ryzykowną. Przeprowadzenie przez drabinę takiej ilości żołnierzy, jakiej potrzeba dla opanowania Potuszy, nie da skuteczniej się ani w jednej, ani w dwóch godzinach, a więc lada hałas może ostrzedz załogę, zło-

żoną z ludzi doświadczonych i walecznych. A wtedy wystąpi żołnierze, w sieni karczemnej ściśnieni, mogą pójść na rzeź. Nawet nie ma przekonania, żeby ten kanał podziemny był zachowany w tak dobrym stanie, iżby nigdzie nie było jakiegos zasypu, utrudzić mogącego przechód; że wartoby przynajmniej rekognoskować go przez kilku żołnierzy doświadczonych, wprzód niż puścić się na oślep w przepaść. W każdym razie lepiej kilku żołnierzy zaryzykować, niżeli większą część swojej piechoty, i omal że nie wszystkich puszkarzy. A więc protestuje przeciw zdaniu powszechnemu, i ten protest do protokołu dołączy, i w każdym wypadku wytłómaczy się przed królem szwedzkim z powodów, które go do tego zmusiły.

Wielki hałas powstał na niego w całym kole. Generał okazał mu swoje nieukontentowanie, a pułkownicy nie szczędzili mu wyrzutów dotkliwych i obraźliwych. Nawet stary Lilienplat, zawołany inżynier, a wielce lubiony od króla szwedzkiego, ośmielił się powiedzieć: — Że to go bynajmniej nie dziwi, że pan Ogiński ciągnie za Polakami, i że nierad, żeby Potusza ze swoją załogą i tyloma dzielnymi wodzami, między którymi mogą być i jego krewni, stały się trofeami wojsk naszego króla. Ale co do mnie, śmiem dopominać się od naszego naczelnika, ażeby nie opuszczał szczęśliwej okoliczności, która raz opuszczona, nigdy już nie powróci. Ani mogę przypuścić, żeby się znalazł jaki Szwed, któryby się wahał, kiedy jest powołany do uwieńczenia swojego czoła najświetniejszym może wawrzynem od początku naszej wyprawy. A coby to nasz król powiedział, gdybyśmy mając tak dobrze jak w rękach naszych tak główne stanowisko jak Potusza, przez zbytek ostrożności ją wypuścili? — Liczne i głośne applauzy uwieczające to przymówienie, zagłuszyłyby każdego, coby przeciw niemu odważył się zgłosić. Ogiński, że wszystko co miał na sercu już był wypowiedział, obojętnym zdawał się być na te wszystkie wykrzyki. Lecz protest swój z oszczędnością wyrazów, a na gruntownych zasadach oparty, jak najspieszniej zapisał.

Generał Redyng po tej naradzie, silny i własnym przekonaniem, i przyzwoleniem wszystkich swoich wodzów szwedzkich, natychmiast zajął się rozporządzeniem wyprawy. Pułkownik Hesteko swoją piechotę i puszkarzów małemi oddziałami wyprawił ku lasom, otaczającym zachodnią część wzgórza, nad którym unosiła się Potusza, a sam z ostatnim oddziałem i z żydem Godelem wyszedł ostatni. W lesie dopiero wszyscy mieli się złączyć, i razem pod przewodnictwem Godela wstąpić w podziemne wejście, które miało ich doprowadzić do Potuszy. Już się powiedziało, że żołnierze, mając na mundurach siermięgi, wyglądali jak wieśniacy. Była w tym ostrożność do zbytku posunięta, bo gmin instynktownie przeczuwając, w którym miejscu mogą toczyć się krwawe walki, od nich się oddala, tak iż te

oddziały po drodze nikogo nie spotkały, i po kilkogodzinnym pochodzie zebrały się wszystkie w lesie, w pełnym przekonaniu, że nieprzyjaciół o ich poruszeniu zapewne jest niewiadomiony, a nie domyślali się, że Gaskold z silnym oddziałem leży nad otworem kanału, i że żaden ich krok nie ukrywa się przed jego badawczym wzrokiem.

Podczas gdy pułkownik Hestesko, mający sobie dodanego Lillienplata, któremu przeznaczone było dowództwo nad twierdzą, skoro tylko opanowaną zostanie, dążył do swojego przeznaczenia, generał Redyng, zostawiwszy pod opieką niewielkiego oddziału swoje działa, swój tabor i swoją kwaterę, zebrał całkowitą swoją jazdę i z nią wyruszył ku błoniom, dotykającym wschodniej części Potuszy, ażeby ją na nich rozwinać i walczyć z jazdą konfederacji, która niezmiernie pilnowała się od tej strony. Do żywego obrażony oporem Ogińskiego, pierwsza jego myśl była zostawić go w Bzędzinach, i nie dopuścić go do udziału w tej sławie, jaką już był pewny uzyskać. Ale wkrótce odstąpił od tego zamiaru, bo poznał, że bez niego obejść się nie może. Ciężkie rajtary szwedzkie mało były sposobne do działania w rozsypane z jeźdźcem polskim, nie wiele obciążonym, mającym pod sobą zwinnego konia, a który na rozkaz swojego wodza z szybkością błyskawicy rozsypany był, i znowu się zbierał w linii. W wojsku generała nie było innej jazdy lekkiej, tylko silny oddział Ogińskiego, przywykły do tego rodzaju obrotów, a który pod jego okiem nieraz dawał tego zaszczytne dowody. Przesuwało mu się przez myśl, zabrać z sobą ten oddział, a jego wodza zostawić w Bzędzinach przy straży swojego obozu, ale i tego wodza zaniechał, bo wiedział, że oddział Ogińskiego z klientów jego domu i własnych jego poddanych składający się, a tym samym przywiązany ślepo do jego osoby, nie byłby posłuszny szczerze wodzowi obcemu, nie mającemu nie takiego, co by w nim ufność obudzić mogło. Lękał się, i nie bezzasadnie, żeby w czasie walki z ziomkami żołnierz osierocony od swojego przyrodzonego wodza, nie poszedł chętniej za głosem bratnim, chociaż przeciwnika, niż jakiegos Szweda lub Niemca, którego nawet mowy nie rozumiał. Zabrał więc z sobą Ogińskiego, bo rachował na jego uczciwość i zdatność, i w tym się nie omylił; bo jakkolwiek Ogiński najmniejszej nie pokładał nadziei w pomyślność tej wyprawy, a nawet od powrotu króla Jana Kazimierza do Polski wcale innym okiem patrzył na stronnictwo, do którego z woli ojca się zaciągnął, wszakże postanowił z największym poświęceniem i swojej osoby i swojego nawet przekonania, dopełniać swojej powinności, jak przystoi mężowi czci i znakomitego rodu.

Podczas gdy generał Redyng zaczynał swoją jazdę rozwijać od przeciwnego strony, pułkownicy Hestesko i Lillienplat przybliżali się i stawali u kresu swoich życzeń, bo już dotykali wnijsia otworu,

ukrytego tak, że bez świadomego przewodnika nie byłoby możności go wynaléć. Można wyobrazić sobie, jaka była ich radość, kiedy Godel skurezywszy się zniknął, a wkrótce potem znowu się pokazał, i zaprosił ich z sobą. Wnijscie było ciasne, ale sam kanał był tyle przestronny, że czterech ludzi w linii mogło się w nim zmieścić. Hesteko z żydem wszedł pierwszy, za niemi wojsko, a Lilienplat miał szlusować, ażeby żaden nie pozostał. Gaskold ze swojemi, leżąc na brzuchach jak węże, każde ich poruszenie śledził. A chociaż noc była ciemna, przecież nie tyle, żeby mogli nadchodzący ukryć się przed jego wzrokiem. W najgłębszém milczeniu jedni wchodzili pod ziemię, drudzy z góry na nich patrzyli, wszystko tak było cicho, że niekiedy liście z drzew spadające słysząc się dawały, i one tylko tę cichość przerywały.

Jakież było zadziwienie Gaskolda, kiedy spostrzegł, że wszyscy, a nawet i pułkownik szlusujący, zniknęli z przed jego oczów z taką pewnością pomyślności, że nawet nie zostawili porządnej straży przy wnijsciu, a tylko pikietę z ośmiu żołnierzy. Jeszcze z pół godziny wytrzymał, żeby dać czas nieprzyjacielowi wnurzyć się głębiej w ten kanał. A po upłynieniu onój, raptem powstał ze swojemi i rzucił się na pikiet, który niespodzianie napadnięty, nawet się nie bronił. Siedmiu zamordowano, jednemu tylko za pomocą ciemności udało się umknąć, i manowcami przedrzeć się ku wschodniej części Potuszy, żeby oznajmić naczelnemu dowódcy, w jakim niebezpieczeństwie zostaje oddział przez niego wysłany, a który składał całkowitą jego piechotę.

Hesteko siedł sobie śmiało obok swojego żyda, zupełnie nie wiedząc, że za nim Gaskold, faszynami i ziemią, odejmuje mu wszelką sposobność do odwrotu. W samój rzeczy, pół godziny nie upłynęło, a liczny oddział Gaskolda, opatrzony w siekiery i łopaty, tak się był rześko wziął do roboty, że śladu nie pozostało jakiegoś otworu we wzgórzu, i że taki, któryby nawet przez całe życie z nim był obeznany, nie mógłby wynaléć miejsca, w którém kiedyś się znajdował. Szwedzi byli więc jak ptaszki złowieni w samotrzasku, tylko że żaden z nich o tém się ani domyślał, i wszyscy szli wesoło za Godelem, tém więcej uradowani, że o kilkanaście kroków jedna od drugiej rozstawione lampy rzucały światło po ścianach wydroża, co było jasnym dowodem, że są oczekiwani, i że w Potuszy jest wszelka gotowość do ich przyjęcia.

Skoro Gaskold upewnił się, że wnijscie do podziemnego kanału tak szczelnie jest zatarasowane, iż nie ma sposobu Szwedom z niego się wydobyć; na każdy wypadek oddzielił od siebie trzydziestu żołnierzy, pod dowództwem jednego roztropnego oficera, na którego mógł śmiało się spuścić, i kazał im ukryć się w gęstwinie.

— Być może — rzekł do nich — że jaki silny oddział szwedzki tu się pokaże, wysłany od wodza uwiadomionego o nieszczęsnej przygodzie jego piechoty, bo było w pikiecie tu postawionej ośmiu żołnierzy, z tych siedmiu padło pod naszym orężem, ale ósmy, który ocalał, musiał udać się do naczelnego wodza z swoim językiem. Wasz oddział nieliczny, ale stanowisko jakie zajmujecie, stanie za liczbę. Ukryci w gęstwinach, miejcie strzelby w pogotowiu: póki Szwedzi będą macać, stojcie spokojnie, ale gdyby natrafili na miejsce, gdzie dopiero był otwór. i brali się do jego wznowienia, nie oszczędzajcie waszych ładunków, bijcie w nich jak w kaczki, ale dobrze bierzcie na cel, boć to nie na wróble polujemy. A ja ruszam na tamtą stronę do naszego naczelnika, żeby donieść mu, iż wszystko tu się zrobiło stosownie do jego rozkazów, i przyprowadzić mu nasz oddział, który może mu się bardzo przydać.

Obawa, aby jaki świeży oddział szwedzki nie pojawił się w tém miejscu, pokazała się być zbytęzną. A pan Grzymała. bo takie było stanowisko oficera, któremu ten mały oddział zostawiony był posłusznym, zamiast stania w bezczynności, rozstawił o kilkadziesiąt kroków od siebie w różnych stronach trzy placówki, każda z dwóch żołnierzy, którym dał rozkaz, żeby na wypadek pokazania się jakiej siły, wielkiej czy małej, dali natychmiast ognia, dla jego ostrzeżenia, i jak najspieszniej po tym wystrzale wracali do niego. A z dwudziestu czterema żołnierzami, którzy mu pozostawali, jakby jeszcze nie dowierzał dość gruntownemu zatarasowaniu wnijsia do kanału, do którego dopiero Szwedzi byli weszli, wziął się do roboty, żeby go jeszcze więcej ziemią zasypywać.

Podczas gdy to się robiło, Hesteko i Lillienplat z tą wesołością, jaką daje przeczcucie powodzenia, pod przewodem żyda i blasku lampo co kilkanaście kroków pozapalanych, ze swoim rycerstwem coraz głębiej wnrzyli się w ten kanał, jak już się powiedziało. Pochód odbywał się w najgłębszym milczeniu; nakoniec wstąpili do piwnicy, której drzwi były otwarte, a która była o kilka razy szerszą od kanału. Dalej postępując, uderzyło ich światło z góry spadające; ale jakaż była ich radość, kiedy spostrzegli drabinę opartą o ścianę, i dotykającą otworu, a nad nim głowę żydowską, bo w czapce szabasowej i brodatą, opartą. Jeszcze nie wiedzieli, że to był Domarat przystrojony.

Godel wlaź pierwszy na szczebel wązkiej drabiny, a za nim Hesteko. Domarat podał mu rękę. Skoro żyd już stanął nad przepaścią, Hesteko za nim zaczął się wydobywać. Ale zaledwo rękę położył na krawędzi, i do piersi się pokazał, i już zabierał się nogę położyć w sieni karczemnej, żołnierz stojący nad otworem, w oka mgnieniu uderzył go po łbie toporem. Ani jęknął; padł bez duszy na swoich żołnierzach, stojących przy drabinie. A w téj chwili, nakrycie piw-

nicy na zawiasach zapadło, i wóz z kulami armatniami już przygotowany został na nie zatoczony.

Szwedzi krzyknęli: Zdrada! ale już ich nikt na wierzchu usłyszeć nie mógł. Długo stali w ponurém milczeniu, spoglądając na siebie z rozpaczą. Nakoniec Lilienplat odezwał się:

— Zginęliśmy! nie nam nie pozostaje, jak wziąć się do odwrotu. Nie łudźmy się marną nadzieją, że ten odwrót może być bezpiecznym. Przewiduję aż nadto, że zastaniemy przy otworze takich, co z bronią w rękę staną na przeszkodzie naszemu wyjściu z téj przeklętej matni, w którą daliśmy się uwikłać. Nie nam nie pozostaje, jak tylko drogo sprzedać nasze życie, jak przystoi mężom Skandynawskim.

Wzięli się więc Szwedzi do cofania tą samą drogą jaką przeszli, innéj nie było. Ale jaka była ich rozpacz, kiedy zamiast otworu, który, jakkolwiek strzeżony, mógłby przecie być przebytym, zastali ścianę, a nie mieli żadnych środków do jéj wywrócenia. — Co będziemy teraz czynili? — powstały głosy między Szwedami.

— Przepadliśmy na wieki — odezwał się Lilienplat. — Oddajcie duszę Bogu, bo już niczego innego spodziewać się nie możecie, tylko umrzeć z głodu w téj ciemnicy. Nadejdzie chwila, w której zmuszeni zostaniecie ciągnąć na losy, którego kolegę zamordować macie, dla przedłużenia nędznego waszego żywota. Ażeby odwlec tę chwilę nieszczęśliwą, — mnie macie!

To rzekłszy dobył krucicę, którą w kieszeni nosił, włożył ją w gębę, i pociągnięciem cyngla wysłał szlachetną swoją duszę przed sąd Najwyższego. Szwedzi, już bez żadnego wodza, krzyk przeraźliwy wydali. Potém ostupieli i z rozpaczycy stali jak nieruchome posągi. Bo cóż w przyszłości oczekiwać mogli, prócz śmierci w najokropniejszych męczarniach?

Zostawmy ich na chwilę, a przeniesmy się na przeciwnoległą stronę Potuszy.

Generał Bedyng tak był pewny, że wysłana jego piechota lada chwila opanuje Potuszę, że o niczém nie myślał, jak tylko żeby jak najspieszniej stanąć u wrót twierdzy. W czém tém większą łatwość sobie obiecywał, że wiedział z doświadczenia, iż tylko szczerpłe oddziały jazdy krążyły nocną porą około twierdzy, nie w celu staczania bitw, ale jedynie żeby ostrzegać zamkniętą załogę na wypadek zbliżenia się nieprzyjaciela. Postępował więc śmiało, nie wiedząc, że już nie ma przeciw sobie małego oddziału, ale że będzie miał do czynienia z całkowitą jazdą polską, prowadzoną przez samego rycerza Lizdejkę.

Ten ze swoim oddziałem wolnym krokiem cofał się przed nim, a inne oddziały w prawo i lewo wysłał, żeby przeskrzydlić Szwedów, a z takimi dowódcami, jakich miał pod sobą, jakież przedsięwzięcie

nie byłoby do skutku doprowadzone? Do tego, że noc była ciemna, a szwedzki dowódca upojony marną nadzieją, ominął się ze zwykłą swoją ostrożnością, tém łatwiej jego plan dokonany został. Bedyng, o niczem nie wiedząc, postępował śmiało na rycerza Lizdejke, a tuż za nim Świerszcz, Grzeszniczek, Bielak i Olizar rozwinęli swoje hufce.

Zostawiliśmy Gaskolda, dążącego z silnym swoim oddziałem piechoty ku téj stronie, gdzie rycerz Lizdejko stał ze swoją jazdą. W ciągu swojego pochodu, raptem odmienił swój plan. Zamiast postawienia się na błoniach otaczających Potuszę od wschodu, a gdzie piechota na mało mogła być pożyteczną, szczęśliwém natchnieniem kierowany rzucił się w lewo, o kilkanaście stajów na drogę idącą do Rzędzin, a przez którą Szwedzi byli przeszli. Była tam grobla obsadzona wierzbami. Gaskold myślał, że to stanowisko, jedyne przez jakie Szwedzi na wypadek odwrotu dostać się mogli do Rzędzin, musiało być silnie obsadzone, i postanowił bądź co bądź na nich uderzyć, żeby im ten odwrot utrudnić. Jakież było jego zadziwienie, kiedy nikogo tam nie zastał? Szwedzi tak byli upewnieni o zwycięztwie, że ani przypuścili, iżby była potrzeba myśleć o odwrocie. Uradowany Gaskold zajął groblę swoją piechotą, którą ukrył między wierzbami, i oczekiwał chwili, w której Polacy na niego napędzą Szwedów.

Podczas gdy Gaskold zajmował to ważne stanowisko, oddziały jazdy, wysłane przez Lizdejke na skrzydła i za plecy Redynga, skutecznie swoje poruszenie. Świerszcz pierwszy uderzył na Szwedów z tyłu, a jednocześnie Bielak i Olizar rzucili się na prawe, a Grzeszniczek na lewe ich skrzydło. A sam rycerz Lizdejko nie przestawał stawiać im czoła. Szwedzi ze wszystkich stron otoczeni zostali. Wkrótce zrobiło się zamieszanie, gdzie już nie oddziałów obrotu, ale tylko pojedyncze boje w rodzaju Homerycznych toczyć się zaczęły między walecznymi Polakami, a niemniej od nich mężnymi Szwedami. Zostawuję naszym mistrzom lutni przekazać potomności wdzięcznym śpiewem imiona tych dzieci Odyna, których wyprawiła do Walhali prawica Grzeszniczka, Świerszcza, Bielaka i innych, a nadewszystko rycerza Lizdejki. Twarde pancerze, hartowne szyszaki, nie były zdolne zastąpić ich od pocisków słowiańskiego miecza. Padali i Polacy śmiercią walecznych, ale cóż to było w porównaniu do straty Szwedów, którzy napadnięci zniemacka, obudzeni ze snu ułudy, mało sposobni do pojedynczych obrotów, bo przywaleni ciężarem zbroi, a których konie dotrzymać nie mogły zwinności i wartkości sarmackich wiatronogów, na stepach Ukrainy zrodzonych i wyrostłych, padali jak trawa na przekosy. Jeden tylko Ogiński ze swoją lekką jazdą, w zmieszanych szeregach, z mniejszém nieszczęściem, toczył z rodakami pojedyncze boje, i odwlekał zgubę wojska, któremu pomagał.

Kilka razy udało mu się wyrwać generała Redynga z rąk nieprzyjacielskich, ale czuł, że dla wojska nie pozostaje, tylko albo dać się wytepić co do nogi, albo zebrać się w masę i pójść na przebój przez chmury jazdy polskiej, azali się nie uda przynajmniej część tych mężnych żołnierzy tak marnie ginących, odprowadzić na to stanowisko, które za wyraźnym czarta omamieniem tak lekkomyślnie zostało opuszczone.

Przedarł się przez chmurę walczących do generała, potykającego się jak lew, z siłą przynajmniej o dwójnasób potężniejszą od tój, której dawał rozkazy jak wódz, a przykład jak prosty żołnierz. I swój zamiar przed nim otworzył.

— Mości generale, namarnotrawiliśmy ludzi niemało, a nieprzyjaciel zdaje się być coraz silniejszym; nie ma podobieństwa tu się utrzymać. Nic nam nie pozostaje, jak tylko wszelkich środków użyć dla wycofnięcia się z tego okropnego stanowiska. Bóg wie, czy to nam się uda. Wszakże trzeba koniecznie tego próbować. Każ mości generale zatrąbić odwrót; ja z mojami naprzód będę się starał utorować mu drogę przez hufce nieprzyjacielskie. Waszmość ze swojami wyrusz za mną. Przynajmniej choć cokolwiek uprowadzimy z sobą.

Generał Redyng odrzucił ten jeden jeszcze możebny środek zbawienia, bo jeszcze nie był obudzony ze swojego omamienia. Nie przestawał oczekiwać na silny posiłek, który miał mu przyjść ze zdobytej przez jego oddział Potuszy, a który wedle niego lada chwila miał przybyć. Aż tu zaczęły się pokazywać pierwsze brzaskiienne.

Dotąd noc była tak ciemna, iż nie można było rozemnać przedmiotów o kilka kroków oddalonych, tak że żołnierze, bojąc się zadawać razy własnym kolegom, odzywali się przed natarciem, żeby po słuchu unikać omyłki. I to umniejszało srogość bitwy, i liczbę jej ofiar. Na tém szczególnie zyskiwał oddział Ogińskiego, bo niejednemu z jego żołnierzy udało się zachować życie tém, że po polsku się odzywał, a przez to miany był za żołnierza konfederacyi. W miarę zwiększającego się blasku, coraz więcej niebezpieczeństwo mogło się powiększać, i to nie uszło uwagi Ogińskiego.

— Mości generale — odezwał się po raz ostatni — na miłość Boga, zaklinam waszmości, żebyś pamiętał o swoim i naszym ratunku. Odwrót nasz już i tak trudny; skoro się cokolwiek rozwidni, stanie się niepodobnym. Ani chwili nie mamy do stracenia; pozwól żebym kazał mojemu trębaczowi zatrąbić odwrót.

Generał Redyng milczał.

Wtém od strony okopów powstał krzyk w szeregach polskich, będących między twierdzą a pobojowiskiem. Można było wyraźnie rozemnać okrzyki radości, a w nich złowieszcze wyrazy:

— Niech żyje król Jan Kazimierz! jego wrogi są pokonane. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Cała piechota szwedzka teraz siedzi w zatarasowanym z obudwóch końców podziemnym kanale.

Te słowa obiły się o uszy generała, i aż nadto przez niego zostały zrozumiane. Dopiero się przebudził jakby ze snu, i ze świata wymarzonego wrócił do świata rzeczywistego; dopiero poznał całą okropność swojego położenia.

— Mości Ogiński — rzekł — nie ma co robić, teraz widzę moją karę za to, że nie poszedłem za radą waszmości. Każ zatrąbić odwrot i staraj się ratować z tém co się da uratować, a o mnie zapomnij.

Podczas gdy Ogiński szukał miejsca, któreby mógł przełamać, generał w rozpacz siedział na koniu nieruchomy. Kilkunastu żołnierzy go otaczało, gotowych śmierć z nim podzielać, i chociaż na nich nalegał, żeby za Ogińskim ratowali się ucieczką, żaden z nich go nie odstąpił, każdy go zasłaniał swojemi piersiami. A tu coraz jaśniej wydobywały się przedmioty z nocnych cieni, i coraz więcej od strony Potuszy przybywało nieprzyjaciół.

Nakoniec Redyng dobył pugiuał, który wedle zwyczaju owoczesnych rycerzy nosił za pasem, i wprawna ręką porozrzynał rzemienie, które zaciągały jego szyszak i pancerz. Wszystko to padło z łoskotem o ziemię, a nieszczęśliwy wódz rzucił się między nieprzyjaciół, nie już dla ocalenia swojej osoby, ale żeby utworzyć sobie w przejściu do innego świata jak najliczniejszy orszak. Pociski jego ramienia, obnażonego z wszelkiego ciężaru były straszne; już ci wierni żołnierze, którzy do końca nosili mu nieskażoną służbę, albo byli powaleni, albo w rękach Polaków. On jeden walczył, zewsząd otoczony, i dzielna prawicą wywracał każdego, który się przybliżył do niego.

Tu nowa scena zaczęła się; Grzeszniczek pojawił się między zapastnikami, którzy go otaczali. Nadzwyczajna odwaga zawsze wrażenie silne wywiera na sercach ludzi prawdziwie odważnych. Jakkolwiek Grzeszniczek był krwawym, nieubłaganym, na widok męża tak dzielnie jeden przeciwko wszystkim potykającego się, powziął chęć ocalenia go, ile że poznał, iż to był naczelnik Szwedów, i tém więcej, że wzięcie go w niewolę zapewniało mu i znaczny okup i chwałę nie mogącą być zaprzeczoną, podczas gdy śmierć jego, w zamieszaniu ogólném, nikomu w szczególności przypisaną być nie mogła. O to mu zatem chodziło, żeby go wziąć w niewolę. Pryskoczył więc do niego i odezwał się:

— Mości generale! poddaj się waszmość — i porwał za cugle jego konia.

— A dobrze! — odpowiedział generał — zostaję waszym jeńcem.

Grzeszniczek uradowany taką zdobyczą, jeszcze więcej się zbliżył do niego i podał mu rękę. Redyng z szybkością błyskawicy, z pistoletu który trzymał wypalił mu w samo czoło. Grzeszniczek padł bez duszy. Na ten widok nie już wstrzymać nie mogło Polaków; w jednej chwili waleczny Redyng został rozsiekanym.

Udało się Ogińskiemu, skupiwszy się, w massie ze swojemi i ze Szwedami, przerznąć się przez szeregi Świerszcza, na które uderzył. Wielu ludzi utracił, ale przecie z resztą mógł otwartym krajem umykać. Stał na miejscu bezpieczniejszém, bo przynajmniej nie miał nikogo przed sobą, i tam zatrzymał się dla rozpatrzenia się, jaka była jego siła, i dla postanowienia, w jaką stronę ma się udać. Z całej téj pięknej jazdy, która przenosiła półtora tysiąca koni, pozostawało mu jednak przeszło sto koni w jego własnym oddziale, który mniej od innych był ucierpiał, i do sześciuset Szwedów; reszta albo już do tego świata nie należała, albo była w polskiej niewoli. Jednak miał jeszcze poważną siłę, która w potrzebie przydać się mogła sprawie króla szwedzkiego. Wprawdzie Polacy ścigali go, ale jakby tylko dla zaspokojenia rycerskiego sumienia. Bo tak wielkiej massy, już wolnym krokiem ustępującej, a która za każdym napadem zwracała czoło i zdawała się oczekiwać natarcia, nikt szczerze nie myślał przełamać, ani było siły ku temu, gdyż rycerz Lizdejko całej swojej jazdy w pogon rozpucić nie chciał, a tylko się szykował po dłuższej walce i zamieszaniu, żeby ją do porządku przyprowadzić. Dawidowi Odyńcowi polecił jeńców, których było mnóstwo, zapędzić do Potuszy i tak się rozrzucić, żeby żaden z nich umknąć nie mógł. Jednak nie zaniedbał wysłać naprzód silny oddział jazdy, nie żeby przeszkodzić Szwedom odwrotu, ale żeby wiedzieć, w którą stronę dążą.

Ogiński w pochodzie swoim zebrał na prędce dowódców szwedzkich i oświadczył im, że jego zamiarem jest iść ku Brześciowi, dla złączenia się z hetmanem Gąsiewskim. Ale oni ku temu skłonić się nie dali, przekładając, że ich obowiązek jest wracać na to samo stanowisko, które opuścili. Naprózno im wystawił nieroztropność tego przedsięwzięcia.

— Nie ma wątpliwości — dodał — żeśmy się dali uwikłać w zdradę, i że nieprzyjaciel był ostrzeżony o każdym naszym kroku. Być może, że lasy które nas przedzielają od Rzędzin są już obsadzone jego piechotą. I cóż my wtedy poradzim? Dajmy na to, że moja obawa jest bezzasadna; że znajdziemy wolny przechód przez te lasy; cóż nam przyjdzie z tego, że dostaniem się do Rzędzin? Bez piechoty nie zdajemy zachować tego mocnego stanowiska, o które zwycięzca niezawodnie się pokusi. Czyż nie lepiej udać się do Brześcia, pokrzepić

naszą jazdą wojsko dość silne hetmana, by z nim działać dla odwetowania naszej przegranej, niż się na bezczynność skazywać? Bo sami nie rozpoczynać nie możemy.—Kilkudziesięciu Szwedów dało się nakonieć namówić i poszło za Ogińskim; reszta trwając w swoim uporze, rzuciła się ku téj samej grobli, którądy była przyszła.

Niestety, tam na nią czekał Gaskold ze swoją piechotą. Już był poranek. Gaskold, ukryty ze swojemi strzelcami między wierzbami, był we wszelkiej gotowości. Jak tylko Szwedzi zaczęli się odłamywać dla przejścia grobli, Gaskold rozpoczął ogień, Szwedzi przerażeni natychmiast zmieszaży się w kupę, i straciwszy przytomność zaczęli wołać, że się poddają. — Rzućcie broń i zsiadajcie z koni — krzyknął Gaskold. — A już się pokazywał za nimi oddział, któremu dowodził Olizar. Przeszło pięćset jeńców, tyleż koni i broni zostało zdobyczą zwycięzcy. Ludzie Olizara rozbrojonych Szwedów zapędzili do Potuszy, a Gaskold ze swoją piechotą za nimi także wyruszył. Każdy strzelec po trzy konie zdobyte prowadził. I kiedy Ogiński ze swoim oddziałem z wszelkiem bezpieczeństwem dążył ku Brześciowi, reszta tak dopióro pięknego jeszcze wojska, już była w niewoli polskiej.

Uradowany rycerz Lizdejko, przyjmował tę świetną zdobycz u bramy Potuszy. Okrzyki radości rozlegały się z warowni i szeregów bratnich. Było to jedno z najświetniejszych zwycięstw, jakie konfederacya Tyszowiecka od swojego zawiązania się odniosła, a skutki tego zwycięstwa były niewyrachowane.

Skończywszy przegląd swoich jeńców, rycerz Lizdejko oddzielił od siebie Bielaka z jego Tatarami, i kazał mu iść do Rzędzin, gdzie wedle zeznania tych jeńców było kilka armat i ledwo kilkadziesiąt żołnierzy do ich straży, żeby te armaty zabrać i wyprawić do Potuszy. Przyszła teraz kolej pomyśleć o tych Szwedach, którzy zamknięci byli w ciemnicy, a których nieszczęście ze wszech miar zasługiwało na litość. Natura polska, o ile w boju pokazuje się okrutną i nieubłaganą, o tyle staje się miękką, i miłosierną dla zwyciężonych, którzy już żadnej obawy wzniecać nie mogą. Wszyscy dowódcy oddziałów podzielali współczucie naczelnego wodza względem tych nieszczęsnych, którzy w tak rozpaczliwem zostawali położeniu. Jeden tylko Świerszcz odezwał się przeciwko nim.

— Mości naczelnny wodzu — rzekł — zwycięstwo zwycięstwem, ale nie zapominajmy, żeśmy go nie otrzymali bez kosztu. Dziewięciu najlepszych chłopców moich nie dostaje; żelazo szwedzkie ich na tamten świat wyprawiło. A co mi ich nakaleczyli! To większa szkoda, niż tych wszystkich Szwedów, co od początku téj wojny ziemia polska zasypała. Albo ten poczciwy Grzeszniczek, co z ich łaski poległ w połowicy dni swoich! Wiem, że i na tamtym świecie będzie miał

pociechę, jak zobaczy, że Szwedzi jeden drugiego jedzą w piwnicy. To najlepsze byłoby po nim egzekwie. Mości naczelnny wodzu! dla spoczynku jego duszy nie odmawiaj mu téj pociechy! Zostaw Szwedów w jamie, niechaj w nią gniją! Jeszcze ich zostanie zanadto.

— Wstydz się, Świerzecz, takiego okrucieństwa względem bezsilnych nieprzyjaciół, błagających naszego miłosierdzia. Ile że z jeńca może być jakiś pożytek, a z trupa żaden. — I to rzekłszy poszedł ze starszą do karczmy, gdzie już Pinkus z synową i wnuczętami, wypuszczeni z więzienia, nie mogli się nacieszyć i wróconą im wolnością, i przytomnością Godela.

Rycerz Lizdejko rozkazał otworzyć zaporę piwnicy. Skoro Szwedzi ujrzeli światło, hurmem ku niemu się wtłoczyli, bo ich świeczki od dawna już się były wypaliły, tak że w zupełnej ciemności zostawali. Już głód, a zwłaszcza pragnienie dotkliwie im czuć się dawały. Na głos rycerza Lizdejki, który ich zapytał: — Czy chcą się poddać? oni jednomyślnie odpowiedzieli, że poddają się bezwarunkowo, że chętnie na całe życie zostaną niewolnikami, byle im pozwolono oddychać wolnym powietrzem i cieszyć się światłem słońca.

— A kiedy tak, zostawcie wszelki oręż, a bezbronni w porządku wychodźcie po téj drabinie co macie. Podadzą wam rękę, żebyście tu stanęli, by dowiedzieć się o waszém przeznaczeniu.

Zaczęli wylazić Szwedzi za pomocą gościnnych dłoni, jakie im podawali Polacy. Niemało czasu potrzebowało około tysiąca ludzi, żeby po drabinie pojedynczo wylazić. Rycerz Lizdejko polecił swoim wdzom zrobić około nich rozporządzenie, zaczynając od rozdania im chleba, na czém nie zbywało w Potuszy. Żołnierze polscy im chleb przynosili, pocieszali ich jak umieli. Patrząc się na dowody ich czułości, ktoby poznał tych ludzi tak krwawych, tak zaciętych z nieprzyjacielem uzbrojonym? A jednak czułość i waleczność z tegoż samego źródła wypływają.

Szwedzi wyzwoleni, dobroczynne ręce Polaków całowali, do nóg padali ich wdzom. Był to widok rzewny, a razem i miły dla zwycięzców. Jeden tylko Świerzecz na to wszystko był obojętnym, a nakoniec odszedł nieukontentowany, mrużąc pod nosem: — Póki to się bije, to zdaje się miéć męzkie serce, a po bitwie prawdziwe baby. Omal że nie płaczą z radości, że ten gad został przy życiu.

I rycerz Lizdejko nie czekał, aż ostatni Szwed wydobędzie się z nory; wyszedł żeby spisać korzyści, jakie oręż polski w dniu tym otrzymał. Korzyści były niewyrachowane. Oprócz Ogińskiego, któremu się udało około dwóchset koni wyprowadzić za sobą ku Brześciowi, gdzie się złączył z hetmanem Gąsiewskim, cały korpus generała Bedynga albo był wyprawiony w inny świat, albo był w niewoli polskiej. Mnóstwo koni i broni stało się łupem zwycięzcy. Nim

wieczór się zbliżył, goniec wysłany od Bielaka przybył do rycerza Lizdejki z doniesieniem, że już Rzędziny zajęte, że tam znalazł niepełna stu Szwedów, którzy przed nim broń złożyli. Wszystkie papiery generała Redynga wpadły w jego ręce, dziesięć armat zabrał, nie licząc pulwerkarów, wozów, amunicyi wszelkiego rodzaju, koni wierzchowych generała, i tak dalej. A oczekuje on jego rozkazów.

Rycerz Lizdejko poległym kazał wyrządzić ostatnią posługę. Dodał przy Potuszy widzieć można dwie mogiły: pod większą spoczywają kości Szwedów, pod mniejszą Polaków. A nazajutrz wyprawił Dawida Odyńca do Zamościa, gdzie król i generalność wedle najświeższej wiadomości mieli się znajdować. Własną ręką napisał do króla raport obszerny, i Odyńcowi powierzył, polecając go łasce króla jego mości. W nim po szczegółach opisał wszelkie korzyści, któremi Bóg pobłogosławił wojsko króla i Rzeczypospolitą, dodając, że zawsze wierne królowi, zawsze jest gotowe spełniać wszelkie jego rozkazy, i niczego nie pragnie, jak tylko jeszcze świetniej wywiązać się ze swoich obowiązków dla niego.

ROZDZIAŁ XXI.

Był to dzień pamiętny dla całej Polski, kiedy król Jan Kazimierz wrócony do kraju, po kilkoletniem wygnaniu odbywał wjazd do Brzeźcia, przywołany przez hetmana Gąsiewskiego, przynaglonego wołą obywatelstwa, któremu przewodził. Hetman wyjechał był do Sławatycz, gdzie król z naczelnikami konfederacyi Tyszowieckiej stał obozem. Tam padł do nóg królowi, oddając siebie i wszystko czém rozrządzał pod jego rozkazy. Król przyjął go nie tylko z łaską, ale z uprzejmością, nie szczędząc dla niego tych wyrazów uroczych, tak obowiązujących poddanego, a których tajemnicę władcy świata posiadają. Hetman Gąsiewski, kiedy przybył do Sławatycz dla przeproszenia króla, ulegał tylko potrzebie, bo klęski, które od niejakiego czasu rzesisto padały na Szwedów, przekonały go, że pokładać w nich jakieś nadzieje byłoby nieroztropnością; ale po odbytém posłuchaniu u króla, już nie tylko ulegał samym widokom polityki i oglądaniu się na szlachtę sprzyjającą królowi od niej wybranemu, ale nawet uczuł w sobie tę miłość, jaką poddany winien zachować swojemu panu, bez względu na jego dobrą lub złą dolę. I kiedy u nóg królewskich złożył tę buławę, której nie czuł się być godnym, a król mu ją znowu oddał, mówiąc: — że nie chce pozbawić rycerstwa litewskiego tak zna-

komitego hetmana, że mu za zbrodnię nigdy nie poczytywał, iż nie czuł się być obowiązany do posłuszeństwa królowi, który zmuszony okolicznościami opuścił był swoje królestwo, tém samém że jest wyrozumiały względem wszystkich tych, co zrażeni nieszczęśliwym oporem, ocalili swoje majątki, swoją wolność, a może i życie posłuszeństwem dla zwycięzcy, a przez to zachowali się dla lepszych czasów, które z miłosierdzia Opatrzności dla pobożnego ludu, już nakoniec wróciły. Wszystko więc co się w Polsce i Litwie robiło przeciw niemu, jako dzieło musu, puszcza w wieczne zapomnienie, a tylko zasługi poddanych nigdy mu nie wyjdą z pamięci. Nakoniec tuszył, iż hetman Gąsiewski, gdyby nawet miał sobie coś do wyrzucenia, wszystko tozdoła wynagrodzić, walcząc za dobrą sprawę. — A wyciągnąwszy rękę ku niemu dodał: — Mości hetmanie, podajemy waszmości naszą rękę na znak téj nieograniczonej ufności, z jaką wam na nowo powierzamy tę samą buławę, którą tak wielką sławą okryłeś pod świętej pamięci królem Władysławem. — Hetman powtórnie padł do nóg królowi, i rzekł z okiem zalaném łzami: — Najjaśniejszy Panie! słowa moje byłyby marne, ale poprzysięgam Waszój Królewskiej Mości, że odtąd jemu służąc, jeżeli śmierci nie znajdę, to pewnie nie będzie moją winą.

Po tém pojednaniu się z królem, hetman Gąsiewski przedstawił królowi swoich wodzów, uszczęśliwionych że przecie własnemu panu na nowo służyć będą. Król ich wszystkich corde et anima przyjął do łaski swojej i oświadczył im podziękowanie za przykład, jaki dają innym swoim rodakom, którzy jeszcze się ociągają z powrotem do prawego monarchy, ile że jest pewny, iż wkrótce i oni pójdą drogą przez nich wskazaną; a nazajutrz król zrobił swój wjazd do Brześcia.

Tłumy ludu, nietylko miejskiego, ale z całej okolicy, zebrały się dla powitania swojego pana, którego powrót nie był skutkiem usilności ludzkich, ale nastąpił wyraźną wolą Opatrzności. Król siedział na koniu, mając po prawej stronie Rewerę Potockiego, a po lewej Gąsiewskiego. W poczcie, który go otaczał, znajdowały się wszystkie znakomitości narodu, jako: Jerzy Lubomirski, Michał Pac, Tomasz Zamojski, Stanisław Lanckoroński, Prokop Sieniawski, Jan Sobieski, Maksymilian Fredro, Jan Krasieński i tylu innych mężów okrytych sławą wojenną, dzierżycieli pierwszych dostojęństw polskich i litewskich, których nazwiska we wszystkich wielkich wypadkach dziejów naszych zawsze spotykamy. Byli tam i mężowie przodków niewiadomych, ale którzy osobistemi czynami rozpowszechnili w narodzie swoje nazwisko, czy przybrane, czy rzeczywiste, ale wprzódki nieznanne, jako to: rycerz Lizdejko, Gaskold i Świerszcz, Ogar, Burczynucha i inni wodzowie oddziałów, zawsze wiernych królowi, a którzy jedni nigdy nie wąpili o jego szczęśliwym powrocie. Jednego tylko Stefana Czar-

nieckiego, owego największego bohatera konfederacji Tyszowieckiej, w tym dostojnym poczcie nie było widać. Miał on inne polecenia, które śpieszył wykonywać, łamiąc po drodze wszystkie przeszkody, jakie Szwedzi mu stawiali. A mając pod swojemi rozkazami niespełna trzy tysiące doświadczonych, a przez siebie wybranych wojowników, ów Scypion nowożytny opuszczał rodzinną ziemię, by boje i mordy przenieść do Szwecyi, a przez to od napadniętej ojczyzny tych najezdników odciągnąć, dla ratowania własnych ognisk i ołtarzy. Nastąpiło to wskutek przymierza za staraniem cesarza rzymskiego, zawiązanego między Janem Kazimierzem a królem Duńskim. Stefan Czarniecki, żegnając króla i przyjmując jego ojcowskie błogosławieństwo dla siebie i swojego rycerstwa, prosił go, aby rycerz Lizdejko mógł wziąć udział w jego wyprawie. Ale król na to nie zezwolił, oświadczając, że mu jest zanadto potrzebnym, aby go miał od siebie oddalić (*). Brześć samém położeniem swoim był stanowiskiem nader ważnym. Umiał to poznać król Stefan, i polecił Hejdenstejnowi umocnić go wałami. Sześć bastyonów broniło przystępu do miasta; w jednym z nich była jedyna brama, przez którą można było do niego się dostać. Tam oczekiwali króla, wedle starożytnego obyczaju ludów słowiańskich, z chlebem i solą, pochylony wiekiem Antoni Kossakowski, starosta Brzeski, na czele urzędników ziemskich i grodzkich i szlachty; wójt z ławnikami i mieszczaństwem, dalej kahał, gdzie się znajdował i Joś Dreczkier z synem swoim Godelem.

Przebiegły żyd wielkie pokładał nadzieje w planie, jaki był podał kniaziowi wojewodzie Dorohostajskiemu i generałowi Redyngowi. Niezszczęśliwego skutku tej wyprawy niczemu innemu przypisać nie mógł tylko wyraźnej opiece Opatrzności nad wojskiem polskiem, bo nawet późniejszej Godel ani przed nim, ani przed nikim nigdy się nie wymówił, że kiedy prowadził Szwedów, nie im, ale już przeciwniej stronie służył. Po tak uroczystym dowodzie, że Bóg sprzyja królowi polskiemu, i on nie chciał z tyłu pozostać, ile że niczego dla siebie spodziewać się nie mógł ze strony Szwedów, chyba kary za to, iż stał się poniekąd sprawcą ich klęski. Zaledwo więc doszła do niego wieść o endowném ocaleniu Potuszy, i że z tego pięknego wojska przewidzianego na zdobycie, część zasypana mogiłą, a reszta w polskiej nie-

(*) Tu zrobim nawiasem jedną uwagę: Niejednego obeznanego z dziejami dawniej Polski zadziwia, że tak mało pism mamy o tej epoce tak obfitej w wielkie czyny. Ale to wypływa z natury rzeczy. Im mniej pokolenie jest sposobne do czynów, tem więcej w niem jawi się zdolności do gadania i pisania. Mężowie czynu są zwykle małowówni, a jeszcze mniej piśmienni. Historia przekonywa, że okresy obfite w książki, jedna po drugiej rychło wychodzące z pod pras i rozchodzące się po znużonym społeczeństwie, zawsze były ubogie w czyny.

woli, postanowił ile będzie w jego możności, unikać i wojsk króla szwedzkiego, i tych któremi dowodził rycerz Lizdejko, zarówno lękając się tych dwóch ostateczności, alias szubienicy, do której, że już jego syn i swat musieli być przyczepieni, o tém bynajmniej nie wątpił. Ani mu było w głowie, że jemu znaczne summy należały się od króla szwedzkiego za rozmaite liwerunki, a tylko chcąc życie ocalić, jak najspieszniej przedarł się do hetmana Gąsiewskiego, u którego miał łaski, i dostał się do ojczystego Brześcia, w największym strachu oczekując, co Bóg o nim postanowi. Hetman go dobrze przyjął. W owych czasach bogaty liwerant był zawsze miłym gościem dla wodza, który dowodząc bitném rycerstwem, często nie miał czém opatrzyć jego niezbędnych potrzeb. Już hetman był uwiadomiony o tém, co się stało w Potuszy, a żyd po pierwszej rozmowie z hetmanem zaraz poznał, że on wcale jest niedalekim od oddania siebie z swojém wojskiem pod rozkazy króla i konfederacyi, byle się zapewnił, że królewska łaska zostanie mu wrócona. Już przed tém posłuchaniem nie uszło badawczego wzroku żyda, że w wojsku hetmańskim jawiło się sprzyjanie dla sprawy Jana Kazimierza, z którą od niejakiego czasu szczęście zdawało się być w zgodzie.

Joś Dreczkier słuchał w milczeniu półzwierzeń hetmańskich. Ani słówka nie pozwolił sobie wyrzec, bądź dla potakiwania, bądź dla zbitcia, bo sam nie wiedział, co z dwojga mogło być dla niego niebezpieczniejszém. Był między dwoma ogniami. Albo hetman dotrwa w wierności królowi szwedzkiemu, albo pojedna się z królem polskim. W pierwszym przypadku, wcześniej czy później do czeka się szubienicy szwedzkiej; w drugim, wpadnie w ręce rycerza Lizdejki, który za ten podstęp, o którym pewnie musi być uwiadomiony, że był przez niego insynuowanym, niezawodnie poczęstuje go szubienicą polską. Biedne żydzisko umysłem wisiało między dwiema szubienicami na powietrzu, jak trumna wielkiego oszusta arabskiego w Medynie. W tak niewygodnym dylemmacie, jego przekonanie nie mogło nie oscyllować. A jednak przechyliło się na stronę polską; raz, że żydzi mają dziwną zdolność do zwąchania, z której strony powiewa wiatr szczęścia; po wtóre, że każdy woli wisić pojutrze, niż dzisiaj.

Pokilkakrotnie był powoływany do hetmana, i z nim zawierał umowy o dostarczenie rozmaitych rekwizytów dla jego wojska, nie odmawiając mu kredytu, czém coraz głębiej wkorzeniał się w jego ufność. Wszakże nie wychodził z milczenia, ile razy hetman potęcał materyi pogodzenia się z królem. Dopiero kiedy przybył do Brześcia z żoną i dziećmi Godel, z którym nie spodziewał się spotkać na tym świecie, a ten go zapewnił, że rycerz Lizdejko najmniejszej sierdzistości nie zachowuje przeciwko tym ziomkom, co służyli i służą królowi szwedzkiemu; a tego dowód oczywisty w tém, że chociaż

wprowadził Szwedów do piwnicy teścia i został jeńcem ostrzeżonych nie wiedzieć jakim sposobem Polaków, jednak nie złego mu się nie stało i może oglądać ojca: Joś Dreczkier otwarcie się zdeklarował za stronę polską. A że w Polsce od dawna nic ważnego się nie robiło bez pośrednictwa jakiegoś żyda, bądź jawnego, bądź pokrytego płaszczem chrystyanizmu kłamanego, a więc Joś Dreczkier został osiã, na której się obracały wszystkie układy między królem a hetmanem. Ten ostatni poddał się bezwarunkowo królowi, ale jednak umiał się upewnić o jego względach. Sam jeden pojechał do Lublina, gdzie pierwszy raz tylko prywatnie złożył czolobitność; tam mu padł do nóg, oświadczając, że swoją głowę mu przynosi, gotów za rozkazem jego położyć ją na rusztowaniu, jeżeli nie da się przeprosić. Ale jak się powiedziało, nie chwycił się tego kroku, aż doskonale się upewnił od otaczających króla magnatów, że wszystko co nabroił przeciwko niemu, pójdzie w zapomnienie. I w samą rzecz, król nie mógł się pokazać twardym dla takiego, co w nadatku swojej wierności, którą uroczysto zaprzysiął w Sławatyczach, omal że nie całą Litwę mu przynosił, Litwę, która zawsze dla domu Wazów była mniej przychylna, niż inne prowincje rzeczypospolitój.

Nim nastąpiło to uroczyste pojednanie się króla z hetmanem, a pokład trwały jeszcze układy, które to pojednanie przygotowywały, już Dreczkier pokazał się i czynnym i zręcznym. Wszelkie listy hetmana do członków generalności, i tych odpowiedzi, on jeden rozwził z jedną do drugiej strony; latał z ustnemi poleceniami i zawsze się tak dobrze sprawiał, że skarbił sobie ufność i względy wszystkich przywódców partyi narodowej, tak dalece, że nawet Rewera Potocki, głośny z nienawiści, jaką miał dla całkowitego plemienia żydowskiego, oddawał sprawiedliwość jego zasługom. Później, to jest kiedy hetman Gasiewski akces do konfederacyi Tyszowieckiej podpisał w swoim i wojska swojego imieniu, Joś Dreczkier jeszcze wyżej postąpił, bo nie tylko panów rady, ale samego króla pozyskał względy, dając mu dowód największy, jaki żyd dać może, że pokłada wiarę w jego szczęście. Nie wahał się bowiem wejść w umowę z generalnością o przyjęcie na siebie obowiązku dostarczania niezwłocznie dla wojska polskiego potrzebnych koni i innych rekwizytów, na których mu zbywało, warując sobie opłatę swojej należności dopiero po uspokojeniu rzeczypospolitój. Prawda, że przy jednym ogniu, jak mówi przysłowie, dwie pieczenie chciał upiec, bo co go najwięcej skłoniło do borgowania Polakom, to właśnie, że na nich chciał odzyskać summy, należne mu od Szwedów, a które miał za przepadłe. I w umowie, jaką zawarł na te liwerunki z komisarzami królewskimi, zrobił ustępstwo tych summ dla skarbu rzeczypospolitój, zastrzegając sobie ich zwrot z ekonomów koronnych po ukończonej wojnie. Już więc odtąd Joś Dreczkier stał

się najgorliwszym sługą partji narodowej, gdyż był z nią tak związany, że o ile jęj pomyślność zapewniała mu niezmierne bogactwo, o tyle jęj upadek przyprowadziłby go do zupełnego ubóstwa; nie więc dziwnego, że skwapliwie śpieszył na spotkanie króla. A panowie rady i sam król przychylném skinieniem głowy i spojrzeniem uprzejmém dawali mu poznać, że są mu życzliwi.

Król ze swoim poczem udał się do klasztoru Ojców Bazylianów, gdzie mu hetman sporządził kwaterę, a to dlatego, że gdy król, mając przyjąć liczne obywatelstwo, skupione w Brześciu dla odnowienia jemu wierności, potrzebował sali obszernęj, więc przeznaczył mu tę, gdzie przed trzydziestu laty odbywał się sobór, na którym dzieło zjednoczenia dwóch Kościołów, przerwane we Florencyi, dało się dokonać w Brześciu za gorliwą usilnością Ojców zachodnich i wschodnich (*).

Jednak król nie poszedł do komnat jemu przeznaczonych, ale stanął przed cerkwią Stauropigialną, której klasztor był attyneneyą. U podwoi świątyni Pańskiej, na czele duchowieństwa, z krzyżem i mową, przyjął króla wielbny Atanazy Kiniewicz, biskup Włodzimierski a opat Brzeski, i zaprosił go do wysłuchania dziękczynnego Molebenu za jego szczęśliwy powrót do osierociałej tak długo ojczyzny. Pobożny król ukląkł przed carskimi wrotami, i klęcząc jednoczył głos swój ze śpiewem zakonników i kornego ludu. A dopiero po ukończoném nabożeństwie, za przewodem biskupa, z panami rady i swoim dworem, przez zakrystyą dostał się do sobornęj sali, przy której były komnaty jemu przeznaczone, a gdzie już hetman czekał go z obiadem.

Okolo dwóchset panów i szlachty siadło za stołem królewskim. W dawnych czasach uczta nie była jak teraz zbiorem ludzi innego celu nie mających, tylko nakarmienie i nabawienie siebie wydatkiem jednego. Zawsze do nięj mieszały się jakieś wyższe cele, odnoszące się bądź do losu prywatnej rodziny, bądź czasem do dobra całego kraju. Na nięj zawiązywały się małżeństwa, zjednoczenia poważniejszych domów, umowy między stronnictwami, kierunek następnych sejmików poselskich i deputackich. Ztąd prowadzenie uczty wymagało od gospodarza pewnej wprawy i zręczności, w braku których jęj cel byłby zupełnie chybiony. Uczta nie była wyłącznie biesiadą, ale zgromadzeniem w jakimś poważnym celu zebrańm; wszystko w nięj

(*) Rzecz dziwna! Społeczność polska słusznie była obwinioną o tego ducha niezgody, który nakoniec śmierć jęj zadał. A jednak w nięj dały się skutecznie dwa najdziwniejsze zjednoczenia, na stanowisku politycznym dwóch narodów obcego pochodzenia, a na stanowisku religijnym dwóch wyznań dotąd sobie przeciwnych. A co dziwniejsze, jest-to fakt, nad którym żaden dziejopisarz ani narodowy, ani obcy się nie zastanowił.

było ważne, a tém samym pewnym prawidłom uległe, — prawidłom, których zaniedbanie niezawodnie ściągnęłoby niechęć i gniew przy najmniej jakiejś części towarzystwa (*). Jeżeli przyjmowanie nawet prywatnych gości takiej ostrożności wymagało ze strony gospodarza, cóż dopiero, kiedy miał szczęście ngaszczać pana i ojca narodu? Hetman Gąsiewski z każdego względu był mistrzem téj wówczas tak znaczącej nauki, i to mu dawało tyle popularności w narodzie, ile jego czyny rycerskie wywyższyły jego sławę nad wszystkich wodzów litewskich, że aż uwieńczone zostały wielką buławą. Dał tego dowód na téj uczcie Brzeskiej, której pamięć dotąd jeszcze się zachowuje w podaniach niektórych starodawnych szlacheckich domów na Litwie, gdyż węzeł zgody między królem a szlachtą Litewską, dotąd mu przeciwną, dopiero zawiązany, tak się tam zacisnął, że nim się ucza skończyła, jużby król nawet w Małej Polsce wierniejszego i więcej poświęconego dla siebie poddaństwa nie znalazł.

Wedle obyczaju polskiego, w przytomności króla, innego uroczystego zdrowia oprócz królewskiego nie obchodzono kielichem. Szlachta siedząca za stołem, jeden za zdrowie drugiego spełniał kielich niewidocznie, dając mu poznać lekkim skinieniem głowy swoją życzliwość. Ale kiedy hetman przy kończącym się obiedzie przystąpił do króla z kielichem, i klęcząc go wypróżnił za Najjaśniejszego zdrowie, było widziéć zapal szlachty, jak klękała przed królem, prosząc o jego ojcowskie błogosławieństwo; jak mu przysięgała, że Szwedów wymiecie co do nogi za jego przywództwem, i jak go przeproszała, że przez czas jakiś ulegała Szwedom, nie z powodu jakiejś skłonności, ale że w tych zamieszaniach była zwątpiła o szczęściu prawego swojego monarchy, którego Bóg nakoniec powrócił, zmiękczony jój gorącemi modłami.

Król okazał się i rozczulonym i uradowanym, zawierając poniekąd nowe przymierze ze swoimi poddanymi. Oświadczył im, że nawet w ciągu swojego wygnania nigdy nie wątpił o ich przywiązaniu dla siebie; że nikomu za złe nie poczytuje, iż dla osobistego bezpie-

(*) Ta etykietalność wzajemna między gospodarzem a gośćmi nawiedzającymi go, zachowywała się w naszym obywatelstwie jakiś czas nawet po podziale kraju. Kto się w czémkolwiek z nią omijał, uchodził za prostaka. Dający więc ucztę, nie spuszczać się na własne doświadczenie, zawsze się starał mieć na niéj przyjaciela świadomego doskonale tych prawideł, a przytomnego, bez którego rady ani kroku nie robił. Ten układał porządek toastów, tańca polskiego, a nawet jakie i komu z kolei miał grzeczności powiedziéć. Sam jeszcze znałem osobiście kilku takich mistrzów ucztowych, ani możnych, ani zaszczyconych urzędem, o których przyjaźń magnaci się starali, ażeby ich mieć gotowych, ile razy im wypadało zgromadzić u siebie obywateli. Kto nie zaopatrzył się podobnym mistrzem, narażał się na waśnie z swoimi gośćmi i niechęć obywatelstwa.

czeństwa ulegał okolicznościom, a wszystko co się robiło w jego niebytności przeciwko niemu, już jest zapomniane, i tylko zasługi miłych poddanych nigdy mu nie wyjdą z pamięci. Jeżeli jeszcze ma między nimi jakiego przeciwnika, nie tylko że przeciw niemu nie czuje sierszistości, ale niczego nie pragnie, tylko przycisnąć go do swojego ojcawskiego łona. Nakoniec powiedział im: — Jutro powracam do obozu, a ztamtąd za natchnieniem Bożém pośpieszę, przy dzielnej pomocy mojego rycerstwa, oswobodzić resztę kraju. Resztę tego dnia z wami chcę przepędzić. — Temi słowy do reszty zniewolwszy szlachtę, wstał od stołu wraz ze wszystkimi biesiadującymi, i poszedł z nimi na drugi koniec sali.

ROZDZIAŁ XXII.

Podczas gdy hajducy i pajuki hetmańskie wynosili stoły, i składali ich nakrycie, król rozmawiał z wodzami, a szlachta oświecona, przyrodzoną Polakom delikatnością, trochę opodał od nich stała, żeby nie przeszkadzać poufniej rozmowie.

Hetman między innymi, których przybliżał do łaski królewskiej, przedstawił mu tego samego Ogińskiego, któremu jednemu się udało ze swoją chorągwią ocalić od kłęski szwedzkiej przy Potuszy. Kiedy on padł do nóg królowi, ten mu powiedział:

— Wiem od rycerza Lizdejki, jak mężnie popisałeś się waszmość pod Potuszą; dzielność wszędzie gdziekolwiek się okaże, zasługuje na szacunek mężów rycerskich. Tuszę, że wkrótce waszmości męstwo stanie się pożytecznym dla nas i dla kraju.

— Najjaśniejszy Panie — na to Ogiński — co do dzielności, jaką mi łaskawie przyznaje rycerz Lizdejko, jemu samemu winienem tę pochwałę zwrócić. Bo jeżeli z pod Potuszy udało mi się wycofać z moją chorągwią, którą Bóg zachował dla usług Waszjej Królewskiej Mości, to jedynie nastąpiło, że rycerz Lizdejko, jako prawy obywatel obrócił gonitwę przeciwko obcym, a swoich ziomków zaniechał o zgubę przyprowadzić. Teraz dopióro, walcząc za moim prawym panem, da Bóg, że zasłużę na pochwały Waszjej Królewskiej Mości.

— Nie, nie, Najjaśniejszy Panie — odezwał się rycerz Lizdejko — pan Ogiński mówi to przez skromność, która zawsze towarzyszy prawdziwej dzielności. Ale ja winienem tę sprawiedliwość oddać, że walczył jak lew przeciwko mnie, i gdyby Szwedzi byli poszli za jego radą, ich strata skończyłaby się na tych, co dali się złowić w podziemnym kanale, a co tylko było w otwartym polu, ochroniłoby się od naszej

pogoni, tak jak jego oddział. Ale wierzę, że to jest niczem w porównaniu tego, co zrobi walcząc za Waszą Królewską Mością. Bo jeżeli pokazał się tak dzielnym dla złej sprawy, cóż dopiero, jak wystąpi w sprawie narodu i prawego pana!

— Ani o tém wątpię — odrzekł król — już nazwisko które nosi, jest mi na to dostateczną rękojmią. Ojciec waszmości, pan wojewoda Trocki, był kiedyś moim przyjacielem. Wiele mię boli, że nie widzę go między tymi, z którymi tu się pojednałem. Radbym, żeby go kto upewnił, że jakkolwiek się opóźnia, zawsze go przyjmę z otwartemi ramionami.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł hetman Gąsiewski — pan wojewoda Trocki długo się opierał najazdowi szwedzkiemu, i sumiennie winienem dać mu świadectwo, że dłużej od nas dotrwał w wierności dla Waszj Królewskiej Mości. Dopiero kiedy już wszelką nadzieję utracił, poszedł za naszym przykładem, który radzibyśmy naszym żywotem zetrzeć z pamięci ludzkiej. Teraz nie śmie oczów pokazać przed naszym pomazańcem. W tém jest mniej śmiałym od nas winniejszych od niego, a którzy jednak tulimy się do naszego miłosiernego króla.

— I wiecie waszmościom jesteście wdzięczni, żeście poznali nasz sposób myślenia. Zresztą oświadczyliśmy wam dopiero, że tylko zasługi naszych miłych poddanych nigdy nam nie wyjdą z pamięci, a o żadnego z nich przewinieniu wiedzieć nie chcemy. Pan wojewoda Trocki może być pewny, że jak do nas przybędzie, i my, i ci co pragną zachować naszą łaskę, o niczem przed nim mówić nie będziemy, tylko o dawnych jego usługach dla Rzeczypospolitej, i w obozach i na sejmach. I naszym jest życzeniem, mości wojewodzicu, byście o tém uwiadomili waszego rodzica.

— Po tak łaskawej dla mojego ojca odezwie Waszj Królewskiej Mości, jakkolwiek i wiekiem i pracą są stargane jego siły, z młodzieńczą rześkością będzie szukał naszego pana, żeby mu paść do nóg.

— A gdzie teraz się znajduje?

— W Wilnie, Najjaśniejszy Panie.

— A więc waszmości polecam zawieść mu nasze przebaczenie królewskie. Powiedz mu, że go zapraszamy, ażeby jak dawniej, tak i teraz był zawsze naszą wierną radą.

Ogiński powtórnie padł do nóg królowi, który mu podał ręce do pocałowania.

Po krótkim milczeniu, król obracając się do pana Gąsiewskiego, rzekł:

— Mości hetmanie, możemy z sobą pomówić otwarcie, bo tyle ufamy naszym miłym poddanym tu zebrany, że nie tajnego przed

niemi mieć nie chcemy. Mamy dowód wierności naszej szlachty Nowogrodzkiej i Brzeskiej. Ale w nich dopiero cząstkę Litwy widzimy. Do waszmości należy resztę pojednać z królem swoim. Tyle pokładamy nadziei i w świętość naszej sprawy, i w pomoc Boga, którego łaski od niejakiego czasu tak świetne mamy dowody, że śmiało puszczamy wodze nadziei, iż wkrótce ci oblężani Litwini, których radzibyśmy jak najspieszniej przytulić do naszego ojcowskiego łona, dadzą się przekonać, że szczęście i sława narodu są ściśle połączone ze szczęściem i sławą jego prawego pana. Lecz jeżeli ta nadzieja nas pokrzepia w naszym zawodzie, ona nas nie zaślepia. Tań przed sobą nie możemy, że kilku znakomitych panów litewskich, statecznych w niechęci przeciwko Majestatowi naszemu, a nie zrażonych klęskami, które od niejakiego czasu Bóg dopuścił na Szwedów przez walecznych a wiernych naszych poddanych, dotąd im służą i nie przestają im zanosić w ofierze i zdrowia i dóbr swoich. Północne województwa Litewskie zwłaszcza, są zamieszkałe przez ich stronników. Przewidujemy, mości hetmanie, że będziesz miał wiele do czynienia, nim Żmujdz, Trockie i Wileńskie przyprowadzisz do posłuszeństwa; że będziesz potrzebował całego swojego wojska, dla prowadzenia wojny domowej, ze wszystkich najstraszniejszej. I to nam na rękę nie idzie, bo naszym jest zamiarem jutro wyruszyć z rycerstwem ku Mazowszu, dla odzyskania naszej stolicy. Waszmości wojsko bardzoby nam było przydatne do tych zapasów, które nas czekają ze Szwedami, gdyż wiemy, że oni wszystkie siły swoje natężą, dla zachowania Warszawy, a jednak nie śmiemy osłabiać waszmościnego obozu, który co kroku może będzie miał do czynienia z nieprzyjacielem licznym, a mogącym ciągle posiłki mieć z Infant.

— Nie wierz temu, Najjaśniejszy Panie. Nieprzyjaciel niewiele może rachować na Litwę; wszakże dotąd miałem najwyższe dowództwo nad wszystkimi siłami Litwy, połączonej z królem szwedzkim. Co w nich było najsposobniejszego do wojny, wraz ze mną odnowiło przysięgę wierności Waszej Królewskiej Mości. Reszta zajmuje zamki rozsypane po kraju. Niektóre z nich bezwątpienia są obronne, tak, że długie oblężenie mogłyby wytrzymać: jak np. Troki, Wilno, Birze, Kiejdany, Jurbory i inne, ale niektóre za moim pokazaniem się otworzą bramy. Pierwsze Wilno, gdzie mój zięć Oskierka w moim imieniu daje rozkazy, toż i inne, które nie będą głuche na głos swojego hetmana. Zamki księcia Radziwiłła, marszałka wielkiego Litewskiego, jedne mogą dotrwać w oporze, ale i na to znajdzie się rada. Wreszcie ludzie zamknięci w murach, moim działaniom przeszkody skutecznej nie postawią. Mam tu cztery tysiące żołnierza z sobą; zostawię przy sobie moją chorągiew hetmańską i pułk lekki Tatarów, co wszystko pięćuset głów nie przenosi i z nimi pójdę uspokoić Litwę,

a resztę mojego wojska oddaję Waszój Królewskiej Mości, żeby wraz z Małopolanami i Rusinami pośpieszyli wprowadzić do swojego zamku naszego pomazańca. A co do mnie, tylko z Radziwiłłowską milicyą spodziewam się mieć do czynienia.

Tu się wmieszał do rozmowy pan Jerzy Lubomirski, hetman polny koronny.

— Jeżeli — rzekł — opór księcia Bogusława Radziwiłła ma być jedyną przeszkodą do zupełnego uspokojenia Litwy, mogę powinszować Waszój Królewskiej Mości i nam wszystkim, a zwłaszcza jego mości hetmanowi wielkiemu Litewskiemu, zupełnej pomyślności bez krwi przelewu. Gdyż temi dniami jeden szlachcic, z liczby tych co są posłuszni rycerzowi Lizdejce, który niedawno zaciągnął się do jego chorągwi, a już dzielnie pokazał się pod Potuszą, nader pocieszające wiadomości przywiózł mi z téj strony. O tém Wasza Królewska Mość łatwo możesz się przekonać, gdyż go w téj sali widzę między naszym rycerstwem. Nazwisko jego Odyniec znane jest na Litwie. On był dworzaniem księcia marszałka wielkiego Litewskiego, mojego powinowatego, a niegdyś ścisłego przyjaciela. Nie tylko że do nas przystając nie poszedł na przekór jego woli, ale poniekąd był do tego od niego samego upoważnionym. Długośmy rozmawiali ze sobą semotis arbitris dnia wczorajszego, a dziś zabierałem się jurata fide to, co mi powiedział, komunikować Waszój Królewskiej Mości, jako rzecz największej wagi w niniejszych okolicznościach.

— I cóż waszmości powiedział, mości hetmanie polny koronny?

— Oto, że pan marszałek Litewski jemu zalecił mnie szukać, żeby mi oświadczył w jego imieniu, że nie przestaje tęsknić za swoim panem; że nie jest tak dalece związany ze Szwedami, aby ich nie mógł opuścić, byle był pewny, że dawna łaska Waszój Królewskiej Mości przy zupełném przebaczeniu zostanie mu wróconą.

— O tém nie powinien wątpić. A gdyby nawet mściwość była w naszym przyrodzeniu, on jeden nie miałby powodu jęć się obawiać. On nie wie jeszcze, ile mamy obowiązków dla jego domu; czas byście wszyscy o tém wiedzieli.— Rycerzu Lizdejko, kłamane nazwisko, któreś dla siebie przybrał, tak zostało uświetnione twojami bohaterskimi czynami, że bezwątpienia musi być dla ciebie drogą. Wszakże musisz je zrzucić z siebie i powrócić do twojego własnego, w dziejach naszego narodu już tylekrotnie okrytego chwałą, a które nowym blaskiem oświeciłeś. Znieważyłbyś popioły twoich wielkich przodków, gdybyś dłużej tał ich nazwisko, tém więciej, że pragniemy zbliżyć się do twojego ojca, który tém chętniej powróci do swoich obowiązków, gdy się dowie, że jego syn szlachetnym przykładem do tego utorował mu drogę.

Tu król dał znak, żeby rycerstwo i szlachta przy drugim końcu sali zebrana do niego się przybliżyła. A gdy rozkaz pański został spełniony:

— Mości panowie—rzekł do nich, pokazując rycerza Lizdejkę — oto macie przed sobą Księcia Olbrachta Radziwiłła, jedynego syna księcia marszałka wielkiego Litewskiego. Ten zacny młodzieniec, gdy kończył nauki pod opieką dostojnego wuja elektora Falcgrafa Reńskiego, nie był głuchy na jęki swojej rodzinnej ziemi. A lubo wszystko jój zapowiadało nieodzowny upadek, kiedyśmy żyli na wygnaniu, a wszyscy nasi poddani już karki byli uchylili przed zwycięzcą, tak że nam nic nie zostawało, oprócz kilku walecznych ale mało licznych oddziałów, których wodzowie tu stoją między nami, — oni jedni nigdy zachwiać się nie dali w wierności swojej dla rzeczypospolitej i Maje-
statu naszego, ani utracili nadziei naszego powrotu, który można powiedzieć, że za ich sprawą nastąpił. Bo i konfederacya Tyszowiecka skutecznieby się podnieść nie mogła, gdyby te oddziały, rozsypane po kraju, nie były jój zapewniły gotowych nasion mężnych i doświadczonych wojowników. Nim nadejdzie pora, że będziemy mogli naszą wdzięczność wam okazać, przyjmcie, dzielni wodzowie, wywołani od najezdników, nasze podziękowanie, — i dowiedzcie się od waszego króla, kim jest ten wasz kolega, który waszą ufność tak umiał pozyskać, że ile razy który z waszych przypadkiem się z nim złączył, zawsze własnej chęci był mu posłusznym. On, lubo jego cały dom, wraz z jego rodzicem, ulegli zwyciężkim Szwedom i wierność swoją do ich króla przenieśli, pospolu z wami ani chwili nie zwątpił o świętości naszej sprawy. Kiedy sami na wygnaniu, w gościnnym Szlązku, zaczęliśmy upadać na duchu, widząc jak wszystko się od nas odwróciło, jakież było nasze radosne zadziwienie, gdy do nas przybył ten książę ze swoim nauczycielem, uczonym Oldenkopfm, ofiarując nam swoją wierność i usługi. Zapal jego młodzieńczy ożywił w nas już gasnącą nadzieję. Niedługo u nas się zatrzymał; na granicy Szlązka z Polską zebrał oddział ochotników, utaił swoje rodowite nazwisko, a co pod imieniem Lizdejki dokazywał, wam wszystkim jest wiadomo. Od niego zaczęń opłacać dług wdzięczności, jaką wam wszystkim winienem, dzielni dowódcy oddziałów, którzy walczyliście za prawem waszego króla od wszystkich opuszczonego. Generalstwo artylerji Litewskiej od dwóch lat wakuje. Tobie, mości książę Olbrachcie, to dostojęństwo przeznaczam, i w całym naszym wojsku ani jeden nie znajdzie się taki, któryby nie był uradowany tym naszym wyborem, którym zadość czynimy i jemu i sobie.

Książę Olbracht ukląkł przed królem i ucałował rękę dobroczynną; swojego pana, a wszyscy przytomni w tej sali połączyli swoje dzięk-

czynienia do téj oznaki wdzięczności dla ulubionego i zasłużonego kolegi.

Na znak dany przez króla, książę powstał i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie, w téj chwili jestem szczęśliwszy łaską Waszój Królewskiej Mości, niż inni moi koledzy, ale ciężkim grzechem obciążylbym moją duszę, gdybym przyznał się do wyższych zasług nad te, które oni nabyli nie tylko po społu ze mną, ale i wprzódy, nim miałem zaszczyt być ich kolegą. Jeszcze z moim Oldenkopfem, który potem pod imieniem Domarata był moim nieodstępnym towarzyszem w każdej potrzebie, śleczyłem nad książkami bez pożytku dla Waszój Królewskiej Mości, kiedy już oni, walcząc za jego sławę, byli postrachem Szwedów i ich sprzymierzeńców. Jeżeli ja, który poszedłem za ich przykładem, tak świetną otrzymuję nagrodę, na jakąż oni nie zasługują, którzy mi ten przykład dali? Nawet ta moja skwapliwość do opuszczenia dworu mojego wuja, by się z nimi połączyć, nie jest w zupełności moją iścizną. Miłość, jaką czuję dla panującego nad naszą rzeczpospolitą szlachecką, jest skutkiem wychowania, jakie przyjąłem w rodzicielskim domu od czasu niemowlęstwa, a którą przy wyższych naukach rozplomienił mój poczciwy Oldenkopf, który tu będąc przytomnym, niech raczy przyjąć hold wdzięczności, jaki w obliczu sterników narodu, w przytomności samego króla, ośmielam się mu składać. A jeszcze jest inny, prawdziwie bohaterski sługa Waszój Królewskiej Mości, który winien wziąć udział w pochwałach i łasce, któremi dopiéro, miłościwy królu, raczyłeś mnie zaszczyścić, a który wraz z zemną na Szlązku złożył także hold wiernego poddaństwa. Wiadomo już Waszój Królewskiej Mości, że kiedy jeszcze się wahałem, czy mam opuścić Manheim, by stanąć za moim panem bez przyzwolenia moich rodziców, on to wahanie moje rozproszył, przekonywając mnie, że chwili nie mam do stracenia. Winienem wyznać, że on umyślnie udał się do Manheim, by mnie ztamtąd wywieźć na grunt ojczysty. On mi dopomógł zebrać hufiec ochotników, na czele którego miał szczęście zasłużyć na względy Waszój Królewskiej Mości. On podzielał wszystkie moje trudy, i to pewna, że Bóg przy szczęściu Waszój Królewskiej Mości ani jedném mnie nie pobłogosławił zwycięstwem, żeby z niego słuszny udział jemu nie przynależał. A pod Potuszą zręczny jego obrót to sprawił, że całe wojsko Redynga, przez nas na niego rzucone, broń złożyło przed naszymi orłami. Oto masz przed sobą, miłościwy panie, tego Gas'olda, a raczej kniazia Dorohostajskiego, który od rodzzonego swojego stryja, wojewody Witebskiego, najzaciętszego wroga Waszój Królewskiej Mości i skonfederowanej rzeczypospolitej, został wyzuty z majątku i z imienia. A chociaż na nieszczęście stryj jego jest moim szwagrem, błagam przeciwko niemu.

sprawiedliwości u Majestatu twojego, za moim przyjacielem i bratem broni.

— Mości generale artylerji Litewskiej, te okoliczności są nam wiadome. Radziłyśmy wszystkich dotąd niechętnych nam poddanych przycisnąć do naszego ojcowskiego łona, i przyjąć ich, jak ojciec przypowieści ewangelicznej marnotrawnego syna. Puszczamy w niepamięć to, czego przeciwko naszej osobie się dopuścili; ale wojewoda Witebski w innym jest położeniu. Wabamy się w przyznaniu sobie prawa, odpuszczać krzywdy, jakie nie przestawał wyrządzać naszym poddanym; iluż ich padło ofiarą jego okrucieństwa! Ze wzdargą wszelkich praw ludzkich i honoru rycerskiego, bezbronych jeńców mordował, których krew o pomstę do Boga woła. Bądź pewny, mości generale artylerji, i waszmość, mości kniazju Wojciechu, że swego czasu sprawiedliwości otrzymacie. W każdym względzie wojewoda Witebski jest jedyny z pomiędzy wszystkich przestępców stanu, który bezwarunkowego przebaczenia obiecywać sobie nie może. A nam zostawcie układ tych warunków.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Ogar — z przeproszeniem księcia generała artylerji, jego niegodziwy szwagier nie zasługuje ani na bezwarunkowe, ani na warunkowe przebaczenie Waszej Królewskiej Mości. Dla tego człowieka nie ma nic świętego. I my nie baranki; okrzyczano nas za okrutników. Ale cóż było robić? żyliśmy z tego, co nam udawało się orężem zdobyć; rabunek był naszym całkowitym żołdem; nasze kulbaki były dla nas jedynym przytulkiem; nie mieliśmy ani zamków, ani okopanych schronień do umieszczenia naszych jeńców. A że naszych Szwedzi i ich przyjaciele wieszali, nie obciążało naszego sumienia, że czasem oddawaliśmy za swoje. Ale bez potrzeby nigdyśmy się nie pastwili nad nieprzyjacielem bezbronnym. Po zdobyciu Dolskiego zamku, rycerz Lizdejko mnie go oddał; czyż choć jeden z podwładnych i poddanych kniazia wojewody z mojej strony najmniej krzywdy doświadczył? A kiedy on piekielnym konceptem wyparował mnie z zamku, wszystkich moich chorych powywieszał. To potwór, to zwierz. Jeżeli jemu jaki członek zostanie w całości, to już w Rzeczypospolitej pożegnać się trzeba ze sprawiedliwością.

Na ten wyskok żołnierski król się zmarszczył, a Ogar, poznawszy przecie, że za daleko się posunął, cofnął się między szlachtę.

Królewskie oblicze wkrótce się wypogodziło; obrócił mowę do szlachty i rzekł:

— Mości panowie, dotąd dzielni wojownicy, którzy jeszcze przed zawiązaniem konfederacji Tyszowieckiej na czele swoich ochotników opierali się Szwedom, tają swoje rodosłowne nazwiska. Jeżeli nie *chcieli* się do nich przyznawać, to z obawy, żeby nie były splamione

haniebną śmiercią, jaką najezdnik im przeznaczył, gdyby żywcem wpadli w jego ręce. Dziś podobna obawa byłaby bezzasadną, bo nasze zamki małopolskie tak są pozapelniane jeńcami szwedzkimi, między którymi nie mało ludzi stopniowych, że przez myśl nie przyjdzie żadnemu dowódcy szwedzkiemu pastwić się na kimbądź z naszych, któryby się dostał do jego niewoli, wiedząc dobrze, że zdradzieckie zamordowanie każdego z naszych odwetowaneby było z naddatkiem. A zresztą, kiedy po tylu niefortunnych kolejach doczekaliśmy się stateczności w powodzeniu, kiedy już nadeszła pora, że trzeba pomyśleć o wynagrodzeniu tych, co z takim poświęceniem bronili naszej sprawy, niechże przynajmniej wiemy, kogo mamy przypuścić do udziału łask naszych. Wedle praw tej Rzeczypospolitej, których jesteście stróżem, tylko szlachcic jest zdolny do piastowania urzędu, lub otrzymania królewskiej, a plebejusz ma tylko prawo domagać się o klejnot szlachecki, który jego zasługom nie może być odmówiony. Oświećcie nas, mości panowie dowódcy oddziałów wolnych ochotników, kogo z was mamy uszlachcić? a kogo obdarzyć chlebem przeznaczonym dla zasłużonej szlachty? Tyleście wsławili kłamane wasze nazwiska, że mogły się już stać dla was drogiemi; wszakże czas, żebyście wrócili do własnych, już od przodków waszych wsławionych, idąc za przykładem księcia Radziwilla i kniazia Dorohostajskiego.

Najpierwszy przybliżył się do króla Ogar. Nizko schyliwszy głowę rzekł:

— Najjaśniejszy panie, poddając się woli Waszjej Królewskiej Mości, żegnam na zawsze nazwisko Ogara odemnie wymyślane, żeby mi przypominało moje powołanie, kłaniania Szwedów, jak ogary dzika. Teraz staję w mojej własnej postaci, a błagam Waszą Królewską Mość o instancję do mojego ojca, żeby mi odpuścił, że na kołku zawiesiłem nazwisko, z którego tak się pyszni. A przecie byłoby mu jeszcze dotkliwiej, gdybym z mitrą książęcą był przyczepiony do szubienicy, na wypadek wpadnięcia w niewolę szwedzką. Mój ojciec ma zaszczyt być znanym Waszjej Królewskiej Mości; był kiedyś pułkownikiem chorągwi świętej pamięci króla Zygmunta III, a teraz jest podkomorzym województwa Braclawskiego.

— Jakto! waszmość miałbys być synem księcia Czetwertyńskiego?

— Nie inaczej, Najjaśniejszy Panie. Mój ojciec, zawsze wierny poddany i sługa Waszjej Królewskiej Mości, nie zważając na swój wiek podeszły, opierał się ze swojemi nadwornemi żołnierzami Chmielnikiem, a zawsze nieszczęśliwie, aż nakoniec został jego jeńcem. A jednak ów srogi najezdnik szlachty z nim po ludzku postąpił, bo wiedział, że był od niego do chrztu trzymanym, co było mojemu ojcu wyszło z pamięci. Żadnej mu szkody ani na osobie, ani na majątku

nie wyrządził, tyle tylko, że wymógł na nim podpis, że spokojnie siedzieć będzie w swoim zamku Kitajgrodzkim, i że już nie będzie mieszał się do wojny. A sam przykazał swojemu kozactwu, żeby żadnych jego dóbr nie zajmowało. U nas wyznawców wschodniego obrządku, kumostwo jest wielką rzeczą, kozacy wokolo nas wszystko pustoszyli, ale co tylko należało do ojca chrzestnego ich hetmana, było dla nich święte jak sprzęt cerkiewny. To też zamek Kitajgrodzki był schronieniem wiernych Waszój Królewskiej Mości obywatelów, wystawionych na sztych rozbrykanego poddaństwa. Sam hetman razu jednego przybył do nas w gościa. Mój ojciec go przyjął jak zwyczajnie się przyjmuje takiego, którego wola jest najwyższem prawem. A to był człowiek, któremu straszno było w oczy spojrzeć. Jeszcze to wtedy chwalił świętej pamięci króla III, a zwłaszcza króla Władysława, dodając, że gdyby ten król nie był umarł, nigdyby nie powstał na rzeczpospolitę. Ale że pod panowaniem Waszój Królewskiej Mości nie ma rady dla narodu ruskiego innéj, jedno tylko w mieczu. Wszyscy przytomni na to milczeli, ja że już byłem wyrostkiem, śmiałem mu się oprzeć, czém nie mało strachu nabawiłem mojego ojca, i od niego zostałem strofowanym, że się wdaję w nieswoje rzeczy. A hetman wtedy powiedział: — kniazin podkomorzy, a mój ojciec chrzestny, ty jesteś kniazinem ruskim i jednéj z nami wiary. Dlatego zlachy co otaczają króla nie dopuszczają ciebie do senatu. A ja i moi ciebie szanujemy, bo wiemy, że ty słowa nam zaprzysiężonego nie złamiesz, i przeciwko nam niczego knować nie będziesz. Ale pilnuj awojego syna, bo jak widzę już go zlachy obalamucili. A jak do nich przystanie, a moi go złapią, to nie zważając na nasze kumostwo a jego mitrę, bez najmniejszego wahania go powieszą. — To kiedy hetman nas odjechał, pilnowano mnie w domu, żebym nie uciekł, a nie upilnowano. Bo udało mi się podmówić kilkunastu dworskich, i ze trzydziestu szlachty czynszowej w Kitajgrodzkiej włości osiadłych, i jednéj nocy wypróżniliśmy i stajnię i zbrojownię ojcowską, a potem w dalszy świat. A że pan Bogdan zapowiedział, co mnie czeka jeżeli mnie złapią, to i ja jego molojców nie bardzo oszczędzał. Człowiek się wdroił do wojaczki, pięć lat nie rozstając się z kulbaką, trzeba być wielkim gapiem, żeby się nie nauczyć rzemiosła, a tak się do niego przywykło, że aż strach pomyśleć, że może nastąpić pokój w rzeczpospolitęj, i że przyjdzie człowiekowi kopy liczyć w Kitajgrodzie. Kiedy o tém pomyśli, aż mrowie po ciele przechodzą. Niech powie rycerz Lizdejko, a raczój książę generał artylerji, czy widział, żebym nie złamał nieprzyjaciela, ile razy na niego natarłem. Toć to tak się ludzie przemieniali w mojej chorągwi, że z tych kilkadziesiąt co ich wyprowadziłem z domu, ledwo kilku zostaje, a jednak chorągiew lepiój jest pokryta, niż kiedy wyszła z Kitajgrodu. U nas o żołnierza

nietrudno. A dobrze policzywszy, za każdego z moich com utracił, pewnie dziesięciu nieprzyjaciół poległo. Ani kozak, ani Tatarzyn, ani Szwed, ani Węgier nigdy mnie nie zastraszył, a jednak baby mnie zwojowały.

— A to jak? — rzekł król śmiejąc się.

— Nieinaczéj, Najjaśniejszy panie, a to tak się stało. Książę, te-
rażniejszy generał artyleryi, miał nad nami dowództwo, kiedyśmy
zdobywali zamek Dolski; rzecz poszła gładko. Książę mnie go zdał,
a sam poszedł. Myślę sobie, człowiek przywykł wojować w czystém
polu, a nie wie czy potrafi bronić się za wałami; ale cóż robić? co wyż-
szy każe, niższy musi brać na kiel, żeby to wypełnić, a zresztą były
tam złożone skarby, których połowa po Bożemu jest własnością na-
szego Gaskolda, alias kniazia Wojciecha Dorohostajskiego, w którego
imieniu byłem objął zarząd zamku i dóbr do niego przynależących.
Książę rzekł do mnie: — Ogarze, połowa tych skarbów, jako własność
mojego stryja, winna być świętą i nienaruszoną, a druga, że jest moją,
tobie ją ofiaruję na utrzymanie twoich żołnierzy. Było z nich coś na
wierzchu, ale ludzie mówili, że było tego mnóstwo zakopane. Czy
człowiek trafi do Kitajgradu czy nie, dobrawszy się do takich bogactw
oto nie wieleby dbał. Powiedziałem sobie: będę się trzymał do upa-
dłego, a wcześniej czy później trafię na miejsce, gdzie te skarby są
złożone; na milicję kniazia wojewody mogłem rachować, bo ona
w całkowitości przeszła była na stronę jego synowca. To téż kiedy
napadł książę wojewoda na mnie z siłą o kilka razy większą od mojej,
grzecznie ofiarował mi za poddanie się, żywcem obedrzeć ze skóry; ja
mu nabiłem tyle ludzi, że odstąpić musiał. Ale nazajutrz przed świt-
em dają mi znać, że znowu zabiera się uparty wojewoda nas szturmo-
wać. Biegnę na wały, aż widzę baby uszykowane, które przystawiają
drabiny. Co to jest? A do kądzieli baby! przywitać mi to rusznicą!
Ale... to były żony kozaków zamkniętych ze mną. Kozacy nie słu-
chają, chociaż im powiedziałem, że każdemu za jedną molodyce swoją
którą położy, dam dwie na wybór z całego księstwa Dolskiego, a było
z czego wybierać, bo kilkadziesiąt wsi należy do Dolska. Gdzie tam!
kozacy już co żywo otwierają bramy swojemu dawnemu panu. Żle,
zbieram moich, bo oprócz nich każdy skrewił. Już mi nie były w gło-
wie skarby zamkowe, a tylko chciałem uwieźć moich chorych. Ale
i to mi się nie udało. Bo ten utrapiony wojewoda zastąpił mi drogę
z chmarą swoich rozbójników. Co złamię kupę, druga jeszcze silniej-
sza się szykuje. Ze wszystkich stron zostaliśmy otoczeni. A książę
Daniel sam swoich prowadził, ale jak... Koniec końcem, żebym go
nie był poglaskał kulą, że aż spadł z konia, to grzeszny Wasil (bo tak-
kie jest moje imię chrzestne) byłby postąpił na Św. Bartłomieja. Ja-
koś człowiek skorzystał z zamieszania, że mógł przerznąć się ze swo-

jemi, ale nie udało się chorych wyratować, których później ten poganin, jak tylko cokolwiek wylizał się z mojego strzału, kazał w przytomności swojej wywieszać. Otóż to jest, Najjaśniejszy panie, rzetelna relacya, jak mnie baby zwojowały; bo gdyby nie one, zamek Dolski, dotąd byłby w naszym ręku. Lubo da Bóg, niezadługo do nas się wróci. A wtedy może Wasza Królewska Mość mnie pozwoli skończyć mój rachunek z kniazem Danielem, żeby nasz szanowny książę Wojciech nie miał potrzeby dzielić się ze stryjem, a wszystko sobie zabrał.

— Co Wasza Królewska Mość wdajesz się z tym gadułą — odezwał się książę Wojciech — jak się rozgada, nigdy z nim nie ma końca. Byle mu tylko użyzyć ucha, to usta mu się nie zamkną. Albo to wie jak i co powiedzieć swojemu panu?

— I owszem, książę Czetwertyński wielu nas zajął swoją relacją, o której w części już nas uwiadomił książę Olbracht. A kto tak dzielnie jak on użyzył nam swojego ramienia, taki ma prawo żądać, byśmy mu naszego użyzyli ucha. Teraz na waszmość z kolei wypada objawić nam swoje prawdziwe nazwisko, mości panie Burczymucha. Słuchamy, co powiesz o sobie.

— Najjaśniejszy Panie, po takich mitrach i splendorach moje szlacheckie nazwisko nienajlepiej się wyda, a jednak mój ojciec, osiadły na małej wioszczynie w okolicach Kolomyi, a cześnik Trembowelski, liczy królów między swojemi przodkami, i nie było dnia, w którymby tego nam dzieciom nie powtarzał. Moje imię Antoni, nazwisko Zapolski, a w moim klejnocie szlacheckim widzieć można koronę Świętego Stefana, która kiedyś uwieńczała głowę jednego z moich naddziadów. Dawne te czasy gdzieś tak w kronikach są wspomniane. Otóż kiedy zaczęły się rozruchy w Rzeczypospolitej, byłem już wyrostkiem, umiałem czytać bez zająknięcia się, cokolwiek pisać, a co lepsza, jeździć konno, trafiać do celu z rusznicy lub z pistoletu i robić szabelką. A z pięciorga dzieci byłem najstarszy. Owóż tedy nasz ojciec nie wiem w jakim interesie był wyjechał do Łowa, a nas przy matce zostawił. Aż tu jednej nocy napadają na nasze wioski siepacze Rakoczego księcia Siedmiogrodzkiego. Mój mocny Boże, co też oni narobili okrucieństw! natura się wzdryga na samo ich wspomnienie. Mało na tém, że nasz dom zrabowali do szczytu, ale zamordowali naszą matkę i wszystkie jej dzieci, że mnie jednego stary kredencarz domowy wyprowadził w lasy okoliczne, gdzieśmy żyli samemi korzonkami, jak święci pustelnicy. Nakoniec i kredencarz wytrzymać nie mógł nędzy; umarł, mnie sierotę zostawując na losy. W tych lasach kryli się rozbójnicy, i ja dostałem się w ich ręce. Rozbijaliśmy po całej okolicy, a że z krwi miałem jakąś zdolność, że w wielu wyprawach pokazałem się mężniejszym i roztropniejszym od innych, wkrótce zostałem

od nich wybrany na naczelnika, i na większą skalę urządziłem nasze rabunki. Cbciwy zemsty nad Węgrami, których prowadził Rakoczy, zaprzysiągłem mu wieczną i nieubłaganą nienawiść. Namówilem moich rozbójników, że się przekształcili w żołnierzy Waszój Królewskiej Mości, i ogłosili się obrońcami jego świętej sprawy. O konie nie było trudno. Zabieraliśmy je wraz z ryszunkiem po domach szlacheckich, i wkrótce stanąłem na czele chorągwi ciągle wzrastającej w liczbie. A że miałem na sercu zamordowanie całej mojej rodziny przez Węgrów, których przodkowie byli poddanymi mojego przodka, wyznaję, że nie było okrucieństwa, którego bym się względem nich nie dopuszczał, nie tylko ich samych, ale i tych, którzy z nimi trzymali. Nadokuczaliśmy Rakoczemu, wprzód jeszcze nim ksiązę Lubomirski, hetman polny koronny, zmusił go do pokoju. W Tyśmienicy czterystu Siedmiogrodzian, którzy mu w posiłku przyszli, napadliśmy na kwaterach nocną porą, i udało nam się co do nogi ich w pień wyrznąć. Na drodze między Żółkwią a Zamościem uchwyciliśmy jego nadwornego lekarza; kazałem go ze skóry obedrzeć i przez jednego żyda odesłałem tę skórę dobrze wyprawną Rakoczemu, z listem w którym był dla niego panegiryk za zamordowanie mojej matki i mojego rodzeństwa, a razem zapowiedzenie, że dopiero jak jego samego ze skóry obedrę, z nim się pogodzę. A chociaż przeszedłem w okrucieństwie wszystkich wodzów oddziałów, wiernych Waszój Królewskiej Mości, to wszystko com uczynił bynajmniej nie obciąża mojego sumienia, bo nie moją osobistą, ale mojej całej rodziny krzywdę miałem do pomśzczenia. Odtąd to będę czynił, co Wasza Królewska mość mi rozkaże, ale wprzód, że nie miałem innego wodza prócz siebie samego, człowiek szedł tylko za własnym instynktem; jeżeli się omylił, nie było komu go sprostować. A jednak ksiązę Olbracht, póki był rycerzem Lizdejkiem, dał mi świadectwo, że ile razy byłem z nim, umiałem mu być posłusznym, że w wielu potyczkach, na jakie patrzył, na byłem jakichś praw do łaski Waszój Królewskiej Mości.

— I wielce cenię waszmości zasługi, o których niejednokrotnie donosili nam wodzowie, pod któremi waszmość służyłeś, a mianowicie ksiązę Olbracht w raporcie, jaki nam posłał o tém wszystkiém, co się stało w Potuszy. Da Bóg wkrótce, mości panie Zapolski, że będziemy mogli wiernych naszych poddanych przekonać, ile umiemy wynagradzać tych, co z takiém poświęceniem walczyli za prawami naszymi. A waszmość, mości panie Świerszczu, cóż nam o sobie powiesz?

— Ja, Najjaśniejszy Panie, nie jestem ani księciem, ani kniazem, ani koron w mojej prozapii nie widzę. Jestem sobie po prostu szlachcic karmazynowy; do mojej głowy przystaje więcój misiułka i szyszak, niż czapka, a cóż dopiero mitra lub korona, a jednak, gdyby i ta na nią

spadła, jakośby się utrzymała, bo szlachcie Polski, chociaż chudy pacholek, do niej się przecie rodzi. Mój ojciec, niech go Bóg zachowuje, w czerstwém zdrowiu, chociaż ani księciem ani nawet hrabią, nie jest przecie chudym pacholkiem, bo kto posiada kilkanaście wsi nad Dnieprem, a kilka w ziemi Chełmskiej, taki i między panami za możnego uchodzi. Mój ojciec, Ignacy Trypolski starosta Trechtymirowski, ze swoimi Bośniakami i kozakami opierał się czas jakiś Chmielnickiemu, ale przekonawszy się wkrótce, że z motyką słońca nie pokonać, zabrał z sobą żonę, nas dwóch wyrostków i moje dwie siostrzyczki pod opieką spis naszej wiernej milicyi, opuścił Trypol, i jakoś bez szwanku przeniósł się do zamku, który posiadał w Chełmskiem. I tam próbował popierać sprawę waszjej królewskiej mości. Ale jakoś się nie wiodło ze Szwedami. Jeden po drugim szukali z nimi zgody. Goły rozboju się nie boi, ale ten co ma coś do stracenia, rad nierad musi się zgodzić z wolą Pana Boga. Mój ojciec nie mało poniósł szkody, i to mu tak się naprzykrzyło, że idąc za przykładem panów od niego możniejszych, przysiągł na wierność królowi Szwedzkiemu, i tyle łaski u niego znalazł, że mu ten król powierzył urząd kilku województw. Siedział tedy w Lublinie na swoim nowym urzędzie, a matka gospodarowała na wsi i nas wychowywała. Mój brat młodszy, nieco papinka, bardzo dobrze się uczył pod naszym dyrektorem, ale ja taki wstręt czułem od książki, że nigdy nie nauczyłem się czytać jak potrzeba, i dotąd z pamięci tylko się modłę, ile razy zdarza mi się być w kościele. Ale dziwny z małych lat miałem pociąg do spisy i szabelki, do ujeżdżania koni i trafiania w cel z pistoletu, pędząc konia cwałem. Nasz dyrektor cieszył się postępami w nauce mojego brata, a że mnie miał wielką zgryzotę, że nie mógł niczego nauczyć, a że to przypisywał mojemu uporowi, często cieleśnie mnie karał. Naprzykrzyło mi się to wszystko, a że już byłem pod wąsem, a Bóg mnie obdarzył niepospolitą siłą, jednego razu, kiedy dyrektor kazał mi się położyć na stołku, dla odliczenia mi plag, ja zamiast go słuchać rzuciłem się na niego, i omal że mu wszystkich kości nie pogruchotałem; tylko że słudzy na jego krzyki przybiegli i ledwo go wyrwali z rąk moich. Wielki był z tego powodu kweres mojej matki; sama nie wiedziała co ze mną rozpocząć. A miał u niej wielkie względy Świerszcz, Ukrainiec, około czterdzieści lat mający, ataman naszych nadwornych kozaków, człowiek wielkiej roztropności i nadzwyczajnej odwagi, a który nas z Ukrainy przeprowadził przez zbuntowane chłopstwo, że nikomu włos z głowy nie spadł. Owóż tedy on powiedział mojej matce: — Młodszemu pancyzu buty chot professorom w Kijowskięj akademii, a starszoho pozbawyte zdrowia, a taki zneho hramotny ne bude. Win na wojaka sotworony. Imość nie pozwalajte ieho muczyty, bo bude wam grich pered Bohom.—

Matka dała się przekonać, uwolniła mnie od tych utrapionych książek, a już odtąd tylko Świerszcz mną się zajmował, i jemu winienem, że przecie wyszedłem na człowieka. On mnie miłował jak syna, a ja do niego więcej byłem przywiązany, niż do ojca i matki. Był to kozak pobożny jak Czerniec, a Szwedów nienawidził, bo oni zbezczeszcili ikony świętych w cerkwi Żółkiewskiej, i za to im wieczną zemstę zaprzysiągł. Otóż kiedy zaczęły się tworzyć oddziały przyjaciół waszej królewskiej mości, którzy nie chcieli króla Szwedzkiego uznać za pana swojego, Świerszcz, że wszystkich naszych kozaków miał jak w kieszeni, jednej nocy z nimi wyszedł na wolą Bożą, i mnie w domu nie zostawił, bo bezemnie żyć nie mógł. Kiedy my wychodzili, było nas około koni czterdziestu, ale wkrótce mieliśmy ich więcej stu, bo szlachta do nas się garnęła. Nadokuczaliśmy Szwedom i tym co z nimi trzymali, a Rakoczemu daliśmy się we znaki, wprzód jeszcze nim JO. książę Lubomirski hetman polny koronny na jego własnym legowisku zmusił go do uległości; bywało, co w oczy, to nieprzyjaciel. Ani Szweda, ani Rakoczana nie braliśmy w niewolę, a na co nam się obciążać rzeczą niepotrzebną? Świerszcz to wszystko wytępił. Aż nakoniec i jemu się dostało, ale nie wstępnym bojem, tylko zdradą. Licho nadało, że był odpust w Krasnostawskiej cerkwi, a my wtedy w około Krasnegostawu płądrowali okolice. Szwedzi stali w mieście, a byli silni, ani pomyśleć, aby ich ztamtąd wyparować. Był z nami i Grzeszniek ze swoim oddziałem, który niedawno pod Potuszą na tamten świat zaniósł swoje szlachectwo, bo nikt z was nie wie kim on był. Tyle tylko, że z mowy można było poznać, że był ze szlachty Mazowieckiej. On się napierał z początku, żeby na Krasnystaw uderzyć; ale Świerszcz go przekonał, że poszlibyśmy na rzeź i tyleby było naszego. Ale sam przebrał się w siermięgę i poszedł Bogu się pomodlić, i nikomu nie pozwolił iść ze sobą. Miał on tam swojego kuma, który rzemieniem handlował, i do niego poszedł, żeby czekać godziny nabożeństwa. Ale Szwedzi po tyle od sztuki byli naznaczyli opłatę za głowę każdego dowódcy oddziału; opłata była sowita, psiawiara na nią się zlakomił. Świerszcz przyszedł do niego wieczorem, a on w nocy Szwedów naprowadził. Porwali go, nim się obudził, a nazajutrz na rynku Krasnostawskim został na pal wbity, że kilka godzin się męczył, nim Panu Bogu ducha oddał. Co to był za płacz u nas, kiedyśmy się o tym dowiedzieli! Nasi mnie wybrali za wodza, jako najbliższego serca nieboszczyka. A ja, wywdzięczając się pamięci ojca broni, wziąłem jego nazwisko na siebie, i tym nie zaszkodziłem jego sławie. Bo kiedy po odpuście Tyszowieckim pan Stefan Czarnecki dobrze przetrzepał Szwedów, ja z moim oddziałem jemu dopisałem. Zajęliśmy i Krasnystaw. Tam załatwiłem nasz rachunek z tym niegodziwym handlarzem rzemienia. Kazałem zakłuć go jak

wieprza, ale tak, że poczuł rozstanie psiej duszy z pogańskiem ciałem, i była mnie o to bieda ze strony pana Stefana Czarnieckiego, ale odpuścił mi samowolność, bo miałem już zasługi u niego, za to iż kilka razy dobrze się postawił. Może kto powie o nas, że choć my w boju śmiali (bo jużci tego nikt nam nie zaprzeczy), ale że my niesforni; a jednak niech powiedzą hetmani pod któremi służyliśmy, czy umiemy być posłuszni? Kiedy kto w nas ufność umie pobudzić, jak ci wielcy wodzowie, którzy otaczają teraz waszą królewską mość, czy był jaki ich rozkaz, któregobyśmy zaraz nie spełnili? A niech mi zadadzą kłamstwo, jeżeli mówię nieprawdę.

— A któż o tém wątpi? — na to król. — Nic nam nie pozostaje, jak ponowić wam dzięki nasze. Jak to mówi przysłowie, dziękuję za już, a proszę o jeszcze. Już się pora późni, a mamy jeszcze do mówienia wiele z hetmanami i wyższymi dowódcami. Najstrasniejszy dyabeł na wylocie, a wojna kiedy przy końcu. Trzeba nam się dobrze przygotować, żeby ją prowadzić jak należy. Waszmoście ruszajcie sobie do obozu, a jutro nas obaczycie na waszém czele.

Skłonili się wojacy przed królem, i jeden po drugim wypróżnili salę.

ROZDZIAŁ XXIII.

Król odprowadziwszy wojaków, udał się do swojej komnaty, gdzie za nim poszli hetmani, Rewera Potocki, Jerzy Lubomirski i Gąsiewski, i kilku panów zaszczyconych szczególnymi króla względami, jako ksiązę Olbracht Radziwiłł, Jan Krasieński podskarbi koronny i inni.

Gdy król został tylko z nimi, pierwsze jego słowa były:

— Przedziwne chłopcy, ci naczelnicy oddziałów ochotników. Jaka waleczność, jakie zapomnienie o sobie, jakie zamilowanie swojego rzemiosła! Póki trwa wojna, z takiemi o pomyślności wątpić nie można. Ale jak rzeczpospolita doczeka się pokoju, cóż rozpoczniemy z niemi? Jakże zmusić tych burzliwych ludzi do poddania się pod jarzmo prawa? Nad tém warto zawczasu pomyśleć.

— Nie tak to straszne jak się wydaje, najjaśniejszy panie — na to hetman Gąsiewski. Polak z wiekiem przychodzi do statku, zwłaszcza jeżeli ma kawał ziemi dziedzicznej. Bo to w naszym przyrodzeniu, że jeżeli lubimy wojaczkę, niemniej jest nam miłe rolnictwo. Jak się wszystko uspokoi, ci wszyscy wodzowie ochotników jeden po drugim wrócą do rodzinnych domów pomagać rodzicom w gospodarstwie. Każdy, jak w obozach był posłusznym hetmanom, tak w domu słuhać

będzie ojca. A że to po większej części ze szlachty zamożnej, potrafią i swoich ochotników osadzić na swoim gruncie; tego na gumienego, owego na domowego sługę, innych na gajowych. Wszystko to się pożeni i będzie statkowało. A jeżeli któremu wojaczka tak zasmakowała, że już bez niej obejść się nie może, nigdy takiego pokoju u nas nie będzie, żeby i on nie był potrzebny. Będzie dla niego coś do czynienia, a to z Zaporozcem, a to z Tatarzynem, a to gdzieś ze zbuntowanym chłopstwem. Umieścimy jakoś tych, co w domu nie zechcą siedzieć, o to można być spokojnym. Wszakże każdy rotmistrz zapagnie choć po kilku tak mężnych żołnierzy przyjąć, dla pokrycia swojej chorągwi. Zresztą, najjaśniejszy panie, nie można twierdzić, aby te oddziały ochotników, którzy jedni nie utracili nadziei doczekania się powrotu swojego prawego pana, kierowały się samym bezprawiem. I one wyrobiły dla siebie pewne prawa, które z największą ścisłością wykonywane były. Odkąd mam szczęście na nowo służyć waszej królewskiej mości, przekonuję się, że nigdzie większej jak u nich nie ma w wojsku naszym karności.

— W samą rzecz — dorzucił rycerz Lizdejko — winienem to wyznać przed moim panem, że nie tylko ludzie mojej chorągwi zawsze byli posłuszni moim rozkazom, ale i inne chorągwie, ile razy zostały pod moim dowództwem, nie tylko że cienia nieposłuszeństwa się nie dopuszczały, ale usiływały, że tak powiem, przeniknąć wolę moją, aby zadość jej uczynić. Dzieje nasze aż nadto wiele przytaczają przykładów tych związków obozowych przeciw swoim hetmanom, które sprawiły to, że najświetniejsze zwycięstwa zostały bez pożytku dla rzeczypospolitej. Ale te niegodziwe spiski zawsze się knowały między szlachtą pospolitego ruszenia. Żaden hetman tej zbrodni nie wyrzucał kwarcianemu żołnierzowi, ani nadwornym milicyom. Ci zawsze umieli być posłusznymi.

— Nic prawdziwszego — odrzekł hetman Gąsiewski. — Nasza szlachta, czy polska, czy litewska, czy ruska, jest prawdziwym stanem rycerskim. Ztąd każdemu z nich czegoś nie dostanie, jeżeli nie dopełnił swojego wychowania w służbie wojskowej, nie wypadkowej, ale statecznej, gdzie człowiek nawyka do porządku i karności. Taki nie tylko zdatny do wojny, ale do czegoś go użyć, będzie z niego pociecha. Bo wojsko regularne jest szkołą, która do wszelkiego zawodu usposabia. Wyznaję otwarcie, że niewielką pokładam ufność w tych wychowaniach książkowych i papierowych. Wychowanie praktyczne jest wszystkiem, a to w służbie wojskowej istnieje. Ten tylko umie rozkazywać, który w długim zawodzie nawykł być posłusznym.

— Święte słowa waszmości, mości hetmanie — rzekł król. — Mówisz jak żołnierz i obywatel, i wielce bylibyśmy szczęśliwi, gdybyś

o tém całą naszą szlachtę przekonał. Bo gdyby ona do téj swojej przyrodzonej odwagi łączyła jeszcze tego ducha karności, który się wyrobił w ościennych narodach, najmniejszej nie mielibyśmy obawy o przyszłe losy Rzeczypospolitej. Jednak wyznajemy przed wami szczerze, że ile razy o nich myślimy, nie umiemy się uwolnić od smutnych przeczuć. Wszakże niech tak będzie, jak Bóg rozrządzi. Naszym obowiązkiem jest bronić téj korony, którą za natchnieniem wam daném od Opatrzności uwieńczyliście naszą głowę. Ta korona jest cierniową, a jednak oręż nieprzyjacielski nie straci nam jéj z głowy, chyba wraz z głową. Możecie nam oddać sprawiedliwość, że zawsze okazaliśmy się w każdej potrzebie pierwszym do postępu, ostatnim w odwrocie. Mości panie Potocki, hetmanie wielki koronny, śmiało powtarzam własne słowa waszmości, któremiś nas powitał pod Beresteczkiem, kiedyśmy tak świetne zwycięstwo otrzymali nad wojskiem Chmielnickiego i nieprzeliczonym tłumem Tatarów, z nim połączonych na pogwałcenie narodu chrześcijańskiego. Czujemy całą ważność naszych obowiązków. Nie zdejmujemy twardego pancerza, nie rozstaniemy się z tą szablą, póki ostatniego naszego nachodcy nie wyrzucim do jego Szwecyi. A po ocaleniu naszego kraju, kiedy pokój powszechny pozwoli nam myśleć o zagojeniu tych ran, jakie ta straszna a długoletnia wojna zadała w Polsce, wtedy...

— Wtedy, najjaśniejszy panie — odezwał się wielki Rewera Potocki — powoli, zestarzejesz się z nami poddanymi twoimi, a daj Boże, z naszymi synami i wnukami.

— Nie, nie, mości panie hetmanie. Jak będziecie bezpieczni, opuścim was, i resztę naszego żywota poświęcim Bogu, codziennie dzięki mu oddając za łaski, jakich nam nie skąpił, a które jedne wydzwignęły kraj z ostatniej toni.

— Jakto? — dodał Rewera — wasza królewska mość miałbyś myśleć nas opuścić?

— Nie inaczej. Pierwsze nasze powołanie było do życia zakonnego, i w młodości naszej nosiliśmy sukienkę św. Ignacego. Później Bóg inaczej nami rozrządził. Zrzuciliśmy tę sukienkę dla purpury, najprzód rzymskiej, później królewskiej. Z zakonnika zostaliśmy królem i małżonkiem. I ten świat, który byliśmy porzucili, na nowo porwał nas w swoim wirze. Niefortunne koleje, przez które musieliśmy przechodzić, dały nam aż do dna wychylić kielich goryczy wielkości ziemskich. Co chwila silniej czuć się nam dawała tęskność za tém życiem błogiém, cośmy je niebaczni opuścili. Królowa, jedyna nasza pociecha w tych zgryzotach, jakie nam bez ustanku towarzyszyły, że aż nakoniec włos męzki szronem zgrzybiałości przesypany, niszczy się jakąś wewnętrzną niemocą, na którą najzawołani lekarze rady obmyśleć nie umieją; ale ona i my aż nadto wiemy, że jéj nędzny żywot

niedługo się przeciągnie, i że wkrótce przeniesie się w świat szczęśliwszy, gdzie otrzyma nagrodę za te wszystkie poświęcenia dla sławy małżonka i całego narodu. Ślubowaliśmy Najświętszej Pannie w Częstochowie, że skoro tylko za jej przyczyną nastanie pokój dla Polski, a utracimy pocieszycielkę naszego żywota, wrócimy do życia zakonnego. A że ten ślub nasz podniósł się do podnóża Najwyższego, o tém wątpić nie możemy, gdyż odtąd wszystko nam iść zaczęło pomyslniej. Żebyście odplacili ufność, jaką w waszmościach pokładamy, gdybyście rozgłaszali to, co wam powierzamy. Ale to pewna, i na to dajemy nasze królewskie słowo, że po nastąpieniu zupełnego pokoju w Rzeczypospolitej, gdy poznamy, że nasze powołanie już się dopełniło, a Bóg rozsądzi naszą towarzyszką, złożymy to berło, które wśród tylu trosk musieliśmy dźwigać, a przy naszym rozstaniu się głos przestrogi będzie ostatniem pożegnaniem waszego monarchy.

Tu powstał szmer wszystkich mężów otaczających króla.

— Najjaśniejszy panie — dał się słyszeć głos Jana Krasińskiego podskarbiego koronnego — twoje powołanie może się skończyć tylko z życiem twojem. Podzielałem twoje wygnanie, nie odmawiaj mi nadziei, że raczysz podzielać nasze szczęście.

— Węzeł jednoczący panującego z poddanymi, bez ciężkiego grzechu rozerwanym być nie może — odezwał się książę Jerzy Lubomirski, hetman polny koronny.

— Jako małżonek małżonce — dodał Rewera Potocki hetman wielki — ślubuje, że jej aż do śmierci nie opuści, tak niemniej święty obowiązek króla dla królestwa. My wierna rada waszej królewskiej mości, nie dopuścimy takiej sromoty dla Rzeczypospolitej, żebyś ją najjaśniejszy panie miał opuszczać.

— Nie przystoi mi, najjaśniejszy panie — rzekł hetman wielki Litewski — śmiało się odzywać przed moim panem, bo czuję że względem niego nie jestem czystym na sumieniu; a jednak głos ojczyzny wydobywa się z niegodnych piersi moich, i zmusza mnie łączyć go z głosami tych wielkich mężów, którzy niezem niezachwianą wierność zachowali bez przerwy dla waszej królewskiej mości. Położymy się na drodze, przez którą Polskę dla zagranicy opuścisz. Przez trupy nasze przejeżdżać będziesz. Gdyby my, wierna rada waszej królewskiej mości, pozwolili na takie zhańbienie Rzeczypospolitej, potomność ze zgrozą powtarzałaby nasze nazwiska jako zdrajców kraju.

— Jeszcze mniej mnie najmłodszemu wiekiem przystoi dołączać moje uwagi do uwag tych sędziwych i tak wielce zasłużonych mężów — odezwał się rycerz Lizdejko — ale obowiązki wiernego poddanego i przysięgłego sługi waszej królewskiej mości do tego mnie ośmielają. Zawsze naśladowałeś króla Władysława Łokietka, który wyższy nad wszelkie nieszczęścia nigdy nie chciał odrzec się od praw swoich.

Miałebyś po zniewoleniu losu na naszą korzyść, pójść za przykładem Henryka Walezjusza?

— Dość na tém — odrzekł król, nieco zmarszczywszy czoło. — Teraz o niczém inném nie godzi się nam myśleć, jedno o odzyskaniu Warszawy. W dniu jutrzejszym zrobimy przegląd wojska Litewskiego, i ułożymy przy waszej radzie, jaka jego część ma z nami wyruszyć do Mazowsza i Wielkiej Polski, a jaka zostanie przy swoim hetmanie, ażeby skłonić do posłuszeństwa tych, co się opierają jeszcze przyrodzonemu, a tyle razy zaprzysiężonemu zjednoczeniu dwóch narodów, z których się składa nasza Rzeczpospolita.

— Miałem zaszczyt — na to hetman Gąsiewski — po kilkakrotnie oświadczyć waszej królewskiej mości, że moja chorągiew jest aż nadto dostateczna dla poparcia tłumów wiernych majestatowi twojemu Litwinów, które tylko oczekują hasła, aby się jawnie i skutecznie oświadczyć za stronę prawości. A co się tyczy téj małej ilości obywatelów, którym miłsze są rozprawy teologiczne na obcej ziemi wylęgle, niż sława i całość wspólnej ojczyzny, ich nadzieja opierała się dotąd na potędze króla Szwedzkiego, na sławie, jakie jego rycerstwo nabyło pod Gustawem Adolfem, na ilości jego sprzymierzeńców, na tém omal że nie rozpowszechnioném mniemaniu, że szczęście już na zawsze dało się przykuć do jego zwyciężkiego wozu. Ale teraz widzą, że wszyscy sprzymierzeńcy Karola Gustawa jeden po drugim go opuścili, że niejednokrotnie udało się rycerstwu wiernemu waszej królewskiej mości świetne zwycięstwa odnosić nad temi przechwalonemi Skandynawami, że nasz Czarniecki, tyle razy zgromiwszy ich na naszej najechanéj ziemi, już przeszedł za morze, by na ich ojczystym gruncie odplacać im te pożogi, które tak długi czas u nas rozpościerali. Bądź pewny, miłościwy królu, że już innéj nadziei nie mają, tylko że zawsze łaskawe serce waszej królewskiej mości pokryje przewinienia obłąkanych poddanych tém samym miłosierdziem, jakiego skutki ja sam, może od nich wszystkich najwinniejszy, doświadczyłem.

To co już kilkakrotnie powiedziałem, i teraz powtarzam, że oprócz zamków Birzańskich i Dolskich, nie ma piędzi ziemi na całej Litwie, któraby nie była albo uległa waszej królewskiej mości, albo już przygotowana do uległości. Całe moje rycerstwo z zapalem jednoczy się z hufcami polskimi, aby swojego pana doprowadzić do jego stolicy, i nie ma przeszkody, którejby nie było gotowe przelamać. Zresztą przekonany jestem, że stolica za przybliżeniem się koroniaszów połączonych z mojami Litwinami, wrota otworzy swojemu królowi. I mam pewne doniesienie, że go oczekują z niecierpliwością. Książę Radziwiłł, marszałek wielki Litewski, zawsze był prawym obywatelem. Jeżeli przeszedł na stronę króla Szwedzkiego, któż ma prawo obwiniać

go, że kiedy nasza sprawa zdawała się być opuszczoną od Boga, wszedł w umowy ze zwyciężkim królem, aby przynajmniej zabezpieczyć życie i majątki obywatelów, aby ich zasłonić przed zemstą nieprzyjaciół, i tém ocalić ołtarze i ogniska ojczyście? Mężny opór, z zupełnym zapomnieniem o sobie i o wszystkich, jest zapewne bohaterstwem, ale w życiu narodów bywają okresy, w których uległość nie tylko, że jest roztropnością, lecz nawet świętym obowiązkiem. Bo jeżeli dla honoru osobistego, dla sławy, nawet dla jakiegoś odgłosu, mąż poświęcający siebie zniewala jakieś uszanowanie nawet swoich nieprzyjaciół, podobna ofiara nie powinna przechodzić szranek osobistości własnej. A kto nierozważnym krokiem przywołuje klęski na swoich współobywatelów, taki w obliczu rozsądku i sumienia jest zbrodniarzem. Z otwartością żołnierską śmiem wyznać, że jeżeli swawola szwedzka nie zamieniła w pustynie domów obywateli litewskich, jeżeli nie tylko oni, ale nawet ci koronni wiecy mężowie, którzy podnieśli konfederacyą Tyszowiecką, a w téj chwili otaczają waszą królewską mość, służą jego świętej sprawie, zamiast jęczenia w zamorskich ciemnicach, to jedynie przez tę ufność, jaką książe marszałek wielki Litewski był pozyskał wiernością, której dawał dowody dla króla Szwedzkiego, a którą zawsze obracał na korzyść ziomków.

Rycerz Lizdejko na te słowa chwycił za rękę hetmana, i rzekł do niego z zapalem: — Szlachetnym jesteś mężem, mości hetmanie, że stojąc przed majestatem najjaśniejszego pana, siebie nie oszczędzając, oddajesz sprawiedliwość mojemu ojcu. — Nie inaczej, miłościwy królu. Jeżeli mój ojciec wszedł w umowy z Karolem Gustawem, to dlatego, że widząc iż opuściłeś królestwo, pozostawało mu myśleć jedno o ubezpieczeniu współobywatelów, których daremny opór tylko o zgubę by przyprowadził. Przysiągł na wierność królowi Szwedzkiemu, bo bez ciebie, on przez swoje zwycięstwa mógł być uważanym za prawego władcę wielkiego księstwa Litewskiego. Do tego co powiedział nasz hetman, śmiem dodać, że jako i w boju i w radzie był zawsze wiernym sługą waszjej królewskiej mości, pokąd sam broniłeś praw swoich, takby i dochował wierność królowi Szwedzkiemu. I nigdyby nie wyprawił swojego dworzanina do księcia Lubomirskiego hetmana polnego koronnego, gdyby ten król nie był zostawił Litwy własnym jéj siłom, czém poniekąd odrzekł się od jéj władztwa, a tém samém nie ma prawa obwiniać jéj pierwszego ministra, że ma siebie za uwolnionego od przysięgi warunkowej, jaką się względem niego związał. Śmiem zaręczyć waszjej królewskiej mości, że mój ojciec niczego tak gorliwie nie pragnie, jak pojednania się ze swoim dawnym panem, bo tém ani przeciwko sumieniu chrześcijańskiemu, ani przeciwko honorowi szlacheckiemu nie wykracza. Wszystkie jego obowiązki dla Karola Gustawa ustały od chwili, w której ten król opuszczając Litwę,

wchodził w umowy, aby ją, jakby jaki sprzęt, odstąpić innemu. Powól wasza królewska mość, abym do niego wyprawił tego jego dworzanina, który pod Potuszą, pod mojemu rozkazy, dzielnie się zasłużył waszej królewskiej mości. A pewny jestem, że ojciec skwapliwie się poddał pod wszelki rozkaz swojego pana, i to bez żadnego warunku.

— Zawsze, mości książę generale artylerji, niepospolity szacunek czuliśmy dla waszmościnego dostojnego rodzica, i umiemy być wyrozumiałymi. A gdybyśmy nawet mieli jakiś żal do ojca, już zasługi syna aż nadto są dostateczne, aby go zmazać z naszej pamięci. Wyprawiając tego dworzanina, który się zdaje posiadać ufność księcia marszałka, nie omieszkaj waszmość mu zalecić, aby oświadczył w naszym imieniu księciu Bogusławowi, że bez żadnego warunku ofiarujemy mu naszą przyjaźń i naszą królewską łaskę, a na znak tego podajemy waszmości naszą rękę.

Młody książę wziął ją z uniesieniem w swoją, i przycisnął do ust.

— Mości panie hetmanie — dodał król — jest nadzieja omal że nie pewna, iż książę marszałek wielki Litewski pójdzie za przykładem waszmości i swojego zacnego syna. Jakiegoż jeszcze nieprzyjaciela mieć będziesz do pokonania w Litwie?

— Odkąd stanęło przymierze między waszą królewską mością a Carem, w skutku którego Ukraina uspokojoną została, żadna siła obca nie zagraża Litwie. Było jeszcze trochę Szwedów w Wilnie, ale i ci, wedle ostatnich doniesień, jakie mi nadesłano, już opuścili naszą stolicę, i śpiesznie dążą ku Warszawie. Widać z wszystkiego, że król Szwedzki zupełnie stracił nadzieję utrzymania się przy Litwie i Małej Polsce. Nawet Warszawę opuścił, bo już dochodzą wieści, że i ten niewielki oddział Szwedów, dotąd stojący w Warszawie na załodze, już wyszedł z miasta, a jego obrona jest poruczona księciu Bogusławowi, który go zastania z częścią swojej milicyi nadwornej, z największą siłą szlachty Litewskiej i Wielko-Polskiej, jeszcze trzymającą ze Szwedem i z mieszczanami Niemcami osiedlonemi w Warszawie, którzy się uzbroili, aby bronić sprawy monarchy takiegoż jak i oni wyznania. Wątpić nie można, że Karol Gustaw swoich Szwedów, rozproszonych po różnych częściach naszej ziemi, ściąga między Poznaniem a Kaliszem, pochlebając sobie, że może mu się uda oderwać od ciała rzeczypospolitej te kilka jej województw, więć zblizonych do tych księztw, które posiada w rzeszy Niemieckiej. Mówią nawet, że jak się dowiedział o przybyciu pana Stefana Czarnieckiego do Danii, i że się zabiera wraz z Duńczykami uderzyć na Szwecyą, ta wiadomość tak mu pomiejszała szyki, iż miał się z tém wymówić, że już nadchodzi pora, w której trzeba będzie pomyśleć, jakby z honorem opuścić Polskę. To pewna, że od roku w jego obrotach wojennych pokazuje się jakieś wahanie, jakaś nieśmiałość, czego wprzód nigdy nie bywało. Tym-

czasem im więcej Szwedzi się ściskają, tém się stają uciążliwszemi dla tej części Polski jaką zajmują. Mnóstwo zamków nawet swoich stronników zasypali gruzami. Miasta, których nie mają nadziei zachować, w popiół obracają. Dopuszczają się rabunków, gwałtów, mordów, jakich przykładu nie było w narodach chrześcijańskich. Bywały z tego powodu ostre wymówki księcia marszałka nie tylko wodzom szwedzkim, ale nawet samemu królowi. On miał tyle odwagi, iż przelożył królowi Szwedzkemu, że w umowie, jaką z nim zawarł, wyraźnie było zastrzeżone bezpieczeństwo majątków obywatelskich; że to było głównym warunkiem jego submissyi, a że jednak ten warunek ze strony Szwedów nie jest dochowany. To samo już jest dostateczne, aby księcia rozgrzeszyć, jeżeli Szwedów opuści, a powróci do swojego prawego pana. Bądź pewny, miłościwy królu, że oprócz kniazia Dorohostajskiego, wojewody Witebskiego ani jednego nie ma obywatela w Koronie i Wielkiem Księztwie, któryby nie był w duchu życzliwym dla waszjej królewskiej mości.

— Jakież są siły — odrzekł król — któremi książę Dorohostajski rozrządzać może?

— Nie są one tak znaczne, żeby aż sobie mógł pochlebiać, iż przeważy szczęście waszjej królewskiej mości; ale tać przed sobą nie możemy, że z tak małym oddziałem jaki sobie zostawuję, przebojem nie zdolam do posłuszeństwa go zmusić. On zajmuje Polesie Litewskie i Wołyńskie, ma kilka tysięcy żołnierza, a zwłaszcza kozaków dobrze wyćwiczonych. Kilka zamków warownych, a mianowicie Piński i Dolski zostają w jego rękę. Szlachta Polska, lubo go nienawidzi, tak się obawia jego zemsty, że póki on będzie siedzieć na koniu, póty go nie odstąpi. Zresztą, jak wiadomo waszjej królewskiej mości, książę nie tylko że jest żołnierzem nadzwyczajnej odwagi, ale i wodzem doświadczonym. W swoim Polesiu może prowadzić wojnę uporeczywą, ile że kraj, którym jeszcze włada, sprzyja odpornej wojnie. Może nawet wysłać podjazdy swoich kozaków dla podżegania buntów w świeżo uspokojonej Ukrainie, tak słabo spojonej z rzeszypopolitą. Z tém wszystkiém, miłościwy panie, nie odrywaj myśli swojej od zajęcia swojej stolicy i oswobodzenia Wielko-Polski od Szwedów już jedynych naszych zewnętrznych nieprzyjaciół. A powrót księcia marszałka wielkiego Litewskiego do powinności poddanego i slugi, o którym, że rychło nastąpi, wątpić nie można, to wszystko aż nadto łatwo do skutku doprowadzi. A co do mnie, jak bądź uciążliwe byłyby warunki, które wasza królewska mość podać raczysz kniaziowi dla otrzymania przebaczenia, tuszę, że zdolam go nakłonić do ich przyjęcia. Mam już napiętego posła, wielkiego dyplomata, dla podobnych układów. Często go już używałem, a zawsze dobrze mi się sprawił. Jak tylko w tym względzie dowiem się o postanowieniu

waszój królewskiej mości, zaraz mojego posła wyprawię do Dolska. Jeżeli ten go nie namówi, to już swojego czasu potężną siłą trzeba będzie go przekonywać. Wszakże mam niezachwianą nadzieję, że wszystko się ułatwi nie ołowiem, nie żelazem, ale zęcznością mojego Josia Dreczkiera.

— I waszmość myślisz, że książę miałby się powodować radą tego żyda, który dopiero ciałem i duszą był ze Szwedami, a teraz do nas przeniósł swoje usługi?

— Najjaśniejszy panie, musztuk dla jednego konia niezdatny, dla drugiego w sam raz. Gdyby sprawa była z moim kolegą tu przytomnym, JW. Potockim hetmanem wielkim koronnym, do niej pewnie bym nie użył żyda, bo tém samém byłaby utopiona. Ale wiem z kim do czynienia. U księcia Dorohostajskiego, czego szlachcic ani senator nie dokáže, to żyd jakoś wymoże. A potem, nie myśl miłościwy królu, żeby Jos Dreczkier był pospolitą figurą. Jest-to minister w jarmulce; jak się zawężmie, roztropnego z rozumu wyprowadzi. Albow ja go nie doświadczył? Król Szwedzki jak lis, a jednak często siedł za jego radą.

— A jednak — odezwał się Krasieński podskarbi koronny — pod Potuszą Szwedzi nie najlepiej wyszli, że poszli za jego radą.

— Ba, rada była dobra, wszystko było wyrachowane, i gdyby nie prawdziwie cudowne natchnienie, którym Bóg ostrzegł księcia generała artylerji Litewskiej, Szwedzi byliby opanowali Potuszę.

— Ale czy można zaufać temu żydowi? — dorzucił JW. Potocki hetman Koronny.

— Dlaczego nie? — odrzekł hetman wielki Litewski. — Ja mam w nim pełną ufność, bo jego los teraz zależy jedynie od szczęścia rzezypospolitój. Od Szwedów nie ma się czego spodziewać, chyba szubienicy, a musiał dobrze wyrachować, że przyszłość jest naszą, kiedy na niej oparł bezpieczeństwo całego swojego majątku. Czekam tylko na rozkaz jego królewskiej mości; jak tylko dowiem się o warunkach, jakie raczył obmyślcć, wyprawię z niemi Josia Dreczkiera, a zaręczam, że najlepiej się sprawi.

— Już pora nieco spóźniona, wszakże jeszcze przed wczasem uwiadomimy waszmość, czego żądamy od księcia Dorohostajskiego. Waszmość i księżę Olbracht Radziwiłł odprowadzicie nas do komnaty dla nas przeznaczonej, i tam usłyszycie nasze rozkazy.

To rzekłszy, skinieniem głowy pożegnał panów i szlachtę zebraną w sali, i odszedł, przeprowadzony stosownie do swojej woli, przez hetmana Gąsiewskiego i rycerza Lizdejkę.

ROZDZIAŁ XXIV.

Już koguty pianiem swoim witały nadchodzącą jutrzenkę, a jeszcze rolników Słowatyckich nie byli przebudzili; wszystko spało. W obozie rozłożonym pod wsią słyhać było tylko kiedy niekiedy odzywiania się szyldwachów, i szelest broni tych co przychodzili luzować strażę. Jeden rycerz Lizdejko w swoim namiocie czuwał przy stoliku i pisał całą noc przy świetle palącej się lampy. Na słomie leżał książę Dorohostajski, w głębokim śnie pogrążony, a Dawid Odyniec w pełnym ubraniu siedział na stołku za rycerzem, z głową opartą o poręcz krzesła księcia Olbrachta i chrapaniem przerywał ciszę. Książę zajęty pracą nie zdawał się tego uważać, a raczej nie chciał przeszkodzić tych chwil kilku wczasu swojemu podwładnemu, który wkrótce miał się puścić w podróż daleką.

Zresztą książę zajęty pracą nie był zdolny uwagi zwrócić do tego, co nie miało stosunku z tém zajęciem. Pisał do najdroższej matki, do ulubionej siostry, a nadewszystko do ojca, dla którego do najtkliwszego przywiązania łączyła się w jego sercu i bojaźń synowska, cecha obyczajowości ówczesnej. Ani wiek, ani stan, ani dostojenstwa i zasługi w rzeczypospolitej, w niczem nie uszkadzały bezpośredniej władzy ojców nad synami, bo ona nie opierała się na prawach pisanych, ale na głęboko wkorzenionem w sumieniu przekonaniu. Wyobrażenie oporu choćby najwięcej umiarkowanego rozkazom ojca, jakkolwiek twardym, zawsze przerażało syna, bo do lekceważenia rodzicielskiej powagi łączyła się niechęć taka, jaką dziś zaledwo przywiązują do podłej czynności. Nierzadkie aż do ostatnich czasów bytu rzeczypospolitej dawały się widzieć przykłady, że obywatel żonaty, żyjący o własnym chlebie, a nawet zaszczycony urzędem, ulegając wysokom chimery ojca, prostego szlachcica, przyjmował z pokorą z rąk jego cielesne karanie, a tém powiększał swoją wziętość w obywatelstwie, gdyż taka pokora służyła mu za rękojmię, że musi być szlachetnym obywatelem, a tém samem poczciwym urzędnikiem. Bez tej karności rodzinnej rozprzęgłoby się eiało społeczne. Głęboka wiara i ta karność, która z niej wypływała, były to dźwignie bytu społeczeńskiego. One jedne w pomoc przychodziły słabości władz politycznych i administracyjnych. Jest-to albowiem pewnik, któremu zaprzeczyć nie można, bez zadania gwałtu rozsądkowi przyrodzonemu, bez odrzucenia nauki doświadczenia czerpanej z rozwagi nad dziejami rodu ludzkiego, że jeżeli siła obyczajów zastąpić może niedostatek praw i urzędzeń, najdoskonalsze prawodawstwo i najmędrsze ustawy nigdy nie zdołają

zastąpić niedostatku obyczajów i uczuć religii, która jedna wywołując ofiary, uczycza siły do ich wykonania.

Książę był zatopiony w pisaniu listu do księcia marszałka. Była to wielka dla niego sprawa, bo z ojcem. Jego drażliwe sumienie czuło mu dawało, że przewinił przeciwko niemu. Jakkolwiek mógł się mieć za wymówionego, iż nie czekając na przyzwolenie ojcowskie, a nawet o nie nie prosząc, poświęcił się usługom swojego prawego pana i swojego kraju, — jakkolwiek był przeświadczony, że tym krokiem ułatwił ojcu powrót do utraconej królewskiej łaski, czuł jednak, że nie zupełnie był czystym względem niego. Układał więc najpokorniejsze tłumaczenie powodów, które go zagnęły do opuszczenia dworu księcia Kurfirsta Falcgrabi, i do postawienia się w stronnictwie przeciwném temu, które było pozyskało jego życzliwość i wsparcie. Oświadczając przytém, że lubo powodzenie, jakim Bóg pobłogosławił jego przedsięwzięciu, zdaje się go usprawiedliwiać, wszakże nie tylko że nie pragnie mieć słuszności przeciwko swojemu ojcu, ale nawet gotów jest bez szemrania poddać się karze, jaką uzna być dostateczną dla złagodzenia jego nieposłuszeństwa. A tak zadość uczyniwszy obowiązkom syna, kończył list swój, oświecając go o dobrem usposobieniu króla względem tych wszystkich, co widząc się od niego opuszczonemi, ulegli zwycięzcom, a zwłaszcza względem niego, którego dawne zasługi nigdy zapomniane być nie mogą. W tym liście ośmielił się nawet najpokorniej mu instynktować kierunek dalszych postępów względem króla, który nie czekając jego zgłoszenia się, pierwsze robi kroki do zupełnego z nim pojednania.

List kończył, kiedy już słońce zaczynało się wydobywać ze wschodu, a jego promienie rzucały złocistą barwę na płócienne ściany namiotu. Zapieczętowawszy i podpisawszy koperty, dopiero obudził swoich towarzyszy. Na jego głos donośny jednocześnie zerwali się książę Wojciech z pościeli, a Odyniec ze stołka. Książę zaczął się ubierać, a pan Dawid, który jako na służbie dziennój u wodza nie rozbierał się, stanął na nogach. Książę się odezwał do tego ostatniego:

— Mości panie Odyniec, za godzinę trzeba waszmości ztąd wyruszyć ku Warszawie. Oto są listy, które wręczysz księciu marszałkowi Litewskiemu, jego JO. małżonce i kniazini wojewodzinie ich córce. Byłeś dworzaninem jego książęcej mości, a wiem, że dotąd zachowujesz jego względy. Nie mam potrzeby dawać waszmości informację, jak się tam masz znaleźć; wiem że jesteś szczywanym lisem, dasz sobie radę, zwłaszcza że byłeś w długim koleżeństwie z tém wszystkiém, co otacza księcia. Cała rzecz idzie o to, abys się dostał do Warszawy.

— Nic łatwiejszego, mości książę; wasza książęca mość pozwoli mi wziąć z sobą Jakubczaka, ochotnika z pod jego znaku, którego przytomność i śmiałość nie uszły mojej uwagi pod Potuszą, a tak ja

i on, we dwa konie szczęśliwie zmierzym przestrzeń między Sławatyczami a Warszawą.

— A ja, za pozwoleniem waszjej książęcej mości — przemówił się książę Wojciech — ofiaruję się za giermka Dawidowi.

— Jakże miałbym cię narazić na takie niebezpieczeństwo, Wojciechu. Wszakże Warszawa trzyma jeszcze ze Szwedem z całą swoją okolicą. Odyńcowi nic, bo ze strony Szwedów dworzanin księcia marszałka krzywdy doświadczyć nie może. Ale na twoje życie, Wojciechu, cena jest naznaczona; gdyby cię poznano, twoją głowę staranoby się przysłużyć zawziętemu przeciw tobie stryjowi. A choćbyś szczęśliwie przeżył podróż, czy podobieństwo, aby ktoś cię nie poznał w Warszawie?

— Mości książę, na nas wszystkich jest cena naznaczona oddawna, a jakoś żaden z nas nie wpadł w ręce Szwedzkie. A chociaż nieprzyjaciel się pastwił nad prostymi jeńcami, których mu się udało pochwycić, odkąd szczęście ku naszej stronie szalę przechyliło, już stał się umiarkowanym. Nie uszło uwagi króla jegomości to umiarkowanie, którym odznaczają się od niejakiego czasu ci Szwedzi, dotąd tak zażarci i krwi naszej cheiwi. I odkrył wczorajszego wieczora przed nami tajemnicę nagłej odmiany w ich postępkach, że zamki królewskie zbliżone do gór Karpackich, tak są przepełnione jeńcami Szwedzkimi, iż jest na kim odwetować okrucieństwo, jakiegobyśmy ze strony ich ziomków doświadczyli. Mości książę, sam jesteś synem; odwołuję się więc do twojego serca. Mam matkę żyjącą się w Warszawie, a której od lat kilku nie widziałem. Nieboga może myśli, że ten syn, przedmiot tylu jej poświęceń, a jedyna jej pociecha pośród zgryzot, jakeimi pasmo jej żywota było i jest osnute, już nie żyje, bo od lat trzech żadnego znoszenia się z nią mieć nie mogłem. Tyle tylko wiem, iż mieszka w Warszawie pod kłamanem nazwiskiem, w niedostatku, do którego już się wzwyczaiła, w domu jednej niewiele od niej bogatszej wdowy, i że obie utrzymują się pracą własnych rąk. Muszę koniecznie ją widzieć. Zaklinam cię, drogi Olbrachcie, na uczucie natury, na honor rycerski, nie wzbraniaj mi dopełnić obowiązku otarcia łez najdroższej, najcenniejszej matki.

— Mości książę — dodał pan Dawid — na moją głowę, na moją sławę biorę odpowiedzialność, że kniazia Wojciecha bez szwanku doprowadzę do kresu naszej podróży, a co się tyczy niebezpieczeństw, jakieby go spotkać mogły w Warszawie, książę aż nadto możesz być pewny, że tam gdzie rozkazy daje J.O. książę marszałek wielki Litewski, dostojny rodzic waszjej książęcej mości, nic złego stać się nie może posłannikom naszego króla.

— Niechże i tak będzie. Nie czuję się być w prawie opierać się prawom natury, ale zaklinam cię nawzajem na tę przyjaźń, która się

zawiązała prawie w naszym niemowlęctwie, a która już się stała naszym jestestwem, nie narażaj się! Pamiętaj że masz przyjaciela, który bez ciebie żyć nie może.

Obaj przyjaciele rzucili się w swoje objęcia, a lży ich pomieszały się z sobą. I pan Dawid nie mógł się wstrzymać od przydania swoich kilku łez do tych, które tak tkliwa przyjaźń wyciskała z oczów tych znakomitych rycerzy.

Wybranie się w podróż niedługo trwało. Wówczas rycerz miał na sobie to wszystko, co mogło mu być potrzebne. Mały mantelzaczek do tyłu kulbaki umocowany, w nim jeden ubiór pokojowy i dwie koszule, był jedynym jego pakunkiem. Zbroję już od czasów Zygmunta III zaczęto zaniedbywać. Kaftan łosi, na nim koleczuga, z kapturem okrywającym głowę, na koleczudze zarzucona ładownica z trzydziestoma ładunkami i kilkoma skałkami do przemiany, szabla u boku, koncerz, dwa pistolety w olstrach przy kulbace, topór u niej wiszący, i polowa fiasza blaszana z wodą, oto był całkowity jego rynsztunek.

Tak stanęli i wyruszyli z obozu pan Dawid Odyniec, książ Wojciech jako jego giermek, i Jakóbezak, doświadczony żołnierz, a od niejakiemu czasu posiadający wszelką ufnosć pana Dawida, chociaż nie tak to dawno jak z nim zabrał znajomość.

Kraj aż o kilka mil po za Lublin zostawał w zupełnym władaniu króla Jana Kazimierza, a że od lat dwóch Szwedzi, lubo ustawicznie do niego się wdzierali, jednak w nim gościć długo nie mogli, i ciągle albo się bili, albo gotowali do bitwy z Polakami, więc rabunki, których sobie w nim pozwalali, nie nosiły cechy zupełnego zniszczenia. Zamki obywatelskie stały w całości i służyły za przytułek wieśniaków i ich dobytku, bo ile razy Szwedzi opuszczali wieś, zawsze ją podpalali, tak że szczęśliwem było dla niej zdarzeniem, jeżeli jakaś jej część ocalała. Wszędzie więc nasi rycerze mogli znaleźć po zamkach gościnność i wygodę. Ale za zbliżeniem się do Siedlec, ślady okropnych spustoszeń przedstawiły się przed ich oczyma. Na wielkim gościńcu obraz zniszczenia przerażał. Zamków tylko ściany sterczały, reszta w popiół i gruzy była zamieniona. Po kilka mil przejeżdżali, twarzą ludzkiej nie widząc, i gdyby troki przezornego Jakóbezaka nie były opatrzone owsem, i popas i nocleg rumaki o poście byłyby nie raz odbyły. Pograżony w myślach, które od jedynego przedmiotu rzadko kiedy się odwracały, Gaskold na to wszystko nie zdawał się dawać uwagi. Ale razu jednego, kiedy popasali między spustoszonymi ścianami gospody bez dachu, pan Dawid nie mógł wstrzymać swojej niecierpliwości, i odezwał się do swojego mniemanego giermka:

— Niechże wszyscy djabli porwą tych Szwedów za to ich pastwienie się nad naszą niewinną ziemią! A wszakże nasze żyzne Podlasie zamienili w Arabiam desertam. Czego Szwed z sobą nie

mógł zabrać, to wyniszczył, że zaledwo jakieś pozostałe szczątki o pomstę do Boga na niego wołają: ale przecie już ta pomsta nadeszła, i dobrze mu czuć się daje, a jednak go poprawić nie może. I myśmy dali mu się we znaki; a co też musi teraz z niemi wyrabiać nasz Stefan Czarniecki, bo rozchodzą się między ludźmi wieści, że już przebył za morze, i gniecie te drapieżne bestye w ich własnym legowisku. Czemuż jemu się nie dostałem? Zamiast żalu co mi teraz serce ściska, opływałbym w szczęściu, oddając im sownie to, co oni naszym napłatali. Co za niecnoty! co za rozbójniki! co za złodziejskie plemię! Przodkowie rozbijali po morzu, a potomkowie rabują po cudzych łądach.

— Zwyczajnie wojna — odpowiedział Gaskold, którego myśli były daleko od tego dyskursu.

— Ba! wiem dobrze, że wojna to nie przelewki, i że kto z własnej ochoty został żołnierzem, to nie na to, żeby ze swojej kieszeni coś przykładał. Tém więcéj, że żołnierza grosz się nie trzyma. Szabla i kopia, to nie kwatka, ani łokieć, żeby się niemi wzbogacić. Co się uchwyli, to się przehula. A po jakie licho człowiekby łba nadstawiał zrana, nie wiedząc czy doczeka wieczora, jeżeliby wojna nie przyniosła z czego abarwić tych chwil kilku, które mu pozostają czasem dla spoczynku? To darmo, nie na wieleby się przydał żołnierzowi oręż, gdyby go tylko bronił, a nie żywił. Ale i tu pocziwy zna jakieś umiarkowanie. Co tobie potrzebnego, bierz i nie pytaj, tak Bóg przykazał; ale pocóż niszcysz ogniem, czego zabrać nie możesz? To już wyraźnie woła o pomstę do Boga; a wiesz, kniazniu, że Szwedzi, kiedy tu się jeszcze im powodziło, nie byli tak niegodziwi jak dziś.

— I cóż było w nich dobrego? — odrzekł książ, przerywając zadumanie.

— A juźci! Miałem czas temu się przypatrzeć, kiedy Panu Bogu duszę będąc winnym, trzymałem niby z partyą szwedzką. Cóż robić? nie tylko chudy pacholek jak ja, ale magnat nawet czasem robi co chce, a najczęściej co musi. Zresztą wszystko na Litwie było uległe królowi Szwedzkiemu; jeden tylko Sapieha, starosta Mozyrski, opierał się w Mścisławskiem. I to naprzykrzyło się Szwedom; wyprawili na niego oddział swoich, i milicyę księcia marszałka mojego pana. Pan Bóg tego za grzech nie poczyta, że kiedy i mnie wraz z innymi wysłali naprzeciwko swoich, nie powiedziałem: — palcie mi w łeb, kiedy wola, ale nie pójdę! Poszedłem i robiłem co mi kazano, i siebie nigdzie nie oszczędzałem. To niedługo trwało; Sapiehę rozbito, jego Bychów zdobytym został, a sam był wpał jak w wodę, że dopiero teraz, jak mówią, miał wypłynąć. Otóż, kiedyśmy wpałi do zamku Bychowskiego, a Szwedzi mieli nad nami zwierzchność, to prawda, że czém który z nich mógł zapchać swoją kieszeń i doczepić do siodła, bo

u nich kulbak nie ma, t6m j4 zapycha! lub doczepia!. M6j Boze! co to oni srober nachwytali! Ale przynajmniej ani zamku, ani miasteczka nie podpalili. Nawet pani4 staro!cin4 Mozyrsk4, gdy zastali w zamku, otoczona swoimi francymerem z samych panienek szlacheckiego stanu, pani staro!cina i j4j panienki od przytomno!ci odchodzi!y ze strachu. A jednak ta pani nie tylko że nie do!wiadczy!a zniewagi, ale genera! szwedzki okaza! j4j najg!6bsze uszanowanie, i pozwoli! odjecha! ze swoim dworem do Birz6w, w t6m stosuj4c si4 do j4j za!dania. I to pod g!ejtem samych Litwin6w, mi4dzy kt6reimi i ja si4 znajdowa!em. A jednak El!zbieta z Chodkiewicz6w Sapie!yzyna jest niewia!st4 tak cudown4j pi4kno!ci, że chyba kniahini wojewodzina Witebska z ni4 por6wnanie wytrzyma! mo!e.

— Rada g4ba kiedy pan !pi. Jeszcze si4 taka nie urodzi!a, kt6r4by mo!na postawi! obok ksi4żniczki Eleonory.

— Wybornie! Niech4cy trafi!em dzielnie. Jeste! prawdziwym rycerzem, kniazium. Nie tylko wy!szym od nas, ale nawet rycerz Lizdejko musi przed tob4 zwin4! chor4giewk4. Przypominam sobie te czasy naszego m!odocianego kole!e!stwa w Birzaeh, kiedy to my czytawali z sob4 francuzkie romanse, opisuj4ce dzieje b!4d!4cego kawalerstwa. Jak to my z nich wyprowadzali sens moralny, że rycerz nie zakochany, nie maj4cy damy swoich my!li, jest tylko rycerzem przez p6!l. Niestety! my wszyscy takimi jeste!my, i gdyby nie ty, kniazium, stan rycerski, do kt6rego chlubimy si4 nale!e!c, by!by k!amstwem. Zapewne, że przez wiele trud6w przej!s! musisz, nim ta twoja mi!o!c4 uwie!czona zostanie. Bo w !adnym romansie rycerskim nie wyczytali!my, aby rycerzowi zakochanemu ona posz!a g!adko; gdyby tak by! mia!o, na trzynast4j lub czternast4j stronnicy romans by!by sko!czony. Ale pos!uchaj mo!ej wr6!zby!

— Zostaw j4 przy sobie, bo te twoje niewczesne !arty wcale do smaku mi nie przypadaj4. Je!eli jak4! cen4 przywi4zujesz do mo!ej przyja!ni, to nigdy przedemn4 nie wym6wisz pewnego nazwiska, kt6remu obaj winni!my nadto uszanowania, aby je lekko wspomina!.

— Czy tak? A czy to stoi w romansach rycerskich, aby giermek niecierpliwi! si4 na rycerza, kt6remu s!uży? Ale w t6m moja w!asna wina, że ci4 nazywam kniazciem Wojciechem, kiedy a! do naszego powrotu do kr6lewskiego obozu, kt6ry ju! dawno musia! wyruszy! za nami, jeste! tylko moim giermkiem Gaskoldem. Jakkolwiek b4d!z, jestem panem tak wyrozumia!ym, że unikn4 tego wszystkiego, co mo!e by! zanadto przykr4m dla mojego wiernego s!ugi. !art na stron4! Szwedzi klina zabili mi w g!ow4.

— A jakiego?

— Oto, że ludzie pospolicie zapominaj4 si4 w szcz4!ciu, ale zwykle s4 bardzo dobrzy, kiedy bieda zacznie im do !ywego dopieka!.

Ucisk daje mądrość, mówi Pismo Święte; możnaby dodać, że roznieca cnoty. Szwedzi Bogiem a prawdą nigdy nie byli świętymi, jednak było coś w nich ludzkiego, póki im się powodziło. Ale odkąd klęski jedne po drugich na nich sypać się zaczęły, ja sam ich nie poznaję. Dość okiem rzucić na ten kraj, przez który teraz wędrujem, aby się przekonać, że gdyby czarci wcielili się i zbrali w wojsko przeciwko ludziom, nicby gorzszego nie wymyślili nad to, co mieszkańcy tutejsi cierpią od Szwedów. Wszakże już się zbliża pora naszego noclegu, a od popasu ani całej chałupy, ani nawet żywego ducha nie zdarzyło się nam spotkać.

— A któżby się nie litował nad temi nieszczęśliwemi ofiarami nachodźców naszej ziemi? Ta przynajmniej dla nas pozostaje pociecha, że kiedy zło do najwyższego dochodzi stopnia, wkrótce coś dobrego nastanie. Póki nieprzyjaciel ma nadzieję utrzymać się przy kraju, który zdobył, póty go oszczędza, bo nikt sam sobie szkody nie chce robić. Ale jeżeli wszystko mieczem i ogniem niszczy, to już oczywisty dowód, że nie myśli w nim długo gościć. Najgorszy djabeł na wylocie, mówi przysłowie, które onegdaj król jegomość powtórzył w naszej przytomności. Święte to przysłowie.

Podczas gdy rycerze tak z sobą rozmawiali, wioska pojawiła się ich oczom. Wioska spustoszona jak omal nie wszystkie, przez jakie przechodzili, odkąd przebyli granice województwa Lubelskiego, a przy końcu tej wioski karczma murowana, w bardzo dobrym stanie, i nie nosząca na sobie śladów nieprzyjacielskiego przechodu. Zbliżył się Jakóbczak do nich i powiedział: — Chociaż mamy więcej godziny do zachodu słońca, radziłbym państwu w tej gospodzie obrać sobie nocleg. Powinna być w niej wygoda, a jutro zawczasu staniemy w Warszawie.

— Dobrze mówi — na to Gaskold do Odyńca. — Inna gospoda nie o wiele nas przybliży do końca naszej podróży, a pewnie będzie gorsza od tej, bo im więcej się zbliżamy do Warszawy, tém więcej natykamy spustoszeń.

— Zgoda — rzekł pan Dawid — i przybliżyli się do karczmy, w której nawet okna były w całości. Przyjął ich u podwoi przy stajni nie żyd, ale opasły Niemiec gospodarz.

— Masz owies i siano? — zapytał Odyniec.

— I dla koni i dla panów znajduje się wszelka wygoda — odpowiedział Niemiec złamanym językiem.

Wojacy zeskokczyli z koni, i poprowadzili je do żłobów, a zdawszy na pieczę Jakóbczaka, weszli pod przywództwem gospodarza do szynkowni wcale porządną, gdzie gospodyni z wabiącym uśmiechem ich przyjęła. Na to przymilenie już średnioletniej Niemki niewiele

zwrócili uwagi, nie tylko Gaskold ale nawet Odyniec, ale gaska na patelni wypieczona zaraz ich uwagę zwróciła ku sobie.

— Chwała Bogu — odezwał się pan Dawid uradowany — przecie po ludzku posilimy się. Przyznaj, mój miły giermku, że Szwedzi jeszcze mają cokolwiek poczciwości, kiedy przynajmniej swoich pobratymców nie niszczą. Wieś zamieszkała przez Mazurów z dymem poszła, a karczma cała, bo Niemiec w niej gospodarzem. Kruk krukowi oka nie wykole, jak mówi przysłowie. No, moja jójmość, zaprowadź nas do izby jaką dla nas przeznaczasz, i zanięś nam tę gaskę pieczoną. Jeżeli masz coś do jój zakropienia, daj; zapłacę jak za towar, a przyjmę jak łaskę. Jeżeli nie, to daj choć czystej wody, i za nią podziękuje. Pofatyguj się, aby nam na pościel znieśli słomy i siana, gdyż podjadłszy weźmiemy się do wczasu. Jutro przed świtem trzeba nam waszą gospodę pożegnać: albo w Warszawie, albo tu z powrotem jeszcze się obaczmy, a nie chcąc jójmości przerywać ранnego wczasu, jeszcze dziś ułatwimy z sobą rachunek. Ruszajże jójmość i spraw się tak, abyśmy jak najprędzej mogli się i najeść, i jój dobrej nocy zyczyć.

Zostawmy naszych rycerzy w gospodzie, a nieco cofając się w czas już upłyniony, przeniesmy naszych czytelników do Warszawy.

ROZDZIAŁ XXV.

Warszawa, jako wszystkie miasta owego czasu, była w stanie obronnym. Była jakoby twierdzą, której cytadellą był zamek królewski. Gdzie teraz ulica Podwal i piękny zjazd, którym się spuszcza do mostu na Wiśle, tam były wały otaczające miasto, jeszcze szczupłe, bo scieżnione między dwiema bramami, jedną Zygmuntofska, która do dni naszych dotrwała, drugą wychodzącą na Fawory, której ślady nawet z pamięci mieszkańców już oddawna są zatarte. Grzybów i Leszno były wsiami zblizonemi do Warszawy, ale nie mającemi łączności ze stolicą. Krakowskie-Przedmieście składało się z kilku pałaców, a raczej zamków obronnych, gdzie przemożni magnaci ze swojemi milicyjami nadwornemi żyli na stopie wojennój, która jedna zabezpieczała ich wraz z rodzinami od napadu ludzi, dla których rachunek był jedynym przemyślem, plód przyrodzony wojen domowych, w czasie kiedy prawa głosu nie mają, a sędziowie są zmuszeni zamienić swoje togi na pancerze, i złożyć pióro bezsilne, aby wziąć hartowny oręż.

Cała ta przestrzeń między Zygmuntofską bramą, Wisłą, kościołem świętego Krzyża, i ogrodami należącemi do mieszkańców Grzybo-

wa i Leszna, które w sto lat później ustąpiły miejsca kamienicom, cała ta przestrzeń mówię, gdzie teraz są ulice Senatorska, Bielańska, Wierzbowa, Nowy-Świat, a nadewszystko nadobne Krakowskie-Przedmieście, nie miała kształtu miasta: ani się na nią wznosiły pięknej struktury kamienice, ani wabiły przechodniów sklepy napełnione towarami wszystkich części świata. Zamki feudalne Kazanowskich, Jabłonowskich, Lubomirskich, Krasieńskich, Zamojskich, porozrzucane po tej przestrzeni, zadziwiała wędrowca innym rodzajem piękności, stosownym do ducha owych czasów. Wszędzie wały opatrzone działami, rohatyny, mosty zwodowe, które podnosiły się co wieczór o godzinie dziewiątej; wszędzie straż w wojennym rynsztunku, snujące się po wałach. Gdzie niegdzie klasztory, szczuplejsze, ale mało co mniej obronne od zamków pańskich.

Między temi zamkami i co do obszerności, i co do swojej obrony, najwięcej odznaczał się Badziwiłłowski na tém miejscu, gdzie dziś się wznosi pałac rządowy: dwieście żołnierzy nadwornych składało załogę tego zamku. Był on własnością księcia Bogusława Badziwiłła, marszałka wielkiego Litewskiego, a od więcej roku jego siedzibą. On w Warszawie dawał najwyższe rozkazy. Wprawdzie ta jego nieograniczona władza, spuszczone mu przez króla Szwedzkiego, była więcej nominalną niż rzeczywistą; ale odkąd Szwedzi opuścili Warszawę, dla skupienia się w Poznańskim i jemu przyległych ziemiach, tak że w nią zostawili tylko około dwóchset piechurów i kilkudziesiąt rajtarów pod generałem Mejendorfem, obok przeszło półtora tysiąca Polaków i Litwinów, posłusznych księciu marszałkowi, odtąd książę był istotnym i bezpośrednim władcą Warszawy, tém więcej, że oprócz tej siły zbrojnej protestanci, wychodźcy z Niemiec, którzy składali większą część mieszczaństwa, w nim jedyną pokładając nadzieję przyszłego bezpieczeństwa, byli do niego ślepo przywiązani.

Lubo król Szwedzki był upoważnił księcia, ażeby do zamku przeniósł swoje mieszkanie, on się z tego wymówił, oświadczając, że tak się przyzwyczaił mieszkać u siebie, iż mieszkanie w pałacu chociaż królewskim, ale cudzym, byłoby dla niego niemiłe. A więc rządził miastem ze swojego dziedzicznego zamku, w którym pod strażą swojej milicyi i uzbrojonych przyjaciół swego domu czuł się bezpieczniejszym, niż w samém mieście, otoczoném wałami i obwarowaném stosownie do wszelkich prawideł owoczesnej architektury wojennej.

Całkowity dół, tak korpusu zamkowego, jako i jego skrzydeł, stanowił koszary dla jego milicyi: samo księstwo, z tém co składało bliższą jego usługę, zajmowało piętro korpusu; prawe skrzydło było oddane dworzanom księcia, jego przyjaciółom z Litwy przybyłym i przybywającym do Warszawy, nawet wielu z nich z żonami i dziećmi. W lewém skrzydle mieszkała kniahini wojewodzina Witebska

ze swoim dworem, a były drzwi wewnętrzne, któremi ze swoich komnat mogła w każdym czasie wychodzić do księżnej matki.

Pani wojewodzina nigdy się nie pokazywała na pokojach książęcych, przeznaczonych dla przyjęcia gości. Ale codzien widywała rodziców, ile razy byli sami, lub tylko z temi poufalszemi dworzanami, do których obcowania była przywykła. To jój odosobnienie wśród zgiewku stolicy nikogo nie zadziwiało; przypisywano to powszechnie uczuciom przyzwyczajenia, gdyż w owym czasie siła obyczajów, potężniejsza niż wszelkie prawa pisane, nie dozwalała przypuszczać, żeby żona oddalona od męża mogła brać udział w publicznych zabawach. Dworzanie tylko księcia domyślali się istotnych powodów tego smutku, który ją przywiązywał do samotności, piętnując w jój duszy wstręt nieprzełamany od towarzystwa obcych. Bo co się tyczy dworzan i domowników, nigdy ich nie spotykała bez przybrania wdzięcznego uśmiechu, i bez wyrażenia im kilku słów życzliwości, zniewalających ich serca.

Brzęmie smutku obciążające jój duszę aż nadto wyrażało się na jój czarującym obliczu. Najdroższa jój przyjaciółka, dla której nie miała tajnego, Elżbieta Sapieżyna, starościna Mozyrska, po długim z nią rozstaniu się wróciła do Warszawy. Ona za zezwoleniem księcia marszałka wyjechała w głęboką Litwę, dla powzięcia wiadomości o swoim mężu. I ta podróż jój się powiodła, bo kiedy opuszczała Warszawę, myślała że ten wywołaniec obcej przemocy błąka się po lasach, ażeby ocalić swoją głowę. Miała by się za szczęśliwą, gdyby mogła się upewnić, że przynajmniej żyje, bo nie pochlebiała sobie wcale, że go będzie mogła oglądać. Jakaż była jój radość, kiedy się dowiedziała pierwszy raz w okolicach Nieświeża, że ten niezachwany obrońca prawego pana już na nowo wstępował na scenę, i we Mściłowskiem województwie ożywiał stronnictwo swojego króla. Odważna niewiasta, wierna obowiązkom małżonki, na żadne niebezpieczeństwo nie zważając, a opatrzona pismem glejtownem księcia marszałka, śpiesznie skierowała się ku Białej Busi. I żadnej przeszkody w tej podróży nie doświadczyła, bo lubo kraj, którym przejeżdżała, był niby posłusznym królowi Szwedzkemu, instynkt powszechny, zawsze nieomylny, tak dalece przeczuwał, że król ten wkrótce opuści ziemię, którą był najechał, że już żadnej nie było gorliwości w urzędnikach, którym był powierzył zarząd województw i ziem przez siebie zdobytych. To wahanie się wodzów partyi Szwedzkiej, dopiero tak silnej, przeszło i do najniższych wykonywaczy ich rozkazów. Stronników Jana Kazimierza już nie ścigali, albo jeżeli nie mogli jakiego z nich nie mieć, tak miękko go strzegli, iż wszelką miał łatwość do ucieczki. Jeszcze nim hetman Gąsiewski oświadczył się za Janem Kazimierzem, już zapaleńsi obywatele temu królowi sprzyjający, rozzuchwaleni no-

wemi nadziejami, dopuszczali się pogardliwego nieposłuszeństwa rozkazom im danym w imieniu króla Szwedzkiego, zwłaszcza odkąd księżę Bogusław przeniósł się z Birzów do Warszawy, i to im uchodziło bezkarnie, bo coś ostrzegało tych, coby mogli ich skarcić, że przyszłość do tamtych należy. Utrata nadziei w szczęściu króla Karola Gustawa, obawa zemsty dotąd prześladowanych przyjaciół Jana Kazimierza, tak dalece były rozprzęgły duch rządowy, że lubo w doniesieniach urzędowych, nie przestawano ludzi króla Szwedzkiego, iż wszystko idzie jak najlepiej w Litwie, w rzeczy samej była w niej zupełna anarchia, a wkrótce wszystkie środki, jakie ona podaje, zostały obrócone przeciw niemu.

Tym sposobem pani starościna Mozyrska dostała się do Bychowa, nie doświadczając najmniejszego utrudzenia ze strony władz, lubo każdy wiedział kim ona była, i łatwo się mógł domyśleć dokąd i w jakim celu dążyła. Tam obaczyła swojego małżonka, do którego pomimo różnicy ich wieku szeszerze była przywiązana, już nie w postaci tułającego się wywołańca, ale naczelnika uzbrojonego stronnictwa, gotującego się do wystąpienia na nowo na plac chwały, dla odwetowania krzywd publicznych, które jego wspaniałą duszę nierównie więcej rozjątrzyły, niż te wszystkie osobiste, jakich był doświadczyl. Jakkolwiek był uradowany przybyciem nadobnej Elżbiety po tak długim z nią rozstaniu, ten poświęcony dla kraju obywatel nie pozwolił jej zatrzymać się w Bychowie nad dni pięć, właśnie ile mu wystarczyło czasu, dla skupienia pospolitego ruszenia szlachty Mściśławskiej i Rzeczyckiej, z którą wyruszył ku Pińskowi; bo już mu było wiadomo że Gąsiewski wahał się w wierności swojej dla króla Szwedzkiego, a więc chciał do niego się zbliżyć, żeby tym śmiałym krokiem skłonić go do stanowczego oświadczenia się na stronę konfederacyi Tyszowieckiej za przykładem województwa Mściśławskiego, które pierwsze na Litwie akces do niej zrobiło, a swoim marszałkiem ogłosiło starostę. Nadto już dochodziły do niego wieści o porażce Szwedów pod Potuszą; sam więc wystąpił na czele przeszło tysiąca szlachty, a swojej żonie kazał wrócić do Warszawy i tam go oczekiwać.

Starościna bez szwanku wróciła do Warszawy, i jako wprzód, ulokowała się w komnatach swojej przyjaciółki. Łatwo można wyobrazić sobie radość tych dwóch anielskich istot, kiedy rzuciły się we wzajemne objęcia. Którą radość była większą, tego odgadnąć nie można. Obie równo były przywiązane do siebie, obie nie tajnego przed sobą nie miały. Elżbieta wiedziała, że Eleonora jest nieszczęśliwą, że potrzebuje pociech dla serca, i że pod tym względem ma obowiązki przyjaźnią nakazane, jako strona szczęśliwsza, a jakkolwiek czuła w sobie gotowość do wszelkich poświęceń, zawsze się jej zdawało, że nie dość

jeszcze umie ją kochać, że nie dość się wywiązuje względem niej z powinności przyjaciółki. I to uczucie, które czułe serca tylko pojmują, nie dopuszczało jój w pełni kosztować tego szczęścia, jakiego doświadczała przyciskając do swojego serca tę, którą kochała nad życie. Eleonora swobodniej oddawała się radości, bo kto ciągle jest dręczony losem, tak że nawet nie przecezuwa w nim zmiany, ten chwytą z uniesieniem każdą chwilę przerwy w swoich cierpieniach, — upaja się nią jakby rzeczywistém szczęściem, i radby te chwile do nieskończoności przedłużyć. I to nam tłómaczy ten fenomen osobliwszy, ciągle się urzekający przed naszymi oczyma, że ulubieńcy fortuny, ci o których mówią, że wszystko im się powodzi, pośród otaczającej ich wesołości przynoszą zamyślenie i ponurość, podczas kiedy ci, którzy całkowity żywot przehartowali w przeciwnościach wszelkiego rodzaju, w których sercu zgryzoty zapuściły coraz głębsze korzenie, te nieszczęśliwe istoty, lubo rade unikać towarzystwa ludzi, w których nawet bliźnich upatrzeć nie mogą, jeżeli jednak jakimś trafem są rzuceni wśród ich zabaw, biorą w nich udział z dziecinną aż do hałaśliwości wesołością, właśnie dlatego, że ona nie będąc ich stanem normalnym, jest jakoby paroksyzmem o tyle gwałtowniejszym, o ile krótkotrwałszym.

Dla tego któremu życie stało się ciężarem, samotność jest powabną. Bo zaprzeczeniu nie ulega, że wyjąwszy małą liczbę wyłączeń, człowiek, który wiele cierpiał, ma wewnętrzną wartość wyższą od takiego, któremu wszystko się uśmiechało. Jeżeli więc jest chwilowo rzucony w zgiełk towarzystwa niezdolnego do zrozumienia go, ta wesołość, w której objęcia się rzuca, jest dla niego jak odurzający trunek. Skoro się wytrzeźwi, powraca do zwykłych zgryzot, czując, że mu jeszcze ubyło sił do ich znoszenia. Ale obcowanie z przyjacielem nie jest wyjściem z samotności. — Jeden starożytny filozof pięknie orzekł przyjaźń temi słowy: — Kiedy jestem z moim przyjacielem, nie czuję żeby nas było dwoje, a przecie nie jestem samym. — Nieszczęśliwy łaknie przyjaźni, bo zwykle jest usposobionym do spełnienia jój świętych obowiązków, ale ta żądza jego duszy zawsze będzie zawiedziona w okresach wygórowanego ukształcenia, bo któż zechce być przyjacielem nieszczęśliwego (*) i przyjąć na siebie podobny ciężar?

Ale w dawnych czasach, kiedy w życiu więcej było uczucia, niż wyrachowania, przyjaźń nie była umówionym wyrazem, ale rozwijała się w czynach i ofiarach. Eleonora i Elżbieta mogły służyć za wzór

(*) Miłują siebie jak biedni — mówi francuzkie przysłowie, a nigdy mądrość narodów więcej filozoficznie nie mogła przemówić. Wszakże dzięki spustoszeniom przez racjonalizm sprawionym, już to święte przysłowie zostało kłamstwem.

tego uczucia dusz szlchetnych, które wszystkie promienie moralne skupiając w podwójnym ognisku, omal że nawet miłości nie przewyższa swoją potęgą. Było widziéć, jak ich oblicza zbliżone do siebie, po niekrótkim rozdziale, jaśniały jakimś uroczym blaskiem, — jak we wzajemnych uściskach do siebie mówiły tylko tym językiem duszy, który dla obcych wydawałby się milczeniem, a jednak tak dokładnie przez nie był zrozumianym.

Jeszcze nie były się nacieszyły z siebie, kiedy księżę marszałek ze swoją szanowną małżonką przybyli do komnaty córki, żeby powitać miłego gościa, i powinszować mu powrotu szczęśliwego do opiekuńskiego domu. Księżę, pamiętny na święte obowiązki gościnności, ani potrącił o rzeczy dla niej drażliwe, któreby mogły w czémkolwiek dotykać jój męża, ani nawet jego nazwiska nie wspominał, szanując jój tajemnicę, że nawiedziła męża, lubo to dla niego nie było tajemnicą. A tylko wraz ze swoją czeigodną księżną robił jój pytania, li tylko jój osoby dotykające, o przygodach jój podróży, i czémby mogli jój uprzyjemnić powrót do ich domu? I wyszli oboje, nie chcąc dla nich być natrętnymi. Nie uszło uwagi jasnowidzącej przez przyjaźń starościny, że księstwo, które lubo swe dzieci nad wszystko miłowało, zawsze w obcowaniu z córką zachowywało stosowną do ówczesnych obyczajów rodzicielską powagę, zdawało się odstępować od jój prawideł, dopuszczając się względem niej czegoś podobnego do pieszczot.

Kiedy zostały same, po pierwszych a milczących uniesieniach, już nacieszywszy się swoim połączeniem, nadeszła chwila zwierzeń. Serce Eleonory przepełnione uczuciami, które od kilkunastu tygodni zamknięte były w jego głębiach, łaknęło potrzeby wynurzenia ich w łonie przyjaźni. W tych wynurzeniach mało było takich, jakichby już Elżbieta nie była świadomą, a jednak skwapliwie i z natężoną uwagą słuchała tych powtarzań, któreby były ciężarem dla słuchacza zimnego, nie umiającego się jednocześnie z cierpieniami, jakich sam nie doświadcza. Obie przyjaciółki usiadły obok siebie na ottomance, splotłszy swe dłonie, a Eleonora tak zaczęła:

— Droga Elżusiu! to, co ci powiem, będzie po większej części powtarzaniem tego, co ci już tyle razy mówiłam. A jednak ulgę znajduję w tém powtarzaniu. Przypominając sobie czasy mojego dzieciństwa i pierwszej młodości, roztaczając ich obraz przed tobą, zdaje mi się że do nich powracam, i że te błogie chwile, tak chyżo upłynione, wskrzeszają się mojem opowiadaniem, przedłużają się dla mojej duszy, i użyczają mi siły do wynurzenia przed tobą smutniejszych kolei, które już zostały pasmem mojego nędznego żywota.

— Ach, mów! mów, najukochańsza przyjaciółko! Ulżyj swoje troski ciągłym ich wynurzaniem przedemną. Nigdy się nie nasycę twoją ufnością, abym tylko umiała być jój godną.

— Było nas dwoje dzieci, u rodziców. Mój brat, Olbracht, odemnie czterema latami starszy i ja; jeszcze było trzecie między mną a moim bratem, braciszek, który umarł rok przed moim urodzeniem. Moja ochmistrzyni powtarzała mi często, że mój Olbracht, jeszcze prawie niemowlę, nadzwyczajnie okazywał przywiązanie dla małego braciszka, zawsze napierał się u niańki, żeby mu pozwalała go kołysać, i ciągle był nieodstępnym jego towarzyszem, — tak że kiedy odumarł, Olbracht nie przestawał za nim wołać i płakać, że go nie widzi. A ta czułość w dziecku czteroletniem wielkie wrażenie sprawiła na rodzicach. W tym czasie matka mnie wydała na świat, i dopiero kiedy pokazano Olbrachtowi siostrzyczkę, którą Bóg go obdarzył, powoli zaczął zapominać o bracie, i przeniósł do niej przywiązanie, jakie miał do tamtego. Rośliśmy razem; on starszy był zawsze moim protektorem. Przywiązanie wzajemne wzmagalo się u nas z latami, i była z tego wielka pociecha naszym rodzicom.

Olbracht doczekał się lat dziesięciu, ja miałam siódmy. Dotąd nasze dziecinne przywiązanie nam wystarczało. Nie pojmovaliśmy, żeby mógł być trzeci między nami, któryby brał udział w tém przywiązaniu, kiedy nasz ojciec powracając z długiej podróży, przywiózł z sobą chłopczyka tych lat, co i mój Olbracht. Nic innego o nim nie powiedział przed swojemi, tylko że jest sierota, z rodu szlacheckiego, powierzony mu od swojej matki, że przyrzekł jej zatrudnić się jego losem, że chce mieć z niego dla Olbrachta towarzysza i współzawodnika w naukach pod kierunkiem mądrego Oldenkopfa. Zaledwo Olbracht i Gaskold poznali się, ich serca połączyły się z sobą przyjaźnią tak czystą, tak silną, że nie mogła nie wpływać na całe ich przeznaczenie. Przypominam sobie, że patrząc na dowody przywiązania, jakie sobie dawali wzajemnie, długi czas był mi Gaskold niemiłym; miałam żal do niego, bo widziałam w nim tego, co mi odebrał wyłączną dotąd własność serca mojego drogiego braciszka, i długi czas upłynął, nim się mogłam do niego wzwyczaić. Ten mój wstręt wielce martwił Olbrachta. — Elciu — mawiał często — ty mojego Gaskolda nie kochasz, a więc i mnie nie kochasz. — A ja mu na to: — Ja go nie cierpię, bo ty go lepiej kochasz niż mnie. — Wiadomo wszystkim, że w naszych domach protestanckich nad wszystko baczą, ażeby dzieci czerpały jak najwięcej nauk. Będąc siedmioletnią dziewczynką, już zaczynałam brać udział w ćwiczeniach umysłowych Olbrachta i Gaskolda. Brat starszy odemnie czterma laty, i już postąpio-ny w naukach, pomagał mi do pojęcia i zachowania w pamięci tego, co Oldenkopf rzucał w moją młodocianą główkę, a w tém dziele mu do- po magał Gaskold, z którym już byłam oswojoną. Nam trojgu wszystkie zabawy były wspólne. Gaskold coraz więcej wgłębiał się w moje serce. Wstręt ustąpił miejsca gorącej przyjaźni; przyszło do tego, że

nieraz sobie wyrzucałam, że nie umiem już zdać sobie sprawy, kto był dla mnie miłszym: czy mój brat, czy on? W takich to kolejach, w tém błogiém współnictwie uczuć, w tém nierozzerwaném towarzystwie rośliśmy razem. I te lat kilka, które były jakby prologiem dramatu naszego życia, były tak szczęśliwe, że często przychodzi mi ta myśl rozpaczliwa, że już wyczerpawszy aż do dna kielich szczęścia, ani jedna jego kropelka nie pozostaje dla naszój przyszłości. Zaczynałam rok czternasty; Olbracht i jego rówieśnik kończyli siedmnasty. Kochałam i byłam kochaną, nie rozumiejąc jeszcze, co to jest miłość. Jednego razu księżę ojciec w przytomności mojej rzucił te słowa: — Nasza córka dorasta; trzeba myśleć, jakiegoby męża jój dobrać. — Te wyrazy rzucone może bez myśli, niewypowiedziane wrażenie na mnie sprawiły. Pierwszy raz zaczęłam się zastanawiać, że może być ze mną coś innego, niż to do czego się przyzwyczaiłam, i że to nie jest rzeczą niepodobną, żeby jakiś czwarty do nas się przymieszał, by mnie oderwać od naszego związku, od którego woli jedynój zależeć będę, a któremu sumieniem obowiązana będę być posłuszną, chociażby zażądał ofiary z moich uczuć dla brata i Gaskolda. Jakkolwiek byłam przywiązana do Gaskolda, i pewna jego wzajemności, nigdy nie powstała we mnie nawet przelotnie myśl, żeby mógł zostać dla mnie jeszcze czémś więcej, niż przyjacielem, brat em. Kiedy więc księżę ojciec odezwał się, że już czas myśleć o mojem postanowieniu, natłok nowych wyobrażeń snuć się zaczął przedemną. One oświeciły mnie o stanie mego serca, a przytém odkryły mi bezdenną przepaść, nad którą stałam, bo ujrzałam uśmiechające się do mnie szczęście, a przy niem i zaporę, która mnie od niego przegradzała na zawsze. Ty, co jesteś córką Chodkiewicza, a żoną Sapiehy, wiesz najlepiej do jakiego stopnia jest wygórowana pycha naszych historycznych rodów. Wszystkie prawa i ustawy, zabezpieczające równość szlachecką w naszój rze czypospolitój, są bezsilne przeciwko téj potężnej namiętności, z jednego do drugiego pokolenia przekazanej, a zwiększającej się z każdym nowym zaszczytem, z każdą nową usługą dla kraju. Przy najmińej w waszych domach katolickich obudwóch wyznań, ta pycha niekiedy zasypia w jakiejś rubasznosci. Ona jest u nich skutkiem nałogu, ku któremu natura ludzka aż nadto się skłania, tém więcej, że się wzmaga samém ich położeniem w narodzie, i że jest wypiastrwany pochlebstwami tych, co z niego czerpią i swój byt i wszelkie nadzieje wyniesienia się nad innemi. Ich pycha jest osobista, ale że nie wyrozumowana, że nie służy im za zasadę polityczną i za prawo postępków, a więc objawia się tylko jakimiś wybrykami. Każdy z nich swoją przewagę rad przypisać swojej wartości osobistej; szczerze wierzy w równość szlachecką, i z upodobaniem powtarza, że szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie. A chociaż wybiera zięciów równych

mu w położeniu, przynajmniej ma przekonanie w gruncie serca wyryte, że skoligacenie się z ubogim szlachcicem niczém nie kała rodu dzierżącego władzę, a spadkowo piastującego najpierwsze w narodzie dostojenstwa. Nasze domy protestanckie są przywiązane do kraju, radeby go widzieć wzrastającym w sławie i potędze, ale przesiąknięte obrazami za granicą rozwiniętymi, widzą w podaniach ojczystrych tylko zabytki ciemnoty i barbarzyństwa, a te, ile jest w ich możności, usiłują zatrzeć z pamięci. Położenie warunkowe, jakie zajęły w kraju, radeby wyraźnym prawem utrwalić dla swoich potomków, nie przypuszczając, żeby to czego wzoru nie ma w społeczeństwach zachodniej Europy, zasługiwało na nazwę rządu i ukształcenia. Pycha rodowa już u nich jest nie igraszką namiętności, ale zasadą polityczną, na której opierają w nadziejach swoich trwałość i szczęście kraju. Nie przyznając szlacheckim rodom z sobą równości, nawykli zięciów i synowe szukać tylko w domach historycznych kraju, a często w panujących niemieckich, ani przypuszczają, żeby wolno było potomkom rodów, nie odznaczających się licznymi krzesłami w Senacie, czy podnosić na ich córki. Mieliby to za największą obelgę, pieszcząc w myśli to przekonanie, że szlachcic polski względem magnata ma być w takich samych stosunkach, w jakich szlachcic niemiecki zostaje względem księżęcej rzeszy. Ta sama obyczajowa wyniosłość moich rodziców stała się przyczyną mojego nieszczęścia. W ich myśli powstaćby nie mogło, żeby stosunki księżniczki z młodzieńcem bez imienia miały stać się niebezpiecznymi dla jój serca, — żeby zgodność w wychowaniu, równość w przymiotach, tożsamość w charakterach, zrównoważyć mogły nierówne urodzenie. Obojętnie patrzali na naszą przyjaźń dzieciinną, i nie innego z niej na przyszłość nie wnioskowali, tylko że kiedyś Gaskold będzie wiernym sługą mojego brata i jego domu. Wtedy dopiero w zupełności poznałam, ile on był dla mnie miłym. Nowa przystępna wydarzyła się dla nas; zaburzenia, napady zagranicznych wojsk, podział narodu na stronnictwa, różne bunty chłopstwa przeciw swoim panom, gotować się zaczęły na nieszczęście naszego kraju. Jednak jeszcze cieszyliśmy się ostatnimi chwilami spokojności naszej Rzeczypospolitej, kiedy ksiązę ojciec, zadość czyniąc naleganiom księżnej matki, troskliwój o los jedynaka, postanowił wyprawić Olbrachta do naszego wuja, księcia elektora Falegrafa. Gaskold był z początku przeznaczony jemu na towarzysza, i kiedyśmy w troje rozmawiali o tym przyszłym wyjeździe, tęskność serca ży często mi wyciskała. Myśl, że wkrótce rozstanę się z temi drogiemi dla mnie istotami, przesywała mnie jakby zimném żelazem.

Kilka dni przed odjazdem Olbrachta, ksiązę ojciec oświadczył mi, że zmienił postanowienie, i że Gaskold pozostanie w Birzach. Na próżno brat mój błagał ojca, żeby go nie rozłączał z przyjacielem;

jego wola była niezachwiana, i stanowczo odmówił mu w sposobie takim, że zasmucony Olbracht już nie śmiał nalegać. Języki ludzkie były przyczyną téj zmiany. Doszło do wiadomości księcia, że mówiono, iż te szczególne względy, jakie sierota był u niego pozyskał, na równi będąc wychowany z jego dziećmi, były wywołane głosem natury, — że Gaskold jest owocem potajemnej miłości księcia. Usiłowano zgadnąć, kto jest jego matką, i w rozmaitych domysłach niektórzy nawet odważali się ją mianować. Wiadoma ci surowość obyczajów naszych domów protestanckich; jak w nich nie szczędzą ostrych wymówek katolikom za rozwolnienie ich moralności, i jakaby była tych radość, żeby mieli prawo te im czynione zarzuty odwrócić na osobę naczelnika całego stronnictwa protestanckiego w Polsce. Księżę, lubo czysty na sumieniu, ale oględny na sławę nie tylko własną, ale i swojego wyznania, uczuł w sobie powinność odmienić się zupełnie względem Gaskolda, tak że o ile wprzód sam potakiwał pierwszym związkom jego przyjaźni z synem, o tyle odtąd usiłował ją skrócić. Rozstali się przyjaciele przejęci smutkiem, a co do mnie wyznaję, że w téj zgrzyocie mojej po odjeździe brata miałam za pociechę, iż codziem będę mogła patrzeć na Gaskolda, który coraz droższym się stawał dla mojego serca.

Położenie Gaskolda w Birzach znacznie się pogorszyło. Dopiero uznawany niemal za równego synowi, teraz wmieszany w grono zwyczajnych dworzan, oddany był pod władzę marszałka dworu. Przynajmniej ten zwierzchnik księżęcej służby wiedział kim był Gaskold, a tém samém zanadto go szanował, by mu dać uczuć brzemień swojego zwierzchnictwa. Ale ze strony księstwa już nie innego nie doświadczał, tylko lodowatą oziębłość. Księżciu musiała być przykrą, że się okazywał niesprawiedliwym względem niewinnego Gaskolda; ale że był przekonany, iż w tém ulegał powinności, żadne względy nie były zdolne zboczyć go z drogi, po której postanowił postępować. Z tém wszystkiém Gaskold był nieszczęśliwym; ja jedna podzielałam współczuciem jego cierpienia, a tém samém coraz więcej przywiązywałam się do niego.

Nikt się nie domyślał w Birzach naszój miłości, a co do nas samych, aż nadto byliśmy o niej przeświadczeni, lubośmy o tém z sobą nigdy nie mówili. Byłabym szczęśliwą, a jednak i wychowanie moje, i przekonania, które pomimowolnie były wkorzenione w mojej duszy, dręczyły mnie jeszcze więcej niż bojaźń, żeby moi rodzice nie dowiedzieli się, że odważyłam się rozrzadzić mojm sercem bez ich zezwolenia, gdyż żadnego rozwiązania przeczuwać nie mogłam dla moich uczuć. Kochałam miłością czystą, ognistą, pożerającą, — kogo? — oto młodzieńca bezimiennego, sierotę bez krewnych, służbę domu mojego. Oddana nawet własnej woli, nie mogłabym pomyśleć bez strachu

o połączeniu mojej z jego dołą. Zestąpić z stanu, w którym Opatrzność mnie umieściła, z księżniczki świętego państwa rzymskiego zostać szlachcianką, a może mniej jeszcze niż szlachcianką, zerwać wszelkie stosunki z moim świetnym rodem, — nie, nie! nigdybym nie była zdolną tak wielkiej ofiary uczynić dla miłości. Jakkolwiek z lubością pieściłam w mojej wyobraźni obraz szczęścia, które jeden Gaskold mógł mi zapewnić, uczucie wstydu i poniżenia ten słodki obraz oszpecało. Gorzkie łzy wylewałam nad sobą; często przypisywałam tę szaloną miłość, która mnie pożerała, karze Boskiej na potomku za dumę i wyniosłość przodków; poprzysięgałam, że ile razy spotkam Gaskolda, odwrócę od niego oczy, że rysy jego wypruję z mojej duszy. Niestety, jego widok wszystkie moje przedsięwzięcia wywracał.

Wszczęła się wojna na Litwie; książę ojciec z początku stanął w obronie króla. Połączony z hetmanem Gąsiewskim, kilkakrotnie stawiał czoło wojsku szwedzkiemu, zawsze nieszczyśliwie. Gaskold, wraz z innemi dworzanami księcia, brał udział w tych wyprawach, i pozyskał chwałę dzielnego wojownika. Wszakże gdy hetman Gąsiewski pierwszy odstąpił królewskiej sprawy, książę ojciec, znękany nieszczęściem, za jego przykładem pogodził się z królem Szwedzkim, i został najwyższym wodzem jego partyi w Polsce. Powrócił więc do Birzów ze swoim rycerstwem, a jakkolwiek pod jego okiem wślawił się był Gaskold, w niczem nie zmienił trybu swojego z nim postępowania.

Tu Eleonora przerwała swoje opowiadanie; potrzebowała odpocząć, odkładając resztę na później, tém więcój, że już pora była spóźnioną.

ROZDZIAŁ XXVI.

Nazajutrz z rana przyjaciółki znowu siedziały koło siebie. Eleonora była zamyślona; Elżbieta nie chcąc jej marzeń przerywać, przez długi czas milczała. Nakoniec odezwała się: — Droga Elciu, opowiedz resztę twoich wydarzeń; wyléj je w łono przyjaciółki, nigdyś mi ich nie opowiadała z takimi szczegółami.

— Chcesz, ażebym kończyła? Będę ci posłuszną, a nawet przyznam ci się, że tém mojem opowiadaniem przynoszę sobie jakąś ulgę. Słuchaj:

— Miałam lat siedmnaście. Mówiono o mnie, że byłam piękną. *Muszę ci przypomnieć ucztę, na którą król Szwedzki zebrał w Wilnie.*

co tylko było najświetniejszego w Litwie. Jeszcze to wtedy, po pierwszym roku twójego pożycia z mężem, oddzielona od niego przemocą, będąc przez niego oddaną księciu w opiekę, długo opierałaś się chęci jego, znajdowania się na uczcie u tego, który wywołał z kraju twójego męża i naznaczył cenę na jego głowę, a na silne nalegania księcia, jako opiekuna, dopiero na wpół z płaczem jego woli uległaś. Jeszcze to wtedy była powstała sprzeczką o nasze piękności, która pomimo naszego smutku wielce nas rozśmieszyła. Partya, na czele której był młody książę Karolson, chciała mnie mieć za najpiękniejszą w tém zebraniu; druga, prowadzona przez księcia Kurlandzkiego, za tobą się ogłosiła, a pan hetman Gąsiewski rozochocony, puścił to zadanie na kreski i sam je zbierał. Otóż między nami podzieliła się zupełna równość zdań. Czterdziestu dwóch ogłosili ciebie królową balu, a tyłuż mnie przyznało wyższość. Hetman, odkrywając to przed nami, dodał: — Jakże panie nie macie się kochać, kiedy we wszystkim jesteście z sobą równe, że chyba sam król między wami paritatem rozwiąże.

Ty się wkrótce potem udałaś na mieszkanie do Lachwy, za zezwoleniem opiekuna, bo uważałaś to ustronie być przyzwoitszém dla małżonki wywołanego męża, niż zgiełk zamku Birzowskiego, zamieszkałego przez nieprzyjaciół twego męża, a my wrócili do Birzów.

Mnóstwo dostojnych kawalerów zaczęło się ubiegać o moje serce, bo żaden z nich nie wątpił, iż to serce było wolne. Między temi zalotnikami, bezwątpienia, najsposobniejszym do wzbudzenia miłości w sercu kobiety był mój krewny, książę Janusz Radziwiłł, i gdybym mogła niém rozrządzać, jemubym je oddała, bo do najgruntowniejszych przymiotów duszy on łączy wszystkie zewnętrzne ponęty, i ty, co go znasz dobrze, sama przyznasz, że może służyć za wzór naszym kawalerom. On mnie ubóstwiał; ja dla niego miałam największy szacunek, i oprócz miłości nie było szlachetnego uczucia, któregooby we mnie dla siebie nie wzbudził. Sama przed sobą jego sprawy broniłam. Usiłowałam zapomnieć o Gaskoldzie i oddać je Januszowi. Myślałam, że to jedno z czasem zdoła mnie wyleczyć z téj gwałtownej skłonności, którą nie przestawałam sobie wyrzucać jako hańbę, jako zniewagę mojej krwi. Książę Janusz był nas odjechał na kilka dni do dóbr swoich. Oczekiwałam jego powrotu z niecierpliwością, postanowiłam, że jak powróci, a do mnie się uda ze zwykłym naleganiem, abym mu nadziei uzyskania kiedyś mojej wzajemności nie odmawiała, moją odpowiedzią upoważnię go, by się udał do moich rodziców i zapewnił ich, że jeżeli jego oświadczenie się o moją rękę łaskawie od nich przyjęte będzie, o czém wątpić nie mogłam, ja z mojej strony zadość czyniąc ich woli, pójdę uietylko za głosem powinności, ale nawet za uczuciem serca. Znając szlachetność Janusza, chciałam przed nim odkryć wszystkie tajniki mojej duszy i powiedzieć mu: — Posiadasz mój

szacunek, moją ufność, więcéj ci dać nie mogę; co do mojego serca, widzisz, czém ono jest zajęte. Powierzam się tobie, chroń mnie od uczucia, które mnie upokarza.

O! ile razy zazdrościłam wam waszego wyznania, w którym dziewica może poświęcić się Bogu i odosobniona od ludzi, w jego łonie składać wszystkie swoje troski. Protestantyzm potępia te dobrowolne śluby, bo utracił pojęcie niektórych udręczeń duszy, a tém samém leków zdolnych ją uspokoić. Bezsilny do przyniesienia pociechy cierpiącemu, gwałtem przywiązuje do świata nieszczęsnego, który od niego samych tylko zawodzeń doświadczył. Jakby nie wiedział, że są takie założenia, o jakie wszelka potęga rozumu rozbić się może, a które jedynie przez wyższe posiłki rozwiązać się dają.

Nigdy zgiełk towarzystwa nie miał dla mnie powabów, a tém mniej w mojem położeniu. Ty, co mnie znasz najlepiej, wiesz, że bez zadania sobie takiego gwałtu nie umiem bawić się w tych licznych zgromadzeniach, do których uczestnictwa stanowisko, jakie zajmujemy w społeczeństwie, tak często nas przymusza. Jeżeli nie mogę obcować z sercem, które moje rozumie, osamotnienie jest mi lube. I w tym względzie rodzice moim skłonnościom żadnej przeszkody nie stawiali. Musiałam znajdować się na ucztach i zabawach wieczornych, które często w Birżach się powtarzały. Tam trzeba było pomagać rodzicom do przyjęcia gości, tak ze stanu najwyższego, jako i braci szlachty, dla których nasza obyczajność jeszcze więcéj uprzejmości od nas wymaga; tu musiałam wypełniać obowiązki córki. Ale oprócz tego byłam panią mojej woli, i rozrządzałam gwoli upodobania czasem, rozrywkami i zatrudnieniami. Wszystko co mnie otaczało, począwszy od mojej ochmistrzyni, było mi posłuszne. Postanowiłam więc raz na zawsze, żeby bez wyraźnej mojej woli nigdy natrętna usługa nie przerywała mojej samotności.

Ogród Birżowski był dla mnie zawsze miłym siedliskiem; lubiłam przechadzać się sama między niebotycznymi świerkami jego chodników. Był jakiś ścisły stosunek między ich poważną ponurością, a stanem mojej duszy. A wtedy, kiedy oczekując przybycia księcia Janusza gotowałam się do ostatniej walki z uczuciem, które mnie udręczało, samotność tych jego posępnych ulic stała się dla mnie niezbędną potrzebą. Przez cały dzień pokazałam się mężną; pomagałam jak zwykle rodzicom przyjmować gości, a między nimi byli i tacy, o których wiedziano, że ubiegają się o moją rękę, a mianowicie książę Daniel Dorohostajski, wojewoda Witebski. Byłam dla nich grzeczną, uprzejmą, wielomówną, usiłowałam pokazać się wesołą, a co więcéj, ani rzutem oka nie zaszczycałam Gaskolda, który po kilkakrotnie pojawił się wraz z innymi dworzanami w naszym zgromadzeniu. Była

to walka nad moje siły, a jednak z taką odwagą w niej się potykałam, że nikt domyśleńby się nie mógł, ile ona mnie kosztowała.

Kiedy po skończonym wieczorze wróciłam do mojej komnaty, smutek, który mnie przygniatał, o ile tak długo usiłowałam go pokryć, o tyle więcej dał mi uczuć swoje brzemień; lzy obfite ulgi mi nie przyniosły; nadaremnie sen przywoływałam, on uciekał z moich powiek. Pasowałam się z sobą w poroszonej łzami pościeli, nakoniec wstałam z łóżka, rzuciłam na siebie ranną szatę, którą jednak starannie opasałam szarfą, i udałam się na balkon wychodzący z mojej sypialni, a z którego widok rozchodził się po ogrodzie zamkowym.

Więcej niż dwie godziny przedzielały naturę od pojawu pierwszych promieni słońca. Ale jego gońce już wątpliwem światelkiem zaczynały mu torować drogę. Wszystko spoczywało pod ołowianem berłem snu, oprócz serc nieszczęśliwych. Noc była przesłiczna; księżyc nie przyświecał, ale najmniejsza chmurka nie pozazdrościła ziemi słodkiego blasku gwiazdzistych pułków Najwyższego. Jest coś uroczystego w tej przezroczystości niebios, letniej nocy Litewskiej. Starożytne jodły i świerki rysowały się pod mdławymi promieniami, na nie z górnych sklepień spadającymi. Wśród powzecznej ciszy zdawało się, że cienie moich przodków błakają się między drzewami, przed wiekami ich ręką zasadzonymi. Było to widowisko tak poważne, tak błogie, tak harmonizujące z moimi myślami, że przez dość długi czas byłam w istotnem zachwyceniu.

Tymczasem coraz gorętsze światelko wysyłała przed sobą jutrzienka. Już ptaszki z pod drzew gałęzi przerywać zaczynały ciszę, szczebiotliwy swój hymn podnosząc do Stwórcy. Już drzewa zaczynały przybierać zieloną barwę. Zdawało mi się, że coś gwałtem popycha mnie do ogrodu, dla powitania rychło nadejść mającego słońca. Budzę jedną z moich służebnic, każę jej wziąć na prędce jakąś odzież, i spuścić się za mną do ogrodu. Idziemy; wstępujemy w ulicę kasztanową najbliższą zamku; ja idę przodem, dziewczyna z tyłu o kilka kroków. Postępuję zatopiona w zadumaniu; wтім napotykam tego właśnie, którego troskliwie usiłowałam unikać.

On siedział na kamiennój ławce, głowę miał pochyloną, a tak był zatopiony w myślach, że nie spostrzegł mojego zbliżenia. Wyraz jego twarzy był tak smutny, zdradzał tak głęboką boleść duszy, że byłam przerażoną tym widokiem. Wszystkie moje postanowienia w jednej chwili wywrócone zostały. Przybliżyłam się do niego w milczeniu, rada jego duszę przeniknąć, chociaż aż nadto wiedziałam, co się w niej dzieje.

Gaskold przebudził się nakoniec ze swoich marzeń, powstał raptownie i pełnym uszanowania ukłonem mnie powitał. Ja pierwsza do niego przemówiłam. Cóż ci powiem o naszej rozmowie? Dotąd nie

mówiliśmy z sobą nigdy o naszych wzajemnych uczuciach, a jednak jakimś tajemniczym związkiem dwóch serc miłością zjednoczonych aż nadto byliśmy ich świadomi. Dopiero wtedy wyznaliśmy je przed sobą otwarcie; o niczem inném nie bylibyśmy w stanie mówić, ale wyznając sobie naszą miłość, nie tailiśmy przed sobą niepodobieństwa, by ona kiedykolwiek mogła być uwieczniona.

Gaskold odkrył przedemną tajemnicę swojego urodzenia, że był prawym synem i spadkobiercą księcia Stefana Dorohostajskiego. Ale jeżeli to jego urodzenie usprawiedliwiałoby moje uczucie, jeżeli już nie miałam powodu rumienić się z przywiązania dla osoby stanu nieodpowiedniego temu, w którym Opatrzność mnie umieściła, to bynajmniej nie mogło wzniecić w nas jakichś zachęcających nadziei.

Przez długi czas dyssydenci Litewscy dzielili się na dwa stronnictwa: na czele jednego stał książę ojciec, drugiemu przywoził książę Daniel Dorohostajski wojewoda Witebski, stryj i prześladowca nieznanego mu Gaskolda. Oba stronnictwa, dotąd sobie niechętnie skutkiem nieporozumienia ich wodzów, były się zjednoczyły. Już wyniosły książę zaczynał się dawać powodować księciu ojcu, a wszyscy dyssydenci pragnęli ten ich związek uczynić jeszcze ściślejszym. Dziki Daniel, ulegając wymaganiom swojej partyi, oświadczył się jawnie o moją rękę. A lubo różnica wieku i wychowania zdawały się stawiać nieprzełomne zapory podobnemu związkowi, interes stanu, jak to mówili doradcy księcia, winien był przemódz wszelkie przeszkody natury i wstręt, którego nie mogłam nie czuć do zalotów kawalera podszłego, a do tego istnego barbarzyńca.

Książę ojciec, jako mąż stanu, sprzyjał widokom księcia, bo przez to połączenie zapewniłby sobie ze statecznym, bo już przyrodzonym posłuszeństwem księcia, wyłączny kierunek całej Litwy, tak że i hetman Gąsiewski, z którym oddawna był w nieporozumieniu, musiałby mu ulegać. Ale że był nietylko dumnym wodzem potężnej partyi, ale i czułym ojcem, oświadczył księziowi, że niczego tak wielce nie pragnie, jak go nazwać swoim synem, ale że nie przyznaje sobie prawa przynaglać wolę córki, gdyż pod prawem Ewangellii, której obaj są wyznawcami, cała ważność małżeństwa opiera się szczególnie na wolnej woli stron, które je z sobą zawiązują. Wszakże upoważnia go starać się o pozwolenie córki, zapewniając mu wszelką do tego godziwą pomoc ze swojej strony, a ponieważ serce tej córki jest wolne, więc pochlebia sobie, że wysokie przymioty księcia zdołają z czasem szacunek jój ku niemu skłonić.

Odtąd książę był tak dobrze jak domownikiem w zamku Birzańskim, i nie było zabiegu, któregooby zaniedbał, ażeby się mnie podoobać. Nie żeby mnie kochał, bo podobny człowiek nic kochać nie może, ale żeby ludzie nie myśleli, że może być jakieś jego przedsięwzię-

cie, którego by nie mógł do skutku doprowadzić. Naprzykrzał mi się swojemi zalotami; nawet mówić do mnie nie umiał, ale życzliwość tych wszystkich co mnie otaczali, zaczawszy od mojej ochmistryni, hojnością swoją zdołał zaskarbić. Umęczoną byłam ich radami, że bym nie odrzuciła jego zalotów; wystawiono mi, ile mojem zezwoleniem uszczęśliwie moich rodziców, ile korzyści cały kraj otrzyma z połączenia domu Radziwiłłowskiego z domem Dorohostajskich. To wszystko, oprócz ekliwości, innego wrażenia na mnie nie sprawiało; istotną byłam męczennicą, aż nakoniec pogroziłam wyraźnie mojej ochmistryni, że jeżeli nie życzy sobie być oddaloną, niech się nie waży wtrącać do mojego postanowienia.

O tém wszystkiém wiedział Gaskold, a w naszej rozmowie i te okoliczności powtarzane nie mało nas zasmucały, bo nie ulegało wątpliwości, że gdyby nawet Gaskold odzyskał to, co mu się prawem urodzenia należało (rzecz niepodobna w położeniu, w jakim Rzeczpospolita zostawała), i w takim nawet razie nie byłoby mu wolno pochlebiać sobie, że ksiązę ojciec zezwoli na połączenie córki z nieprzyjacielem tego, z którym był związany tak ścisłym węzłem politycznym. Nadtośmy go znali, żeby przypuścić, iż w nim czułość ojca może przeważać widoki naczelnika potężnego stronnictwa. Nic dla siebie oczekiwać nie mogliśmy z przyszłości, i nasza rozmowa na tém się skończyła, że musiałam mu przyrzec, że codzień o téj samej godzinie będę w téj alei, żeby z nim kilka chwil przepędzić, póki nie opuści Birzów, gdyż mi oznajmił swoje postanowienie udania się do Manheimu, do mojego brata, dla zasięgnięcia rady, co nadal ma z sobą robić.

W tym czasie ksiązę ojciec, powołany przez króla szwedzkiego, wyjechał do Wilna, a Birze i nas wszystkich porучzył opiece kniazia Dorohostajskiego. Kniaź aż do powrotu księcia był istotnym panem w Birzach; wszyscy od niego zależeli, i wszystkich ujął w swoją żelazną rękę. Wszyscy lękali się człowieka, o którym wiadano, że najmniejszego oporu woli swojej znieść nie umie, i że nie ma rzeczy, którejby się nie dopuścił względem tego, któryby się ważył jęj sprzeciwić. Zauważyłam ze strachem, że ile razy spotykał się z Gaskoldem, jego widok zdawał się zawsze piętnować na nim jakieś niemiłe wrażenie. Już od niejakiego czasu on jawnie starał się o mnie z tą natrętną odwagą, jaką mu dawało upoważnienie moich rodziców, a lubo jak zwykle zdawał się być dla mnie uległym, odtąd aż nadto wyraźnie dawał do poznania, że żadnego współzalotnika o moją przyjaźń nie ścierpi, jakiegokolwiek byłoby jego położenie w społeczeństwie. A postrach, jaki był powszechnie wzniecił, był tak wielki, że chociaż zawsze mnóstwo szlachetnych kawalerów bywało w zamku Birzańskim, żaden się nie odważał do mnie przybliżyć. Wśród towarzystwa licznego byłam zawsze odosobnioną, i to bynajmniej nie było dla mnie przykrém:

Niech to ciebie nie zadziwi, że książę ojciec tyle pokładał ufności w kniaziu Danielu, że aż pragnął mu powierzyć los jedynej córki, bez względu na różnicę wieku, wychowania i uczuć. Książę bez wątpienia, oprócz wstrętu, nie innego nie mógł wywołać w sercu młodej dziewczyny, ale posiadał przymioty zdolne do wzniecenia szacunku w mężczyźnie, a zwłaszcza w naczelniku partyi. Okrutny, nienbłagany, gwałtowny, dumny, niesyty bogactw i władzy; w obliczu mężów rycerskiego stanu to wszystko okupuje nadzwyczajna odwaga, jaką natura go obdarzyła. Przebaczają lekceważenia cudzego żywota temu, który swojego własnego nigdy nie oszczędzał, a który do wścieklej odwagi żołnierza, łączy roztropność wodza; niemniej przebaczą, zwłaszcza u nas, nieokrzesanie umysłu temu, który umie dosiedzieć nieujarzmionego konia, oszczepem pojedynczo pokonać rozjuszonego niedźwiedzia, rozbroić nacierającego nieprzyjaciela. W tém książę celuje, i już to jest dostateczne dla zapewnienia mu wziętości w naszym bitnym narodzie. A cóż dopióro, kiedy do tego łączy cnotę wprawdzie jedyną, ale właśnie taką, która jest najwyżej szacowną od ludzi szlachetnych, a tą jest dotrzymanie raz danej obietnicy? Ten człowiek, który z wszelkich praw ludzkich i boskich czyni sobie igraszkę, jest niewolnikiem danego przez siebie słowa. I już to samo rozgrzesza go ze wszystkich jego postępów, aczkolwiek niegodziwych, przed rodakami, a zwłaszcza przed naczelnikami stronnictw, i to tłómaczy tajemnicę, dlaczego książę ojciec, tak umiarkowany, tak starośnie wychowany, tyle miał szacunku dla tego barbarzyńca, że nie było ofiary, na którąby się nie zdobył, dla uzyskania i zachowania podobnego sprzymierzenia.

Książę nie mógł nie poznać wstrętu, jaki do niego czułam, ale do tego najmniejszej wagi nie przywiązywał. Taki człowiek kochać nie może; on pragnął mojej ręki, ale nie mojego serca. Widział w tym związku zapewnienie dla siebie przewagi na Litwie, połączenia dwóch stronnictw, którymby rej wodził, powiększenie bogactw, skoligowanie się z panującymi w rzeszy Niemieckiej domami, a może i nadzieję być kiedyś obranym na króla. A nadewszystko jego duma znieść nie mogła myśli, żeby ta, której zażądał, komu innemu się dostała. Winnam mu tę sprawiedliwość oddać, że w swoim natrętném ubieganiu się o mnie nigdy nie kłamał uczucia. Usiłował przekonać mnie po swojemu, że interes kraju domaga się, bym została jego żoną, i nawet się z tém po kilkakrotnie przedemną wymówił, że jeżeliby nawet miłość nie była wymysłem zniewieściałych próżniaków, ale rzeczywistością, i w takim razie ona byłaby warunkiem jak najmniej potrzebnym do zawarcia związków małżeńskich między ludźmi wyższego stanu, że my oboje, będąc zbliżeni do tronu, powinniśmy szukać w tych związkach, tak jak mocarze, korzyści dla naszych rodów, a nie dogodzenia

naszym osobistym skłonnościom, — że nigdy nie będzie dla mnie natrętnym małżonkiem, ani szturmować do mojego serca, — że z nim będę niewątpliwie szczęśliwą, gdyż we wszystkiem pozwoli mi być panią mojej woli.

Tu przychodzi opowiedzieć wydarzenie, o którym wspomnieć nie mogę bez strachu, a które rozstrzygnęło moje przeznaczenie. Nie wiedziałam o tém, że każdy krok mój był śledzony niewidomie przez potężnego nieprzyjaciela mojego szczęścia. Już powiedziałam, że to wszystko co mnie otaczało było kupione od kniazia. Nie tylko moje czynności, aleomal że nie myśli, były mu doniesione codziennie. Oko jego wszędzie mnie ścigało. Razu jednego Gaskold mi oświadczył, że nazajutrz opuści Birze. Ja mu odpowiedziałam, że chcę przez niego posłać list mojemu bratu, i że o zwykłej godzinie przybędę do téj alei, która tyle razy była świadkiem naszych czułych rozmów. Umówiliśmy się z sobą. Wieczorem musiałam jak zwykle znajdować się na pokojach, chociaż myśl, że z Gaskoldem rozstanę się może na zawsze, rozdzierała moją duszę. Książ więcej niż kiedykolwiek zdawał mi się być natrętnym; nie odstępował mojego krzesła, ciągle mi prawił o swoich bogactwach, o zamkach będących w jego władaniu, o liczbie poddanych, sług i klientów, jedynie od jego woli zależnych, nieważając, że mu wyraźnie okazuję, ile to wszystko co mi mówi jest dla mnie obojętne. Nakoniec, pod pozorem silnego bólu głowy, wcześniej wróciłam do moich komnat, i nic innego nie było już w mojej myśli, tylko ostatnie pożegnania moje z Gaskoldem w jutrzejszym poranku.

Długo się dręczyłam w tych myślach, nim sen skleił moje powieki. Miałam sen straszny, który napiętnował na mnie silne wrażenie po mojem przebudzeniu. Zdawało mi się, że byłam żoną Gaskolda, i że z nim przechadzałam się po obszernej łące; rozmawialiśmy z sobą o naszej wzajemnej miłości, głowę miałam opartą na jego ramieniu. Wtém sęp olbrzymiej wielkości spuszcza się na nas, zapuszcza swoje szpony w biodra mojego Gaskolda, i z nim razem wznosi się w górę. Ja pozostaję na pół umarła, i widzę, jak ptak i Gaskold pasują się z sobą w powietrzu. Sęp coraz głębiej zanurza szpony we wnętrzach Gaskolda, a ten obiema rękoma sępa dławi, nakoniec obaj padają na mnie bez ducha, i przygniatają swoim ciężarem. Czuję, jak siły mnie opuszczają; już nie mogę oddychać, budzę się, i przez czas jakiś dręcząca duszność mnie nie opuszcza.

Zbliżał się poranek, a z nim i chwila umówiona, w której miałam pożegnać Gaskolda. List do brata leżał gotowy na kantorku; biorę go i spuszczam się do ogrodu, z moją wierną pokojową. Wchodzę do kasztanowej alei, zastaję czekającego Gaskolda. Oddaję mu list. Mozesz sobie wystawić, co się z nami działo w tém spotkaniu, może ostatniem dwóch serc zjednoczonych gwałtowném, pożerającym, a jednak

najniewinniejszym uczuciem. Umieliśmy oboje poznać niepodobieństwo, ażeby ta nasza miłość mogła być poświęconą u nóg ołtarzy, a jednak pocieszaliśmy się czasem jakąś mgłą nadzieją, że ona cud od Boga wywoła. Wpadaliśmy w uśmiechające się marzenia, które wkrótce groźna rzeczywistość rozpraszała. Wtedy zamieniliśmy z sobą pierścionki na zakład stałości: ja siedziałam na ławeczce z głazu, Gaskold ukląkł przedemną. Podałam mu rękę, on ją przytulił do ust swoich, kładąc na niej gęste i ogniste pocałowania. Oboje byliśmy w zachwyceniu. Radzibyśmy tak uroczystą chwilę przedłużyć do wieczności. Ale jak okropne było nasze przebudzenie, kiedy raptem książę Daniel stanął przed nami na czele kilku swoich siepaczków.

— Nie spodziewałem się, księżniczko, o tej porze zastać cię w ogrodzie — odezwał się książę głosem, który mi się wydał być piekielnym — a jeszcze mniej, żebyś mną pogardzała dla tego nędzara. Nic mi nie pozostaje, jak tylko dowieść ci, księżniczko, ile mi jest drogą sława twojego domu. — A obracając się do swoich siepaczy rzekł: — Weźcie tego służalca, który się odważył oczy podnieść na córkę swojego pana, i nie tracąc czasu zaciągnijcie mu postronek na szyję i powieście go na tej gałęzi. — Posłuszni siepacze rzucili się na bezbronnego Gaskolda.

— Stój, okrutniku — krzyknęłam, i ledwo przytomna sobie padłam mu do nóg wyciągając ręce. — Przebacz, nie obciążaj sumienia tą niewinną ofiarą, albo nas oboje połącz jednym ciosem.

Książę dał znak swoim oprawcom, żeby się wstrzymali. Podniósł mnie, i oddaliwszy się wraz ze mną o kilka kroków, odrzekł:

— Księżniczko! w twojem ręku życie lub śmierć tego nikczemnika, a razem i ocalenie twojej sławy, która powinna ci być droższą jeszcze, niż jego życie. Nikt bezkarnie nie sprzeciwił się Dorohostajskiemu; dotąd on nie umiał przebaczać. A jednak pozwolę mu się oddalić swobodnie, jeżeli zezwolisz na warunek, który jeden ocalić go może!

— Ach mów! mów! wszelki warunek gotowa jestem przymiać.

— Posłuchaj, księżniczko, i zastanów się nad tem co ci powiem. Wszystko co się tu stało będzie wieczną tajemnicą pokryte, bo odtąd twoja sława będzie moja. Za dni kilka, jak wiesz, ksiązę marszałek powraca do Birzów; ja w przytomności zgromadzonej tu szlachty i krewnych Radziwiłłowskiego domu uroczyste będę prosił księcia o twoją rękę. Wiem, że mi odpowie publicznie, tak jak mi odpowiedział, kiedy bez świadków oświadczyłem się przed nim w tymże samym zamiarze, że lubo pragnie takiego połączenia, jako chrześcijanin nie czuje się być w prawie rozrządzać córką bez jej woli. Dajże mi słowo, księżniczko, że kiedy cię sprowadzą, abyś odkryła przed rodzicami ostatecznie twoją wolę, odpowiesz, że z ochotą zezwalasz, bym

został twoim małżonkiem. Jeżeli na to nie przystajesz, za moją skinięciem przedmiot twojego obłąkania żyć przestanie.

Na te słowa odzyskałam zupełną przytomność. Poznałam, że na próżno byłoby odzywać się do wspaniałomyślności tego dzikiego człowieka. Gdyby nóż trzymał na moim gardle, śmierć umiałabym przenieść nad ten obrzydliwy związek. Ale tu zagrożoną byłam widokiem śmierci wiszącej nad Gaskoldem. Mogłaby być ofiarą, na którąbym się nie zdobyła, dla ocalenia tak drogiej głowy? Zdaje mi się, że nigdy tyle nie kochałam Gaskolda, jak w tej chwili, w której miałam się go wyrzec na zawsze.

Przygotowana poświęcić siebie, uczulam w sobie niewypowiedziane męstwo. Zebrałam wszystkie siły duszy i odezwałam się spokojnie: — Zgoda! dam ci to słowo, którego twoje okrucieństwo się domaga, człowiecze bez litości! Ale pozwól, bym i tobie podała warunki, bez jakich na moje żądanie przyzwolić nie mogę. Jeżeli je odrzucisz, dodaj gwoli twojej wściekłości i tę nową zbrodnię do tyłu, z jakich osnuło się pasmo twojego żywota, ale bądź pewny, że zmuszę cię, który oprócz wzgardy życia, żadnej cnoty nie szacujesz, do szanowania mojej pamięci. Nic ci więc nie powiem; obaczysz, co słaba kobieta jest zdolna uczynić, kiedy szczęście i sławę utraci.

W mojej mowie była taka uroczyść, że aż lodowate serce kniazia się wzruszyło. Chwyił mię za rękę i rzekł do mnie głosem łagodniejszym: — Uspokój się księżniczko; powiedz, czego żądasz. Trudno ci będzie wynaléźć warunki, na którebym nie przyzwolił dla otrzymania twojej ręki.

— Dwa tylko warunki tobie podaję: jeden, ażebyś mi dał słowo, że poprzestając na tém, że będę twoją żoną, że pojedę za tobą, gdzie mi rozkażesz, że we wszystkiém będę ci posłuszną, że o ile będzie w mojej możności, przybiorę postać szczęśliwej żony, nigdy domagać się nie będziesz praw małżeńskich odemnie. Wiem, że ty kochać nie możesz, że pragniesz nie moją osobę, ale związku pochlebiającego twojej dumie, zapewniającego twoją przewagę. A więc to otrzymasz z ręką moją. Czy dajesz słowo, że mogę być pewną, iż tylko dla oka ludzkiego będę twoją żoną? że w twoim zamku będę miała osobne komnaty, do których bez mojego pozwolenia nigdy nie przystąpisz, gdzie mi nie przeszkodziś wynagrodzić sobie obfitych łez wylęwem zmuszoną pogodę, którą wyklamię na moim obliczu, ażeby w przytomności obcych cię nie zawstydząć?

— Na ten warunek przystaję, księżniczko, i daję ci słowo rycerskie i szlacheckie, że to czego żądasz najświęciej z mojej strony zachowane będzie; a drugi warunek?

— Słuchaj, kniaziau! To nie dość dla mnie, że wypuścisz z rąk swoich oprawców Gaskolda. Znam cię, że gotów jesteś robić na

niego zasadzki, aby moja ręka okupiła tylko może kilkogodzinne przedłużenie jego żywota. A więc musisz mi dać słowo, że nigdy zdradzieckim sposobem nie będziesz usiłował przez siebie, przez swoich, nastawać ani na jego życie, ani na jego wolność; że mu pozwolisz swobodnie wynieść się z naszego kraju.

— I na to przystaję. Słuchaj więc, księżniczko, słów moich, i bądź pewna, że nigdy szwanku nie zadałem mojemu przyrzeczeniu. Poprzysięgam na mój klejnot herbowny, na sławę moją własną i moich przodków, na moją godność senatorską, że w zamian za twoją rękę dozwolę temu Gaskoldowi wynieść się z posiadłości naszej rzeczypospolitej; że nigdy zdradzieckim sposobem nie będę nastawał na niego. Nawet jeżeli powróci do kraju, gotów będę w każdej chwili stawić się na jego wyzwanie, jeżeli mnie przekona, że krew szlachecka w jego żyłach płynie; ale nigdy nie narażę go na takie niebezpieczeństwo, którego bym sam nie podzielał, a jeżeli to dane przeze mnie słowo w czémkolwiek nadwerzę, pozwalam, aby mnie za podłego wszędzie ogłoszono.

Cóż powiesz Elzusi? Te słowa były wypowiedziane z takim czuciem, nawet zdawało mi się, że pierwszy raz ujrzałam na twarzy kniazia jakiś wyraz szlachetności. Było w tém coś takiego, że wątpić nie mogłam, iż żadna przysięga równie święcie dochowaną być nie może. Porwałam go za rękę z uniesieniem i powiedziałam mu głosem dość śmiałym: — Oddaję ci, kniaziu, moją rękę z pełną ufnością. Możesz się o nią upomnieć u moich rodziców. W ich przytomności dowiedę ci, kniaziu, z jaką odwagą i słaba kobiéta umie dotrzymać także słowo przez siebie dane.

Kniaz przybliżył się do swoich, rzucił na nich wzrok surowy, i rzekł piorunującym głosem: — Puście swobodnie tego sługę księcia marszałka. A o tém, cóście widzieli, ani słowa! Jeżeli kiedykolwiek który z was z tém się wymówi, każę mu obcęgami wyrwać język. — A do Gaskolda: — Ruszajże w świat, nieszczęsny, i żeby cię oko moje nie spotkało.

Ja oczu nie śmiałam podnieść na Gaskolda, ani go nawet ich rzutem pożegnać. Czulałam, że byłam już niewolnicą kniazia; on mi podał rękę. Drżałam jak liść, musiałam się oprzeć na jego ramieniu, bobym upadła, tak byłam osłabioną. Kniaz mnie pożegnał u podwoi mojej komnaty. Weszłam do niej więcej umarła, niż żywa.

ROZDZIAŁ XXVII.

Książę ojciec wcześniej do Birzów powrócił, niż mi się spodziewali. Zbliżała się dla mnie fatalna chwila, w której miałam się odrzec wszelkiej nadziei szczęścia. Jeżeli książę wśród zbrodniczego żywota nigdy nie ominął się z prawami honoru szlacheckiego, jedy-nych jakie wyznawał, i tym zachowywał szacunek w narodzie, nic mi nie pozostawało, jak okazać się przed własnym sumieniem godną krwi bohaterskiej, która w moich żyłach płynie, i poświęcić szczęście, ażeby honor pozostał w całości. Ani nawet przelotnie nie łudziłam się myślą, bym mogła zawieść ufność mojego prześladowcy niedotrzymaniem obietnicy, którą okupiłam głowę Gaskolda. Czułam przyniatający ciężar obowiązku, ale niemniej konieczności, żeby został dopełniony. Ofiara już uzupełnioną była w myśli; nie pozostawało mi nic, jak tylko ją utwierdzić w czynie, nie tylko z uległością, ale z męż-
twem. Miałam przeświadczenie wewnętrzne, że poświęcam siebie dla miłości i honoru: wyznaję, że to mnie wywyższało przed samą sobą, a to uczucie własnej godności dawało mi jakąś niewypowiedzianą siłę do zniesienia wszelkich pocisków nieszczęśliwego losu. Ludzie niższego stanu zazdroszcząc tym, których traf urodzenia umieścił na wyższych szczeblach społeczeństwa, obwiniają ich o pychę. Zamiast zazdrości litością byliby przejęci, gdyby się domyślali, jak wielkimi ofiarami zmuszeni jesteśmy okupywać tę wyższość naszego położenia (*).

W obliczu zgromadzonych krewnych, powinnych, przyjaciół, klientów i sług naszego domu — w obliczu omal że nie całej Litwy, książę wojewoda uroczyście oświadczył się przed rodzicami moimi z prośbą o moją rękę. Książę ojciec odwołał się do mojego przyzwo-

(*) Tak było rzeczywiście w świetnych okresach historycznych narodów. Arystokracja, będąca żywotnym przedstawicielem wielkich podwoi narodowych, istnieć mogła tylko przez nieustanne poświęcenie się swoich członków dla dobra ziomków. I pokąd była wierna swoim tradycyjnym obowiązkom, potąd przewodniczyła w społeczeństwie. Głównym warunkiem czerstwości narodów, aby się w nich wyrobiła kasta, nieustannie wyrażająca ducha ofiary, a ta będzie zawsze potężną w narodzie, o ile nie odstąpi od swojego przyrodzonego powołania. Inaczej nie pojmują arystokracji rodowej, i mamy jęć wzór w najdoskonalszym społeczeństwie politycznym Europy. Na jęć stałym ładzie ona się okazuje w zupełnym upadku; nie żeby niższe klasy miały się do niej wywyższyć, ale że sama się poniżała, przestawszy być zdolną do spełniania zbyt twardego obowiązków; odstąpiła od podań swoich przodków, które zanadto trudno było dla niej naśladować. Niech ci, co noszą nazwiska historyczne, zostaną jak ich przodkowie, wzorem cnót i światła, a bezwzględnie odzyskają swoje utracone położenie w społeczeństwie.

lenia. Jakież było zadziwienie całego zgromadzenia, kiedy książę odpowiedział, że gdyby nie był pewny serca księżniczki, tyleby przynajmniej miał rozumu, żeby nie narazić siebie na zawstydzenie przed tak licznym zgromadzeniem. Posłano po mnie; stanęłam przy rodzicach. Oni mi powtórzyli oświadczenie kniazia, jego przychylności dla mnie, i pewności jaką ma, że mu jestem wzajemną. Kiedy książę ojciec dodał: — Miła córko, jakkolwiek jestem przyjacielem kniazia Dorohostajskiego, i radbym się z nim jak najściślej związkami połączyć, strzeż mnie Boże, ażebym miał ciebie przymuszać, do czego by dusza twoja czuła wstręt nieprzełomny. Książę stoi przed tobą i czeka na twoją odpowiedź; daj ją taką, jaką ci serce podyktuje. — Możesz sobie wyobrazić, droga Elzusu, co się wtedy działo zemną. A jednak umiałam sobą władać do tego stopnia, że z obliczem wypogodzonem, głosem wcale nie drżącym, zdołałam powiedzieć, że mój los i moja przyszłość z zupełną ufnością powierzam kniaziewi. Ponieważ moi rodzice wybór męża mojej woli zostawiają, oświadczam, że to co wyrzekłam, gotowa jestem u nóg ołtarzów potwierdzić. Wszyscy przytomni, nie wyłączając najgorliwszych stronników, najpoufalszych dworzan kniazia, zdawali się własnym uszom nie wierzyć. Nawet moi rodzice nie mogli utaić jakiegoś zadziwienia. W kilka dni potem, w kaplicy zamkowej, mój los został rozstrzygnięty na zawsze.

Po odbytym weselu opuściliśmy Birzę. Jakkolwiek przy rozstaniu się z rodzicielskim domem smutek ścisnął moje serce, tyle umiałam sobie wmówić mężstwa, że rodziców pożegnałam suchym okiem, i że przybrałam postać szczęśliwej małżonki. Postanowiłam odtąd, ile było w mojej możności, dopełniać moich obowiązków. Moje serce nie było mi podwładne, ale czém mogłam rozrządzać, to oddałam kniaziewi. Ani w jego, ani w gości nas nawiedzających przytomności nigdy nie zdradziłam tej goryczy, którą czułam się być przepelnioną. Zawsze z kłamaną wesołością wywiązywałam się z powinności gospodyni, w takim sposobie, że nikt wątpić nie mógł o mojem przywiązaniu dla niego. Pod tym względem nie mam sobie nic do wyrzucenia. Książę, stosownie do swoich wyobrażeń, był ze mną szczęśliwy; byłam jemu we wszystkim posłuszną; pochlebiali jego dumie, że pomimo różnicy wieku przeniosłam go nad wszystkich jego współzalatników, — że wszyscy podziwiali, iż mógł wzniecić przywiązanie w dziewezynie, której mógł być ojcem, a która z każdego względu uchodziła za najpierwszą partycję na Litwie, i to było dostateczne dla jego szczęścia domowego. Bo co się tyczy tych stosunków uczuciowych, które osładzają przeznaczenie dobranej pary, o te książę nie dbał, ani nawet ich pojmował. Ale to pewna, że mi sumienie przynosi świadectwo, że wedle swojego sposobu myślenia był zemną zupełnie szczęśliwy.

I ja z mojej strony winnam mu oddać sprawiedliwość, że umiał się

poznać na mojem poświęceniu się, i po swojemu okazywał mi wdzięczność. Poprzestając na odgłosie szczęśliwego małżonka, ani się pokusił szwank przynieść danemu mi słowu. Dla oka ludzkiego żyliśmy z sobą jak mąż z żoną, ale w rzeczywistości każde mieszkało osobno, i nie było między nami nic wspólnego. A jednak umiałam zyskać jego szacunek do tego stopnia, że nawet Zawalidroga, ulubiony jego kozak, z którym wzrósł i żył, a który jeden jakąś miał nad nim przewagę, użalał się przed innemi sługami, że odkąd pan przywiózł żonkę do swojego zamku, on już nic u niego nie waży.

Zawalidroga był doradcą, ale razem ślepym wykonywaczem wszelkich rozkazów kniazia. Jako jego pan jedną tylko posiadał cnotę, że nigdy danego słowa nie złamał, tak i ten jego sługa jedną miał także cnotę, a tą było nieograniczone niczém przywiązanie do swojego pana. Nie tylko że za jego rozkazem dopuszczał się morderstw i okrucieństw, nad któremi natura się wzdryga, ale przekonana jestem, że gdyby kniaz mu rozkazał samemu sobie śmierć zadać, ani by się wahał w posłuszeństwie. On był postrachem całej okolicy, i powszechnie mówiono, że gdyby kniaz jego się pozbył, byłby zupełnie innym. To nastąpić nie mogło, gdyż kniaz często powtarzał, że tylu ma nieprzyjaciół skrycie czyhających na jego życie, iż gdyby nie miał Zawalidrogi przy sobie, ani jednej chwili nie miałby spokojnej. I w samej rzeczy, Zawalidroga kilka razy ocalił życie swojego pana, narażając swoje własne. Ale do przywiązania, które miał do swojego pana, łączył zazdrość, jakiejby się nie dopuścił zapalony miłością kochanek. Jeżeli kniaz komu okazywał jakieś względy, jeżeli tylko go pochwalił, już to było dostateczne, żeby w nim wzniecić nieubłaganą nienawiść. On chciał wyłącznie posiadać serce swojego pana, i przed żadną ostatecznością się nie cofał, kiedy mu chodziło o uwolnienie siebie od współzawodnika, choćby najmniej niebezpiecznego. Ten zausznik, głęboko wkorzeniony w zaufaniu kniazia, i na mnie kwaśno spoglądał, bojąc się, bym go nie wyrugowała z tego zaufania. Widać, że tajemnice naszego małżeńskiego pożycia nie były mu znane, i że mąż mój jego o nich nie oświecił, gdyż są rzeczy, których mężczyzna przed swoim najpoufalszym powiernikiem nigdy nie odkryje.

Kniaz mnie szanował, bo chociażby nie za mną nie przemawiało, dość już dla niego, że byłam księżniczką Radziwiłłówną, a kniabiną Dorobostajską, tém więcej, że znał dla mnie osobisty szacunek, a nawet wdzięczność, że w naszym pożyciu zaszczyt mu przynosiłam. Byłam panią w domu. Kniaz wręcz oświadczył swojemu dworowi, że temu, który mi się okaże nieposłusznym, da uczuć ciężar swojego gniewu. Niczego nie żałował, ani dla moich potrzeb, ani dla moich zabaw. Chciał, żeby mój dwór kobiecy był najokazalszym na Litwie; otoczył mnie mnóstwem panien szlacheckiego stanu. Wszystko było

na moje zawołanie, wszyscy ubiegali się, by spełnić rozkazy rzadko kiedy przezemnie dane. I Zawalidroga, jakkolwiek w duchu mi niechętny, nie pozostawał za innemi w gorliwości przeniknienia, że tak powiem, mojej woli. Bo książ może nie zważał na to, że jestem nie-szczęśliwą; może tego nie wiedział, gdyż o uczuciach serca nie ma wyobrażenia, a tém mniej o ich stateczności, — ale chciał, i na tém zakładał swoją pychę, aby wszyscy mieli mię za szczęśliwą, aby za-zdroszcili położeniu żony księcia Dorohostajskiego, wojewody Witebskiego, pana na obszernych włościach, a wsławionego w narodzie ry-cerskimi czyny.

Książ ma zepsute serce i złém wychowaniem, i trybem życia do którego się wezwyczał, a który jego popęd do okrucieństwa zamienił w nałóg; a jednak są w tém sercu zarodki cnoty, których chwasty samowolności niezupełnie wysuszyły. Sama jego nadzwyczajna odwaga o tém przekonywa, bo nigdy nie przypuszczę, żeby waleczność dała się pogodzić z podłością duszy. Gdyby w młodości swojej natrafił na jakiś przedmiot, zdolny w jego sercu pobudzić miłość, byłby może został cnotliwym. Ale nie! takie serce nie mogło kochać.

I to było szczęściem, bo kiedy skryty płomień dla drugiego mnie pożerał, kiedy książ nic prócz wstrętu dla siebie odemnie otrzymać nie mógł, cóżby się działo ze mną, gdyby był we mnie zakochanym? Na samo wspomnienie, że to być mogło, czuję dreszcz przechodzący po ciele. On mnie miłował po swojemu; pomimo swojej wygórowanej pychy miał mię za istotę jakiejś wyższej natury, i gdybym chciała sobie zadać pracę, by go ujarzmić, zamieniłabym go w najuniżeńszego niewolnika, — doprowadziłabym go do tego, żeby on, nieustraszony, lękał się mnie, jak dziecię ciemnej izby. Bo nic łatwiejszego, jak opanować człowieka gwałtownego. Mogłabym ulepszyć jego naturę. Ale w tém jego usposobieniu cienia nie było miłości. Nie tylko że nawet z daleka nie pokusił się otrzymać odemnie rozgrzeszenia ze słowa danego, ale nawet jednego razu, nżalając się, że na nim ród Dorohostajskich się kończy, że sama myśl, iż po jego śmierci zamek Dolski i jego ogromne dostatki dostać się mogą obcym, a jemu niezyczliwym domom, robi go tak nieszczęśliwym, dodał, że wcaleby się nie gniewał na żonę, aby mu na to jakby się jej podobało zaradziła. Obrażona do żywego, wyszłam z pokoju; odtąd nawet u stołu nie chciałam się jemu pokazać, i nie opuszczałam już swojej komnaty, aż wychodząc z kaplicy po nabożeństwie. Ten człowiek tak dumny przybliżył się do mnie, prosząc w imię Boga o przebaczenie za swoją nieroztropną mowę, składając ją na to, że gdy podochocił się ze szlachtą, niezupełnie był sobie przytomnym.

Jego sroga dzikość ułagodziła się poniekąd w mojej przytomności. Jednego poranku, przechodząc się po wałach otaczających zamek, tra-

filam przypadkiem na scenę okropną. Kilku nieszczęsnych przyprawiono, którzy ośmielili się polować w lasach kniazia, a schwytani zostali na uczynku. Była to zbrodnia, która u niego przebaczenia nigdy nie otrzymywała. Szubienica na nich czekała, a książę, nie chcąc się pozbawić tak przyjemnego widowiska, znajdował się na wałach ze swojemi siepaczami, i przechadzał się wesoło, oparty na ramieniu Zawalidrogi. Przerażona tém przygotowaniem, przybliżyłam się do kniazia z prośbą, aby tych biednych ludzi swobodnie rozkazał wypuścić. Zaledwom oświadczyła to moje żądanie, książę się odezwał do swoich: — Ponieważ pani wojewodzina tego pragnie, a więc natychmiast wypuścić na wolę Bożą tych łajdaków. — Jak się o tém później dowiedziałam, postanowił, aby odtąd, ile razy zawyrokuje karę śmierci, jej wykonanie dopełniało się przed wschodem słońca, w obawie, żeby bieg sprawiedliwości już nie był tamowany.

Jakkolwiek książę mnie poważał i okazywał się dla mnie uprzejmym, a ja z mojej strony niczego nie zaniedbywałam, aby świat upewnić, że żyjemy przykładowie, i że jesteśmy wzajemnie do siebie przywiązani, jednak różność usposobień naszych była tak wielka, iż nie tylko między nami, chociażby nawet moje serce było wolne, nie mogła się wznieść miłość małżeńska, ale nawet na jakichbądź innych stanowiskach w żaden sposób ściślejsze stosunki towarzyskie istnieć nie mogły między żoną, której przyrodzona czułość i delikatność jeszcze rozwinięte zostały starowném wychowaniem, a mężem bez serca, nieokrzesanym, zupełnym barbarzyńcem. Obu nam obcowanie z sobą ciążyło: on wolał polować, ujeżdżać swoje konie, popisywać się ze swojemi siepaczami łamaniem podków i nacieraniem na siebie rapierami, niż wstrzymywać się w przytomności mojej od wszelkich wybryków swojej dzikiej natury. Towarzystwo Zawalidrogi przenośli widocznie nad moje; a ja z mojej strony pokazywałam się na pokojach wtedy tylko, kiedy przyjmował gości, do czego mu dopomagałam jak najszczerzej, i to było dostateczne dla jego zadowolenia. Zresztą widywaliśmy się z sobą tylko w kaplicy w dniach świątecznych, i codziennie za jego stołem.

Uprawa umysłu czytaniem i muzyka chroniły mnie od nudów w czasach mojego pobytu w Dolsku. Przodkowie kniazia musieli miłować nauki, ile mogą sądzić po ogromnym księgozbiornie, jaki zastałam w zamku. Wprawdzie książę Daniel, który, jak sam wyznawał, czuł wstręt nieprzewyciężony do wszelkiej nauki, gdy objął zamek po śmierci matki, od tego zaczął, że wszystkie książki kazał w pakach wynieść pod strych, a bibliotekę przeznaczył na skład swoich ryszunków myśliwskich, aby je mieć bliżej swoich komnat. Skoro się o tém dowiedziałam, zażądałam, aby biblioteka wróciła do pierwotnego swojego przeznaczenia, i tej woli mojej, jakkolwiek niemiłej dla kniazia,

natychmiast zadość uczyniono. Było to dla mnie przyjemne zajęcie, pospołu z naszym pastorem, człowiekiem światłym i moim kapelanem, w Leydzie wychowanym, układać ten księgozbiór, w którym znalazłam skarby nieocenione, zwłaszcza w języku łacińskim, z którym jak wiesz, że jestem spoufaloną. Ile razy u stołu mówiłam kniaziowi o przyjemności, jaką doświadczałam z pozwolenia, jakie mi dał, urządzenia swojej biblioteki, on tylko ramionami wzruszał z uśmiechem litości, ale jak we wszystkim, tak i tu zostawił mnie panią mojej woli.

Zresztą książę często się wydalal z Dolska do Birzów; wtedy jechałam z nim do moich rodziców, — albo żeby stawać na polu bitwy, a w takim razie zostawałam w zamku. Jakkolwiek wszystko jeszcze sprzyjało Szwedom, a tém samém ich stronnictwu w rzeczypospolitéj, jednak wojna trwała. Poróżnych jój częściami pokazywały się oddziały ochotników, walczących pod godłem króla Jana Kazimierza. Byli to godni przeciwnicy kniazia Daniela, podobni jemu w dzielności i okrucieństwie. Książę z nimi często się potykał, czasem pomyślnie, czasem ze szkodą. Jeżeli jaki z nich wpadł w jego ręce, zadawał mu śmierć w najokropniejszych męczarniach, a i tamci z niemniejszym okrucieństwem postępowali z jeńcami kniazia. Ich wzajemna zawziętość przeciwko sobie przechodziła wszelkie granice; a ta zawziętość z czego się wzniciła? Jeden z tych dowódców oddziałów, znany pod nazwiskiem zapewne przybraném Grzeszniczka, przedarł się do dóbr, gdzie książę utrzymywał swoje stado. Udało mu się kozaków kniazia przepędzić, poczem zrabował dobra, i wszystkie ogiery, jakie w stajni znalazł, pozabierał, a że silniejszy oddział milicyi nadwornej usiłował zastąpić mu drogę do odwrotu, Grzeszniczek nie mogąc uprowadzić ogierów, wszystkim im kazał w łeb wypalić, i ze swojemi z bronią w rękę przedarł się przez milicyę, którą sam książę prowadził. Można sobie wyobrazić wściekłość kniazia na widok poległych tak kosztownych jego koni; że mu się dostało kilku jeńców z oddziału Grzeszniczka, tych kazał wraz z ogierami żywcem w ziemię zasypać, i po całym kraju rozkazywał ogłosić, że kto mu przyniesie głowę Grzeszniczka, dostanie tysiąc złotych, a kto go dostawi żywcem, temu wypłaci dziesięć tysięcy. W kilkanaście dni po tém ogłoszeniu, Grzeszniczek nawzajem ogłosił, że kto mu głowę kniazia przyniesie, temu da dwa szelągi, a kto go żywcem przyprowadzi otrzyma talara bitego w nagrodzie, z oświadczeniem, że ocenia życie kniazia nad jego wartość. Książę na tę odezwę omal że pomieszania zmysłów nie dostał; przyrodzone jego okrucieństwo zdawało się być podwojone. Już odtąd w zamku rzadko kiedy się pokazywał, tylko na czele swoich żołnierzy szukał bitw z nieprzyjacielem, żeby nasycić się zemstą.

Gdzie się pokazał, strach, rozlew krwi i pożogi wszędzie mu towarzyszyły.

Co do mnie, odtąd żyłam w samotności, gdyż w niebytności kniazia żaden gość nie śmiał pokazywać się w Dolsku. Nawet most zwodowy nie byłby dla niego spuszczonej, bo książę, podejrzliwy nie względem mojej osoby, ale względem bezpieczeństwa swojego warownego zamku, nie ścierpiałby, żeby kogokolwiek do niego wpuszczano podczas jego nieobecności. Książę ojciec, dowiedziawszy się o mojem osamotnieniu, a przewidując, że wcześniej, czy później, nieprzyjacieli może się pokusić o zdobycie szturmem Dolskiego zamku, troskliwy o moje bezpieczeństwo, wyprawił do mnie jednego ze swoich najpoufalszych dworzan, z zaleceniem, ażeby mnie sprowadził do Birzów. Książę znajdował się wtedy w Słonimie, a już rozchodziły się wieści, że rycerz Lizdejko na czele silnego oddziału, powziął zamiar opanowania zamku Dolskiego.

Już nie pierwszy raz to imię obito się o moje uszy, wprzódj jeszcze nim konfederacya Tyszowiecka zaczynała przeważać szalę szczęścia na stronę Jana Kazimierza; wprzódj nawet, nim się zawiązała. Zaledwo to imię dało się słyszeć, a już było opromienione blaskiem nadzwyczajnej chwały, który w każdej chwili zdawał się powiększać. Nie zadziwiało nikogo to, co mówiono o mężstwie, o jego zdolnościach udowodnionych jako wodza, bo w niniejszym czasie te przymioty nie są rzadkie w obu stronnictwach, rozdzierających łono Rzeczypospolitej bratobójczym orężem; ale to, że jego wspaniatomysłność, umiarkowanie, szanowanie cudzej własności, tak rzadkie zwłaszcza w wojnach domowych, przez nikogo nawet w stronnictwie przeciwko niemu walczącym nie było zaprzeczane. To imię, ile razy było wymówione w mojej przytomności, jakieś dziwne na moim umyśle piętnowało wrażenie. Było to coś jakby przecucie, że ten Lizdejko nie może być kim innym, tylko moim bratem, moim nieporównanym Olbrachtem.

To przecucie coraz silniej w mojej duszy wzrastało, a zamieniło się w przekonanie nieprzełomne, kiedy książę wyprawił do mnie gońca z listem, w którym wyczytałam te wyrazy: „Przed chwilą odebraliśmy wiadomość, że Lizdejko co do nogi wytepił oddział Szwedów i naszych z niemi połączonych w Sandomierskiem województwie. A ten urwisz Gaskold, którego życie imosć u mnie wyprosiła, tam się znajdował pod jego rozkazami. Niczego nie pragnę, jak się zmierzyc z Lizdejkiem, owym bohaterem świeżej daty, żeby jego głowę posłać imosci“.

A kiedy doszły do mnie wiadomości o późniejszych jego zwycięztwach, a zwłaszcza pod Potuszą, najmniejsze powątpiewanie, że on jest moim bratem, wydawałoby mi się występkiem.

Stała przedemną nasz dworzaniin Haraburda, z listami od moich

rodziców dla mnie, a z rozkazem do gubernatora zamku Dolskiego od księcia marszałka, ażeby mnie jak najrychleji wyprawił do Warszawy. Co też zaraz i nastąpiło.

Nigdy nie opuszczałam Dolska z podobną radością. Zdawało mi się, że przenoszę się na wolne powietrze z jakiejś dusznej ciemnicy; serce moje biło gwałtownie, jakbym kogoś oczekiwała; nie mogłam rozebrać, co się we mnie działo. Kiedy zostawiliśmy most za sobą, oddałam się tak dziecinnej wesołości, że moja wierna Kodrunia musiała myśleć, że mi się w głowie przewróciło. Była to siła przecucia, że mnie jakieś niespodziewane szczęście spotka w tej podróży.

Jedziemy; po pierwszym popasie ledwośmy staję ujechali, aż tu widzimy przed sobą silny oddział jazdy. Doświadczony Haraburda poznał, że to byli Kazimirowczycy. Wszystko co mnie otaczało, strachem zostało przejęte; bo im wiadome było okrucieństwo tych oddziałów ochotników, co pierwsi usiłowali podnieść sprawę wygnanego króla. Moja Kodrunia od przytomności odchodziła z obawy, nie tyle o siebie, ile o mnie. Ja jedna nie rozstawałam się z wesołością, od tak dawna obcą dla mnie. Jakos mi nie mogło pomieścić się w głowie, żeby coś niepomyślnego miało mi się wydarzyć w tej drodze.

Jednak moja straż przygotowała się do walki, a Haraburda mi powiedział: — Ja udam się do dowódcy tych hultaj; nie odbiegam od jakiejś ofiary na okup swobodnego nas puszczenia; jeżeli to nie trafi do ich przekonania, będziemy się bronili do upadłego, i bądź JW. pani pewną, że chyba po naszych trupach do niej przystąpią. — I z jednym trębaczem wysunął się naprzód. Wyznaję, że tu przez chwil kilka uczułam jakąś niespokojność; ale kiedy usłyszałam nazwisko Lizdejki z krzykiem powtarzane, duch we mnie wstąpił, tém bardziej, że wkrótce on sam przybliżył się do mojej kolasy.

Jakkolwiek kilka lat upłynionych od rozstania się mojego z bratem mogły go odmienić, zaraz go poznałam, i przez okno kolasy na wpół mu się pokazałam z krzykiem radości. On mnie wrócił do ostrożności, mówiąc do mnie głosem donośnym i ostrym po angielsku, językiem prawie nieznanym u nas, żebym go nie zdradzała, gdyż jeszcze jest zmuszony z wielu względów do utajenia swojego nazwiska. Rozmawialiśmy zawsze po angielsku, bez obawy żeby nas zrozumiano. Jakże pragnęłam rzucić się w jego objęcia, przycisnąć go do mego serca! On te moje zapędy wstrzymał, a choć nasza rozmowa była krótkotrwałą, miał jednak czas oświecić mnie o wszystkim, co mnie najwięcej obchodzić mogło. Z tém się wymówił nawet, że tylko o kilkadziesiąt kroków jestem od Gaskolda, ale że nie pozwoli mi się z nim widzieć, gdyż toby się sprzeciwiało mojej godności. Dodał, zegnając się ze mną ścisnieniem reki i schyleniem głowy: — Siostrze, wkrótce się widzieć będziemy w Warszawie. Bóg się da! ubłagać przez

naszego prawego pana, i ani wątp, że przy okrzykach ludu wróci do swojej stolicy. Ale jeszcze nie pora, żebyś się przyznała przed naszymi rodzicami, żeś mnie spotkała. — To rzekłszy, rozkazał mojej straży przystąpić, dał Haraburdzie pismo, które nas ochronić miało od wszelkiej napaści na wypadek spotkania się ze stronnikami królewskimi, poruczył mnie pieczy Haraburdy, zawrócił swojego rumaka, i lotem strzały oddalił się odemnie.

Odtąd nie zdarzyło się nam widzieć oddziałów partyi króla Jana Kazimierza, a nazajutrz wstąpiliśmy w kraj zupełnie uległy księciu ojcu, i najszcześliwiej dojechaliśmy do Warszawy, gdzie rodzice mnie wyglądali z największą niespokojnością. Byłam przez nich przyjęta z miłością, jakiej mi nigdy nie okazywali. Serce rodzicielskie, jakkolwiek nierade się odkrywać, jest zawsze najbezpieczniejszym przytułkiem dla dzieci, ile razy są skołatane niefortunnymi kolejami.

To wszystko, co ci dotąd opowiadałam, po większej części już ci było wiadome. Pozostaje mi jeszcze wynurzyć przed tobą, droga Elzjusiu, wszystko to, co się tyczy mojego obecnego położenia.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Jakkolwiek mogłabym sobie wytłómaczyć przed sumieniem, że nie uważam się być żoną kniazia wojewody, wszakże tém samém, iż przyjąłam jego nazwisko, już on był w obliczu świata moim mężem, a droga moich obowiązków była mi wskazaną. Serce moje nie było mi podwładne, ale postanowiłam statecznie dochować cześć moją i tego, z którym związana byłam węzłem prawa i wiary. Usiłowałam z pamięci wypruć rysy Gaskolda, a jakkolwiek te moje usiłowania były bezsilne, przynajmniej sumienie nie mi nie mogło wyrzucić, a przeświadczenie wewnętrzne, iż dopełniłam mojej powinności, dodawało mi mocy i mężstwa do nieupadania pod ciężarem ofiar, na jakie byłam wskazaną.

Chociaż rodzice moi nigdy o tém przedemną nie zrobili wzmianki, przecie przekonaną jestem, że to co się działo w mojej duszy, nie było dla nich tajemnicą. Bo nigdy z ich strony nie doświadczałam tyle pieśzcot, tyle troskliwości, jak odkąd za ich rozkazem przybyłam do Warszawy. Stosując się do woli mojego brata, miałam w pilnym baczności, żeby się nie wymówić z tém, iż się z nim spotkałam; a jednak niemniej przekonaną jestem, że moi rodzice wiedzą, że ich jedynak zbiera wawrzyny w stronnictwie, przeciw któremu jego ojciec się zgłosił. Bo od niejakiego czasu książę z widoczném umiarkowaniem

wspomina króla Jana Kazimierza, i co wprzód nie bywało, często mówi o stosunkach krwi i przyjaźni, które go wiążą z rozmaitemi wodzami konfederacyi. A nawet gdy odebrał doniesienie o wejściu rycerza Lizdejki do zamku Dolskiego, i oddania go w posiadłość synowcowi prześladowanemu od rodzzonego stryja, po kilkakrotnie dał się przed swojemi z tém słyszeć, że czynność rycerza Lizdejki uważa być wielce szlachetną; że ten, który może rękę skuteczną podać prześladowanym, a karcie prześladowców, godzien jest zazdrości; że chociaż jego zięć na tém poniósł szkodę, jednak nie może sumiennie zasłaniać jego winy, ani odmawiać najwyższego szacunku dla szlachetnego męża, który ucieszonego sierotę podźwignął. Później często powtarzał, wychodząc z zamyślenia: — Ktoby się spodziewał, że ten Gaskold jest kniazem Dorohostajskim? że jest synem tego Stefana, co go w Wilnie matki swoim synom za wzór przedstawiały?

Już od niejakiego czasu zauważyłam jakąś oziębłość między księciem ojcem, a moim mężem. Stosunki i znoszenia się wzajemne jeszcze z sobą zachowują, ale że nie są już z siebie zadowoleni, to się aż nadto daje widzieć po każdym liście, jaki ksiązę odbiera od kniazia. Po kilkakrotnie ksiązę się wymówił z tém, że wolałby żadnej wiadomości nie odbierać od kniazia, niż czytać jego listy. A przed kilkoma dniami mieliśmy tu straszną scenę, która na mnie sprawiła nadzwyczajne wrażenie: pojawił się tu ulubieniec kniazia, ów Zawalidroga, o którym wspomniałam. Przywiózł listy od swojego pana do księcia i do mnie; była to dla mnie nowalia, gdyż odkąd mieszkam w Warszawie, nigdy do mnie nie pisał, tyle tylko iż w listach do księcia ojca pisanych był zawsze dla mnie ukłon. Teraz domagał się od księcia, żeby mnie jak najrychlej wyprawił do Dolska, i to w sposobie dość cierpkim, a mnie dał rozkaz, żebym na wypadek niezezwoleń rodziców powierzyła się Zawalidrodze, a ten mnie doprowadzi do niego, gdyż to na swoją głowę przyjął. Możesz sobie wystawić, ile mi to wszystko niepokoju przyniosło, zwłaszcza, że nigdy księcia ojca nie widziałam w podobnym uniesieniu, do jakiego zuchwały Zawalidroga go pobudził, kiedy przed nim stanął dla spełnienia swojego poselstwa.

Książę na wstępie mu powiedział, że nie może narażać swojego dziecka na podróż tak niebezpieczną, w której co kroku może być napađniętą przez nieprzyjaciół uzbrojonych, a której kres nie więcej jest bezpiecznym, gdyż nie ma przyczyny, żeby owi, którym już raz się udało zamek Dolski zdobyć, nie pokusili się powtórnie go opanować. A zatem, lubo wojewodzina zawsze powolna względem swojego małżonka, radaby i teraz zadość uczynić jego woli, on władzy ojcowskięj używa, aby tego nie dopuścić, i bierze na siebie wytłómaczyć ją przed kniazem. — Na to Zawalidroga śmiał odpowiedzieć, że pocziwa biało-

głowa winna być posłuszniejszą mężowi niż ojcu, i że jeżeli do księcia marszałka przynosi prośbę od swojego pana, do niej samą przynosi jego rozkaz wyraźny, który wedle wszelkich praw Boskich i ludzkich winna spełnić.

Księżę na te słowa tak się oburzył, że jakiś czas słowa wymówić nie mógł, a tylko trząsał się ze złości; nakoniec odezwał się: — Nędzarzu! powiedz swojemu panu, że musi jeszcze zachowywać jakieś względy u mnie, kiedy jego posłannika nie kazałem powiesić na wałach mojego pałacu. Zniknij mi zaraz z oczów, a z miasta jak najspieszniej, żeby cię czasem nie spotkało to, na co zasługujesz. — A nawet z wielkim moim zadziwieniem z tém się wymówił, że książ wojewoda nie powinien tak bardzo występować z prawami męża nad żoną, gdyż dobrze wie, jakie to jego małżeństwo. Wtedy pierwszy raz się dowiedziałam, że rodzaj moich stosunków z księciem Danielem nie był dla księcia ojca pokrytym tajemnicą.

Jednak zaprzeczyć nie można, że pod względem wierności żaden sługa sprostać nie może kozakowi. I miałam tego dowód, kiedy dnia wczorajszego, Zawalidroga nie zważając na niebezpieczeństwo, na jakie się narażał pokazując się w naszym pałacu, przecisnął się do mojej komnaty, żeby mnie skłonić do opuszczenia rodzicielskiego domu, chociażby potajemnie, ażeby po bożemu być posłuszną mężowi, i ku temu wszelkie mi łatwości podawał. Na to z mojej strony inną odpowiedź nie otrzymał, tylko że ponieważ książ Daniel sam mnie powierzył ojcu, a więc bez woli tegoż ojca do niego powrócić nie mogę. Obrażony sługa niepomyślnym skutkiem swojego poselstwa, odszedł, a kiedy mnie żegnał, zauważyłam w jego wzroku gniew dziki i ponury.

Lituj się, droga Elżusiu, nad twoją przyjaciółką, podwójnie nie szczęśliwą, bo i obecnym położeniem, i dręczącym przecuciem smutniejszej jeszcze przyszłości. Bo cóż z niej oczekiwać mogę? Bez wątpienia w obliczu Boga i własnego sumienia książ Daniel nie jest moim małżonkiem, a jednak wcześniej czy później mój los musi zależeć od woli tego, do którego wstręt nieprzewyciężony czuje moja dusza. Może być okropniejsze przeznaczenie, jak widzieć się związaną z tym, który nawet na szacunek zasłużyć nie umie, ani nawet czuje jego potrzeby? W księciu Daniele, oprócz niektórych prawideł honoru, nic ludzkiego nie pozostaje; jest-to człowiek bez serca, chciwy krwi, łupieżca, prześladowca wdów i sierot, niesyty bogactw i władzy, potępiający jako słabość niegodną rycerza, jakiegokolwiek umiarkowanie względem tych, których spotyka na drodze swojego samolubstwa. Moje serce nie jest mi podwładne; miłuję Gaskolda nad życie, jego obraz ani na chwilę mnie nie odstępuje, a jednak mojej sławy nigdy temu uczuciu nie poświęcę. Chętniej wszelkie męczarnie poniosę,

nizbym miała szańbić krew, która w moich żyłach płynie. Gdyby przynajmniej na mnie jedynie padły wszelkie poeiski niefortunnego przeznaczenia, możebym była spokojniejsza; ale widoczna zguba Gaskolda ciągle stoi przed moimi oczyma. Książ Daniel nigdy mu nie przebaczy—nie, że wzbudził we mnie uczucie, które do grobu mnie nie opuści, bo to jest dla niego obojętném, tém więcéj że wie dobrze, iż żadnym postępkim moim niesławy mu nie przyniosę,—ale że jest jego synowcem, prawym spadkobiercą, domagającym się o nazwisko i miano, których mu zaprzecza. Czuję, że dla mnie nie ma innego przytułku, tylko noc grobowa. Rozstawszy się na zawsze z nadzieją szczęścia, niczego nie pragnę tylko śmierci; ona jedna może położyć koniec moim mękom.

— Ach! moja najdroższa Elciu — na to Elżbieta — czy możesz się oddawać podobnej rozpacz w chwili, kiedy owszem przyszłość dla ciebie się uśmiecha? Czy możesz temu wierzyć, żeby nasz król, którego hufce zwyciężkie lada dzień opanują jego stolicę, zapomniał o zasługach twojego brata? o zasługach twojego Gaskolda? Nieprzyjacieli, w którym ufał twój mniemany małżonek, już opuszcza wszystkie części rzeczypospolitój, i już ze wszech stron jest ściganym. Może ci niewiadomo, że już i twój ojciec wchodzi z naszym królem w umowy? że z tylu stronników jeszcze niedawno garnących się do szczęśliwych nachodźców, jeden tylko książ Daniel im pozostaje, a i ten wkrótce, otoczony w swoim zamku przez hetmana Gąsiewskiego, będzie zmuszony błagać przebaczenia.

Bądź pewna, Elciu, że jeżeli domaga się twojego powrotu do Dolska, to jedynie dlatego, żeby ciebie mając przy sobie, mógł dogodniejsze dla siebie warunki poddania się wytargować od tych, którzy wiedząc, że z nim jesteś zamkniętą, będą się bali niebezpieczeństwo przywoływać na twoją drogą głowę. Czy myślisz, że twój brat, stojący może na pierwszym szczeblu łaski króla, nie oświecił go o wszystkim co się ciebie tyczy? a czy jest co takiego, coby król twojemu bratu odmówił? Nie ma pana w obozie królewskim, któryby nie wiedział, że twoje małżeństwo nie jest prawdziwém małżeństwem, kiedy nawet twój ojciec o tém jest świadomym. Przestań się smucić, Elciu, a słuchaj, co ci najlepsza twoja przyjaciółka wróży. Wkrótce nasz król ze swojemi pany przybędzie pod Warszawę; będzie z nim i książę Olbracht i książę Wojciech. Twój ojciec padnie mu do nóg, król go uściska, i razem zrobią wjazd do stolicy. W zamku będzie długa konferencya między niemi, do której będzie przypuszczony twój brat. Po téj konferencyi król wyprawi gońca do hetmana Gąsiewskiego z zaleceniem, żeby oświadczył kniaziowi Danielowi, już obłożonemu w swoim Dolsku, że mu wszelkie jego przewinienia odpuszczone *będą*, że dostojęństwa i królewsczyny jakie posiadał zachowa, ale

pod warunkiem, że przyzna Gaskolda za swojego synowca, że mu wróci część ojcowizny na niego przypadającej, i że pozwoli na rozwód z tobą; a wkrótce potem poprowadzimy ciebie do ołtarza, i powitamy kniahinią Wojciechową Dorohostajską, nie mniemaną, jaką była pani wojewodzina Witebska, ale rzeczywiście, jak Bóg przykazał.

— Jestem pogrążoną w smutku, a ciebie żarty się trzymają.

— Otóż jest! ja ci zapowiadam to, co niechybnie nastąpi, a ty nie chcesz tego słuchać, i tylko przemyślisz, żeby sztucznie trwać w urojonych zgryzotach. Jeżeli to co ci mówię nie spełni się co do joty, pozwolę się nazwać nieuczciwą.

— Nie znasz kniazia Daniela, on nigdy na podobne warunki nie zezwoli. Jestto mąż nieustraszony; będzie się bronił do upadłego.

— A więc nasi wyłom zrobią w jego murach, i przezeń wnikną do zamku. Nie z Dolskiem porywać się na całą Rzeczpospolitą! A jak książę dostanie się w ręce naszych, krótka będzie z nim sprawa, bo w naszym obozie nie znajdziesz żywej duszy, któraby mu dobrze zyczyła.

— I cóż z tego, że zginie?

— Cóż z tego? oto, że będziesz wdową, i prędkiej jeszcze pójdziesz za Gaskolda.

— Nie, moja kochana. Jeżeli polegnie, w obliczu całego narodu będę uważaną za byłą prawdziwą żonę kniazia Daniela. Wdowa po stryju, gdybym zawierała śluby z jego rodzonym synowcem, sromotą bym siebie okryła.

— Otóż znowu coś nowego! Prawdziwie z tobą oszaleć można! Gwałtem chcesz być nieszczęśliwą. Na cóż masz wyobrazać sobie to, co się nie stanie? Bądź pewna, że książę na wszystko zezwoli; ty sama wiesz, że o ciebie nie wiele dba, i że związek z domem Badziwiłłowskim na nie mu się nie przyda, kiedy jego stronnictwo rozprężone zostanie. Jeżeli była jaka trudność, to chyba z powodu, że trzeba będzie mu się rozstać z połową majątku; ale, o ile słyszałam o Gaskoldzie, ten pewnie wszelkie łatwości mu do tego zostawi. Obaczysz, jak wszystko gładko się ukartuje, i że twój mąż, aż nadto będzie się miał za szczęśliwego, jeżeli chociażby największą ofiarą zdoła przebłagać króla. Bądź dobrej myśli, Elciu, a nie obrażaj Opatrzności odrzucaniem poniekąd jój łaski. Pomówmy raczej o czém inném. Jakże ci czas schodzi w Warszawie? Jużci lepiej ci tu z rodzicami, niż z twoim mężem i jego rozbójnikami, albo w samotności Dolska.

— O! bez wątpienia, droga moja Elżusiu, zwłaszcza, że jako już tobie powiedziałam, nigdy nie widziałam moich rodziców równie dla mnie tkliwych i wylanych, jak teraz. Widzę, że biorą udział w mojem nieszczęściu, że domyślają się wszystkiego co cierpię, że wiedzą o wszystkich okolicznościach mojego położenia, — że radziby z pod

serca wydobyć ulepszenie mojej doli, a sami cierpią, iż zamiast szukania dla siebie jakiejś rozrywki, oddają się samotności. Jednakże znalazłam pociechę, którą mi Opatrzność zesłała, a tą jest nowa przyjaciółka, z którą najściślejsze zawiązałam stosunki. Nie marszcz się, Elżusiu! Mojej przyjaźni jej zazdrościć nie będziesz, jak się dowiesz, kto jest ta nowa przyjaciółka. Posłuchaj: — Ciebie nie było, w osamotnieniu mojem nie miałam z kim mówić, bo nie było przy mnie serca mogącego mnie zrozumieć. Do wszystkich moich udręczeń, miałam jeszcze w naddatku tęsknotę po tobie. Ale Bóg miłosierny, nawet wtedy kiedy karze, obdarzył mnie niespodziewaną pociechą.

Jednego poranku byłam jak zwykle sama w mojej komnacie, której prawie nigdy nie opuszczałam. Był to dzień sobotni, dzień dla mnie ważny, gdyż odkąd bawię w Warszawie, postanowiłam raz na zawsze ubogich w dniu tym przyjmować, żeby ulżyć im nędzy. Moja służba ma rozkaz wpuszczać do mnie wszystkich tych nędzarzy, których kłeski kilkoletniój wojny namnożyły w Warszawie. Kto sam cierpi, taki pojmuje cierpienia bliźnich. Ci biedacy są dla mnie miłymi gośćmi, i tak do nich nawykłam, że soboty przez cały tydzień oczekuję z niecierpliwością. Sama rozdaję im szaty, bieliznę, pieniądze, i lubię z nimi rozmawiać, a wierz mi, Elżusiu, że rozmawianie z ubogim nad wszystkie datki go pociesza, gdyż w części przynajmniej odejmuje to, co jest upokarzającego w jałmużnie. Pomyślność częstokroć zatwardza swojego ulubieńca, i to jest jedno z niebezpieczeństw bogactwa, ale niedola nadwyczerpanie czułość rozwija, tak dalece, że przekonaną jestem, iż jeżeliby co było zdolne położyć granice miłosierdziu Boga, to bezwątpienia wzgarda, albo nawet lekceważenie ubogich. Ten, który rzuca jakąś kwotę ubogiemu, jeszcze się nie wywiązuje ze swoich obowiązków dla niego. Trzeba umieć dać, trzeba mu okazać, że datki z współczucia pochodzą, a nie jest wymuszony natręctwem. Często bogacze, nawet hojni, rozumieć nie chcą, że w obliczu Boga obdarzenie dziesięciu ubogich nie przeważa wzgardy okazanój jednemu. Boski nasz Zbawiciel przykazał nam miłować ubogich; a czy ten ich miłuje, kto im otwiera swój mieszek, a zamyka przed nimi serce, odwracając się od nich ze wstrętem? Dziękuję Opatrzności, że mi dała możliwość udzielenia pomocy ubogim, a jeszcze więcej, że mnie nauczyła ich miłować. Ale też i oni mnie miłują. Inaczej mnie nie nazywają, tylko: nasza poczciwa kniahini; łatwo pojmiesz, ile każdy ranek sobotni pociechy mi przynosi.

Otóż jedna z moich pokojowych daje mi wiadomość, że jakaś uboga chce zemną mówić na osobności. Każę ją wpuszczyć do mojej pracowni, z zaleceniem, żeby w niej na mnie czekała, aż się ułatwię z innymi potrzebującymi mojego wsparcia. Odprawiwszy ich, poszłam do mojej pracowni, i w niej zastaję kobietę już niemłodą, ale której

rysy szlachetne wielkie na mnie wrażenie sprawiły. Była odziana skromnie, ale przyzwoicie. Poznałam zaraz, że to nie była żebraczka, ani nawet tak dalece uboga, żeby aż wsparcia pieniężnego potrzebowała. Oczów od niej nie mogłam odwrócić; poprosiłam ją, żeby siadła przy mnie, — ona swoje miejsce zajęła, i po pierwszych słowach jakie do mnie wyrzekła, po jój obejściu poznałam na wstępie, że była starownie wychowaną.

Miarkuj, droga Elżusiu, że ta kobieta była matką Gaskolda, ową kniahinią Stefanową, o której tyle słyszeliśmy w naszym dzieciństwie. Ze szlachetną ufnością wyznała przedemną kim była, i czego żądała odemnie. Nieświadoma ani okoliczności mego zamęścia, ani tego wszystkiego co się w duszy mojej dzieje, tyle tylko wiedziała, że jestem żoną jój szwagra, a łupieżcy jój syna. Roztoczyła przedemną z największym umiarkowaniem szereg prześladowań, jakich od niego doświadczyła; widać, że się obawiała narazić mi się wyszczególnieniem postępów nieludzkich kniazia Daniela, bo ile możności usiłowała je zasłaniać. Dodała, że dla obawy zemsty kniazia, na jaką może sama zasłużyła, kiedy kierowana uczuciem miłości więcej niż rozważą, dała się nakłonić do wnijsia potajemnego w dom świetny, bez względu na poziołość jój rodu, pod utajonóm nazwiskiem osiadła w Grzybowie pod Warszawą, w domu jednéj ubogiéj, pocziwéj wdowy; że ma czém opatrzeć swoje ograniczone potrzeby; że do niej ubocznie dochodzą wiadomości o jój jedynaku, który postępując torem przodków swoich, okrywa się sławą w obozach swojego króla, a nawet wysłużył sobie jego względy; że to jest jedyną jój pociechą w żywocie, osnutym ciągłemi przeciwnościami; a po tém wynurzeniu zakończyła temi słowy:

— Szlachetna pani! Jesteś matką nieszczęśliwych, z pełną więc ufnością udają się do niej, pobudzona nową okolicznością która mnie strachem przeraża. Od kilku dni jacyś nieznanomi ludzie pokazują się w Grzybowie; po ich mowie poznać można, że to są Ruśniaki. Podejrzewam, że mogą być wysłani od kniazia Daniela, który głośno oświadczył, że póty nie będzie spokojnym, póki nie dostanie mnie w swoje ręce, ażeby się mojemu synowi odwdzięczyć za najście swojego Dolśka. Błagam więc małżonkę naszego prześladowcy, ażeby nie odkrywając mego nazwiska, raczyła wyjednać od swojego dostojnego rodzica jakąś opiekę dla Grzybowa. Tyle łaski z moim synem doświadczyliśmy od tego wspaniałomyślnego pana, że bez obawy idę pod jego opiekunęce skrzydła, w przekonaniu że nie dopuści, ażeby pod jego prawie okiem gwałt miał być wyrządzony biednéj wdowie.

Bzucenie się w jój objęcie było moją jedyną odpowiedzią. Stało się to onegdaj, a już miłujemy się wzajemnie, jakbyśmy z sobą całe życie się nie rozstawały. Wszystko co się mnie tyczy przed nią wy-

nurzyła, oprócz uczuć, które w moim sercu wzniecił jój syn, a którebym rada w niem wyniszczyć. Przekonałam ją, że dla niój nie może być bezpieczeństwa, tylko u mnie, tylko pod bokiem moim. Wczoraj otrzymałam od księcia ojca upoważnienie zamieszczenia w moim przybocznym dworze biednej szlachejki, stosownie do tego, cośmy z kniahinią Stefanową umówili. Namawiałam ją, żeby nie czekając na przyzwolenie księcia, została przy mnie, i już do siebie nie wracała, ale do tego nie dała siebie nakłonić. Wczoraj powtórzyła swoje nawiedziny, w czasie których oznajmiłam jój, że księżę mnie upoważnił do jój przyjęcia. Kilka godzin spędziłyśmy z sobą; nakoniec umówiłyśmy się, że dziś sama pojedę do Grzybowa, żeby ją przywieźć do naszego pałacu. Dziś jeszcze poznasz tę czciogodną matronę, a wkrótce ona stanie się dla ciebie tak drogą, jak dla mnie. Nieboga musi mnie oczekiwać z niespokojnością, bo tak się z tobą zagadałam, że mi wyszło z pamięci, iż wedle mojej umowy z kniahinią Stefanową, od godziny powinienam być w Grzybowie.

Kniahini wojewodzina tak skończywszy, powstała, i pociągnęła za sznurek wiszący na ścianie. Dwie panienki jój służby nadeszły.

— Na rozkaz pani!

— Moje dzieci — rzekła do nich wojewodzina — powiedzcie koniuszemu, żeby natychmiast zajechała moja kolasa; chcę przejechać się trochę po za miastem.

Dziewczęta zabierały się odejść, kiedy pani starościna Mozyrska odezwała się:

— Moja Elciu, proszę cię, każ i dla mnie przygotować pojazd. Mam tu kilka ciotek zamieszkałych, które mi nawiedzić potrzeba. Wszakże doba minęła, jak jestem w Warszawie, a jeszcze tego obowiązku nie wypełniłam. Tém chętniej będę je objeżdżać, że bez ciebie wielebym się nudziła.

Służebne panienki wyszły, by zanieść podwójny rozkaz koniuszemu. Niedługo czekały nasze przyjaciółki na jego spełnienie. Wkrótce przybył koniuszy z oznajmieniem, że pojazdy czekają. Wyszły dostojne damy. Pani starościna siadła do swojej karety, której, wedle ówczesnego obyczaju magnatek, asystowało kilku ułanów na koniach, pod rozkazem oficera milicyi nadwornój; zaś kniahini wojewodzina, gdy wyjeżdżała za miasto, dla uniknienia mitrzących honorów, któreby ją co kroku zatrzymywały, chcąc przytém zachować w Grzybowie najściślejsze incognito, z jednym tylko hajdukiem za kolasa puściła się w tę krótką podróż.

Staneła tedy w Grzybowie przed skromną chatą, kierując się opisem jaki o niój zrobiła matka Gaskolda, i lekko wyskoczyła z pojazdu przed progiem, na którym ją czekała kniahini Wilhelmina, by ją przed sobą przeprowadzić do swojej izby. Gdy zostały same, przywitały się

długo powtarzanemi uściskami. Świętym blaskiem przyjaźni zajaśniały. Bo lubo dopiero się poznały, czuły do siebie wzajemny a niewypowiedziany pociąg.

Mieszkanie kryjącej się pod kłamaném nazwiskiem szlachetnej pani, było ubogie, ale schludne, a składało się z izby i alkierza. W rozporządzeniu skromnych sprzętów, w czystości firanek i pościółki było coś takiego, co łatwo dawało poznać, że świetniejsze pokoje byłyby dla niej właściwsze. Kniabini Wilhelmina przedstawiła bratowej swojego męża ubogą szlachciankę, która jój swój domek była otworzyła. A że z góry zawsze opłacała wynajem swojego pobytu, żadnego między nimi nie było rachunku; tyle tylko, że ją obdarzyła wszystkimi temi sprzętami, któremi upiększyła swoje mieszkanie. Czas nagle, bo już słońce było opuściło widokrąg starego świata. Wyszły więc damy, jedna z nich trzymając w ręku zawinątko, druga woreczek, z którego wyjęła kilka sztuk złota, by je wręczyć ubogiej właścicielce domku, a ta tylko wielkie oczy otwierała, nie wiedząc, czy to we śnie, czy na jawie tyle szczęścia razem doświadcza. Obie panie siadły w kolasie pod strażą modłów, które obdarzona przez nie staruszka za ich powodzenie do Tronu Najwyższego wznosiła.

Już kolasa toczyła się po ciasnej drodze między sadami, przedzielającemi Grzybów od Warszawy, kiedy raptownie zatrzymała się. Damy patrzą, i widzą przed sobą stojącą karocę z ośmiu końmi, która im przejsie tamowała. Woźnica i hajduk krzyczą, żeby ustąpiła im z drogi, albo szła naprzód. Napróżno! karoca stoi nieruchoma. Niepokojna Eleonora powstaje w swojej kolasie, i łączy swój głos srebrzysty i łagodny do krzyków sług, prosząc, żeby obmyślili jakiś środek, żeby do Warszawy mogły pośpieszyć, ile że już wieczór się opóźnia. Na to żadnej odpowiedzi nie otrzymuje. Wtém widzi kilkunastu kozaków cwałem lecących ku nim; w mgnieniu oka otaczają kolasę, a na ich czele Zawalidroga. Jój serce zlodowaciało od strachu, kiedy Zawalidroga rzekł do niej z ruska:

— Niech JW. pani niczego się nie boi; ja jestem jój sługa, posłany od pana, żeby ją przywieźć do niego. Lepiej w swoim własnym domu mieszkać przy swoim mężu, niżeli w cudzym, chociaż rodzzonego ojca.

— Dobrze, mój kochany Zawalidroga, ale pozwól, żebym pożegnała rodziców.

— O nie, JW. pani! To być nie może! Jaśnie oświeceni jój rodzice gotowi panią nie puścić, a ja mam rozkaz wyraźny od pana, żeby JW. panią do niego dostawić. JW. pani wiesz, że rodzice żadnego prawa nie mają do swojej córki, kiedy ją już wydali, a tylko od swojego męża zależy. Tak Bóg przykazał. Niechże jaśnie pani siada w tę karetę

dla niej przygotowaną: a żeby się nie nudziła, ta imość będzie towarzyszyć jej w tej podróży.

— A jeżeli na to nie zezwolę, czy odważysz się, nędzarzu, gwałtu użyć względem swojej pani?

— Nie inaczej. Jasnie pani będziesz z początku gniewać się na mnie, a potem mi podziękujesz, bo wiem, że JW. mój pan, a jej mąż, za mnie ją przeprosi. Albo to ja coś z swojej głowy wymyślałam? Pan każe, a służa musi. A poczciwa żona, jaką jest JW. pani, przykład posłuszeństwa winnaś dać sługom. Niechże jasnie pani raczy przesiąść się z tą imością, bo póki Zawalidroga żyw, póty wola pańska musi być spełnioną od niego. Niech JW. pani siada; nie mamy czasu do tracenia. Inaczej być nie może, a więc nie pozostaje paniom, jak tylko zgodzić się z wolą Pana Boga.

Poznała kniahini wojewodzina, że wszelki opór na nieby się nie przydał. Tyle tylko, że naraziłby ją na krzywdę ze strony rozzuchwalonego rozkazem pańskim kozactwa. Wyszła więc z kolasy, oparta na swojej towarzyszcze, o którą więcej się lękała, niż o siebie, i obie panie siadły do pojazdu dla nich przeznaczanego.

Zawalidroga rozkazał koła od kolasy porąbać, żeby woźnica nie pociągnął do doniesienia do książęcego dworu o przygodzie kniahini wojewodziny, a tym opóźnić pogoń. Co się tyczy hajduka, Zawalidroga mu kazał stanąć za karętą wojewodziny przeznaczoną, żeby być gotowym na jej usługi. Rozkaz natychmiast spełnionym został, bo tu nie kto inny tylko Zawalidroga był panem.

Gdy wszystko duchem rozporządził, krzyknął na nowego woźnicę. Karoca, ruchome więzienie tych niewinnych istot, wyruszyła otoczona strażą ludzi determinowanych, z początku zwolna po ciasnej drodze, ale gdy zjechała na gościniec uboczny, wszakże dość szeroki, woźnica konie ukraińskie, które ich ciągnęły, zaciął batogiem, i zaraz pędem wichru toczył się zaczęła.

ROZDZIAŁ XXIX.

Zostawiliśmy Gaskolda i Odyńca w murowanej gospodzie, zabierających się do wczasu po wieczery, którą się posilili. Zmęczonym konną kilkodziową podróżą, w ciągu której pierwszy raz, zdarzyło im się dostać do gospody dość wygodnej, wkrótce sen skleił powieki. Obaj byli pogrążeni w tym śnie pierwszym, tak twardym, tak orzeźwiającym, że nawet mary nie mają do niego przystępu, kiedy dały się słyszeć stukania w okiennicę sąsiednią, a z niemi i głosy coraz donośniejsze.

Gaskold pierwszy się ocknął; wyskoczył z łóżka, wykrzesał ogień, zażegnał światło, i obudził Odynca, który za jego przykładem zerwał się z pościeli, i zapytał towarzysza broni, co to jest?

— Trwoga! a czy nie słyszysz głosów?

Odyniec przyłożył ucho do okna, i w samej rzeczy usłyszał wpośród szelestu pomieszanych głosów wyrazy: Otwieraj, do czarta! Otwieraj, nawiedzony Niemcze, bo wszystkie twoje okna w puch rozbijem!

— Nie inaczej — odezwał się do Gaskolda — jest-to wyraźne najście, a po mowie widać, że to są Buśniaki. Djabeł aż tu ich zapędził?

— Nie ma czasu do tracenia; trzeba nam się ubrać i dowiedzieć co to jest?

Ubranie się niedługo trwało. Obaj rycerze stanęli w pełnym rynsztunku, w kolezudze na kaftanach łosich grubo podszytych z mi-siurką na głowie, z szablą u boku, z ładownicą na plecach, z pistoletami po każdej stronie i koncerzem w rękę.

— Teraz — odezwał się Gaskold — nie nam nie pozostaje, jak obudzić Jakóbczaka, żeby konie były w gotowości.

Obaj wyszli do sieni ze światłem. Ale Jakóbczak, żołnierz wywiczony w wojnach, już i światło był zażegnał, i nie tylko że sam był w gotowości do walki, ale już był osiodłał jednego konia, i brał się do drugiego. Przyskoczył do niego Odyniec, żeby mu pomódz w robocie, a Gaskold przybliżył się do wrót, i usłyszał wyraźnie te słowa z ruska wyrzeczone, z za dworu pod oknem izby gospodarza, sienią przedzieloną od gościnnéj kwatery.

— A do stu czartów! otwieraj, utrapiony Niemcze!

— A to pan! — odpowiedział Niemiec z za okna na pół zaspany — czém mogę mu służyć?

— Ot kłopot, że człowiek mało nie oszalał. Wywozę wielką panią z Warszawy, a tu mnie nieszczęście napotkało, że o staję ztąd os od karety się złamała; ledwośmy ją tu dociągnęli. Trzeba, żebyś mi koniecznie stworzył koła z wasągiem, bo ja tu długo gościć nie mogę. Ale otwieraj, a o wszystkiém się dowiesz.

— Pozwól, panie, żebym wykrzesał ogień; na biedę trafić nie mogę na pudełko z siarniczkami.

— Jaki z ciebie cap, opasły Niemcze! Przez szpary widać światło w sieni, a ty szukasz siarniczek. A wychodźże, wraży synu, do mnie, jeżeli nie zyczysz sobie, żebym ci wszystkie okna porozbijał.

Victus rationibus wyszedł gospodarz do sieni, i u progu natknął na Gaskolda, który go zapytał, co to być może?

— A to nasi — odpowiedział Niemiec — należą oni do dworu kniazia wojewody Dorohostajskiego; mieli przypadek w drodze, na co u mnie szukają rady. Pozwól, panie, żebym wrota otworzył, a odpuść,

że w mojej gospodzie obudzono pana przed czasem. — To rzekłszy, zabierał się otworzyć wrota od sieni; ale Gaskold odezwał się:

— Poczekaj, niech-no własnymi oczyma obaczę co się święci. Wszakże i my z téjże saméj partyi co i książ wojewoda, inaczejbyśmy nie odważyli się udawać do Warszawy. Możemy tu być tobie i jego ludziom w pomocy; otwórz więc drzwiczki od wrót, ażebym się przypatrzył, czy nie ma jakiej zdrady? Idź pozbierać pachołków karczemnych, a ja go tu przyjmę.

— Panie, zaręczam, że nie ma zdrady, i że to nasi. A więc pozwól, żebym natychmiast ich puścił.

— Dajże mi pokój, barania głowo, i rób co ci każe!

I otworzył drzwiczki.

Chociaż noc była ciemna, nie do tego wszakże stopnia, żeby nie mógł spostrzedz kozaka, stojącego po nad oknem gospodarza, a o kilkanaście kroków ztamtąd, wielką karetę pochyloną i otoczoną, ile mógł z pierwszego rzutu osądzić, mniej więcej tuzinem uzbrojonych jeźdźców. Zamknął śpiesznie za sobą drzwiczki, i wrócił do swoich koni, które zastał we wszelkiej gotowości.

— To nie przelewki — odezwał się do Odyńca i Jakóbczaka. — Bez bójki się nie obejdzie, bo wyraźnie kogoś gwałtem wywożą, a że do tego są użyci ludzie księcia Daniela, wątpić nie można, że coś po-cziwego siedziéć musi w karcie. Nie ma gadania, trzeba to ratować. Ich więcej jest, ale mniejsza z tém! Bóg dopomaga dobrej sprawie. Juźci nie na co innego dopuścił na karetę przypadek właśnie pod bokiem naszym, tylko dlatego, żeby nieszczęśliwe ofiary poruczyć naszej opiece. Gospodarza nie widać; musiał zapewne pójść za swojemi pachołkami. Na koń więc i szable w dłoni!

Wtém przybył Niemiec z trzema pachołkami.

— A co? — odezwał się. — Wrota jeszcze nie otwarte? Będzieź mi za to!

— Idź ze swojemi ludźmi i otwieraj je sobie; tak są zasunięte, że im nie mogłem dać rady, i dobrze, bo właściwiej gospodarzowi samemu, niżeli nam przyjmować szanownych gości.

Gospodarz z pachołkami zajęli się wrotami, a Gaskold rzekł do towarzysza broni:

— Nie nam nie pozostaje, jak podpalić karczemę, żeby ludzie okoliczni, poczciwe Mazury, zbiegli się na pożar. Swego czasu szkoda Niemcowi się wynagrodzi, a co roztropność każe, to trzeba wypełnić.

Leżał w stajni ogromny stos siana. Jakóbczak przytknął światło do niego. Jeszcze wrota nie były zupełnie roztwarte, a już płomień zaczynał się wznosić pod strych, sam sobie będąc zostawiony.

Wrota już były otwarte, a wietrzyk przedświtowy poruszył wszechy-nający się płomień. Nasi rycerze byli na koniu; każdy miał szablę

na temblaku. Gaskold zapomniał, że był przybrał postać giermka. Zanosił się na rychłą walkę, a więc machinalnie wyruszył naprzód, i przed wrotami obaczył stojącego w pełnym rynsztunku kozaka, który już rozmawiał z gospodarzem.

— Kim jesteś? — zapytał go rozkazującym głosem — i kogo prowadzisz w tej karecie?

— Pierwój waszeć sam naucz mnie kim jesteś, że śmiesz mi rozkazy dawać.

— To z naszych — przerwał gospodarz, obrócony do kozaka. — Udają się do Warszawy, do księcia marszałka.

— Nie wtrącaj się do naszych interesów — krzyknął Gaskold — mamy języki, któremi się wytłómaczymy przed sobą bez twojej pomocy. — Ja się ciebie pytam, kozaku, kogo wieszysz w tej karecie na pół przewróconej?

— A jeżeli moja odpowiedź będzie, że to do ciebie nie należy, i że tu ja, a nie kto inny daje rozkazy?

— A to wtedy sam się dowiem kto w niej siedzi.

— To się nie da zrobić tak łatwo — odrzekł zuchwały kozak i chwycił za cugle.

Obrażony rycerz wziął się do szabli, aby gifesem ugodzić w rękę zuchwalca, który go chciał zatrzymać, ale w samym zamachu koń szarpnął, i zamiast w rękę, cios uderzył go między oczami. Kozak jęknął, chwilę się pochylał, i powalił, straciwszy przytomność. Drugi kozak, stojący o kilka kroków, wypalił z garłacza do Gaskolda; kule rozsypały się, jedna z nich tylko przedarła łosi kaftan rycerza, ale oparła się o kolczugę, a ciała uszkodzić nie mogła. Rycerz, chociaż uczuł jakby silne uderzenie kulą w piersi, ani się pochylał, tylko posunął naprzód swojego rumaka, aby ukarać jak najrychlej mściciela powalonego kozaka; ale wierny Jakóbczak zdołał go uprzędzić, toporem uderzył po głowie kozaka, ten padł jak dąb, siekierą odcięty od swojego pnia, i ani jęknął. Później pokazało się, że czerep na dwie równe części rozdzielony został.

— Do karety! — krzyknął Gaskold — już dwóch nieprzyjaciół pokonałiśmy, da Bóg że i resztę odprawimy. Za mną!

I wszyscy trzej obces posunęli się ku karecie.

Tam dopiero rozpoczął się bój straszny, gdyż na odezwe Gaskolda, aby kozaacy się oddalili, a zostawili im karete i tych, co w niej siedzą, ogień z rusznic był ich jedyną odpowiedzią. Było ich dziewięciu; to jest trzech na jednego. Ale były okoliczności, zdolne w części przynajmniej równoważyć nieostosoowność sił. Kozackie konie jak to zaraz zauważył doświadczony Jakóbczak po odbytych świeżo pochodzie, ani w zwinności, ani w wartkości, sprostać nie mogły ich koniom, odświeżonym noclegiem i sytym. Powtóre; kolczugi kozackie, ze stali

w kraju hartowanej, czémże były w porównaniu do koleczugi Gaskolda i Odyńca, omal że nie za wagę złota z zagranicy sprowadzonych, a których kule ze strzelb owoczesnych przedrzeć nie były zdolne? Nadewszystko zaś wszyscy trzej rachowali na wyższość odwagi szlachcica nad kozakiem, rycerzem nie z powołania właściwego jego stanowiu, ale z woli wyższej, której winien ulegać.

Pierwszy wystrzał żadnej szkody nie przyniósł naszym szlachebnym wojownikom, którzy nawet nie chcieli się odstrzelić, a tylko z szablą w rękę na nich natarli. Kozacy dzielnie wytrzymali to natarcie; ścisnęli się w linię, spisy naprzód, i nie dali się złamać. Jakóbczak pierwszy odskoczył, rzucił się na skrzydło, i udało mu się zabić kozaka skrzydłowego. Nieprzyjaciel nie dał się zmieszać, ale poszedł w rozsypkę wedle swojego obyczaju, i wziął się do obrotów, kolejno rozsypując się i znowu nacierając, tak, że pokilkakrotnie przeciwnicy byli przez nich otoczeni. Ale przytomny Gaskold odezwał się do swoich:

— Stójmy na miejscu; niech do reszty pomęczą swoje zgłodniałe konie, a dopiero my ich weźmiemy w obroty. — Kozacy pokilkakrotnie nacierali na nieruchomych przeciwników, którzy z miejsca nie ustępowali, a tylko udawało się im szablą odcinać spisy, że czasem tylko nieszkodliwy drzewiec niejednemu pozostawał. Bozzuchwaleni kozacy, że ile razy od nich odskoczą, ich nie ścigają, coraz gęstsze natarcia przypuszczali; a nie mogąc ich przemódz, odskakiwali o kilkanaście kroków, i z rusznie sypali na nich kule. Kiedy już piąty czy szósty raz na nich napadli, zniecierpliwiony Gaskold kazał ich dopuścić nie więcej jak o dziesiątek kroków, i przywitać garłaczami, byle dobrze brać na cel. Kozaki z krzykiem napadają; ale jak nasi trzej dali ognia, trzech ich padło. Kozacy zniknęli, ale znowu się pokazali; zatrzymali się o kroków kilkanaście, i wypalili ze szkodą naszych, gdyż mężny Jakóbczak, którego koleczuga nie była z tak hartownej stali jak te, które okrywały piersi Gaskolda i Odyńca, padł z konia ugodzony kulą. Już rycerzy nie wstrzymać nie mogło; rzucili się na kozactwo dla pomśczenia towarzysza, ale i kozactwo, pomiarkowawszy że ich konie są pomęczone, i że ucieczka może się stać dla nich zgubną, nieustraszone czoło postawiło. Zażarta bitwa wszczęła się między nierównymi liczebnie siłami, już nie na ognistą broń, ale na spisy przeciw szablom.

Krzyżowały się szable ze spisami. Wtém raptownie zrobiło się jasno, jakby wpośród dnia. Na ten widok obie strony jednocześnie zawiesiły bój. Austerya była w ogniu; płomień buchał ze wszystkich stron, a rodzina Niemca wraz z nim, tylko załamywali ręce błagając ratunku.

Zawieszenie broni niedługo trwało. Kozacy przekonali się, że *tylko z dwoma* mają do czynienia (bo nie tylko ludzi, ale szpilki mo-

zna było policzyć przy takim świetle), będąc sami w liczbie sześciu, na nowo natarli na nich. Pokilkakrotnie spisami godzili w naszych rycerzy, ale ani ich koleczug przebić, ani nawet ich samych poruszyć nie mogli. Bój był zaszarty; już dwóch kozaków wyrzuciły szable Gaskolda i Odyńca, a jednak nie ustawał, owszem coraz zdawał się być zaciętszym.

Nakoniec ze wsi okolicznych zaczęli zbiegać włościanie, przywołani okropną łuną, która noc ponurą w dzień kłamany przekształciła. A i szlachta w brykach, a nawet w kolebkach, ze swoich wsi na pożar przybywała za wieśniakami, jedni dla przyniesienia ratunku, drudzy pobudzeni ciekawością. I wielce musieli się zadziwić, patrząc na podwójne widowisko, z jednej strony budynek palący się jak stos łuczyna na smołę, a z drugiej bitwa zacięta przy karecie pochyłonej, bo tylko na trzech kołach opartej.

Jeden szlachcic, z tych co w pojazdach przybyli, wieku zbliżonego do starości, a osiadły, jak można było poznać po aksamitnej czapce z kutasem złotym, którą nosił na bakier, przybliżył się do zapaśników, i rzekł im głosem na pół rozkazującym :

— Bójcie się Boga mości panowie. Nieszczęście dopieka ludziom obok was, a wy natomiast, cobyście mieli im przynosić jaki ratunek, zabijacie jeden drugiego, jakby Pana Boga nie było na świecie. Ej do kroć djabłów! dajcie sobie przynajmniej na ten raz święty pokój i spuście się na ludzi uczciwych, aby was pogodzili. A jeżeli nie zechcecie zaprzestać, toć tu przy karczynie éma narodu się zbiegła; która strona upartsza, na tę każę uderzyć choć drągami, bo jużci nie pozwolę wam bić się w moją przytomności.

Nastąpiło powtórne zawieszenie broni, i sprawiedliwość tu winna być oddana kozakom, że bez oporu, a nawet ze skwapliwością posłuchali głosu poważnego rozjemcy. Ohłop Ruśniak jest skłonny do ulegania zwierzchności, a tém samém szanuje szlachcica, który w jego obliczu jest jój typem.

Pięciu tylko kozaków jeszcze pozostawało; reszta leżała na pobojowisku. Jeden z nich podniósł rękę do czapki, i rzekł z uszanowaniem do starego szlachcica :

— Jaśnie wielmożny panie! Jesteśmy poddani i słudzy kniazia Dorohostajskiego, wojewody Witebskiego. Odwozimy do niego naszą panią; wszak my nie za swoim poszliśmy rozumem, ale spełniamy to, co nam pan nasz kniaź rozkazał. Nieszczęście nas tu spotkało i zatrzymało przy tej karczynie, która się pali. Oś od karety pani pękła jak JW. pan widzisz. Nasz ataman poszedł obudzić gospodarza, aby mu na to poradził, i do nas nie wrócił, a tylko ci panowie, którzy nie wiedzieli jakim prawem chcieli się przyczepić do naszej kniahini; a że my na to pozwolić nie mogli, na nas napadli. Sześciu naszych zabili,

albo tak dobrze jak zabili; bo jużci musieliśmy się bronić od napaści. Niechże JW. pan osądzi, kto tu jest prawym?

— Mało na tém — odezwał się Niemiec zadyszany i zaszlochany — ale i mnie zgubili na wieki, tak że z żoną i dziećmi to tylko, co mamy na sobie, jest całym naszym majątkiem. Podpaleniem karczmy opłacili swój nocleg rozbójniki. A co my im winni?

Tu cała rodzina Niemca zaczęła wrzeszczyć, i włosy sobie wyrwać z rozpacz.

— A moi panowie — na to stary szlachcic — to się nie godzi, to o pomstę woła do Boga. Gospodę podpalić, o żebraetwo przyprowadzić całą rodzinę, szkodę wyrządzić właścicielowi, na którego gruncie stoi ta austerya, a który jest karmazynowym szlachcicem, a nawet niepoślednim urzędnikiem. *Securitas publica violata*. A nade wszystko, zamordowanie poddanych i sług senatora. *Et verbum caro factum est*. To już do mnie należy. Nazywam się Grzymała, jestem podstarostą grodu Warszawskiego, a substytutem JW. Krasieńskiego, podskarbiego wielkiego Koronnego, i starosty sądowego Warszawskiego. Moja jurysdykcyja rozciąga się po całej téj okolicy. W imię prawa przykazuję wam, zawito stanąć na moje wezwanie przed grodem Warszawskim, pod karą wiecznego wywołania. Tam rozprawicie się sądownie; już nie wracam do mojej wioski, ale ztąd jadę do Warszawy; a jako *delictum flagrans, extra cadentiam* zasłucham waszój sprawy. Biada winowajcom! Najście na publicznym gościńcu, podpalenie cudzego budynku, to gardłowa rzecz. Kto z was winien, tego bez ceremonii na śmierć osądzę; jeżeli plebejusz, *cum executione in triduum*, jeżeli szlachcic, *cum beneficio appellationis* do trybunału Koronnego; tak prawo każe. Rozkazuję wam natychmiast złożyć broń w moje ręce, i ruszać za mną pod konwojem do Warszawy.

Skoro to usłyszeli kozacy, jakkolwiek nie poczuli się do winy, ten rozkaz im wcale się nie podobał. Bliższa ciała koszula, niż sukmana. Trzeba było najspieszniej im wracać do pana, a tu im każą oddać się wszystkim przewłokom sądowym, a tém samém narazić się panu. Niewiele myśląc, odrzekli się i karety, i swoich towarzyszków rannych czy zabitych, zawrócili konie i w nogi cwałem.

Nasi rycerze przeciwnie, oddali broń podstarostowi (*), zsiadli z koni, powodując się obowiązkiem swojego stanu, nakazującego naj-

(*) Szlachta polska, burzliwa, gwałtowna, pochopna do bitek, zawsze się odznaczała posłuszeństwem jurysdykcyom sądowym, tak dalece, że bez środków zmuszających spełnia najuczajliwsze wyroki. Opinia publiczna piętnowała infamią każdego, który ufny w swoje dostatki i potęgę, odważyłby się nie spełnić wyroku prawnego na nim ciążyącego. Do podobnego nieposłuszeństwa łączyło się wyobrażenie ejakiegoś świętokradztwa.

poddaniejsze posłuszeństwo prawu i uległość dla urzędu. Gaskold w milczeniu pozostawał, bo wiadomość, że Eleonora tylko o kilka kroków była od niego, takie na nim sprawiła wrażenie, że już do żadnego innego przedmiotu nie umiał skupić swojej myśli. Tylko pan Dawid się odezwał:

— Mości podstarosto dobrodzieju; ulegamy waszmości rozkazom, i oddajemy się w jego ręce. Ale in loco delicti, pozwól i nam się wytłómaczyć; bo jużci my szlachta nie gorsi od kozaków, których oskarżenia waszmość raczyłeś cierpliwie wysłuchać, a którzy, że się nie czują być czystymi na sumieniu, dowiedli ucieczką swoją. Owóż tedy jestem dworzaniem JO. księcia marszałka wielkiego Litewskiego, a najwyższego zwierzchnika w całej tej okolicy. Nazywam się Dawid Odyniec, jestem osiadłym szlachcicem na Żmujdzi, gdzie mój ojciec piastuje tenże sam urząd, co i waszmość dobrodziej. A oto jest mój giermek, jak ja z rycerskiego stanu. Udajemy się z Litwy do Warszawy, z ważną ekspedycją do naszego pana; wieczór nas zatrzymał w tej gospodzie; w nocy stukania nas obudziły. Nadstawiam ucha, słyszę, że kogoś uwożą; siadam na koń z mojami ludźmi, aby się dowiedzieć co to jest. Widzę kilkunastu kozaków otaczających karetę na pół wywróconą; jeden z nich rozmawiał z po-za okiennicy z gospodarzem. Zapytuję go, co to ma znaczyć, i miałem do tego wszelkie prawo, będąc dworzaniem i towarzyszem znaku księcia naczelnego dowódcy. Zuchwały kozak nie tylko że nie chciał się opowiedzieć, ale nawet usiłował nas nie puścić z sieni, za co ukarany został nie brzeszczotem, ale gifesem od szabli. Przystępujemy do kozaków z językiem, a oni nas przywitali swojemi rusznicami, że gdyby nie nasze hiszpańskie kolczugi, byłoby po nas; jakoż mój luzak, że nie tak dobrze był opatrzony, leży, o którego ratunek błagam waszmości, jeżeli jeszcze żywy. Trudno nam było siedzieć na koniu z założonemi rękoma; musieliśmy napaść odpierać, a jeżeli kilku kozaków padło, to daremna rzecz; gdzie drwa rąbią, trzaski lecieć muszą. Co do karczmy wyznaję, że ją podpaliłem; ale gdyby nie to, nie miałbym szczęścia poznać się z waszmością dobrodziejem; a wreszcie, jakkolwiek bezpieczeństwo osobiste zmusiło mnie na ten raz być podpalaczem, nie odbiegam od wynagrodzenia sowitego i właścicielowi tej karczmy, i temu Niemcowi, który na nas narzeka. A więc upraszam waszmości o najrychlejsze nas dostawienie do księcia marszałka, a ten, chociażby tylko dla ważności ekspedycyi jaką mu przywożę, pewnie mnie przed waszmością wytłómaczy.

— Jak to? — odrzekł podstarosta — waszmość jesteś dworzaniem księcia marszałka? A to wcale co innego. Wszakże ja mam zaszczyt liczyć się między klientami tego ze wszech miar szanownego pana. Oddaję waszmościom ich broń, a poprzestaję na jego słowném

zaręczeniu, że udacie się do Warszawy. Pozwolicie mi panowie zrobić obdukcję prawną w tém miejscu, i złożyć moje uszanowanie kniahini wojewodzinie, która tyle trwogi doświadczyć musiała.

Przystąpił podstarosta do pojazdu, najuniższej powitał damy w nim siedzące, i nie ustawał w przeprosinach przed wojewodziną, że w miejscu jego jurysdykcji uległ taki wypadek ją spotkał. Po czém sam otworzył drzwi od karety, prosząc zaledwo po takim przestרחu nieco uspokojone kobiety, aby z niej raczyły wysiąść.

Wyprowadziwszy je z pojazdu, przywołał Gaskolda, aby był na zawołanie córki JO. marszałka aż do jego powrotu, gdyż musi zrobić obdukcję poległych w téj nocy ludzi, i rozporządzić ułatwienie powrotu JW. wojewodziny do Warszawy. Rozkaz był dany Gaskoldowi, bo Odyniec tak był zajęty ratowaniem Jakóbczaka, że nawet o wojewodzinie zapomniał.

Dogorywający pożar dostatecznie przyswiecał tym, co stali w jego pobliżu, a nawet już pierwsze brzaskiienne zwolna postępowały po widokresie. Jakież było zadziwienie Gaskolda, kiedy zamiast jednego, ujrzał razem dwa przedmioty, które tak drogie były dla jego serca! Wojewodzina przywitała go z powagą, bo tyle umiała sobą władać, że niktby się domyśleć nie mógł, patrząc na ich spotkanie, że między niemi może być jakiś inny stosunek, niż dobrej znajomości. Podała mu rękę, którą z uszanowaniem dotknął do ust, i w krótkich wyrazach oświadczyła mu, iż ją cieszy widzenie go w dobrém zdrowiu, po tylu latach jego rozstania się z dworem Birzańskim, i że winszuje mu sławy rycerskiej, którą umiał sobie nabyć: ale ten przymus tyle ją kosztował, że zaraz potem odwróciła się do karety, jakoby w niej czegoś szukając, a rzeczywiście żeby nie zdradzić swojego pomieszania.

Co się tyczy kniahini Wilhelminy, ta nie miała potrzeby pokrywać swoich uczuć. Zawiesiła się u szyi swojego jedynaka, oblewając jego lica łzami radości. Witała go jako syna i jako zbawcę, a tak była przepełniona wzruszeniami, że nie umiała skleić porządných wyrazów, dla opisanja przed synem przygód téj zmuszonej podróży, i oświecić go po szczegółach o zdradzie, której gdyby nie on, obie padłyby ofiarą.

Wojewodzina, dla położenia końca téj scenie radości i czułości, która w jéj położeniu zanadto była dla niej drażliwą, oświadczyła chęć przybliżenia się do pogorzelska, ażeby wynagrodzić tych pocziwych wieśniaków, co ratunek przynosili z narażeniem życia. Nie mając innych narzędzi, tylko siekiery i wiadra, zdołali opanować nakoniec pożar; tak, że oprócz dachu, który ze wszystkiém zgorzał, szkoda była mniejsza niż się spodziewano, gdyż można było zaręczyć, że ściany w całości pozostaną.

Gaskold nie śmiał podać ręki wojewodzinie; ta się oparła na ra-

mieniu jego matki, i obie przeszły te niewiele kroków, które przedziały karę od austeryi, a Gaskold za niemi szedł zamyślony, aż nakoniec tak utonął w swoich marzeniach, że zapomniał o wszystkiém, co było w świecie rzeczywistym. Przeniesiony w inny świat, nie mu z tego, w którym tyle przeciwności doświadczał, nie pozostawało, tylko że jeszcze raz widział Eleonorę; więcej piękną, więcej boską, niż była kiedykolwiek, a której kiedyś serce było jego własnością. Zwiśsił ocieżałą głowę, oparł się o lipę roztaczającą swoje konary blisko austeryi, i stał jakby skamieniały, nie mogąc najmniejszej uwagi przyłożyć do sceny, która pod jego okiem się odbywała.

Ale za to Dawid Odyniec zdawał się mnożyć siebie, tak był czynnym. Jakośmy już mogli go poznać w ciągu tój powieści, był to młodzieniec szlachetny i dowcipny, waleczny, czuły, ale lekkomyślny. Każda rzecz na nim sprawiała wrażenie, zanadto skore, aby miało być długotrwałe. Nowe wrażenie w jednej chwili zacierало poprzednie. Wierny w przyjaźni, pomimo swój burzliwości, wiele znosił od tych do których był przywiązany, a że słabość charakteru zwykle towarzyszy gwałtownemu ułożeniu, z łatwością dawał się im powodować. Obył głębokim namiętnościom, serce jego nie umiało się wznieść nad przelotne miłości; zapalało się widokiem pierwszej nieszpętnej twarzyczki którą spotykał, ale zaledwo znikala z przed jego oczu, zaraz o niej zapominał, i nowym wzruszeniom się oddawał, niemniej gwałtownym, niemniej przelotnym od pierwszych. Z głębokiego na pozór smutku, raptownie przechodził do hałaśliwej wesołości. Zawsze pod wpływem nieumiarkowanym obecnego uczucia, nigdy o przyszłości nie myślał; ztąd o ile z łatwością oddawał wszystko co miał, pierwszemu potrzebnemu, który się udawał do niego po wsparcie, o tyle był trudnym do uiszczenia się z długu, który zaciągnął. Wszystkie te jego przymioty, a nawet wady, nadawały wielką przyjemność jego obcowaniu; to też wszyscy go lubili, nie tylko księstwo marszałkowskie, którym był oddany w opiekę, i wodzowie, pod których rozkazami dobijał się sławy, ale i koledzy, chociaż im dokuczał swawolą, a zwłaszcza jego podwładni, bo lubo od nich wymagał poświęcenia, na wstępie umiał ich przekonać, że więcej dba o nich, niż o siebie samego.

Właśnie wtenczas był w paroksyzmie wesołości do najwyższego stopnia podniesionój, a to z powodu, że się przekonał, iż Jakóbczak, którego stratę już opłakiwał, nie był zabity a tylko ranny; wprawdzie boleśnie, ale wcale nie niebezpiecznie. Rozebnanego położył na dobrze wymoszczonym wózku przybyłego na pożar jakiegoś szlachcica, który rad nierad musiał na to zezwolić, a upewniwszy się, że żyć będzie, już był obojętnym na jego jęki. Dla jego pocieszenia na to tylko się zdobył, że mu powiedział:

— Jaka z ciebie baba, Jakóbczaku! wstydzilibys się tak piszczyć! Kiedy wojak zabity, albo kona, wolno mu nosa na kwintę spuścić, ale rana, i to taka, z której za dni kilka wylizać się można, to marcepan żołnierski; ot! nie oburzałbys Pana Boga i cichobys leżał. Zaraz mi się roześmięj, abym przecież widział, że rycerz Lizdejko dał mi człowieka a nie prosiaka. — Posłuszny Jakóbczak, chociaż cierpiał jak potępieniec, roześmiał się i zaprzestał jęczeć. Tacy to byli nasi w owych czasach.

Już tedy ciężar spadł z głowy Odyńcowi i dopiero się opatrzył, że się nie przywitał z córką tego, którego był klientem i sługą. Przybliżył się do niej i ukląkł przepraszając, że dotąd nie złożył jój hołdu swojego uszanowania; Wojewodzina zaraz go poznała, przyjęła go jako przyjaciela od dzieciństwa, podała mu rękę, dziękując mu z największą czułością za obronę, jaką z narażeniem życia w tak nierównej walce jój przyniósł; dodając, że z nieograniczoną ufnością powierza się jego opiece w doprowadzeniu jój do rodziców, i że wraz z niemi powtórnie mu podziękuje w Warszawie. Tyle mu do tego przydała tych wyrazów obowiązujących, których szafarstwo wyłącznym jest udziałem naszych niewiast, że pan Dawid był w zachwyceniu.

Tymczasem pan podstarosta skończył swoją obdukcję; pokazało się, że w tój zażartej bitwie dwóch tylko przeniosło się do wieczności, ale było kilku rannych. Nawet Zawalidroga już stał na nogach, gdyż uderzenie, jakie był dostał od Gaskolda, tyle tylko że go przygłuszyło i skrwawiło, a niebezpiecznego szwanku mu nie przyniosło. Zadrzała Eleonora na widok tego, który przemocą i zuchwalstwem tyle strachu jój nabawił, ale jój czułe serce górę wzięło nad wstrętem, kiedy ujrzała go z obwiązaną głową, zakrwawionego, upadającego jój do nóg, dla ubłagania jój litości, a bynajmniej nie usiłującego zasłonić swojej winy kosztem swojego pana. Wspaniałe jój serce było najszlachetniejszym, najwymowniejszym obrońcą Zawalidrogi. Sama go wytlómaczyła przed sobą, nie mogąc odmówić jakiegoś szacunku dla służki, żadnymi względami nie wstrzymanego, kiedy mu chodziło o spełnienie rozkazów swojego pana, a który nawet dla ocalenia siebie na niego winy swojej nie chciał składać. Podziwiała jego wierność, i chętnie mu przebaczyła swoją krzywdę, komu innemu, a nie jemu ją przypisując, a nie poprzestając na tém, upewniła go, że żadnego starania nie zaniedba, aby go zasłonić przed gniewem i zemstą księcia ojca.

Tymczasem pan podstarosta ze swojej strony pokoju nie dawał wojewodzinie swojemi oświadczeniami dla niej samój i dla jój dostojnych rodziców. W tym napływie jego wyrazów, zawsze jedno i jedno wypływało, że jest sługą jój domu, że zaszczyca się łaską księcia marszałka, najpierwszego obywatela, najznakomitszego wojownika całej

rzeczypospolitój, i że chwila, w której może się przysłużyć jego krwi, jest najzaszczytniejsza w jego żywocie, a droższą nad jego urząd, i nawet ledwo że nie droższą od jego starożytnego klejnotu herbowego. Wojewodzina jak mogła usiłowała mu oddać dobre za nadobne, aż widząc że szlachcic nie kończy, przypomniała mu nareszcie, że już rozwidniało, a zatem go prosi aby przyspieszył jój powrót do Warszawy, i raczył obmyślić środek, którymby ją najrychlej mógł wyprawić do stroskanych rodziców.

Szanowny podstarosta otrzymał od uczynnej szlachty dwa wózki, bo Jakóbczak za staraniem Odyńca już miał trzeci na którym leżał. Na tych dwóch wózkach położył kazał kozaków rannych, i samego Zawalidrogę, a nie zważając na wstawienie się dobrej wojewodziny, kazał go związać. Przekładał jój przy gęstych ukłonach, że życie swoje gotów jój poświęcić, ale że prawa krajowego naruszyć nie jest mocen, a że stosownie do niego herszt hultajów, rozbijających na publicznym gościńcu, a schwytany na gorącym uczynku, nie może być dostawiony z wygodami jak jeniec wojenny, ale musi być skępowany jak złoczyńca, i dostawiony do jurysdykcyi, której będąc podstarostą przewodniczy, a która nie omieszka zastosować mu karę statutami przeznaczoną na podobnych zbrodniarzy. I to mówiąc, przyłożył ręce do gardła, dając do poznania, jakiej natury jest ta kara.

Swoją własną brykę kazał zatoczyć przed wojewodzinę. Była ona wygodniejszą i szerszą od tych wszystkich wozów szlacheckich. Tu nastąpił nowy wylew słów przepaszających za tak niegodny jój dostojności ekwipaż. Nakoniec pozwolił damom usiąść, a sam, choć szósty krzyżyk na nim był karbowany, rześko skoczył na konia Jakóbczaka, i zażyciem onego nie zaniedbał popisać się przed niemi. Wyruszyła więc karawana: wózki z Zawalidrogą i ranionemi naprzód, bryka z damami za niemi, a podstarosta, Gaskold i Odyniec na koniu. Wszyscy trzej asystowali bryce; pierwszy jednak ciągle baczyl na wózki, jakby w obawie, aby który z nich nie uciekł.

ROZDZIAŁ XXX.

W ciągu téj podróży kolejno pan podstarosta i pan Dawid przybliżali się do bryki, aby rozmawiać z piękną wojewodziną. Pierwszy ją bez przestanku przepaszał, że nie mógł jój służyć pojazdem stosowniejszym do jój godności, i prosił ją, by go z tego względu usprawiedliwiła przed księciem marszałkiem, a drugi ją bawił opowiada-

niem swoich przygód, odkąd z rozkazu księcia opuścił był Birze. Gaskold za bryką postępował; a co niemało zadziwiło jego matkę, ani razu nie posunął się, chociażby tylko dla przypomnienia, że i on przecie do ich glejtu należy. Nie mogła pojąć podobnej obojętności od syna, który jój zawsze okazywał najtkliwsze przywiązanie, a od tak dawna z nią się nie widział; ale Eleonora aż nadto dobrze rozumiała powody tej pozornój obojętności.

Od kilku godzin podróżowali. Słońce, znacznie już podniesione na widokregu, ogrzewało poranek; całe przyrodzenie przybrało było świetniejszą barwę, a wieżycy kościoła świętego Krzyża, jak punkcik zaczęła się rysować w powietrzu. Zadrgnęły radością serca obojga dam, kiedy pan podstarosta pierwszy zwrócił na to ich uwagę, wskazując im zbliżający się cel ich podróży; a pan Dawid zaledwo spostrzegł tę wieżycę, skłonił się przed wojewodziną na znak pożegnania, ścisnął rumaka ostrogami i z miejsca ruszył, co koń mógł wyskoczyć, ku Warszawie, ażeby oznajmić księztwu marszałkowstwu rychły powrót ich dziecka w rodzicielskie objęcia.

Koń pana Dawida, dziecię dolin Siedmiogrodu, nosił kiedyś na swoim grzbiecie księcia Rakoczego. Niepozorny dla oka, trzeba było go doświadczyć, aby się przekonać o jego przymiotach. Kiedy książę Jerzy Lubomirski ze swoim bitném rycerstwem odpłacał temu łupieżcy na jego własnej ziemi krzywdy, które przez kilka lat wyrządzał Małopolskim obywatelom, przy podziale łupów zdobytych na tym wiarołomnym książęciu, ten koń dostał się rycerzowi Lizdejce, który później obdarzył nim Odyńca. Wartkość, a zwłaszcza wytrwałość tego konia były nadzwyczajne; i niktby się nie domyślił, patrząc na lekkość, z jaką unosił ciężko uzbrojonego rycerza, że dopiero odbył kilkogodzinną walkę.

Rycerz okryty kurzawą, wstrzymał rumaka zlanego potem przed wartą pałacu Radziwiłłowskiego, której w dniu tym przewodził do brze mu znany dworzanin Hieronim Korbut. Pan Dawid skoczył z konia, przystąpił do dowódcy warty, i zaledwo do niego przemówił, natychmiast został poznany. Pan Hieronim rad był rozmówić się z kolegą po długim rozstaniu się, ale ten mu oświadczył, że na późniejszy czas to musi odłożyć, gdyż śpieszy do księcia pana z najważniejszą do niego ekspedycją: tyle tylko, że go zawiadomił, iż przed upłynieniem godziny będzie oglądał powracającą do rodziców wojewodzinę Witebską, a pomimo skwapliwości, z jaką pragnął stawić się przed księciem panem, nie zapomniał prosić kolegi, aby rozkazał żołnierzowi przeprowadzać ledwo dychającego konia, noga za nogą, aż do jego powrotu, i nie wyruszył aż po daniu przez siebie instrukcyi żołnierzowi.

Tak tedy opatrzywszy swojego konia, poszedł na dziedziniec i za-

stał przechadzającego się po nim księcia, w towarzystwie pana Jerzego Grabowskiego, z którym zdawał się rozmawiać w największym poruszeniu. Staął przed księciem i nisko przed nim się skłonił, trzymając pismo w ręku. Książę się zatrzymał, i z roztargnieniem powiedział:

— Co waś nam przynosisz?

Ale wpatrzywszy się w niego, z nieco wypogadzającym się czołem odezwał się:

— A, to waszmość, mości panie Dawidzie? a co słyhać na świecie?

— Zaczynam od najważniejszego, książę panie: oto, że tylko co nie widać JW. wojewodziny Witebskiej, a o reszcie ten list oświeci waszą książęcą mość.

— Panie Jerzy — rzekł książę zupełnie wypogodzony do Grabowskiego — ruszaj-że waszmość jak najspieszniej z tą dobrą wiadomością do księżny, i powiedz jej, że jak się tylko ułatwię cokolwiek, przybędę do niej, aby po szczegółach jej opowiedzieć. Nie zapomnij jej dodać, że Odyńcie do nas powrócił.

Pan Grabowski wydał się z pośpiechem. A książę sam na sam zostawszy z panem Dawidem, przyjął list, i pocichu zaczął go odczytywać. Czasem przerywał czytanie i odzywał się: — Poczciwy Olbracht! Nieodrodny potomek Radziwiłłowskiego domu! Zostawiając takiego syna dla kraju, mogę umierać spokojnie. — A skończywszy czytanie, rzekł do Odyńca: — ten chłopiec niemało mi narobił niepokojów, bo ja od dawna wiedziałem, kim jest rycerz Lizdejko. Ale musiałem tacić to z wielu względów, a zwłaszcza, żeby księżna tego się nie domyśliła, bo gdyby była wpadła na myśl, że jej jedynak co chwila jest w niebezpieczeństwie, takowego pocisku możeby nie wytrzymała. Dotykało mnie do żywego, że syn nie podziela przekonania ojca, i że chwycił się przeciwnego jemu stronnictwa; a teraz się cieszę, że lepiej odemnie przewidział następstwa tej wojny domowej. Ach, jakżebym rad go uściskać! I na to nie długo będę czekać. Zamawiam sobie, byś przed księżną opowiadał po szczegółach czyny jego rycerskie. Wszak zdaje mi się, że byłeś przy nim, kiedy pod Potuszą takię kaszy nawarzył Szwedom. Wojnę uważam za skończoną, a więc księżna z przyjemnością będzie słuchała relacji popisów synowskich, gdyż te krwawe przygody już się nie odnowią. Wszystko się tuli do łona (tu zdjął czapkę) Najjaśniejszego Jana Kazimierza, prawego króla Polaków i Szwedów, a naszego najmiłościwszego pana. Co było, król zapomniał, i my winniśmy za jego przykładem o tém zapomnieć. Ja i moi jesteśmy wierni poddani i słudzy króla jegomości, i żał, że kiedykolwiek być nim przestałem, jest jedynem smutnym uczuciem, które z tych kilku lat obłąkania we mnie pozostało. Ale o tém później po-

mówimy. Co było z nią? w jakim jest stanie myśli? przez co ona przechodziła w téj dobie tak dla niej i dla nas nieszczęśliwej?

— A cóż, księżę panie! Zgrzeszyłbym gdybym prawdę w bawelnę obwijał dla jakichś tam względów. Książę Daniel Dorohostajski wysłał do Warszawy swoich siepaczy, aby na wypadek niezezwolenia JW. wojewodziny na opuszczenie swoich dostojnych rodziców, i połączenie się z JW. małżonkiem, użyli chociażby gwałtu. Tak się też stało. Trudno sługom nie dopełnić pańskiego rozkazu. Jakoż go i dopełnili. Porwali wojewodzinę, wnieśli ją do przygotowanej na to karety, i dalej ze swoją zdobyczą. Jedno, że Bóg zawsze opiekujący się krwią waszój księżęcej mości, nie dopuścił im spełnić miary nieprawości; ós od karety pękła w pierwszej dobie rozbójniczej podróży. Trzeba było koniecznie się zatrzymać, i nową osią się opatrzeć. Było to przy karczynie murowanej, gdzie gospodarz Niemiec, jak się okazało, był w ścisłych stosunkach z Zawalidrogą, kozakiem ulubieńcem kniazia, a dowódczą téj wyprawy. Ale mu szyki się pomięszały; trzeba było takiego wydarzenia, że właśnie będąc wyprawionym z panem Gaskoldem, alias JW. kniazim Wojciechem Dorohostajskim, z obozu królewskiego do waszój księżęcej mości, z jednym tylko luzakiem, nocowaliśmy w téjże samej karczynie. Stukania nas obudziły; a po kilku słowach, które z po-za karczmy obiły się o nasze uszy, poznaliśmy, że to był gwałt. Nie wchodząc, komu był wyrządzony, uzbroiliśmy się, i piorunem stanęli na koniach we wszelkiej gotowości, ażeby nie dopuścić bezprawia. Wyruszamy z karczmy; pytamy tego co stukał do okna gospodarza: co to jest? Ten odpowiedział nieprzyzwoicie; a jak się później okazało, był to sam Zawalidroga. Przyszedł do takiej zuchwałości, że chwycił za cugle konia naszego Gaskolda, by go nie wypuścić z karczmy. Ale ten rękonością od szabli między oczami dał mu takie ad intendum, że kozak krwią zlanym padł o ziemię jak długi.

Tu przerwało panu Odyńcowi przybycie księżnej marszałkowej, która wybiegła na dziedziniec zamkowy, oparta na panu Grabowskim. Czułość macierzyńska wzięła górę nad powagą pani z panującego rodu. Rzuciła się na szyję Odyńca uniesiona wdzięcznością, że im przynosi tak pomyślne nowiny, iż ujrzą wkrótce córkę, a nawet niezadługo syna, którego oddalenie od lat kilku ciągle opłakiwała. Można się domyślić, jaka to była scena rzewna, ile było zapytań zwłaszcza o Olbrachcie; rada była dowiedzieć się po szczegółach o bohaterских czynach tego świetnego młodzieńca, nawet jak wygląda? czy zmężniał? czy znoje rycerskie nie nadwężyły mu zdrowia? czy ciągle wystawiony bądź na skwarne promienie letniego słońca, bądź na zamrożone powietrze nielitościwej zimy, nie stracił białej

świeżości lica? i czy płeć ogorzała nie oszpeciła nieporównanego wyrazu jego twarzy?

Pan Dawid jak mógł uspakajał jój ciekawość. Jeszcze nie skończył jednego, a już trzeba mu było na drugie odpowiadać. Książę cierpliwie przetrwał pierwsze wybuchy téj czułości macierzyńskiej, chociaż długotrwałe, ale nakoniec odezwał się: — Mości księżno! z jójmością do ładu nie przyjdziem. Przerwałaś panu Dawidowi w najważniejszym miejscu jego opowiadania, a natłok twoich zapytań tak wziął go w obroty, jak charty zająca. Rady dać sobie nie może; uspokój się imość, on a capite powtórzy to co już mnie powiedział, a resztę razem dosłuchamy; a że on jest na jój zawołanie, a więc jak się tu sprawi, będzie pora przywołać go do siebie, żeby aż do najdrobniejszych szczegółów zadość uczynił jój ciekawości.

Te słowa małżonka, którego czeiła jakby jakie bóstwo, były dostateczne do wywołania z jój strony milczenia. Pan Dawid musiał tedy powtórzyć to, co dopiero powiedział księżciu, i temi słowy dalej postąpił w sprawozdaniu:

— Już tedy o jednego zmniejszyła się była ilość tych, z którymi gotowaliśmy się ucieszyć; ale i tak było ich zanadto. Nas było trzech, gdyż nasz luzak Jakóbczak w zręczności i odwadze nam nie ustępował, tylko że jego zbroja nie była tak dobrego hartu jak nasze (to téż na nim się skupiło), a ich było dwunastu, liczba w bajkach poświęcona dla rozbójników. Oni otaczali karcogę na pół wywróconą. My do nich z językiem, a oni nas witają ogniem z samopałów. Nie ma gadania, trzeba przebojem dostać się do karety, by dowiedziéć się kto w niój siedzi. Wiele złego dwóch na jednego, a tu omal nie czterech. Cóż robić? kufel nalany, trzeba go wypróżnić.

Zaczyna się przepałka, jakiej cieplejszój nie doświadczyłem w całym moim zawodzie żołnierskim; bo trzeba oddać sprawiedliwość tym hultajom, że się dzielnie bili. Ja z pół tuzina kul dostałem w pancerz, jakby pięścią w piersi, że ledwo na kulbace się utrzymałem, ale pocziwe ogniwnka nie dały się przedziurawić, inaczej byłoby po mnie. I oni padali pod naszymi ciosy; radybyśmy im nie dali, bo już nam ręce omdlewać zaczynały; ale zapobiegliwość pana Gaskolda nas ocaliła; bo nim wyruszył z karczmy, zapalił siano złożone w stosie w sieni. Z razu nie mogłem zrozumieć, cui bono niewinnemu robić szkodę; ale potem poznałem o co chodziło. Jak się dach rozplamienił, wśród ciemnej nocy zrobił się dzień w około, że można czytać książkę; wkrótce téż zaczęli się zbiegać i zjeżdżać ludzie, a nawet szlachta z okolicy. Otóż i ratunek, kiedyśmy upadali na siłach; bo Jakóbczakowi, że się dostało, już tylko nas dwóch składało całkowite nasze wojsko. Niewiele téż i kozaków pozostało, a wszystko więcej, niż dwóch na jednego. Poszło nam na rękę przybycie narodu na po-

żar, bo jeden poczciwy obywatel, a jak się pokazało, podstarosta Warszawski, do nas przemówił po Bożemu, że my zaraz i bić się przestali. A kiedy nas o swojej godności nauczył, i w imieniu prawa rozkazał broń złożyć, a zdać się na jego rozsądek, my bez wahania spełnili jego rozkaz, ale tych kilku kozaków jeszcze pozostałych w całości, zaledwo posłyszeli o jurydyce sądowej, w nogi co koń mógł wyskoczyć. Bo wiadomo, że kozak brzydzi się sądem, jak szalony pies wodą. Odrzekli się i karety, nawet swoich zabitych czy rannych, i zniknęli nam z przed oczów. My też radzi, że się od nas odczepili; ani nam prawę głowę przeszło ich gonić.

Dopiero udaliśmy się do karocy z panem podstarostą. Jakież było nasze zadziwienie, kiedyśmy się dowiedzieli ze świadectwa własnych oczów, że w niej zamknięte były JWW. wojewodzina Witebska i kniahini Stefanowa Dorohostajska, matka naszego Gaskolda, które kozacy kniazia wojewody gwałtem wywozili z Warszawy do Dolska, coby się im udało, gdyby nie byli się natknęli na nas. Kniahini Stefanowa była jakby w raj, bo widziała przed sobą syna, z którym oddawna się była rozstała, a, który ją z największego nieszczęścia wybawił, bo jużci mogła być aż nadto pewna, że nie dla pieśzoty ją wieźli do szwagra. Ale JW. wojewodzina stała jak na szpilkach, tak ją koreciło, aby jak najspieszniej powrócić do JO. swoich rodziców: a tu trzeba było panu podstarościę zrobić prawną obdukeyę, i rozprządzić, aby zacne panie miały czém powrócić do Warszawy, gdyż pojazd, w którym przyjechały, na nie się nie przydał, a na to wszystko niemało wydało się czasu. Pan podstarosta obdukeyę zapisywał ołówkiem; karczma poszła z dymem tak, że nie nie wyratowano; gospodarstwo tylko duszę własną z niej wyniosło; to też żal było patrzeć na ich rozpacz. Zaledwo ich uspokoiłem trochę, przyrzekając, że wróci się im szkoda sowiecie, bo pan Gaskold kazał mi to im oświadczyć, a lubo wiem, że nie musi być przy pieniądzach, bo nigdy z wojny niczego dla siebie nie wyniósł, a do swojej ojcowizny trafić nie może, ale tak jest słownym, że ani wątpić, iż to co obiecał to i dotrzyma.

— Niech się o to kniaz Wojciech nie troszczy; jeszcze mnie jakoś wystarczy, aby biedakowi wynagrodzić szkodę jaką poniósł, a która przyczyniła się do wyrwania mojego dziecka z rąk tych niegodziwych oprawców. Da Bóg, że ten Niemiec z całkowitą swoją rodziną będzie błogosławił dzień, w którym ogień pochłonął cały jego majątek.

— Owóż tedy, książę panie, pokazało się z obdukeyi, że z tych dwunastu kozaków trzech było zabitych, a czterech rannych, jeden niebezpiecznie, a inni wyleczą się trochę poleżawszy; notabene między temi ich watażka, ów Zawalidroga, faworyt zawołany kniazia Daniela, jak najmniej szkodliwie. Tyle tylko, że mu łeb spuchł; zrobiło się

z niego istne straszdyło, ale na nogach stać może. A i my nie wyszli bez szkody; nasz Jakóbczak taki strzał dostał, że długo przecierpi, nim się na coś przyda naszym.

Wszystko to na prędce opatrzone i położono na wózkach, cośmy je dostali z łaski braci szlachty, zbieglój na ten pożar. I lada chwila wasza książęca mość ich obaczysz, wlokących się przed pojazdem JW. wojewodziny. Bo pan podstarosta jój oddał swoją brykę, zwyczajnie szlachecką, nieodpowiednią wysokiemu stanowi tych pań, a raczjéj wychowaniu, jakie przyjęła JW. wojewodzina, ale nie było w czém wybierać. Panie wyruszyły więc za rannemi, w bryce pana podstarosty; bo ten tak rozporządził, żeby ciągle mieć na oku tych, których dostawiał do swojego grodu, w którym jak zasiądzie, ma im podziękować po swojemu za to, co nabroili. Przynajmniej tak dał się z tém słyszeć. A z niego człowiek zacny, bo jak tylko się dowiedział, że my do dworu waszjéj książęcej mości należymy, szable, cośmy jemu oddali na jego rozkaz, zaraz nam zwrócone zostały.

Toczyły się koła noga za nogą, jakby garnki wozily na kiermasz. Raz, żeby JW. wojewodzina się nie strzęsła, powtóre, przez wzgląd na rannych, bo śpiesząc, możebyśmy już żywych nie dowieźli. Może kto powie, że nie było czego żałować tych hultai, ale kiedy bo i nasz Jakóbczak był z niemi; wreszcie pan podstarosta nie życzył sobie, żeby na wozach kończyli życie, bo im co innego przeznacza. Posuwałem się wraz z innemi zółwim krokiem, ale zaledwo wieżyczki Ś-go Krzyża dały się spostrzedz, myślę sobie: — To darmo! popędzę mojego wierzchowca co tchu, chociażby miał i ducha wyzioną, jak mnie dostawi na dziedziniec Radziwiłłowskiego pałacu. A koń niemałjéj musi być wartości, kiedy dźwigał na swoim grzbiecie i panującego księcia Siedmiogrodu, i nie ustępującego panującym księcia Olbrachta Radziwiłła, generała artylleryi Litewskijéj. To przecie jego łaska! Gdzież mnie chudemu pachółkowi zdobyć się na takiego konia? Wiedziałem, że w takiej niespokojności, w jakiej JO. państwo byli, każda chwila była godziną, a więc powiedziałem sobie: niech koń przepadnie, byle przyspieszyć chwilę ich uspokojenia. I jak ścisnąłem szkapę ostrogami, anim się spostrzegł, jak stanąłem przed bramą pałacu; ale prawda, że ledwo dyszę. Jeszczem nie był domówił ostatnich słów swojéj relacyi, a już księżna i pani starościna Mozyrska nadbiegły, żeby się dowiedzieć o córce i przyjaciółce.

Księżna marszałkowa i pani starościna, po tém nagłym przejściu ze smutku do radości, ledwo że były sobie przytomne; książę jeden umiał przytłumić powierzchowne oznaki uczuć, jakich może niemniej od nich doświadczał. Bo jako mąż stanu i wojny był wzwyczajony do władania nad sobą. Tyle tylko, że się odezwał do pana Jerzego Grabowskiego: — Jakiz to barbarzyniec z tego wojewody Witebskiego!

Wykradać żonę z domu jej ojca, kiedy mu ją sam powierzył, to przechodzi pojęcie. Waszmości najlepiej wiadomo, że ani się spodziewałem mieć listu od syna, kiedy posłałem moją submisję Najjaśniejszemu Panu, zdając się na jego wolę, jakakolwiekby nie była. Bo nie przystoi poddanemu warunki podawać swojemu panu. Tyle tylko, że odważyłem się kołatać do jego miłosierdzia za tym, który na moje nieszczęście jest jeszcze moim zięciem. A on właśnie wtedy wyrządził mi taką krzywdę! — To wyrzekł na pozór spokojnie, ale dworzanie zauważyli, że jego źrenice dumą i gniewem zakipiały. Umilkł, i wszyscy, nawet kobiety, nie śmieli przerwać milczenia. Trwało to przez kilka chwil. Nakoniec książę, obróciwszy się do dam, rzekł: — No, mościa księżno i waszmość pani starościno, czegoż mamy się błąkać po dziedzińcu? Za godzinę, i to daj Boże, chyba przybędzie Elcia, a więc zyczyłbym państwu wrócić do swoich komnat, i będą wysłani tacy, którzy nam dadzą wiedzieć, jak tylko tabor zbliży się do Krakowskiego-Przedmieścia. Ja proszę z sobą pana Jerzego i pana Dawida do mojego gabinetu; mamy w nim czém się zająć do przyjazdu pani wojewodziny.

Oparty zawsze na panu Grabowskim, książę udał się ku wschodom prowadzącym do jego gabinetu. Pan Dawid rad był dowiedzieć się o swoim koniu, ale trzeba mu było iść za księciem, ile że mu miał dać sprawozdanie z wszystkiego tego co widział, i co doświadczał od chwili, w której wyprawionym został. Rad nierad musiał się wstrzymać od opatrzenia swojego konia, jakkolwiek to go korciło. Tyle tylko, że śpiesznie polecił panu Maciejowi Mogielnickiemu, którego spotkał na dziedzińcu, w imię przyjaźni i koleżeństwa, żeby raczył go zastąpić, i chociaż mógł się na niego spuścić, jednak idąc za księciem ciągle oglądał się za sobą, jakby wzrokiem naglił pana Mogielnickiego, żeby pośpieszał ku warcie pałacowej, gdzie jego konia przeprowadzano. Co się tyczy księżnej i starościny, nicby ich przekonać nie zdołało, żeby wróciły do swoich komnat i tam czekały powrotu drogiej córki, ulubionej przyjaciółki. Niecierpliwość starościny jeszcze więcej niż księżnej okazywała się przed przytomnemi. Zdawało się jej, że dopuścić, by kto inny powitaniem swoim ją uprzedził, byłoby występkiem, i namówiła księżnę, żeby z nią poszła na jej spotkanie.

Kiedy te szanowne białogłowy rozpoczynały swoją pielgrzymkę, roztropny koniuszy wyprawiał za niemi pojazdy, jeden dla nichże samych, który za niemi miał iść powolnym krokiem, drugi, któremu zalecił ile możności pośpiechu, żeby jak najrychlej spotkał panią wojewodzinę i ją przywiózł do Warszawy.

Podczas tych rozporządzeń, książę już spokojny o córkę, rozmawiał z panem Jerzym Grabowskim i Dawidem Odyńcem o rzeczach nie już jego rodziny, ale całego kraju tyczących się. Czyny księcia Olbrach-

ta tak wpływały na jego dolę, tak szczelnie były z nią spojone, że pan Dawid w długiemi, bo szczegółowem sprawozdaniu tego wszystkiego, czego był sam świadkiem, przez niemało czasu, czego się dowiedział z opowiadania nowych swoich kolegów, był zmuszony ciągle wspominać o rycerzu Lizdejce. Wszystko to pochlebiało rodzicielskiemu sercu księcia, a razem utwierdzało w nim przekonanie, że to jego zdanie się bezwarunkowe na wolę królewską jemu szkody nie przyniesie, ile że list syna go upewnił o łaskawem usposobieniu króla do Radziwiłłowskiego domu, i statecznej przyjaźni, jaką mu dochowują magnaci króla otaczający, a posiadający jego nieograniczone zaufanie.

Jednak, jakkolwiek był pocieszony tém wszystkiem, co mu opowiedział pan Odyniec o jego synie, nie mógł zapomnieć, że ma jeszcze drugie dziecko, którego los czarną powłoką jest okryty. I kiedy pan Dawid przestał mówić, westchnął głęboko i powiedział: — Wszystko dobrze; król mi powrócił swoją łaskę, lubo nie wykroczyłem przeciwko prawidłom honoru nawet w postępku moim ze Szwedami. Z łatwością mogłem rozbroić tych, co tu zostawali pod mojami rozkazami, i tém przysłużyć się królowi, ale mój ród nigdy się nie splamił zdradą.

Wczoraj oświadczyłem generałowi Szwedzkiemu z otwartością mnie zwyczajną moje zamiary i dalszy sobą kierunek; powiedziałem mu: — Mości panie, już między nami nie ma nic wspólnego; jestem teraz waszym nieprzyjacielem, jak i mój król, któremu odtąd chcę być posłusznym, a któregoście wy naszli. Ale że się brzydę wszelkim postępkem, pozwałam wam swobodnie opuścić Warszawę z bronią i tém wszystkiem, co jest waszą własnością. Zostawiam wam dwadzieścia cztery godzin do oczyszczenia miasta z waszój przytomności. Ruszajcie waszmość jak najspieszniej, bo po upłynieniu tego czasu każdy Szwed, który tu pozostanie, będzie jeńcem wojennym. Wychodźcie z miasta jak najspieszniej, a gdzie dają rozkazy, tam nikt waszego pochodu nie utrudzi.

Opuścił miasto generał, przejęty wdzięcznością dla mnie, zwłaszcza kiedy się przekonał, że mieszczaństwo Warszawy, na którego przychylność rachował, zabierało się rzucić na jego Szwedów, czego ja nie dopuściłem. Mój syn, nieodrodny potomek swoich przodków, nowe zaszczyty naszemu domowi przynosi.

Wszystko się dla nas klei; tylko wojewodzina, moja córka, zawsze nieszczęśliwa.

— W tym względzie, wasza książęca mość możesz być spokojnym. My służyć nie jesteśmy przypuszczeni do słuchania tego wszystkiego, co pany mówią, a cóż dopióro królowi, a jednak i o nasze uszy coś z tego się objiła. Wiem, że król jegomość dał się słyszeć, że nie jest dalekim od przebaczenia kniaziewi wojewodzie Witebskiemu, wszakże nie bez jakichś warunków; a jeżeli wojewoda je odrzuci, sobie same-

mu niech przypisze wszelkie następstwa swojego nieposłuszeństwa. A jasnie oświecony książę generał artylleryi Litewskiéj z tém się wymówił przede mną, że pierwszym warunkiem jego pojednania się z królem jest zezwolenie na rozwód z wojewodzina, a drugim, wymiar sprawiedliwości dla jego synowca. To wszystko wkrótce wyklarować się musi; dziś jutro przybędzie król do Warszawy za sprawą już jemu posłusznego księcia pana, a do niéj nie tai swojej tęsknoty. Na to głowę moją daję, że jak tylko otrzyma submissyę księcia pana, wszystko wyprzedzi, żeby jak najspieszniéj dostać się do swojej stolicy, a towarzyszem téj jego podróży będzie książę Olbracht, który stoi na najwyższym szczeblu jego łaski. On waszą księżącą mość objaśni dokładnie o tém, o co tylko potrącam.

— Bóg wielki! Niech się stanie to wszystko, co chce i jak chce. Róbmy co możemy, a na niego złożmy staranie. Z niecierpliwością wyglądam króla; ku niemu wznosi się moje serce. W téj dobie musiał już odebrać najpoddanejsze pismo moje, a jednak wyznaję, że nie bez jakiegoś uczucia bojaźni stanę przed jego majestatem, bo czuję, ile przeciwko niemu przewiniłem.

— Książę panie — rzekł na to pan Jerzy Grabowski — jeżeli my zgrzeszyli, cały nasz naród z nami pospołu zgrzeszył. Nie my pierwsi odstąpili króla naszego. Wszakże pan hetman Gąsiewski przed nami złączył się ze Szwedami, a król, przypuszczając go znowu do dawnéj łaski, tego mu nie wymówił, i taką samą pokłada w nim ufność, jaką miał przed napadem nieprzyjaciół, jak gdyby zapomniał, że hetman z wojskiem królewskiém przeszedł był na stronę przeciwną, a tém zmusił nas myśleć o sobie.

— Co więcéj — odezwał się pan Dawid — słyszałem na własne uszy, jak król jegomość za stołem, do którego i ja chudy pacholek byłem przypuszczony w Brześciu, powiedział: że gdyby był na miejscu księcia marszałka Litewskiego, nie inaczej od niego byłby postąpił, gdyż wszystko już było stracone. A ojczyźnie służyć trzeba, w czyjekolwiekby ręce z woli Opatrzności popadła.

— Dobry, wyrozumiały pan! — odrzekł książę. Tu mu prze-rwało przybycie marszałka dworu, znajomego nam pana Pacyny.

— Jasnie oświecony panie — odezwał się — JW. wojewodzina już jest na dziedzińcu.

Na te słowa książę o wszystkiém zdawał się zapominać. Minister, naczelnik stronnictwa, zniknął, a tylko czuły ojciec pozostał. Pośpiesznie opuścił komnatę, i przez wschody spuścił się na dziedziniec dla przyjęcia córki. Skoro pani wojewodzina spostrzegła księcia, wybiegła do niego i padła mu do nóg.

Książę ją podniósł, wziął ją w swoje objęcia, i nie mógł jéj powiedzieć, a tylko wymownymi łzami jéj lica zrosił. I dopiero wy-

szedł z rozrzewnienia, kiedy pan podstarosta przystąpił do niego, żeby mu zdać sprawę z tego wszystkiego, czego był widzem i aktorem.

— Jaśnie oświecony panie — rzekł — oto są winowajcy, którzy się ośmielili targnąć na bezpieczeństwo JW. wojewodziny, córki waszjej książęcej mości. Ztąd każę ich dostawić do wieży grodzkiej, a z niej wyjdą, żeby przewietrzyć się na postronku.

— Dziękuję waszmości za gorliwość, z jaką raczyłeś się zająć moją córką, ale nie ma potrzeby tych nędzarzy odsłać do grodu. Ja sam nimi rozporządzić potrafię.

— Jeszcze i owszem, książę panie. W grodzie kilka dni przejdzie, nim się ich los rozstrzygnie, a za rozkazem waszjej książęcej mości mogą być natychmiast powieszani.

Każda chwila, którą jeszcze przeżyją na tym świecie jest zgrozą; ciesz się, że to na co zasługują będzie im przyspieszone.

— Zostaw waszmość rozpatrzeć mojemu rozsądkowi, czy sługa i poddany wiernie spełniający zbrodniczy rozkaz swojego pana, zasługuje na karę, czyli na politowanie. — A kiedy mu przedstawiali tych więźniów, odwrócił ze wstrętem wzrok od Zawalidrogi, którego poznał, i rzekł do pana Pacyny: — Tych rannych natychmiast zanieść do szpitala pałacowego, a moim lekarzom nadwornym zalecić, żeby o nich mieli staranie. Między nimi jest żołnierz ze znaku mojego syna; ten w sprawie mojej córki został ranny, tego szczególnie polecam waszmości, zalecam opiekować się nim, tak jak gdyby do rodziny mojej należał; a co się tyczy tego nędzarza, który na nogach śmiało stoi, a który był tego hersztem, rozkazuję osadzić go w więzieniu zamkowym. W nim niech oczekuje swojego przeznaczenia. Zalecam, żeby na niczym mu nie zbywało, a tylko mieć w ciągłym baczeniu, żeby nie uciekł, a to dla łaski mojej.

Począłem obrócić się do towarzyszkii swojej córki, i najuniżeniej przed nią się skłoniwszy, rzekł do niej z całą kortezyą owych rycerskich czasów:

— Przebacz, dostojna kniahini, że jeszcze nie złożyłem jój moje go uszanowania, a razem, żeś z powodu mojej córki tyle ucierpiała. Miałem zaszczyt być w stosunkach przyjacielskich z jój małżonkiem kniazem Stefanem, a dla jój syna, tu stojącego kniazia Wojciecha, mam szczególne obowiązki wdzięczności od dnia wczorajszego. Bo już mi wiadomo, ile poniósł znoju i na jakie narażał się niebezpieczeństwa, przynosząc szlachetny ratunek dla mojej córki.

— Mości książę — odpowiedziała wdowa — nie z powodu córki waszjej książęcej mości, omal że nie zostałam ofiarą gwałtu i przemocy, gdyż pocisk niemniej na mnie, ile na nią był wymierzony. A jeżeli mój syn miał szczęście zasłużyć się jego domowi, tém jeszcze się nie wywiązał z obowiązków wdzięczności, jakie czuć winien dla tegoż

domu, i za wychowanie które w nim przyjął, i za tyle łask jakich doświadczył i od samego księcia, i od jego syna.

— Zawstydzasz mnie pani tém wspomnieniem. Osoba tak znaczna miała prawo czegoś więcej oczekiwać odemnie, nie to, co dla niej uczyniłem; to tylko mnie tłómaczy, że nie raczyłaś mi odkryć swojego nazwiska, a jednak, gdybym był zasłużył na więcej ufności z jój strony, wielu naszym wspólnym nieszczęściom byłoby się zapobiegło. Teraz pozostaje mi tylko prosić, byś raczyła rozkazywać w domu moim jak w swoim, a nas mieć za obowiązanych sobie. Oto jest moja żona, która już jest przygotowana być dla niej więcej niż siostrą, bo matka przyjaciela jój syna, a wybawcy jój córki, nie może dla niej być obcą.

Wilhelmina skłoniła się przed księżną, która ją wzięła w swoje objęcia, bo tak była rozrzewniona, że do niej przemówić nie mogła.

Księżę podał z uszanowaniem rękę kniahini, żeby ją wprowadzić do komnaty dla niej przeznaczonój, a księżna oparła się na ramieniu jój syna, dla którego przez długi czas była matką. Ona była przepelniona szczęściem, bo drogie dla niej przedmioty ją otaczały, a miała nadzieję ujrzeć wkrótce najdroższy z tych przedmiotów, chociażby tylko przez te łzy tęsknoty, jakie po nim wylała. Zaledwo wyszła z rozrzewnienia, a już tysiące pytań robiła Gaskoldowi o swoim Olbrachcie.

Nakoniec, przeszedłszy schody prowadzące do pokojów, nawet nie odprowadziła kniahini do komnaty dla niej przeznaczonój, ale porwała Gaskolda do swojej, żeby z nim nagadać się do woli.

ROZDZIAŁ XXXI.

Po całym mieście gruchnęła wiadomość, że młody książę Dorohostajski, który pod imieniem Gaskolda, wierny towarzysz broni równie jak i on młodego księcia Olbrachta Radziwiłła, tyle sławy z nim popołu uzyskał w obozach królewskich, znajduje się w pałacu Radziwiłłowskim; że po nierównej walce, udało mu się uwolnić, i przywieźć ojcu porwaną księżniczkę, i że, jak jutrzeuka zwiastuje rychłe przybycie słońca, tak i on wyprzedza przyjazd zwyciężkiego króla do stolicy. O niczym inném już nie mówiono w Warszawie.

Mieszczanie łaknęli oglądania króla, nie żeby byli do niego przywiązani, bo rzemieślnicy i handlarze, oddani korzyściom osobistym, jakkolwiek łatwi do poruszenia, statecznych przekonań politycznych mieć nie mogą, ale że byli ciekawi nowego widowiska dla nich, powrotu króla po tak długim wygnaniu, a każda odmiana polityczna, chociażby cały kraj o ubóstwo przyprowadziła, zawsze stolicy jakies

zyski przynosi. Każdy zwycięzca który ją zdobywa, w nią rozsiewa pieniądze, które mieszczanom się dostają.

Szwedzi przez lat kilka całą Polskę rabowali, nędza była rozpowszechniona po województwach, a Warszawa się tuczyła, bo większa część tych rabunków w jej sklepach i szynkach ugrzęzła. Szlachcie i ziemianin upada pod ciężarem nieszczęść swojego kraju, mieszczanin stolicy niemi się ówszem wzbogaca. I teraz zakładał sobie niemałe nadzieje na ucztach i rozlicznych wystawach, któremi króla przyjmować będą w Warszawie (*).

Wszakże zawiodła się Warszawa w swoich nadziejach, że patrzeć będzie na wjazd tryumfalny króla. Bo król, oględny na zubożenie szlachty, nie chciał jej narażać na nowe wydatki.

Submissya księcia Bogusława zastała króla w pochodzie z wojskiem do Warszawy. Tak pomyślny wypadek zniewolił go do najszybszego dostania się do stolicy, która z niekłamana żarliwością go oczekiwała. Poruczył więc wojsko hetmanom Potockiemu i Lubomirskiemu, a sam we dwa pojazdy jak najspieszniej udał się do Warszawy, by do niej przybyć niespodzianie.

Pierwszym pojazdem była poczwórna karetta, ofiarowana królowi przez posła cesarza Rzymskiego, który od roku był jego towarzyszem. W tyle zajął miejsce król, a obok niego poseł. Na przodzie siedli książę Olbracht, generał artylleryi Litewskiej, najbliższy jego serca, i Jan Krasieński podskarbi Koronny, który będąc razem starostą Warszawskim, jako gospodarz dopomniął się o zaszczyt przyjęcia króla w jego stolicy; drugi pojazd był tak nazwaną skarbnicą, w niej były sprzęty niezbędne dla króla podróżującego i jego towarzyszków. Była opatrzona w dwa koziołki, jeden dla szatnego królewskiego i jego nadwornego lekarza, na drugim siedział woźnica, a obok niego znany nam Jos Dreczkier.

Zadziwi zapewne czytelnika, że ten żyd, dopiero związany z nieprzyjaciółmi króla i rzeczypospolitój, tak głęboko był usadowiony w jego względach, że z poufnemi króla miał udział w jego podróży. Stan ówczesny tę tajemnicę tłómaczy.

Kilkoletnia wojna, rabunki i pożogi Szwedzkie, Tatarskie, chłopstwa Ukraińskiego i Siedmiogrodzian Rakoczego, niemniej rodaków

(*) Kto posiada cały swój majątek w ziemi, ten bojąc się trzęsienia ziemi, musi koniecznie być konserwatorem. Przemysłnik nie ma powodu lękania się powietrza, głodu, ognia i wojny, bo każda z tych klęsk czysty zarobek przynieść mu może. Biada narodowi, którego rząd zostaje pod wpływem przemysłowców, a prosię uważać, że proletaryusz wchodzi do ich kategorii. Jest to jedna z anomalii wieku postępowego, żeby ten, który nie posiada żadnej własności, mógł rozkazywać właścicielom.

obudwóch stronnictw, tak były wyniszczyły wszelkie zasoby, że gotowy pieniądź omal że nie zupełnie zniknął z kraju. Jeżeli był jaki handel, ten się ułatwiał jedynie zamianą produktów, bez pośrednictwa kruszcu, którego nie było. Śladu nie pozostawało tych sreber stołowych, tych bogatych rzędów, w jakie jeszcze niedawno obfitowały pańskie domy. Wszystko, nawet srebra kościołów, pochłonięte zostało. Najwięksi, najmężniejsi panowie, posiadacze niezmiernych włości, nie tylko niedostatek, ale nędzę cierpieli. Gotowy grosz był tak drogi, że książę Lubomirski za lichą kwotę stu złotych polskich jedną wieś wypuścił w zastaw. Jeszcze panowie Litewscy jakkolwiek się trzymali, a Polscy i Ruscy do tego stopnia byli zubożali, że kiedy we Lwowie król przyjmował powitanie konfederatów Tyszowieckich, w zgromadzeniu kilkuset panów i szlachty dwa tylko lite pasy dały się widzieć, a to odznaczenie się od innych, szemranie powszechne obudziło.

Wszystkie produkta krajowe były za bezcen. Wór owsa sprzedawał się za grosz, za dziesięć groszy można było kupić skopa, a i o tę lichą kwotę było trudno. Wodzowie konfederacyi wszystko co było niezbędnego dla wojska, bezpłatnie zabierali, tyle tylko, że dawali cedułki, które po uspokojeniu Rzeczypospolitej, z jej skarbu miały być wykupione. A co się tyczy dowódców ochotników, oprócz jedynego rycerza Lizdejki, wszyscy i siebie i swoich utrzymywali grabieżą, i w tym zawodzie nawet Tatarom nie ustępowali.

Król co do środków pieniężnych nie był w stanie lepszym od swoich poddanych. Pieniądze, które był zaciągnął na swoje i królowej klejnoty jeszcze we Lwowie, obrócone były na potrzeby istniejącego wojska i na zaciąg nowego. Nawet te, które mu cesarz przysłał przez posła swojego, już zostały użyte w Brześciu do zaspokojenia w części przynajmniej kwarcianego wojska Litewskiego, które się domagało zaległości swojego żołdu. Zgoła król był w tak wielkim niedostatku, że omal nie wpadł w rozpacz, iż nie wiedział dokąd po ratunek się udawać.

Przybycie Josia Dreczkiera było dla niego najszcześniejszym wydarzeniem. Bo ten przebiegły żyd taką był powziął wiarę w pomyślność sprawy królewskiej, że nie tylko swoje własne pieniądze, ale i te które mu kredyt jaki miał u żydów dostarczał, były oddał na zawołanie królewskie. Prawda, że król za jedno podpisywał obligi na trzy że te kwoty, zwłaszcza jak na potrzeby królewskie były dość szczupłe, ale przynajmniej było o czém sprowadzić królową i odbyć podróż do Warszawy.

Temi przysługami Joś Dreczkier utorował sobie drogę do serca swojego pana, i wkrótce otrzymał jego zaufanie tak dalece, że nawet tajemnice stanu bywały mu odkryte, gdyż wiedział wszystko co się

robiło w radzie, a król w okolicznościach zawilszych nie gardził jego zdaniem. Przyszło do tego, że wstawienie się Dreczkiera za kimś udającym się do łaski króla, było prawie tak skuteczne, jak i jakiego senatora, czy ministra potężnego w narodzie, a ojczyźnie zasłużonego.

Magnaci otaczający króla nie stali mu na przeszkodzie, raz że sami potrzebowali jego przysług, powtóre, że był nie tylko względem nich, ale nawet względem najuboższego obywatela pokornym, tak uniżonym, tak cierpliwym na wszelkie wysoki buty i porywcości szlacheckiej, że mógł śmiało powiedzieć, iż ani jednego nie miał dla siebie niechętnego. Bezwątpienia szlachcic ówczesny był nadto dumny, nadto czujący swoją godność, żeby ścierpiął cień zuchwalstwa lub poufałości od nierównego sobie w urodzeniu, ale pokora wszystko mogła wymódtz na jego dobroduszości.

Położenie żydów zmuszało ich do tych powierzchownych oznak uległości, a jakkolwiek dla własnego bezpieczeństwa nigdy się z nimi nie omijali, żaden z nich ani w uniżoności, ani w pochlebstwie nie wyrównał Josiowi Dreczkier. Kark jego ciąglem uginaniem się przybrał był kształt paraboli, tak że już nigdy wyprostować się nie dawał. Kto usiłuje zdobyć umysłowe pociechy, temu właściwie wznosić głowę do góry; kto szuka ziemskich korzyści, musi mieć oczy spuszczone ku ziemi: takiemu wyniosłość ani przystoi, ani go zostawi bez szkody. Gdyby Jos Dreczkier był wyłącznie kierowany osobistą korzyścią, byłby pomieszczony w tłumie niestety nadto licznym ludzi podłych, lecz tu uszlachetniało go przeświadczenie wewnętrzne, że z siebie robi ofiarę dla dobra swojego narodu, gdyż to co robił nie mało przyczyniło się do ocalenia żydów.

Książę Bogusław oczekiwał przybycia królewskiego, jednak nie spodziewał się go aż za kilka dni. Bo chociaż mu było wiadomo, że król postępuje z wojskiem, nie mógł przewidzieć, że tyle ufał w usposobieniu mieszczan Warszawy i jego własném, by aż się sam odważył do niej wjechać bez żadnego ubezpieczenia swojej osoby. Wszakże porozsęłał gońców, którzy go mieli uprzedzić o jego zbliżeniu się, ażeby mógł sam wyruszyć na jego spotkanie z panami i szlachtą swojego stronnictwa; chciał mu się bowiem pokazać w postaci wodza poważnej partyi, mogącego jeszcze przedłużyć opór, a nie jak zwyciężony w rozpacz, któremu już nic nie pozostaje, tylko błagać przebaczenia.

Był już wieczór, cała rodzina zebrana była w komnacie księżnej marszałkowej, a z nią i pani starościna Mozyrska, i kniahini Wilhelmina, i jój syn, których księstwo uważało jako członków ich rodziny. Był także i pan Dawid, i wielce był potrzebnym, bo książę Wojciech był tak skromny, że ile razy trzeba mu było odpowiadać na zapytania księstwa o tém co sam czynił, on jakby nie umiał dać objaśnienia, bo tu i prawda, jakkolwiek pokryta skromnością, możeby uszła za samo-

chwałstwo. Wtedy tylko był wymownym, kiedy mu wypadało mówić o wielkich czynach księcia Olbrachta. Ale za to pan Dawid z zapamiętaniem głoś zabierał, ile razy była wzmianka o samym Gaskoldzie, i już mu gęba się nie zamykała. Księżna zdawała się być zachwyconą do siódmego nieba, kiedy Gaskold mówił o rycerzu Lizdejce, a kniahini Wilhelmina, kiedy pan Odyniec rozwodził się nad czynami Gaskolda. A co się wtedy działo w duszy Eleonory, tego nie wiem; tyle tylko, że często się odwracała, jakby czegoś szukając za sobą.

W tej to rozmowie, której książe przysłuchiwał się z poważnym milezieniem, upływały godziny, kiedy raptem drzwi od komnaty się rozwarły i pokazał się rycerz w podróżnym ubraniu. To niespodziane przybycie wszystkich zadziwiło, ale to zadziwienie wkrótce ustąpiło innemu wrażeniu zupełnie innej natury, kiedy książę Wojciech i pan Odyniec jednocześnie krzyknęli: — Bycerz Lizdejko! — A ten padł jak długi do nóg ojca.

Wzruszenie księżnej matki było tak gwałtowne, że nie starczyło jej siły do zniesienia pierwszego wrażenia niespodzianego szczęścia. Wyskoczyła do syna, chciała go uściskać, ale w chwili kiedy książe marszałek, mało co mniej od niej wzruszony, podnosił swojego syna, księżna zemdląca i byłaby padła o ziemię, gdyby Eleonora, kniahini Wilhelmina i pani starościna Mozyrska nie były jej zatrzymały w swoich ramionach. Książe to podnosił syna, to pośpieszył do ratowania żony; rady sobie dać nie umiał, dopóki księżna nie wróciła do przytomności. Zaledwo otworzyła oczy, zaczęła wołać za synem, a gdy ten do niej przyskoczył, ona go objawszy, tak przycisnęła do swojego łona, jak gdyby z nim się chciała spoić; z wielkiego rozrzewnienia łzy potokiem ruszyły z jej źrenic. I to jej ulgę sprawiło, że zupełnie do siebie powróciła, i mogła przecie mówić do syna.

Po tych pierwszych wybuchach miłości macierzyńskiej, książe Olbracht uściskał siostrę, powitał panią starościna, którą znał dzieckiem, kiedy sam był dzieckiem, i pozdrowił ścisnięciem ręki towarzyszków broni. Gaskold przedstawił rycerzowi swoją matkę, ale jak tylko ją spostrzegł, książe Olbracht rzekł do niej z uniesieniem:

— I pani zabierasz ze mną znajomość? Czy już zatarty się w jej pamięci te chwile, któreśmy przepędzili z sobą, kiedyś mi do Manhejmu najdroższego przywiozła przyjaciela, który w moim sercu wzbudził miłość kraju i sławy?

Prawda, że te chwile były krótkotrwałe; po dwóch dniach pobytu z nami, powróciłaś do nieszczęśliwej wówczas rodzinnej ziemi. Wtedy właśnie mój wuj wyprawiał mnie do Anglii, ale wkrótce po odjeździe pani, za namową Gaskolda, obróciłem z nim i moim Oldenkopferem podróż na Szlązk, żeby Najjaśniejszemu Panu ofiarować nasze usługi.

Naszym czystym chęciom Bóg pobłogosławił, ale i łaskę króla i tę trochę sławy, na jaką starałem się zasłużyć, wszystko winienem mojemu drogiemu Wojciechowi. Gdyby nie jego rady i współdziałania, może rycerz Lizdejko tak byłby zapomniany, jak tylu innych rycerzy, którzy nie oszczędzali krwi swojej, królowi i ziomkom. Ale cóżem uczynił, najdroższy ojciec i panie? Uniesiony uczuciem natury, zapomniałem o obowiązku poddanego, by jak najspieszniej spełniać rozkazy swojego króla. Król mnie posłał do waszej książęcej mości, żeby jej oświadczyć najwyższą jego wolę, byś raczył przybyć do niego; mnie pozwolił resztę dnia przepędzić na łonie mojej rodziny, ale księcia ojca oczekuje z niecierpliwością.

— I gdzie mam stanąć na rozkaz Najjaśniejszego Pana, by u nóg jego błagać przebaczenia? — odezwał się książę Bogusław.

— Ja zaręczam waszą książęcą mość, że król nie pozwoli o tém mówić, bo już o niczém nie pamięta, tylko o dawnych jego zasługach, i że go przyjmie jak dawnego przyjaciela i wierną radę.

— Gdzie go znajdzie?

— Tu w Warszawie, gdzie stanął przed godziną.

Tymczasowo obrał sobie mieszkanie w rynku Starego-Miasta, w kamienicy Starościńskiej, gdzie z nim i z nami przybyły JW. Kramiński, podskarbi wielki Koronny, jako starosta Warszawski go przyjmuje. Tak był niecierpliw widzieć się z waszą książęcą mością, że nie dał mi czasu się przebrać, i to mnie usprawiedliwi, że w podróźniej odzieży odważyłem się stawić przed jaśnie oświeconym ojcem i dobrodziejem.

— Jak-to! Król w Warszawie? Wiem, jaka jest teraz moja powinność. Mościa księżno, zostawiam imości naszego Olbrachta, a sam biegnę do króla. — To rzekłszy wyszedł, a za nim książę Olbracht, żeby go odprowadzić na dziedziniec.

Książę marszałek, póki był w komnacie księżnej przy tylu świadkach, przestrzegając swojej powagi, nie oddawał się swobodnie uczuciom radości, jakie w nim wzbudziło przybycie na łono rodziny jedyńka, nie tylko jemu, ale całemu narodowi miłego. Ale skoro przechodząc przez drugi pokój, sam na sam z nim pozostał, nie już go wstrzymać nie mogło. Pierwszy raz w życiu objął go w swoje rodzicielskie ramiona, i przycisnął go do swojego serca, a rycerz wynurzył swoją wdzięczność powtórnym upadnięciem mu do nóg. Książę ojciec jak najspieszniej go podniósł, i znowu go do uściskał w swoich silnych ramionach. Obaj spuścili się przez schody pałacowe. Żadnego pojazdu nie było gotowego, tylko koń, który na swoim grzbiecie księcia Olbrachta dostawił.

Książę marszałek skoczył na niego i pierwszy raz w życiu, bez orszaku, nawet bez masztalerza, puścił się cwałem ku Staremu-Miastu.

Jego dostojny syn prowadził go wzrokiem, póki nie zniknął za dziedzińcem pałacu. Wtedy dopiero dał rozkaz dworzaninowi, którego spotkał przy podwojach, żeby wyprawił kolasę ze zwykłą asystencyą księcia do Starościeńskiej kamienicy, a sam powrócił do już tęskniącej za nim matki.

Książę marszałek zatrzymał konia przed kamienicą, zaszczyconą pobytom ojca i pana narodu, a przy której zastał tłum narodu oczekującego pokazania się króla. Bo chociaż przybył jako zwyczajny podróżny, bez żadnej okazałości, która w owych czasach odznaczała królów od najdostojniejszych poddanych, jednak wiadomość o jego przybyciu była się rozeszła po całym mieście.

Książę zsiadł z konia, puścił go na Bożą wolę, i przez schody kamienicy poszedł, nie oglądając się za sobą, prosto do komnat gospodarza. W przedpokoju przy drzwiach, pierwszą osobą jaką spotkał był znany mu dobrze Joś Dreczkier, który go przywitał skłonieniem głowy aż do jego kolan. Drugą był sam pan podskarbi Koronny, który pełnił w dniu tym obowiązek podkomorzego nadwornego przy królu jeszcze bez dworu. Książę, uściskawszy dawnego przyjaciela, poprosił go, żeby dał wiadomość królowi, że stanął jego wierny poddany na wezwanie królewskie. Pan podskarbi zaraz poszedł do komnaty królewskiej, a po kilku chwilach król pokazał się w przedpokoju. Książę marszałek, skoro go spostrzegł, padł mu do nóg jak dłużni. Król go podniósł. Książę chciał mu coś powiedzieć o swojej skrusze za przewinienia, jakich się względem jego majestatu dopuścił, ale król nie dał mu mówić, a tylko wziął go za rękę i wprowadził do swojej komnaty, gdzie sam na sam z nim pozostał. To posłuchanie trwało więcej godziny; po upływie onę książę otworzył drzwi, przywołał Josia Dreczkiera, i zaprowadził go z sobą do komnaty, poczem drzwi za sobą zamknął. Ta konferencya między niemi trzema jeszcze blisko godzinę trwała. O czém z sobą mówili, tego nikt domyślić się nie mógł; tyle tylko, że zauważano, iż książę wychodząc z żydem, bardzo był rozczulonym, że nawet w przedpokoju czas jakiś z nim po cichu rozmawiał, i że kiedy już opuścił kamienicę, w jego kolasie Joś Dreczkier usiadł na koźle obok woźnicy, który ich zawiózł do Radziwiłłowskiego pałacu.

ROZDZIAŁ XXXII.

Podczas kiedy cała Rzeczpospolita wracała do posłuszeństwa swemu prawemu królowi, a zagraniczne mocarstwa zawierały z nim po-

kój, jeden tylko książę Daniel Dorohostajski żadnego kroku nie chciał uczynić do pojednania się z królem. Całe Polesie było jemu posłuszne, i zdawał się chcieć w niém opierać póki mu sił wystarczy. Hetman Gąsiewski, na czele części wojska Litewskiego, i Sapieha starosta Mozyrski, który z swojemi Białorusinami z nim się był połączył, obaj doświadczeni wodzowie, wyruszyli żeby go spotkać i wydać mu stanowczą bitwę.

Na wstępie udało im się opanować Pińsk, za pomocą mieszkańców tego miasta, a nawet zmusić pana Bogusza, podstarostę Pińskiego, a zaufanego stronnika kniazia, do poddania się z zamkiem i załogą jemu od tegoż kniazia powierzoną.

Na wstępie wyprawy odniesienie podobnej korzyści nie miało znaczyło dla partyi królewskiej. Wprawdzie zamek Piński nie był w stanie obronnym; w kilku miejscach były rozpadliny, które na prędece pan Bogusz załatał ziemią i ostrokołami, słaba obrona przeciw wojsku prowadzonemu przez podobnych wodzów, za którymi ogłosiło się miasto; ale takowe zwycięstwo rokowało dalsze pomyślności i pozwalało się spodziewać, że kolejno książę wojewoda opuszczonym zostanie przez wszystkich swoich stronników.

Przecie pokazało się inaczej. Oprócz Pińska, wszystkie inne miasta Poleskie pozostały w wierności dla swojego kniazia, i z największym poświęceniem mu służyły; gdzie tylko wojsko królewskie przychodziło, spotykało same pustki, gdyż mieszkańcy wyносили się w głąb swoich pustyń z dobytkiem, tak, że coraz było trudniej o żywność.

To dochowanie wiary dla pana srogięgo, a opuszczonego od szczęścia, na pierwszy rzut oka zdaje się być niepodobne do wierzenia. Ale do tego były dwie przyczyny, stanowcze wrażenie sprawujące na umyśle prostego narodu, a temi były nadzwyczajna odwaga kniazia, i okrucieństwa, jakich się dopuszczał względem tych, których podejrzewał o zdradę. Co więcej, zdawał się być pewnym zwycięstwa, bo nie tylko że odrzucił ze wzgardą ofiarę zgody podaną mu przez hetmana, ale jeńców polskich, których mu się udawało zabierać, mordował z pastwieniem się nad niemi.

Hetman usiłował zniewolić swoich podwładnych do ludzkiego obejścia się z jeńcami poleskimi, których ilość była nierównie większa, ale tego dokazać nie mógł, gdyż okrucieństwa kniazia do tego stopnia rozdrażniły królewskich wojaków, że nawzajem dopuszczali się prawem odwetu podobnych okrucieństw z temi, którzy wpadli w ich ręce, i nie było środka by temu zaradzić. Z tego książę korzystał, bo gdy rozpowszechniło się między Polesiakami przekonanie, że przebaczenia nie mogą się spodziewać, tém samém ich opór stał się więcej zaciętym.

Wojna domowa jest zwykle najokropniejszą ze wszystkich, ale niepodobieństwo wyobrażać sobie stopnia, do jakiego podniosły się tu

okropności, rozpasaniem, swawolą i okrucieństwem obu stronnictw; jedni i drudzy szli z sobą na wyścigi.

Wszakże ten kraj był ściązną króla i rzeczypospolitój. Hetman nie życzył sobie odzyskać samych gruzów i zgliszczów, a widząc że nie ma sposobu nakłonić kniazia do uległości, pokładał jedynie nadzieję w jego zuchwałości, że nie odmówi mu przyjęcia ogólnej bitwy, zdolnej położyć kres tym kłęskom, ile że się obawiał, żeby Ukraina, jeszcze dymiąca po swoich pożarach, a z którą kniaz przez swoich kozaków mógł mieć stosunki, nie podniosła się znowu na wypadek przedłużenia wojny i nie odnowiła krwawych ustępów Chmielnickiego.

Polecił więc Sapiesze staroście Mozyrskiemu, wzmocnić Pińsk ile możności, do niego ściągnąć z województwa Nowogrodzkiego obfitą, (gdyż jemu jak najmniej dał się być uczuć ciężar wojny) ile można było żywności, i na tém mieście oparł dźwignię wszelkich swoich działań wojennych, a sam w poruszeniach swoich okazywał największą ostrożność, unikając na pozór starcia się z wojewodą, jakby się go obawiał. Ten fortel udał mu się wybornie; rozzuchwalony wojewoda skupiwszy wszystkie siły jakie mógł zebrać, uderzył na hetmana stojącego obozem na pograniczu starostwa Ratyńskiego, na trakcie idącym z Wołynia do Pińska, pod wioską nazwaną Ossowa.

Tego właśnie czekał hetman. Wszczęła się zażarta bitwa, jakiej straszniejszej i więcej morderczej może nie było od zawiązania się konfederacyi Tyszowieckiej. I hetman i kniaz szukali zwycięstwa lub śmierci. Przez sześć godzin szala ważyła się między nimi. Była nawet chwila, w której zdawało się, że się była przechyliła na stronę buntowników, kiedy chorągiew hetmańska czoła dotrzymać nie mogła kozakom, których sam wojewoda prowadził, zagrzewając ich męztwo swoim przykładem. Już hetman był blizkim rozpacz, ale szczęśliwie wykonany obrót przez męznego Tryznę, dowódcę puszkarzy hetmańskich, rozstrzygł wahające się szczęście na stronę hetmana. Pomimo oporu strzelców poleskich, rozsypanych po lesie, udało mu się doprowadzić trzy armaty na skrzydło kniazia Dorohostajskiego; tam, jak zaczął sypać kartaczowym ogniem, zaraz go zmieszał.

Napróżno kniaz dokazywał cudów waleczności i przytomności, żeby z placu nie ustąpić. Nie było sposobu zatrzymać uciekającego prawego skrzydła. Upór na nicby się nie przydał, bo gdy jego prawe skrzydło poszło w rozsypkę, wytrwałość lewego i środka nie zapobiegłyby otoczeniu ich przez nieprzyjaciół. Poznał wojewoda, i z wściekłością w sercu wziął się do odwrotu, poniosłszy znaczną stratę. Wszakże swój odwrot w takim porządku prowadził, że wojsko hetmańskie, zmęczone kilkugodzinną walką, w której także nie mało ucierpiało, dość miękko go ścigało. O trzy mile w tył od pobojuwiska, kniaz już bezpieczny od pogoni, pozwolił swojemu wojsku wypocząć

i tam dopiero obliczył swoje straty. Pokazało się, że jego siła więcej niż o trzecią część była zmniejszoną, gdyż z żołnierzy jego prawego skrzydła ledwo piąty ściągnął do niego, a co się tyczy strzelców, którzy rozsypani byli w lesie dla pilnowania tego stanowiska, wszyscy tak zniknęli, że ani jeden mu się nie pokazał.

Poznał książę Daniel, że nie było sposobu potykać się w otwartym polu z hetmanem, ile że przewidywał, że starosta Mozyrski opuści Pińsk, już bezpieczny po bitwie Ossowskiej, by się połączyć z hetmanem. Postanowił więc odmienić plan pierwiastkowej wyprawy, i już nie szukać nieprzyjaciela, ale czekać go w obronnych zamkach, a tym sposobem przedłużać wojnę. Rachował na przybliżającą się zimę, czas w którym zwykle szlachta pospolitego ruszenia powraca do domów, na niedostatek żywności dla znacznego wojska w ubogim Pole-siu, a nadewszystko na nadzieję, jaką miał, poburzenia poddaństwa Ukraińskiego przez emisaryuszów, których tam powysłał. W tym celu, cofając się oddzielił coś ze swojego wojska, dla pokrzepienia za-łóg zamków Ratnego i Dywina; zabierał z sobą ile napotkał ludzi zdalnych do oręża, w przechodzie niszcząc kraj do reszty, żeby w nim żadnego środka utrzymania się nie zostawić nieprzyjacielowi, i już od nikogo nie ścigany, dostał się do swojego Dolska.

Tam spodziewał się zastać Eleonorę; łatwo wyobrazić sobie można, co się dzieć musiało w jego gwałtownej duszy, kiedy się dowiedział, że nie tylko iż porwanie kniahini się nie udało, lecz że nawet Zawalidroga schwytanym został; ale rzecz dziwna w tym człowieku tak twar-dym, tak krwawym, czułość i troskliwość o los ulubienca wzięły górę nad wszelkiem innym uczuciem. Już go własni siepacze poznać nie mogli. Pierwszy raz w życiu jego srogość przyrodzona zdawała się być ułagodzona. Często łzy pokazywały się w jego źrenicach. Po-tém przez dwa dni zamknął się w swojej komnacie i żadnego nie da-wał rozkazu.

Nakoniec po ich upłynieniu wyszedł na dziedziniec zamkowy, jak-by przebudzony ważnością okoliczności, w jakich zostawał, i powrócił do dawniej czynności, a w części i do dawniej srogości. Ale zawsze można było rozpoznać na jego obliczach wyraz głębokiego smutku. Tymczasem hetman postępował, i wkrótce stanął pod murami Dolska. Tam zaczął od ofiarowania kniaziewi najdogodniejszych warunków do poddania zamku. Warunki te książę odrzucił, a hetman rozpoczął oblężenie.

Z początku książę próbował robić wycieczki, którym sam przywo-dził. Niejedną krwawą bitwę stoczył z wojskiem konfederacyi; zwa-łaszcza w początkach oblężenia walczył z odwagą rozpacz, ale działa Tryzny tak doskonale były rychtowane, że zawsze ze szkodą musiał się cofać za swoje wały, a kiedy zobaczył, że hetman się okopał, za-

niechał już marnować swoich żołnierzy temi bezskutecznemi wycieczkami i postanowił czekać w zamku, azali czas czegoś lepszego nie przyniesie. Czuł się bezpiecznym od szturmów, a Dolsk był tak opatrzony żywnością, że rok i więcej mógł się w nim trzymać ze swoją liczną załogą; całkowite noce trawił na wałach, i dopiero z rana powracał do komnaty. Tam albo się oddawał spoczynkowi, albo zamyślony przechadzał się po ogromnych salach swojego zamku, często zatrzymując się przy oknie, z którego wpatrywał się w obóz nieprzyjacielski; potem znowu się przechadzał, zatrzymując się czasem.

Nikt wtedy nie miał do niego przystępu, oprócz Węgrzynka, który mu usługiwał; ten się wymówił z tém przed innymi sługami, dodając, że książę często sam do siebie mówi głośno, że nieraz go podchodzi płaczącego, że już się nie unosi gniewem na niego, jak wprzódy bywało, ale że w samotności swojej ciągle okazuje niespokojność, jakby czegoś oczekiwał.

Jednego razu kiedy siedział w swoim głębokim krześle, pogrążony w myślach, których niktby dociec nie zdołał, raptem został jakby przebudzony wnijsieniem do komnaty oficera dowodzącego wartą, z doniesieniem, że jakiś żyd przybył pod główną bramę Dolska; że go wpuszczono, ale przytrzymano w warcie; że oświadczył, iż chce się widzieć z księciem, w interesie bardzo dla niego ważnym.

— A dobrze — odpowiedział książę — przyprowadź go waś do mnie.

Wyszedł oficer; w pół godziny potem powrócił do księcia meldując mu, że żyd czeka w przedpokoju.

— A przyprowadź go waś do mnie, i jak go wprowadzisz, odejdz na twoje miejsce, a z nim mnie zostaw samego.

W chwil kilka przyszedł żyd sam jeden i niziuteńko się uklonił. Książę rzucił nań okiem i poznał dawnego swojego znajomego, Josia Dreczkiera.

— A co nam przywozisz, Josiu? — rzekł do niego.

— Wedle mojego rozumu coś dobrego, ale nie wiem, jak to przyjmie jaśnie pan, bo inny rozum żydowski, a inny tak wielkiego monarchy, jak ten którego mam szczęście oglądać.

— Oj prawda. Dałeś mi się we znaki ze swoim rozumem żydowskim, kiedyś mnie namówił, żebym napisał do generała Redynga. Biedny człowiek przez ciebie marnie zginął, a tyś obieżył moje sumienie, zem go skłonił tobie zawierzyć. Tego ci do śmierci nie zapomnę.

— Ah, panie, ja tak byłem pewny, że to się nam uda, że własnych dzieci nie pożalowałem, a że ich nie porznęli, to dowodzi, że widać jeszcze Jos Dreczkier ma wielką łaskę u Pana Boga. Gdyby nie JO. szwagier jaśnie pana, co wtedy nazywano go rycerzem Lizdejko, i Potusza byłaby nasza, i król nie byłby teraz w Warszawie. U nas

się pisze, że kiedy ludzie chcą kogo zgubić, a Pan Bóg tego nie chce, to mu posła anioła, żeby go ostrzegł. Jemu się zdaje, że on rozumem swoim czegoś się domyśla, a nie wie, że anioł w ucho to jemu kładzie; a kiedy anioł co robi, żaden monarcha tego nie przerobi. Wierz mi, jaśnie wielmożny panie, że Bóg i jego aniołowie przeszli na tamtą stronę. Wszystko się królowi poddało, oprócz jaśnie pana; Szwedzi już się wynieśli co do jednego z Polski, i ja teraz służę naszemu królowi.

— A wiem o tém, żeś nas zdradził.

— Jakto zdradził! Bóg za królem, a Joś Dreczkier miałby z Bogiem wojować? A to jabym ze wszystkiém przepadł, gdybym dłużej służył Szwedom! To moje szczęście, że król dał się przeprosić i przyjął moje usługi. Jaśnie oświecony książę marszałek, teść jaśnie pana, jaki monarcha, a jednakowo przeprosił króla; sam widziałem jak mu padł do nóg; a ja biedny łapserdak na niego bym się swarzył?

A czy to ja oszalał, żebym mojemi rękami postronek kładł na własną szyję?

— Książę Bogusław taki gałgan, jak i ty.

— Z przeproszeniem jaśnie pana, nie tak jest! Niech sobie nareszcie Joś Dreczkier będzie gałgan, ale jaśnie oświecony książę marszałek, broń Boże! broń Boże! tego mówić nie godzi się! To mądry pan, bo tak zrobił, że król jeszcze więcej łaskaw na niego, niż był nim król Szwedzki, i więcej za jego radą idzie, niż wprzód.

— Nie zazdroszczę mu tego szczęścia; ja pewnie nie upadnę do nóg królowi, póki ręka moja udźwignie szablę.

— Aj! aj! jaśnie panie, tak nie trzeba mówić! U nas się pisze: że póki szczęście, póty wojak wielki człowiek, a kiedy nie ma szczęścia, to każdy powie, że ani chce znać tego rozbójnika. A jaśnie pan ma dotąd wielką łaskę u Pana Boga, że jeszcze z tamtej strony chcą się z nim pogodzić i chcą, żeby jaśnie pan dobrowolnie się poddał, ale nie darmo. Bo, trochę poczekawszy, bez niczego jaśnie pana dostaną. Zamek Dolski to fejn, ale Polska i Litwa to fejnniejsze! U nas się pisze: że kiedy garnek wojuje z baniakiem, wkrótce pokruszyć się musi; a u was mówią: że z motyką na słońce się nie porywać. Kiedy kto u kupca targuje towar, a dobrze za niego daje, niech kupiec z nim kończy, a nie czeka takiego co da więcej, bo lepszy grosz w kieszeni, niż dwa w nadziei.

— Do czegoż to mówisz?

— Oto do tego, że król mnie posłał, abym namówił jaśnie pana, żeby się jemu poddał, a nie czekał, aż jaśnie wielmożny hetman do tego go przymusi, bo wtedy już on sam będzie mówił czego chce, a jaśnie panu i odzywać się nie pozwoli; jaśnie pana uczyć nie trzeba, jakto się robi na wojnie. Teraz jeszcze pora tak zrobić, żeby jaśnie

pan jak zawsze był panem i monarchą takim i został na potém, a jak jaśnie pan się uprzesz, a hetman na swoim postawi, a co się z jaśnie panem stanie? Aż strach pomyśléć.

— Obaczymy, czy hetman na swoim postawi!

— Aj, panie! Jakże nie ma postawić? Łatwiej wszystkim jednego zdusić, niż jednemu wszystkim. Dobrze siedziéć w zamku za murami, kiedy jest nadzieja, że ktoś z wojskiem przyjdzie w pomoc; ale teraz za Dolskiem jaśnie pan na lekarstwo przyjaciela nie znajdziesz. Polska, Litwa, Ruś nie tylko, że co król każe zaraz i robią, ale zgadują myśli jego, żeby robić co chce, jeszcze pierwój niż każe. Im więcój kto się jemu kiedyś naraził, tém więcój mu teraz okazuje przywiązania, żeby o dawném zapomniał. Jak jaśnie pan będziesz się upierał, to dla nich jeszcze i owszem, każdy na niego dawne winy swoje zwali, i jaśnie pan za wszystkich pokutować będziesz.

— At, żydzie, ty majster na to, jak oszukać kogo w handlu, jak obedrzéć lichwą potrzebnego, a pewnego; ale co jest wojna, jak łatwo w niej z nieszczęścia przechodzi się do zwycięztwa, a ze zwycięztwa do nieszczęścia, ty tego nie rozumiesz!

— Jakto nie rozumiem?

Już państwo dosyć mieliście tego szczęścia, a jednak nie mogliście doczekać końca; a cóż dopiero teraz, kiedy szczęście was opuściło?

Pan hetman, chociaż go korei jechać do Warszawy, żeby dworakować królowi, przeciw swoich ludzi gubić nie będzie, posyłając ich na wały Dolska; jemu bezpieczniej czekać za swojemi okopami, póki państwu nie zabraknie żywności!

Czy jaśnie pan nie wiesz, że tak Dolsk jest opasany nieprzyjacielskimi okopami, że kot bez ich pozwolenia do niego się nie docisnie? Jaśnie pan będziesz się trzymał miesiąc, dwa, choćby cały rok, a potém, jak wszystek chléb się zjé, a głód zacznie morzyć tych co są zamknięci w Dolsku, bo za głodem idzie mór, a jak to będzie?

— Jest jeszcze dość ehleba w Dolsku. Nie bój się, niech Gąsiewski suszy sobie głowę, jak swoich wyżywić, bo w całej okolicy nie wiele żywności dostanie.

— Toćto ja od niego jadę; nie miałbym szczęścia jaśnie panu upaśé do nóg, gdyby mi tego nie pozwolił. Teraz tam jest tyle mąki, krup i sadła, że tego na kilka niedziel wystarczy, a tymczasem z dalszych stron dowozy nadejdą.

— Zkądże on dostał tyle żywności?

— Zkąd? a mało ich znalazł w zamku Ratańskim? sam widziałem, jak tego pięćdziesiąt wozów przyszło, a to dopiero częśé.

— Co? Ratno się poddało? Kłamiesz, żydzie, to być nie może!

— Pan nie wierzysz Josiowi? A czy on nie wie, że jak jaśnie pan *pan go posłuchasz i pogodzisz się z królem, ziemiaby jego nie scho-*

wała przed gniewem pańskim, gdyby się odważył przed nim kłamać? No, to już wyraźnie uchodzę za głupca! Pod cherymem knę się przed jaśnie panem, że onegdaj załoga w Ratnym otworzyła bramy zamkowe oddziałowi hetmańskiemu, że przysięgła na wierność królowi i przeszła pod rozkazy hetmana. Jeszcze na czele tego oddziału był pan Wańkiewicz podkomorzy Miński, którego bardzo dobrze znam. Z panem podkomorzym od trzydziestu lat robię interesa, może jaki milion z moich rąk poszedł do jego kassy; to wielki i sprawiedliwy pan.

Kniaź obu rękoma wziął się za głowę, i kiedy żyd gadał, wpadł w zamyślenie, że go nie słuchał; nakoniec odezwał się:

— Gdzie mnie nie ma, tam nikt powinności swojej nie dopełnia.

Złe, kiedy tak najzaufańsi przyjaciele zdradzają; jednak nieprędko już mnie połkną.

Josiu, powiedz otwarcie: jakie są warunki, które mi przynosisz od króla?

— Od nich trzeba mi było zacząć; tylko że czułem takie szczęście, że oglądam jaśnie pana, i że mogę nawet uczynić mu wielką przysługę, że tylko jego przywitać umiałem, a potem chciałem przygotować jaśnie pana do cierpliwego wysłuchania tego, co mi kazano mu powiedzieć, a co może mu się nie podobać; bo u nas się pisze, że kiedy kto przychodzi z interesem do wielkiego monarchy, niech wprzód na rozum bierze, żeby jego serce ułagodzić.

— Dobrze, dobrze, żydzie; dość tego, a przystępuj do sprawy. Czego chcą odemnie i co za to dają? a ja na to odpowiem: tak, albo: nie. U kija tylko dwa końce.

— Oto, jaśnie panie, trzeba oddać zamek i załogę panu hetmanowi, a wojsko królewskie go zajmie; nie na zawsze, broń Boże, tylko na lat trzy. Toż i inne zamki, w których jeszcze są ludzie pańscy. A co do dóbr, i jego własne, i te które z łaski królów do śmierci daj Boże jak najpóźniejszej jaśnie panu są nadane, natychmiast mu będą oddane w zarząd, a po trzech latach i te zamki, które na jaśnie pana schedę przypadną, będą mu takież zwrócone.

— Co! co! ja ciebie nie rozumiem.

— Jaśnie panie, strach przed nim o tém mówić, ale cóż? Ja z moim językiem przychodzę, ale z wolą cudzą. Co ja winien? Niech jaśnie pan się gniewa na tych, co mnie z tém przystali; a czy to ja do ich rady należał?

— Mów, żydzie, nie bój się mojego gniewu; już ja teraz nie ten, co był wprzód; na wszelkie złe jestem przygotowany. A cóż może być gorszego nad to, że Ratno się poddało. Jeden po drugim wszyscy mnie opuszczają; skakajże i ty na pochyłe drzewo.

— Od woli jaśnie pana zależy, aby to drzewo się wyprostowało.

Kiedy nasz brat upadnie to i leży; a wielki pan z przeproszeniem jak kot, choć z góry spadnie, to zawsze na przednie łapki. Sam siebie może zgubić, ale cudza ręka nigdy go nie powali. Otóż jaśnie panie, u króla ma wielką łaskę syn nieboszczyka kniazia Stefana, brata jaśnie pana, i wszyscy w Warszawie są jego przyjaciele, a największym księżę Olbracht Radziwiłł, który kiedy powie: tak, król nigdy nie odpowie: nie. On z całą radą i z królem ułożyli, że pierwszy punkt zgody z jaśnie panem, aby go przyznał za bratanka, i oddał mu majątek jego ojca.

— Jakto! ja żebym uznał tego bękarta być moją krwią i dzielił z nim moją ojcowiznę? Na to nie ma zgody!

— Może to i prawda; ale cóż na to poradzi, kiedy i król i wszyscy monarchowie co go otaczają, mają go za prawdziwego kniazia Dorohostajskiego? Nawet przyjaciele jaśnie pana mówią głośno, że on wielką krzywdę poniósł, i że trzeba mu ją wynagrodzić.

— Oj przyjaciele, przyjaciele!

Od kogo szczęście się odwraca, taki na nich niechaj nie rachuje; u nas władza, pieczenia, kieszeń, mają przyjaciół i wielce gorliwych, ale sama osoba, to się nie pokaże. Bądź-że dobrym! Toć to ja tego gałgana miałem w ręku, już miał postronek na szyi; coś mnie szeptało, żeby go zakać powiesić, a nic w mojem przyrodzeniu iść na przekor podobnym instynktom. Znalazły się przecie okoliczności, które mnie zmięczyły. Nie twoja rzecz, żydzie, o nich wiedzieć; dość że wypuściłem go z duszą, a czart wiedział, że to był ów bękart; nie doczeka się on tego, żeby w zamku Dolskim burmistrzował. Jeszcze ja nie tak głęboko wnurzyłem się w jamę, abym z niej mógł wyléźć tylko przez hańbę mojego nazwiska i mojego herbu. Niech-no Ukraina na nowo powstanie, a Tatarzy zerwą pokój, obaczymy, jak długo Gąsiewski dotrwa pod Dolskiem.

— Oj jaśnie panie! po waszemu się mówi: nim słońce zejdzie, rosa oczy wyję.

— Jużci mnie do tego nie namówisz, abym się dzielił moim majątkiem z tym samozwańcem.

— Dlaczego? z przeproszeniem pańskim lepiej dać komu coś jakby z łaski, niż wszystko z musu. Pan Gaskold przy wielkich panach do mnie się odezwał:

— Josiu, ty jedziesz do mojego stryja; powiedz-że jemu, że ani mu źle życzę, ani chcę się z nim kłócić. Niech mnie da co łaska jego, a czego nie da, pewnie o to pozywać nie będę, byle nie przeczył, że jestem synem jego brata, a moja matka była jego żoną, na co złożyłem literalne dowody.

Jaśnie panie! ja sobie prosty żyd, ale i od prostaka godzi się przyjąć dobrą radę. Ja doświadczałem jaśnie pana łaski od więcej lat trzy-

dziestu, a z panem Gaskoldem niedawno pierwszy raz się widziałem; wierz mi, panie, że ciągnę za jaśnie panem, u którego mam dawne zasługi, a nie za tym, co to jemu jeszcze zasługiwać się potrzeba. Młody z młodym, a stary z przeproszeniem ze starym musi trzymać, jeżeli ze wszystkiém nie oszalał. Pan przez to będziesz monarchą, starostą i wojewodą, jak przyciśniesz do sera synowca i wydzielisz mu jaką część swoich dóbr, aby miał gdzie mieszkać; a jak jaśnie pan koniecznie zechcesz na swoim postawić, i nie zechcesz nic zrobić, a co to z tego będzie, kiedy pan hetman siłą, mocą tu przyjdzie? Bo wierz mi jaśnie pan, że wcześniej czy później to musi nastąpić; wtedy synowiec pański....

— Jaki synowiec?

— Z przeproszeniem pańskim, ten co go za takiego mają, a za którym teraz szczęście, zamiast coś, wszystko zabierze, bo co prawda to prawda.

— Obaczymy! Czegóż więcej żądają odemnie?

— Ja boję się tego wypowiedzieć, żeby jaśnie pana nie rozgniewać.

— Mów, nic gorszego dla mnie być nie może, nad to co już powiedziałeś.

— Otóż uważa pan, różnie bywa na świecie, bo Pan Bóg daje dobre i złe. Jeżeli pierwsze, to trzeba dziękować, a jeżeli drugie, i w takim razie trzeba go błogosławić, żeby czegoś gorszego się nie doczekać. U nas się pisze, a toż samo i u was, że Bóg na swoim zawsze postawi; można na nim coś wymóżyć dobrowolném poddaniem się jego woli, a sprzeciwianiem się niczego nie wskórasz.

— Do czego ta gadanina?

— Kiedy bo ja jakos nie umiem tego opowiedzieć tak, aby to spokojnie trafiło do jaśnie pana przekonania; zresztą, czego mam się obawiać? co mnie kazali powiedzieć, to powiem, bo tu nie ma nic mojego.

Otóż król, książę marszałek i wszyscy, nawet nadworni kapelani księcia, myślą, że choć jaśnie pan ożenił się z księżniczką, ale są jakieś przyczyny, że ona nie jest jego żoną; to już nad mój rozum. A więc król i książę marszałek, i książę Olbracht i cała rada królewska, domagają się, aby jaśnie pan podpisał coś takiego, aby zaraz mógł nastąpić wasz rozwód.

— Rozumiem! Mnie odebrać żonę, aby ją oddać temu bękartowi. Nic nie brakowało, jak tego.

— No i cóż w tém tak strasznego? gdyby to JW. wojewodzina była przywiązana do jaśnie pana, to inna rzecz, takię żonę trzymać się aż do śmierci; a kiedy z przeproszeniem JW. wojewodzina nie chce do męża powracać, to jeszcze i owszem. A co warta żona przy-

muszona? Milsze szczyry w spiżarni, niż żona co nie kocha męża w domu. Toć to byli tacy, co ich jasnie pan wysłał aby ją namówili do powrotu; i cóż wskórali? udało im się porwać, ale nie udało dowieźć do pana, bo Pan Bóg tego nie chciał. Pan Gaskold w pierwszój dobie ją odebrał i odwiózł do ojca; kozacy ledwo że nie przez całą noc bili się o nią, stracili większą połowę swoich; a przecie musieli ją zostawić; nie tylko ją, ale swojego atamana Zawalidrogę, kórego związanego przywieziono do księcia marszałka, bo tam i podstarosta gotowy się znalazł. Wierz mi jasnie pan, gdyby były dzieci, toby warto było pomyśleć, czy się rozwieść, czy nie? ale ich Bóg nie dał, z czém się tu drożyć? Jasnie pan powinienes to wziąć na ambicyę i podpisać wszystko, pokazując że o to nie dbasz.

— Świat osądzi, czy miałem prawo użyć siły i fortelu, dla dostania téj, która mi posłuszeństwo zaprzysięgła.

Zresztą niewiele dbam o to, co świat powie; musi on być przeciwko mnie. Ale niech-no zostanie silniejszym, każdy mojej czynności potakiwać będzie. Poczciwi kozacy co przy życiu zostali, wrócili do mnie, i o tém co się stało mnie zawiadomili. Jak zacznie się rwać, wszystko się dorwie; trzeba było aby na równój drodze nowiuteńka os się złamała, i to właśnie pod tą karczmą, gdzie ten bękart nocował z jakimś drugim hultajem, kórego sobie dobrał, i aby Zawalidroga na wstępie został powalony; dałby on im, gdyby sam dowodził moimi kozakami. To darmo! szczęście samo przychodzi, a bieda zawsze z asystencją. Biedny Zawalidroga! sereem do mnie prawdziwie przywiązany, a który był dla mnie najdroższą istotą. Zawalidroga mój mleczny brat, który życie miał za nic, kiedy mi służyć trzeba było. Już nie żyje! — Tu zerwał się z krzesła, rękoma zasłonił twarz, i szybkim krokiem zaczął się przechadzać po pokoju.

Żyd stał nieruchomy; podziwiał tylko te oznaki czułości w człowieku tak twardym i nieużyтым, że nikt dotąd się nie pochwalił, aby w jego sercu najniklejszą fibrę tklivości domacał. W tych rozwalinach tego wszystkiego, co jest ludzkim, jedno jeszcze uczucie przywiązania dla wiernego sługi pozostawało, ale i to uczucie nawet wyrażało się jakąś wściekłością, która nie tylko Josia, ale i odważniejszego od niego mogła przestraszyć.

Kniaź przez kilka minut mierzył obszerną swoją komnatę szybkim krokiem, potem stanął na jój środku, utkwiał wzrok ponury i dziki w oblicze żyda, i rzekł do niego:

— I ty śmiesz nakłaniać mnie do zgody z mordercami mojego Zawalidrogi? ty chcesz, abym moją ręką ścisnął rękę jego krwią zbrozoną? Nie, nie! Powiedz tym, co ciebie posłali, że w żadne umowy z niemi nie wejdem, że o zgodzie słyszeć nie chcę, że będę się bronił.

tak, że dopiero poznają co to jest rozpacz walecznego. Zniknij mi zaraz z oczów, i żebym cię nigdy nie widział.

— Jaśnie panie! czego pan się tak gniewa? Za moje dobro płacą mi strachem; a cóż ja złego powiedział? czy to, że Zawalidroga nie żyje? Broń Boże! on zdrowszy odemnie, i abyś tego jaśnie panie chciał, on znowu będzie na jego usługi, i nie ma czego długo czekać.

— Co! Zawalidroga żyje? Nie, żydzie, ty mnie tylko uwodzisz. Jakby to jemu uszło w Warszawie, targnąć się na córkę księcia marszałka, chociaż on tém ani przeciw prawom Boskim, ani ludzkim nie wykroczył. Ja znam księcia marszałka; nie z takich on co umieją przebaczać.

— A jeżeli Zawalidroga jutro stanie przed jaśnie panem, co jaśnie pan powie Josiowi?

— I cóż mam zrobić aby go dostać? Powiedz, jakiej żadasz za to nagrody? Cheesz dwa kamienie srebra? Za niego je tobie odważę.

— A na co! tu nie potrzeba ani złota, ani srebra, dość jednego słówka pańskiego. Zawalidroga już jest dostawiony do obozu hetmana; ja go sam widziałem, nimem się wykradł do jaśnie pana. Niech tylko jaśnie pan podpisze to, co mu hetman poda, a tam nie innego nie będzie, tylko to co dopiero powiedziałem, a będzie koniec wszystkiemu; i Zawalidroga, jak był wiernym sługą jaśnie pana, takim i będzie.

To szczęście jaśnie pana, że król chce przed całym światem się pochwalić, że ani jednego nie ma przeciwnika w Polsce, Litwie i na Rusi, w tém jego ambicya. Wierz panie Josiowi, że trzeba korzystać z pory, bo jak ona przejdzie, to z sobą zabierze wszystko co jest dobrego dla jaśnie pana. U nas się pisze: że pokąd pora sprzyja, rękami i nogami trzeba ją chwycić, aby nie uciekła, bo tak prędko biegnie, że żaden rozum jój nie dogoni.

— A jeżeli nie podpiszę tych warunków, jak myślisz, co z tego wyniknie?

— Aj! aj! strach o tém myśleć, a jeszcze większy o tém mówić. Hetman za swojemi wałami siedzi jak na szpilkach, tak mu się chce ruszać do Warszawy, bo się boi, aby mu inni panowie nie psuli na złość serca króla. On wielki żołnierz, ale jeszcze większy dworan; wie dobrze, że kiedy król kogo długi czas nie widzi, o nim i zapomina; tém więcej, że się mogą znaleźć tacy, co królowi przypominają będą, że kiedyś jemu się naraził. Zwyczajnie jak u dworu! Jeżeli jaśnie pan okaże się twardym, on wpadnie w gniew; co to jest, gniew takiego, któremu wszystko jest posłuszne! Od tego zacznie, że Zawalidrogę z przeproszeniem, przed zamkiem Dolskim każe na pał wbić, aby ludzie tutejsi przestraszyli się, widząc co może ich czekać, a po-tém, jak zacznie mur cisnąć, nakoniec go wycisnie. Albo to zdrada nie

idzie za nieszczęściem, jak pies za swoim panem? Co mam gadać? wszak delikatny rozum jaśnie pana to lepiej widzi, niż prosty żydek, który pracuje dla kawałka chleba.

Kniaź zdawał się być mocno poruszonym i usiadł w swoim krześle. Przez jakiś czas zostawał w milczącym zamyśleniu, jakby chciał skupić wszystkie zdolności skołatanego umysłu.

Żyd go z oka nie spuszczał, i poznał z tą przenikliwością właściwą jego plemieniu, że wahając się, szala jego duszy przechylać się zaczyna stronę rozsądku. Stał oparty na kiju, nieruchomy jak posąg; nawet z wyrazu jego twarzy nie można było nic wyczytać, a jednak jego serce było pełne radości, bo już był pewny pomyślnego skutku swojego poselstwa. Nakoniec kniaź przerwał milczenie temi słowy:

— Żydzie, czy masz jakie upoważnienie na piśmie, do zawierania zemną umowy?

— A broń Boże! jakżeby chudy pacholek podpisywał pismo z tak wielkim monarchą? Ja i pisać po waszemu nie umiem.

Posłano mnie do jaśnie pana, aby mu powiedzieć, czego chcą od niego; bo wiedzą żem jego sługą, i mówią ludzie, że jaśnie pan na mnie łaskaw, bo tak się boją jaśnie pana, że nikt do niego nie chciał jechać, aby go jaśnie pan jak się rozgniewa, nie kazał zaraz powiesić; a żyda, choć powieszą, to nie szkoda. Ja się na to odważyłem, bo wiem, że jaśnie pan z prędkości czasem zły, ale masz wspaniałą naturę. Ja długo gadałem, bo przez słowa serce mięknieje, a że już się udobruchało, więc teraz pozwoli mi jaśnie pan, złożyć mu czarno na białém, to co hetman w imieniu króla żąda od niego; — i wyjął z zanzadruza papier, na którym były spisane punkta kapitulacyi. Papier podpisany przez hetmana, a który oczekiwał podpisu kniazia.

Kniaź wziął go z rąk żyda i po ciechu zaczął czytać; nic tam nie było innego, tylko to o czém już go był objaśnił.

Kniaź po skończoném czytaniu powstał z krzesła, wziął Josia za brodę, i rzekł do niego łagodnie:

— Słuchaj Josiu; jeszcze mamy kilka godzin do zachodu słońca. Ruszaj-że zaraz do hetmana, i zanieś mu ostatnie moje postanowienie. Niechaj pozwoli Zawalidrodze przybyć do mnie na godzinę; muszę z nim koniecznie pomówić. Po upłynionej godzinie, albo zgodziwszy się na punkta mi podane zamek z jego załogą zaraz mu oddam, warując sobie do jakiegoś czasu w nim mieszkanie, ale bez władzy, i odnowię przysięgę wierności królowi Janowi Kazimierzowi, albo odrzucę zgodę, a w takim razie daję słowo honoru rycerskiego, że odeślę Zawalidrogę hetmanowi, aby z nim postąpił jak mu się podoba.

— Z przeproszeniem jaśnie pana, z tego nic nie będzie; hetman pomyśli, że jaśnie pan chcesz tylko mieć swojego wiernego kozaka

przy sobie, a jak go dostaniesz z nim bronić się będziesz, i nie oddasz go hetmanowi.

— At, głupi jesteś z całą twoją przenikliwością! Gdyby to mi szlachcic powiedział, dałbym ja jemu; tylko żeś żyd, przebaczam tobie, że nie rozumiesz co to jest honor rycerski. Ale hetman go rozumie, i zaręczam, że jak otrzyma moje słowo, w tym względzie nie będzie z jego strony najmniejszej trudności. I czegoż stoisz, jakbyś był wrosły w podłogę? Ruszaj do hetmana z tém, po co cię do niego posyłam; czas i jemu i mnie jest drogi.

— Z przeproszeniem jaśnie pana; ja o jedną rzecz tylko poproszę.

— Czegoż chcesz?

— Widzi jaśnie pan, hetman jest także wielki monarcha, chociaż nie tak wielki po przodkach, jak książę Dorohostajski, a więc i on umie się gniewać. Jak ja do niego powrócę tylko z gołym słowem, to on z prędkości może mnie nie każe powiesić, ale jak mnie obić każe, na co mi się taka konfuzyja przyda?

Niech jaśnie pan kilka słów napisze do pana hetmana, aby on wiedział co ma robić, a ja mu list oddam, i potem co mam gadać, ten list wszystko lepiej powie.

— A jak naprzykrzone żydzisko. Pisać nie lubię, a już drugi raz zmusza mnie do tego; przynajmniej że to raz ostatni.

Uderzył w bęben koło krzesła stojący, a który był jego dzwonkiem; dwóch pokojowych nadbiegło, kazał im przybliżyć stolik, a na nim wszystko co było potrzebne do pisania. Pisał, a żyd stał zawsze oparty na kiju i wpatrywał się w księcia, jakby chciał z twarzy wyczytać to wszystko, co on pisał. Trwało to z pół godziny; poczem książę opieczętował list, oddał go Josiowi mówiąc: — Postawiłeś na swoim, ruszajże do hetmana! Obaczysz, że jak go odczyta, pośpieszy dla widzenia się ze mną przed bramą mego zamku, i wtedy dopiero poznasz, czym są prawa rycerskie. To rzekłszy, powtórnie zabębnił, i przybyłym pokojowym dał rozkaz, aby przywołali oficera od warty. Skoro ten nadszedł, powiedział mu: tego żyda oosyłam z ekspedycją do obozu nieprzyjacielskiego, każ go waść odprowadzić po za bramę, i miej w baczeniu, żeby aż po za naszą linią żadne niebezpieczeństwo, żadna przykróść go nie spotkały.

Wszystko to się dopełniło. Sam oficer od warty przeprowadził go aż do posuniętej straży obozu hetmańskiego, żeby jaki kozak przez swawolę nie strzelił do żyda, poczem go pożegnał, wzięwszy od niego w upominku przy rozstaniu się zegarek srebrny na pamiątkę, i powrócił do zamku, dla zameldowania księciu, że jego rozkazy spełnione zostały.

Jos Dreczkier stanął przed hetmanem, i jak to zapowiedział, gęby

nie otworzył, a tylko list hetmanowi wręczył. Przelatywała przez myśl jego obawa, czy zuchwały książę czasem nie napisał coś obraźliwego dla hetmana, a tém samém czy nie podlegnie bolesnej burzy? Jakież było jego zadziwienie, kiedy list odczytawszy, hetman jemu żadnego nie robił zapytania, a tylko dał rozkaz, aby trębaczów wysłano na pistoletowy wystrzał od bramy głównej zamku Dolskiego z jednym oficerem, którego naznaczył, a któremu rozkazał, aby po otrąbieniu się, oświadczył dowódczy straży bramy, że hetman wielki Litewski na wezwanie kniazia, lada chwila przybędzie, żeby się z nim widzieć. Skoro tylko trębacze przestali dać się słyszeć, poszedł piechotą z niewielką asystencją ku wałom Dolska, a co jeszcze więcej zadziwiło Josia Dreezkiera, rozkazał, aby Zawalidroga za nim poszedł prowadzony przez dwóch żołnierzy hetmańskich. Bo chociaż dźwigał żelazne pęta, jeszcze się obawiano aby nie uciekł, jak swoich obaczy na wałach. Joś tak się bał, żeby to spotkanie się hetmana z kniazem nie wywołało swarów i bitwy, że lubo hetman kazał mu iść za sobą, żyd się schował w obozie, że go wynaléźć nie można było.

Przybył hetman, i już zastał gotowego na jego spotkanie kniazia, który dał znak, aby dla powitania najwyższego wodza Litewskiego rycerstwa, wszystkie armaty wałowe dały ognia, i żeby z nich wypaliwszy, już ich powtórnie nie nabijano.

Hetman to wszystko zauważył i wdzięcznie przyjął.

Obaj wodzowie przywitani się, jak dawni przyjaciele; jeden przed drugim nisko się uklonił, i podali sobie na pozór przynajmniej życzliwe dłonie. Niewypowiedziany wyraz radości zabłysnął na twarzach wojewody i Zawalidrogi, kiedy się obaczyli. Kozak, pomimo swoich kajdan, padł do nóg swojemu panu, a ten gdy go podniósł, kilka łez wysączyło się po jego jagodach.

Rozmowa między wodzami trwała krótko, bo czego wojewoda zażądał, na to hetman jak najuprzejmiej przystawał.

Stańto na tém, że pozwolił Zawalidrodze dwie godziny zabawić w zamku, a książę dał rękojmię na swoim honorze, że po tych dwóch godzinach, albo odprawi kozaka okutego do hetmana, co już będzie oznaką uporeczywój wojny, albo rozkutego z kapitulacją podpisaną ręką swojego pana. W tym ostatnim wypadku, bramy zamkowe mają być otwarte, armaty z wałów wytoczone, a załoga wyjdzie z zamku, złoży broń w kozły przed obozem hetmana, i odda się jemu pod jego rozkazy.

Po czém hetman ze swojemi pożegnał kniazia, który najspieszniej ze swoim Zawalidrogą powrócił do swojego zamku, i z nim w swojej komnacie zamknął się, aż dopiero po dobrej półtorej godziny z niéj wyszedł, zawsze ze swoim kozakiem.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Po dłużej rozmowie z Zawalidrogą książę zdawał się być zupełnie innym niż wprzód. Jego słudzy zauważyli w nim na wstępie jakąś odmianę w sposobie jego z nimi postępowania, jakąś łagodność jemu niezwykłą. Wszystkich więźniów rozkazał swobodnie wypuścić, żołnierzom załogi wynurzając wdzięczność za ich wierność; nie tylko że zaległy żołd kazał odliczyć, ale nawet każdego, stosownie do jego stopnia jakimś datkiem obdarzył, a kiedy ich zebrawszy oświadczył im, że składa nad nimi dowództwo, że już nie ma prawa im rozkazywać, i że komu innemu mają być odtąd posłuszni, a tylko że ich przeprosza, jeżeli któremu z nich mógł się naprzykrzyć, płacz, zwłaszcza kozaków, był całą ich odpowiedzią.

Książę do końca pokazał się mężnym; najmniejszej nie zdradził słabości, a jednak po niezwykłej bladeści jego cery można było poznać, że straszne ukryte burze tłoczyły się w jego sercu. Oparty na kiju uzbrojonym toporem, z ciężkością przenosił się z miejsca na miejsce, bo chociaż umiał tłumić powierzchowne oznaki smutnych uczuć, któremi jego dusza była przepełniona, jednak téj walki nie wytrzymał bez szkody, gdyż po rozmowie jaką miał z hetmanem, noc przeżył w niemałych cierpieniach, a rana, którą kiedyś dostał w nogę, téjże nocy się otworzyła i dawała mu czuć niemiłosiernie boleści.

Później nastąpiła druga scena, niemniej rzewna od pierwszej, kiedy pan Oskierka, zięć hetmana, z asystencją okazałą, w której się mieścił i Zawalidroga, przybył do kniazia, i wręczył mu kapitulacyą podpisaną przez hetmana w zamian téj, którą był stwierdził swoim podpisem, i odesłał hetmanowi przez Zawalidrogę. Książę odczytawszy ten papier, dał rozkaz swojej załodze, aby natychmiast opuściła twierdzę i udała się do obozu hetmana, aby przed nim złożyła broń w kozły i czekała jego rozkazów. Milicya kniazia, jego kozacy, a nawet szlachta, która jemu była posłuszną, ze łzami go pożegnała, a sam książę, jakkolwiek mężny, nie mogąc utaić swojego rozrzewnienia, zaprosił pana Oskierkę do swojej komnaty, tłumacząc się przed nim, że rana, która mu się otworzyła, tyle mu dokucza, że nie czuje się w siłę dłużej utrzymać na nogach.

Wszli obaj do komnaty kniazia; książę rzekł do pana Oskierki:

— Mości strażniku, proszę się rozgościć i usiąść, a mnie odpuścić, że już siadłem w mojem krześle; ale jak waszność obaczysz moją nogę, pewnie mnie wymówisz przed hetmanem, że nie śpieszę do niego z uszanowaniem.

— Nie masz potrzeby, mości wojewodo, pokazywać mi na nodze

dowodów swojego męstwa, i swojej niemocy. Jego słowo aż nadto jest dostateczną rękojmią prawdy.

— Nie, nie, mości strażniku! Jesteś mężem doświadczoneym w rycerskiem powołaniu; widok ran nie może cię razić, bo sam jesteś z niemi spoufalcony.

To rzekłszy, posłał za swoim nadwornym feclerem, który mu nogę zaczął opatrywać w przytomności strażnika. Rana była tak rozjątrzona, i tyle boleści musiała mu zadawać, że nie można było nie podziwiać hartu téj duszy, iż niczém nie zdradzała swoich cierpień.

Wojewoda, po skończoném opatrzeniu swojej nogi, odezwał się do pana Oskierki:

— Przekonałeś się waszmość własnymi oczami, że kiedy użalałem się na moje boleści, to nie dlatego, żebym się pieścił. Dla spełnienia rozkazów hetmańskich, kilka godzin stać musiałem na nogach, i szwankuję na zdrowiu, bo nie chciałem szwankować na mojej powinności. Zasługuję więc, aby hetman nie odmówił mi swoich nawiedzin, i raczył ze starszyzną swoją dziś u mnie obiadować. Wyprawię waszmość panem mojego Oleszę, który ma szczęście być znanym JW. hetmanowi, i jego łaską się zaszczyca; on w moim imieniu będzie z nim traktował o różnych pomniejszych okolicznościach, które nie były objęte w umowie przez nas podpisanéj; nie dlatego, żeby mu jakie nowe warunki podawać, broń Boże! ale żeby mu oświadczyć niejaki moje żądania. Gdy kołaczę jedynie do jego łaski, w tém zdaję się na jego wolę, w nadziei, że dla dawnego kolegi i towarzysza broni nie zechce okazać się zbyt twardym, a owszem nie odmówi mi w moim nieszczęściu pociechy; a ponieważ upoważniłem go, by zaprosił JW. hetmana na mój obiad, tuszę że waszmość dobrém słowem raczysz go wesprzeć przed swoim ojcem, aby biedny Olesza ze wstydem do mnie nie powracał, iż jemu nic się nie powiodło.

Po téj krótkiej rozmowie, pan strażnik i pan Olesza, który już dnia poprzedniego długą miał konferencyę z wojewodą, wyruszyli do obozu hetmańskiego, i udali się do jego namiotu, odznaczającego się od innych chorągwią z pogonią Litewską, która nad nim powiewała. Jego wnętrze uderzały przepychem.

Bogate karmazynowe makaty tureckie ze szlakami zielonemi, zawieszone były na ścianach i pokrywały pułap namiotu; kruszec w nim kojarzył się z jedwabiem a ze wszech stron spadały złote kutasy. Na środku namiotu był stół, czerwonym suknem zasłany; na nim papiery, hetmańska buława, buzdygan, mszał na którym hetman był wezwyczajony się modlić, i paciorki z drogich kamieni, dar Ojca Świętego, otrzymany w czasie, kiedy dla interesów duchownych rzeczypospolitéj przez króla Zygmunta był wysłany do Rzymu, i kilka sztuk

broni bogato oprawnéj. Skromna pościel hetmana stanowiła kontrast z przepychem ubrania namiotu, składała się albowiem z dwóch skór niedźwiedziej z sobą zeszytych, na nich łosia skóra zamiast prześcieradła; kulbaka służyła mu za poduszkę, a płaszcz za kołdrę. Obok téj pościeli leżała skóra kasztanowata po ulubionym jego koniu; na niéj wylegiwał się brytan nadzwyczajnéj wielkości, a doświadczonej odwagi wierny stróż pana, który zdawał się przenikać jego wolę

Strażnik Litewski i pan Olesza nie poszli prosto do hetmana, gdyż po krótkim opowiedzeniu się przy warcie obozowéj spotkali pułkownika Reytana, buńczuczno hetmańskiego, który ich nieco dłużej zatrzymał rozmową swoją. Od niego się dowiedzieli, że hetman robił przegląd wysłanej do niego załogi, i że ją odesłał bez broni do Pińska, gdzie miała czekać na dalsze przeznaczenie. Już uczynił był swoje rozporządzenia, aby najdalej za parę godzin pan Tryzna objął dowództwo zamku Dolskiego, zajmwszy go nową załogą, wydzieloną mu z wojska hetmańskiego, i dał mu rozkaz, aby spisał registr wszelkiéj amunicyi i rek wizytów wojennych, jakie w nim zastanie, i ten spis jemu odesłał, zastrzegając aby tylko żywność i tę amunicyę owładał, a wszystko inne, jako własność prywatną kniazia wojewody, nie wazył się kwestyonować. Zalecił mu także, aby objął skrzydła zamkowe i wszelkie bastiony, a sam korpus, ze wszystkiém co w nim znajduje, zostawił na mieszkanie i użytek wojewody.

Tak o wszystkiém ich oświeciwszy, poprowadził ich pod namiot hetmański; tam ich poprosił, aby raczyli się zatrzymać chwil kilka, póki nie zamelduje hetmanowi i nie przyniesie jego pozwolenia, gdyż jak im musi być wiadomo, nikomu nie wolno wchodzić do kwatery hetmańskiéj, tylko jego buńczuczno i oficerowi od warty. Niedługo go oczekiwali; buńczuczno powrócił i wprowadził ich przed hetmana.

Zastali go siedzącego w swoim krześle karmazynowym aksamitem obitém, i w obozowéj odzieży. Miał kaftan łosi, na nim koleczkę, karmazynowe hajdawery, a na głowie czapkę ozdobioną kitą z czaplich piór. Właśnie w téj chwili posilał się śniadaniem. To śniadanie nie było wykwintne, a nawet w Polsce niezwyčajne; maczał suchary w puharze farfurowym, nalany zbitniem, napojem składającym się z mięty, patoki, pieprzycy i wody kipiącéj, który służył jego zdrowiu, a do jakiego był nawykł w kilkoletniéj niewoli w Moskwie, do którój się dostał przy końcu wojen Dymitra Samozwańca, a téj niewoli koniec położył wspaniałomyślny car Michał Fedorowicz, który nie tylko że pozwolił mu wrócić do Litwy, ale nawet go obdarzył hojnie, za co tyle wdzięczności mu dochowywał, że zawsze jego wizerunek nosił na piersiach.

Gdy weszli, brytan, w osobie pana Oleszy spostrzegłszy cudzego, zerwał się i zaskowyczał; ale gdy hetman powiedział: leżeć, to swój; posłuszny pies położył się pod krzesło, z oka jednak nie spuszczać nieznanego sobie gościa. Pan strażnik przedstawił teściowi pana Oleszę. Gdy hetman usłyszał to nazwisko, przyłożył rękę do czapki i rzekł:

— Kłaniam się waści, mości Oleszo, wszakże to mój znajomy od lat niemało. Tyle przeżywszy z panem wojewodą Witebskim, całkowity jego dwór na pamięć umiem. Waści się nie powiodło w Potuszy z księciem Olbrachtem i z księciem Wojciechem Dorohostajskim. Starego lisa młode charty przechytowały. „Szczęście i baba za młodym propadają, a wid staroho utikają, szczoz robyty“. To waści powinno pocieszać, że jak nadeszła zła godzina, i samemu wojewodzie nienajlepiej się powiodło. Pardon, po cóż warczysz! czy tak naszych przyjaciół przyjmujesz? Przymil się zaraz temu gościowi.

Na te słowa zerwał się brytan, przybliżył się do pana Oleszy, stanął dębem, położył przednie łapy na jego ramionach, i niemało mu strachu napędził, kiedy go liznął po obu policzkach.

— Znajomość już zrobiona; teraz mi leżeć cicho.— Posłuszne psisko znowu się wcisnęło pod krzesło, i położyło się jak nieżywe.

— Mości panie Oleszo, czémże będę waści służył w moim obozie? Mojem śniadaniem wzgardziłbyś, bo to jest dla mnie więcej lekarstwem niż posiłkiem. W czasie długiego a poniewolnego mojego pobytu w Moskwie, do takiego przywykłem, i dobrze mi jest z nim. Jest stare przysłowie:

Kto pożywa słodczy, nigdy surowizny,
Ten się może doczekać podeszłej siwizny.

Od trzydziestu z górą lat co dzień naczecz piję szklankę zbitniu, i chwala Bogu od lat trzydziestu nie znam ani lekarzów, ani ich ła-cińskiej kuchni, i jak waś widzisz, jeszcze na siłach nie upadam. Ale miłego gościa lekarstwem się nie przyjmuje.

Do waszmości należy, mości panie zięciu, zająć się gościem, któregoś mi przyprowadził, żeby nas pożegnał syty, wesoły i należycie ugoszczony.

A teraz racz powiedzieć, po co tu do nas przybyłeś?

— Po pierwsze; dla złożenia mojej czołobitności szlacheckiej u stóp jaśnie wielmożnego pana; powtóre jestem posłany od kniazia wojewody Witebskiego, mojego pana, do jego dostojnej osoby, żeby go wymówić, iż użył trzeciej osoby dla złożenia przed nim hołdu swego uszanowania.

Mój pan zna swoją powinność i na tém niemało cierpi, że oso-

biście jój dopełnić nie może, ale z pomiędzy tylu ran, któremi jest okryty, jedna zapewne nie dobrze zagojona, w skutku pracy jaką miał omal nie całą dobę, spełniając rozkazy JW. pana, i poruszeń, jakich z tego powodu doświadczał, otworzyła mu się i nie pozwala mu stać na nogach. Śmie więc przezemnie upraszać JW. pana, byś raczył przyjąć dziś u niego obiad, a wzywam tu świadectwa JW. strażnika Litewskiego, a któremu mój pan pokazał swoją nogę; ten niech powie, czy mój pan jest w możności opuścić swoje krzesło.

— Tu świadectwo mojego zięcia wcale niepotrzebne; aż nadto wierzę waścinemu słowu, danemu w imieniu pana wojewody, którego słowność jest znaną całemu narodowi, a cóż dopióro mnie, jego kole-dze w szkołach, w obozach i w senacie. Wszakże lat temu czterdzieści pięć jak się zawiązała nasza znajomość. Miałem wtedy lat szesnastcie, a książ Daniel, jak go wówczas nazywano, był odemnie dwoma laty młodszy. Chodziliśmy na akademię w Wilnie, gdzie ani jego, ani mnie niewiele nauka zajmowała. Jemu nie dziw, bo był panięciem; ale ja, chudopacholskich rodziców, taki wstręt miałem do książki, jak gdybym był synem magnata; a że mi się naprzykrzyły ka-stygacye szkolne za niepilność i swawolę, więc drugiego roku ucie-kłem ze szkół, i przystąpiłem na szeregowego do chorągwi świętej pamięci Pawła Sapiehy, starosty Uświęckiego, i choć ledwo umiałem czytać i pisać, jakoś wyszedłem na człowieka bez pomocy nauk książ-kowych, któremi tylko serce mięknieje. Otarcie się o ludzi i wojna, to są prawdziwi mistrzowie, i oni mnie wychowali. Toż samo i pana wojewodę Witebskiego. Zestarzałem się, służąc lub hetmaniąc; mogę powiedzieć, że całkowite rycerstwo Litewskie przeszło przez moje ręce, a w czterdziesto-kilkoletnim zawodzie, często widziałem wodzów, nie umiejących nawet sylabizować, a jednak dzielnie dopełniających swoją powinność, zaś rzadko kiedy mieliśmy pociechę od tych, co to ich nazywano uczonymi.

Hetman Gąsiewski sam siebie ukształcił, i mógłby uchodzić za uczonego. Był wielce odczytany, bo w chwilach wolnych od zatrudnień publicznych oddawał się naukom, zwłaszcza dokładnym; ale w obozach oprócz książki do nabożeństwa, żadnej innej nie cierpiał, ani dla siebie, ani dla podwładnych, i nielitościwie szydził z tych, co się poświęciwszy rzemiosłu rycerskiemu, gdzie tylko działać potrzeba, jakąś cenę do rozumowania przywiązywali. Ludzie prawdziwie uczeni, a tém samém umiejący oszacować nauki wedle ich rzeczywistej wartości, byli wyrozumiali na te jego powstawania przeciw naukom w ogólności, ale ludzie niedouczeni, a mający pretensyę do nauki, w jakich zawsze Polska obfitowała, biorąc to za osobistą urazę, za targnienie się na ich iściznę, pomawiali go o ciemnotę i barbarzyństwo, i nie skąpili pokątnych potwarzy, dla osławienia go przed publicznością. Ale

tu niczego podobnego nie mógł się obawiać, bo usiłował nawracać już aż nadto nawróconych.

Pan strażnik był wszystkim znany ze wstrętu, jaki czuł do książek i tych co je wydają, i z tém się nigdy nie taił, że miłsze mu towarzystwo dojeżdźacza, niżeli najzawołanego filozofa lub poety; a pan Olesza od urodzenia swojego nigdy nie wziął do ręki książki nawet nabożnej, i z pamięci tylko się modlił. Wszystkich czytających miał za najwierutniejszych próżniaków, a więc to wszystko, co mówił hetman, tak mu do myśli przypadało, że w nim podwajało się uwielbienie, jakie zawsze czuł dla niego.

Hetman, skończywszy swój ustęp, a zwracając mowę do samego interesu, dodał: — Będę służył wojewodzie na obiad, i miałbym sobie wiele do wyrzucenia, gdybym kiedykolwiek nie stanął na wezwanie tak szanownego, a zawsze dla mnie miłego męża.

— Mości panie buńczuczny, ruszaj waś do JMé pana Wołodkowieza kasztelana Mińskiego, Młodszy senator niech raczy pofatygować się do starszego; powiedz mu odemnie, że ja go proszę, żeby natychmiast udał się do zamku Dolskiego, i niech oświadczy panu wojewodzie Witebskiemu, że o pierwszej po południu, da Bóg doczekać, stanę przed nim z dwudziestoma szlachty, których w jego imieniu zaproszę do jego stołu, a waś, mości panie strażniku mój zięciu, zaprowadź pana Oleszę do swojego namiotu, żeby w nim raczył się posilić.

Pan Olesza się uklonił i odrzekł: — JW. panie, o dwóch powodach mojego do niego przybycia miałem zaszczyt go oświecić, ale jest jeszcze trzeci najważniejszy, o którym dotąd nie wspomniałem, a mój pan zalecił mojej wierności odkryć go przed JW. panem.

— A dobrze mości panie; gotów jestem uprzejmie słuchać tego, czego żąda pan wojewoda.

— Ale kiedy z przeproszeniem JW. strażnika tu przytomnego, przed nikim nie wolno mi o tém mówić, a tylko przed samym JW. panem.

— Rozumiem! a więc semotis arbitris z sobą rozmówimy się.

Mości panie strażniku mój zięciu, zostaw nas samych, i zaleć dziennemu oficerowi baczenie, ażeby nikt się nie ważył wniknąć do mojego namiotu, dopóki pan Olesza w nim pozostanie.

Skoro zostali sami, hetman, który przestrzegając swojej powagi dotąd nie upoważnił ani strażnika, ani pana Oleszę do usiedzenia, powiedział temu ostatniemu: — Przysuń waś ten taboret do stołu, siadajmy, i opowiedz swoją rzecz jak najdokładniej.

— Ach jaśnie panie, czyż to mnie i chudemu pachółkowi przystoi siedzieć przy.....

— Siadaj waść, tak chcę! — a gdy pan Olesza usiadł, łagodniej-
szym głosem rzekł do niego: — Zaczynaj waść!

— Jaśnie wielmożny panie, mój pan ze skwapliwością poddanego
dał dowód, że żaden rozkaz króla jegomości, nie jest dla niego cięż-
kim do spełnienia. Żeby się miał spierać z panem swoim, żeby miał
się odważyć podawać mu jakikolwiek warunek, podobnej myśli przy-
puścić nie może; ale kiedy chodzi o jego sławę, czyż mu się za złe
godzi poczytać, iż ośmiela się prosić o łaskę, która jedna jest zdolną
osłodzić mu to jego ponizenie, które więcej czuje, niż to wymówić
zdołam? Z niczém nie przychodzę do JW. pana, tylko z jego prośbą.
Mój pan tuszy, że instancya JW. pana, gdy mu nie będzie odmówiona,
ta prośba skutek otrzyma.

W przeciwnym razie, jeżeli JW. pan odmówisz mu swojego wsta-
wienia, jeżeli jego nadzieja spełźnie, z żalem, z rozpaczą to niepowo-
dzenie przyjmie z korném sercem, zgodzi się z wolą Pana Boga. I po-
kilkakrotnie powtarzał przedemną: — W tém spuszczam się na życzli-
wość i światło hetmana, wiem że mi pomoże.

— Dziękuje mu za ufność, jaką pokłada we mnie, i pewnie o ile
to odemnie zależeć będzie, na niój się nie zawiedzie. Powiedz tylko,
w czém mogę mu być pomocnym?

— Niektóre przedmioty są tak drażliwe, że prawdziwie niemoc
mojego pana może być przez niego uważana za szczęśliwy wypadek,
gdyż ona postawiła go w takim położeniu, że trzeciój osoby może
użyć do traktowania z JW. panem o tém, o czém jemu samemu może
byłoby trudno, nazbyt upokarzającym.

Jakkolwiekbyś, mój pan zasługuje na jakieś względy, tém więcej
że jest nieszczęśliwym, a wymagać od niego, by się rozwodził nad tém
co go zawstydza, i to przed swoim zwycięzcą, jest nadto przeciwne
wspaniałomyślności JW. pana. Nadto znam szlachetny sposób my-
ślenia JW. pana, abym wątpił, iż owszem, sam uprzedzisz jego żada-
nie, uwalniając go od tłumaczenia się w tak przykrém dla niego po-
łożeniu

— Aż nadto rozumiem, że są rzeczy, o które nawet potraćć nie
wypada rozmawiając z najściślejszym przyjacielem; i chwała Bogu
nikt mi dotąd ani lekkomyślności, ani niezręczności w obcowaniu
z ludźmi nie wyrzucił, a pana wojewodę Witebskiego mniej niż kogo
innego chciałbym zmartwić. Ale na co te wszystkie przedmowy? Przy-
stąpmy do rzeczy, abym nakoniec dowiedział się, w czém wojewoda
żąda mojej pomocy, i czy mogę być tyle szczęśliwym, aby ta pomoc,
którą z góry przyrzekam, stała się jemu przydatna?

— Jaśnie panu wiadomo, że najgłówniejszemi z warunków, które
podane zostały mojemu panu dla otrzymania przebaczenia, a na które
bez wahania się zezwolił, są: zezwolenie na rozwód z żoną, i przyzua-

nie kniazia Wojciecha za synowca i spadkobiercę. Aż nadto jest przekonany, że ta żona jego jest temuż kniaziewi przeznaczona. Jakkolwiek te warunki mogą być dla niego uciążliwe, nie chce się o nie rozpierać z panem swoim, i gotów jest okupić tak drogiemi ofiarami tę łaskę, którą inni jego współtowarzysze darmo otrzymali. Nie tylko że żadnej przeszkody nie użyje ze swojej strony względem tego rozvodu, ale sam bierze na siebie jego ułatwienie. Ten związek w widokach politycznych zawiązany, dziś, kiedy rzeczy przybrały zupełnie inną postać, już przestał być dla niego powabnym. Pokąd był naczelnikiem poważnego stronnictwa, obowiązki jakie miał dla niego nie pozwoliłyby mu nigdy potargać tego związku, który służył za rękojmię jedności jego stronnictwa z partją Radziwiłłowską.

Teraz, kiedy już nie głową stronnictwa, ale jest prostym obywatelem, kiedy każdy jego postępek nie innym, ale tylko jemu samemu korzyść lub szkodę przyniesie, chętnie wyzna, że to jego małżeństwo nigdy nie było rzeczywistém małżeństwem. Po takowém wyznaniu obu stron i u nas rozwód nie mógłby być odmówionym, a cóż dopióro w niemieckiej wierze, której i mój pan i JW. wojewodzina są wyznawcami. Więc tę okoliczność należy uważać jako już załatwioną.

— Nie inaczej, mości panie Oleszo, a że rzecz tak jak już skończona, a więc nie ma potrzeby nad nią się rozwlekać.

— Tak jest JW. panie; ale drugi warunek jest dla mojego pana wielce uciążliwy. Nie uchyla się od spełnienia onego, kiedy w ręce JW. złożył wszelkie środki, jakie mu posłużyć mogły do oporu. Udaję się tylko z prośbą o radę i wstawienie się JW. pana, w imieniu starój przyjaźni i kilkunastoletniego koleżeństwa, nie żeby go uwolnić od tego warunku, broń Boże! ale o to, żeby w jego dopełnieniu sława jego była ocaloną.

— Do czego to waść mówisz? Tłómacz się jaśniej.

— Wiadomo JW. panu, że brat młodszy pana wojewody, książę Stefan, dni swoje zakończył za granicą, po zawarciu związków małżeńskich, które nigdy w jego domu uznane nie były.

Pozostali po nim wdowa, i syn, który się wstawił w obozach królewskich pod nazwiskiem Gaskolda; tego mój pan nigdy nie uważał być krwią swoją. Nie nam sługom przyganiać postępkom naszych panów.

Tyle tylko powiem, że jeżeli pan wojewoda okazał się być stryjem zanadto twardym, w tém dopełniał obowiązków dobrego syna, gdyż matka jego, świętej pamięci starościna, na śmiertelném łożu go zakłęta, aby nie dopuszczał syna kniazia Stefana ani do dóbr, ani do imienia Dorohostajskich. Dziś mój pan zmuszony jest przyznać za krew swoją tego, którego zawsze od siebie odpychał, którego nawet *prześladował*.

— Umiem wchodzić w położenie wojewody; pojmuję, że to dla niego kęs niełatwy do zgryzienia, ale cóż na to poradzić? Taka jest wola króla jegomości, takie jest żądanie wszystkich co króla otaczają.

— To też wojewoda od tego się nie uchyla; chciałby tylko, żeby w obliczu narodu to nie było wymożone od niego prawem zwycięzcy nad zwyciężonym, ale żeby było uważane jako skutek własnego przekonania.

— Nic sprawiedliwszego nad to jego żądanie; pojmuję, jak to musi być dotkliwem, zwłaszcza dla dumy tak wyniosłej, być zmuszonym uznać za swojego spadkobiercę tego, którego się nienawidzi. Czyn wymuszony zawsze nieco poniża, i dlatego mąż szlachetny, dopełniając rozkazy niemiłe, przemocą wymożone, usiłuje przybrać postać dobrowolnie działającego, bo to jest cechą podłego niewolnika, być posłusznym a szemrać. Ale cóż uradzimy, aby jednocześnie i wola królewska była spełniona, i szlachetna duma wojewody ocalona?

— Nic łatwiejszego JW. panie. Mój pan w Dolsku w jego szanowne ręce złożył wszelką władzę, tak dalece, że oprócz swojej osobistej usłudze, nie ma nikomu nic do rozkazywania, i pewnie, że mąż zawsze nawykły do władzy, takiego położenia nie wytrzyma. Podejrzewam go, że jak tylko ułatwi się z synowcem, wyniesie się z kraju, i nie tylko że mu schedę na niego przypadającą, ale nawet wszystkie dobra, które posiada w Rzeczypospolitej spuści, a będąc kniazem Buskim, i mając majątek znaczny w okolicach Smoleńska, przysięgnie na wierność carowi i zostanie jego poddanym; nawet z czémś podobnym się wymówił. O to mu tylko idzie, aby jakoś gładko ułatwić się, bez sromu, ale jak to ludzie mówią, po Bożemu. Czyby nie można tak ułożyć, aby książę Wojciech przyjechał do Dolska dla nawiedzenia stryja chorego? Dobrzeby było, aby książę Olbracht i jego siostra także przyjechali, bo jużci lepiej rozstać się z sobą po przyjacielsku, niż z sierdziostością. Wtenczas wojewoda, jakby ruszony sumieniem, otworzyłby synowcowi swoje ramiona, oddałby mu co jego, a nawet już z nim rozwiedzioną wojewodzinę, która przecie nie może nie zachować dla mojego pana przyjacielskiej pamięci, gdyż to pewna, że w przeciągu ich jakiegoś pozycia nigdy jój się nie naprzykrzył, niezego jój nie żałował, cierpkiego słowa jój nie powiedział, panią była w domu, a pan wojewoda jój pierwszym sługą. Niech sama powie!

— Waść niezłą dajesz radę, ale o to idzie, czy jój posłuchają? Czy książę Wojciech zawierzy takiemu stryjowi, żeby aż samemu oddać się w jego ręce; toż i książę Olbracht. A jakby panią wojewodzinę do tego skłonić? Jakoś to niegładko nawiedzać tak daleko męża, którego się opuszcza.

Nakoniec, oprócz kniazia Wojciecha, któremu jako synowcowi ko-

rona z głowy nie spadnie, że się upokorzy, choćby przed niesprawiedliwym stryjem, nie widzę potrzeby, aby ksiązę Olbracht i jego siostra brali udział w téj pokorze. Wszakże żadnych obowiązków nie mają dla pana wojewody. Wreszcie, jakżż pozór dać temu, i coby o tém ludzie powiedzieli?

— O gadanie nie dbać, kiedy się dobrze czyni, a co tylko przyczynić się może do zjednoczenia poważnionych, jest uczynkiem chrześcijańskim i szlachetnym. Pan wojewoda nie jest od tego, aby do synowca napisać list za serce chwytający, i tyle znam księcia Wojciecha, że nie wątpić, iż skoro go odbierze, pośpieszy po błogosławieństwo stryjowskie. Stryj, JW. panie, to wielka władza w obliczu synowca, zwłaszcza kiedy już ojciec nie żyje. O to pokój! A ksiązę Olbracht, byle zaproszonym został, nie puści przyjaciela samego, chociażby przez obawę, aby go jakie niebezpieczeństwo nie spotkało, lubo nie pojmuję, aby kto mógł przypuścić jakieś niebezpieczeństwo tam, gdzie pan Tryzna rozkazy daje, a mój pan jest gościem, a nie władcą. Zaś co się tyczy JW. wojewodziny, Maniewicze, jój dobra posagowe, leżą niedaleko Dolska; cóż dziwnego, że po uspokojeniu téj części rzeczypospolitéj zechce okiem rzucić na swoją własność? bo jużci, gdy się rozstaje z mężem, jój wypada ustanowić zarząd majątku. Sprawa rozwodowa niedługo potrwa; mój pan gotów jest podpisać wszelkie punkta, jakie mu do tego podadzą. Nullitas małżeństwa zeznaniem obu stron tak jaśnie będzie udowodnioną, że, jak-em to powiedział, gdyby należeli do kościoła polskiego, rozwód nie mógłby być im odmówiony, a cóż dopiéro w wierze niemieckiej.

— Wierny z waści sługa, mości panie Oleszo, a do tego wielce roztropny, i jeżeli pan wojewoda przeniesie się do Moskwy, książ Wojciech nie może nie zostać dla waści tém, czém był jego stryj, bo nie przypuszczam, abyś miał za przykładem pana wynosić się z kraju, gdzie prawem dożywotniém posiadasz kawał ziemi.

Ja jutro śpieszę do Warszawy, wszystko tu zdając na pana kasztelana Mińskiego i mojego zięcia. Sam wręcę królowi jegomościę poddańskie pismo wojewody, a kniaziowi Wojciechowi list, który ułożym. Mam tu z sobą wielkiego prawnika, pana Romualda Dębowskiego, wicesgerenta Wołkowyskiego; będzie on wraz zemną służył panu wojewodzie na obiedzie. On wszystko napisze czego potrzeba; nie jest to z takich, coby coś przesłąpili, a ja te dokumenta i listy podpisane przez wojewodę razem z panem Romualdem zabieram z sobą do Warszawy, i tam je wręcę cuique suum, i pewnie słów nie będę żałował.

Nie pozostaje waści, jak tylko powrócić do wojewody, by go zapewnić o mojej życzliwości, oraz że niczego nie zaniedbam, aby jego *delikatność w niczém* nie była obrażoną, a kiedy hetman wielki bie-

rze na siebie jaki interes, zdaje się że wątpió nie może o jego pomyślnym skutku. Domagam się tylko zupełnej ufności. W przedmiocie tyle dla niego drażliwym, nie mam potrzeby z nim mówić, bo wiem ileby to było mu przykrém. Co tylko mu się podoba, niech bez wahania podpisze, a że na tém jego sława nie cierpi, daję waści moją rękę.

I podał mu rękę, którą pan Olesza z uszanowaniem pocałował. Poczém hetmana pożegnał i powrócił do swojego pana, aby mu dać liczbę ze swojego poselstwa.

Stosownie do swojego przyrzeczenia, przed pierwszą po południu hetman z liczną asystencyą konną wyruszył do zamku, zrobiwszy swoje rozporządzenia względem wojska, któremu dowodził, a które powierzył kaszatanowi Mińskiemu i strażnikowi Litewskiemu; obaj ci panowie jemu asystowali.

Skoro załoga spostrzegła buńczuczego hetmańskiego, który o kilkanaście kroków poprzedzał szafarza krwi Litewskiej, wszystkie armaty, niedawno wojewody, a teraz królewskie, powitały naczelnego wodza wystrzałem. Przy warcie pan Tryzna wystąpił do niego z relacyą o stanie załogi.

Hetman mu okazał swoje zadowolenie, że lubo od kilku godzin tylko zlużował żołnierzem hetmańskim milicyę wojewody, wszystko znalazł w najlepszym porządku.

Cała kalwakata udała się przed korpus zamkowy, gdzie już wojewoda na kulach oparty, przed podwojami oczekiwał hetmana i przybliżył się do jego wierzchowca, chcąc go wziąć za cugle. Ale hetman tego nie dopuścił; sam lekko skoczył z konia, i odezwał się, witając go jak dawny i zażyły przyjaciel:

— A czy się godzi, mości wojewodo, narażać swoje zdrowie takimi ceremoniami dla kolegi i starego przyjaciela?

— Wiem, mości hetmanie, jakie są moje obowiązki dla naczelnego wodza rycerstwa Litewskiego, w którego gronie mam zaszczyt podwójnie się mieścić; raz jako szlachcic, powtórnie jako rotmistrz. Upraszam JW. hetmana, abyś raczył wnijsć do komnat prawdziwego swojego sługi, który zawsze usiłował iść za jego przykładem, czy to w odstąpieniu króla, czy w braniu od niego przebaczenia.

Obaj panowie poszli przez schody prowadzące do sali, gdzie gotowa ucztą na nich czekała,—hetman rześkim krokiem, a kniaź zawsze na kulach, i prowadzony przez dwóch dworzan, a za nimi asystencya hetmańska.

Wszyscy zasiedli za stołem. Obiad i godziny nie trwał, bo gospodarz, jakkolwiek męzny, nie czuł się w sile animowania swoich gości, a hetman wchodząc w jego położenie, był na to wyrozumiałym, a nawet upominał się sam, aby jak najprędzej się skończył, pod

pozorem, że ma jeszcze wiele okoliczności do załatwienia na osobności z Kniaziem Wojewodą. Trzy tylko zdrowia obesały zgromadzenie, i to szczupłemi kielichami.

Kniaź Wojewoda pierwszém zdrowiem uczcił Króla Jana Kazimierza, drugiem hetmana, a trzeciem szanownych gości, a hetman jeszcze przydał czwarty na zdrowie gospodarza, poczém wszyscy wstali od stołu.

Goście czas jakiś pozostali w sali gościnnej, a hetman, Wojewoda i Wicesgerent poszli do komnaty kniazia, gdzie we trzech zamknawszy się, ułatwiali to wszystko, co utrwalić mogło uległość ostatniego przeciwnika króla i Rzeczypospolitej.

Konferencya niezbyt długo trwała, i przynajmniej ze strony kniazia była milcząca. Widać było, że nie chciał się rozwodzić w interesie dla siebie przykrym i że radby go skończyć jak najspieszniej, tak dalece, że co tylko mu podawał Wicesgerent, list do króla, do Gaskolda, do księcia marszałka, zeznania, pełnomocnictwa do konsystorza Protestanckiego, wszystko podpisywał bez czytania, a hetman szanował jego wstrzeźliwość w mowie, tyle tylko, iż go zapewnił po kilkakrotnie o pomyślnym skutku dla jego sławy tych ofiar, na jakie z pełną ufnością się zdobywał; a kiedy kniaź ostatni papier podpisał, rzekł do niego:

— Mości hetmanie, kiedy już wszystko się dopełniło, czuję że wielki ciężar spadł ze mnie. Bądź co bądź, spokojniej oczekiwać będę co się ze mną stanie. — Hetman na to odpowiedział:

— Mości wojewodo, twoja sprawa jest odąd moją sprawą, i pewnie w wierniejszych rękach zostawać nie może. O łasce króla nie powinienem waszmość wątpić, a ja biorę na siebie, że jego synowiec przybędzie do niego jak najspieszniej, że się przed nim nkorzy, jako przed głową swojego domu, że się o nic ze stryjem spierać nie będzie ale jak powolny syn dla ojca, na wszystko się zgodzi, więcój ceniąc jego łaskę niż wszystkie skarby.

Mój drogi wojewodo, nie będziesz miał potrzeby opuszczać naszej świętej Litwy. Na łonie rodziny, z nami przyjaciółmi swojemi doczekasz się zgrzybiałej starości, bo nigdzie lepiej ci nie będzie. Ale czas drogi; ze świtom jutro spieszę do Warszawy, a jeszcze wiele tu mam do załatwienia. Zegnam szanownego kolegę, dziękując mu za łaskawe przyjęcie, a zwłaszcza za to zaufanie, jakim mnie zaszczytasz, a które nigdy go nie zawiedzie.

Wojewoda, jakkolwiek nie mocny, gdyż te wszystkie pasowania się z sobą znacznie go osłabiły, chciał koniecznie hetmana odprowadzić, ale ten na to nie pozwolił.

Wrócił tedy hetman do swojego obozu; tam całą noc zajął się *rozporządzeniem* około zamku i wojska. Wszystko poruczył kaszte-

Janowi Mińskiemu i strażnikowi Litewskiemu, a uradowany, że nic go już zatrzymać nie może, jak zapowiedział, przed świtem jeszcze wyruszył ku Warszawie.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Kilka tygodni upłynęło; książę wojewoda powrócił do zupełnego zdrowia, ale zauważono odmianę w trybie jego życia.

Już nie był samowładnym panem w Dolsku, bo siła zbrojna zamkowa zostawała pod bezpośrednią zwierzchnością Tryzny; władza wojewody rozciągała się jedynie nad poddaństwem wiejskiem i nad jego dworem już znacznie uszczuplonym.

Książę czując, że ma podcięte skrzydła, już nie pozwalał sobie tych wybryków gwałtownych, które niegdyś przerażały strachem tych wszystkich co go otaczali, — chociaż innéj natury wrażenia niepokoiły te szczątki jego licznego dworu, które jeszcze przy nim pozostały, a który był doborem sług jemu najmiłszych. Pomimo ustępów niestępcznego humoru, książę dawniej obcował z niemi, okazywał im, że mu są potrzebni, rozmawiał z niemi, polował, jeździł konno, pił, a wiadomo, że w Polsce sługa zawsze był wyrozumiały na chimery choć gwałtowne pana, który czasem mu pozwalał być z sobą poufałym. Teraz zaniechał zwykłych zabaw, z komnaty nie wychodził, żeby nie spotykać żołnierza niemilego, bo od niego niezawisłego; do stajni ani zszedł, zaprzestał ulubionych szermów z panem Szuksztą, którego nawet oddalił, zapewniwszy mu chleb dożywotni na jednej ze swoich wiosek. Jeżeli się kiedy dał widziéć sługom, to zawsze z obliczem ponurém; ciągle roztargniony do żadnego z nich nie przemówił. Sam został niedostępny, nawiedzini sąsiednich nie przyjmował pod pozorem niemocy, której ulegał. Czego nigdy nie bywało, sam jeden jadał, a tylko Zawalidroga i jego kozaczek mu usługiwali.

Najczęściej zamykał się w swojej komnacie, albo sam, albo z Zawalidrogą, z którym jedynie rozmawiał; a nawet pan Olesza, który kiedyś był utracił łaskę swojego pana za to, że się nie oparł rycerzowi Lizdejce, a teraz odzyskał ją większą niż kiedykolwiek, nie zawsze miał dla siebie dozwolony przystęp do téj komnaty.

Słudzy, nie przywykli do téj ciągle milczącej ponurości pana, chociaż już nie ani boleśnego, ani nawet przykrego ze strony jego nie dokuczało, zawsze dręczeni niespokojnością, zapytywali tylko jeden drugiego:

— A co to będzie?

I żalowali tych czasów przepłatanych i wścieklemi wybrykami przemożnego pana, i jego wesołym, a często wspaniałym udobruchaniem, a co ich najwięcej zatrważało, to następne wydarzenie. Razu jednego książę, przechodząc przez salę zwaną antenatów, z powodu że jej ściany były okryte samymi konterfektami przodków i kolligatów jego domu, zatrzymał się raptem przed wizerunkiem Izasława Dorobostajskiego, księcia na Łucku, założyciela zamku Dolskiego, i zdawał się w niego wpatrywać.

Pan Olesza po dawniej poufności odezwał się: — To mi mądry pan, książę Izasław, że tak piękny zamek wystawił dla swoich potomków; zdaje się z obrazu patrzeć jeszcze na te piękne wioski księztwa Dolskiego, które z tych okien w dali rozpoznać można! Smaczny to kąs, księstwo Dolskie, nie przymawiając i innym dobrom JW. pana, i nie dziw, że Dolsk jest jego najulubieńszym siedliskiem.

— At, pleciesz! — ofuknął go książę — mnie ten Dolsk tak obrzydł, że wkrótce się jego pozbędę, i wyniosę się ztąd tam, gdzie mnie nikt nie znajdzie.

Wszyscy dworsey to słyszeli, i każdy starał się odgadnąć znaczenie tych słów dość ciemnych, a o tém nie przestawali z sobą rozprawiać.

— Co u licha — mówił jeden — czy doprawdy myśli nasz książę: wynieść się do Moskwy, że mu tak obrzydł Dolsk?

— At, gdzie tam! — na to drugi — i w Moskwie można znaleźć kogo się nie szuka. Czy nie myśli w łeb sobie wypalić ze złości? Bojućci na tamtym świecie nikt go szukać nie będzie.

— Gadasz, coć ślina do gęby przyniesie. W łeb sobie wypalić, to niemiecka moda; u nas w Litwie o tém nie słyhać. Gdzieżby senator z własnej ręki ginął! To zwyczajnie chimera pańska, a z czém się ta chimera wyrwie, do tego uwagi przykładać nie warto.

Biorąc rzeczy rozsądnie, książę Daniel tak dalece nie miał prawa narzekać na swój los. Hetman mu w Warszawie usłużył nad nadzieję. Wprawdzie tak się uwinęli w konsystorzu kalwińskim, że po upływie dwóch tygodni niespełna, dekret rozwodowy ogłoszony został; ale książę jak najmniej dbał o swoją żonę. Mogło mu być przykro, że musiał przyznać za synowca Gaskolda, zawsze od niego prześladowanego, ale do tego był przygotowany tém więcej, że Gaskold zjechał do Dolska, gdzie padł do nóg stryjowi, i oświadczył mu, że o nic innego się nie dopomina i dopominać nie będzie, tylko o łaskę i błogosławieństwo stryjowskie; że całe życie będzie się starał na nią zasłużyć, i że w nim nie synowca, ale zawsze znajdzie najposłuszniejszego syna. A co mogło być najwięcej pochlebne dla jego miłości własnej, Gaskold jemu złożył własnoręczny list króla, pełen wyrazów łaskawych i za serce chwytających, w którym zapewniał go, iż mu *wraca dawną* życzliwość i powrót do wszystkich dostojestw, jakie pia-

stował. Kończył się list zaproszeniem go na sejm następujący, żeby wziął swoje krzesło w senacie, i był jak dawniej jego wierną radą i przyjacielem.

Wszystko to powinno było aż nadto zadowolnić dumnego kniazia. Synowca przyjął niby grzecznie, jednak dość ozięble, ale kniaz Wojciech był na to wyrozumiały. Czuł, że przejście z zawziętego gniewu do affektu opartego na pociągu tożsamości krwi, nie może nastąpić bez pewnego stopniowania.

Nie chciał więc szkody sobie przynieść natrętném zapobieganiem, tusząc że czas, ów wielki lekarz, zbliży serce stryja do niego, bo umiał poznać, że skrzywdzony niewinnie zawsze jest łatwiejszy do pojednania, niż ten co mu zadał krzywdę, tém samém, że ma nad nim niezaprzeczoną wyższość moralną. Niechcąc się naprzykrzać stryjowi, obrał na miejsce stałego pobytu Maniewiczze, gdzie oczekiwał na księcia Olbrachta i panią wojewodzinę, jego siostrę, która wraz z kniabiną Stefanową miała na czas jakiś zamieszkać w tych swoich dobrach; ale często przyjeżdżał do stryja, żeby go przynajmniej do siebie przyzwyczaić.

Była to ofiara wymożona na sobie uczuciem powinności, bo wraz z całym dworem wojewody aż nadto mógł zauważyć, że ten nie umiał utaić wstępu, jaki na nim wywierała jego przytomność.

Kniaź, zawsze nieprzystępny, zawsze ponury, bynajmniej nie zdawał się być pocieszonym ani powolnością synowca, ani nawet łaską królewską. Wyprawił on wkrótce pana Oleszę z listem do króla, listem wprawdzie najpoddanniejszym, ale przy nim posłał złożenie senatorskiej godności i rezygnacyę starostw jakie posiadał. Tłómaczył się tém, że wiek stargany pracą nie pozwala mu dalej piastować tych dostojenstw, tém więcej, że gdy car Aleksy Michajłowicz raczył mu łaskawie zachować dobra, jakie posiadał w Smoleńskim, zmuszony jest samém uczuciem przyzwoitości, skoro tylko wyjdzie z niemocy, jechać do Moskwy, dla podziękowania carowi za to dobrodziejstwo jemu wyświadczone, i w samej rzeczy, odtąd często dawał się z tém słyszeć, że wybiera się do Moskwy dla złożenia czołobitności carowi, i uczczenia zwłok swoich przodków. Ale dnia odjazdu nie naznaczał, składając te przewłoki na niepewność swojego wyzdrowienia, chociaż widocznie wrócił do dawniej czerstwości i siły. Nawet zdarzało mu się odzywać czasem, że może do Moskwy nie pojedzie przed końcem roku.

W czasie tych alternat, przynoszących niemało niepokoju dworowi dolskiemu, jednego poranku dano kniazowi wiedzieć, że książę Olbracht Radziwiłł, generał artylerji Litewskiej, z synowcem pańskim zajechali na dziedziniec zamkowy, i proszą kniazia o pozwolenie stawienia się przed nim.

Czy te nawiedziny były dla niego przyjemne, czy nie? tego nikt zgadnąć nie mógł, ale to pewna, że książę zerwał się ze swojego krzesła, i najspieszniej spuścił się przez schody, żeby w ganku przyjąć dostojnego gościa. Księcia zastał w sieniach, i tam już przy pierwszym spotkaniu się z nim okazał się w postaci szlachcica, który się nie posiada z radości, że tak wielki pan raczył o nim nie zapomnieć.

Wystąpił do niego z czémś podobnym do mowy, ale którą książę przerwał, wzięwszy go wpół i przyciskając do siebie, jako przyjaciela i kolligata.

— Mości wojewodo — rzekł do niego — nie jesteśmy od siebie tak dalecy, żebyśmy nie mieli prawa postępować z sobą z jakąś poufałością. Na co te ceremonie, które ze strony tak wysokiego senatora mogę przyjąć tylko za żart ze mnie czyniony.

— Nie, mości generale artylleryi, przyjmuję waszą książęcą mość, jak młodszy starszego w stopniu, który go zaszczyca swoją bytnością w jego domku. Moją godność senatorską już złożyłem w ręce królewskie, jestem teraz prostym szlachcicem.

To rzekłszy, wprowadził go przed sobą do komnat. Książę Wojciech pocałował stryja w rękę, który tę oznakę uszanowania jako zwykle przyjął dość obojętnie.

Gdy zostali w troje, książę Olbracht pierwszy zaczął rozmowę:

— Mości wojewodo, byliśmy z sobą braćmi, a chociaż dawne związki, które go łączyły z moją siostrą, są zerwane, to nas przynajmniej pocieszać powinno, że inne stosunki na nowo połączą nasze domy ogniwami już nie starganemi. Oto ten mój przyjaciel, godny synowiec waszmości, otrzymał i od moich rodziców, i od mojej siostry obietnicę jój ręki. Sam król o to w jego imieniu prosił. Nic mu nie pozostaje, jak prosić o błogosławieństwo stryja, w którym pragnie widzieć ojca, a na którego łaskę i affekt całe życie zasługiwać będzie. Pełen nieśmiałości zażądał mojego wstawienia się za nim. Podjąłem się przemówić za nim, tusząc, że waszmość mu swojego błogosławieństwa nie odmówisz.

— Składam podziękę za łaskawą pamięć o mnie, tém więcej, że kiedy zwycięzca rozkazuje, zezwolenie zwyciężonego nie może podpaść wątpliwości. Cóż mogę uczynić innego, jak tylko winszować książęciu Wojciechowi niespodziewanego szczęścia, i do błogosławieństwa przyłączyć moje życzenia, żeby JO. siostra waszj książęcej mości znalazła uszczęśliwienie swoje w tém powtórném małżeństwie, i żeby dłużej w niem dotrwała.

— W tych wyrazach waszmości upatruję jakąś gorycz, jakąś cierpkosć, na które ani moja siostra, ani godny jego synowiec nie zasługują. Pan wojewoda sam wiesz najlepiej, że unicestwienie jego małżeństwa mniemanego z moją siostrą, było oparte na prawach Bos-

kich i ludzkich. Ale na cóż nam przypominać to, co tylko jątrzyć może, a my nieczego tak gorąco nie pragniemy, jak zachować z nim stosunki przyjacielskie, da Bóg coraz ściślejsze.

Moja siostra, która wczoraj zjechała do swoich Maniewicz, tyle przyjaźni i szacunku, a nawet wdzięczności czuje dla niego, że zapowiedziała nam, iż nie może zaufać nowemu postanowieniu swojemu, jeżeli jój przysły małż nie otrzyma na związek przyzwolenia i błogosławieństwa stryjowskiego.

Mości wojewodo, nie zatwardzaj swojego serca i nie gardź przyjaźnią całego naszego domu, którą tobie ofiaruję. Przyciśnij do swojego łona przywiązanego synowca, który wszystkie swoje krzywdy już zapomniał.

Książ Wojciech znowu padł do nóg stryjowi, a ten go podniósł i powiedział mu:

— Wojciechu, zezwalam na twoje małżeństwo i daję ci moje błogosławieństwo. — Nawet go przycisnął do swoich piersi, ale widać było, że to wszystko było wymuszone, że to z serca nie wychodziło.

Książ Daniel kazał przynieść wina, stosując się w tém do obyczaju narodowego, i wypił za zdrowie księcia generała artylleryi, a choć młody książę czuł wstręt od wszelkiego mocnego napoju, dwa kielichy spełnił: jeden za zdrowie księcia wojewody, drugi za zgodę i szczerę pojednanie stryja z synowcem.

Książ Daniel zdawał się być nieco udobruchanym, tak dalece, że sam się zaprosił do Maniewicz na obiad na dzień pojutrzny, dla złożenia osobistych ukłonów przed swoją niegdyś małżonką, a przyszłą synowicą, a goście, pełni dobrych nadziei, odjechali już zmiękczonego gospodarza.

Stosownie do swojego oświadczenia, ex-wojewoda przyjechał do Maniewicz, gdzie przyjętym został jak możnowładzca i ojciec. Spotkanie jego z wojewodzina, na téj ostatniej nie mogło nie sprawić smutnego wrażenia, ale umiała je pokryć wrodzoną Polkom delikatnością. Pokazała się dla niego tak uprzejmą, tak przyjazną, tak troskliwą o zaskarwienie na zawsze jego przyjaźni, że nie było serca tak twardego, któreby do siebie nie skłoniła, i zdawało się, że zupełne zwycięstwo otrzymała nad nieugiętym kniazem. Nie tylko że kilkakrotnie ucałował jój rękę, dziękując za pożyte kilkoletnie, jakiego z nią doświadczał, i oświadczając jój najtkliwsze życzenia przyszłego szczęścia z jego synowcem, ale nawet pierwszy raz temuż synowcowi okazał jakieś współczucie, a kniabinę Stefanową uściskał jako siostrę, i przeproszał ją za wszystkie przykrości i prześladowania, których się względem niéj dopuścił, składając je na zawziętość matki, która na śmiertelném łożu wymogła od niego obietnicę, że nigdy nie okaże się życzliwym ani dla niéj, ani dla jój syna.

Książę Olbracht i jego siostra umieli inny obrót dać tej rozmowie, która tak drażliwe wspomnienia wywoływała, a za ich usilnością zabawa przybrała ton zgody, jedności, poufalości, właściwej członkom jednej rodziny. Wszyscy zdawali się być zadowoleni z siebie, a książę Daniel żegnając się z nimi, powiedział te słowa, które zdawały się z serca pochodzić:

— Daję moje błogosławieństwo mojemu synowcowi, a z nim i ustępstwo wszystkich dóbr, jakie posiadam w obrębach Rzeczypospolitej. Nie będzie miał potrzeby dzielić się ze mną; wszystko niech mu idzie na pożytek, a za powrotem do Dolska zatrudnię się tém, żeby to moje oświadczenie zostało uprawnione. Opuszczam ten kraj, a więc nie potrzebuję mieć tu żadnych dóbr.

— Cóż ci ten kraj przewinił, mości wojewodo — na to książę Olbracht — że chcesz go opuszczać? Jesteś bezdzietnym, ale gdyby nawet Bóg był cię obdarzył potomstwem, pewnie z niego większej nie miałbyś pociechy nad tę, jaką mieć będziesz z synowca. On ci jest synem, boć bliższego krwi swojej nie masz. Czyż nie lepiej patrzeć na jego szczęście w kraju własnym, gdzie masz tak wielkie zasługi, niż nowych zasług nabywać tam, gdzie będziesz obcym?

— Nie, nie, mości książę! moje postanowienie jest nieodzowne. Niczego nie śmiem żądać, tylko żebyście mi jedną łaskę zrobili.

— Wszystko co każesz będzie spełnione przez nas — wykrzyknęli wszyscy.

— Oto, żebyście razem, jak jesteście, raczyli mnie pożegnać w oczystym Dolsku, który już nie moja, ale będzie własnością mojego synowca. Niech was przyjmując, po raz ostatni spełnię obowiązki gospodarza. Tam panu synowcowi wręcę władztwo nad ojcowizną, wypijemy zdrowie przyszłych małżonków, i pożegnamy się na zawsze.

Czy może to być w tych dniach?

— Najchętniej wszyscy służyć będziemy — odezwał się książę Olbracht — ale pozwolisz nam karmić się nadzieją, że zdołamy cię uprosić, byś nas nie opuszczał, a ponieważ za cztery dni przypada Ś ty Daniel, więc na ten dzień zjedziemy do zamku Dolskiego, żeby zamiast pożegnania, obchodzić zawsze dla nas miłą uroczystość jego imienn.

Książę za tę łaskawą pamięć okazał się wdzięcznym, a opuszczając Maniewicze, wszystkim podał przyjacielskie dłonie, a dla bratowej dotąd prześladowanej, tyle był uprzejmym, że po jego odjeździe powiedziała, iż od chwili zgonu jój męża pierwszy raz uczuła się być zupełnie szczęśliwą.

Książę powrócił do swojego zamku, gdzie marszałkowi swojego dworu zalecił, ażeby wszystko przyspobił do należytego przyjęcia dostojnych gości; dodał, żeby żadnego innego gościa nie wpuszczać do niego w dniu uczyty, gdyż to ma być zgromadzenie familijne, w któ-

rém ważne interesa traktować się mają, a w którym każdy obcy byłby natrętnym.

Przez te dni kilka, książ był jeszcze mniej dostępnym niż kiedykolwiek; ciągle był zamknięty z Zawalidrogą, i bez świadków z nim rozmawiał.

Raz tylko, i to nazajtruz po swoim powrocie, jego niegdyś plenipotent, a który mieszkał w bliskości Dolska na wiosce, którą posiadał prawem dożywotniem, przybył do zamku i przywołany został do komnaty kniazia. Około godziny coś pisał, a potem pożegnał kniazia.

Dworzanie i słudzy oczekiwali z niecierpliwością przybycia księcia Olbrachta z ich przyszłemi panami, gdyż w tém przybyciu upatrywali rozwiązanie wszystkich ich niepewności o dalszym losie; każdy należący do usług kniazia chodził jak nie swój, czegoś się obawiał, a sam nie wiedział czego. Żeby przynajmniej mógł widzieć pana, możeby jakąś wieszczbę na jego obliczach wyczytał; ale ten nikomu się nie pokazywał. Jeden tylko Zawalidroga miał każdego czasu przystęp do osoby, nocował z nim w jednej komnacie, a w dzień po kilka razy chodził do piwnicy z latarnią, w niej się zamykał, potem wynosił z niej kilka butelek wina, z któremi szedł do pana, nie zaniebawszy zamknąć za sobą drzwi od piwnicy, która była pod samemi pokojami kniazia, i to się powtarzało kilkanaście razy na dobę; wpadnięto na myśl, że książ unika widoku ludzi, żeby się upijać swobodnie ze swoim Zawalidrogą.

Nakoniec doczekali się wschodu słońca, który miał oświecać dzień ten pożądany. Książ jeszcze leżał, kiedy Zawalidroga przed świtem jeszcze obszedłszy i korpus zamku i piwnice, przybliżył się do łóżka swojego pana, który już miał otwarte oczy, i ucałował jego nogi, winszując mu imieniu.

Książ wyciągnął ku niemu dłonie, i ucałował go, nie jak służalca, ale jako przyjaciela i sługę. — Wierny sługo, bracie mój — rzekł do niego — czy wszystko już rozporządzone wedle naszego układu?

— Wszystko, panie! Prochu tyle zastałem w piwnicy, że nie jeden ale dziesięć takich zamków wysadziłoby w powietrze; jak goście się już zbiorą, a po obiedzie będą się z panem bawić, a pan wystrzelisz z téj armatki, co tu stoi na oknie, już ja zrozumiem co to znaczy. Słomę, którą złożyłem w piwnicy, zapalę, a jak się dopali, proch się zajmie, a tu zjadłszy obiad, wszyscy na tamtym świecie będziemy mieli wieszczkę.

— Ja żyć nie mogę, doczekawszy się hańby i mej i mojego rodowego nazwiska. Niech on raczej na wieki przepadnie, niżby miało być noszone przez tego bękartą, którego przemoc zrobiła moim synowcem. Czuję jakąś niewypowiedzianą rozkosz, że tych wszystkich wrogów moich w przepaść z sobą wtrącam, ale ty, mój pocziwce

obcy temu wszystkiemu, dlaczegoż masz ginąć z nami? Przygotuj lonty, zapal je skoro wystrzelę, ale zaraz uciekaj! Staraj się ocalić swoje życie, i przyjm pożegnanie swojego pana.

— Ja miałbym zostać na świecie bez pana? Nie, to się nie pokaże na Zawalidrodze! Wiernie panu służyłem na tym świecie, i na tamtym choć mu zanieść służbę nieskażoną. Też same piersi i pana i mnie wykarmiły, wzrosliśmy razem, pan byłeś zawsze dla mnie ojcem, bratem. Cóżby się stało ze mną sierotą bez niego? Zawsze chciałem za pana lub z panem umierać.

Książ ani słowa nie był w stanie wymówić. Takie było ich ostatnie pożegnanie, bo tylko na tamtym świecie już mieli się spotkać.

Tymczasem słońce posuwało się coraz wyżej po za gęstemi chmurami późnej jesieni, jak gdyby nie chciało przyświecać scenie, która miała nastąpić.

Toczyła się poczwórna karetą po gościńcu między Dolskim a Maniewiczami. W tyle siedziały Książini Stefanowa i nadobna Eleonora; na przodzie: Książę Olbracht i Książ Wojciech. Mężczyźni usiłowali rozweselać towarzyszkę podróży, bo te od dawna poróżnione z szczęściem, nie śmiały się jemu oddawać z zupełną swobodą. Czy to przez nieufność, jaką zwykle wznieca raptowna przemiana losu, chociażby na lepsze koleje, czy przez jakieś przeczucie, często ostrzegające dusze jeszcze nie zatwardziałe zgiełkiem świata, — coś podobnego do bojaźni i smutku wyrażało się na ich obliczach, i wszelkie usiłności księcia Olbrachta, żeby wzięły udział w żwawej rozmowie, były daremne.

Podróż odbywała się szybko, gdyż po drodze były rozstawione zaprzęgi.

Po kilkogodzinnej, monotonnej podróży, dały się widzieć baszty Dolskiego zamku. Spostrzegli, że na ten widok wojewodzina raptownie zbladła.

Wjeżdżając do miasteczka, które zamek od nich przedzielało, zażądała wody. Właśnie wieśniaczka, zapewne służąca żydowska, przechodziła mimo pojazdu z koromysłem i dwoma wiadrami; do niej udano się po wodę.

— Zła wieszczba — odezwał się książę Olbracht, śmiejąc się — wiadra próżne; gdybyśmy byli Rusini, wrócilibyśmy nazad.

— Ach, bracie! pod tym względem czuję się być Rusinką, i gdybyście chcieli powrócić, nie byłabym od tego.

— Wstydz się, siostrze! Widać, że byłaś żoną Ruskiego księcia, i że znowu taką będziesz, kiedy podobne omena na tobie sprawują wrażenia.

Wyniesiono wodę z domostwa żydowskiego; Eleonora kilka kropel wypija i lekki inkarnat zabłysnął znowu na jej czarującej twarzy.

Przejechali przez miasteczko, stanęli przed bramą, przebywszy

most spuszczonej. Warta pod bronią stojąca ich przywitała. Dowódca warty przybliżył się do pojazdu, i opowiedział się przed generałem artylleryi.

Pojazd bez przeszkody zajechał przed korpus zamkowy. Eleonora drżała jak listek, sama nie wiedząc co w niej wzniecało trwoję.

Przed gankiem korpusu zamkowego zastali kniazia Daniela, gotowego do ich przyjęcia. Sam podał im rękę, żeby ich wyprowadzić z pojazdu, i zaprowadził ich do swoich komnat. Na jego twarzy wyrażało się zadowolenie, ale razem coś dzikiego, co na wstępie przeżęażało Eleonorę.

Kniaz Daniel prowadził bratową, księżę Olbracht siostrę, która oparta na jego ramieniu, swojej niespokojności utaić nie mogła. — Wszyscy weszli do komnaty kniazia, który ciągle okazywał się uprzejmym w przyjmowaniu miłych gości, i niejednokrotnie raczył im podziękować za ich przybycie, oświadczać, że ten dzień poczytuje być najszczęśliwszym dla siebie.

Kiedy weszli do komnaty, było samo południe; w obcowaniu przyjacielskiem upłynęła godzina. Marszałek nadworny kniazia oznajmił, że obiad gotowy. W pięciu siedli za stołem; rozmowa przybrała tak tak poufały, że nawet wojewodzina uspokoiła się z pomimowolnej bojaźni, a nawet wyrzucała ją sobie. Obiad, przeplatany różnemi zdrowiami, które kniaz wnosil, skończył się nareszcie, i wszyscy wrócili do komnaty kniazia; w nim na stole stała taca, na niej dwie butelki wina, kieliszków kilka i zapalona świeca.

— Mili goście — rzekł kniaz Daniel — wypijmy wszyscy razem za trwałość naszego zjednoczenia! — i napełnił kieliszki; wszyscy, nawet damy, spełnili je ochoczo. — Niechże ta zgoda głośną będzie — dodał kniaz i zapalił armatkę stojącą na oknie. Wystrzał na chwilę damy przeraził.

— Spodziewam się — odezwał się gospodarz z dzikim uśmiechem — że ta zgoda będzie trwała, kiedyśmy ją zawarli przed progiem śmierci!

— Co to ma znaczyć? — zapytał go księżę Olbracht.

— Czyście mogli się spodziewać, żeby kniaz Daniel dał siebie bezkarnie zwyciężyć? Żeby dopuścił temu nędzarzowi i tój wiarołomnej żonie cieszyć się jego spadkiem, splamiwszy jego nazwisko? Wpadłem w przepaść, ale i was wszystkich z sobą zaprzepaciłem! za chwilę kilka z zamkiem i z wami ostatni prawdziwy Dorobostajski wyleci na powietrze!

— Zdrajco! — odezwała się Eleonora — tuląc się do brata i narzeczonego — czy tak dotrzymałeś słowo rycerskie, coś mi je dał w ogrodzie Birzańskim?

— To com przyrzekł, dotrzymuję; dałem słowo, że ten samozwa-

niec nie ma się odemnie lękać niebezpieczeństwa, którego bym sam nie podzielał.

— Nędzarzu! — wykrzyknął książę Olbracht, i położył rękę na swojej szabli.

Na to książę parsknął śmiechem: — Swoim orężem chcesz mnie zastraszyć? A dobrze! Zaczniemy bitwę, ale ona tu niedługo potrwa; jeżeli jest inny świat, tam chyba ją skończymy.

Wtém gęsty dym zapalonych słomy wznosił się po za okna, raptem ciemno się zrobiło, a zaraz potem..... Pióro wypada mi z ręki....

Taki był koniec rodu Dorohostajskich.

E P I L O G.

Po tej strasznej katastrofie, która żałobą pokryła pierwsze domy rzeczypospolitej, dobra rodu Dorohostajskich przeszły w posiadanie książąt Wiśniowieckich, jako najbliższych krewnych książąt, a wkrótce potem, gdy książę marszałek z małżonką, nie mogąc przenieść niešťęśliwego zgonu swoich dzieci, przenieśli się do wieczności, linia Radziwiłłów Nieświeżskich odziedziczyła prawem spadku księstwo Birżańskie i ogromne dobra do niego należące.

Cały korpus zamku był wtedy zburzony aż do szczytu; pozostały tylko jego skrzydła, ale wielce uszkodzone. W archiwum Olyckim zdarzyło mi się czytać relacyę tego okropnego wydarzenia, napisaną przez naocznego świadka, który, jak się z niej pokazuje, należał do załogi zamkowej, zostawionej przez hetmana Gąsiewskiego, a później do dworu księcia Wiszniowieckiego starosty Drahimskiego, spadkobiercy książąt Daniela i Wojciecha. Ten ciekawy rękopism długo leżał w archiwum Wiszniowieckim, ale gdy w kilkadziesiąt lat później Urszula, ostatnia Wiszniowiecka, dostała się księciu Michałowi Radziwiłłowi, ordynatowi na Nieświeżu i Olyce, przeniesiony został z całym archiwum domu Wiszniowieckich do Olyki. Tam go przeczytałem przed czterdziestu laty, a z wrażeń, jakie to czytanie napiętnowało na moję pamięć, ułożyłem niniejszą powieść.

Co się później stało z tym rękopismem, tego nie wiem; musiał przepaść tak, jak i nierównie od niego dawniejszy pamiętnik Sylwestra Wodzbona, dworzanina księcia Mikołaja Czarnego Radziwiłła (*), jak

(*) Anno domini 1811, w pierwszej moję młodości, będąc w Nieświeżu, pamiętka Wodzbona wpadły były przypadkiem w moje ręce, i tyle mnie zajęły, że je

tyle innych, które albo w czasie napadu Francuzów na Litwę, przekształcone zostały na ładunki, albo użyte na placki wielkanocne, lub zostały strawą dla szeszurów i mółów.

Były w nim ciekawe szczegóły, mianowicie, że przeszło pięćdziesiąt ludzi razem z zamkiem wysadzone zostało, nie licząc pokaleczonych mniej lub więcej szkodliwie od spadających kamieni, oraz że przez długi czas w pobliżności szczątków tego zamku znajdowano w ziemi kawały miedzi, żelaza, srebra, a nawet złota, — czasem uszkodzone naczynia i kości nieszczęśliwych ofiar, między którymi nie było sposobu rozemnać tych, które należały do pięciu najdostojniejszych aktorów téj w okropności bezprzykładnej sceny. Książę Wiszniowiecki, objąwszy księstwo Dolskie, wszystkie te szczątki kazał razem złożyć w jednym grobie, w tém miejscu, gdzie niegdyś się wznosił korpus zamkowy.

Nie poprzestając na tém, pobożny książę obrócił na chwałę Bożą to miejsce, na którym ta okropna zbrodnia była się zjściła, gdyż na fundamentach zamku wyniósł klasztor Karmelitów bosych, i opatrzył go nieszczupłym funduszem. Kościół był przepyszny i w nim najwięcej uderzał pomnik, w Rzymie wykonany z marmuru, na cześć ofiar niegdyś zamku Dolskiego. Ten klasztor był razem warownią, jak Częstochowski i Berdyczowski, i dotrwał do pierwszych lat XVIII stulecia. Ale zdobyty przez wojsko Karola XII w powtórnym najściu Szwedów, do szczytu zburzonym został, wały go otaczające z ziemią

od deski do deski odczytałem z największém upodobaniem. Styl, choć poufały, ale dosyć zwięzły, język czysty, pismo bogate w szczegóły i anegdoty, wiele światła rzucające na obyczajowość kraju w czasie XVI stulecia. Zatrącenie tego rękopismu uważam za nieodżałowaną szkodę. Między anegdotkami, w jakie to pismo obfitowało, a które utkwiły w mojej pamięci, jedną przytoczę. Wodzbon, opisując usiłności księcia, dla rozkrzewienia protestantyzmu, przytacza następane wydarzenie, którego był naocznym świadkiem. Mówi, że co niedziela było nabożeństwo w kaplicy zamkowej, na które zwykł książę zapraszać obywateli swojej partyi, ale trzymających się staréj wiary, żeby ich do nowéj skłonić. Tu wchodzi w szczegóły tego nabożeństwa, że książę z swoimi współwyznawcami głośno odmówili Credo, potem odśpiewali jakiś psalm, a nakoniec minister, Litwin, ale wyuczony w Lejdzie, miał kazanie blisko godzinę trwające, i to było całkowitem nabożeństwem. Po skończoném tém nabożeństwie, szlachta katolicka wyszła na dziedziniec zamkowy, po którym przechadzając się z sobą rozmawiała. W tém książę wyszedł na dziedziniec, do niéj się przybliżył i rzekł: — A co, panowie bracia! czy nie właściwsze dla czci Boga to nabożeństwo pierwiastkowych Chrześcian, w swojej rodzinnej czystości, niż te wszystkie dodatki ludzkie, które tylko do obalonego pogaństwa cofają, a za któremi papieżniki tak obstają? — Jeżeli mam prawdę powiedzieć — odpowiedział nam pan Jeleński podkomorzy Nowogrodzki, mąż wielce poważany od obywatelstwa i samego księcia, — co jest dobrego u nas, jako organy, kapela, malowidła, to skasowali, a to, co u nas jest nudnego, jako kazanie, to do nieskończoności przedłużyli. — Mnóstwo podobnych anegdot, znalazłem w tych pamiętkach.

zrównane, a odtąd już nie powstał, zaś Karmelici przenieśli się do Wiszniowca i tam aż do niniejszych czasów bytowali.

Wszystkie zabudowania ekonomiczne Dolska wznosiły się odtąd z materyałów, z których się kiedyś składał zamek, a później kościół i klasztor Dolski. Jedna tylko baszta, współczesna dawnego zamku, w całości się zachowała aż do roku 1751. Była to pustka, bo nawet ojcowie Karmelici żadnego użytku z niej nie mieli, może dlatego, że było powszechne mniemanie, iż złe duchy często się zbierały w tej baszcie i straszyły tych, co do niej się przybliżali. Roku 1701 była komisya wysłana od biskupa Łuckiego do Dolska, ażeby sprawdzić, co było rzeczywistego w tych ludzkich gadaniach; kilkudziesiąt świadków zeznało pod przysięgą, że kilkakrotnie przed nowiem o północy, dawał się widzieć ogień buchający przez otwory tej baszty, że po świetle tych ogni rozpoznać było można potoki krwi płynącej po murze baszty aż do ziemi. Co dziwniejsza, sami Karmelici jednogłośnie zeznali, że corocznie w nocy Ś-tego Daniela słyszano wychodzący z baszty szelest broni i przeraźliwe jęczenia, które ustawały dopiero, kiedy pierwszy kur zapiał. Naprózno używali eksorcyzmów, żeby siebie od tych strachów peryodycznych wyzwolić. Wywód słowny tej komisji dotąd się zachowuje w aktach kapituły Łuckiej.

Karmelici Dolscy wprzód, niż wyrugowani zostali do Wiszniowca, pokilkakrotnie zabierali się rozebrać tę niepokojącą basztę, ale wydatki, jakie na to trzeba byłołożyć, zawsze ich od tego przedsięwzięcia odstraszały. I w samą rzecz, kamienie, z których się wznosiła, prawicą kilku wieków zjednoczone, stworzyły z niej jakby jaki monolit, który niełatwo mógł być zniszczony. To pewna, że między gruzami, w które rozkaz Karola XII zamienił klasztor Dolski, ta baszta w całości pozostała, jakby dla postrachu mieszkańców, -- tak dalece, że pastuchy nie chcieli zapędzać trzody w tę stronę, lubo była otoczona tłustemi pastwiskami, na czém rolnicze gospodarstwo Dolska nieco cierpiało.

Nakoniec roku 1751 Grzegorz Perekladowski, łowczy Mozyrski, a gubernator księstwa Dolskiego, wychowaniec szkoły artylerji drezdeńskiej, podsadzić kazał miny pod basztę, która im się jednak oparła, bo tylko się porysowała; ale tyle razy powtórzone zostały, że nakoniec runęła z wielką radością mieszkańców. Część większa gruzów użytą została na wymurowanie bóżnicy w miasteczku i sklepów kupieckich, reszta powoli się rozebrała przez żydów na piece i kominy. Pan Perekladowski nawet fundamentów nie zostawił, a nie oszczędzając kosztów, tak to miejsce kazał oczyścić i zrównać, że w roku następnym, pierwszy raz może od stworzenia świata, ta ziemia, na której *kiedyś zamki i klasztory* kolejno wzniceały strach i pobożność, zmu-

szoną została płodzić bujne jako na nowinie zboża, — tak, że już dziś poznać nie można miejsca, na którym te gmachy się wznosiły.

Niemaló sobie zadałem pracy, by dośledzić, co też się zrobiło z innymi osobami, które udział miały w niektórych ustępach téj powieści. Elżbieta Sapieżyna, po utracie najdroższej przyjaciółki, wkrótce dotkniętą była niemniej bolesnym ciosem, bo w kilkanaście tygodni po tym okropnym wypadku pan starosta Mozyrski nagle rozstał się z tym światem, który dla pozostałej po nim wdowy już żadnego nie okazywał powabu. Póki księżna marszałkowa Litewska żyła, póty usiłowała zastąpić dla niej córkę; ale gdy książe marszałek, a wkrótce po nim i jego żona wstąpili do grobu za dziećmi, których strata już niczem wynagrodzoną być nie mogła, pani starościna osiadła, jak to dawniej nazywano, na dewocyi przy klasztorze panien Sakramentek w Wilnie, którego była spadkową dobrodziejką, i pomimo swoich zgryzot, w tém odosobnieniu się od zgiełku świata czterdzieści kilka lat przeżyła, nim się złączyła z wielkimi, a pobożnymi swoimi przodkami.

Wszyscy dworzanie księcia marszałka opatrzeni zostali w jego testamentie. Panu Dawidowi Odyńcowi dostała się w prawie dożywniém porządna wieś w powiecie Rzeczyckim. Ale katastrofa Dolska niezatarte wrażenie sprawiła na jego umyśle. Ów trefny dworak Birżański, tak miły, tak wesoły, zupełnie stetryczał, unikał wszelkiego towarzystwa, albo przeehadzał się samotnie po puszczech otaczających jego wioskę, albo nieruchomy siedział w krześle całkowite godziny, ust nie otwierając nawet dla dania rozkazu swoim sługom. Ponurość borów poleskich tak była odpowiednią stanowi jego duszy, że chociaż później w spadku po ojcu dostał mu się majątek w wesołej Żmudzi, aż do śmierci nigdy do niego nie zajrzał i w swoim Polesiu umarł zapomniany.

Pan Olesza także zakopał się w swojej wiosce, z tą jednak różnicą, że te wszystkie wypadki nie zmniejszyły bynajmniej jego gadatliwości. Zawsze żył z swojemi sąsiadami, a nawet często bywał w Wiszniowcu u nowych właścicieli Dolska, i umiał zaskarbić sobie ich łaski. Zawsze wspominał z uszanowaniem swojego dawnego pana, i ujmował się za jego sławę, ile razy ktoś się przeciw niej odzywał. Téj tłumaczył ostatni postępek, że człowiek poczciwy jest obowiązany nie czynić drugiemu, co jemu samemu niemiło, a że książę wojewoda nie usunął siebie od téj okropnej uczty, jaką sprawił dla gości, tém samém udowodnił, że był mężem dobrej sławy. Tyle tylko, że odtąd suszył w dzień Ś-go Daniela, mając za natchnienie miłosierdzia Boskiego, iż w porę odjechał z Dolska, bo gdyby jeszcze na kilka godzin był odłożył swój odjazd, zostałby niezawodnie wysadzony z gospodarzem i gościami.

O księciu Czetwertyńskim tyle tylko zasięgnąć mogłem wiadomości, że podczas Wiedeńskiej wyprawy jakiś książe Czetwertyński, pod-

komorzy Braclawski, a starosta Trechtymirowski, na czele kozaków Ukraińskich popisywał się pod Strygonią. Nie mógł to być ten podkomorzy, o którym wspomniałem, bo byłby za nadto stary, żeby się mógł jeszcze zabawić rycerskiem rzemiosłem. Domyślam się, że to musiał być jego syn, ów sławny Ogar, który tyle dokazywał w czasie wojny z Karolem Gustawem.

O dalszych przeznaczeniach mężów do historii należących nie wspominam, bo témbym wyrządził krzywdę moim czytelnikom, obznajmionym bez wątpienia z dziejami ojczystemi.

K O N I E C .

